

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

11468/111

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1868.

Tom trzeci.

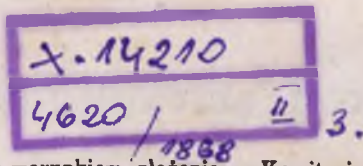
WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

1868.

H620. 1868. 3

II.



Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Censury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 15 (27) czerwca 1868 r.

Cenzor, J. Bieszczyński.



30.000,-

EPOPEJA LUDOWA,

W OBEC NAJNOWSZYCH BADAŃ NIEMIECKICH.

PRZEZ

Adama Rzęzewskiego.

Badanie poezyi ludowej rozliczne przedstawia korzyści; ona bowiem jest jedną z najważniejszych cech do poznania ducha narodu, ona i dla estetyka przedstawia niewyczerpany materiał, a poeta równie jak i muzyk, może z niej wysnuć cudną melodyą, może stworzyć arcydzieło. Dowodem tego ostatni świetny cykl poezyi naszój, dowodem, Chopin i Moniuszko. A dla filologa pieśń ludowa jakież ogromne przynosi korzyści — znajdzie on tu bowiem stare formy, niespotykane już w użyciu, znajdzie przejściowe stopnie języka, zachowane przez lud w całej czystości, bo lud, to konserwatysta: on nie lubi się rozstawać z tém, co mu jego przekazali ojcowie. W poezyi, w podaniach ludu, równie psycholog, jak i historyk dostrzeże pojedyncze drogi, jakimi przechodziły myśl i uczucie narodu, zanim doszły do wysokości na jakiej dzisiaj się znajdują. Nic téż dziwnego, że, oceniając tak wartość poezyi ludowej w ostatnich szczególnie czasach zaczęto się nią poważnie i szczegółowo zajmować, zaczęto ją traktować ściśle ze stanowiska naukowego. Żeby się o tém przekonać, dość tylko rozejrzeć się w literaturach sąsiednich nam krajów. U nas nie można się także skarżyć na obojętność dla poezyi ludu, na wartości *gminnej*, jak ją nazywano poezyi, poznano się w końcu, dowodem imiona Chodakowskich, Wojcickich, Waclawów z Oleska. Zbierano pieśni ludu, ten naturalny kwiat, jak je nazywa Mickiewicz, nie szczędząc pracy, nie zważając na trudności, a nawet na pewnego ro-

dzaju poświęcenia. Za przykład poświęcenia takiego może służyć Zoryan Dołęga Chodakowski, który podług Wiszniewskiego, z koszturą w ręku, z torbą na plecach, włóczył się po niskich chatach, po karczmach i po jarmarkach, aby tylko uchwycić pieśń, którą nieraz nawet wzajemnym częstowaniem się śmierdzącą gorzałką okupywać przyszło. Była to chwila zapału, chwila, w której każdy w ślady Chodakowskiego wstąpić był gotów i młodzież nawet na ławach szkolnych śniła o poetycznym zajęciu zbieracza pieśni i podań ludowych—słowem zbieranie pieśni było wówczas modą. Naturalnie chwila taka nie odpowiednia była dla refleksyi, bo wtedy wszystko co tylko pochodziło z ust ludu uznawano bez wahania za piękne, znakomite, czarujące. Grube, trywialne dowcipy chrzczono nazwą szczerości, pierwotności, a gdzie wcale nie można się było domagać poezyi, tam przynajmniej wynajdywano cechę ułudnej prostoty. Po przebrzmieniu takiego zapału pozostają dwie drogi: albo refleksya i zimne ocenienie wartości zebranego materiału, albo zupełne zapomnienie. U nas, gdyby nie szanowne imiona pp. Kolberga i Kozłowskiego, ciągnących dalej pracę wskazaną i rozpoczętą przez Chodakowskiego, możnaby przypuścić to ostatnie. Kiedy u innych narodów powstała osobna literatura, odnosząca się do poezyi ludowej; u nas wszystkie prace tego rodzaju, poczynszy od Woronicza i Brodzińskiego na pałcach prawie policzyć się dają. Przedmowy bowiem do zbiorów pieśni ludowych, uwagi o nich umieszczone w literaturach Wiszniewskiego, Maciejowskiego i Wojcickiego, znajdujące się w pismach peryodycznych artykuły: Surowieckiego, Chłędowskiego, Berwińskiego, Hüttnera i Żukowskiego powstały jeszcze pod wpływem owego zapału, a jako prace na nieznanym polu torujące sobie drogi, nie dobrały się jeszcze do jądra i istoty rzeczy. Zgromadzono materiał, ale nie zastanowiono się nad nim dokładnie naukowo. Ostatnich bowiem prac p. Kamińskiego, umieszczanych w Kłosach i Tygodniku Ilustrowanym, nie można uważać za artykuły ściśle naukowe i na naukowych oparte podstawach; ale raczej za streszczenie tego, co każdy w samych pieśniach odnajdzie. Nie przeminęła jednak jeszcze pora do studyów nad tą gałęzią twórczości narodu; owszem, dziś na podstawie prac cudzoziemców, prac sumiennych i ściśle naukowych, są one znacznie ułatwione.

I dlatego to, sędzę, że odpowiedniem bardzo będzie podanie rezultatów, do jakich w ostatnich czasach doszedł, badając poezją ludową H. Steinthal, założyciel oddzielnej szkoły psychologiczno-filologicznej, obecnie professor uniwersytetu w Berlinie. Rozprawa jego, prawda, odnosi się wyłącznie do epopei ludowej, której u nas nie masz wcale, ale pomimo tego obojętną dla nas być nie powinna, gdyż mieści w sobie spostrzeżenia co do poezyi ludowej w ogóle, zaczerpnięte z badań historycznych i psychologicznych. Kwestya zresztą epopei, jakkolwiek tylekroć już potrącana, dokładnie jeszcze dotąd wyjaśnioną nie została; nie obojętną więc zapewne dla czytelników Biblioteki Warszawskiej będzie jedna z najnowszych prac w tym względzie. Rozprawy tej nie przetłumaczyłem dosłownie dlatego jedynie, że umieszczona ona w czasopiśmie ściśle naukowem (1) jako zupełnie specyjalna się przedstawia. Że zaś Biblioteka Warszawska nie uczonym, ale publiczności, jak mi się zdaje, rezultaty najnowszej nauki ma za obowiązek przedstawiać, przeto zehrawszy ostateczne badań Steinthala wyniki, a wyrzuciwszy zbyteczne nieraz gadaniny i specyjalne wywody, daję tę rozprawę w streszczeniu, a właściwie w przerobieniu. Część pierwsza, podług mnie najważniejsza, prawie dosłownie jest przełożona, dwie zaś następne i co do układu i co do sposobu przedstawienia zupełnie zmienione.

* * *

Jeszcze dotąd kwestya epopei, kwestya Homera i Nibelungów, pomimo nieskończonej liczby prac filologicznych, jest przedmiotem sporu i być nim nie przestanie, dopóki psychologia nie wyrzeczy tu ostatniego słowa; ona bowiem jedna tylko może dokładnie podstawę epopei wyjaśnić i zbadać. Nie masz już dzisiaj, zdaje się nikogo, ktoby w pieśniach Homera, Nibelungach i t. p. utworach, nie upatrywał bezpośredniego związku ich z poezją ludową, chodzi tylko o wyjaśnienie dokładne jaki jest ten związek? Dla dojścia do odpowiedzi na to pytanie, zastanowić się musimy nad poezją

(1) Zeitschrift für Völkerpsychologie und Sprachwissenschaft, herausg. von prof. Dr. M. Lazarus, und prof. Dr. H. Steinthal V-er Band, 1-er Hef. Berlin 1867 str. 1—57.

ludową, a przedewszystkiem nad jęj istotą, z istoty jęj bowiem wynika bezpośrednio rozwiązanie takich pytań, jak: czém stać się może poezya ludowa? co z nięj zrobić można? i co ona zrobić może? a pytania te zaprowadzą nas do rozwiązania głównej kwestyi, jakąśmy, przy początku zapatrywania się na epos, postawili.

1. *Istota poezyi ludowęj w ogóle.*

Znajduje się pewien rodzaj poezyi, któryśmy pieśniami ludu zwać zwykli; cóż to więc są te pieśni ludowe? Czy to pieśni, które tylko lud śpiewa, czy też je także sam i ułożył? Nie zważając na podnoszącą się może gdzie z kąta oppozycyą, przyjmujemy to ostatnie i stawimy twierdzenie: poezya ludowa istnieje, lud sam ją stworzył, a więc lud jest poetą. Cóż to jest lud? Lud jest to pewna wielość ściśle połączonych z sobą duchowo ludzi, ale wielość taka, która jeszcze do kultury nie doszła, a przynajmniej zewnątrz nięj leży. Określiwszy sobie w taki sposób lud, dla wyprowadzenia jasnej definicyi poezyi ludowęj, postarajmy się pozbiierać jęj główne cechy i znamiona:

1) Główną i najważniejszą cechą poezyi ludowęj jest brak w nięj ukształcenia rozumowego (*Verstandesbildung*). Lud-poeta musi być koniecznie pozbawiony kultury, a przynajmniej logiki, zdolności refleksyjnych i znajomości pisma. W takim stanie może być cały naród, jak byli Hellenowie za czasów Homera, albo w pośród ucywilizowanego narodu, może być pewna część jego, ściśle połączona z sobą, która jeszcze zupełnie poza kulturą pozostaje. Tak było wszędzie w wiekach średnich, tak jest jeszcze do dzisiaj w większej części Europy. Do poetycznej twórczości nie potrzeba wcale logicznego wykształcenia pojęć; talent poetyczny przy szlachetném uczuciu, przy czystości i pierwotności obyczajów, smak piękny, to jest poczucie proporcji i harmonii, wystarcza tu zupełnie. Warunki zaś takie znaleźć się mogą w każdym stanie i położeniu narodu: widzimy je pomiędzy szlachtą starych Hellenów, widzimy pomiędzy rycerzami wschodnich Niemiec od XII do XIII wieku; są one do dziś dnia jeszcze pomiędzy włościanami Finlandyi i większej części Słowian.

2) Bezpośrednim skutkiem poprzedniej cechy jest brak indywidualności, indywidualność bowiem jest pierwszym promykiem rodzącęj się kultury. W takim życiu pierwotném

każda jednostka podlega jednakim wrażeniom i wpływom; nie się tu nie zyskuje przez nauczanie lub teorią, ale wszystko zdobywa się życiem. Zkądżeż tu ma powstać indywidualność? Cały duch ogólny jest czystą przedmiotową substancją i chociaż jedna jednostka mniej, druga więcej może mieć w nim udziału, nie masz jednak nikogo, ktoby miał coś własnego, coś, coby do ducha ogólnego nie należało.

3) Niech w jakiejś pewnej całości, w jakiejś gminie, słowem w tém, cośmy pod pojęciem lud objęli, zapanuje talent poetyczny, to każda jednostka będzie brała w nim udział, każda będzie poetą. Poezya bowiem, jak wszystko, co do ludu należy, jest częstką ogólnego ducha, a że każda z jednostek w ogólnym tym duchu żyje, musi więc każda pod wpływem pojawionego w nim talentu śpiewać. Jak nad swą mową, podaniami, obyczajami i prawem, tak również i nad poezją pracują jednostki, jak pszczołki w komórkach wspólnego ula. Samo wykonanie nawet zewnętrzne, sama egzekucya śpiewu, poświadcza wymownie ten fakt. Włoska bowiem liryka, nasze krakowiaki, fińska epepeja naprzemian przez kilku ludzi śpiewane bywają. Jeden śpiewak z ust drugiego bierze nie tylko słowa, ale i melodyą, a jakżeż często, szczególnież w krakowiakach naszych ostatni wiersz zwrotki dziewoi, jest początkiem tego, co śpiewa molojec i odwrotnie (1).

4) Poezya ludowa zostaje w najściślejszym związku ze wszystkimi stronami życia, kiedy przeciwnie poeta naszych czasów, poeta ucywilizowany, niezależnie od życia praktycznego, życia rozumu, wytwarza sobie świat fantazyi,

(1)

On.

— „Powiedźże mi moje dziewce
Cy ty ze mnie sydzis;
Cy mnie ino wtencas kochas
Kiedy mnie widzisz?

Oua.

— „Sydżę z oiebie, sydżę z ciebie.
Sydżę, sydżę, sydżę;
Bo cię i wtencas nie kocham,
Kiedy jo cię widzę

(Zegota Paull: „Pieśni ludu pols. w Galicyi. Lwów. 1838 str. 189).

Przykładów takich mnóstwo w każdym zbiorze pieśni ludowych znaleźć można.

w którym wraz z ideałami swemi przebywa. W ucywilizowanym narodzie, pieśni miłosne, skargi opuszczonej kochanki czyta i ten kto nie kocha, a pieśni, opiewające wiosnę, biorą się często w rękę i przy zimowem cieple kominka. W okresie poezji ludowej pieśni miłosne śpiewa tylko ten, kto kocha i tój, którą kocha, pieśń zaś o wiosnie rozlega się tylko w czasie budzenia się ze snu zimowego natury. Przeciwnieństwa takiego jak wiersz zatytułowany: „do niej” a czytany przez cały świat, a przynajmniej przez cały naród, śpiewak ludowy nie zna: on otwiera uczucie swe tylko tój osobie, dla której ono coś znaczyć może. U ludu pieśni weselne śpiewają się tylko w obec ślubnej pary, pogrzebowe tylko przy zmarłym i są one, jakoby religijną liturgią, która tylko stosownie do okoliczności, towarzyszących obrzędowi, zmienianą być może. Jak z ludową liryką, ma się tak samo rzecz i z ludową epiką. Pieśni, opowiadające sławne wypadki, nie powstają stosownie do zachcianek jednostki, ale wywołane być mogą tylko przez sam wypadek, po którym nieraz, nawet za życia jeszcze osób działających następują. Tak Odysseuszowi opiewano jego czyny pod Troją, tak śpiewa serbski lirnik Salaszskiemu bohaterowi bitwę jego na Salaszskiem polu (1), siedząc przy jego własnym stole.

Uwagi przedstawione tu o poezji ludowej, nie pochodzą wcale z jakichś wymyślonych pomiędzy ludem stosunków, ale opierają się na wskazówkach historycznych i na własnem doświadczeniu zbieraczy pieśni ludowych. Tak np. opowiada rozmaite swoje spostrzeżenia Steintal (2) zrobione w czasie pobytu jego wpośród pasterskich górali włoskich. Tam—powiada on—nie śpiewają na żądanie obcego, ale przerywają pieśni, skoro tylko zbieracz, zwabiony piosnką, pomiędzy nich wstąpi, tak jak przerywamy poufną rozmowę, skoro podsłuchującego spostrzeżemy. Gdyż pieśń ta, podobnie jak przysłowie, jest żywiołem mowy, z pokolenia w pokolenie przekazywanym, za pomocą którego jeden drugiemu

(1) *Czupicz Stojan*, zwyciężył Turków pod Salaszem 1806 r., umarł około roku 1820.—On sam udzielał śpiewakowi, który go wysławiał, szczegóły tój bitwy.

(2) Porów. *Zeitschr. für Volkerpsych. und Sprachwis.* Band I p. 181 i nast.

tylko to, co go obchodzić może, powiada. Jeżeli poprosisz pasterkę o piosnkę, to ona myśleć będzie, że chcesz, aby miłość tobie wyznała; a jak nie można od dziewicy zażądać, aby odrazu powiedziała: „kocham ciebie,” tak nie pojmie cię i owa Włoszka, jeżeli bez przyczyny śpiewu od niej wymagasz. Taki sposób życia, takie powstawanie poezyi spotkamy i u homerycznych Hellenów i u średniowiecznych Skandynawów i Niemców, i u Serbów, i u nas. Do pierwiastkowej bowiem wspólnej wszystkim prostoty, przyłącza się jeszcze i jedność plemienia, od której zależą nietylko podobieństwo i pewna równość w zdolnościach, ale i jednokie urzadzenia, przejęte z czasów pierwotnych.

Każda pieśń musiała być z początku przez jakiegoś śpiewaka koniecznie ułożoną, ale skoro tylko wyśpiewaną została, przechodzi zaraz na własność ludu, ponieważ z jego ducha wyszła. Treść należy do wszystkich; styl, obroty mowy, miara, kompozycya, słowem wszystko, co poezją stanowi, jest własnością wspólną; to tęż przywłaszczają sobie każdy i zmienia do woli jak swoją własność. Bez jakiegokolwiek improwizacyi ze swęj strony nie odśpiewa on jęj nigdy. Wszędzie tęż, choćby najkrótsza pieśń ma nieskończoną liczbę wariantów. Śpiewaczka we Włoszech, ilekroć od nięj zażądano pewnej, oznaczonej pieśni, za każdym razem powtarzała ją w inny sposób, a gdy zwracano na to jęj uwagę, odpowiadała: „*mi viene cosi*” (jam temu niewinna).

Pojmować więc należy poezją ludową w najpełniejszym życiu, niestałości i ciągłym ruchu. Nie jest ona, również jak i mowa już skończonym utworem, ale ciągłą twórczością, siłą ciągle działającą, a imię jęj *nomen actionis*. Właściwie nie masz poezyi ludowej, ale ciągła twórczość poetyczna ludu, nie masz epepei ludowej, ale epika ludowa.

Dla tego prostém jest niepodobieństwem zebrać i utrwalić pismem poezją ludu, bo kiedy sądzisz, żeś już wszystkie warianty pozbięrał, one tymczasem są tylko przypadkowe, bo pieśń dopóki tylko żyje w ustach ludu, dopóty zmieniać się nieustannie będzie. Jest to wiecznie ruchoma produkcyja ludu, który nie rozstając się nigdy z swą pieśnią, robi ją zupełnie zależną od wzrostu, lub upadku swego ducha. Jak w jednych i tych samych falach potoku, pędzącego gwałtownie, dwa razy kapać się nie możesz, tak jednej i tęj samęj

pieśni dwa razy nie usłyszysz. Gdy zaczerpniesz z potoku wiadro wody, już ona potokiem nie będzie, tak gdy spiszesz pieśń ludową, już ona poezją ludu być przestanie.

Poezja ludowa jest własnością ducha ogólnego, a na dowód tego zapytujemy: jeżeli dziś powszechnie mowę, polegającą na wzajemnym porozumieniu się; mity, sagi i kultury, polegające na wierze; prawo i obyczaje, opierające się na stosunkach, uważamy jako dzieło ducha ludu: dlaczegóżby więc pytam, nie miano powierzyć owemu ogólnemu duchowi poezyi i to poezyi tak wielkiej siły, jakiej nigdy nie miał pojedynczy poeta? Bywają bezwątpienia czasy, w których tworzy się wiele i wspaniałych pieśni, ale najczęściej pieśni dawne, stosownie do okoliczności, potrzeby obrzędów lub nowych bohaterów, przerabiane bywają przez każdego, komu to tylko na myśl przyjdzie. Czemże to się dzieje? Oto tém właśnie, że pieśń ludowa jest wspólną własnością, że każda jednostka uważa ją za wytwór ogólnego ducha, do którego i ona należy. Nie masz już tego tam, gdzie duch indywidualny odgrywa rolę. Jeżeli bowiem taki geniusz jak Goethe nie mógł wykonać dramatycznego planu Schillera, to fakt ten wskazuje nam jasno, jak trudną, a nawet niepodobną jest rzeczą, aby jeden duch indywidualny pogrążył się tak w drugim, iżby jego myśl pojąć i prowadzić dalej potrafił. Że zaś w nieukształconych ludach istniała taka równość ducha, dowodem ślady jej, jakie do dziś dnia spotykamy nawet na stanowisku najwyższej kultury. Jakże często w zaufaném kółku słyszemy: „z ust mi wyjąłeś to słowo,” jakże często dwaj badacze robią równocześnie dwa jednakie odkrycia. Jakże nie raz trudno dzieła mistrzów, a nawet ucznia i mistrza, do tej samej szkoły należących rozróżnić. A Schiller słowami:

„Ze ci się udał jeden wiersz w ukształconej mowie,
Która za ciebie śpiewa i myśli—sądzisz, żeś już poetą?”

czyż nie poświadczą jak najwyraźniej, że duch ogólny spoczywający w mowie, śpiewa i myśli?

I duchowi ogólnemu wreszcie jak pojedynczemu artyście, przychodzi chwila, w której czuje, że wyczerpał już treść swoją, czuje, że wyhodował już jednostki, które na podstawie karmi przezeń mu danej, już się rozwijać będą samodzielnie i świadomie, i to właśnie jest epoka upadku poe-

zyi ludowej, wyradza się z niej wtedy poezya indywidualna. Poezja ludowa, jeżeli trwa dalej, przestaje już być prawdziwą poezją, a staje się niską i poziomą farsą, zaprawianą często grubijańskim dowcipem. Równoczesne kwitnienie poezyi ludowej, naturalnej, obok indywidualnej, sztucznej, może tylko tam mieć miejsce, gdzie naród dzieli się na dwie części, z których jedna przyjęła wszystkie wyniki cywilizacyi, podczas, gdy druga zupełnie poza nią, stanowi to, cośmy na początku pojęciem lud objęli.

Doszliśmy więc do następnych cech i warunków poezyi ludowej: brak kultury, brak indywidualności, wielość jednokich poetów, którzy wspólnie (w ogólnym i z ogólnego ducha) śpiewają. Warunki te są właściwie synonimami, tak że gdy jeden z nich istnieje, drugi i trzeci za nim bezwarunkowo iść musi. Nadto, poezja ludu jest energią, a nie przedmiotowym bytem, przebrzmiewającą w pieśni, jak mowa. Jako energia atoli jest ona przedmiotową potęgą, która tak silnie panuje nad duchem śpiewaków i narodu, że w obec niej ginie jednostka: równie jak mowa narodu, nie jest ona zawisłą od pojedynczego indywiduum. Pojmujemy poezją ludu, jako poezją ogółu, poezją mass, a rozważać ją należy jako czynność i to czynność ducha ogólnego, który wprawdzie w jednostkach żyje, ale tak je opanowuje, że one raczej w nim żyją: one są jego ciałem, on ich duchem.

2. *Formy kompozycyi epicznej.* Wewnątrz owego ogólnego ducha, jakieśmy to już wykazali, nie masz żadnych indywidualności, ale on sam, ten duch ogólny, jest indywidualny i jako taki ma właściwy sobie poetyczny charakter, który się w rozmaitych formach objawia. Jeżeli tedy zastanowimy się nad epiką ludową, to w niej trzy główne formy odróżnić będziemy mogli:

1) Do pierwszej formy należą pieśni, z których każda opiewa jakiś pojedynczy fakt, jakiś myt i tworzy pewną, zamkniętą w sobie całość, jak np. Hymny Homeryczne, opowiadanie o skuciu Afrodyty z Aressem przez Hefajstosa. Ludy niehistoryczne nie wychodzą poza tę formę. Tatarzy południowej Syberyi mają takiego rodzaju bardzo obszerną epikę, z trzechletnimi bohaterami, z latającymi rumakami i tympodobnemi cudownościami. Opowiadanie czysto ma-

teryalne, nic wykończonego, nic wymotywowanego, wszystko tylko jakby senne marzenie. Jestto właściwie *szamanizm*.

Epika Serbów, jakkolwiek trzymająca się w daleko piękniejszym i czystszyim tonie opowiadania, do tój formy kompozycyi zaliczoną być musi. U Serbów bowiem każda pieśń z osobna opiewa pewną bitwę, walkę, zdarzenie i tworzy zupełną epopeję. Należą tu także pieśni Eddy, staroniemiecka pieśń o boju Hildebranda z Hadubrandem i ludowa epika Celtów, nosząca na sobie mocny liryczny odcień.

2) Do drugiej formy należą pieśni, które opiewają szereg czynności jednego i tego samego bohatera. Przewszystkiem znane nam są Romanze o Cydzie. W Grecyi prawdopodobnie przed Homerem musiał być podobny szereg pieśni o Herkulesie.

3) Trzecią formę znajdujemy tam, gdzie duch ogólny tworzy pewien organiczny cykl epicznego śpiewu. Tu należy Kalewala Finnów, Iliada i Odyssea, Nibelungi i francuzkie pieśni o Rolandzie. Tu już znajdujemy organiczny stosunek między częściami, składającymi epos, węzeł intrygi, konieczny postęp i opracowanie od początku aż do końca.

Te trzy formy epicznej kompozycyi mają analogią w trzech sposobach składania wyrazów w mowie, w grammatycznej morfologii i moglibyśmy, pożyczwszy nazw od grammatyki, pierwszą formę epiki nazwać *odosobniającą*, drugą *skupiającą*, trzecią *organiczną* (1). Niekoniecznie jednak ma się łączyć epopeja z grammatyką tak, ażeby formy jednej, odpowiadały drugiej. Owszem, indo-germańska a więc organiczna mowa Serbów w epice ma formę *odosobniającą*, gdy przeciwnie skupiająca mowa fińska ma organiczną epopeję, a Grecy mają wszystkie trzy formy razem. Epopeja przeto w kompozycyi swój wiedzie całkiem osobne i niezależne od mowy życie.

Pieśni, należące do tych form wymienionych starają się wywyższyć, starają się przejść z jednego oddziału do drugiego. Zaobserwować to można np. na pieśniach serbskich, odnoszących się do królewicza Marka. Wszystkie

(1) *Isolirende, agglutinirende, i organische* albo *flexivische*, trzy nazwy ustanowione przez Augusta Schleichera, a przyjęte jako terminy naukowe dla wyróżnienia trzech klas, na jakie podzielono wszystkie języki.

one mają za przedmiot jednego bohatera, a więc skłaniać się zdają do oddziału drugiego. Własność ta ich atoli jest tylko pozorną, pieśni bowiem formacyi drugiej, chronologicznie przynajmniej pomiędzy sobą się łączą, te zaś nie mają żadnego wewnętrznego związku, każda z nich stanowi zaokrągloną zupełnie całość. Podobnie epopeja oddziału drugiego nie może przejść do epopei organicznej, nie pozwala na to ich treść różna zupełnie. Bo czyż to, co się odnosi do jednego bohatera wyłącznie może stać się naraz własnością kilku osób działających? Nie, usiłowania kilkakrotne w tym kierunku dowodzą najlepiej niemożliwości zrobienia epopei drugiego stopnia, epopeją organiczną. Czyż bowiem rajskiemu Firduzy udało się utworzyć z pieśni perskich epos? Czy Cyd epopeja, powstała z romansów o Cydzie, może stanąć obok Iliady i Odyssei? Macpherson zresztą z pieśni bardów kaledońskich stworzył nam Fingala i Tamorę, ale czyż mogli oni być takimi w poezyi ludowej, jak się tu przedstawiają? nie, zaprawdę, są oni na to za zbyt sentymentalni i nieplastyczni.

Nie dowodzi to jednak, aby naród nie mógł postępować, aby zdobywszy się na jedną formę epopei, nie mógł już wydać drugiej. Owszem, ale potrzeba do tego wielkich przewrotów, wielkiej że tak powiem, rewolucyi poetycznej, wypływającej ze stosunków społecznych i politycznych, potrzeba nowej zupełnie idei. W Grecyi po hymnach homeerycznych, po prawdopodobnie istniejących tam kiedyś śpiewach o Herkulesie, powstaje Iliada i Odyssea; ale towarzyszyć temu muszą ważne okoliczności zewnętrzne: nieszczęściem nie znamy innych nad polityczny wzrost Jończyków w Azji. W Niemczech w XII wieku objawia się nowa epika; ale wtedy, kiedy podnosi się i potężnieje duch narodowy, kiedy poezya zyskuje nowy środek—rym, kiedy stary język poetyczny, ustępuje miejsca nowemu (Althochdeutsch zastąpiony zostaje przez Mittelhochdeutsch). Bez takich warunków druga forma kompozycyi nie przejdzie w trzecią. Przychodzimy przeto do wniosku, że pomiędzy drugą i trzecią formą, podobnie jak pomiędzy pierwszą a drugą istnieje nieprzebyta przepaść, że każda z nich jest czemś innem.

Daleko większy napozór związek zachodzi pomiędzy pierwszą a trzecią formą kompozycyjną. Epika w pierwszej

formie jest jeszcze nierozwinięta, ale jest w niej złożony, twierdzą niektórzy, płodny zarodek, który przy ciągłym postępie pojęć narodu, może się w przyszłości rozwinąć w doskonałą formę epopei. Przestańmyż raz nareszcie wypowiadać tak niejasne, i pozbawione wszelkiej historycznej i psychologicznej podstawy, twierdzenia! Nie, z formy pierwszej, równie jak z drugiej nie powstała trzecia, jeżeli naród podobnie, jakśmy to mówili wyżej nie doznał wielkiej poetycznej rewolucyi. Postarajmy się poprzec to dowodem. U Serbów jest pieśń, zawierająca 1226 wierszy: „Wesele Maxyma Crnojewicza” (1). W pieśni tej zupełnie tak samo, jak w Nibelungach z powodu oszukania panny młodej wynika kłótnia i sprowadza wojnę, która długo tępi dwa poważnione rody. Pytamy więc dlaczego u Niemców powstała z tego organiczna epopea, kiedy Serbowie z tą samą treścią pozostali na stopniu pierwszej kompozycyjnej formy? Czyby Serbowie mieli mniejsze zdolności poetyczne? Nie, tylko Serbowie nie stali się narodem uniwersalno-historycznym tak jak nim stali się Niemcy. Wielkie wędrówki, dalekie rozgałęzienie pokrewnych plemion, ważny wpływ na dzieje ludzkości, oto warunki, jakich domaga się najwyższy stopień epopei ludowej. Nie można nigdy obwiniać Serbów, że oni nie rozwinęli zarodka w swęj epice złożonego; owszem, oni zrobili to, co zrobić mogli, dalej zaś nie poszli dla tego jedynie, że im nie dała Opatrzność roli takiej, jaką dała Niemcom, lub staręj Helladzie. Wymagać, aby z pieśni stopnia pierwszego, powstał stopień trzeci, jest to wymagać np. od Chińczyków, aby mowa ich stała się fleksyjną, jest to wymagać poprostu niepodobieństwa w naturze. Bogactwo mytów, skarb podań i tradycyi narodowych, słowem wszystko to co stanowi materyał epopei, może być u dwu ludów równy zupełnie, ale jeżeli nierówna idea, wytworzona przez ducha narodu, a powołująca ten materyał do życia, wtedy i rezultaty będą nierówne. Tak Rolanda zbyli Hiszpanie Romanzą, kiedy we Francyi stał się on przedmiotem wielkiej epopei. Czy może osoba Rolanda była dla Fran-

(1) Porówn.: Wuk Stefanowicz Karadžycz „Srpske narodne pesme“ Wiedeń 1845 T. II Nr. 89. p. 524—567. Polski przekład Zmorskiego „Narod. pieśni serbskie“ Warsz. 1853 T. II str. 55—106.

czów większego znaczenia, jak dla Hiszpanów? Nie, o Rolandzie wie historia bardzo mało a może nic wcale (1), i nie o Rolanda w eposie tej chodzi, ale odbił się tu ostatni akt walki za chrześcijaństwo. Idea walki chrześcijańskich rycerzy z Saracenami była tu twórczym popędem dla przekształcenia historyi, dla pomieszczenia mytu z rzeczywistymi faktami. Wszakżeż Hiszpanie daleko więcej i dłużej szamotali się z Maurami, dlaczegoż u nich nie powstała epopcja o treści podobnej? Odpowiedź na to dać może odosobnione geograficzne położenie Hiszpanii, dać może ta okoliczność, że Hiszpanie w walce o religią i byt materialny z nieprzyjacielem, nie mogli mieć nad nim poczucia wyższości, bo na każdym kroku spotykali przewagę jego w kulturze.

Celtowie nie mają także epiki organicznej, jakkolwiek pieśni ich bardów, znane pod nazwą pieśni Ossyana, przedstawiają niezrównany polot fantazyi. Powodem tego ubóstwa jest i u nich nie co innego, jak brak wielkiej historyi, brak nawet wielkiego nieszczęścia, któreby powołało wspólnie wszystkie siły narodu. Społeczeństwo ich zresztą czyż przedstawia warunki prawdziwego eposu? Była to dzika horda rycerska, tworząca kastę czysto arystokratyczną, gotową wprawdzie do obrony kraju i pod pewnym względem szlachetną, ale bez głębszej podstawy moralnej. W czasie pokoju oddana łowom i zmysłowym rozkoszom, uciemniająca lud i prowadząca z nim ciągłe wojny, ginie wreszcie w tych domowych sporach. Takie warunki nie mogą wytworzyć prawdziwej eposy, ona, prócz danych jakieśmy wskazali wyżej, potrzebuje jeszcze szlachetnego gruntu, objawiającego się w odpowiedniej organizacyi społecznej.

Z uwag Steinthala o potraconych przezeń eposach wzięliśmy tylko ogólne wnioski i prawidła, co do powstawania eposy. Treść zaś tych eposy, jużto z rozlicznych przekładów, już z dokonywanych w naszym języku studyów znana jest czytającemu ogółowi. Pozostaje nam jeszcze zapoznać się z eposą ludu, nienależącego do naszego szczepu, z eposą Finnów. Steinthal mówi o niej ogólnie, i dotyka jej

(1) Miejsce bowiem u Eginharda „Vita Caroli Magni c. 9. „Hruodlandus Britannici limitis praefectus,” uważa wielu uczonych za później dodane.

tylko o tyle, aby i na niej także oprzeć wnioski, do jakich w rozprawie swój dąży, nie wdaje się zaś w szczegóły, dla téj prostéj przyczyny, że przedmiot ten w Niemczech przez kilku uczonych obrobiony, publiczności niemieckiej dokładnie jest znany. U nas, jak mi się zdaje, jest to zupełnie jeszcze *terra incognita*, korzystam więc z téj sposobności, aby przytoczyć czytelnikom, chociaż w bardzo ścięsnionych ry-sach, treść tej obszernéj, bogatéj w malowniczość, siłę, a przede wszystkim cudowność epopei. Nazwisko jéj: *Kalewala* (1). Zebrał ją i wydał w ostatnich dopiero czasach *Dr. Elias Lönnrot* (2). Przedmiot jéj główny stanowi nie-przyjaźń między Finnami i Lapończykami (3) tak jak w *Iliadzie* między Grekami a Trojanami. Sam poemat rozpoczyna się urodzeniem głównego bohatera *Wäinämöinena*, który za-raz na drugi dzień po przyjściu na świat robi sobie konia i puszcza się na nim na morze. Czatujący tam na niego zé-zowaty Lapończyk wypuszcza ku niemu trzy strzały i zabija mu konia. Wiatr zapędza *Wäinämöinena* do Laponii, gdzie panuje królowa imieniem *Luhi*. Ta powiada, że go dopie-ro wtedy powróci do ojczyzny, kiedy on jéj ukuje *Sampo*. Coby było to *Sampo*, nie masz w całej epopei wyjaśnienia, jest to rodzaj zagadki, zadanéj *Wäinämöinowi*, i królowa, żądając tego dodała tylko, że *Sampo* to ma być ukute z czterech rzeczy: z wierzchołka łabędziego pióra, z trawy, nazy-wającéj się po fińsku *villan kilki*, z jęczmiennego ziarna i ka-wałka wrzeciona, w wariantach jeszcze dodana kość jagnię-cia i mleko od jałowéj krowy. *Wäinämöinen* udaje że rzecz rozumie i obiecuje przysłać królowej brata swego artystę, kowala, który żadanéj pracy dopełni. Przy wyjeździe spotyka *Wäinämöinen* cudownéj piękności dziewicę, córkę *Luhi* i prosi o jéj rękę; lecz ta jako warunek stawia mu do wyko-nania trzy prace: przeciąć tępym nożem włos, obwinąć jajko

(1) *Kalewala* wedl. Jakóba Grimma znaczy kraj *Kalewy*, tak jak od *tuoni* (śmierć), *tuonela* (piekło), od *maa* (ziemia), *manala* = *amaanala* (kraj podziemny). *Kalewa* zaś jestto bóg-olbrzym, prajciec wszystkich bohaterów i kraj jego oznacza właściwie Finlandyą, nazywaną także *Wainola* od syna *Kalewy Waina*.

(2) Pierwsze wyd. z 1832 r. mieści w sobie 32 runy (pieśni, rap-sodye), wierszy 12,649, 2głe z 1849 r. run 50, wierszy 22,793.

(3) Tak tłumaczy Grimm, w epopei zaś kraj ten nazywa się *Pohiołq*.

nitką, robiąc taki węzeł, aby go nikt nie dojrzał i z kawałków jój wrzeczona wybudować łódkę, strzegąc się jednak zaciąć po podłodze toporem. Dwie pierwsze prace Wainemöinen wykonywa, przy trzeciej jednak zacina się toporem w palec u nogi, a z palca boskiego męża wycieka takie mnóstwo krwi, że cała okolica zalana zostaje. Szczęściem znajduje się jakiś czarodziej, który krew upływającą zamawia i wtedy Wainemöinen wraca do kraju. Po powrocie zmusza brata swego *Ilmerinena*, aby jechał ukuć Sampo królowej Luhi. Ilmerinem przybywa do Laponii, a spełniając zadaną robotę stara się także pozyskać łaskę pięknej dziewczicy. Występuje jeszcze trzeci brat *Lämminkainen*, ten także wybiera się do Laponii, a strapionej matce zostawia grzebień, z poleceniem, aby patrzyła nań ciągle i kiedy zęby jego krwią się zafarbują, żeby pośpieszyła na ratunek, bo syn jej będzie wtedy w niebezpieczeństwie. Po przybyciu *Lämminkainen* zakochał się także w północnej dziewczicy i zadano mu znowu trzy prace, a kiedy trzecią z nich wykonywał, zabija go stary Lapończyk i ciało jego porąbane wrzuca do podziemnej rzeki. Dowiedziawszy się o tem z grzebienia matka, śpieszy na miejsce zbrodni, a dobywszy z rzeki szczątki drogiego syna, póty je tuliła na swém łonie, dopóki mu po raz drugi życia nie dała. Tymczasem Wainemöinen, dowiedziawszy się podstępny sposób pewnego zakłęcia, za pomocą niego buduje łódkę z wrzeczona i śpieszy do kochanki, ale współcześnie i Ilmerinen podąża łądem. Schodzą się oba razem i oba się oświadcniają; dziewczica wybiera Ilmerinena. Odprawiają się sute gody, pomiędzy innemi przygotowaniem na nie, zabijają byka tak wielkiego, że jak powiada epos, jaskółka aby przelecieć od jednego jego rogu do drugiego, potrzebowalaby najmniej miesiąc czasu, podobnież opisane przyrzadzenie piwa. Następnie odbywa się pożegnanie panny młodej z krajem. Jak u naszego ludu, żegna ona matkę, krewnych, przyjaciół, każdy sprzęt, każdy kącik swego domu, tak że do zupełnej tożsamości brak tylko pożegnania zielonej rutki w ogrodzie. Ilmerinen wszakże niedługo cieszy się nabytą z takim trudem żoną, skoro ją bowiem przywiózł do kraju, zabija ją parobek imieniem *Kullerwo*. Ten *Kullerwo* jest to figlarz, jakich często spotykamy w naszych klechdach, szczególnież w tylicznych bajkach: „O dwu braciach ma-

drych i trzecim głupim" tylko że jego figle są bez porównania dotkliwsze. I tak, kiedy mu kazano kołysać dziecko, on dziecko zabił a kolebkę spalił; Ilmerinen odpędził go za to do paszenia bydła, a żona jego mszcząc się za swe dziecko, na obiad posyła mu chleb z kamieniami. Kullerwo, poznawszy to, rozgniewany, wybija wszystko bydło, a do domu napędza wilków i niedźwiedzi. A kiedy żona Ilmerinena wyszła aby krowy wydoić, dzikie zwierzęta, rzuciwszy się na nią, rozszarpują ją na ćwierci. Ilmerinen strapiony kuje sobie żonę ze srebra i złota (por. myt o Pygmalionie), ale nie mogąc się dobrać do niej ducha, wyprawia się do Laponii po drugą córkę Luhi. W Finlandyi tymczasem nieurodzaje, głód, burze i Wäinemöinen spostrzega że przyczyną tych nieszczęść jest nieobecność w ich kraju Sampo, namawia tedy brata Ilmerinena i oba wyprawiają się do Laponii aby Sampo odzyskać. Przybywszy, odkradają je i spieszą do kraju, ale Luhi, dowiedziawszy się o tém, sprowadza na nich burzę, a sama zamienivszy się w orła, dogania ich i Sampo w szpony porywa. Wszczytna się walka, w której Sampo zdruzgotaném zostaje, ale części jego przywożą bracia do kraju. Luhi, mszcząc się, zamyka za pomocą czarów słońce i księżyc do skały. Ilmerinen ukuł drugie i zawiesił na niebie, ale to nie daje ciepła; wtedy Wäinemöinen nakazuje bratu zrobić odpowiednie narzędzia do rozbicia skały, aby przemocą słońce i księżyc z niewoli wydobyć. W czasie roboty Ilmerinena, Luhi zamieniona w skowronka, przyleciawszy, siada na oknie kuzni i pyta, coby wykończył tak spiesznie? Ten odpowiada jej, że to hak na powieszenie Luhi. Królowa przestraszona tą odpowiedzią oddaje słońce, a rozkoszna pieśń z powodu powrotu światła i ciepła, kończy epopeję.

Taka mniéj więcéj jest Kalewala, naturalnie podając tu jej osnowę, starałem się tylko zachować przewodnią nitkę, pomijając wszelkie szczegóły, wszelkie wplatane powieści, epizody, opisy, gdyż w takim razie nie prędkoby się przebrnęło przez ten chaos prawdziwie wschodniej cudowności. Forma jej zewnętrzna jest taka sama jak epopei greckiej, wiersze poważne, nierymowane. Zdania uczonych o niej powszechnie bardzo pochlebne, stawiają ją na równi prawie z Iliadą, a bogata jej treść, szczególniej pomiędzy Niemcami, zapalała wielu poetów do uczenia się języka fińskiego, jest

téż dosyć u nich wyjątków w przekładach (1). Steinthal, jakkolwiek zalicza Kalewałę do epiki organicznej, uważa ją jednak i jak mi się zdaje, bardzo słusznie za daleko niższą od Iliady, Nibelungów, a nawet od pieśni o Rolandzie. Wynika to z zasady przyjętej przez niego dla wytwarzania się najwyższego szczytu epopei. Jeżeli bowiem Serbowie nie doprowadzili swój epiki do stopnia organicznego rozwoju, dla tego jedynie, że rola ich polityczna była bardzo podrzędna; to juścić historia Finnów, historia ciągłej prawie zależności daleko ich mniej upoważnia do tego.

Przytacza jeszcze Steinthal szczątki epopei Estów, znać tu jednak lud, którego głównym zaszczytem uprawa roli i pokonanie dzikich zwierząt; grube zresztą obrazy zmysłowe i treść często zbliżająca się do treści Kalewali, uwalniają mnie od przytoczenia wypadków estońskich bohaterów. To tylko, jako rezultat Steinthala badań w tym względzie, wspomnieć należy, że epopeja ta na pierwszym pozostać musi stopniu.

Oto już wszystkie epopeje, jakie objęte były w trzech kategoriach Steinthala, nie wspomina on tylko nic o „Zielonogórskim i Królodworskim rękopisie,” nie mówi nic o „Słowie o pułku Igora.” Wstrzymuje go od tego, albo nieznanostwo przedmiotu, albo téż, co prawdopodobniejsze, zdanie, dość niestety znajdujące zwolenników, że utworów tych nie można uważać za płody poezji ludowej, zdanie najfałszywsze, któremu zadano dość już stanowcze ciosy, nie tu jednak miejsce je wyszczególniać.

U nas nie masz epopei ludowej, utrzymują jednak niektórzy że być musiała, tylko pod naciskiem religii, z obcej przyniesionej ziemi, zamarła i ślady jej zaginęły, a są nawet tacy, którzy sądzą, że może przyjść chwila, w której szacowny jej jaki zabytek, podobnie jak Czesi odnajdziemy. Czy na podstawie zasad przez Steinthala rozwiniętych można przejść do takich wniosków? Pozwalam sobie przeczącą po-

(1) Ś. p. Roman Zmorski, zachwycony kilku wyjątkami z Kalewali, przeczytanymi w języku niemieckim, przed wyjazdem swym ostatnim z Warszawy wziął się gorąco do nauki języka fińskiego z zamiarem przełożenia całej Kalewali na język polski. Czy zamiar ten jednak długo potrwał i czy przyniósł jakie rezultaty, zupełnie mi nie wiadomo.

łożyć odpowiedź. Przed przyjęciem bowiem chrześcijaństwa był nasz polityczny i społeczny, o ile sądzić można, nie przedstawiał warunków, wymaganych według Steinthala, przez prawdziwe epos, a później zanadto wyróżniły się stany i jeżeli jeden z nich absorbowany przez cywilizacją, już tém samém nie mógł wytwarzać poezyi ludowej, to drugi zanadto mało czuł swe stanowisko polityczne i społeczne, aby mógł wydać epos, nie wydał z siebie tylko lirykę. Jeżeli mi zaś kto zaprzeczy i zaprzeczenie swe poprze wskazaniem na Ruś, albo Czechy; to mu odpowiem, że tam religia nie była w takiej jak u nas kollizyi z narodowością, że, jeżeli na Rusi obrządek słowiański był powszechny; to w Czechach przetrwał do późnych bardzo czasów monaster Sazawski. Nam pozostała liryka ludowa, i liryka jednak może, a nawet powinna być traktowaną umiejętnie, i później postaram się wyłożyć uwagi, jakie się o owym dziale poezyi, przy pracy nad tym przedmiotem, nagromadziły.

Na zakończenie tego działu dodać jeszcze należy, że nie wielki fakt historyczny, uświetniony dawnym, lub nowym mytem, występuje jako punkt środkowy w epice, gdyż fakt taki sam w sobie nie jest poetyczny. Punktem środkowym nie będzie także idea, w ten fakt wcielona, bo i ona nie poetyczna; ale poetycznym jest moralnie pasujący się człowiek. Jeżeli podziwiamy epopeję, to nie dla tego, że się wielu bohaterów wzajemnie zabija, bo cóż nas rzeź obchodzić może? Ale dla tego, że tu, w tych bohaterach walczy patryotyzm, zapał wiary, poczucie prawa i moralności. Należy więc do organicznej epiki, aby naród miał zmysł do poznawania tego co ogólnie ludzkie w objawach indywidualnego charakteru i aby to, eo prawdziwie ludzkie w swój epopei podnosił. Niech więc to nas nie dziwi, że tak mało mamy organicznych epopei, bo prawdziwa epika, to dar rzadki.

3. *Życie organicznej epiki i diaskeuazci (1).*

Jeżeli dla ludzi ucywilizowanych, nigdy jasnym dokładnie nie będzie przedstawienie sobie, jak duch ogólny, istniejący

(1) Wyraz ten znaczący grupujących i zestawiających zbieraczy pieśni, jako termin w nauce przyjęty, pozostawiam bez zmiany, tem chętniej zaś dopuszczam się tego, że szanowny prof. Węclewski w ostatniej swój pracy: „Historia literatury greckiej,” wyraz ten nie przetłumaczonym zostawił.

w jednostkach tworzy; to nie mniej trudno uprzytomnić sobie jak żyje całe epos, kiedy tylko pojedyncze części jego odśpiewywane bywają, a przyjęliśmy za zasadę, że pieśń póty tylko żyje, póki z ust śpiewaka rozbrzmiewa. I jeżeli Grecy robili przygotowania, aby całego Homera odśpiewać, to nie można już tego uważać za poezją ludową, ale za usiłowania kultury, w celu zachowania poezyi ludowej. Jeżeli więc przyjęliśmy, że nie masz epopei, tylko epika, pytamy, jakżeż żyje w niej epos? jeżeli tylko ustępy Iliady lub Nibelungów odśpiewywano, jakżeż żyła i przechowywała się całość? Czy Iliada i Nibelungi są tylko dziełem diaskeuastów? Nie, jedność do poezyi ludowej nie została wprowadzoną z zewnątrz, ale w niej już żyła. Prawda, że nie spotykamy jej nigdzie w rzeczywistości i tylko widzimy pojedyncze jej organa; ale i to już dla nas wystarczać powinno, bo czyż można myśleć o organie, nie pomyślawszy zarazem o całości, do której należy. Jedność istnieje, ale jest tylko idealną potęgą, objawiającą swoje bytność przez to, że pojedyncze części grupują się w pewną całość, istnieje więc tylko w możliwości (in potentia), ale w każdej chwili, ilekroć tylko tego zajdzie potrzeba, kształtuje z pojedynczych części doskonałą całość. Organizmem w takim znaczeniu jest i język. Nie grammatyk bowiem zaszczepia węń, jak budowniczy w bezkształtną masę cegieł, jedność, ale ta jedność leży już w nim samym i objawia się w samym akcie mowy, w tworzeniu pojedynczych żywiołów mowy. Jest to dynamiczna potęga, która *implicite* istnieje w każdej epopei, a *explicite* tylko przez diaskeuastów się wytwarza. Jest ona rzeczywistą, ale rzeczywistą tylko idealnie. Nie może rozdzielić podmiotu od przedmiotu i dla tego też nie ujęta jest pozornie przez podmiot. Odczytując ustęp znanego jakiegoś dramatu, pomimowoli przywodziśmy sobie na pamięć jego całość; dzieje się zaś to dla tego, że całość tu idealnie w każdym członku jest złożona i przejmuje go tak, jak przejmuje krew żywe ciało. Jak nie możemy sobie wyobrazić jakiejś części ciała, z którejby zranionej krew nie poszła; tak nie masz w epopei organicznej żadnego ustępu, w którymby się całość jako wewnętrzna jej siła nie przejawiała. Tak przed 1832 r. nie wiedziano nic o fińskiej epopei, a przecież kiedy ją zbierać zaczęto i jedność się znalazła.

W zaokrąglonym takim cyklu, jaki przedstawia organiczna epopeja, nie masz rzeczywistego początku i końca, jak nie masz ich w kole matematyczném; początek i koniec bowiem istnieje tu tylko dynamicznie, idealnie. Od śpiewaka zależy w zupełności zacząć pieśń i przestać w miejscu, gdzie mu się tylko podoba; przestanek zaś ten i zakończenie jakkolwiek będą zaokrąglone, nie mogą jednak stanowić granicy pomiędzy jedną a drugą rapsodyą, bo inny śpiewak umieszcza w pienu swém w środku to, co było na końcu u pierwszego. Tak więc właściwie początek epopei, jój koniec, wszelkie znajdujące się w niej podziały, jak pieśni, runy, rapsodye i t. d. są tylko dziełem diaskeuastów. Epopeja, skoro spisana zostanie, już traci swoje życie, swoją ruchliwość, rozmaitość, migotliwość, a przedstawia się tylko, jako majestatyczne dzieło sztuki, wydane przez duch ogólny narodu. W takim stanie musi już ona mieć początek, koniec, podziały i to jest właśnie praca umiejętnej diaskeuazy. Diaskeuaza więc jest rzeczą bardzo ważną. Jest to zupełnie co innego, aniżeli przywracanie tekstu jakiegoś starego autora, bo diaskeuasta nie ma jak filolog jakiegoś tekstu, któryby uznał za najlepszy, za główną podstawę przyjął; ale ma nieskończoną ilość wariantów, zmotanych ze sobą w ten sposób, że ani początku, ani końca dopatrzeć się w nich nie można. Winien on tedy, przejąwszy się główną epopei ideą, wszystkie wypadki koło niej i z niej wysnuć; winien, oprócz chronologicznego zestawienia zdarzeń, wszystkie czyny bohaterów oprzeć na głębokiej, psychologicznej znajomości człowieka, bo inaczej z tego, co było wspaniałą poezją, zrobi splątany i niezrozumiały dla nikogo węzeł: diaskeuaza więc jest rzeczą bardzo trudną.

Przykład diaskeuazy umiejętnej i w naszych dokonanej czasach przedstawia nam epopeja fińska, szkoda tylko, że nie mamy ogłoszonego całego materiału, z jakiego ona powstała, wtedy bowiem wartość jój układu jeszcze stosowniej ocenićby można. Diaskeuasta jój Lönnrot żyje jeszcze dotąd i jest podobno lekarzem. Niektórzy posądzają go, że sam epopeją w wielu miejscach własnymi uzupełnił dodatkami, łącząc części nie bardzo przystające do siebie. Jeżeli zrobił to Lönnrot, to rzeczywiście dokonał tego bardzo zgrabnie, bo dziś na podstawie dwu wydań Kalewali miejsc autentycznych

cznych od nieautentycznych odróżnić nie można. W poznanej już treści Kalewali widocznie daje się wyróżnić trzy grupy: Sampo, jego ukucie i boje o odzyskanie go powtórne, starania się trzech braci o rękę północnej dziewicy i historia Kullerwa. Trzy te grupy stanowią trzy napozór różne od siebie całości; Lönnrot jednak połączył je organicznie. Pomiedzy historią Sampa, wplótł zręcznie konkury, a historią Kullerwa, przedstawił przez zabójstwo żony Ilmerinena, jako motyw do nieprzyjaźni pomiedzy Finnami i Lapończykami. Jedność ta zdaje się być najbliższą jedności, jaka żyje w Kalewali, ale powiadamy, że osądzićby dokładnie można tylko wtedy, gdybyśmy znali materyał, z jakiego powstała Kalewala. O diaskeuazie innych epopei mówić tu nie możemy, bo ludy, które opiewały wypadki w nich zawarte, już dawno zamilkły i porównanie, pomiedzy epiką grającą życiem, a epiką w kształcie posagowym, miejsca już mieć nie może.

Naturalnie zbytecznym zdaje mi się dodawać, że diaskeuaza właściwa ma miejsce tylko w epopei organicznej, w epopei bowiem odasabniającej, mowy o niej być nie może, w skupiającej zaś obojętną jest dla nas rzeczą, czy pieśń jakąś położymy na początku lub na końcu i chodzić nam tylko o to powinno, aby pieśń o śmierci bohatera nie poprzedzała pieśni o jego urodzeniu. Te diaskeuazy dokona każdy, a praca jego trwała nie będzie, gdyż pieśni skupione rozlecają się w danej chwili, jak pojedyncze kartki rozszytej książki, bo nie masz między niemi organicznego związku.

Na tém kończę sprawozdanie o rozprawie Steinthala, w tém przekonaniu, że wszystkie jego rezultaty, w streszczeniu czytelnikom podałem. Spór zaś Steinthala z filologami klassycznymi o autentyczność Homera, zamykający jego pracę, pomijam, a notuję z niego to tylko, że Steinthal, uważając Iliadę i Odysseję za epos ludowe, stanowczo autorstwa ich jakimkolwiek pojedynczemu poecie zaprzecza.

WIKTORJA REGINA,

ZE WSPOMNIENIĄ NARZECZONEJ.

ULOŻYŁ

Jan Zacharyasiewicz.

(Ciąg dalszy).

XVI.

W dniach następnych zacierało się zwolna to czarne widmo na drodze mego szczęścia. Ewunia, Stanisław i Cezaryusz byli niewyczerpani w najrozmaitszych projektach zabawy i rozrywki. Nie dano mi przyjść do wolnego oddechu. Chwytałam pełną piersią powietrze, a jednak brak mi go było w piersi. Byłam podobną do człowieka, którego po raz pierwszy wprowadzono do pysznej galeryi obrazów; nie pozwolono mu jednak ani na chwilę stanąć przed jednym obrazem, tylko popychano go coraz dalej, od jednego arcydzieła do drugiego. Czuł że mu na widok sztuki serce mocniej bije, dziwny dreszcz przebiegał jego nerwy, ale nie stało czasu, aby ten dreszcz rozkoszny spotęgował się do świadomego siebie uczucia, i wcielił się w duszę, gdzieby cząstką życia pozostał na zawsze!

Inaczej zdawało się Ewuni. Według jój mniemania ten szal bezwiedny, to odurzenie duszy potrzebne było do gruntownej i uroczystej installacyi miłości. W taki a nie

inny sposób, miał bożek miłości, ów nowy lokator wprowadzić się do mego serca i tamże urządzić się wygodnie i stale.

A kiedy sądziła, że installacya tego nowego gościa w przygotowanym dlań przybytku już się odbyła z wszelkimi formalnościami, cofnęła się do Brzozówki, zostawiając narzeczonych samym sobie.

Wdzięczną jęj byłam za tę teorią życia i miłości; nie dla tego, abym się na nią zgodziła, ale po prostu pragnęłam chwili wytchnienia. Chciałam być sama sobą, chciałam z tego wyjątkowego oszołomienia uratować dawną moją istotę, i z nią obrachować się o nowe warunki życia; wiedziałam bowiem, że to wszystko, co w tych wyjątkowych chwilach przeżyłam, nie było życiem normalném ale snem rozkoszném. Prędzej czy później musiał ten sen zejść w krainę rzeczywistości, a byłabym nieskończenie nieszczęśliwą, gdyby rzeczywistość nie chciała się pogodzić z czarami snów moich, i stała się dla mnie okropném a dzisiaj tak powszedniém—rozczarowaniem.

Instykt kobiety radził mi zawsze sny moje nastrajać do tonu rzeczywistości, o ile to było w mojej mocy; ale z drugiej strony chciałam znowu stworzyć sobie taką rzeczywistość, któraby wszystkie sny moje chętnie w swoje granice przyjąć mogła!

To też bardzo na rękę była mi chwila wytchnienia, jakiej użyczyła mi teraz Ewunia. Pod pozorem, że gospodarstwo i lekka słabość córeczki wymagają jęj obecności nieustannęj w Brzozówce, zakończyła swoje przejazdkie do nas a nawet do siebie nie bardzo nas zapraszała; dała nawet do poznania, że Stanisław dla wyrobienia niektórych interesów swoich potrzebuje nieco spokoju.

Przejrzałam odrazu całą jęj teoriąkę. Z uśmiechem pożegnała mnie, żałując, że w tak pięknych chwilach życia nie może być ciąglą moją towarzyszką; wymowne jęj jednak oczy mówiły mi wcale co innego. Przewidywały one z rozkoszą tajemne wzruszenia, jakich doznawać będzie serce moje, gdy rozmawiając lub przechadzając się z narzeczonym, nikt naszych słów słuhać nie będzie, tylko pogodne niebo boże, lasy zielone, kwiatki wonne i ciche gwiazdy nocy lipcowej...

I ucałowała mnie z namietnością młodej kobiety, której nagle stanęły przed oczy sny tak niedalekiej, a dziś już niepowrotnej przeszłości!...

Wkoło mnie zrobiła się nagła cisza. Ojciec zajęty był gospodarstwem, a może nawet i sam schlebiał w duchu teoryjce Ewuni. Najczęściej byłam sama z Martą, moją piastunką, która mnie na rękach swoich wychowała. Cezaryusz nie zawsze mógł być ze mną. Choć byłam jego narzeczoną przestrzegał zawsze wszelkich form światowych; dopiero około południa wchodził w nasze towarzystwo: po południu przepędzał także kilka godzin w swoim pokoju albo na przechadzce.

Oprócz miłości zaintrygowała Ewunia do naszego domu jeszcze inną, mniej do rzeczywistości zbliżoną sprawę. Potrzeba było zająć się nieuniknioną wyprawą. Ewunia zrobiła początek, dała plan a resztę pozostawiła mnie samą.

W zwykłym życiu wyprawa zajmuje cały czas narzeczonej. Gdyby mężczyzna wiedział, jak małą rolę odgrywa w tym czasie w sercu i wyobraźni narzeczonej, namyślałby się niezawodnie, czy ma z ideałem swoim przystąpić do ołtarza, czy zostawić go komu innemu z wszystkimi temi napięciami, które wprawdzie próżność kobiety łechcą, ale małżonkowi ani jednej chwili szczęścia nie przysporzą!... Zaiste, ileżto razy szczęśliwy narzeczoną wchodząc do swojej bogdanki widzi na jej rozognionej twarzy wyraz szczęścia i radości! Całuje namietnie drobną rączkę, która drży od wielkiego wzruszenia. Pewny, że to jego widok zarumienił tę twarz sentymentalną, poruszył wszystkie nerwy tej pięknej rączki... a to tymczasem przed chwilą przyniósł krawiec nową suknię, a kupiec pakę szalów i koronek brabanckich!...

Być może, że te słowa nie podobają się towarzyszkom moim; ale kobiecie wolno czazem zdradzić sekret i nazwać rzecz po nazwisku: gniew jest pierwszym stopniem poprawy, a poprawy w tym względzie potrzeba nam bardzo!...

Nie mając matki musiałam sama myśleć o mojej wyprawie. Wprawdzie część tej pracy wzięła stryjenka na siebie, to przecież zostało mi jeszcze sporo rzeczy do załatwienia. Ojciec bowiem należał do ludzi dawniej daty; był

tego zdania, że wyprawa powinna być świetna i rzeczywiście coś warta: blichtru i szychu nie lubił.

Przyznam się że krzątanie to około wyprawy naprowadzało mnie na dziwne myśli. Razu jednego, gdy kilkanaście sztuk płótna mierzono na łokcie, krajano i darto w sposób najrozmaitszy, zapytał mnie Cezaryusz:

— Czegoż tak zamysłona patrzysz pani na tę robotę?

— Bo to przypomina mi dwie skrajne epoki życia! — odpowiedziałam. Tak samo krzątają się, krajają i szyją, gdy się człowiek narodzi, lub gdy umrze!

— A czemże jest ta epoka, dla której to wszystko teraz się robi? — z uśmiechem podjął Cezaryusz.

— Czemś pośredniem — odpowiedziałam bez namysłu.

— Jakto pośredniem?

— Bo nie wiedziéć, czy się kto rodzi czy umiera!

— Zdaje mi się, że się rodzi do nowego życia, a co jest w nim stare: umiera!

— Ach! to pan niesłusznie sądzi! — odparłam żywo.

— A jakież zdanie pani w tym względzie? — z uśmiechem zapytał pan Cezaryusz.

Patrzałam chwilę na twarz narzeczonego, a potem rzekłam:

— Człowiek nie jest gąsiennicą, aby przechodząc z jednej fazy życia do drugiej, zostawiał za sobą swoją skorupę. Człowiek powinien cały przejść z jednej epoki życia do drugiej. Nic nie powinien mieć w sobie takiego, co by musiał przed progiem wyrzucić. Umierać w nim nic nie powinno. Co nie możemy z sobą nieść przez całe życie, jest kontrabandą życia! A sumienie nasze powinno być owym celnikiem, którego widok ostrzegać nas powinien przed wszelką kontrabandą!

Na te słowa dziwnie spojrział na mnie pan Cezaryusz; zdawało mi się nawet, że był nieco zakłopotany.

— Gdybym wiedziała — mówiłam po chwili z uśmiechem — że pan masz co w życiu, co przed ślubem chciałbyś za progiem zostawić, toby mnie mocno zmartwiło, a nawet nie wiem....

— Niepokój serca jest wielkiem nieszczęściem — poderwał szybko Cezaryusz — a pani lubisz nawet bawić się tym niepokojem. Życie bierzesz pani jak towar wyborowy u ku-

pca. Tak jednak nie jest. U kupca widzisz pani same dojrzałe, ładne, zdrowe jabłka: tymczasem na jabłoni jest inaczej. Wieleżto niedojrzałego owocu opadnie przed czasem, a wiele wśród dojrzałości robak powierci! Przecież nikt nie gniewa się na jabłoń, że tyle owocu zmarnowała, ale cieszy z tego, co na jabłoni zostało i dojrzało!

Wzięłam go za rękę i serdecznie ścisnęłam. Widziałam, że jego twarz ożywiła się niezwykle, a to było dla mnie dobrą oznaką, że mój narzeczony jest przystępny dla wyższych, nie zbyt codziennych myśli.

— Mylisz się pan — rzekłam żywo do niego. — Cieszy nas owoc dojrzały na jabłoni, ale życie nasze to nie jabłoń, ale jedno jabłko na jabłoni! Gdy to zwiednie i nie dojrzeje, lub gdy jaki robak wkradnie się w wnętrze jego i je potem roztoczy, to już wszystko stracone! Inne jabłka co się ostały i dojrzały, to inni ludzie, którzy się strzegli aby wcześniej nie zwiednąć i żadnego robaka do swojej duszy nie dopuścić!...

Mówiłam to z uśmiechem patrząc w oczy Cezaryusza. Cezaryusz spuścił oczy w ziemię, jakby mój wzrok sprawił na nim niemiłe wrażenie; potem podniósł głowę i jak mi się zdawało, z pewną trwogą spojrzął na mnie: w jego spojrzeniu malowała się widocznie chęć do czytania czegoś z mojej twarzy.

Widząc to zakłopotanie Cezaryusza uczułam wyrzut, że przez igraszkę słów i myśli zaniepokoiłam jego serce. Prawdopodobnie niekorzystnie wydałam mu się w tej chwili. Chciwa ustawicznej dysputy zastraszyłam go moim duchem opozycji; potrzeba więc było naprawić złe zrządzone. Uściśnęłam mu rękę i rzekłam z uśmiechem:

— Widzisz pan, jak skromną jestem w marzeniach moich. Pan chcesz mieć życie całej jabłoni, ja tylko jednego jabłka! Ucz się pan odemnie ekonomii szczęścia! Kto mało żąda, umie małym być szczęśliwym!

— Inaczej nie byłabyś pani *mnie* wybrała! — odparł dowcipnie Cezaryusz.

Chciałam mu coś na to również dowcipnego odpowiedzieć, ale pomyślawszy chwilkę, postanowiłam pozostawić go przy ostatniem, lepszym słowie. Mężczyźni lubią to, a i dla kobiet lepij jest, jeśli mężczyznom zostawią tę wia-

re, że po skończonej walce na placu bitwy biwakowali. Chciałam także sama przyswoić sobie to przekonanie, że Cezaryusz rzeczywiście na placu bitwy się ostał.

Kobięta kocha w mężczyźnie jego wyższość nad sobą.

XVII.

Spokój jaki teraz na chwilę zawitał w życiu mojem, pozwolił mi nieco przyjść do siebie. Przynajmniej miałam wolne całe ranki; miałam więc dość czasu, aby obok innych zatrudnień rozmyślać o tak ważnym kroku, jaki uczynić zamysliłam.

Nie było chwili, aby mi się w tym względzie najrozmaitsze myśli nie nasuwały. Układałam sobie różne programiki życia i chciałam je Cezaryuszowi przedłożyć do sankcyi pod warunkiem ustąpienia z ministerstwa. Ale jeden programcik po drugim przepadał: temu brak było życia już w samej zarodzie, tamten znowu był wprost niewykonalny. Piękne myśli moje które połyskiem swych barw tęczowych tak mnie w ciemnościach nocy bezsennęj zachwycały, blakły i poupadały przy świetle słońca lipcowego, które już rano moją sypialną komnatę oświecać zwykło!...

Wreszcie odrzuciłam wszystkie naprzód powzięte plany i programaciki i weszłam na inną drogę.

Oto, chciałam z najrozmaitszych wspomnień moich odtworzyć własną moją postać i z blizką jej się przypatrzeć; chciałam potem zrobić sobie jak najwierniejszy wizerunek mego narzeczonego i postawić go obok siebie, aby wiedzieć ile zgody lub kontrastu jest między nami; do tych dwóch wizerunków chciałam dodać rzeczywistość, która nas jako tło otaczała: chciałam w końcu zbadać, czego rzeczywiste stosunki, które nas z ogółem wiążą, od nas dwojga wymagają, i czy my tym wymaganiom razem zadość uczynić możemy. Tylko zgoda i jedność z tém wszystkiem, mogła moje szczęście stanowić: najmniejszy rozstrój między nami byłby dla mnie nieszczęściem!

Zaczełam więc od siebie: nie było mi trudno wykonać tę pracę. Poznałam, że mimo wszelkich małych i większych wydarzeń wcale się nie odmieniłam. Byłam zawsze

jedną i tą samą. Byłam podobną do patrzącego w wodę kryniczną. Chwilowy powiew wiatru zamącił falą wizerunek patrzącego. Twarz, nos, oczy zaczęły na drugim zwierciadle wcale inne kształty przybierać; zdawało się, że cała twarz się zmieni: tymczasem ustał wiatr, fala uspokoiła się, a patrzący w wodę ujrzał taki sam wizerunek, jaki był z początku widział!

Tak też stało się i ze mną. Ewunia źle mi przepowiedziała: ona sądziła, że nowa fala wzruszeń jaka w mém życiu nadeszła, zmieni moją istotę i opłucze ją z wszelkich mrzonek i pragnień niezwykłych. Zdawało jej się nawet, że mącąc przez kilkanaście dni ustawicznie zwierciadło duszy mojej, iż się już zupełnie zmieniłam, zostawiając całą istotę moją dawną za sobą!...

W podobny błąd popada większość kobiet wstępując na ślubny kobierzec: ztąd tyle nieszczęść i rozczarowania.

Wględnąwszy w siebie głębiej, nie chciałam iść tą drogą chwilowego szału. Wiedziałam że szal przeminie a długie życie się zacznie. Nie pragnęłam tylko chwilowego upojenia, ale pragnęłam szczęścia długiego jak życie, pogodnego i gorącego jak niebo lipcowe!...

To też przez mgły chwilowych i wyjątkowych wzruszeń ujrzałam na dnie mój dawny, niczem nie zmacony wizerunek. Nie umiem powiedzieć: czy mi to sprawiło radość, że sama siebie napowrót odszukałam, czy boleść, że inną być nie mogę; był to jednak zawsze fakt, który uwzględnić należało.

Przystąpiłam do rozpoznania ze zbliżonego teraz stanowiska wizerunku mego narzeczonego. Byłam narzeczoną, a to dawało mi możliwość poznać bliżej tego, któremu miałam oddać całe życie moje.

Być może, że takie postępowanie znamionowało zbyt zimną temperaturę mego serca; być może, że podobne uczucie, jakie miałam dla Cezaryusza nie nazywa się miłością. Nie przeczę nawet temu, że mimo wszelkich odległych formalności, mimo wszelkich oznak pozornych i przyjętych zobowiązań nie kochałam Cezaryusza; miłość bowiem prawdziwa, która ogarnie dwa serca, ma się zupełnie inaczej przedstawiać. Jest ona pewną siebie i nie naprzd nie oblicza; wie ona instynktem, że wzięła w posiadanie

skarby nieprzebrane, z których można pełną garścią brać przez całe życie! Obliczać nie potrzeba się tam, gdzie są zasoby przez czas niespożyte!...

O takiej też miłości marzyłam od lat najmłodszych, ale jej nie znalazłam! Wyrwałam długo w wierze, że ją koniecznie znaleźć muszę; ale powiedziano mi, że takiej miłości na ziemi niema, że żyje ona tylko w pragnieniach i wyobraźni kobiety! Starano się mnie przekonać, że to już jest dobre, co się do tego ideału zbliża!

Wreszcie, po dłuższej, bolesnej walce dałam się przekonać i uległam. Wprawilo mnie to wprawdzie w pewien rodzaj szału, ale szal ten mógł być tak samo skutkiem każdej nowej sytuacji życia, jak kwiatem rozbudzonego w głębi duszy uczucia. Potrzeba więc było wezwać na pomoc rozsądek i może nieco zimniej, jakby kochającej kobiecie przystało, obliczyć się z sobą, i z tém, co jej najbliższa przyszłość dać może! Bądź co bądź, nie mogąc się rzucić w nieznaną otchłań z zawiązanemi oczyma, musiałam do niej wstąpić mając oczy otwarte.

Prócz tego, słowa mojej krewnej: że narzeczona może cudów dokonać, brzmiały mi nieustannie w uszach. One to były powodem, że na razie zgodziła się z tém, co mi świat codzienny daje. Nie wyrzekłam się jednak nadziei, że ten powszedni dar świata będę mogła podnieść z czasem do ideału! Byłam tego przekonania, że mam dopiero w rękach materiał do szczęścia, ale szczęście moje jeszcze daleko odemnie!... Miałam więc dopiero sztucznie—jeżeli inaczej być nie mogło—stworzyć sobie to szczęście, jakiego w snach moich pragnęłam!—

XVIII.

Cezaryusz zyskiwał wiele przy bliższém poznaniu. Patrząc na niego z uwagą widziałam w nim dwie, że tak powiem, istoty, dwóch ludzi. Jeden z nich był to człowiek zwykły, codzienny. Zrodził on się daleko później po chrzcie Cezaryusza. Stworzyło go wychowanie, nauka i stosunki światowe. Guwerner, ludzie, towarzystwo i różne wypadki życia dokładali kolejną rękę do tego: było to, jak mówią politycy, państwo w państwie.

Drugi, starszy człowiek, to jest ten, który z rąk Stwórcy wyszedł, był na drugim planie i rzadko kiedy okazywał swoje oblicze. Mimo, że był piękniejszy od pierwszego, mimo, że twarz jego nosiła niezatarte piętno podobieństwa stwórcy, krył się wstydliwie poza plecyma młodszego brata, jakby w obec niego czuł się mocno upośledzonym!

Spostrzeżenie to sprawiło mi radość nie lada. Są bowiem ludzie, którzy tę pierwotną istotę swoją na śmierć zabijają; u nich jest tylko ten młodszy, sztucznie utworzony człowiek: są to automaty ruszające się według panujących wyobrażeń najczęściej fałszywych przesądów i foremek towarzyskich.

Cezaryusz nie pozbył się jeszcze pierwotnej, wrodzonej istoty swojej; przemagał w nim wprawdzie człowiek dzisiejszy, powszedni, żyjący stereotypowymi foremkami i świecący wypolerowaną powierzchownością. Niewtajemniczone oko nie widziało poza nim nikogo innego; ja jednak dostrzegłam, że za nim kryje się ten, którego właściwie szukałam! Wychylał on zawsze do mnie oblicze swoje przy każdym, znaczniejszym wezbraniu serca i uśmiechał się uśmiechem łagodnym skazanego za pokutę anioła! Zaczęłam go powoli ośmielać, a on za to tém wdzięczniej uśmiechał się do mnie!... Ale to wydarzało się tak rzadko, a za to tém częściej mizdrzyła się do mnie wymuskana, bezmyślna twarz młodszego brata!...

Cezaryusz wywiązywał się z trudnej roli narzeczonego, odpowiednio swemu położeniu.

Wyobrażam sobie różnego zawodu narzeczonych. Jest to chwila, w której odkrywa się człowiek i jasno czynami wypowiada, jak miłość pojmuje, i czem dla niego jest kobieta. Gdyby każda narzeczona pilną uwagę na to zwracała, poznałaby, czem jest jój przyszły towarzysz życia, i czem na przyszłość dla niej będzie.

I tak np. wyobrażam sobie poetę, dla którego narzeczona staje się natchnieniem. Co ma najdroższego, owoc tego natchnienia, poezya, daje jój w ofierze: ofiara ta należy się jój, bo od niej wyszła.

Artysta, pisarz, przetwarzają w najrozmaitszym oświeceniu twarz ukochanej osoby we wszystkich tworach swoich. Znajdziesz ją w rysach świętej męczennicy, zamordowanej

w katakumbach rzymskich, poznasz ją w postaci anioła tryumfującego nad próżnym grobowcem Chrystusa!... Czasami melancholijna wyobraźnia twórcy zarzuci na jej świeżą twarz gęstą sieć zmarszczków i uwięzi ją w postaci sędziwów, która przez burze życia i wiek, wiele łez gorzkich za sobą uroniła!... A niekiedy się zdarza, że szarpana boleścią pierś artysty, wyzionę zasłużoną żółć z siebie, i twarz ukochanego niegdyś anioła rzuci na obnażone ramiona bachantki i każe jej wśród pijanych satyrów wykonywać taniec szalony!... Patrzcie na tę twarz jeszcze piękną a tak strasznie wypotworzoną! Artysta stworzył ją w najwyższym holu, a jednak tworzył ją nie bez rozkoszy!... Patrzcie, jak idealnie narzucił karminem te usta, z jakim rozmiłowaniem płatał ten włos złoty wkoło tej głowy przeslicznej i na tych śnieżnych ramionach!... On w boleści—kochał jeszcze niegodną!...

W jakim sposób inni ludzie objawiają swoją miłość dla drugiej istoty?

Ludzie zwyczajni mają także swoje sposoby objawiania miłości. Każdy według swego położenia.

Człowiek niższych przymiotów zbliża się do ukochanej kobiety, jakby ją widział stojącą na wysokim piedestale. Bierze na siebie szaty świąteczne i w prostocie swojej dobiera słów wyszukańszych. Zdaje mu się, że do niej trzeba iść w górę, po wschodach. Aby być jej godnym stara się być lepszym, pocciwszym, rozumniejszym.

Człowiek codziennego zarobku pracuje kilka godzin dłużej na dzień, aby dla ukochanej istoty uezierać więcej zasobów. Daje jej to, co ma jedyne w życiu: pracę swoją. Innym sposobem nie może okazać, że ją kocha.

Jeżeli bogaty bankier dla wytchnienia w spekulacyjnych marzeniach swoich jakiegoś idealniejszego uczucia zapagnie, przychodzi po nie z tém, co jedynie w życiu ukochał, z trzosem złota. Dla ideału więc swego czyni ofiarę z tego co ma najdroższego—ze złota. Ale na giełdzie życia nie zawsze ma złoto ten sam kurs, co na giełdzie kupieckiej. Trzeba je przetworzyć na inną szlachetniejszą monetę. Kupuje okazałe apartamenta, ubiera je drzewem zagranicznym i tkaniną jedwabną. Na ścianach rozwiesza dzieła sztuki a podłogi nakrywa perskimi dywanami!... W książce je-

dnak bankierskiej redukują się te wszystkie piękne rzeczy— do cyfry. Stoi tam poprostu zapisano: Miłość moja... tyle a tyle!

Przy tych i tym podobnych porównaniach przyszło mi na myśl, w jaki to sposób objawia Cezaryusz miłość dla mnie? Czém jestem dla niego i czém będę na całe życie?

Pytania te nachodziły mnie zawsze, gdy siedząc sama w moim pokoiku patrzyłam na mnóstwo fraszek różnorodnych, któremi prawie codziennie obsypywał mnie Cezaryusz. Fraszki te nadzwyczaj kosztowne, a niektóre nawet prawdziwe dzieła sztuki, miały mi na te zapytania moje odpowiedzieć.

I cóż mi one odpowiedziały?

Oto że Cezaryusz jest zwykłym, zamożnym człowiekiem, który miłość swoją objawia mi znacznieszym wydatkiem pieniędzy! Fraszkami temi okazuje, co mi dać może, gdy będę jego żoną!

Zaiste, taką miłością zadawalnia się wiele, bardzo wiele kobiet! Ogół nawet mniema: że taka kobieta jest bardzo szczęśliwa. Ale szczęście podobne ma swoje bardzo niebezpieczne skopuły!...

Zdaje się, że na nieszczęście moje nie byłam stworzoną, abym podobną miłością zadawałać się mogła!

Miłość taka nie była żadną ofiarą ze strony Cezaryusza. On nie pracował dla mnie, nie dzielił się owocem własnej pracy zemną. Przypadek pozwolił mu urodzić się bogatym. Majątek jego z końcem każdego roku odrzucał mu zwykły procent, który wolno mu było użyć jak mu się podoba. Nie miał w tém żadnej zasługi. Nie kochał nawet tak jak bankier, pieniędzy, a więc z większą od niego obojętnością mógł czynić tę ofiarę. Jakiż więc dowód jego miłości mogłam widzieć w tych drogich fraszkach, któremi mnie obsypywał?

Do skarboxy zawieszonój w świątyni rzucił ongi bogacz pieniądz złoty; po nim nadeszła biedna wdowa i rzuciła grosz; któż z nich dał więcej?... Chciałam, aby Cezaryusz dał mi tyle, ile dała biedna wdowa!... Ale Cezaryusz nic mi dać nie mógł, bo nic nie miał: to co mi dawał, nie było jego!...

Cezaryusz był w moich oczach uboższym od owęj wdowy ewangelicznój; potrzeba więc było, aby się czegoś dorobił, i tym dorobkiem swoim ze mną mógł się podzielić!

XIX.

Razu jednego przy pięknej lipcowej pogodzie przechadzaliśmy się w alei ogrodu. Po niebie przesuwały się białe chmurki. Lekki orzeźwiający wietrzyk pociągał od wschodu i ochładzał skwarne powietrze. Z kwiecistych klombów zalaływała woń świeża.

Był to jeden z tych prześlicznych dni naszego kraju, jakich niestety nie wiele zsyła nam niebo. W takich dniach żyjemy pełnią życia, pełną piersią wciągamy w siebie wonne powietrze. Myśl nasza wymyka się wtedy z ciasnych granic naszego powszedniego świadka i goni jakieś dziwne, nadziemskie rojenia. Wszystkie czary, jakie przed nami roztacza natura, rozpalają wyobraźnię naszą i przenosimy się w duszy po nad tę rozkoszną rzeczywistość w krainę marzeń jaskrawszych, rozkoszniejszych od widzianej rzeczywistości!...

Zatrzymałam się chwilę przed grządką prześlicznych kwiatów. Cezaryusz sądził, że podziwiam te kwiaty.

— Barwa tych kwiatów przykuwa mimowolnie oko do siebie—rzekł po chwili, patrząc na mnie.

Słowa jego słyszałam, ale nie dałam mu na nie zaraz odpowiedzi.

— Które się pani lepiej podobały—zapytał znowu—czy te o niebieskich, czy o czerwonych listkach?

— Nie widzę ani niebieskich, ani czerwonych kwiatów!—odpowiedziałam z westchnieniem.

— Wszak pani na nie patrzysz!

— Tak, niby na nie patrzyłam, ale ich w tój chwili nie widziałam! Przeszłam tylko po nich do innych, szczęśliwszych, w urok daleko bogatszych krajów!... Wyobrażałam sobie, jak pysznój barwy i okazałości są kwiaty pod słońcem tropikowym!...

— Czy lubisz pani kwiaty egzotyczne?

— Chciałabym je w tój chwili porównać! Gdy ich nie widzę, nęca one moją myśl do siebie! Być może, że

obaczywszy je, możebym nie wyrządziła swojskim tój krzywdy, jaką w tój chwili odemnie ponoszą!

— To przecież stać się może, jeżeli tego pani pragnie.

— Ale czas, panie Cezaryuszu—odpowiedziałam z uśmiechem—czas gra tu ważną rolę. Wiem, że kwiaty exotyczne mieć i widzieć mogę, ale nie tak prędko, abym je z tym hiacyntem i temi olbrzymiami bratkami porównać mogła, gdy rozwinęły w całej pełni wszystkie wdzięki swoje! Kwiatki nasze żyją tak krótko życiem najwyższém!...

Słowa te wymówiłam bez żadnej myśli ubocznej. Rzuciłam je od niechcienia, jak się rzuca na wiatr tyle myśli ulotnych! Za chwilę prawie zapomniałam o nich. Przeszliśmy na inne przedmioty, a wkrótce odwołano mnie do zajęć gospodarskich.

Było to przed obiadem. Po obiedzie czytaliśmy dzienniki a potem kilka godzin spędziliśmy na przechadzce w lesie; wreszcie zniżyło się słońce, ucichło ptastwo śpiewające i skryło się po gałęziach na nocleg.

Kazałam podać herbatę. Ojciec mówił wiele o ulubionych swoich konjunkturach europejskich. Cezaryusz dorzucał od czasu do czasu kilka słów ze swojej strony. Upragniona budowa wzrastała szybko przed ich oczami. Twarz ojca rozjaśniała się coraz więcej. Rzucił na tę budowę śmiałe sklepienia, stroił ją w najulubiensze swoje ornamenta.

Cezaryusz nie dotrzymywał ojcu kroku. Śród najśmielszych kombinacji pozostawał często obojętnym lub okazywał niepokój, którego źródło było poza rozmową. Często wyjmował zegarek i patrzył na godziny z czołem zmarszczoném.

Nie uszło to mojej uwagi; nie chciałam jednak tego tłumaczyć sobie na niekorzyść Cezaryusza. Są często w życiu chwile znużenia, że najciekawsza, zwykle elektryzująca nas rozmowa; nie wywiera na nasz umysł żadnego podrażnienia. Być może że Cezaryusz był właśnie w takiej chwili, w której ani moja obecność, ani rozmowa ojca nie mogły się jego ożywić.

Wreszcie wstawszy od herbaty zaczął się niespokojnie po pokoju przechadzać. Często przybliżał się do okna, jakby przez nie patrzył w noc ciemną, lub różnym nocnym głosom natury chciał się przysłuchiwać.

Ojciec mój miał nazajutrz wstać bardzo rano do robót w polu; wypaliwszy więc lulkę rzekł do Cezaryusza:

— Dzień dzisiejszy był gorący i znużył nas wszystkich. Nie zgrzeszymy, jeżeli wcześniej udamy się na spoczynek; pan i tak w oficynach nie masz rano spokoju.

Dorzuciłam jeszcze kilka słów z mojej strony. Cezaryusz nie upierał się wcale. Milczeniem przyjął propozycję ojca. Pożegnaliśmy się wszyscy, życząc sobie wzajemnie dobrej nocy i snów przyjemnych.

I nie wiem, czy wszystkim sprawdziły się te życzenia. Nie wiem o czém śnił Cezaryusz, i czy ojciec we śnie dalej kontynuował swoje konjunktury wypadków politycznych na drugiej półkuli świata; wiem tylko, że sen mój był mimo mój woli, jakąś dziwną kontynuacją kilku słów, rzuconych we dnie od niechcienia, bez żadnej głębszej myśli!

Śniło mi się, że byłam pod słońcem równikowem. Pyszna, nie widziana dotąd vegetacya otacza mnie. Rośliny miały kształty niezwykle, jakich nawet wyobraźnia krajów północnych utworzyć sobie nie może. Wszystko było olbrzymie i świadczyło o potędze słońca i powietrza. Woń narkotyczna, dotąd nie znana buchała od tych lilii i kwiatów, i drażniła mi piersi jakimś uczuciem rokoszném.

Kiedy jednak po tych szerokich liściach stąpać chciałam, natrafiłam na śliskie ciało jakiegoś gadu i z trwogą cofnęłam nogę. Na konarach palm i bananów wychylały się do mnie dzikie, brzydkie zwierzęta i szczyrzyły zęby. Tam gdzieś w oddali skrzekotał grzechotnik, a skrzekot jego był hasłem ucieczki dla wszystkich słabszych od niego. Samo powietrze było napełnione miliardami muszek niewidzialnych i tamowało mi oddech w piersiach...

Obudziłam się znużona i omdlała. Przez okno widziałam skromne kwiateczki naszego umiarkowanego nieba. Powietrze poranne było chłodne i zaprawione znaną mi wonią rezedy i hijacyntów.

Służąca moja weszła do mnie z jakimś tajemniczym uśmiechem na twarzy. Zapytałam ją o tén uśmiech, ale nic mi na to nie odpowiedziała godnego uwagi. Zająłam się ubieraniem i wydałam potrzebne, gospodarskie rozkazy.

Ile razy jednak spojrzałam na służącą, spotykałam zawsze ten sam tajemniczy uśmiech, którego dobrze ukryć nie

umiała. Nie lubiłam okazywać się w obec sług nader ciekawą. Wiedziałam, że prędzej czy później, ciekawość moja zaspokojoną być musi.

Za godzinę wyszłam do saloniku. Teraz była dla mnie jasną owa zagadka tajemniczego uśmiechu.

Na okrągłym stoliku stał olbrzymi bukiet złożony z samych kwiatów egzotycznych!

Służąca wychyliła głowę z poza drzwi i roziskrzoném od radości okiem patrzyła na mnie.

— Co to jest?—zapytałam oglądając kwiaty.

— To pan Cezaryusz kazał mi postawić i wprzód nie pannie Reginie o tém nie mówić—odpowiedziała służąca i odetchnęła głęboko, jakby ciężki kamień zrzuciła z piersi. Tajemnica ta ciążyła jęj dotąd niepospolicie.

Przypomniałam sobie słowa moje o kwiatach egzotycznych, rzuconych wczoraj na wiatr bez żadnej myśli i rozśmiałam się dosyć obojętnie. Służąca nie spuściła ze mnie oczu. Na jęj twarzy malowała się radość z mego szczęścia.

— Czemuż tak patrzysz na mnie?—zapytałam.

— Ach, bo panna Regina jest taka szczęśliwa!—odpowiedziała z westchnieniem.

— Jestem szczęśliwa?... A zkądże wiesz, że jestem szczęśliwa?

— Albo tego nie widać jak na dłoni? Ach, gdyby panna wiedziała, co te kwiaty kosztują!

— W samej rzeczy, kwiaty te kosztują wiele! Nie należą one do naszej ziemi i tylko wielkim kosztem i trudem mogą być u nas pielęgnowane. Jeżeli się nie mylę, pochodzą one z cieplarni, która najmniej ósm mil oddaloną jest od nas!

— Zgadła panna! Ale to wszystko nie dość. I dwieście złotych, które Pawełek dał ogrodnikowi, to jeszcze nie dość...

— Zapewne że niedość, bo droga i trud.

— Ej co tam trud i droga! Pawełek wprawdzie leży pod dwoma derkami i robi piersią jak koń podpalony, ale to nic; przejdzie i kwita. A jak nie przejdzie, to zamiast Pawełka będzie Piotruś!

Przy tych słowach zdawało mi się, że tak samo jak we śnie, nastąpiłam na obślizłe ciało jadowitej żmii! Uczułam

ból jakby ten jad w samo serce mnie uderzył!.. I pomyślałam sobie:

— Mój Boże! Ileżto kobiet nazywa to szczęściem, co wychodzi przed ich oczy oblane łzami, okupione zdrowiem a nawet i życiem tych, co za kęs powszedniego chleba składowali się na to dziwne szczęście!..

Odwróciłam oczy od tych kwiatów egzotycznych, a serce moje zadrgnęło dojmującą boleścią!

I toż ma być dowód miłości? — rzekłam w duchu do siebie, zaiste, ludzie bogaci dziwnie okupują szczęście swoje!

Z pewną pogardą odsunęłam kwiaty od siebie. Służąca nie rozumiała mnie. Mówiła dalej:

— Ach! to jest prawdziwe kochanie! Pan Cezaryusz zdjąłby gwiazdę z nieba, gdyby panna tego chciała! Bo też niedość że Pawełek pod dwoma derkami leży i jak mysz się poci, ale biedny Neptun...

— Neptun, cóż Neptunowi?—zapytałam zgryźliwie,— czy nogę złamał?

Neptun był to ulubiony wierzchowiec Cezaryusza. Nabył go przed kilkoma tygodniami ze znanej w kraju stadniny hrabięgo Juliusza. Maształerz przywiózł Cezaryuszowi dyplom jego pochodzenia, w którym z największą skrupulatnością wyliczane były wszystkie jego antenaty po mieczu i po kądzieli. Maść miał podobną do wody w jesieni i dla tego zapewne otrzymał nazwisko Neptun. Cezaryusz wyliczył za niego trzysta dukatów.

Dla mnie, po biednym Pawełku, nie wiele komiseracyi zostało się Neptunowi.

— Cóż więc się stało Neptunowi—powtórzyłam zapytanie.

— Ach! Neptunowi to się stało—odpowiedziała służąca że nie potrzeba go już tak jak Pawełka, derką nakrywać. Nakryli go ziemią!

— Więc biedny Neptun padł już?

— Padł, jeszcze przed świtem!

Odprawiłam służącą, która mi szczęścia swego zazdrościła. Szybkiemi krokami przeszłam się kilka razy po pokoju.

Zaprawdę, Cezaryusz kochał mnie! O tém cała okolica wątpić nie będzie! Szalona jazda po kwiaty egzotyczne, przypadek Pawełka i Neptuna rozniesie się po całej okolicy! Są-

siedzi i sąsiadki zazdrościć mi będą tego szczęścia, téj exazerowanėj, romantycznėj miłości. Cezaryusz dla mego kaprysu poświęcił ulubionego i kosztownego swego wierchowca i przywiązanego Pawełka! Na rozkaz pana prędjéj od orła przebiegli obaj przestrzeń ósmiomilową! Jakaż to miłość! Cóż to za mąż będzie z niego, który teraz takim kaprysom swojej narzeczonej dogadza!... Szczęśliwa Regina, nie zasłużenie szczęśliwa! Zapewnie oczarowała czém tego człowieka, że z miłości sam nie wie, co czyni!...

Takie i tym podobne głosy słyszałam w duchu wkoło siebie. Koncept Cezaryusza był wprawdzie nader romantyczny, tylko szkoda, że inni wykonali go, a on tymczasem spał sobie jak najspokojniej!...

Zarzucałam szal na ramiona i wyszłam na dziedziniec. Na dziedzińcu koło klombu stał Cezaryusz i swobodnie bawił się z moją ulubioną charcicą. Ujrzał mnie i wraz z charcicą chciał zbliżyć się do mnie. Skinęłam do niego głową na dzień dobry i zawróciłam drugą stronę klombu, zostawiając go na boku.

Poszłam odwiedzić Pawełka.

XX.

Cały ranek zeszedł mi na krzątaniu się koło biednego Pawełka. Miał kolki w piersiach i oddech nadzwyczaj trudny. Kazałam mu ugotować ziół ochładzających a na wypadek pogorszającój się słabości trzymać konie w pogotowiu, któreby lekarza przywiozły; prócz tego miał stajenny czuwać nad nim i przynieść do mnie każde jego życzenie.

Cezaryusz zbliżał się do mnie kilka razy. Zdaje się, że czekał, kiedy o bukicie kwiatów exotycznych mówić zacznę. Nie wspomniałam o nim ani słowa, tak, jakbym o niczym nie wiedziała! W oczach Cezaryusza malowało się zdziwienie. On tyle dla mnie poświęcił, taki dał mi dowód swojej miłości, może radby szeroko rozmawiać o trudnościach, jakie téj myśli genialnej stały na przeszkodzie, a które w rezultacie szczęśliwie pokonane zostały!...

Na tyle rozkosznych nadziei byłam okrutną. O kwiatkach exotycznych nie powiedziałam ani słowa. Nie pytałam

się, z kąd one wzięły się na stoliku, jaką drogą i jakim ko-
sztem przyszły do mnie! Nie zapytałam o Neptuna, ani nie
byłam ciekawą, co było powodem słabości Pawełka. Wi-
działam tylko przed sobą chorego, a nic więcej.

Cezaryusz dziwnie patrzył na mnie. Nie mógł zrozumieć
mojej roli. Jakto? żeby kobieta obojętną być mogła na tyle
ofiar, które poniesiono dla dogodzenia jej zachceniu! Nie, to
niepodobna! Chyba że nie jest kobietą!...

Takie myśli czytałam na jego czole. Nic jednak nie
mówiłam, choć mi same słowa wydierały się na usta. Cezaryusz
także nic nie mówił. Wiedział dobrze, że inicjatywa
z jego strony odbierze temu exotycznemu podarunkowi wiele
uroku!

W południe wmieszała się między nas trzecia osoba.
Przyjechała Ewunia. Dowiedziała się już o wszystkim.

Byliśmy właśnie w ogrodzie, gdy nagle przed nami sta-
nęła Ewunia. Jej oczy błyszczały radością. Rzekła zaraz na
wstępie:

— Winszuję, ale oraz zazdroszczę ci Renio takiego na-
rzeczonego, jak pan Cezaryusz! Wierzaj mi, nie zdarza to
się teraz nic podobnego w świecie! Dzisiejsza miłość należy
do wygod życia. Co ponad te wygody wychodzi, tego nie
żądaj od mężczyzny!... Ale pan Cezaryusz!... Ta jazda szalo-
na, te kwiaty exotyczne, te ofiary i przygody, to jakby kar-
tka wycięta z średniowiecznego, rycerskiego romansu! Dzi-
siaj nawet tak nie piszą! To nie prawdziwa, szalona miłość!
Przecież znalazłaś, o czém marzyłaś pomiędzy książkami
twemi, w ciemnej atmosferze biblioteczki.

Ewuni nic na to nie odpowiedziałam. Nie chciałam od-
powiedzieć krótko, a na długą odpowiedź nie było ani czasu
ani miejsca. Spojrzałam tylko na Cezaryusza, aby wyczytać,
czy słowa Ewuni wypowiadają własne jego przekonanie.
Cezaryusz milczał a na twarzy jego widać było tę samą cie-
kawość, aby coś w mojej duszy wyczytać.

— Pan milczysz na to wszystko! — rzekłam po chwili.

— Tak, milczy — odparła żywo Ewunia — bo tak rycerzowi
milczeć przystało, gdy po odbytych turniejach chylił czo-
ło przed królową serca swego... Pan Cezary dał ci wiele,
bardzo wiele i czeka jaka podzięką, jaki odwet za ten dar
będzie...

I na to nic nie odpowiedziałam; spojrzałam tylko przed siebie i zamyśliłam się na chwilę.

Wzrok mój nadł przypadkowo na duży krzak agrestu. Z pod krzaku wymykał się wielki powój i nadzwyczaj zręcznie owijał się koło jego ciernistych gałązek. Mnóstwo miał kwiatków blado niebieskich, ale te po większej części były już zwiędłe. Jednym zaszkoziły gorące promienie słońca, z drugich wysały pszczołki słodycz i pokarm ich życia; jeden tylko kwiatusek ostał się w całej barwie. Skrył on się pomiędzy cierniste gałązki tak zręcznie, że go ani pszczoła ani słońce dosięgnąć nie mogły!

Na ten błękitny, cieniami otoczony kwiatusek padł mój wzrok.

— Panie Cezaryuszu,—rzekłam po chwili namysłu,—zerwij mi pan ten kwiatusek ze środka krzaku.

Cezaryusz pobiegł szybko do krzaku. Rozkaz mój nie był tak łatwy do wykonania; agrestowy bowiem krzak był to staruszek nielada. Miał twarde gałązki i duże ciernie: potrzeba było zręcznie przebijać się do kwiatka powoju.

Cezaryusz pokonał wprawdzie wszelkie trudności, ale nie wyszedł z téj pracy bez szwanku. Cierń jakiś niepoczciwy zadrasnął mu rękę. Z uśmiechem jednak zwycięzcy zbliżył się do mnie i podał mi upragniony kwiatusek.

— Dziękuję panu,—rzekłam biorąc kwiatek—dziękuję za ten drobny powój! Spodziewam się, że pan to samo uczynisz, jeżeli większych rzeczy i większego trudu zażądam.

I mały kwiatusek przypięłam na piersi.

XXI.

Potém wpadła Ewunia na ulubiony swój temat rozmowy, na wyprawę. Zdaje się, że mojej myśli o kwiatuszku powoju wcale nie rozumiała. Nie wiem nawet, czy Cezaryusz rozumiał w téj chwili, com mu przez to powiedzieć chciała. Na żądanie Ewuni wróciliśmy wszyscy do domu.

Tutaj musiałam wszystko okazywać Ewuni, co tylko z wyprawą moją miało jakąkolwiek styczność. Ewunia brała wszystko do ręki i oglądała na wszystkie strony. Czyniła to z takim zajęciem, jakby nad to, co widzi, nic innego na

świecie nie było. Mówiła o każdej drobnostce, o każdym fałdziku, o każdym rąbku. A mówiła z taką powagą, z taką sumiennością roztrząsała każdą sporną między nami kwestyę, jakby od tego całe szczęście moje zawisło. Szczęśliwa Ewunia! Ona wżyła się już w tę drobnostkowość życia, bo ta drobnostkowość wypełniała całą próżnię jęj serca!...

— Wiesz, droga, — szczebiotała, sympatycznym swym głosikiem, ten negliżyk wcale mi się nie podoba. Ten jest za mało wycięty, a ten za wiele namarszczony. Masz biust przesliczny, czemuż zgrabném ubraniem nie podnieść tak miłych wdzięków? I dla męża potrzeba nieco kokieteryi niewinniej... a ten stanik powinien mieć te dwa kliny na dół puszczoneli... Haft ten za mało przezroczysty, nic nie odsłania, a bardzo wiele okrywa. Sądzę że w palmy wydałby się daleko lepiej.

Naszczebiotawszy się do syta, ucałowała mnie namiętnie i skoczyła do dorożki, aby jak białe widmo zniknąć nam z przed oczu. Jeszcze raz ujrzelismy ją na wzgórzu za polami: wionęła ku nam białą chustką.

Pocziwa Ewunia miała dobre przecucie. Zaraz po jęj odjeździe wysunęły się z poza gór czarne chmury, a powietrze oziębiło się nagle jak w późnej jesieni. Chmury wznosiły się co raz wyżej na niebo, a nim wieczór nastał, już nie było ani kawałka błękitu. W dużych zimnych kroplach puścił się deszcz rzęsimy, a wszystek drób' domowy szukał schronienia pod dachem.

Przy herbacie zeszliśmy się wszyscy. Ojciec wrócił dosyć późno i przemókł do nitki. Przebrawszy się usiadł do stołu i chwycił zaraz za pakiet gazet, które właśnie co tylko przyniósł posłaniec z poczty. O bukietie kwiatów egzotycznych, o biédnym Pawełku i o Neptunie nikt ani słówkiem nie wspomniął. Zdaje się że ojciec był tęg samęj co i ja myśli i nie chciał trącać o przedmiot, który był dosyć drażliwy. Cezaryusz także nic przy herbacie o tęg nie wspomniął. Być może, że z ojcem mówili już we dnie o tym wypadku.

Jakaś duszna atmosfera ciążyła nad nami. Wszyscy byliśmy zamyśleni. Rozmowa urywała się często, i trudno nam było ją nawiązać w ciągle, nieprzerwane pasmo. Za oknami brzęczał deszcz o szyby i huczał wiatr w konarach topoli.

-- Wilgotne, przejmujące zimno,—ozwał się ojciec. Przemokłem cały i jeszcze do siebie przyjść nie mogę. Niech Stefan w niebieskim pokoju rozpali ogień na kominku. Osuszy się nieco powietrze. Przejdziemy tam po herbacie.

Za pół godziny byliśmy już w niebieskim pokoju. Wesoły ogień pryskał na kominku. Ojciec siadł przy kominku i zaczął czytać dzienniki.

Siadłam przy fortepianie. Cezaryusz przysunął do mnie krzesło i prosił abym co zagrała.

Puściłam palce po klawiszach i dałam im zupełną swobodę. Przebiegały one najrozmaitsze akordy, wygłaszały jakąś dziwną improwizację, której bynajmniej sobie nie układałam. Myśl moja była gdzieś daleko, i gonila różne zapyłone wspomnienia. Myślałam o matce, o Ewuni, o moich książkach i o sarneckce!

I nie wiem jak się to stało, że fantastyczna moja improwizacja zaczęła zwolna wiązać się w jakąś melodyę znaną.... za kilka chwil spostrzegłam, że gram— modlitwę Mojżesza.

Urwałam nagle grę i spojrzałam wkoło siebie. Przy mnie siedział Cezaryusz, przy kominku czytał ojciec gazetę.

Nie umiem z tego zdać sprawy, co teraz ze mną się stało. Zadrżały we mnie wszystkie fibry, wszystkie pulsły uderzyły gwałtownie. Wezbrane serce biło głośno, a dreszcz dziwny dotąd nie znany przebiegał pierś moja....

Przyszedł mi na myśl pan Andrzej!..

I rzeczywiście, dziwnym zbiegiem okoliczności wywołane zostało to wspomnienie. Cały obraz, ze zmianą tylko jednej osoby był ten sam, co wtedy. Ojciec czytał jak wtedy przy kominku, w tem samym miejscu, gdzie wtedy siedział przy mnie pan Andrzej, był Cezaryusz, na kominku palił się ogień, a ja grałam modlitwę Mojżesza!

Dziwne podobieństwo!.. Ale czemuż to zatarte już prawie wspomnienie wywołało tak gwałtowne wstrząśnienie w całym moim organizmie? Czyż sama myśl, samo wspomnienie może tak silnie uderzyć o nerwy? Czemuż był dla mnie ten człowiek, którego przelotnie tylko widziałam, a który był dla mnie tyle obojętnym!.. Czyż wyobraźnia nasza jest silniejszą od rzeczywistości? Czyż miłość moja dla Cezaryusza była mniej silna od tego przypadkowego, ulotnego wspomnienia?..

Takie myśli przebiegły mi błyskawicą przez głowę. Westchnęłam po chwili i pożegnałam urocze wspomnienie, które może dla tego miało tyle siły i uroku, że było niczem innym jak tylko wspomnieniem!... Wprawdzie do tego wspomnienia wiązała się potargana nić moich marzeń tajemnych, ale takich marzeń jest podostatkiem w duszy kobiety, o jakich świat nigdy nie wiedział i nigdy się nie dowie!...

Po chwili uspokoiłam się, ale modlitwy Mojżesza już dalej nie grałam.

Cezaryusz mówił coś o grze urwanój, o deszczu i o wietrze niegodziwym, który łamał suche gałęzie topoli. Wreszcie padł jego wzrok na stolik okrągły, na którym stały w dzień owe nieszczęsne kwiaty egzotyczne. W tej chwili leżał ten pyszny i tak kosztowny bukiet porzucony na krawędzi stołu, a na jego miejscu włożony do świeżej wody uśmiechał się, mały kwiatusek powoju!...

Cezaryusz długi czas z niemałym zdziwieniem patrzył na te pośmiewisko egzotycznego daru, w obec wyniesionego do tak niesłychanej godności plebejusza! Patrzył i uśmiechał się z dziwną ironią.

— Podziwiasz pan ten skromny kwiateczek, królujący na tym wyzłacanym tronie! — zapytałam po chwili.

— Studjuje społeczne zasady pani — odparł Cezaryusz nieco zgryźliwie.

— Do jakiegoż stronnictwa pan mnie zaliczasz?

— Zdaje mi się, że przychylasz się pani na stronę demagogów!

— Demagogów?

— Podły, prosty kwiateczek wyniosłaś pani do zaszczytów, a potomków królów i książąt, sproszonych tutaj tak znaczną, chociaż przypadkową ofiarą pozbawiasz pani bożej wody, aby zwiędniały i uschły!... Czy wiesz pani jak się nazywają ci arystokratyczni reprezentanci flory?... Ten olbrzymi biały kwiat to prince Albert...

— Przepróż pan tych dygnitarzy — przerwałam z uśmiechem — bo nie mam czasu mówić z nimi. Powiedz im pan, że mnie nie ma w domu!

Rozśmiałam się i spojrzałam w oczy Cezaryusza. Na twarzy jego było dziwne zakłopotanie. Patrzył na mnie jak

człowiek, który nic nie słyszy, albo nie rozumie. Nie mógł pojąć do czego mój żart zmierza.

— Słowa pani są dla mnie dzisiaj zagadkowe,—ozwał się smutno -- a dzień dzisiejszy do feralnych policzyć trzeba. Przedewszystkiem nie marzyłem o tém, aby te kwiaty exotyczne spotkał taki los okrutny!

Wzięłam za rękę Cezaryusza i rzekłam do niego z poufałością przyjaciółki:

— Wierzej mi pan, ten oto lichy kwiateczek ma dla mnie więcej wartości niżeli wszyscy dygnitarze flory! Dla tego do wieczora był on na piersi mojej, a teraz krzepi siły swoje na tym tronie złoconym!

— Jakto?—zawołał Cezaryusz z najwyższém zdziwieniem—ten lichy kwiatek tak pani przypadł do gustu?...

— Tak jest — odpowiedziałam z naciskiem — on jest z nich najdroższym, *boś go pan własną ręką z pomiędzy cieni wydobyl, a za tamte tylkoś zapłacił!*

Cezaryusz patrzył ciągle na mnie i milczał. Nie mógł jeszcze dobrze pojąć tego, com powiedziała; chciał wyczytać na mojej twarzy, czego nie rozumiał.

— Chciéj mi pani wyjaśnić te zagadkowe słowa —ozwał się po długim milczeniu.

— I owszem,— odparłam z przyjaznym uśmiechem— już dawno zbierałam się mówić z panem o niektórych moich mrzonkach i przesadach, jak Ewunia nazywa, a chce mówić dla tego, abyś mnie pan znał jaką jestem! Niema nic smutniejszego w miłości nad niespodziankę, jaką nam czasem sprawia narzeczona. Nieprawdaż?...

— Przyznaję, że cały dzisiejszy dzień jest dla mnie nadzwyczajną niespodzianką!

— Cieszy mnie to niezmiernie, żeś pan to spostrzegł.

— Lękam się pytać o przyczynę!... Czasami lepsza jest niepewność, pomimo że jest nadzwyczaj dręczącą!...

— Cóżby to mogła być za pewność, któraby dla pana była okropniejszą od dręczącej niepewności?

— Chciéj pani sama sobie na to odpowiedzieć.

Spojrzałam z uśmiechem na Cezaryusza. Na twarzy jego przebijał się smutek. Nie był to w téj chwili ów wiecznie uśmiechnięty, z wyszukaną grzecznością nadskakujący

dworzanin, ale zwykły, naturalny człowiek, głęboko w duszy cierpiący. Chwycił mnie w tej chwili za serce, a nawet nieco rozbroił. Takiego naturalnie czującego człowieka chciałam w nim częściej widzieć. Ów wiecznie światowemi formkami poruszający się automat, już mnie do syta unudził. Może być, że są kobiety, którym taki automat na całe życie wystarcza. Do takich kobiet, mimo całej mojej usilności i mimo wszelkiej pracy Ewuni należeć nie mogłam!

Wzięłam Cezaryusza z całą serdecznością za rękę i rzekłam:

— To co dla pana w dniu dzisiejszym jest zagadką, zaraz panu wyjaśnię; pozwól mi pan tylko chwilki cierpliwości.

Cezaryusz spojrzął na mnie z niezwykłym wyrazem w oczach. Malowało się w nich uczucie głębsze, niżeli dotąd kiedykolwiek spostrzedz mogłam. Twarz jego spoważniała, a na otwartém czole zarysował się fałdzik głębszych myśli.

Było mu z tém bardzo od twarzy. Nie krasił go wprawdzie połysny blichtr dowcipu lub pokątnego sarkazmu, w jaki dzisiaj tak często stroimy się w salonach. Nie miał nawet tej swobody i pogody, która pozwala władzom umysłowym koncentrować się gdzie potrzeba, nadając nam tym sposobem przewagę w towarzystwie nad innymi. Miał jednak w całej swjej postaci coś tak pięknego, tak ujmującego, że dłużej niżeli powinnam, patrzyłam na niego w milczeniu.

Przyznam się, że doznałam w tej chwili wzruszenia, które mi zapowiadało, że mogę tego człowieka pokochać moją wymarzoną miłością... bo widziałam oczyma i sercem, że on mnie kocha, i że w takim razie nie będzie dla mnie nic niepodobnego!

— Nie mogę być dla pana nieszczerą i zamkniętą — rzekłam po chwili — i muszę przed panem wypowiadać się z dotychczasowych marzeń moich... Przyznasz pan, że kobieta nie czeka miłości i narzeczonego bez żadnych poprzednich marzeń. Dusza jęj, nie jest to biała karta niezapisanego papieru, na którym dopiero narzeczoney według upodobania pierwsze litery stawia. W życiu powszedniem może tak jest w istocie. Może są kobiety, których dusza jak szkolna tablica może być na czysto zmazana, aby nowy rachunek

mógł na niej zająć miejsce. A jeśli to zmazaném być nie może, to się przynajmniej udaje, że jest zmazane. Do takich kobiet, kobiet niestety policzyć się nie mogę. Najprzód nie mam nic, co by zmazaném być powinno, a to co jest, zdaje mi się powinno się na całe życie ostać! Do takich zaś, których dusza ocknie się dopiero na widok ślubnego pierścionka, aby potem znowu zasnąć, nie należałam nigdy!..

Z żywém uczuciem ścisnął mnie Cezaryusz za rękę a twarz jego zaczęła się wyjaśniać. Mówiłam dalej:

— Otóż każda kobieta od lat najmłodszych marzy o swojej przyszłości. Stwarza sobie ludzi i sytuacje i czeka, kiedy marzenia jej przejdą w rzeczywistość. Rozumie się, że zbyt często nie odpowiada napotkana rzeczywistość jej marzeniom. Wtedy albo zawiera z nią kompromis, albo ją od siebie odpycha. Często jednak składa jej w ofierze wszystkie swoje marzenia....

— Do tych ostatnich przecież nie zechcesz pani należeć! — przerwał mi Cezaryusz z lekkim uśmiechem.

— Zależć to będzie od pana! — odpowiedziałam z całą powagą.

Cezaryusz zamyślił się. Mówiłam dalej:

— Marzenia moje, w wyjątkowém mojem położeniu były może nieco odmienne od marzeń innych kobiet. Utraciłam wczesnie matkę i zostałam w życiu bez takiego przewodnika, jakim tylko matka być może. Nawet za życia jej wstąpiłam już na inną drogę. Dziecinne lata moje przesiedziałam koło jej łóżka. Wesołych dni młodości nie znałam wcale. Zbyt wczesnie odsłoniło mi się życie ze strony poważniejszej. Serce moje żyło tylko miłością i obowiązkami dla chorój matki. Po jej śmierci chciało moje serce żyć dalej tém wdrożoném uczuciem. Matki już nie miałam, a książki, które mi nieboszka matka za opiekunów zostawiła, powiedziały mi, że mam drugą chorą matkę, mam ludzkość, społeczeństwo, które również mego serca i moich obowiązków względem siebie potrzebują!.... W smutném życiu mojem wyrosła ta myśl, spotężniało to uczucie i dzisiaj od duszy oderwać ich nie mogę!

Umilkłam na chwilę i spojrzałam na Cezaryusza. Parzył zamyślony przed siebie. Na twarzy jego przebiegały

różne promyki światła, jak drogoskazy piękniejszych i wznioślejszych myśli. Tak pięknym nie widziałam go dotąd!

— Z. tego pan widzisz—rzekłam do niego z uśmiechem—że potrzeba ze mną udać się w kompromis!

— Nie—odparł żywo Cezaryusz z rozjaśnioną twarzą—ja nie chcę żadnych ustępstw! Przyjmuję wszystkie warunki!

— Przyjmujesz pan wszystkie warunki?—zapytałam nachylając się ku niemu—przyjmujesz pan je nie wiedząc o ich doniosłości! Potrzeba moje warunki albo bardzo lekceważyć, albo bardzo...

— Bardzo kochać!—dodał żywo Cezaryusz i namiętnie ucałował mą rękę.

Ścisnęłam go serdecznie za rękę, bo mi serce moje w tej chwili tak uczynić kazało. Zdawało mi się, że coraz bliżej jestem marzeń moich!...

— I jakież warunki podajesz pani?—zapytał po chwili Cezaryusz z ożywioną twarzą.

— Warunki moje — odpowiedziałam — przechodząc w ton żartobliwy, są nadto trudne...

— Gdyby tylko nie takie, jakie dano owemu patryarsze który przy studni ujrzał piękną bogdankę!

— O tych warunkach tym razem nic nie mówię. Innym razem wrocimy do nich.

— Więc słucham z uwagą!

— Od lat wielu wymarzyłam sobie człowieka, obok którego mogłabym przejść całe życie. Nie przypominam sobie czy to był blondyn, szatyn czy brunet. Nie wiem nawet jakie miał oczy i jak się ubierał. Zapomniałam także czy miał angielskie faworyty, czy hiszpańską bródkę. W marzeniach moich nie widziałam go nigdy siedzącego na kozłku angielskiego karykla i trzymającego z szykiem wodze w ręku. Słowem, nie wiem nawet, czy był piękny jak Apollon, czy brzydki jak Wolter...

— Jakżeś go przecież pani sobie wyobrażała?

— Wyobrażałam go sobie jako nadzwyczaj poczciwego i rozumnego człowieka. Nie był dumny z tego, co mu się przypadkiem dostało przez urodzenie lub sukcesyą po stryjaszku. Był tego przekonania, że wszyscy ludzie przychodzą na świat bez żadnych przywilejów. Wszyscy muszą

przez cały ciąg życia pracować stosownie do warunków, w jakich się urodzili. Kto przy urodzeniu wziął więcej, musi więcej dać społeczeństwu, którego jest członkiem. Próżnować nie wolno nikomu, choćby miał zasoby na sto pokoleń! Słowem, człowiek mój wymarzony musiał się własną pracą w swoim społeczeństwie czegoś dorobić i tym dorobkiem ze mną się podzielić! Inne dary, które go ani pracy ani usiłowań przynajmniej nie kosztowały, a za które tylko nie swymi zapłacił pieniędzmi, były mi zawsze wstrętne! Mowię *nie swymi*, bo odziedziczonych tytułów i majątków nie zaliczam do zarobionych!... Marzyłam, że mój przyszły ideał zdobędzie sobie to wszystko, z czego część i na mnie spłynie!...

— Ach to są warunki nie wykonalne!—zawołał śmiejąc się Cezaryusz.

— Być może – odpowiedziałam z obojętnością – mówię tu tylko o moich marzeniach!

— Jakże okrutne były marzenia pani! Co najmniej, można je wziąć za anachronizm! Czasy, wyobrażenia zmieniają się... a gdzie dzisiaj, przy danych warunkach znajdzie kto sposobność?

— Masz pan słuszność; przy dzisiejszych wyobrażeniach najlepiej i najkorzystniej jest dla mężczyzn być zerem!... Ach to zero, osobliwie gdy jest obrączką złotą, ma także bardzo wiele powabu!... Ale zkądże się wezmą liczby? Przecież same zera żadnej liczby nie stwarzają!

Twarz Cezaryusza spoważniała. Patrzył na mnie czas niejaki w milczeniu, a potem rzekł:

— W żartobliwem usposobieniu swoim trącasz pani rzecz wielką i nader bolesną. Nie wiem, czy mam na nią w tymże samym żartobliwym tonie odpowiedzieć i po tej odpowiedzi wrócić do deszczu i pogody, czy mam ją wziąć dla siebie pod dojrzałą rozwagę!

— Zostawiam to panu zupełnie do wyboru!

— Słowa pani mają pozór noty dyplomatycznej, która bodaj czy nie mieści w sobie — *ultimatum*!

— Może to tylko alarm fałszywy, aby adwersarza zmusić do rozwinięcia sił swoich!

— A jeśli żadnych sił nie ma?

— W takim razie odebrane mu będzie jego panowanie!

Wymówiwszy to tonem żartobliwym rozśmiałam się serdecznie, bo zaturbowana twarz Cezaryusza mimowolnie ten śmiech z piersi mi wydarła! Patrzył on przed siebie wzrokiem tak dziwnie zrozpaczonym, jak go jeszcze nigdy nie widziałam. Wydawał mi się w tej chwili podobnym do milionera, który sięgnąwszy do skrzyni, zastał ją nagle pustą. Miliony jego skradziono mu, a co leżało, to były fałszywe liczmany, których przyjąć nie chciano.

— Czy zatrwożyłeś się pan tak okropnie o swoje panowanie? zapytałam żartobliwie.

— Przeciwnie — odparł Cezaryusz — zaturbowałem się obawą — że dotąd nie panowałem, i że może na przyszłość panować nie będę!

— Cóż pana skłania do tych słów zrozpaczałych! — mówiłam dalej w żartach.

— To, że jestem zerem! — przytłumionym głosem odparł Cezaryusz.

— Ach to już dobrze! zawołałam śmiejąc się i klaskając w dłonie; to już dobrze, jeżeli jest zero, to potrzeba tylko jakąbądź liczbę przed nie!

— Może będziesz nią pani! — zauważył zgryzliwie.

— Bardzo często to się trafia — odpowiedziałam z powagą. Jeżeli mężczyźni nie stają liczbą przed zerem, to już ciż musi stanąć druga połowa. Ja jednak tam nie stanę.

Twarz Cezaryusza zmusiła mnie znowu do śmiechu. Nie miałam wyobrażenia, żeby ktoś tak nagle mógł stracić pewność siebie, na której się dotąd opierał. Są wprawdzie ludzie, którzy bez grosza w kieszeni, będą nosić zawsze głowę do góry jakby byli bogaczami; a są tacy, którzy nagle spuszcza z rozpaczą głowę do ziemi, gdy spostrzegą że zapomnieli z sobą wziąć pieniędzy. Wtedy kiedy ich przekona, że jego zdanie jest lepsze, każdemu ustąpią się z drogi, a nawet gotowi znieść pokornie obelżywą zniewagę. W pieniądzech bowiem stracili grunt, na którym opiera się u nich wszystko!

Do podobnych ludzi należał prawdopodobnie Cezaryusz. Gdym mu żartobliwie powiedziała, że odziedziczony jego majątek, bez własnej jego pracy i zasługi, nie uważam za majątek; gdym mu napomknęła, że mężczyzna powinien

własnymi siłami w społeczeństwie swoim dobijać się o drugi, moralny majątek, z którym mógłby się dopiero godnie podzielić z osobą ukochaną: był pewny biędny bankrut, że już nic nie ma, żem mu wszystko odebrała a nawet i przyrzeczenie ręki!...

— Teraz panią zaczynam pojmować!—ozwał się po chwili ocierając pot z czoła—dotąd brałem pojedyncze, rzeczne słowa pani za grę frazesów!

— Bo pan przyzwyczaiłeś się i wychowałeś w świecie frazesów! — zauważyłam z niejaką urazą.

— Być może; ale jakże to *fatum* odmienić?

I zaturbował się jeszcze sromotnieję biędny Cezaryusz. Żał mu było pozbyć się swego niegodziwego, w świecie czczych foremek wyrosłego, sobowtóra! Wzięłam go za rękę i budząc w nim stronę żartobliwą, rzekłam do niego:

— Nie żałuj pan tego świata! W nim nic nie ma, jak w dziurawym orzechu! Pójdź pan ze mną w mój świat, wprawdzie trochę idealnie wymarzony, ale świeży, wonny i zielony jak rośliny gór Naszych!

— W świecie pani jestem zerem!—odparł rozpaczliwie Cezaryusz.

— Dlaczego zerem?—zapytałam nachylając się ku niemu.

— Dlaczego zerem?... Najprzód nie uczyłem się być czémś więcej, czy raczej mnie nie uczono. Powtóre, gdybym nawet w spóźnionym wieku przyszła mi chęt nauczania się czegoś, jak Katonowi zachciało się grecczyzny na starość, to nie widzę ani pola ani warunków....

— O! nie patrz pan tak czarno—odpowiedziałam—jest wiele rzeczy, napozór drobnych i małych. Potrzebujemy tylko ręką sięgnąć a dostaniemy je! Tylko egoista stoi sam i nic nie widzi dokoła! Lepsi czują nici wiążące ich z ogółem!... Są słabsi i chorsi od nas, są ciemni i małoletni, a ci wszyscy pragną światła, nauki i przykładu! Czyto tak wiele?... Jeden taki kwiatek, własną ręką na tém polu uszczknięty, stanie mi za wszystkie kwiaty exotyczne!... Bo to będzie własny, zrobiony majątek!... Dlatego na miejsce tego pysznego bukietu postawiłam ten skromny kwiatusek powojowy, boś go pan sam z pomiędzy cierni wydobył!... Za

kwiaty exotyczne zapłaciłeś pan tylko! Zapłaciłeś pieniądze, Neptunem i zdrowiem Pawetka!...

Cezaryusz siedział chwilę zamyślony; potem wstał nagle, wziął bukiet ze stołu, a otworzywszy okno wyrzucił go na gazon.

W tej chwili podniósł się ojciec od kominka, przystąpił ku nam i rzekł głosem stanowczym:

— Mówcie sobie co chcecie, a ja wam powiadam, że z tego nic nie będzie!

— Z czego nic nie będzie? — zapytał Cezaryusz i zbladł dosyć znacznie.

— Przyjaźni w ten sposób się nie zawiera — prawil dalej ojciec — jeśli jedno gwałtem chce trucizny, a drugie dla podsylenia mrzonek mu je poddaje!... Opium to trucizna!

— Któż chce tej trucizny, a kto ją daje? — zapytałam nieco zdziwiona.

— Głupi chce, a podstępny daje, i za to opium chce jeszcze przyjaźni!... — odparł ojciec zgryźliwie. Sądzę jednak że do przymierza między Anglią a Chinami bardzo daleko, choćby Chińczycy jeszcze więcej opium konsumowali, jak Anglicy produkują!

Cezaryusz odetchnął i serdecznie roześmieliśmy się oboje.

XXII.

Nazajutrz zajęcia gospodarskie zbudziły mnie wcześniej niżeli zwykle. Ponad sine lasy właśnie wznosiło się słońce. Biała mgła wstawała z gór i prostym słupem pięła się do nieba. Topole na dziedzińcu błyszczały milionami kropli rosy. Z pomiędzy konarów wymykały się ptaki jeden po drugim i szycowały się do wielkiego chóru, który wkrótce miał się ozwać poranną pieśnią!...

Oprócz czeladzi wszystko jeszcze było pogrążone we śnie. Zbliżyłam się do okna i kilka chwil patrzyłam na ten uroczy, budzący się przedemną obraz. Tam w głębi wypłynęła i przesunęła się jakaś postać ludzka. Zabłąkana krówka stanęła na chwilę i szukała oczyma swoich towarzyszek. Stary Mucek wyprawiał po gazonie rozkoszne skoki, jakby

przeczuwał, że za lada chwilę skończy się jego swoboda i że znowu na cały dzień boży będzie musiał wrócić do obroży i łańcucha.

Stałam chwilę i napawałam się tym porannym widokiem. Wzrok mój padł wreszcie na oficynę, gdzie mieszkał Cezaryusz. Zazwyczaj dosyć długo na dzień były tam firanki w oknach spuszczone; dzisiaj spostrzegłam z niemałym zadziwieniem, że okna były już odsłonięne.

Uderzyło mnie to. Przypomniałam sobie wieczór wczorajszy; zatrzymałam się przy oknie i patrzyłam na drzwi oficyn.

Za kilka chwil otworzyły się drzwi, a na progu ukazał się Cezaryusz. Zdawało mi się, że przelotnie spojrzął w moje okno; potem spuścił głowę i jak człowiek, który nad czémś myśli, puścił się pierwszą lepszą ścieżką.

Ukryta poza kwiatami wiodłam za nim okiem. Przeszedł wzdłuż dziedziniec dwa razy, jakby żadnego celu wytkniętego nie miał; potem zwrócił się na prawo i wszedł na ścieżkę, która prowadziła w dziki, osamotniony wąwóz.

Przeczułam, że prawdopodobnie wspomnienia wieczoru wczorajszego zbudziły go tak rano, a może nawet i wcale mu w nocy spać nie dały! Przeczułam, że w tej chwili myśli o mnie, że rozbiera i tłumaczy sobie każde słowo, które wczoraj napół żartem, napół z powagą wywówiłam. Zawsze była to dla mnie chwila ważna. Mogłam z tych samotnych dumań wyjść piękniejszą i więcej upragnioną; lecz mogłam oraz stracić w jego oczach cały mój urok i przedstawić się tylko jako exaltowana, kapryśna istota, która sama nie wie czego chce od świata i ludzi!...

Przyznam się, że myśl ostatnia nabawiła mnie niejaką obawą. Czy to była próżność kobiety, czy jakie szlachetniejsze uczucie, nie umiem powiedzieć. Serce moje zaczęło bić niespokojnie. Słyszałam głos w duszy:

Cóżby to było, gdyby Cezaryusza zniechęciły wczorajsze moje słowa? Gdyby uczuł obawę przedemną, że zamiast kochającej kobiety weźmie sobie mentora, który ustawicznie kroki jego poprawiać będzie! Gdyby rozmyśliwszy się.....nie, to być nie może! Wszak on widocznie kocha mnie!.... Ale czyż to wystarcza mężczyźnie, jeżeli on sam tylko kocha, a z przeciwnéj strony nie widzi dla siebie wza-

jemnego, bez żadnych zastrzeżeń oddanego mu serca? Czyż nie poczyniłam wczoraj wyraźne zastrzeżenia?...

Wyznam otwarcie, że przy podobnych myślach zrobiło mi się bardzo smutno. Nie wiem, czy mi żal było siebie czy Cezaryusza; wiem tylko, że nie byłam z siebie zadowoloną i że na płacz mi się zbierało, gdym sobie proroctwo stryjenki przypomniawszy, że przy takim usposobieniu mojem nie będę szczęśliwą!

Cóż jednak miałem począć? Czyż miałam wprost oddać się Cezaryuszowi jako towar nieznanym? Czyż nie lepiej było powiedzieć mu, czém jestem, i czém on dla harmonii na przyszłość być powinien?

Odstąpiłam od okna i zbliżyłam się do mego kłęcznika; kłęcznik ten był spuścizną po nieboszce matce. Na nim przekłęczała nieraz matka moja długie nocy, gdy niepewność o moje przyszłe losy ją trapiła....

Na tym kłęczniku uknęłam i zaczęłam gorąco modlić się. Dziękowałam Stwórcy, że mnie taką stworzył a nie inną, ale oraz błagałam aby mnie osamotnioną nie zostawiał na świecie, aby moje uczucia i pragnienia przelał w duszę mego przyszłego towarzysza tak, żebyśmy oboje całkowitą harmonię stanowić mogli!...

Po modlitwie uczułam się pokrzepioną, i mogłam swobodnie udać się do zatrudnień domowych.

Przed południem wrócił ojciec z pola na śniadanie; prawie równocześnie, chociaż inną zupełnie drogą nadszedł także Cezaryusz. Po przywitaniu się spojrzałam na niego z trwogą i nadzieją, nie wiedząc co z jego twarzy wyczytam. Zdawało mi się w tej chwili, że ten człowiek nie był i nie może mi nigdy być obojętnym. Czy to już była owa miłość, o której marzyłam? Zdawało mi się przynajmniej, że się do niej już zbliżam....

Cezaryusz był dzisiaj blady na twarzy. Widać było, że prawdopodobnie strawił noc bezsennie. Na jego czole pozostały ślady myśli poważniejszych. Koło ust miał coś smutnego, jakby czuł żal do kogo, co mu krzywdę wyrządził.

Miałam sobie za obowiązek wygładzić jego czoło. Moje serce wyrzucało mi, że może za dotkliwie wypowiedziałam mu wczoraj moje zdanie. Nie chciałam tego zdania cofnąć, ale chciałam je okryć jakimś łagodzącym balsamem.

Spojrzałam na niego wzrokiem szczerym i przyjaznym. Mógł w moich oczach jasno czytać, że tam głębiej biło dla niego serce, które wczoraj może jeszcze tak żywo nie wypowiedziało tego co czuje.

Cezaryusz badał mnie dziwném spojrzeniem. Było w tém spojrzeniu jakieś niedowierzanie, był żal i smutek, ale oraz wychylała się z poza tych chmurek, jaśniejąca pięknymi barwami nadzieja...

Ośmieliłam tę nadzieję i pozwoliłam jój zająć pierwsze miejsce; ścisnęłam go serdecznie za rękę i rzekłam z uśmiechem:

— Sprawileś mi pan wielki niepokój. Widziałam rano pana wychodzącego z oficyn...

— Jakto? — podjął szybko Cezaryusz — pani wtedy już nie spałaś?... Wszak w oknie nikogo nie widziałem!..

— Prawda, że nie widziałeś pan — odpowiedziałam patrząc na niego — i nigdy może w podobnym razie pan mnie nie obaczysz! Kobiety nie lubią być widziane wtedy, gdy patrzą... z niepokojem serca!

Twarz Cezaryusza rozjaśniła się, oczy jego błysnęły nowém życiem. Postąpił szybko ku mnie, wziął mnie za rękę, trzymał ją w milczeniu chwil kilka, a potem wycisnął na nią gorący pocałunek.

Patrzałam w oczy Cezaryusza i widziałam jasno, że z dumań jego samotnych wyszłam zwycięzko. To obowiązywało mnie względem zwyciężonego. Byłam dla niego tak serdeczną, jak tylko mogłam. Rozmawialiśmy wiele z sobą, a przy każdej sposobności okazywałam mu dawne moje uczucie, a nawet może jeszcze więcej, niżeli to stać się mogło przed wczorajszą rozmową. Zdawało się, że nawet myśli jego uprzedzałam, tak dziwnie wszystko się wiązało!

Cezaryusz był mniej ożywiony niżeli zwykle. W jego twarzy i oczach było coś gorączkowego. Był podobny do człowieka, który przygotował się na coś gorszego od tego, co go spotkało. Oddychał pełną piersią, z przepelnionego serca. Często brakowało mu powietrza. Po każdym głębszem westchnieniu patrzył na mnie spojrzeniem, w którym czytać można było, że jest szczęśliwy!

Gdyśmy byli w ogrodzie a Cezaryusz małemu robaczkowi pomagał wyleźć na korę drzewa, po którejś śnąc do słońca

dążył, patrzałam niejaki czas z uwagą na niego; potem wzięłam go za rękę i rzekłam:

— Widzę że po nocy bezsennéj i samotnéj przechadzce jesteś pan weselszym a nawet i lepszym!

— Ach! noc okropna karmiła mnie tak czarnemi obrazami, a słońce dzienne wróciło mi w dwójnasób to, co mi noc odebrać chciała!

— I dlatego temu robaczkowi chcesz pan także słońca udzielić?

— Gdyby ono dla niego mogło być tém, czém dla mnie!

W téj chwili otwartą furtką od ogrodu, którój Cezaryusz zamknąć za sobą zapomniał, weszła biédna, mała dziewczynka i w milczeniu stanęła przed nami. Jój duże czarne oczy patrzyły na nas z niemą prośbą: była to sierota ze wsi.

— A temu robaczkowi nie pomożesz pan do słońca i światła?—zapytałam biorąc sierotę za rękę.

Cezaryusz patrzył na mnie czas niejaki, a po czole jego przebiegały różne myśli. Zapewne były piękne i szlachetne, bo zostawiały za sobą w przebiegu świetlaną, fosforującą drogę: wreszcie wziął sierotę za drugą rękę i odparł:

— Pozwolisz pani że ta dziecina stanie się pierwszym groszem owego kapitału, którego każesz mi się pani dorabiać, aby być jój godnym. Niech przynajmniej powiem do siebie, że w téj chwili nie jestem już tak ubogim, jakim byłem wczoraj przed wieczorem!... A będę prawdziwym bogaczem, jeżeli posiadę to serce, którego, jak to się przekonałem, dotąd jeszcze w całości posiadać nie byłem godnym!

Rzekłszy to podniósł rękę swoją i długo, długo trzymał ją przy ustach. Czułam jego gorący oddech, czułam jak drżały w nim wszystkie nerwy. Uścisnęłam go serdecznie za rękę, a oczy moje zasły łzami. Wyrzekłam urywanym głosem:

— W imieniu tych, którzy naszéj opieki potrzebują, w imieniu najżywotniejszych obowiązków naszych, dziękuję panu za tę pociechę, którą sercu memu sprawiłeś!... Sierotka ta nie będzie jedyną. Pomyślmy wspólnie o wszystkich jój rówieśnicach i postaramy się o ciepło i o światło dla nich!... Wierzaj mi pan, są drobne i małoznaczne końce

nici, które nas prowadzą do całego pasma! Chcąc zawładnąć całym pasmem, trzeba chwycić te nitki wiszące!

Kiedy tych słów domawiałam, czułam że moja ręka zniżala się ku ziemi. Spojrzałam na ziemię a przedemną—klęczał Cezaryusz i rękę moją całował!

Była to pierwsza, żywsza chwila w naszych dziejach.

XXIII.

Od tego czasu widziałam wielką zmianę w usposobieniu Cezaryusza: z człowieka żyjącego tylko gładkimi formami świata towarzyskiego, przechodził z wolna na człowieka naturalnego i głębiej myślącego.

Najprzód sam ubiór zdradzał jego wewnętrzną odmianę. Dawniej lubił obwieszać się mnóstwem wyszukanych a błyskotliwych drobnostek. Drobnostki te przez cały dzień tworzyły jego jedyną zabawkę. Bawił się to lornetką, to brelokami, to łańcuszkiem od zegarka, to jakimś medalionikiem. Naśladował pod tym względem tych chodzących salonowych automatów, którzy nie wiedzą co z życiem, a co z rękami zrobić. Również i w kolorach ubrania swego był nieco fantastyczny i przestrzegał tego punktualnie, aby co dzień, stosownie do tużurka, zmieniać cały ubiór. Słowem co do całej swojej powierzchowności pasował on na powszedniego konkurenta czy narzeczonego, któremu się zdaje, że serce narzeczonej tylko tym sposobem może żywić i na uwięzi trzymać, jeśli codziennie w jaskrawszéj będzie się ję ukazywał tkaninie!

Cezaryusz stawał się z każdym dniem naturalniejszym. Ubierał się tak, że nie jego ubiór, ale on sam, twarz jego najpierw w oczy wpadała: żadne błyszczące i jaskrawe akcesorya nie czyniły ję ujmy.

Gdy kiedykolwiek do mnie się zbliżył, ujrzałam najpierw twarz jego i wyraz na téj twarzy, a nie błyszczące breloki, złociste medalioniki, kamizelkę w jaskrawe pasy albo tużurek wykwintny!

Nawet co do całego obejścia się ze mną, zmienił się zupełnie. Pierwój w rozmowie gonił nieustannie za jakimś dowcipem, zręcznym kalamburem i przypominał mi mimowolnie owe smutnéj postawy pisma, które mają napis na

czele: „pismo humorystyczne i dowcipkowe,” w którym tak trudno zawsze o humor i dowcip!.... Zdawało mu się, po dług jego wychowania, że najpoważniejsze rzeczy potrzebują zawsze nieco uśmiechu, sarkazmu, ironii i dowcipu. Bez tej miksury niewolno nigdy mówić światowemu człowiekowi, bo to rozśmiesza. Zresztą narzeczony powinien być esencją tych wszystkich reguł i foremek, przynajmniej na ten czas, który go jeszcze od ślubu oddziela.

I Cezaryusz pozował zrazu na takiego narzeczonego. Teraz jakoś wyszedł z roli swojej. Mówiliśmy z sobą po długich wieczorach bez obowiązkowego uśmiechu, bez nieuniknionego sarkazmu, a nawet na dowcip dobry rzadko mogliśmy się zdobyć. Za to mówiliśmy wiele o różnych projektach naszych na przyszłość i po raz tysięczny umawialiśmy sposoby, któreby nas najbliższą drogą do tego celu zaprowadzić mogły, który nam w osobie tej biędnej sieroły, tak żywo w ogrodzie wtenczas stanął przed oczami!

Udało mi się także pogodzić Cezaryusza z duszną atmosferą mojej biblioteczki. Rano, gdym jeszcze spała, siedział już między memi książkami i czytał. Idąc do oficyny, brał je z sobą i tamże późno w noc był niemi zajęty. O dniu ślubu naszego nic nie wspominał, jakby sam był przekonany, że przed tém jeszcze wiele uczynić mu wypada.

Za kilka tygodni przyjechała do nas Ewunia. Korzystając z pierwszjej sposobności rzekła do mnie:

— Nie rozumiem i nie pojmuję, jaki talizman masz przy sobie. Stwarzasz i przetwarzasz ludzi, jak ci się podobą. Stanisław nie może się wydziwić, co się stało z Cezaryuszem. Niktby go nie poznał teraz. Człowiek używający świata, zamożny i skoligacony, radby zerwać wszystkie z większym światem łączące go ogniwa, aby tylko z tobą w kurnych chatkach nad poprawą ich mieszkańców marzyć. Pozabierał Stasiowi wszystkie poważniejsze książki, których nikt nie czytał i rozczytuje się teraz w nich po całych nocach, aby się czegoś więcej nauczyć. Nawet ambicya, jakiej nigdy nie miał, budzi się w jego sercu. Wczoraj mówił do Stasia, że musi wejść w czynne życie społeczeństwa, bo tak być próżniaczem zerem już dalej nie może! Nalegał nawet na Stasia, aby to samo uczynił i prawil mu z tego

powodu kazania podobne zupełnie do kazań Skargi!... Gdybyś Renio mnie tego sekretu nauczyła?

— Wszak ty jesteś szczęśliwa! — Stasio twój wystarcza ci! — odpowiedziałam z udaną obojętnością.

W oczach Ewuni zaświeciły się łzy. Nie chcąc je okazać, zbliżyła twarz swoją do mnie i gorąco mnie ucałowała. Ucałowałam ją serdecznie nawzajem, i tuliłam długo do siebie, bo czułam po jej łkającej piersi, że mego cieplejszego uścisku bardzo potrzebuje!

Biędna Ewunia! W tej chwili byłam szczęśliwsza od niej!

XXIV.

O dniu ślubu naszego nie mówiliśmy w ostatnich tygodniach z Cezaryuszem. Zdawało mi się że po tym dziwnym zwrocie w dziejach serc naszych, stracił odwagę wzięcia w tym względzie inicjatywy. Czekał, aż sama o tém mówić będę. Tylko przez Stanisława i Ewunię dowiadywał się nieznacznie, jakie w tej mierze jest moje zdanie. Dałam mu tą samą drogą do poznania, że życzeniem mojem jest, aby to w tym roku jeszcze nie nastąpiło.

Wybierając się do nas, urządził się Cezaryusz tak, aby w razie niepowodzenia swego, mógł wprost za granicę wyjechać; dłuższy więc pobyt u nas nie czynił mu żadnej różnicy. Mimo to w ostatnim tygodniu otrzymał listy z domu, które wymagały jego obecności w majątku. Zachęciłam go sama do tego, raz, aby mu dać swobodę i zupełną w tej mierze niezależność od siebie; powtóre, chciałam przez rozłączenie nasze stworzyć dla niego i siebie nową sytuacją, która w dziejach dwojga serc czystą jest zbawienną potrzebą.

Cezaryusz żył dotąd, oddychał i marzył pod wrażeniem mojej obecności. Mogę to samo i o sobie wzajem powiedzieć. Rozłączenie się nasze na niejakiś czas, mogło dla niego i dla mnie być nie małą korzyścią. Wyszedłszy po za atmosferę mego wpływu mógł z większym spokojem myśleć o mnie i o tém wszystkiém, co się do mnie wiązało. Mógł z światem poprzednim zawiązać na nowo stosunki i przekonać się, czy miłość dla mnie może te stosunki opa-

nować i wśród nich stać się konieczną potrzebą życia. Sądziałam, że na tém nic stracić nie powinnam, a jeżelibym straciła, to strata taka jest zawsze dla kobiety nieocenionym zyskiem! Lepiej przeboleć chwilę niżeli płakać całe życie!

Dla siebie pragnęłam także téj swobody. Miłość może się wprawdzie od szafu zacząć, ale dojrzewa do najwyższej potęgi tylko w duszy uspokojonéj. Rozszalałe serce może na razie być zdolne do wielkich poświęceń, ale miłość zamieszkała w sercu spokojném przetrwa życie i sięgnie poza grób!... Tego uspokojenia i téj niezawisłości serca pragnęłam.

Z końcem sierpnia pożegnałam Cezaryusza. Odprawiliśmy go z Ewunią aż poza las i tam na wzgórzu rozstałam się z moim narzeczonym. Żegnając się ze mną miał łzy w oczach. I moje oczy nie były suche...

Gdyśmy wracały do domu, mówiła do mnie Ewunia:

— Sądziłam, że ty nigdy kochać nie będziesz. Wydało mi się, że jesteś bez serca. Żyłaś tylko wyobraźnią i mrzonkami. Teraz widzę że nie tylko sama kochasz ale nawet innych umiesz natchnąć uczuciem, o jakim oni dawniej nie marzyli! Jasno jak na dłoni, że Cezaryusz przy tobie stał się zupełnie innym człowiekiem. Nie czynię teraz z tego żadnej tajemnicy przed tobą, że twój naręczony zupełnie innym człowiekiem zbliżał się do ciebie. On chciał się po prostu ożenić, aby być w tym względzie do innych podobnym, a ty wróciłaś mu młodość jego, młodość serca i duszy. Przy tobie żyje on po raz drugi. On który już wybornie czytać umiał, uczy się dopiero sylabizować!

Na to szczebiotanie Ewuni nic nie odpowiedziałam. Byłam zamyśloną i jakiś dziwny smutek owładnął serce moje. Wytłumaczyłam go sobie bardzo naturalnie. Każde rozstanie się ze znajomymi napawa nas tém przykrém uczuciem, a cóż dopiero rozstanie się z naręczonym?...

W pierwszych dniach zajęłam się gorliwiej gospodarstwem domowém. Również i wyprawa kosztowała mnie wiele czasu. Ojciec mój nie należał do tych ludzi, którzy odrazu z zagranicy wyprawę sprowadzają. Życzył sobie aby wyprawa odbywała się zwolna i o ile to być może, pod mojm własnym okiem. Chciał tym sposobem grosz u swoich zostawić a przytém i mnie czegoś pożytecznego nauczyć.

Wiele dla tego rzeczy szyło się w naszym domu, z czego i ja korzystać mogłam.

Nie było dnia, aby po coś nie trzeba było do pobliskiego miasta wyjechać. Mniejsze sprawunki załatwiał ktoś z domowych, a z ważniejszymi jechałam sama, albo najczęściej w towarzystwie Ewuni, dla której podobne przejażdżki były wielką rozrywką.

Pewnego dnia pojechałyśmy obie do miasta. Dzień wrześnieowy był dosyć ciepły i pogodny. Ewunia szczebiotała ustawicznie o mojem szczęściu, o mojej przyszłości. Opowiadała mi po raz setny treść listu, który Cezaryusz pisał do Stanisława. Rozumie się, że w tym liście tylko o mnie mowa była. Ewunia wiedziała każde słowo na pamięć i snuła z nich całą złotą przyszłość moją.

Mówią zazwyczaj, że serce przeczuwa każde większe nieszczęście. Snać nic mi w tej chwili nie groziło, bo miałam w duszy taką samą pogodę, jak jaśniała na ciemno szafirowém niebie nademną.

W mieście wypadło nam kilka sklepów odwiedzić. Przeszłyśmy się kilka razy po ulicach, a to wystarczyło już aby zwrócić na siebie uwagę większej części mieszkańców. Słyszałam jak za mną mówiono i pokazywano palcami. W twarzach, które na mnie patrzyły widziałam ciekawość ale oraz i życzliwość. W oczach wszystkich czytałam, że są przekonani o mojem szczęściu, i że tę szczęśliwą osobę z bliska oglądać chcieli. Osobliwie ciekawemi okazały się kobiety.

Już z południa weszłyśmy do sklepu modniarki, aby kilka haftów według podanych wzorków zamówić.

Modniarka była to osoba już nie młoda. Uważając jednak za swój obowiązek służenia wyrobom swoim za manekina, ustroiła się w najrozmaitsze i najświeższe koncepta mody miasta obwodowego.

Ewunia zwróciła na to moją uwagę i wprawiło to nas w jeszcze lepszy humor. Rozumiałyśmy się spojrzzeniami i śmiały się w duchu.

W ogóle u kobiet tegoż miasta widziałyśmy bardzo mało gustu w ubraniu. Moda, owa panująca forma estetyczna, wyradzała się najczęściej u nich w jakieś dziwactwo excentryczne. Między jednym a drugim ubraniem nie by-

ło najmniejszej harmonii. Wszystko tam miało swoje przywileje autonomiczne: kapelusz był sam dla siebie i nie troszczył się wcale o kolor sukni lub zarzutki; te same swobody wywalczyły sobie i inne części ubioru zaczawszy od rękawiczek a kończąc na bucikach.

Jedna tylko kobieta wpadła mi zdala w oko całą swoją postacią. Była w kolorze jednostajnym, popielatym. Ubiór jej należał do skromnych, ale tyle było w nim estetycznego zmysłu, że wydała mi się tutaj jak zabłąkana z innych sfer ptaszyna. Przeszła zdala koło nas z całym powabem naturalnych, a tém samym jedynie pięknych ruchów kobiecych. Zwróciłam na nią uwagę Ewuni, która wprawném okiem swoim odgadnąć w niej chciała osobę, tak zwanego wyższego towarzystwa. Ewunia pod tym względem hołdowała przesądom, które temuż wyższemu towarzystwu nadają wyższe zewnętrzne przymioty. Wkrótce jednak straciłyśmy z oczu tę piękną, popielatą postać kobiecą.

Wszedłszy do modniarki przekonałam się, że z tak mętnego źródła, czysta woda płynąć nie może. Naturalnie byłam w świątyni mody, z której na całe miasto wychodziły natchnienia. Biedneż to były owoce tych natchnień!

Obejrzałyśmy z Ewunią wiele rzeczy, bo to sprawiało dla niej zawsze wielką rozrywkę; umiała ona w takim razie sztukę modniarską w najszybszej tajemnicy podpatrzeć i potém skorzystać z tego dla siebie.

Wreszcie przystąpiłyśmy do właściwego celu naszych odwiedzin. Okazałyśmy wzorek do haftu i zażądałyśmy takiej roboty. Modniarka wyjęła różne hafty, ale były to po większej części jakieś rysunki, monstrialne: nie przyjęłyśmy żadnego i chciałyśmy według danego wzoru zamówić.

Zdaje się, że to nie podobało się modniarce. Chciała przedewszystkiem pozbyć się swego gotowego towaru; z kwaśną więc miną powiedziała nam, że w całym mieście nic piękniejszego nie znajdziemy, a na zamówioną robotę nie ma czasu: liczyła zapewne na to, że nam haftu koniecznie potrzeba i że będziemy zmuszone wziąć jej olbrzymie palmy o najeżonych cierniach.

Kiedyśmy się z Ewunią nad tém co dalej będzie, naradzały, otwarły się szybko drzwi sklepu, a przed nami stała kobieta popielata.

Dziwnego doznałam w tej chwili uczucia. Nie wiem, czy to była próżność kobieca, że podług wszelkiego prawdopodobieństwa stanęła obok mnie piękniejsza odemnie kobieta?... Czy to było jakieś ciemne, niejasne przypomnienie?... Ewunia wzięła się natychmiast do przejrzenia ulubionych przez nią drobnostek. Z wyrazem krytyka zaczęła od fałbanków dolnych i szła powoli po wszystkich szwach i fałdach aż do końców welonika.

Co do mnie nie widziałam wcale tych ornamentów. Wpatrzyłam się w całą tę postać, a patrzyłam wzrokiem nie obojętnym, bo zbliżenie się tej kobiety ogarnęło mnie dziwnym uczuciem.

Nieznajoma zatrzymała się na dwa kroki przed nami. Ruchy jej znamionowały osobę młodą i nadzwyczaj żywą. Spojrzała na nas z pewną uwagą. Z pod czarnej koronki zabłysły ku nam duże, wyraziste oczy.

Stała tak chwilę. Snać czuła jakieś zmęczenie, bo jedną ręką oparła się szybko o stół modniarki.

Po kilku chwilach zaczęła jej pierś powoli podnosić się. Rzuciła w tył głowę i wyprostowała się, jakby na nas z góry patrzeć chciała. Nie wiedziałam, co jej w obec nas, kazało przybrać pozę tak dumnej a nawet pysznej kobiety.

Wreszcie wyjęła z za rękawka drobną rączkę, błysnęła nią przed naszymi oczami i odsłoniła twarz swoją.

Rzeczywiście przeczułam dobrze. Była to piękność skończona, a nawet rzadka w swoim rodzaju: twarz blada, nadzwyczaj regularnych rysów; koloryt akwarelowy, lekko i przezroczyście narzucony; włosy bujne, jasno-blond, ożywione, jakby zachodnie słońce je oświecało, do tego jako przecudny kontrast: oko duże, ciemnoszafirowe. Twarzy tej odpowiadała cała postać, w której wątlność kształtów walczyła dziwnie z widoczną energią.

Patrząc na nas, czy raczej pozwalając nam w nią się wpatrywać, dziwny przedstawiała widok: oczy jej zaczęły jeszcze mocniej ciemnieć, czoło przybierało z wolna ton świeżego bronzu; usta bladły i zaciskały się coraz więcej.... Na chwilę okrasiała się jej twarz żywym rumieńcem, a potem zbladła nagle jak ściana.

Chciałam w tej chwili zapytać ją czy nie jest chora, — kiedy nagle zarzuciwszy koronkę na twarz zwróciła się ku

drzwiom i wyszła. Wyrzałam jeszcze przez szklane drzwi za nią, ale tylko szary cypel jęj sukni mignął mi na skrócie ulicy.

Ewunia natychmiast zapytała się o nią modniarkę.

Modniarka miała dość kwaśną minę, żeśmy nic nie kupiły. Odpowiedziała z niechęcią:

— To obywatelka ze wsi.

Więcej nic nie mogłyśmy się dowiedzieć; zresztą nie wypadało nam wypytywać się o kogoś, kto nas wcale wiele nie obchodzi.

Wyszedszy na ulicę, szłyśmy długo obok siebie w milczeniu, Szara kobieta zatrudniała naszą wyobraźnię. Co mogło być powodem tego dziwnego patrzenia na nas? Czy może to jaka obłąkana? Dlaczego kolejną rumieniec i bladość występowała na jęj lica?

Takie pytania zadawałyśmy sobie najprzód w duchu; potem zaczęłyśmy mówić o tém, ale nie mogłyśmy tęj zagadki w żaden sposób rozwiązać.

Wreszcie wszystkie nasze wnioski psychologiczne musiały ustąpić potrzebie zamówienia gdzie haftu. Obeszłyśmy znowu kilka sklepów i znużone wróciłyśmy do hotelu nie załatwiwszy gorącej sprawy w hafcie.

W hotelu, jak to zwykle bywa, wszedł zaraz do nas żydek usłużny i ofiarował swoje usługi.

Napół w żarcie objawiła mu Ewunia kłopoty nasze o hafciarkę, i aby uczynić scenę tę humorystyczniejszą, okazała żydkowi przywiezione wzorki tłumacząc mu pojedyncze linie i przezrocza.

Pocziwy żydek patrzył na wzorki z nadzwyczajną powagą. Żarcik Ewuni wziął na seryo; kazał sobie jeszcze wytłumaczyć niektóre zygzaki i punktowania, włożył rękę w brodę i tak czas niejakiś długo myślał: wreszcie uderzył ręką w czoło, jakby tam coś mu zaświtało, i rzekł:

— Jest tu jedna co to zrobić może, ale trzeba do niej iść, bo ona tu nie przyjdzie! Ja już nieraz do niej chodziłem.

— A więc chodźmy, póki czas jeszcze mamy — rzekła Ewunia i pociągnęła mnie za sobą.

Z niechęcią poszłam za nią. Jakoś mi nie przyjemnie było, że mnie wyrwała od różnych dumań moich; zadumałam się bowiem w tęj chwili. Różne obrazy przesunęły się

przedemną: jedne były piękne i ponętne, drugie smutne i szare, jak suknia owój nieznajomój...,

Szliśmy długą ulicą. Na przód nas biegł żydek i oglądał się co chwila, czy mu nie uciekniemy. Od czasu do czasu machał ręką poprzód siebie, jakby chciał nam powiedzieć, że już niedaleko nas jest cel naszej wycieczki.

Tymczasem ten cel był strasznie oddalony. Szliśmy bez ustanku może godzinę; wreszcie już i miasto dawno się skończyło, a tylko małe pojedyncze domki widać było tu i owdzie.

Do jednego z takich domków wprowadził nas żydek. Weszliśmy przez pochyłą bramę najprzód do ogródka. Zaraz za bramką ułapał nasz cicerone jakiegoś małego chłopaka o jasnych włosach, który piłką się bawił i zapytał go o coś, czego nie mogliśmy słyszeć. Chłopiec zamiast odpowiedzi wskazał na małą altankę, utworzoną z tyk leszczyny i ocienioną zielonemi splecami fasoli. Zwróciliśmy się do tej altany. Na odgłos naszych kroków wyszła ku nam szara kobieta.

Miała oczy czerwone, jakby od płaczu. Obaczywszy nas wyprostowała się z dumą i zapytała dźwięcznym głosem, czego żądamy: Ewunia odpowiedziała jej na to.

Szara nieznajoma stała niejakiś czas i patrzyła na nas z wielką uwagą. Jój twarz drgała jakby cierpiała konwulsy; wreszcie rozśmiała się cierpkim uśmiechem, a uczynniejszy gest ręką, abyśmy szły za nią, rzekła do siebie półgłosem:

— Nie, to istna ironia losu!

(Ciąg dalszy nastąpi).



SZKOŁA POZYTYWNA.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa opartego i na historii nauk i na obecném dążeniu ducha ludzkiego, czas *sztucznych* systemów filozoficznych, religijnych i społecznych przeminął bezpowrotnie i już tylko w *historii*, głośne w pewnych peryodach marzenia, znajdują wzmiankę jakby na przestroge późniejszym wędrowcom naukowym, ażeby omijali ścieżki nadzwyczajne, a szli gościńcem ubitym stopami całego rodu naszego.

Przypuszczając, że czytelnik zgadza się z nami co do nieodwołalności dekretu wynierzonego przez zdrowy rozsądek na wszelkie marzycielskie systemata filozoficzne, na wszelkie szkoły spekulacyjne; przypuszczając z drugiej strony, iż rzeczywiście nie powstaną już żadne „utopie”, czemu nie bardzo można dać wiary: pozostaje do objaśnienia zaraz na początku, co rozumiemy przez *szkołę*, skoro do szkolarstwo potępiamy, i co znaczy dodany jej przymiotnik *pozytywna*. Objaśnienie to uważamy za konieczne tak dla uniknięcia posądzeń o niekonsekwencyą, jak téż dla określenia granic, wśród których zamierzamy się poruszać a tém samém i pokazania czytelnikowi, czego się ma spodziewać po niniejszej rozprawie.

Przez *szkołę* rozumiem zbiór zasad i wiadomości, jakie rozum zgrupował w wszystkich przedmiotach wchodzących w zakres jego badania. Jeżeli się obejrzymy za siebie w przeszłość, jeżeli zapytamy ludzi z którymi żyjemy, przekonamy się, że tak zmarli jak i żyjący mieli i mają pewien zasób wiadomości o świecie, człowieku i społeczeństwie; że mieli i mają pewne zasady postępowania. Nie masz prawie tak kretyniego umysłu, któryby nie wyrobił sam sobie, lub nie przejął od innych wyobrażeń dotyczących np. życia, obowiązków, stosunków ekonomicznych, politycznych i religijnych. Z drugiej znów strony wiemy i z historii i z doświadczenia, że te zasady, wiadomości, pojęcia, wyobrażenia, były i są bardzo rozmaite, że genialniejsi z pomiędzy ludzi wyrobili takie lub inne pojęcia,

które mniej uzdolnieni przyswoili sobie i według nich porządkują swoje wiadomości, kierują życie. Wprawdzie mówimy, że społeczność ludzka uważana w ogóle, najczęściej nie ma żadnych zasad i omackiem chodzi po świecie; ale jest to tylko złudzenie. Naturalna skłonność do wiedzy, do zdawania sobie sprawy ze wszystkich zjawisk jest tak silna w człowieku, że nie mając przewodnika, nie znając środków i metody dojścia do rozwiązania sobie pytań co chwila stawianych, wynajduje złudne przyczyny owych zjawisk i tworzy na własną rękę filozofią. Kiedy jednak ze wzrostem dobrobytu, z podziałem pracy, utworzy się osobna klasa ludzi zastanawiających się nad sobą i otaczającym ich światem; tedy pomysł ich przyjmuje reszta społeczeństwa i szereguje się według tych pomysłów na pewne oddziały, które w nauce nazywamy szkołami, w życiu publicznym i politycznym stronnictwami. Takie pojmowanie szkoły jest nieodzownym warunkiem do zrzucenia ruchu umysłowego, a istnienie szkół naukowych nieodzownym warunkiem postępu duchowego. Jakoż, nie pojmujemy człowieka myślącego, ażeby się nie połączył z taką lub inną szkołą, to jest żeby nie miał takich lub innych pojęć o świecie, sobie i społeczeństwie. W przeciwnym bowiem razie, umysł jego podobien do piłki rzuconej z rąk do rąk, przerzucałby się co chwila do takich lub innych pojęć, według tego jakiego mu przypadek nadarzył.

Jeżeliśmy zatem powiedzieli, że prawdopodobnie minął czas szkół, systemów i sekt, to ma się rozumieć, że już dziś trudno zdrowo myślącemu człowiekowi marzyć o utworzeniu zamkniętej w sobie i nieprzystępnej dla świata nauki; o zbudowaniu systemu tak wykończonego, żeby już nie było nic do zrobienia, do poprawienia; żeby już tylko założyć ręce i czekać rozptynięcia się w błogim nicestwie. Szkoła zatem w naszym pojmowaniu jest pewnym zbiorem prawd, wiadomości o świecie i człowieku, jest nieodzownym warunkiem postępu nauk i nie może się nigdy uważać za panią absolutną ducha ludzkiego, lecz tylko za czasową gospodynią na uczcie umysłowej. Zmieniają się pokolenia, muszą się więc zmieniać i szkoły, a na tej zmianie właśnie polega rozwój ku lepszemu czyli postęp.

Teraz przejdźmy do porozumienia się z czytelnikiem co znaczy szkoła *pozytywna*.

Gdyby kto był ciekawy i chciał zajrzeć do „Słownika języka polskiego przez Lindego” przekonałby się, że tam nie ma wcale wyrazu *pozytywny*, a tём samém nie mógłby wiedzieć jakie znaczenie przywiązujemy w niniejszej rozprawie do tego przymiotnika.

Dzisiaj w pospolitej mowie nazywamy jakąś wiadomość *pozytywną*, gdy jest bezwarunkowo prawdziwą, gdy nie ulega zaprzeczeniu; nazywamy dalej *pozytywnym* człowieka, który się nie bawi w marzenia, to co umie zna zasadnie, w postępowaniu z drugimi jest słownym, rzetelnym, sprawiedliwym; nazywamy wreszcie *pozytywnymi* takie nauki, które jak matematyka i na niej oparte gałęzie wiedzy, mają za sobą oczywistość, nie mogącą ulegać zaprze-

czeniu. Tak więc już z popularnego, zwyczajowego użycia przymiotnika *pozytywny* przekonywamy się, że wyraża on coś dodatniego, coś korzystnego dla osoby lub faktu: krótko mówiąc, *pozytywny*, to tyle co pewny, niezawodny.

Przeniesiony ten przymiotnik w sfery naukowe, nie powinien mieć innego znaczenia nad to, jakie do niego zwyczaj przywiązał. Ile razy bowiem wyrazy mają inne znaczenie w mowie pospolitej a inne w naukowej, lub między znaczeniem pospolitem a naukowym nie ma dotykającego związku; tyle razy czytelnik jest w kłopotcie co do wyrozumienia, tyle razy i nauka traci na ścisłości. Bacząc zatem na to prawo terminologii, będziemy używali w ciągu obecnej rozprawy przymiotnika *pozytywny*, jako równoznacznego z pewnym, niezawodnym. Ztąd już można zmiarkować dążność *szkoły pozytywnej*, której zasady niżej wyłożymy.

Pobudki które nas skłoniły do podjęcia niniejszej pracy, były następujące: Najprzód nie spotkaliśmy u naszych filozofów żadnej wzmianki o szkole pozytywnej. Zajęci reprodukcją niemieckich *konceptów* filozoficznych, filozofowie nasi prawie nie wiedzieli co się dzieje gdzieindziej. Hegel, Schelling, lub usmażone w jednym tyglu spekulacje obu i uchodzące przez to za coś nowego, były wszystkim na co się u nas zdobył zastęp filozoficznych pisarzy. Już zaś dla uzupełnienia i historii filozofii i w ogóle historii rozwinięcia umysłu ludzkiego, koniecznym jest zapełnienie tej szczyrby, opuszczonej z umysłu czy z niewiedomości przez naszych uczonych.

Powtóre, filozofia pozytywna nabiera coraz większego uznania u ludzi najgruntowniej umysłowo usposobionych: pod jej chorągwią stawają umysły najpotężniejsze naszego czasu. Nie wypada i nam więc nie uznawać tego kierunku umysłów raz dlatego, że poznanie jego leży w obowiązku wszystkich uczonych lub roszcujących pretensją do uczoneści; a powtóre, że i sami możemy coś skorzystać przez skierowanie badań naukowych na drogę jedynie prowadzącą do celu. O filozofii pozytywnej, czyli jak ją nazywają jednym razem o pozytywizmie, pisano już nie mało. Bogata literatura francuzka i angielska liczą już nie jedno dzieło, albo w duchu filozofii pozytywnej napisane, albo przeciw niej wymierzone. Poznanie choć w części tego ruchu umysłowego nagrodzi, jak się spodziewamy czytelnikowi, tę trochę uwagi, jaką zechce poświęcić naszemu przeglądowi filozofii pozytywnej.

Porządek jakiego trzymać się będziemy w niniejszej pracy jest następujący: Ponieważ filozofia pozytywna, dopiero od wystąpienia na scenę naukową Augusta Comt'a i jego zwolenników nabrała pewnego rozgłosu i uznania w świecie naukowym; zaczem wypadnie nam dać krótki wykład nauki tego twórcy pozytywizmu. Nie ograniczając się do mistrza, wspomnimy i o znakomitszych jego zwolennikach, a ztąd nie daliśmy tytułu, *filozofia pozytywna*, lub *nauka A. Comt'a* lecz *szkoła pozytywna*. Ze jednak nie dosyć jest dać czytelnikowi pojęcie pewnej szkoły i zasad przez nią wyznawanych; lecz koniecznym jest oraz wykazanie stron ujemnych, błędów teorii

historycznie rozpatrywanéj: więc po każdym ustępie ośmielimy się dodać własne uwagi, które pokażą jak rozumieiny filozofią pozytywną. Jestto tém niezbędniejsze, im dobitniej chcielibyśmy okazać, że nie przyjmujemy solidarności a tém samém i odpowiedzialności za niektóre błędy jak nam się zdaje, filozofii pozytywnéj.

W takim tedy porządku będziemy czytelnika prowadzili do poznania Szkoły pozytywnéj: I. Biograficzne i literackie szczegóły o życiu i pismach Augusta Comte'a, oraz głównych jego zwolenników. II. Definicja filozofii pozytywnéj według Comte'a i jego uczniów. III. Metoda filozofii pozytywnéj według tegoż. IV. Pojęcia Comte'a o różnych częściach nauk filozoficznych i społecznych. V. Zakończenie.

I.

AUGUST COMTE I JEGO ZWOLENNICY.

Dwa są peryody życia i filozofii A. Comte'a: pierwszy w którym położył fundamenta filozofii pozytywnéj, drugi w którym z filozofa stał się taumaturgiem, twórcą nowéj religii, marzycielem jakich świat już nie mało widział, ale których coraz mniej będzie w miarę jak się rozpowszechnią zdrowe pojęcia naukowe. Oba te peryody nacechowane ciężkimi przejściami w życiu odbiły się i w dziełach Comte'a. Podając krótki życiorys filozofa zwracać będziemy uwagę na te peryody i na pisma, które się do nich odnoszą. Zyciorys ten da nam smutny obraz wielkiey inteligencji, która z początku zabłysła jak świetna gwiazda, a w końcu rozplynęła się w marzeniach i chorobliwych przywidzeniach nadwężonego mózgu.

Izydor-August-Marya-Franciszek-Ksawery Comte urodził się 19 stycznia 1798 r. w Montpellier, z ojca Augusta Felixa i matki Felicjy-Rozalii Boyer. W dziewiątym roku życia oddali go rodzice do szkoły istniejącej w rodzinném mieście. Od lat młodzieńczych albo raczej dziecinnych, okazywał wysokie zdolności, wytrwałą pracę i przedwczesną dojrzałość umysłu. Odbywszy z korzyścią nauki elementarne, przeszedł w roku 1814 do szkoły politechnicznej w Paryżu. Tu po 2-ach latach musiał razem z kolegami opuścić zakład z powodu studenckiey swawoli i wrócił do rodziców. A chociaż władza na nowo szkołę otworzyła, Comte nie kończył nauk i nie korzystał z udzielonej amnestyi. Niedługo znów go widzimy w Paryżu, gdzie zapoznawszy się z generałem Bernard'em otrzymał mając lat 18 wieku zaproszenie do objęcia kierunku szkoły politechnicznej, którą generał zamierzał otworzyć w Stanach Zjednoczonych. Tymczasem plan Bernard'a nie powiódł się i Comte został bez zajęcia. Dla zarobienia na chleb przyjął miejsce sekretarza u Kazimierza Périer'a. Wszakże le-dwie kilka dni zabawił na téj posadzie a poznawszy się w r. 1818

z St. Simonem został jego uczniem i współpracownikiem. O przyjaźni nie można było mówić. St. Simon miał swoje marzenia, któremu Comte nie chciał wierzyć, wymagał postuszeństwa do którego umysł Comte'a nagiąć się nie mógł. Stosunki coraz stawały się drażliwymi dla obu, mniemany mistrz widział słabnący swój urok i dla tego trzeba się było rozzejść. Jakoż od roku 1822 Comte już pracuje na własną rękę. W r. 1824 rozbrat nastąpił zupełny.

Comte nie mając z czego żyć, zaczął dawać lekcye, których rzadko było pod dostatkiem a ztąd położenie bardzo zależne. Bywały chwile, że miewał tylko jednego ucznia, a takim był sławny później generał Lamoricière. W r. 1825 Comte się ożenił. Posag widocznie był nie wielki, bo bieda wkrótce się uczuć dała. Wtedy to Cerclet otworzył mu ramy dziennika *Producteur*, do którego Comte napisał kilka artykułów między 1825 a 1826 r. Ze jednak spostrzegł, iż myśli jego kopiowali inni udając je za swoje, porzucił współpracownictwo w dzienniku i otworzył u siebie w 1826 r. na przedmieściu Montmartre kurs nauk, w ciągu którego położył fundamenta filozofii pozytywnej. Pierwszymi uczniami byli sławni później uczeni tacy jak: Humboldt, Blainville, Poinson a z młodszych Eichthal, Montebello, Carnot. Skutkiem nieszczęścia o którym zaraz powiemy, kurs trwał tylko przez trzy posiedzenia. Mozolna i natężona praca przyprawiła Comte'a o pomieszenie umysłów. W przystępie obłąkania nieszczęśliwy filozof chciał się utopić, od czego uratowała go żona. Obłąkanie postępowało tak szybko, że musiano go co rychlej oddać do zakładu sławnego Dra Esquirol'a, gdzie zostawał od 28 kwietnia do 2 grudnia. Na wieść o tym smutnym wypadku przybyła do Paryża matka Comte'a, kobieta wielce religijna, czule kochająca syna, która jednak nie mogła mu darować, że zawarł tylko małżeństwo cywilne a nie żądał błogosławieństwa kościelnego. Uważając obłąkanie syna za karę niebios, poczciwa niewiasta chciała go zamknąć w jakim klasztorze. Plan był ułożony i bliżki wykonania. Żona jednak czuwając wraz z przyjaciółmi nad chorym, wysledziła na co się zanosi i uzyskała że jój wrócono męża w stanie jeżeli nie gorszym, to niezawodnie takim w jakim go oddano do szpitala (1).

W domu szlachetna kobieta, nie lękając się waryata, otoczyła go całą troskliwością i pomimo bolesnych przejść doznawanych w tém pożyciu, tyle sprawiła swoją opieką, że chory zaczął przychodzić do zdrowia. Umysł jednak jego był jeszcze bardzo przyćmiony, smutek i obojętność nie opuszczały go ani na chwilę. Razu pewnego wyszedłszy z domu udał się na most *des Arts* i rzu-

(1) Staraniom matki udało się nakłonić Comte'a do ponowienia ślubu w kościele, w czém pośredniczył sławny ksiądz Lamennais. Comte jednak był tak nieprzytomny, że podpisując akt ślubny, położył obok swojego imienia, Brutus Bonaparte.

cił się w Sekwanę. Wyratowany przez gwardzistę królewskiego, doznał tak skutecznego wstrząśnienia, że nagle i umysł jego stał się pogodniejszym i opuściła go mania samobójstwa; wrócił więc do Montpellier i w końcu 1827 r. zaczął dalszy kurs nauk wykładać. Uczniowie i słuchacze, częścią ci sami, częścią nowi w niewielkiej liczbie słuchali wykładu. Między nowymi widziano Broussais'go geometrę, Fourier'a; Humboldt'a nie było wówczas w Montpellier, Arago zaś lubo przyrzekł, nie stawiał się w audytorjum.

Największą przeszkodą w pracy umysłowej Comte'a był brak materyalny, był niezapewniony: słowem, brak chleba. Przyjaciele tedy umiejący cenić wysokie zdolności uczonego, starali się o zapewnienie mu bytu mniej zależnego. Za ministerstwa Martignac'a chciano dla niego utworzyć posadę inspektora handlu, ale zamiar się nie udał. Rząd lipcowy zarówno był dla niego zimny jak i Restauracya, więc też i w 1830 roku pomimo osobistego widzenia się z Guizot'em, Comte nie uzyskał posady profesora historii powszechnej nauk fizycznych i matematycznych w których celował. Guizot przyjął go obojętnie lubo grzecznie, i odprawił z niczem. Później Navier, profesor w szkole politechnicznej wziął Comte'a za adjunkta w r. 1832. W parę lat potem za wpływem Dulong'a został examinatorem wstępujących do szkoły politechnicznej i profesorem w jednym z zakładów prywatnych. Tym sposobem był jego nieco się utrwalił. Na posadzie examinatora Comte okazywał surową bezstronność i pilność jakie mu przyznają nawet nieprzyjaciele. Jak tylko poczuł, że stoi na trwałszym gruncie, zaczął wykończać swój *Kurs filozofii pozytywnej*, który wychodził stopniowo, tomami od r. 1830—1842. Obok urzędowych i płatnych zajęć wykładał od 1831—1848 kurs astronomii popularnej w szkole ludowej bezpłatnie. Wypadki ówczesne a w części i podejrzenia rzucone na wykład, skłoniły rząd do zamknięcia szkoły. Zawsze to piękny ślad beziinteresowności filozofa żyjącego dla nauki. Były to lata błogie dla Comte'a, bo lubo nieświeżnie uposażony, mógł przecież żyć znośnie i pracować nad ulubionym przedmiotem. Sława też jego wzrastała pomimo oporu ze strony cechowych uczonych którzy go nie cierpieli. Sława ta przeszła za kanał do Anglii i czego Francuzi nie umieli ocenić, uznali Anglicy. Co po ten czas wyszło z pod pióra Comte'a nosi cechę głębokiego przemyślenia i trzeźwego na świat poglądu. Ale zbliżała się chwila nowych zawodów i upadek umysłowy wielkiego myśliciela. Cierpki, może chorobą i niedostatkiem zgniebiony umysł Comte'a nie mógł się zgodzić z kolegami w szkole politechnicznej, z której jak twierdził, za wpływem p. Arago został usunięty w r. 1844. Poswarki z radą szkolną zaczęły się już dawniej, ale jakiś czas jeszcze je znoszono. Żona gryzła się postępowaniem Comte'a, który prawie zawsze sam był winien, że nie mógł się niczego dosłużyć; zawsze kołatał do drzwi gdy się coś nawijało i zawsze skutkiem swojej drażliwości i dumy nic nie zyskiwał. To go wpra-

wiało w gniew i oburzenie, które najczęściej spadały na żonę. Z tych domowych niesnasków przyszło do formalnego rozłączenia z żoną, której choć sam nic nie miał, obiecał płacić 3000 franków rocznie, później tylko 2000, ale i tych nie było z czego uiścić. Wprawdzie przyjaciele w Anglii, wśród których spotykamy pp. J. S. Mill'a, Grote'go, Molesworth'a i Raikes Currie'go składali co mogli dla żebrzącego filozofa; ale ten stawał się coraz natrętniejszym, tak że w końcu i tę pomoc utracił. W tym czasie, t. j. około 1845 roku nastąpił szczególny przewrót w umyśle Comte'a. Zapoznał się z niejaką panią Klotyldą de Vaux, która stanowczy jak sam twierdzi, wpływ na niego wywarła. Rozum ustąpił miejsca sercu, filozof stał się marzycielem, po którego mózgu zaczęły się przesuwać najdziwniejsze fantasmagorye. Metodę rozumowania obiektywną, zastąpił subiektywną, rozum poddał sercu, stał się twórcą nowej tak zwanej religii Ludzkości i Najwyższym kapłanem, a to wszystko jak zapewnia „*sous une angélique influence et une incomparable passion privée*” Kiedy zaś pani Vaux umarła, Comte najzupełniej stracił rozsądek jakkolwiek był niby przytomnym. O różnych niedorzecznościach jakie się zrodziły w rozbitej głowie Comte'a powiemy niżej, rozbierając jego naukę. A teraz jeszcze kilka szczegółów z jego życia uzupełniających ten straszny upadek umysłowy.

Po wypadkach roku 1848 widzimy Comte'a zajętego częścią wykładem ludowym w jednej z sal Palais-Royal, częścią przygotowującego nowy system religijny i polityczny. Wszakże zamach stanu z 2 grudnia 1851 r. przerwał mu profesorskie trudy. Rząd który pozamykał wszelkie kluby, nie mógł cierpieć i szkoły Comte'a, podobnie także do klubu, w którym profesor zaczął ogłaszać nową religią. Zamknięcie kursu zgadzało się nawet z jego nowym charakterem, albowiem mówił, że „było to upamiętanie zbawienne, i że rząd skazując go na wypoczynek, lepiej rozumiał niż on, co Wielki Kapłan winien swojej godności.” Życ jednak nie było z czego. Littré, jeden z najzdolniejszych jego zwolenników porozumiewszy się z przyjaciółmi, urządził składkę, którą Comte przyjmował jakby pensją należną wielkiemu kapłanowi za swój wysoki urząd. Mając tedy chwilowo byt zapewniony, Comte z wielkiej liczby pozostałych uczniów utworzył pewien rodzaj szkoły, czyli raczej sekty religijnej, w której przedmiotem czci była pani Klotylda de Vaux. Comte nieważ do swoich wiernych kazania, dawał im śluby, chrzczył, słowem, został nie na żart kapłanem. Wszakże z po za tych czynności wielkiego kapłana, przebijają się głęboka melancholia, która go czyniła opryskliwym i nieznośnym nawet dla najpoddanniejszych z uczniów.

Przy takich zajęciach, nie troszcząc się o chleb powszedni którym go przyjaciele opatrywali, Comte mógł być jeszcze długo bawić się w kapłaństwo. Ale do wielu dziwactw dołączył właściwy sposób leczenia samego siebie. Tak np. pokarm swój poddał matematycznej rachubie. Co rano ważył chleb i mięso które miał spo-

żywać na obiad i ciągle tej samej wagi porcyce sobie wyznaczał. Z rana pijał filiżankę mleka z chlebem. Ani wina ani kawy, ani żadnych napojów pobudzających nie używał. Spodziewał się, że za pomocą takiej higieny dosięgnie długiego życia. Na nieszczęście i w tém doznał zawodu. Niedługo zachorował na raka w żołądku i znów sam się zaczął leczyć, jakkolwiek choroba była nie do uleczenia nawet dla lekarzy z powołania. W tym czasie t. j. w roku 1857 umarł Vieillard, na którego pogrzeb Comte się udał chcąc oddać ostatnią posługę człowiekowi, od którego doznał niejakię pomocy. Za trumną szedł pieszo i z odkrytą głową, na którą padały promienie palącego słońca. Wróciwszy z pogrzebu zapadł jeszcze bardziej na zdrowiu, choroba się wzmagala, wierni uczniowie na przemiany pilnowali łoża chorego i na ich ręku skonał 5 września 1857 roku (1).

Jak dwie fazy w życiu tak i dwa peryody w piśmienniczéj działalności Comte'a odróżniać należy. Za punkt rozdzielający te dwa peryody możnaby naznaczyć rok 1848, lubo już wcześniej nastąpił wewnętrzny przewrót w autorze. Pisma z pierwszej połowy życia odznaczają się metodą obiektywną, trzeźwym na świat poglądem, górowaniem rozumu nad sercem; z drugiego okresu są nietylko niższe, nietylko subiektywną metodą natchnione i pod wpływem fantazyi zrodzone: lecz pełne dziwacznych, niedorzecznych pomysłów, z pośród których ledwie gdzieniegdzie zdrowa myśl wygląda.

Do pierwszego peryodu oprócz artykułów okolicznościowych większych lub mniejszych, powtórzonych w zbiorze pism później wydanych, należy dzieło główne, będące chwałą autora i źródłem do poznania jego nauki pod tytułem: „Kurs filozofii pozytywnej” (*Cours de philosophie positive*, Paris, 1830—1842, 6 vol. in 8vo). Drugiego wydania tego dzieła dokonał E. Littré i dołączył ważną przedmowę ułatwiającą zrozumienie samego wykładu. Tytuł jest niezmienny, rzecz także (Paris 1864). Podług tego ostatniego wydania będziemy przytaczali niektóre ustępy.

Z drugiego peryodu oprócz artykułów mniejszych, zasługują na wymienienie najprzód: „System polityki pozytywnej,” (*Système de politique positive ou traité de sociologie instituant la religion de l'humanité* 1851—1854, 4 vol. in 8vo) oraz „Synteza subiektywna” (*Synthèse subjective*) i „System logiki pozytywnej czyli traktat filozofii matematycznej” (*Système de logique positive ou traité de philosophie mathématique* 1856). Jak w życiu tak i w pisaniu Comte odznaczał się dziwactwami. Tak np. zaufany w swojej wiedzy, gardził wszystkiém co się ukazywało na polu literatury. Nietylko dzienników nie czytywał, ale nawet nowszych publikacyj naukowych unikał, ograniczając się do czytowania kilku starożytnych i nowo-

(1) Powyższe wiadomości o życiu Comte'a wzięte są z dzieła E. Littré'go „*Auguste Comte et la philosophie positive*”, Paris 1863; oraz z dzieła L. Reybaud'a „*Études sur les Réformateurs ou socialistes modernes*”, Paris, 1864. 2 vol.

żytnych poetów. Nazywał tę wstrzemięźliwość „*hygieną mózgową*,” *hygiène cérébrale*. Przekonany był najzupełniej, że wszystko wie i że niczego od nikogo nauczyć się nie może. Ztąd naturalnie zrodziła się nieukrócona ufność w siebie, pedantyczne samouctwo, pogarda dla krytyki i co zwykle bywa, błędy. Zostawił tedy na sobie przykład, jak nawet i najzdolniejszym ludziom nie wolno jest praktykować *wstrzemięźliwości*, ale trzeba iść z ruchem umysłowym do samego zgonu.

Jak pod koniec życia systematycznie ważył chleb i mięso które miał na obiad spożywać, tak też obmyślił sobie właściwy sposób pisania. Oto jak radzi pisać wszystkie ważniejsze prace: „Każdy tom mogący stanowić osobny traktat powinien się składać z 7 rozdziałów, oprócz wstępu i zakończenia; a każdy z tych rozdziałów powinien zawierać trzy części. Każda trzecia część rozdziału powinna być podzielona na 7 ustępów, z których każdy powinien zawierać 7 grup zdaniowych i t. d.” Co się tu powiedziało, ma się rozumieć głównie o pismach drugiego peryodu. Comte był z powołania matematykiem; więc też miarą a wagą i pożywieniem i styl swój mierzył. Styl jego jest ciężki, rozwlekły, amplifikacyami i zboczeniami przepełniony. Ztąd czytanie dzieł jego mozolne i nużące. Pomimo tych wad układu i formy, czytelnik widzi, że ma przed sobą umysł bardzo logiczny, bystry i w świetne myśli bogaty, tak że praca jego choć twarda, nie pozostanie bez śladu, byle było odpowiednie przygotowanie. Mówiąc to, mamy na myśli przede wszystkim „Kurs filozofii pozytywnej” jako najważniejsze dzieło Comte’a.

Teraz przyjrzyjmy się szkole Comte’a.

Każdy prawdziwie genialny człowiek zyskuje sobie pewną ilość zwolenników, którzy myśli jego rozwijają i między popołitym czytelnikiem szerzą. Tak widzimy w starożytności Sokratesa, Platona i Arystotelesa jako naczelników osobnych szkół filozoficznych; tak w nowszych czasach Bacon, Locke, Dekart i Leibnic; tak w najnowszych Kant, Schelling i Hegel mieli swoich zwolenników. Podobnie rzecz się ma i z Comte’m. Nie wyliczając innych, musimy się zastanowić nad E. Littré’m i J. S. Mill’em. Pierwszy jest najwierniejszym i najzdolniejszym przedstawicielem filozofii pozytywnej we Francji, drugi w Anglii. Obaj jednakże zajmują stanowisko krytyczne względem filozofii pozytywnej.

Maxymilian, Paweł, Emil Littré urodził się w Paryżu 1801 r. Z początku studiował medycynę, a chcąc pisać jej historią wyczytał się języków wschodnich i starożytnych tudzież nowożytnych, tak że oprócz nauk ścisłych i przyrodzonych, z jego powołaniem w związku będących, nabył dobrej znajomości filologii i historii, co mu nadzwyczaj było pomocne do zrozumienia filozofii Comte’a. Między 1839—1852 wydał w tłumaczeniu Hipokratesa, za co przyjęto go do Akademii Napisów. Równocześnie tłumaczył Dawida Strauss’a „Das Leben Jesu” (1839—1840 i 2 wydanie 1855), oraz „Historią naturalną” Pliniusza (1848).

W roku 1840 jeden z przyjaciół pożyczył mu dzieł Comte'a, po przeczytaniu których został bezwarunkowym zwolennikiem filozofii pozytywnej. Comte dowiedziawszy się o tém przysłał mu egzemplarz dzieł swoich i ztąd zawiązały się stosunki bardzo przyjacielskie. Kiedy jednak Comte zaczął zbaczać z obranej drogi, Littré przyjmując to co było złożone w „Kursie filozofii pozytywnej” odrzucił marzenia polityczne i religijne z drugiego peryodu mistrza. To spowodowało oziębienie przyjaźni, bo Comte nie lubił oporu Littré jednak nie zapomniał o przyjacielu i jak wyżej powiedziano urządził dla niego składkę, z której się Comte utrzymywał do końca życia.

Littré mianuje się wszędzie uczniem Comte'a. Ale jego wiedza, skromność niesłychana mimo rozległej i gruntownej nauki, jasność i konsekwencya myśli oraz jasność stylu, stawiają go bez zaprzeczenia wyżej od Comte'a. Że jednak pierwszy błysk nowego na świat poglądu przyszedł mu z dzieł Comte'a, chętnie nazywa się uczniem i najgorliwiej pracuje nad upowszechnieniem nauki mistrza. Możnażby życzyć każdemu twórcy, jakiegokolwiek szkoły naukowej, ażeby miał tak bezstronnego, tak sumiennego i godnego ucznia.

Z prac jego poświęconych filozofii pozytywnej zaznaczamy następujące: „Philosophie positive” (1845), „Paroles de philosophie positive” (1859), „Auguste Comte et la philosophie positive” (1863); dzieło bardzo nauczające i najobszerniejsze. „Auguste Comte et Stuart Mill” (1867). Jest to oddruk z *Revue des deux Mondes*. W rozprawie tej polemizuje Littré przeciw Mill'owi i broni nauki Comte'a.

W roku zeszłym zaczął wydawać razem z innemi „Revue de philosophie positive,” co dwa miesiące zeszyt. Spółpracownikami są: F. Azoux, Ch. Robin, Dévoisin. Pierwszy zeszyt wyszedł 7 lipca 1867 roku.

W czém Littré zbacza od nauki Comte'a, o tém powiemy niżej.

Drugim znakomitym zwolennikiem filozofii pozytywnej jest angiłk John Stuart Mill, dobrze znany i zasłużony nauce, obecnie deputowany do izby niższej parlamentu (1). Pierwszy on w swojej „Logice” (1843) podniósł niektóre myśli Comte'a i dał je poznać angielskiej publiczności. Mill nie jest bezwarunkowym zwolennikiem Comte'a, jak tego dowodzi jego praca pod tytułem: „Auguste Comte and Positivism” (London 1865). U Mill'a punkt wyjścia w filozofii jest psychologiczny, subiektywny. Dopiero w drugiej połowie swojej „Logiki” gdzie mówi o znaczeniu indukcji, oraz gdzie kreśli „Logikę nauk społecznych” więcj zbliża się do Comte'a. Jemu wszakże zawdzięczał Comte pierwszy rozgłos w Anglii. Zawiązała się tedy między nimi korespondencya w rozmaitych kwestiach filozoficznych i społecznych ogłoszona teraz w dziele Littré'go (A. Comte et la phil. positive). Chociaż Mill nie nazywa się

(1) Wiadomość o życiu i pismach J. S. Mill'a znajduje się w „Kalendarzu Ilustrowanym” Jaworskiego, za r. 1868.

pozytywistą, chociaż filozofuje na własną rękę; tyle jednak przejął od Comte'a, że go śmiało do szkoły pozytywnej zaliczyć można. W Anglii filozofia pozytywna naturalnie zmieniona znalazła dosyć zwolenników, jak się o tém można przekonać z wydawanych tam książek. Jako szczegół interesujący warto zauważyć, że i kobieta, mis Harriet Martineau zajęła się spopularyzowaniem nauki Comte'a i wydała streszczenie jej w dwóch tomach pod tytułem: „The positive philosophy of Auguste Comte” (London 1853). Autorka ofiarowała nawet część dochodu ze sprzedaży dzieła na rzecz Comte'a.

Bezpośredni i mało krytyczny uczeń jego Celestyn Blignières, wydał: „Exposition abrégée et populaire de la philosophie et de la religion positives” (Paris 1857). Z pomiędzy krytyków filozofii pozytywnej znanych nam, najwyżej stoi Mill, a najniżej Karol Peliarin, który ogłosił „Essai critique de la philosophie positive” (Paris 1864).

Z kolei wypada nam przystąpić do wykładu nauki Comte'a, który będziemy uzupełniali uwagami Mill'a, Littré'go i swojemi, o ile się w czém nie zgadzamy z zasadami filozofii pozytywnej.

II.

DEFINICJA FILOZOFII POZYTYWNEJ.

Przez filozofią rozumiemy pewien ogólny i rozumny sposób zapatrywania się na wszelkie zjawiska podpadające pod zmysły. Z takiego zapatrywania się na zjawiska i zachodzący między nimi związek, powstaje w umyśle naszym powiązany system praw, według których zjawiska owe powstają i znikają. Ponieważ ludzie nawet uczeni rozmaicie zapatrują się na zjawiska, czyli według różnych metody praw nimi rządzących dochodzą, musiały powstać rozmaite zapatrywania się na świat, czyli rozmaite filozofie. Czytelnik nawet nie zajmujący się filozofią, tyle przynajmniej słyszał, że w ciągu długiego pasma wieków były filozofie takie jak: grecka, scholastyczna, niemiecka, idealistyczna, materialistyczna, eklektyczna i t. d. Z tych przymiotników dodawanych filozofii przekonywa się: że były rozmaite zapatrywania się na świat, czyli na zjawiska w nas i zewnątrz nas zachodzące. Teraz dowiaduje się, że jest jakaś filozofia pozytywna i zaraz domyśla się, że i ta musi być pewnym zapatrywaniem się na świat, różnym od poprzednich. Trzeba nam tedy dać definicyą téj filozofii. Ale najlepiej, zdaje się, postąpimy, przytaczając określenia dane przez twórcę nauki i jego zwolenników. Otóż tym twórcą jak się wyżej powiedziało, jest A. Comte; zacznijmy więc od niego.

„Dla wytłumaczenia jak należy — pisze Comte — prawdziwej natury i właściwego charakteru filozofii pozytywnej, koniecznym jest byśmy rzucili okiem na postępowy rozwój umysłu ludzkiego... gdyż pojęcie wszelkie najlepiej może być wyrozumiane przez swoją historią.

„Rozważając tedy całkowity rozwój umysłu ludzkiego w rozmaitych sferach działalności od pierwszych zaczątków aż do dni naszych, zdaje mi się, że odkrył wielkie prawo fundamentalne, któremu ów rozwój statecznie i koniecznie ulega. Prawo to polega na tém, że każde z naszych głównych pojęć, każda gałąź naszej wiedzy, przechodzi przez trzy różne stany teoretyczne, to jest: teologiczny, metafizyczny i naukowy czyli pozytywny. Innemi słowy: umysł ludzki z natury swojej używa w każdym ze swoich poszukiwań trzech metod filozoficznych, których charakter jest do gruntu różny i sobie przeciwny; używa tedy najprzód metody teologicznej, potem metafizycznej a nareszcie pozytywnej. Ztąd pochodzą trzy rodzaje filozofii czyli ogólnych systemów zapatrywania się na ogół zjawisk, systemów wzajem się wyłączających. Pierwsza metoda stanowi konieczny punkt wyjścia dla umysłu ludzkiego; trzecia, jego stan ostateczny i stały; druga jest tylko przejściem.

„W stanie teologicznym, umysł ludzki, kierując głównie swoje poszukiwania ku wewnętrznej naturze rzeczy, ku przyczynom pierwotnym i celowym, jednym słowem, ku poznaniu bezwzględnemu, wyobraża sobie zjawiska jako wyniki ciągłego i bezpośredniego działania czynników nadprzyrodzonych mniej lub więcej licznych, których samowolne gospodarowanie tłumaczy mu (umysłowi) wszelkie pozorne anomalie czyli nieprawidłowości we wszechświecie.

„W stanie metafizycznym, będącym w gruncie tylko ogólną odmianą poprzedniego, czynniki nadprzyrodzone zastąpione są przez siły oderwane, uosobione, mieszkające w zjawiskach i istotach, zdolne same z siebie do zradzania owych zjawisk, wytłumaczenie których polega na tém, ażeby każdemu z nich upatrzeć taką siłę rodzącą.

„Nareszcie w stanie pozytywnym umysł ludzki uznając niepodobieństwo dojścia do pojęć bezwzględnych, zrzeka się dochodzenia początku i przeznaczenia świata, poznania przyczyn wewnętrznych niby przemieszkujących w zjawiskach; a poprzestaje jedynie na odkrywaniu za pomocą rozumu i doświadczenia, istotnych praw rządzących zjawiskami, to jest na odkrywaniu ich niezmiennych stosunków, o ile po sobie następują i o ile są sobie podobne.

„Z tego więc co poprzedza, widzimy, że zasadniczym charakterem filozofii pozytywnej jest uważanie wszystkich zjawisk za poddane niezmiennym *prawom* naturalnym, ściśle wykrycie których i sprowadzenie do jak najmniejszej liczby, jest celem wszystkich naszych usiłowań. A ztąd już widocznem jest, że niedostępnem i bezowocnem byłoby dla nas poszukiwanie tak zwanych *przyczyn*, czy to pierwotnych, czy celowych” (causes premières et finales) (1).

Teraz posłuchajmy jak filozofia pozytywną określa najwierniejszy uczeń i zwolennik Comte'a p. E. Littré.

(1) Cours de philosophie positive. I, 8, 9, 16. Wydanie z 1864 r. Według tego wydania będziemy i dalej przytaczali ważniejsze ustępy, oznaczając tomy liczbą rzymską a stronnice arabską.

„Filozofia pozytywna spoczywa jeszcze w pewnej niejasnej atmosferze, która nie pozwala ję otoczyć się blaskiem i rozgłosem jaki spotkał tyle innych filozofii lub systemów. Wszakże, pewnem jest, że pomimo nienależytego ję pojmwania, niezliczone pojęcia z nię wynikające zawładnęły umysłami, myślą i językiem. Ludzie posługują się temi pojęciami nie wiedząc zkąd one pochodzą, ani od jakiej zawisły zasady. Tak więc choć znana w wielu szczegółach, filozofia pozytywna nieznaną jest w całości. Dla jednych, jest to pewien rodzaj spekulacji matematycznej dążącej do poddania nauce ścisłej, nauk nieścisłych jak: historia, moralność, sztuki piękne; i słusznie śmieją się z tak oczywiście niedorzecznych uroszczeń. Dla drugich, jest to wznowiona teoria Epikura lub Holbacha, która podobnie jak filozofie materyalistyczne prowadzi do przewagi indywidualnego zdania, i słusznie potępiają nauki, które przez swoje następstwa zagrażają moralnemu porządkowi.

„Dla wszystkich wreszcie filozofia pozytywna jest płodem szkoły, tak iż prawdziwéj ję doniosłości nawet się nie domyślają” (1).

„Filozofia pozytywna jest tedy takiem pojmwaniem świata jakie wynika z uporządkowanego ogółu nauk pozytywnych... to jest pojmwaniem świata opartém na uporządkowaniu faktów ogólnych czyli prawd zasadniczych które do nich prowadzą” (2).

„Filozofia pozytywna jest ogółem wiedzy ludzkiej rozłożonym według pewnego porządku, który pozwala ogarnąć związek części i ich zgodę i wyprowadzić ztąd ogólny kierunek tak dla każdej części jak i dla całości. Przez *wiedzę* ludzką znów rozumiemy poznanie sił złożonych w materyi i warunków czyli praw rządzących temi siłami. Znamy bowiem tylko materyą i ję siły czyli własności, nie znamy zaś ani materyi bez własności czyli sił, ani sił czyli własności bez materyi” (3).

Mill chociaż wysoko ceni filozofią pozytywną taką jak ją Comte i Littré określili, sam przecież daje inną definicyą filozofii, definicyą wcale nieścisłą a tém mniej pozytywną. Mówi on bowiem „przez filozofią rozumiemy to co starożytni rozumieli, mianowicie umiejętne poznanie człowieka jako istoty rozumnej, moralnej i społecznej. Ponieważ zaś jego władze umysłowe zawierają oraz władzę poznania, zaczem nauka o człowieku (the science of Man) zamyka wszystko co człowiek może poznać, innemi słowy, całą naukę o warunkach poznania ludzkiego” (4).

Definicja Mill'a jest wielce niedokładną, ponieważ wychodzi z podmiotu, czyli jak nazywają subjektu i redukuje całą filozofią do warunków pod jakimi rozum może poznać wszystkie zjawiska: brak

(1) E. Littré: Paroles de Philosophie positive. Paris. 1859. Str. 6.

(2) E. Littré: Auguste Comte et Stuart Mill. Paris. 1867. str. 8—9.

(3) E. Littré: Auguste Comte et la philosophie positive. Paris.

1863. Str. 42.

(4) J. S. Mill, August Comte and positivism. London 1865, str. 53.

w niej tego właśnie co stanowi charakter filozofii pozytywnej, to jest żywiołu obiektywnego. Słowem jest to stara definicja psychologiczna. Pomimo tego jednak Mill przyjął metodę Comte'a i chociaż mówi jeszcze starymi wyrazami, ale myśli nowym duchem.

Z tego co się powiedziało, może czytelnik jeszcze nie ma dostatecznego pojęcia filozofii pozytywnej; dlatego dajemy tu nie nowe, ale jak najkrótsze jej określenie: Filozofia pozytywna jest systemem praw, którym z koniecznością ulegają *wszystkie* zjawiska. Do wynalezienia praw tych dochodzi się przez umiejętne doświadczenie czyli postrzeganie. O ile postąpią pojedyncze gałęzie wiedzy śledzące działanie praw naturalnych, o tyle i filozofia pozytywna będąca powiązaniem w system praw rzeczonych będzie zupełniejszą. Zaczem filozofia pozytywna nie snuje z siebie samej ani praw według których rozwijają się zjawiska duchowe, fizyczne i społeczne; ani tych praw w dowolny system nie układa; lecz przyjmując z jednej strony odkryte prawa zjawisk przez pojedyncze nauki i wskazując im niemyślną metodę dochodzenia prawdy; z drugiej porządkuje znalezione prawa według ich zakresu i wzrastającego onych powikłania czyli oddziaływania jednych na drugie. Po definicyi, wypada nam przystąpić do podziału filozofii pozytywnej.

Jednym z głównych charakterów filozofii pozytywnej tak jak ją Comte pojmował, jest *klasyfikacja* nauk, z których każda ma swoją filozofią, system praw którym ulegają zjawiska przez nie postrzegane. Te pojedyncze filozofie razem wzięte i według właściwej metody uporządkowane stanowią całość, jednolity system filozofii pozytywnej.

„Postawieni wśród niezliczonej różnitości rzeczy i zjawisk, na pierwszy rzut oka spostrzegamy naturalne i bardzo wyraźne między nimi granice. Najmnie oświecony człowiek, od razu widzi różnicę między istotami ożywionemi a nieożywionemi, czyli jak szkoła uczy, między światem organicznym i nieorganicznym. Widzi on dalej, że tylko część materji zdolną jest do przyjęcia form organicznych czyli życia, że nawet ta część nim zostanie porwana w objęcia praw właściwych życiu, ulega prawom ogólnym na równi z całą materją, to jest powinowactwu chemicznemu, ciężkości, ciepłu, elektryczności” (1).

Tak więc najogólniejszy podział nauk a tém samém i filozofii, jest na takie które się zajmują wyśledzeniem praw, wedle których rozwijają się zjawiska świata nieorganicznego, i praw jakim ulegają zjawiska świata organicznego. Jedne z nich są oderwane; drugie rzeczywiste (konkretne). Pierwsze jako łatwiejsze wcześniej doszły do doskonałości; drugie jako trudniejsze są w peryodzie rozwoju. Pierwsze, to jest oderwane, mogą być zdaniem Comte'a zredukowane do sześciu głównych. Ponieważ zjawiska które nimi się one zajmują zależą jedne od drugich, więc oczywiście, i te nauki muszą od siebie zależeć wzajemnie. Ale według jakiej zasady je

(1) Littré. Paroles de philos. posit. str. 9.

rozłożyć? Oto według wzrastającego powikłania zjawisk, tak że każda nauka zależy od praw odkrytych przez poprzednią, a nadto od praw sobie właściwych. Głównych więc nauk jest sześć, porządek ich według tylko co namienionej zasady, następujący:

Matematyka. Prawdy matematyczne dadzą się stosować do wszech rzeczy i zależą tylko od praw sobie właściwych; możemy je więc studyować nie bacząc na inną jakąkolwiek naukę. Poddziałami matematyki są: *geometrya* wymagająca już znajomości praw arytmetycznych czyli praw liczbowych, ale nadto i praw szczegółowych, właściwych rozciągłości: geometryą więc można studyować niezależnie od wszelkich nauk, wyjąwszy arytmetykę. Powtóre *mechanika czysta.* Ta zależy od praw rządzących liczbą i rozciągłością, a nadto od praw równowagi i ruchu.

Astronomia. Zjawiska astronomiczne zależą od trzech rodzajów praw wyżej wyliczonych, a nadto od prawa ciężkości (ciążenia), które nie wywiera żadnego wpływu na poprzednie, to jest na prawdy arytmetyczne, geometryczne i mechaniczne (z mechaniki).

Fizyka. Ta wymaga znajomości praw matematycznych a nadto i astronomicznych, ponieważ wszystkie zjawiska ziemskie ulegają wpływowi jaki wywiera na nie ruch ziemi i ciał niebieskich.

Chemia. Zjawiska chemiczne zależą od wszystkich praw poprzednich i od sobie właściwych.

Biologia, czyli nauka o życiu w ogóle. Zjawiska fizyologiczne zależą od praw fizycznych i chemicznych a nadto i od sobie właściwych.

Socjologia. Zjawiska społeczne które rozpatruje ta nauka, zależą od wszystkich praw przez powyższe nauki wysłędzonych i od sobie właściwych.

Takie są zatem nauki fundamentalne. Jest ich 6, do których później Comte dodał siódmą, Moralność. Związek między nimi konieczny tak jak i między zjawiskami któremi się zajmują. Zasada według której się porządkują brzmi u Comte'a: „Ogólność malejąca a powikłanie zjawisk wzrastające, *la généralité décroissante et la complication croissante des phénomènes.*” Pod te główne nauki dadzą się podporządkować ich gałęzie, ale to już rzecz mniejszej wagi.

W istocie ta hierarchia i klasyfikacja nauk jest mistrzowskiem dziełem Comte'a i stanowi po tylu próbach dawniejszych, jego chwałę. Uznaje to i Mill gdy powiada: „Gdyby Comte nic innego nie zrobił nad tę klasyfikacją nauk, już to samo stawiloby go u wszystkich ludzi kompetentnych, w szeregu naczelných myślicieli wieku” (1).

Na tę klasyfikacją nauk pragniemy bliżej zwrócić uwagę czytelnika, ponieważ ma ona wielkie znaczenie dla filozofii pozytywnej.

(1) Mill. A. Comte and positivism—str. 53.

Wszystkim obznajmionym z historią filozofii wiadomo, że nauka ta szukała jakiegóś niezachwianéj podstawy, na którój stanąwszy mogłaby co do ścisłości spółzawodniczyć z resztą nauk na doświadczeniu opartych. Ale filozofowie dawniejsi, nie wyjmując Hegla wychodzili zawsze z podmiotu, z subiektu, ze swojego *ja* i według indywidualnych przywidzeń, budowali systemata upadające jeden po drugim. Dawna filozofia nie mogła znaleźć rzeczywistego związku między przedmiotem a podmiotem, nie mogła dowieść, że wywody i wnioski jéj mają znaczenie powszechné doświadczeniem stwierdzone; budowała systemata z głowy, mało się troszczyła czy one znajdują potwierdzenie w rzeczywistym świecie. Comte przeciwnie, wychodzi z przedmiotu, ze świata nas otaczającego; dostrzeżone w nim prawa rządzące zjawiskami porządkuje w całość, którój części wiążą się koniecznie i to nie skutkiem konieczności wymarzonej przez filozofa, ale skutkiem konieczności wewnętrznej, leżącej w naturze zjawisk, w ich wzrastającym powikłaniu. Ponieważ zaczął od praw matematycznych, najpowszechniejszych, ponieważ wykazał ważność ich na następnych rozwoju stopniach, w świecie organicznym i społecznym; ponieważ wykazał ścisły związek między zjawiskami że tak powiem matematyczno-fizycznymi a duchowo społecznymi; ponieważ pomyślny przez niego układ wiedzy ogarnia wszelkie pojawy i za podstawę bierze niezachwiane prawa świata fizycznego: zatem budowa ta ma trwały fundament, konieczny związek i zależność części jednych od drugich; jest majestatyczną świątynią, pod którój sklepieniami mieszczą się wszelkie zjawiska mogące zajmować rozum ludzki. Nie dosyć na tém. Skarżono się i słusznie, że dotychczasowe filozofie pomijając zjawiska świata fizycznego i bujając w sferach dowolnego oderwanego myślenia, pozbawiały się tém samém jedynéj rzeczywistéj podstawy, to jest właśnie niezmiennych praw fizycznych.

Skarżono się dalej i słusznie, że filozoficzne systemata nie zostają w koniecznym związku z przyrodą i społeczeństwem, że są marzeniami na jawie niewyćwiczonego w naukach ścisłych, doświadczalnych rozumu; że są poetycznemi złudzeniami ubranemi w język ciemny, barbarzyński, różny od tego jakim się zwyczajny człowiek posługuje: że są jedném słowem ćwiczeniami doktoryzowanych i niedoktoryzowanych szkolarzy, biorących swoje przywidzenia za rzeczywistość.

Skarżono się nareszcie i słusznie, że nie ma związku między filozofią a resztą nauk uprawianych przez ludzi, a mianowicie między filozofią a naukami przyrodzonymi. Mostu między temi dwiema sferami wiedzy nie mogła zbudować nawet tak zwana filozofia natury, będąca marzeniem o naturze. Ztąd wyrodziła się walka między naturalistami posługującymi się w swoich badaniach analizą w gabinetach fizycznych, w laboratoryach chemicznych, w muzeach anatomicznych, gdzie rachunek, waga, mikroskop, stanowiły sprawdzian dokonanych poszukiwań i prawd osiągniętych; a między spekulacyjnymi filozofami zakopanymi w księgach swoich poprzedni-

ków, snującymi systemata przy lampie indywidualnej fantazyi. Słusznie pierwsi szczylic się ścisłością w badaniach swoich, użytecznością osiągniętych wypadków dla rodu ludzkiego; i słusznie zarzucali filozofom marzycielstwo samopas chodzące i bezowocność poetycznych łamigłówek nazywanych pompatycznie systematami.

Comte temu zaradził. Zaczął od nauk matematyczno-fizycznych a skończył na społecznych. Piramida naukowa oparta jest u niego na podstawie, nie na wierzchołku, jak dotąd bywało. Prawie połowę swojego „Kursu filozofii pozytywnej” poświęcił usystematyzowaniu praw matematyczno-fizycznych i organicznych, nie w sposób dowolny obyczajem mniemanych filozofów natury (Schelling), lecz opierając się na sprawdzonych wypadkach nauk matematyczno-fizycznych. Chcąc dojść do wykrycia praw socyologicznych czyli rządzących społeczeństwem, przebiegł wprzód długą i mozolną drogę jaką się dochodzi do poznania praw rządzących zjawiskami świata nieorganicznego i organicznego. Uprawnieni do sądu w naukach ścisłych znawcy, przyznali mu doskonałą znajomość wypadków osiągniętych w tych naukach po czas, w którym zaczął pracować nad filozofią pozytywną.

Tu może nas spotkać zarzut, że przecież znacznie jeszcze przed Comte'em wyższe umysły tą samą szły drogą i wypowiedziane przez niego zasady dawno wskazały. Rzeczywiście filozofia pozytywna jest tak dawną jak doświadczenie. Comte téż ze czcią wspomina Arystotelesa, Kopernika, Bakona, Newtona, Lavoisiera, Lamplace'a, Bichat'a. Nie obce mu były pomysły o rozwoju społeczeństwa ogłoszone przez Turgot'a i Condorcet'a. Littré między zwiastunami filozofii pozytywnej w części dotyczącej socyologii kładzie i Kant'a; Mill dolicza jeszcze Hume'a i Tomasza Brown'a i powiada: „Filozofia pozytywną zwana, nie jest świeżym wynalazkiem Comte'a: przyłączył on się tylko do tradycyi tych wielkich myślicieli, których badania uczyniły ród ludzki tém czém jest” (1).

My moglibyśmy dodać, że na drodze pozytywnej filozofii byli lub są u nas tacy uczeni jak obaj Sniadeccy, M. Wiszniewski, Józef Supiński i ci wszyscy którzy za cel życia naukowego położyli sobie poznanie praw rządzących światem nieorganicznym, organicznym i społecznym a to drogą umiejętnego doświadczenia, postrzegania; którzy doświadczenie biorą za jedyny i wystarczający sprawdzian w badaniach naukowych, za źródło prawdziwej filozofii. Uważając tedy z jednej strony, Comte miał poprzedników, bo nie brakło znakomitych uczonych idących obraną przez niego drogą; z drugiej jednak on pierwszy z całą świadomością wypowiedział potrzebę i konieczność ujęcia w całość praw fizycznych i społecznych, drogę badania nakreślił, słowem stworzył filozofią pozytywną.

Twórcami pewnej nauki są nie ci, co przypadkiem spotkali się z prawdami stanowiącemi jęj treść, lecz którzy wypowiedzieli jęj

(1) Mill, A. Comte and positivism. Str. 9.

potrzebę i rzucili genialne zarysy ze świadomością skutków jakie sprowadzić musi, zostawiając następnym pokoleniom wykończenie szczegółów. Z tego punktu patrząc Comte jest niewątpliwie twórcą filozofii pozytywnej.

Mniejszej doniosłości od klasyfikacji nauk jest empiryczne prawo sprostrezzone przez Comte'a w rozwoju pojedynczego umysłu czyli nauk i w rozwoju zbiorowego człowieka, czyli historii.

Zdawało mu się że odkrył prawo nieomyłne któremu po wszystkie czasy ulega umysł ludzki, a mianowicie że z początku rozmaite objawy przypisuje wpływom nadprzyrodzonym (stan teologiczny), następnie wymarzonym siłom (stan metafizyczny) a w końcu tłumaczy je według praw naturalnych i własności tkwiących w samych zjawiskach (stan pozytywny). Już to prawo nie jest powszechne, bo jak Mill dobrze zauważył, matematyka nie była nigdy w fazie teologicznej ani metafizycznej, bo nie słyszano nigdzie o bożkach wagi i miary.

Powtóre, nauki w przebiegu swoim pośród rozmaitych ludów mogły się znajdować i były rzeczywiście w tych trzech fazach społecznie. Ta uwaga sama narzucała się Comte'owi, krytyka także wskazywała mu tę słabą stronę owego prawa, sam on wreszcie w wielu miejscach głównego swojego dzieła napomyka o tém; z tém wszystkiem prawo rozwoju tak sformułowane uznał za powszechne.

Przypuściwszy zaś, że jest ono takim, należałoby wykazać na pojedynczym człowieku, że umysł jego trzy stany: teologiczny, metafizyczny i pozytywny, koniecznie musi przechodzić po kolei.

Otóż nad człowiekiem uważanym pojedynczo, nad jego stroną duchową, Comte bardzo mało się zastanawiał. W nakreślonym przez niego systemie wiedzy, brakuje psychologii, logiki, estetyki, etyki i ekonomii politycznej. To opuszczenie głównie wpłynęło na wypaczenie naukowych prac jego z drugiego peryodu życia. Antropologia, albo jak chcą inni psychologia, powinna była stanowić przejściowe ogniwo między biologią a socyologią, między życiem jednostki a ogółu. Wrócimy jeszcze przy wykładzie socyologii do tego punktu. Tymczasem nadmieniamy, że Comte nawet nie przypuszczał możliwości utworzenia psychologii. „Jeżeli, powiada, czynności umysłowe będziemy rozważali z punktu widzenia statycznego, nauka o nich winna oznaczyć warunki organiczne od których zawisły; tym sposobem nauka ta (psychologia) stanowi nieodłączną część anatomii i fizjologii. Metafizycy wymyślili w szczególnej swojej subtelności, dwa rodzaje obserwacji zarówno ważnej, jednej wewnętrznej, drugiej zewnętrznej. Otóż to mniemane, bezpośrednie zapatrywanie się ducha na samego siebie, jest czystym złudzeniem (1).” Wiadomo zaś, że jeżeli psychologia

(1) Cours de philosophie posit. T. I str. 30—31, oraz T. III, cała Lekcja 45.

stała się możliwą, polegało to właśnie na tém, że duch nasz może się ze tak powiem rozłamać i sam sobie przyglądać, swoje myśli, uczucia, wrażenia, brać za przedmiot rozważania. Comte przecząc temu, zaprzeczył faktowi znanemu tak powszechnie, że walka na tym punkcie nawet dla zwolenników jego stała się niepodobną. Dlatego też Littré uznaje to opuszczenie, jakkolwiek w miejsce psychologii, wołałby inną naukę postawić, którą nazywa *Teoryą czynności mózgowych* i miejsce jej na ostatku biologii naznacza. Nie spierając się o wyrazy i przypuszczając że teoria czynności mózgowych zastąpi dawną psychologią w systemie pozytywnym, brak pozostanie brakiem, który następcy muszą zapełnić.

Co dziwniejsza jednak, to że Comte chwycił się nauki Galla i kranilogią chciał postawić w miejsce psychologii.

Ponieważ nauka Galla zdaje się być nieodwołalnie potępioną przez anatomią i fizyologią, żaden zatem pozytywny filozof nie będzie jej wznawiał, jeżeli nie zechce narazić się na zarzut śmieszności. My też nad tym punktem filozofii Comte'a dłużej się zastanawiać nie potrzebujemy. •

Nie ma również w systemie Comte'a miejsca na logikę, którą w późniejszym czasie chciał zastąpić matematyką. Littré w powołaném wyżej dziele o życiu i pismach Comte'a, doskonale błęd ten wykazał i ktoby się chciał bliżej z tą sprawą obznajmić, niech przejrzy wspomnioną książkę.

Nie ma dalej w filozofii Comte'a miejsca na estetykę, a nawet wątpić można, czy miał jakie takie pojęcie tej nauki; przynajmniej w dziełach jego nie widać, ażeby go zajmowała teoria piękna.

Co się tyczy jego pojęć etycznych, o tych będzie mowa w ustępie, gdzie będziemy mówili o socyologii.

Tak więc czytelnik widzi, że systemowi filozofii pozytywnej brak jest niektórych rozdziałów, które szkoła może z czasem utworzyć. Dzięki Mill'owi filozofia pozytywna ma już logikę która najwięcej się zbliża swoją częścią indukcyjną do tego, czego wymaga szkoła pozytywna.

Nakreśliwszy choć może bardzo niedokładny obraz części filozofii pozytywnej, podawszy jej definicyą, podziak; napomknąwszy o niedostatkach, mógłby nas kto zapytać, azali ta nowa filozofia jest potrzebna i w czém ona zaradzi potrzebom umysłowym naszego czasu. Mógłbym szeroko o tej potrzebie pisać; wolę jednak przytoczyć to co Littré stawiwszy sobie podobne pytanie, odpowiedział. Wykazawszy próżnię w ogóle ludzkich pojęć, koniecznym jest dać coś innego, co tę próżnię zapełni. W braku takiego wykazania filozofia pozytywna wyskoczyłaby jak Minerwa z głowy Jowisza i potém przepadła w oceanie ludzkiej myśli. Każda nauka nie mająca jeszcze szerokiego uznania, musi wykazać ogółowi, że nie jest przybłądą, lecz koniecznym ogniwem w łańcuchu wiedzy. „Być może, iż ktoś powie, pisze Littré, czemu nie zostawić rzeczy po dawnemu, czemu nie zostawić każdej nauki

w odosobnieniu, po co to ambitne uroszczenie zlania wszystkich nauk w jedną umiejętność, któraby została dla nich skazówką i prawdziwą filozofią? A nadto jeżeli w ostateczności zgodzimy się na to uporządkowanie wiedzy i na tę solidarność wszystkich jej części, po co takie pojęcie wprowadzać do wychowania, do moralności, do polityki? Bawcież się kiedy wam to do smaku, w rozmyślanie o nieskończonem powiązaniu wszystkich nauk; posługujcie się niem gdy potrzeba w pojedynczych doświadczeniach jakich wymaga postępy umiejętności; ale nie kuście się o zaszczerpiecie takiego systemu między pospółstwem. Ma ono pojęcia swoje płynące z poważnej tradycyi, nie zakłócajcież jego spokoju umysłowego. Pojmujcie sobie świat takim jakim go przedstawiają poszukiwania dokonywane przez wielkie geniusze; pospółstwo pojmuje go tak, jak go dawniej pojmowano i to mu wystarcza." Na to tak odpowiadamy. Pomysł A. Comte'a wedle którego rozliczne, różnorodne nauki stanowią jedną umiejętność jednolitą i powszechną, jest z szeregu takich, według których Bichat stworzył biologią, Lavoisier chemią, Newton system świata, Dekart powszechną geometryą. Wszakże ze względu na teraźniejszy stan ludzkości, filozofia pozytywna ma inne jeszcze, większe znaczenie; owe nauki stanowią jej podstawę i bez nich ukazałby się nie mogła. Jest ona dzieckiem czasu, koniecznym wypadkiem wszystkiego co ją poprzedziło. Jak koniecznym było, ażeby jakiś geniusz jak np. Newton następca Keplera, Galileusza i Dekarta z ciężenia uczynił powszechny czynnik dynamiki niebieskiej; tak koniecznym było ażeby jakiś wyższy umysł stworzył i rozwinął filozofią pozytywną. Otóż, nowa nauka zjawiająca się w czasie przez historią naznaczonym, zmieniająca pojęcie świata, musi wszędzie zastąpić starą naukę. Nie rozumie historyi kto sądzi, że stopniowe odkrycia zmieniające stan umysłowy ludzkiego rodu są pewnym rodzajem ukartowanych sideł na zagubę istniejących wyobrażeń lub instytucyj. Prawda z początku podobna jest do słabego i z daleka migającego światelka; lecz gdy podrośnie, musi oświecić wszelkie sfery wiedzy. Następuje zatem krytyka, łamanie się umysłów, zmiany społeczne, słowem nowe fazy ludzkości.

„Od czasu odrodzenia się nauk humanitarnych, następuje wolny rozkład dawnych wyobrażeń we wszystkich warstwach społeczeństwa, rozkład rozmaity co do siły, ale w gruncie wszędzie sobie podobny. Nie mówiąc już nic o protestantyzmie, wicherzyielskich sektach rewolucyj angielskiej i ateizmie francuzkiej, dawne wyobrażenia o świecie wyrugowane zostały jużto niezmiernością wszechświata i stałym gwiazd biegiem, jużto wiekiem ziemi, peryodami geologicznymi i następstwem rodzajów; jużto wiarą w prawdziwość pracy przemysłowej, jużto różnaitością plemion i ich języków. Otóż prawdę mówiąc, próżnia w pojęciach ludzkich coraz staje się większa, którą czemś zastąpić potrzeba. Nie czynimy więc żadnej ujmy stariej nauce, której przeszłość jest świetna i chwa-

lebna; ale teraz już inni są ludzie, dla których owa nauka jest marta literą.

„Jakoż, faktem jest, że w miarę jak nowe pokolenia występują na widownię życia, pewna ilość ludzi, trudna do rachowania ale zawsze znaczna, wyzuwa się ze starych wyobrażeń i przechodzi w szeregi niezależnych myślicieli. Ta umysłowa przemiana nie ogranicza się do jednej, szczególniejszej warstwy ludzi; spotkasz ją tak między uczonymi jak i prostakami, pomiędzy lekkomyślnymi i poważnymi, w sferach niższych i wyższych, między zachowawcami i postępowcami. I pomimo, że ludzie ci jednakowe mniej więcej odebrali wychowanie, ten prąd wieku zwraca ich z dawniej drogi, lubo nieraz muszą walczyć z drogiemi wspomnieniami młodości, zrywać z rodziną, stracić stanowisko, narazić się na szyderstwa.

„W obec takiego rozstroju umysłowego. filozofia pozytywna nie potrzebuje występować zaczepnie. Wiek XVIII rozpowszechnił w rozmaitej formie rezultaty wyższej spekulacji. To co mówiono sobie do ucha, na zebraniach kółek wyzwolonych i niezależnych, zaczęto głosić jawnie w dzień biały. Ale dziś już nie potrzeba rozpoczynać pracy Encyklopedystów; same okoliczności są skutecznymi do rozkładu czynnikami. Polemika negatywna nie ma przyszłości. Czas przygotowawczy przeminął a potrzeba nagli, żeby dla wszystkich umysłów zbitych ze starej drogi, obmyślić punkt wspólny, wiążąc je wspólną nauką. Umysły te pod wpływem osobistych przywidzeń błądzą i po omacku szukają drogi, bo nie ma nauki którąby je łączyła, nie ma gruntu na którymyby się oparły. Tą nauką, tym gruntem, jest filozofia pozytywna; za jej skazówką idąc, umysły zyskają jedność w dążeniach a społeczność bezpieczeństwa przeciw niesfornym zachciankom, będącym owocem rozprężenia umysłowego” (1).

Sądzę, że wszyscy znający stan umysłowy społecznego nam pokolenia w całym ucywilizowanym świecie, wszyscy którzy rozumiają puls czasu i znają się na skazówkach zegaru historycznego, przyznają słuszność powyższym słowom dobitnie charakteryzującym umysłowy rozstrój i potrzebę zaradzenia onemuż.

Od określenia filozofii pozytywnej, przejdźmy do jej metody, która się z nią wiąże jak najściślej a nawet jeżeli nowa nauka filozoficzna jest coś warta, to tylko dzięki swojej metodzie.

(1) Littré, Paroles de philosophie positive str. 22 i d. passim.

(Dokończenie nastąpi).

JAPONIA.

OBRAZ POLITYCZNYCH, HANDLOWYCH I SPOŁECZNYCH STOSUNKÓW KRAJU.

Jakkolwiek jeszcze w XVIym wieku, Japonia była już znana niektórym handlującym narodom; jednak pewniejsze o niej wiadomości, pochodzą zaledwie z końca zeszłego stulecia. Położenie jeograficzne, rozległość i sama nawet nazwa państwa japońskiego, długo bardzo nieprzeniknioną dla Europy pokryte były zasłoną. Dziś wiadomo że Japonia składa się z wielkiej liczby wysp, i zajmuje na powierzchni kuli ziemskiej 25 stopni szerokości a 27 długości; według map Robert'a, Brangton'a, Arrowsmith'a, Kruzenstern'a, rozległość jej wynosi 12,570 mil kwadratowych.

Od lat pięćdziesięciu, krajowcy lepiej byli oznajomieni z nauką, obliczyli i oznaczyli dokładnie powierzchnią kraju, zmierzylili obwody, oraz narysowali wszystkie swe wielkie i małe wyspy, wszystkie skały i góry swego archipelagu, i ułożyli wierne opisy wzburzeń wulkanicznych, jakich miejscowości te bywają widownią.

Mieszkańcy cudnej tej morskiej oazy, nadali jej nazwę *Niphon*, utworzoną z dwóch wyrazów *Nitri* słońce i *Phon* oznaczający początek czyli kolebkę rodu; z połączeniem tych dwóch wyrazów, zgodnie z prawidłami wymowy japońskiej, powstało dawniejsze *Niphon* i nowsze *Nipon*, co znaczy *wschód słońca*. W rzeczywistości, nazwa *Nipon* nie jest czysto japońska, pochodzi raczej z dyalektu chińskiego, który został tam wprowadzony wraz z pismem, i z niego to mandaryni niebieskiego państwa utworzyli nazwę Słupen, Anglicy Japan, Hollendrzy Jopan (*Joponn*), Francuzi Japon, a Polacy Japonia.

Dla poety lub malarza, położenie Japonii ma urok niewysłowiony. Ciemno lazurowe morze cudnie odbija od umajonych zioleuią pagórków, a dziewicza świeżość roślin uprawianych pracowitemi dłońmi mieszkańców, dziwną tworzą sprzeczność z poły-

skliwą białością nadbrzeżnych piasków, które pod blaskiem promieni słonecznych błyszczą ogniem dyamentów. To znów zachwyca oko uroczy widok skał z różowego granitu, w których morskie bałwany wspaniałe powydrażały grotty, a ich głębokie tajemniczo mgliste wnętrza, do których zaledwie przedzierają się promienie południowego słońca, przypominają Europejczykom nasze gotyckie kościoły.

Brzeg morski rysuje się różnobarwnemi wzory, co każe wnosić, że ostryga perłowa nie daleko gdzieś się kryje. W głębiach oceanu, miriady polipów utworzyły koralową roślinność; zdaje się jakby te skamieniałe barwiste gałęzie, dobrowolnie ukrywały swą tajemniczą piękność, pod przezroczystą i migotliwą modrych wód osłoną.

Wszędzie tu widoczna szczodra dłoń Stwórcy, tak w nieprzebranych bogactwach ukrytych w łonie ziemi, jak w uroczej piękności przyrody i bujnej wegetacji, ozłoconej promieniami słonecznego blasku. Jakże to piękne i uroczne są owe noce japońskie, gdy ciemność zasłoną swą otoczy skały, wzgórze i morze, a czerwona tarcz księżycy, pochylając się i migocąc w falach oceanu, łączy jaskrawe swe światło z łagodnym i bladawym światłem planety Jowisza, przyswiecejącego tam jeszcze z wysoka.

Archipelag japoński jest środkowym punktem oceanu Spokojnego, który tu bynajmniej nie usprawiedliwia swego nazwiska, Nie ma na kuli ziemskiej krainy gwałtowniej pustoszonej przez wstrząśnienia wulkaniczne. Dawniej poczytywano za najgroźniejszy wulkan olbrzymią skałę *Fuzi*, obecnie zaś przyznano pierwszeństwo *Górze ciepłych źródeł*, na przylądku wyspy *Kiuziu*, której wierzchołek wznoszący się do wysokości 1,253 metrów, jest zawsze okryty śniegiem. Góra ta, kształtu ściętej piramidy jest nieustannym postrachem krajowców; ostatnie badania podróżników hollenderskich wskazują, że siła wybuchu tego wulkanu nie prędko jeszcze wyczerpaną zostanie, i równie jak dawniej straszne szerzyć może zniszczenie. Tu i owdzie wytryskują tam liczne źródła gorące, rozlane na powierzchni Wartsendaku. Tysiąc lat temu, u stóp straszego tego wulkanu, wzniesiono świątynię poświęconą *duchowi gor*, w której rolnicy składają pierwociny żniw, aby przejednać okrutne to bóstwo.

Cała niemal wyspa *Kiuziu* i półwysp *Wundensaku* najezone są wulkanami; jedne z nich już wygasły, drugie wyrzucają jeszcze corocznie lawę wulkaniczną, a *kroniki japońskie* opisują straszne zniszczenie, spowodowane wybuchem *Wundensaku*, w 1792 roku. Czytamy tam:

„Ośmnastrtego dnia pierwszego miesiąca 1792 r. spostrzeżono rozrywający się gwałtownie wierzchołek wulkanu, i gęsty dym buchający w powietrze.

„Szóstego dnia następnego miesiąca, wybuchnął inny krater w górach leżących ku wschodowi.

„Drugiego dnia trzeciego miesiąca, powstało silne trzęsienie ziemi, dające się uczuć całej wyspie, a w okoliczném mieście Simabarze, wszystkie domy zostały zburzone.

„Przestrachu i przerażenia opisać niepodobna, wstrząśnienia następowały po sobie z niewypowiedzianą szybkością. Góra Wundsendaku wyrzucała nieustannie grad kamieni, oraz potoki lawy i popiołu, o kilka mil w około szerzące straszne zniszczenie.

„Nakoniec pierwszego dnia czwartego miesiąca, powstały nowe wstrząśnienia wzmagające się gwałtownie. Simbara zamieniła się w piętrzące się stosy ruin; ze szczytu gór staczały się olbrzymie łomy skał, gruchocząc wszystko co tylko na swęj napotykały drodze.

„Pod stopami i nad głową straszne huczały grzmoty; nareszcie pocieszono się że straszna plaga już minęła, gdy nagle góra Miokenyama, północne ramie Wundsendaku straszliwym wybuchła ogniem. Znaczna część góry wylatuje w powietrze, olbrzymie bryły skał wpadają do morza, z rozpadlin wulkanu wytryskują nagle wielkie strumienie wody i kipiąc warem wpadają do oceanu, który, jakby nie mogąc objąć nadmiaru fal spienionych, zalewa całą okolicę.

„Jakby na domiar strasznej klęski, z potokow wód wrzących, mieszających się z bryłami wody zamarzłej, którą wzburzony ocean tłoczył do brzegu, powstały trąby wodne, które pędząc dolinę wszystko niszczyły po drodze.”

To straszliwe sprzymierzenie się niszczących potęg natury, okropnie spowodowało nieszczęścia w krainie Sinabary i na okolicznych wybrzeżach; prócz cytadelli zbudowanej z olbrzymich brył kamieni, ani jeden nie ostał się budynek; a rozwścieczone ognie podziemne tak zmieniły wybrzeża, że najbieglejsi żeglarze rozpoznać ich nie mogli. Podania japońskie twierdzą, że straszna ta klęska 53,000 ludzi zgładziła ze świata (1).

Obecnie Japonia liczy przeszło 40,000,000 mieszkańców, odnośnie więc do swęj rozległości, wynoszącej 12,570 m. kwa. przypada 3,182 mieszkańców na miłę kwadratową. Tak więc Państwo Słoneczne przeciążone jest nadmiarem mieszkańców, i kiedyś gdy pękną krępujące zapory, Japonia dostarczać będzie nowemu światu ogromny kontyngens wychodźców.

Kiedy pierwsi Europejczycy wylądowali na wybrzeżach Japonii, krajowcy przyjęli ich bardzo uprzejmie, bo wtedy jeszcze surowe prawa krajowe nie tamowały wrodzonej im gosiinności.

W XVIym i XVIIym wieku, cesarze japońscy tworzyli rozległe plany względem podboju ościennych krajów. Wojska japońskie zdobyły Koreę, a sławny cesarz Taiku-Figedozii, którego zgodnie z kronikami narodowymi, misyonarze katolicycy zwali Tajkosama, chciał na półwyspie tym nadać prawo lenności dowódcom walecznych wojsk i ich potomkom; co byłoby spowodowało

(1) *Le Japon contemporain* p. Eduard Fraissinet.

przenoszenie się na Koreę tłumów ludności japońskiej. Czując zbliżającą się chwilę śmierci, Tajkosama odwołał wojska swoje, w chwili gdy zawładnąwszy okolicznemi krajami, zwycięzko posuwały się ku Chinom. Co było powodem tego postanowienia, nie wiadomo; może nie chciał następcy swego obarczać przedsięwzięciem, które sam jedynie zdołałby obrócić na dobro poddanych swoich.

W owym też czasie kupcy, osadnicy a nawet i piraci japońscy, wylądowali na wybrzeżach Tunkinu i Kambodżii, Siamu, Formozyi, wysp Filipińskich i Moluckich, skutkiem czego wielu Japończyków zaciągnęło się na ochotników w szeregi miejscowe i wielkiem odznaczali się męstwem.

Jeszcze w 1621 r. była w Manilli osada japońska; nadto widziano postów tego narodu w Rzymie, majtków w Anglii, kupców w Meksyku, a gdy Rosyianie odkryli Kamczatkę w 1696 r. przekonali się że synowie starożytnego Niphonu, od dawna już tam dosięgli.

Kiedy wychodźcy japońscy byli już rozproszeni w 16-tu cudziemskich krajach, surowy wyrok wydany w 1639 r. przez cesarza Gyemita, powstrzymał ich popęd do emigracyi, zabraniając pod karą śmierci oddalać się z kraju, a nadto zakazał wpuszczać cudzoziemców w granice Japonii.

Do roku 1853, Japonia tylko z opowieści i opisów podawanych przez Hollendrów, znaną była Europie, ponieważ używali oni pozwolenie założenia swęj osady na wyspie Decimie i stąd prowadzili handel z całą Japonią. Z jednej strony Hollendrzy dostarczali Europie plody państwa słonecznego, z drugiej obznajmiali jego mieszkańców z postępem naszej staręj cywilizacyi. Co do Japończyków, ci nie znali innych cudzoziemców prócz Chińczyków i Hollendrów; jeden tylko język hollenderski nie był im obcym, wyobrażali sobie że pismo i liczby hollenderskie były jedyne w Europie. Oba narody miały z sobą handlowe tylko stosunki, i dla tego może w dobrém żyły porozumieniu. Od czasu do czasu kilku kupców hollenderskich dostawało pozwolenie przybycia do Yeddo dla złożenia podarunków dla cesarza; po drodze, krajowcy przyglądali im się jakby jakim dziwotworom, a że nie posiadali żadnego charakteru urzędowego, mogli więc swobodnie poddać się wymaganiom przewodników i nie obrażać zbyt uatrętną ciekawością.

Nigdzie tu nie ma śladu że Japonia w znacznej części była kiedyś katolicką; dzieło nawrócenia dokonane przez S. Franciszka Xawerego i towarzyszących mu misyonarzy, zatarło się zupełnie w obyczajach i zwyczajach mieszkańców. Dziś nazwę chrześcian nadają ostatnim nędznikom i wyrzutkom społeczeństwa; przesładowanie wytępiło i zatarło wszystko, nawet wspomnienia.

Pomimo dość dawnego pobytu, Hollendrzy nie znali ani organizacyi ani formy rządu japońskiego; sądząc z pozorów muie-

mali że Japonia posiadała dwie stolice i dwóch naczelników państwa, czyli cesarza, świeckiego i duchownego, to jest *tajkuna* i *mikado*. Według nich *mikado* nie miał mieć ani wojska, ani terytoryum, ani władzy politycznej lub wykonawczej, i był jedynie władcą duchownym, niby najstarszym kapłanem; przeciwnie zaś *tajkun*, cesarz świecki, miał nieograniczoną władzę, otaczał się monarszym przepychem, rozkazywał samowładnie wojsku, okrętom, kierował całą maszyną państwa. Błędne to mniemanie wszędzie znalazło wiare. Kiedy więc w roku 1853, amerykański komandor Parry wpłynął ze swoją eskadrą do zatoki Yeddo, nie troszczył się bynajmniej o *duchownego* cesarza w Kioto, i starał się jedynie o względy *tajkuna* w Yeddo. W owym czasie władzę tę piastował Yesschi; już lat dziesięć był *tajkunem*, a kraj cieszył się nieprzerwanym spokojem, nie było bowiem powodu zwad i niezgody między szlachtą i rządem. Pojawienie się cudzoziemców było hasłem do wojny domowej.

W otoczeniu *tajkuna* wytworzyły się stronnictwa przychylnie i nieprzyjemnie cudzoziemcom: sam *tajkun* dobre przybyzdom okazywał chęci; mimo to jednak nieprzychylni książęta zatoczyli działa na wały sterczące wprost stojących w przystani Kanagawa statków, jak gdyby postanowili nie dopuścić wylądowaniu. Jednak mimo rozlicznych przeszkód, kommodor Parry zdołał narreszcie wręczyć *tajkunowi* list prezydenta Stanów Zjednoczonych, i zawarł z nim traktat, służący następnie za wzór narodom europejskim. Było to 1 lipca 1853 r., tak więc pierwsze otwarcie portów Japonii cudzoziemcom, jest dziełem Ameryki.

Biedny *tajkun* Yesschi przypłacił życiem swą przychylność dla cudzoziemców; jak tylko kommodor Parry opuścił ze swą eskadrą wybrzeża japońskie, książę d'Étitzten przekupił jednego z domowników *tajkuna*, i ten korzystając z obowiązków służby, dozwalającej mu często zbliżać się do swego pana, podjął się zadać mu truciznę. Mówią że *tajkun* podejrzywał dworaka, że pijąc wzrok jego spotkał się z pomieszany wzrokiem zbrodniarza i że rzucił mu w twarz filiżankę; dość że nikczemnik dręczony wyrzutami sumienia, na trupie swej ofiary odebrał sobie życie. Ale i książę d'Étitzten nie długo ich przeżył: pogardzany i wytykany przez opinię publiczną jako podżegacz mordu, samobójstwem zakończył życie.

Po zmarłym Yesschi obejmował *tajkunat* syn jego, Yeza-do; dziecię to słabe na ciele i na umyśle, było tylko płaszczykiem, a rzeczywistym władcą zostawał książę Ikarmscou, mianowany i uznany regentem za zgodą wszystkich stronnictw. Idąc śladem poprzednika, regent okazywał cudzoziemcom przychylnie usposobienie; potrafił przekonać słabych i wahających się panów, że obecnie trzeba unikać wszystkiego co by mogło wywołać wojnę, przynajmniej dopokąd kraj nie będzie lepiej przygotowany, a wtedy któż zabroni zmienić politykę? Dowodzenie to trafiło do przekonania Japończyków, którzy skutkiem wrodzonej azya-

tyckim narodom obłądy, chętnie uciekają się do dwuznaczności i podstępny; znalazło jednak przeciwnika w osobie księcia Mito, który dzięki urodzeniu i osobistym przyniotom, miał prawo uważać się za głowę arystokracji. Objawił głośno swą nienawiść do cudzoziemców, i zachęcał wszystkich żeby raczej ginąć z bronią w rękę w bohaterskim wysileniu, niżli najmniejsze czynić im ustępstwa. Mimo to regent postawił na swoim: Simoda i Hakodade otworzyły swe porty handlowi amerykańskiemu, a p. Harris mianowany konsulem generalnym Stanów Zjednoczonych, przybył zamieszkać w Simoda.

Zezwalając Amerykanom osiedlać się w Simoda i Hakodade, tajkun nie obrażał drażliwości Japończyków, ponieważ równie jak w Detsima, z krajowców mieszkali tam jedynie handlarze i rzemieślnicy.

Po czteroletnim pobyciu w Simoda, Amerykanie nie nie postąpili na drodze zbadania ustaw i organizacji krajowej; ani się domyślali rzeczywistej władzy mikada. Gdy połączone floty Francji i Angli wymogły świetne zadośćuczynienie za zniewagi doznane w Chinach, p. Harris, przewidując że korzystając z swej morskiej przewagi, zmuszą Japonią aby im otworzyła swe porty, i tym sposobem upadnie monopol amerykański, postanowił temu zapobiedz i wyzyskać korzystniejsze dla swych krajowców ustępstwa, i w tym celu znowu z tajkunem traktować począł. Nie miał wojska ani floty, ale umiał skorzystać z obecności sił europejskich, przedstawiając tajkunowi jak straszne klęski spadną na Japonią, jeśli niezwłocznie nie zapewni Europejczykom rozległych ustępstw. Następnie rozdarł traktat z 1854 r. i przedstawił nowe warunki, zapewniając że tylko ich przyjęcie zdoła odwrócić wojnę z olbrzymimi siłami Zachodu Europy. Tym sposobem wymógł traktat bardzo korzystny dla Stanów Zjednoczonych, i poręczył uroczyste w imieniu swego rządu, że Anglia ani Francja nie będą żądać rozleglejszych ustępstw. Teraz mógł odetchnąć spokojnie.

Jeszcze reprezentanci mocarstw zachodnich nie skończyli negocjacji o zawarciu traktatów, gdy nagle tajkun Menamoto-Yezada, w którego imieniu były prowadzone, umarł skutkiem zadanej trucizny, a fakt ten długo w największej przed cudzoziemcami trzymano tajemnicy. Opróżniony tron wywołał nowe zamieszki i intrygi. Pochwycono zabójców tajkuna, ci na torturach przyznali się do zbrodni, wyjawiając zarazem że podżegaczem i współnikiem otrucia był książę Mito, który ratował się ucieczką. Ponieważ idyota Yezada, nie zostawiał ani prawych ani adoptowanych następców, przystąpiono do obioru nowego tajkuna; pod różnemi pozorami nie dopuszczono do głosowania członków ani stronników rodziny Mito, i dziecię z rodziny Ki wstąpiło na tron w Yeddo.

Już w chwili zawarcia traktatów można było przewidzieć że wiele zastrzeżonych warunków, nie wejdą w wykonanie,

Obie strony stawały na zupełnie nieznanym sobie gruncie, musiały więc napotykać nieprzewidziane zawady i reklamacye. Otwierając port Yokohawa, rząd tajkuna był przekonany iż nie zaciąga innych zobowiązań nad te: że dozwoli małej liczbie spokojnych handlarzy pobudować sobie skromne domki na morskiem wybrzeżu, i tam trudnić się handlem i zamianą; tym czasem zamiast pokornych kupców pojawili się jacyś wielcy panowie, uganiający się za uciechami, zbytkiem, polowaniem i różnemi zabawami które w Japonii są wyłącznym przywilejem szlachty, a nadto nic sobie nie robiący z oficerów różnych książąt, których spotykali na *Tokaido* drodze prowadzącej do Yeddo. Najostatniejszy handlarz, co chwila nie wiedząc o tém obrażał najwięcej szanowane zwyczaje miejscowe. Wszyscy w ogóle Europejczycy a szczególnie Anglicy, uważali Japończyków za jakieś istoty podrzędne, co było powodem różnych zająć i nieprzyjemności, i coraz nowych zatargów z rządem tajkuna. Nie dość na tém zamordowano kilku Europejczyków na ulicach Yokohamy; wtedy reprezentanci Zachodu domagali się energicznie ukarania winnych, grożąc zemstą swych rządów. Trzeba było przypuszczać iż mordercy działali w porozumieniu z rządem, bo czyż podobna aby władza tak despotyczna, rozporządzająca tak liczną policją, nie mogła rzeczywiście wykryć sprawców popełnionych morderstw? Widząc jakie ciężą na nich podejrzenia, urzędnicy działający w imieniu tajkuna utyskiwali głośno, składali wszystko na nie dające się usunąć trudności, napomykali o licznych wrogach pragnących zguby ich pana i uchylili nieco gęstą zasłonę osłaniającą dziwną organizacyę polityczną, której główne zarysy przypominają nieco średniowieczne zasady europejskie.

Dnia 29 stycznia 1860 r. padł ugodzony sztyletem przed progiem legacyi, przyboczny tłumacz reprezentanta Anglii. Denkoutchi, znaleziony został kiedyś przez okręt amerykański, na pełnem morzu, w pół zatopionej łódce, podczas gwałtownej burzy zdała od wszelkiego lądu; w skutku tego wychowany w Stanach Zjednoczonych przejął nasze obyczaje i cywilizacyę. Japończycy uważali go za renegata, a pełnomocnik angielski za wiernego pomocnika, który jeden może zdołałby rozwikłać straszną sieć intryg i trudności w jaką byli wplątani. Osobiście boleśnie dotknięty tym smutnym wypadkiem, rezydent angielski wystąpił z żądaniem, może nie koniecznym politycznym, ale przynajmniej pięknie przedstawiającym charakter Europejczyków. Domagał się w imieniu Anglii, aby wbrew zwyczajom i etykietce japońskiej, gubernator Yokohamy szedł za trumną Denkoutchi'ego, w otoczeniu swych oficerów i urzędników;—lękając się następstw dygnitarz tajkuna ustąpił, i w obec zdumianej ludności okazywał widocznie głęboki żal nad śmiercią *nieźnego grzesznika*. Rzecz jasna, że podobne zajścia nie mogły oddziaływać przyjaźnie na usmierzenie wzajemnych niechęci.

W Yeddo wypadki wikały się coraz więcej; dowiedziano się iż regent, książę Ikammon został zamordowany przez zauszników księcia Mito, który mścił się za wygnanie, na jakie skazał go regent w 1858 r. Władza tajkuna z każdym dniem traciła dawny urok; powoli zaczęto się domyslać iż traktowano z niewłaściwym władcą, oraz pojmovać lepiej prawdziwe znaczenie tajkunatu i feudalnych praw magnatów.

W miesiącu styczniu 1861 r. p. Heusken tłumacz legacyi amerykańskiej, padł na ulicy pod ciosem zabójców. Był to człowiek obeznany ze wszystkimi współczesnymi miejscowymi kwestyami, który swą wyniosłością i szyderstwem, naraził sobie wszystkie władze japońskie. Pamiętano doskonale nieustanne jego sprzeczki z ex-gubernatorem Yokochary, który następnie został ministrem w Yeddo, i nie mógł zapomnieć wyrządzonej sobie obelgi, iż japońska jego duma musiała się ukorzyć przed zwłokami nędznego odstępcy. Po bardzo obraźliwej korespondencyi z Heusken'em, dygnitarz japoński odebrał sobie życie; zatem opinia publiczna uważała popełnione morderstwo, za święty obowiązek zemsty dokonanej przez podwładnych, obecnych przy śmierci swego zwierzchuika, który odbierając sobie życie aby nie przeżyć zniewagi, już tém samém domagał się aby śmierć jego nie uszła bezkarnie.

Zabójstwo Heusken'a spowodowało chwilowe oddalenie się reprezentantów europejskich. Ponieważ nie wykryto niby winnych, zatem zażądali moralnego zadość uczynienia, i urzędowej eskorty odpowiadającej za wszelkie napaści na osoby należące do składu legacyi. Zgodzono się na te ustępstwa, ale dodana eskorta tak nędzną miała powierzchowność, tak niekorzystnie wyglądała obok napotykaných po drogach orszaków magnatów japońskich, iż bynajmniej nie mogła dodać uroku Europejczykom.

W r. 1861 pełnomocnik angielski, sir R. Alerck, powracając z Chin wylądował w Nogasaki, i udał się do Yeddo drogą lądową, którą niegdyś przebywali Hollendrzy. Przybywszy do Yeddo i on i współtowarzysze podróży udali się na spoczynek, i zerwali się nagle na krzyk przywiezionego z Chin służącego, iż złočyncy jacyś napadali na legacyę. Zdaje się iż napastnicy nie znali miejscowości; błakali się na oślep po ogrodzie, aż nareszcie dały się słyszeć w korytarzach liczne kroki zbliżających się osób, i coraz mocniejszy odgłos obalanych ścian z trzciny i z papieru, jakimi pokoje były poprzegradzane. Coraz więcej rozżarci, napastnicy wpadali aż do pokoju ministra pełnomocnego, gdy wtém ukazali się żołnierze eskorty. Czy byli współnikami, czy dobrowolnie dotąd nic nie widzieli i nie słyszeli? czy poczucie obowiązku lub obawa kary tak późno podała im broń do ręki?—nie wiadomo, —dość że bili się odważnie. Poszukiwania odbyte na rannych i poległych złočynczach nie doprowadziły na ślad podżegaczy napaści; rząd tajkuna podejrywał kilku nieprzyjaznych sobie książąt, i jak zwykle składał wszystko na stronnictwo nie-

ohętne cudzoziemcom, z którym nieustannie walczyć musiał. Jednym słowem poszukiwania zadnych nie wydały rezultatów, a reprezentanci mocarstw przekonywali się coraz mocniej, jak wielkie jeszcze mają do zwalczenia trudności, zanim zdołają prze-móđz wstręt szlachty japońskiej do traktatów z 1858 r.

Te głuche walki trwały jeszcze rok cały, w ciągu którego pełnomocnicy rządów europejskich, powierzyli straż legacyi żołnieriom własnych krajów. Nareszcie w r. 1862, gdy skutkiem nocnej napaści, postradało życie dwóch żołnierzy angielskich, stojących na straży przy drzwiach pułkownika Neale, sprawującego interesa Wielkiej Brytanii, wszyscy pełnomocnicy opuścili Yeddo, oznajmiając, że powrócą dopiero wówczas, gdy staną budynki europejskie stawiane w Gotteyama, które zgodnie z traktatami, miały mieścić w sobie legacje europejskie.

We wrześniu 1862 r. książę Satzuma w towarzystwie kilkotypięczonego zbrojnego orszaku, opuszczał dwór w Yeddo i wracał do państw swoich, na południowym krańcu Japonii. Na widok zbrojnych heroldów postępujących na czele orszaku, mieszkańcy wchodzili do domów lub twarzą padali na ziemię; wypadek zrządził, że jednocześnie nie wiedząc o niczem, czterech Anglików wyjechało konno w tę samą stronę dla użycia przejażdżki; tak więc spotkali się na drodze. Było to zdarzenie, którego najwięcej lękały się władze miejscowe. Anglicy nie przekroczyli w niczem granic najwyszukańszej grzeczności, w postawie ich nie było nic wyzywającego, ale już sama obecność była zniewagą dla dygnitarza. Cały lud pokornie czołem uderzał w ziemię, a oni dumnie stali na koniach, przypatrując się z jakąś ubliżającą ciekawością pierwszemu z książąt cesarstwa. Satzuma nie zawierał traktatu z cudzoziemcami, nie przyznawał tajkunowi władzy pozwalania im przejazdu na drogach cesarskich; dla niego surowe prawa japońskie, jako nigdy nie odwołane, istniały w całej swój sile, i nakazywały wyparcie i śmierć cudzoziemców. Nigdy nie można się było dowiedzieć czy Satzuma wydał rozkaz, lub czy orszak jego działał z własnego natchnienia; dość że przyszło do bójk i z czterech jeźdźców angielskich, trzech ciężkie odniosło rany, czwarty, Lennox Richardson, poległ na placu walki.

Pełnomocnik angielski, pułkownik Neale, oznajmił władzom, że te tylokrotnie powtarzane morderstwa poddanych W. Brytanii, wywołują nieodzownie zbrojną interwencję jego rządu. Nie ulegało wątpliwości, że morderstwo dokonane było przez orszak księcia Satzumy, on więc winien odpowiadać za nie, lub może zwyczajem europejskim, i zgodnie z traktatami z 1858 r. należało żądać zadośćuczynienia wprost od tajkuna w Yeddo, którego uważano urzędownie jako cesarza Japonii? Nie wiedziano co robić; położenie Europejczyków z każdym dniem stawało się trudniejszym.

Tokenoto, który z polecenia tajkuna znosił się w jego imieniu z pełnomocnikami europejskimi, był to człowiek zręczny,

przebiegły, ale uprzejmy i bardzo słodki w obejściu. Oświadczał zawsze najlepsze chęci swego pana, i składał wszystko na trudne, silniejsze od woli jego okoliczności. Ostrzegał że liczne bandy *lomiców* włóczą się w okolo miasta; ze obecnie już nie życie jednostek, ale miasto całe jest zagrożone, a jego pośłówka i zwierzenia do ważnych doprowadziły odkryć. Tajkun był przyjacielem Europejczyków, ale pokazało się, że nie był bynajmniej cesarzem Japonii, że zatem nie może być sędzią, ale tylko obrońcą sprawy cudzoziemców. Mówiąc o bandach *lomiców* powiedział, że postanowiły oczyścić kraj z cudzoziemców, że grozą ogniem i śmiercią i napomknął, że najbezpieczniej byłoby, gdyby choć na czas jakiś Europejczycy opuścili Yokokamę. Dalej, imieniem tajkuna dopraszał się najusilniej, aby pełnomocnicy europejscy rzekli się wyznaczonych sobie gruntów w Gotteuyama i opuścili dobrowolnie budynki jakie stawiali swoim kosztem, na mieszkania własne i pomieszczenie swych legacyj. Legacya francuzka za ledwie rzuciła fundamenta, ale angielska była już prawie ukończoną. Rzeczywiście, były pełnomocnik angielski, p. Alcock, wielki błąd popełnił, wymuszając na tajkunie ustąpienie gruntów w Gottenyama; najpierw do miejsca tego wiążą się pamiątki historyczne, gdyż dawnymi czasy tajkuni wyjeżdżali tu konno oczekiwać przybycia dzielnych władców Japonii, a następnie znowu, gdy zwyczaj ten upadł, Gottenyama została odstąpioną na mieszkania ludu, który to ustępstwo cudzoziemcom, za własną uważał krzywdę. Widział to pułkownik Neale, ale duma europejska nie dozwalała ustąpić naleganiom Tokemota; w parę dni później legacya angielska stała się pastwą płomieni: nie ulegało wątpliwości, że ogień był podłożony.

W marcu 1863 r. tajkun wyjeżdżał do Kioto, rezydencyi mikada; w kilka dni po jego odjeździe przybyła eskadra angielska, domagając się ukarania zabójców Richardson'a, i pieniężnego wynagrodzenia, dla rodziu pozostałych po ofiarach zamordowanych w czerwcu i we wrześniu 1862 r. Długo pozbywano milczeniem wszelkie *ultimatum*, nareszcie odpowiedziano że winni zabójstwa są podwładnymi księcia Satsunyu, u niego więc należy szukać wymiaru sprawiedliwości; co zaś do wynagrodzenia, trzeba czekać powrotu i postanowienia tajkuna.

Widok eskadry angielskiej nie zastraszył mieszkańców, i coraz większe niebezpieczeństwa zagrażały Europejczykom. Jakby przez szyderstwo, władze w Yokohama zawiadamiały nieustannie legacye, o zbrodniarzach nasyłanych przez różnych magnatów, aby wydarli życie i spalili własności cudzoziemców. Z Kioto coraz gorsze dochodziły wieści; tajkun został tam bardzo źle przyjęty; stronnicwo wojenne tryumfowało; na *ultimatum* Anglii odpowiadano lekceważeniem i jawnie rozprawiano nad projektem postanowienia, mającego wydalić wszystkich Europejczyków z Japonii. Dowódca eskadry angielskiej, admirał Kuper, lękał się, iż jeśli wojna wybuchnie i zmusi go do rozdzielenia sił swoich,

nie będzie mógł zapewnić bezpieczeństwa swych współziomków; na szczęście ukazała się eskadra francuzka, dowodzona przez admirała Jaures. Ten nie miesząc się w spory polityczne, zachodzące między Anglią i Japonią, uznał jednak że nie może zostać bezczynnym; przewidując że zuchwalstwo Japończyków może wszelkie przekroczyć granice; że lada dzień mogą urzeczywistnić zapowiadane nocne napaści, w których nie będą zważać na różnice narodowości; że może nadejść chwila iż po straszonym rozlewie krwi, Europejczycy zmuszeni będą opuścić Yokohamę, co spowoduje wojnę ze wszystkimi europejskimi mocarstwami, chwycił się jedyne go środka ratunku i oznajmił: iż w razie wojny między Anglią i Japonią, uważać będzie Yokohamę za neutralną, i jako taką weźmie pod swoją opiekę. Rząd tajkuna, widząc iż cudzoziemcy nie lękają się jego potęgi i nie zważają na groźby, przerzucił się w drugą ostateczność; nagle stał się bardzo uprzejmym i serdecznym, upoważnił urzędownie admirała francuzkiego do pełnienia obowiązków komendanta Yokohamy; i oddał pod jego rozporządzenie obecne tam wojsko japońskie.

Anglicy wyglądali spełnienia obietnicy wynagrodzenia, a z Kioto ciągle najgorsze nadechodziły wieści. Była mowa o usunięciu od władzy tajkuna, który nie zgadzał się na wypędzenie cudzoziemców; Satzuma był duszą i podżegaczem spisku; wyjednał rozkaz wygnania Europejczyków, którego wykonanie powierzono Stotsbachiemu, synowi księcia Mito. Mikado przekazał mu wszystkie prawa tajkuna; — przybył do Yeddo 31 maja, opatrzony najwszechstronniejszem pełnomocnictwem. Jedni twierdzili że tajkun umarł, inni że został złożony z zajmowanego dostojeństwa, w każdym razie co najmniej został uwięzionym i pozbawionym wolności działania. Przyjaciele pragnęliby pobiedz mu na pomoc, ale liczne bandy *lomiców* nastane przez wrogów tajkuna, i zalegające wszystkie drogi, nie dopuszczały spełnienia tego zamiaru.

Nareszcie wyplacono żądane wynagrodzenie, ale jednocześnie minister Ogasawara urzędownie doręczył wszystkim reprezentantom mocarstw europejskich rozkaz wygnania, podpisany przez tajkuna. Zdaje się że była to prosta formalność, ponieważ mimo dumnej odmowy pełnomocników, żadnych karzących nie przedsięwzięto środków, a nadto rząd tajkuna, nie chcąc uiby rozkazywać daremnie, sam prosił aby nie zważać na postanowienie, które niema ważności, skoro tajkun działał pod przymusem. Gdy się to dzieje, pada pierwszy strzał armatni, wymierzony nieznaną prawie ręką.

Do tej chwili nie słyszano prawie o księciu Nagato, używał bowiem zawsze nazwiska Matzdaira-Dajzen-No-Dobou, nie mającego żadnego związku z nazwą jego państwa. Jednak badając głębiej okoliczności, poprzedzające ów sławny wyrok wygnania, wszędzie rozpoznać można skryte działanie tego księcia. Rząd w Yeddo widzi w nim pretendenta do tajkunatu; onto, wspólnie

z Satzumą zaskarżył przed mikadem traktat tajkuna z cudzoziemcami; nareszcie Nogato jest jednym z czterech dajmiosów, obowiązanych czuwać nad bezpieczeństwem mikada: według wiadomości urzędowych, należy on do największych wrogów cudzoziemców.

Rozkaz wygnania doręczony był urzędownie dnia 24 czerwca, a już nazajutrz Nogato kazał dać ognia do małego parowca amerykańskiego, z fortów Simonoseki i okrętów swoich stojących w przystani. *Pembroke* musiał się cofnąć przed strasznym działowym ogniem, a niezadługo Francya, Holandya i Stany Zjednoczone zniewolone były pomścić się za zniewagi wyrządzone ich flagom. Jakkolwiek utarczki te były zaszczytne dla eskadr europejskich, w każdym jednak razie nie doprowadzały do niczego, a kosztowały życie wielu zacnych i zdolnych marynarzy, należało więc raz przedsięwziąć coś stanowczego. Lecz ponieważ reprezentanci europejscy uznawali tajkuna władcą Japonii, nie chcieli więc bez jego wiedzy przedsiębrać stanowczych kroków, przeciw księciu jego państwa. Wtedy właśnie, skutkiem okoliczności które dotąd pozostały tajemnicą, długo więziony w Kioto tajkun powrócił do Yeddo; zuowu więc kilka miesięcy zeszło na umawianiu się z jego z rządem, który w końcu uznał Nogata zdrajcą, i ogłosił że z woli tajkuna buntowniczy wazał powołany został do Yeddo.

Korzystając z przyjaznej chwili, Anglicy postanowili zażądać od księcia Satzumi zadość uczynienia za zabójstwo *Richardson'a*. Flota admirała *Kuper*, ukazała się pod miastem *Kagazima*, i kiedy mimo nieukończonych jeszcze negocjacyi pokojowych, admirał *Kuper* pragnąc zaimponować Japończykom, zaskwestrował trzy parowce księcia Satzumi, nagle ze wszystkich razem bateryj, dano ognia do eskadry angielskiej. Walka była długa i zacięta, straty obustronne znaczne. Rzecz dziwna, gdy już prawie nie myślano o tém, w początkach listopada księżę Satzumi przysłał dobrowolnie pełnomocników swoich do *Yokohamy*, ofiarując chętnie zapłacić żądane wynagrodzenie i starając się wszelkimi sposobami o zawiązanie stosunków handlowych z Europejczykami.

Polityczne położenie nie zmieniło się do końca 1863 r.; dekret wygnania nie był odwołany, a nieznanymi fanatycy podejmując się jego wykonania, zamordowali p. *Camus*, oficera francuzkiego. Morderstwo dokonane było wśród dnia, na wiejskim gościńcu; nie można jednak było żadnych otrzymać zeznań, bo nikt nie chciał się mieszać do tak drażliwej sprawy. Mieszkańcy *Yokohamy* mówili głośno że to sprawka *lomiców*, a władze udawały że poszukują który z książąt niechętnych tajkunowi, jest podżegaczem morderstwa.

Nareszcie zawieszano pełnomocników mocarstw do Yeddo, i tam obiecywano im wyrobić odwołanie wyroku wygnania, jeśli

zgodzą się zamieszkiwać wyłącznie w Naugasaki i Hagodade. Odpowiedzieli jednoznacznie iż nie mogą zaprowadzać żadnych zmian w traktatach zatwierdzonych przez swoje rządy, i nie uważają nawet za stosowne rozbiierać równie niedorzecznych propozycji. Na tak suchą odmowę, Japończycy nadmienili o wysłaniu poselstwa do dworów europejskich; myśl ta przez wszystkich dobrze przyjętą została. Reprezentanci mocarstw nie przeciw wyprawieniu poselstwa nie mieli do nadmienienia, a oficerowie i urzędnicy japońscy cieszyli się myślą podróży do Europy, zapowiadającą im tyle nieznanych rozrywek i przyjemności.

Jednak zamiar ten w ogóle tak dobrze przyjęty, okazał się bardzo trudnym do wykonania. Dopokąd szło o podróż, nie brakło kandydatów pragnących należeć do wyprawy; ale w obec misji politycznej, której niepowodzenie przewidywać było można, każdy lękał się przyjąć na siebie odpowiedzialności głównego ambasadora. Nareszcie po długich namowach, zdołano nakłonić jednego z potomków szlacheckiego rodu Ikeda, który nie wiedząc z pewnością, jakie pełnił obowiązki przy tajkunie.

Poselstwo japońskie odплыnęło nakoniec na fregacie parowej *Monge*, z poleceniem wyjednania u rządów Europy, opuszczenia Yokohamy przez ich poddanych. Było to w lutym 1864 roku. Wiedząc najprzód, że ambasada nie uzyska, zajęto się powiększaniem środków obrony, w miarę wzrastającego niebezpieczeństwa. Prusy, Ameryka, Holandia nadesłały swe kontyngensy dla połączenia ich z garnizonem francuzkim; Anglia powiększyła swą piechotę i marynarkę. Teraz pełnomocnicy mocarstw posiadali dostateczne siły, dające rękojmię bezpieczeństwa handlu i osób. Pomimo obietnic tajkuna, nie uzyskano jeszcze żadnego zadosyćczynienia od księcia Nogato, który równie jak Satsuma, lekcewazył sobie polecenia wychodzące z Yeddo; nie pozostawało zatem jak dopłynąć do Simonoseki i ukarać dumnego dajmiosa.

Admirałowie Jaures i Kuper kierowali wyprawą, i skutkiem dobrze obmyślnego planu, zajęli wkrótce wszystkie ufortyfikowane punkta w okół cieśniny. Książę wysłał niezwłocznie jednego ze swych ministrów, który całą winę złożył na podpisany przez tajkuna rozkaz wypędzenia cudzoziemców; podpisał najchętniej umowę, w której uznając swą winę, zobowiązał się uroczyście, nie tylko nie wzbraniać okrętom europejskim żeglugi po cieśninie Simonoseki, i udzielać im w razie potrzeby pomocy i opieki, ale nadto nie utrzymywać na wybrzeżach ani dział ani artylerji. Można było marzyć o świetniejszych rezultatach? Rząd tajkuna uroczyście winał reprezentantom Anglii i Francji, szczęśliwego powodzenia wyprawy przeciw księciu Nogato; nigdy jeszcze nie okazywał się tak uprzejmie serdecznym, i nie poprzestając na samych oświadczeniach, kazał zburzyć pałace i wszystko cokolwiek należało, lub mogło przypominać w Yeddo, zbuntowanego dajmiosa.

Co się tyczy ambasadorów do mocarstw europejskich, ci za podpisanie traktatu który się nie podobał tajkunowi, oraz za nie spełnienie niepodobnego zadania co do opuszczenia Yokohany przez cudzoziemców, w kilka godzin po powrocie zginęli gdzieś bez śladu. Z całego składu poselstwa pozostał się jeden tylko tłumacz, którego posług ciągle potrzebowano; wszyscy inni zapewne gdzieś na wygnaniu ciężkie wloką życie.

W ostatnich miesiącach 1864 r. rozprawiano wszędzie o wojnie przeciw buntownikowi Nogato, któremu ciężkie zarzucano winy. Nie dość że spiskował przeciw tajkunowi, ale miał nawet zamiar uwięzienia samego mikada, aby tym sposobem zmusić go do oddania mu dawno pożądanej władzy; a nadto oskarżał tajkuna przed cudzoziemcami, jako przyczynę wszelkich trudności i sporów, oraz podżegacza dokonywanych morderstw. Powołany do Yeddo dla wytłumaczenia swego postępowania, nie stawiał się na wezwanie, a nawet niektórzy twierdzili że kazał wydrzeć życie wysłańcom tajkuna. Trudno było dobiadać się prawdy, to jedno nie zdawało się ulegać zaprzeczeniu, że tajkun zamierza wypowiedzieć wojnę dajmiosowi Nogato, gdyż czynnie zajmował się koncentracją sił zbrojnych, przysposobieniem zapasów i zawarciem pożyczki. Tajkun polecił zawiadamiać regularnie pełnomocników o postępie zamierzonej wyprawy; było to coś niezwykłego, a byli tacy co utrzymywali że wszystkie te przygotowania mają na celu nie wojnę przeciw księciu Nogato, ale przeniesienie stolicy. I rzeczywiście, odkąd dajmioci cesarstwa przestali przemieszkiwać w Yeddo, a tym samym pozbawili tajkuna i rząd jego wpływu politycznego, nie przemawiało za pozostaniem w mieście, w którym w skutku natrętnego sąsiedztwa, narażony był na nieustanne kłopoty i nieprzyjemności. Z drugiej znowu strony, wojna z księciem Nagato nie łatwą była zadaniem, gdyż miał potężnych sprzymierzeńców i krewnych, a w razie niepowodzenia wojsk tajkuna, może i dotychczasowi stronnicy zwróciliby się przeciw niemu.

Tajkun sam objął dowództwo nad wojskiem i udał się do Kioto, gdzie miał znów jakieś napotkać trudności, i zaczęto mówić o bliskim pojednaniu, które miało nastąpić kosztem dajmiosa Nogato. Oto jakie wieści głosiły władze miejscowe; zkądnąd zaś dochodziły pogłoski, że oficerowie księcia Nogato bynajmniej nie okazywali niespokojności lub obawy, że źle bardzo mówili o tajkunie i wyzywali go do wojny. Zresztą panowało w Japonii ogólne przekonanie, że arystokracja nie dozwoli na zupełny upadek jednego z swych członków, i w razie potrzeby udzieli mu pomocy i pomocy, że tajkun stanowczo opuścił Yeddo, i jeśli Europejczycy pragną pozostać z nim nadal w stosunkach, należy go szukać w Osaka lub nawet w Kioto.

Wśród tych różnorodnych wrażeń, obumysłono, całkiem zresztą pokojową wyprawę z 1865 r., której celem było uzyskać ratyfikację traktatów przez mikada, gdyż jeśli się udało zawrzeć bezpośrednie stosunki z cesarzem, byłoby to ustępstwo bardzo

ważne w swych następstwach, a nadto wyjednać natychmiastowe otwarcie portu Osaka dla handlu cudzoziemskiego, który dotąd tylko z poddanymi tajkuna prowadzić było można. Cel ten w części dopiętym został, listem opatrzonym pieczęcią z herbem cesarskim; mikado po raz pierwszy uznał legalność pobytu cudzoziemców w Japonii, nie przyznając mu wszakże żadnego politycznego znaczenia, wywzajemniając się za tę *imitację* ratyfikacyi; pełnomocnicy ograniczyli swe żądania do ścisłego wykonania traktatu londyńskiego, mocą którego otwarcie portu Osaka, miało nastąpić 1 stycznia 1868 roku.

Ten kilkoletni pobyt Europejczyków w Japonii, przekonał ich nareszcie iż ciągle fałszywą postępowali drogą. Nie troszcząc się o rzeczywistego monarchę, traktowali ciągle z tajkunem, który nie miał prawa żadnych zawierać traktatów, jak to sam w końcu przyznać musiał. Wiedząc że jest dwóch władców, i nie znajdując nic podobnego w organizacyi rządów europejskich, aby oznaczyć polityczne ich stanowisko, rozdano im jakieś fantastyczne role, mianując jednego cesarzem świeckim a drugiego duchownym. Dzieje lat ostatnich najzupełniej zaprzeczają temu podziałowi władzy; zawsze był i jest jeden tylko cesarz, to jest *mikado*, rezydujący w Kioto; nie posiadający wprawdzie żadnej siły zbrojnej, ale strzeżony przez wszystkich udzielnych książąt, których obowiązkiem czuwać nad bezpieczeństwem i życiem monarchy. Mikado posiadała nieograniczoną władzę, jego rozkazy i wola są prawem dla wszystkich, a na jego skinienie i dajmiosi i tajkun przybywają natychmiast.

Tajkunat jest instytucją powstałą w końcu XVIgo stulecia. Dzięki swęj energii i przebiegłości, jakoteż świetnych zwycięstw i dobrze obmyślanych związków rodowych, Hieas potrafił się wynieść po nad zawistnych współzawodników, zmusić innych magnatów do uznania jego przewagi i zniewolił cesarza do utworzenia tajkunatu. Za zgodą cesarza i dajmiosów, postanowiono konstytucyę zwaną prawem Gongensama; była to jakby święta umowa, której dopiero obecność cudzoziemców w Japonii, śmiertelny cios zadała. Dziś nie ulega wątpliwości, że osmnastu potężnych książąt cesarstwa byli niezależnemi władzcami w swych posiadłościach, ale uznawali przewagę tajkuna zamieszkując Yeddo przez kilka miesięcy roku, i zostawiając tam jako zakład podczas swęj nieobecności, kilku krewnych i pewną liczbę służby. Tak więc rezydencya tajkuna stała się pierwszorzędném miastem państwa słonecznego; przez uznane urządzenie lennictwa innych książąt zyskiwała przewagę i wpływ polityczny, a przez obowiązujący pobyt napływowej ludności, której liczba dochodziła niekiedy do miliona, zamieniała się w ważny punkt handlowy. O ile się zdaje w Jeddo odbywały się wszystkie narady, tam roztrząsano sprawozdania i postanowienia policyjne, obchodzące zarówno wszystkich panów japońskich. Tylko w razie jeśli chodziło o sprawy bardzo ważne, o zmiany w konstytucyi, wojnę, spory i niesnaski między

niepodległymi książętami, mikado powoływał do swej stolicy strony interesowane, i podejmował władzę, której wykonywanie w zwykłych okolicznościach przekazywał tajkunowi, czyli raczej radzie panów, zwaną *gorodzo*. Nominacyę członków *gorodza* uświęcał podpis mikada.

Umierając syn Hieas'a wyznaczył na swego następcę książęcia z rodu Ki, i rozrządzając absolutnie piastowanem dostojenstwem, postanowił iż tylko książęta z rodu Ki, Owari i Mito mają prawo zasiadać na tronie tajkuna. Od tej chwili te trzy rodziny zwano odtąd Gozankes. Rodziny Ki i Owari, połączone węzłami pokrewieństwa i przyjaźni, potrafiły utrzymywać się u władzy aż do r. 1867, oddalając zawsze od tronu wszystkich kandydatów książęcego rodu Mito, co dawało powód do rozlicznych intryg i zbrodni.

Obok tego groźnego współzawodnictwa, tajkun liczył jeszcze wielu innych nieprzyjaciół, i to głównie w chwilach przybycia Europejczyków do Japonii. Jakkolwiek prawo Gongensama ograniczając nieco wszechwładztwo panów, wielu bardzo książąt poddało niejako pod zwierzchnictwo władzy Yeddo i wytworzyło drobna szlachtę lenną całkiem podległą tajkunowi, nie naruszyło jednak przywilejów ośmnastu wielkich zupełnie niezależnych książąt, tylko zniewalało ich chwilowo ukorzyć swą dumę przed nowo powstałą władzą. W początkach chcąc osłodzić pigułkę i pochlebić dotkliwie zdrażnionej miłości własnej, tajkun wyjeżdżał naprzeciw przybywającym do jego stolicy dajmiosom, i zsiadając z konia przyjmował ich najuprzejmiej na wzgorku Gottengama; ale wszystkie te pozorne grzeczności nie zdołały wytepić zarodów nienawiści, kielkującej w łonie arystokracji.

Rok 1862 inną rozpoczął erę: ośmnastu niepodległych dajmiosom opuściło Yeddo, pod pozorem że nie mogą przemieszkiwać obok cudzoziemców, obok wrogów, których obecności nigdy nie upowazniali, i których prawa cesarstwa skazują na wygnanie. Tak więc pobyt Europejczyków nastreczył dajmiosom dawno upragnioną sposobność nieposłuszeństwa. Zjechali się do Kioto i tam zarzucili mikada skargami i żażaleniami na znienawidzonego tajkuna, i zdołali uzyskać wręczony pełnomocnikom w 1863 roku rozkaz wygnania, oraz zbudzić niedowierzanie i gniew mikada przeciw rządowi w Yeddo i jego naczelnikowi. Po dwuletniej walce, znieważony przez księcia Satzumę, przedstawiony za oszusta przez księcia Nogato, osamotniony w swej stolicy, pozbawiony korzyści handlowych jakie mu zapewniał pobyt magnatów, utraciwszy swą polityczną przewagę skutkiem spisku nurtującego ciągle w Kioto, obawiając się zapewne nieszczęśliwej mikada i destytucyi, tajkun opuścił Yeddo wraz z ministrami i z wojskiem, zapowiadając głośno swe wojenne przeciw księciu Nogato zamiary.

Do ostatnich czasów powszechnie mniemano w Europie, że pobyt cudzoziemców w Japonii był i będzie zawsze bardzo tru-

dnym, ponieważ szlachta poczytuje go sobie za zniewagę: doświadczenie fałsz zadaje tym twierdzeniom. Zbieg wypadków zmusił Europejczyków do wystąpienia zbrojnie przeciw dwom książętom cesarstwa: Satzuma i Nogato, jednak gdy po stoczonych walkach pod Kagozaina i Simonoseki, przyszło do układów, nie napotkali ani nieufności ani zaciętej nienawiści. Agenci księcia Satzuma wystąpi aby dobrowolnie wypłacili do rąk pełnomocnika angielskiego, wynagrodzenie jakiego eskadra siłą wymódz nie mogła oświadczać gotowość zawiązania stosunków handlowych z Europą, oglądali okręta wojenne, zapytywali czyby podobnych zakupić nie mogli, a nawet w imieniu swego księcia czynili oficerom najświetniejsze propozycje, byle chcieli przejść do jego służby. Nieco później, tenże sam książę zwrócił się do pełnomocników mocarstw, prosząc aby mu wskazali i dostarczyli środków założenia i prowadzenia na wielką skalę fabryki cukru, i po dziś dzień za pośrednictwem tychże pełnomocników zaznajamia się z ciągłym ruchem i postępem cywilizacji.

Książę Nogato od lat już kilku wysłał do Anglii swoich oficerów, aby tam uczyli się sztuk, języków i sposobów prowadzenia rozmaitych fabryk; nadto nigdy prawie nie odmawia okrętom pozwolenia zaopatrywania się w żywność w Simonoseki, i chętnie udzielił pomocy, mocno zagrożonemu statkowi angielskiemu. Coraz więcej nasuwa się dowodów, że wszyscy niemal dajmiosi, chętnie pozawieraliby oddzielne umowy z cudzoziemcami, i że zazdrość była pewnie jednym z głównych powodów zniechęcenia tajkuna, który sam tylko ciągnął ogromne korzyści z handlu z Europejczykami.

Lud i mieszczaństwo nie technie bynajmniej, jak to powszechnie mniemano, ślepą dla cudzoziemców nienawiścią. Od lat trzech liczne garnizony europejskie konsystują w Yokohama, a ich stosunki z miejscową ludnością, nie nie pozostawiają do życzenia; w Hokodade i Nagasaki, osada i kupcy serdecznie zbratali się z krajowcami; w Yeddo mieszkańcy z sympatyczną ciekawością witają przybyszów, jednem słowem gdzie tylko Europejczycy mieli sposobność zetknięcia się z ludnością japońską, wszędzie chętnie znajdowali przyjęcie. Wprawdzie w pierwszych zwłaszcza latach pobytu Europejczyków w Japonii, liczne ofiary pałały pod ciosami morderców, których nie mógł osiągnąć wymiar sprawiedliwości; ale po większej części był to wybryk przestarzałego fanatyzmu, pojawiającego się niekiedy i w cywilizowanych narodach, lub nareszcie zemsty osobistej, a za podobne fakta nie można wkładać odpowiedzialności na cały naród: słowem, można być pewnym, że jednej strony własny interes dajmiosów, z drugiej współczucie ludności prędzej czy później otworzą Japonią handlowi i cywilizacji europejskiej.

Bogato od przyrody uposażony grunt Japonii, tłumaczy łatwo tyłowiekowe odosobnienie jej mieszkańców: mogli łatwo bez obcej pomocy wszystkie zaspokoić potrzeby. Jest to podłu-

gowaty i nie zbyt szeroki pas ziemi, dosięgający z jednej strony Iodów Północy, z drugiej zbliżający się do podzwrotnikowej zorzy. W Jezo, napotyamy klimat Norwegii, jej długo-trwałej śniegi, dziką naturę, żywiczne drzewa, i ogromną ilość łososi, obficie dostarczanych na najodleglejsze targowiska cesarstwa. Przebywszy cieśninę Ozangar, dostajemy się na wielką wyspę Nipon; tu wegetacja jest bardzo zbliżona do francuskiej, tylko rozwija się daleko potężniej i rychlej, dzięki gorącym promieniom słońca i ulewnym deszczom lata. Ryż, winna latorośl, morwy, rosna tu obficie, i starannie są uprawiane; w pobliżu niektórych wielkich miast, zamiast ryżu uprawiają zboże, najstaranniej oczyszczają jego zagony z wszelkich pasożytnych roślin. Wzgórza są od dołu do szczytu najpiękniejszemi zarosłe drzewami, a ich różnobarwna zieloność, mile bawi oko. Kasztany i drzewa kamforowe niezwykłych dosięgają rozmiarów. Wzdłuż gościńca i pomieszkań rosna drzewa bambusowe, dostarczające drzewa na meble i różne przedmioty sztuki, nadto połączone z drzewami żywicznymi, kamforowemi i kameliami najcudniejszych odmian, nawet wśród zimy uroczy przedstawiają obraz. Grunt wszędzie niesłychanie bogaty, pokryty grubą warstwą ziemi wegetacyjnej, złożonej z różnorodnych cząstek, które deszcze przynoszą tu z lesistych okolicznych równin.

W pobliżu miast ogrodnicy umiejętnie zajmują się uprawą jarzyn, są to wszelkie znane w Europie gatunki, i różnią się jedynie kształtem i wielkością. Na wzgórkach po nad morskimi wybrzeżami piętrzą się piękne plantacje herbaty, a plantacje tytoniu i bawełny zalegają pobliskie równiny. Na wyspie Kinzin, rośnie bardzo wiele odmian drzew pomarańczowych, naniec na krańcach cesarstwa, w posiadłościach księcia Satzumy, bogatego właściciela wyspy Lintezo, uprawiają trzcinę cukrową, której wyrób jedynie z powodu braku dobrej rafinerji, nie bardzo jest poszukiwanym.

Zachodnie prowincje cesarstwa obfitują w kosztowne kruszce. Pokłady srebra są bardzo obfite, zaś złota tak wiele i wydobywanie go tak łatwe, że gdy przybyli Europejczycy, kruszec ten miał tylko sześć razy większą wartość od srebra. Miedź jest nadzwyczaj tania i z tego względu używaną bywa za surowy materiał do różnych fabrykacji. Wszędzie można znaleźć pokłady węgla kamiennego, a jeśli gatunek nie należy do najlepszych, to jedynie z powodu że dotąd eksploatowano zaledwie zwierzchnie warstwy.

Niepodobna wymienić choćby najgłówniejszych surowych płodów Japonii, spis ich zająłby całe karty. Przemysł zbytkowy na wysokim także stoi stopniu; porcelany, emalie, brzozy, wyroby ze stali, koronki i materye jedwabne, odznaczają się doskonałością gatunku, bogactwem barw i wielką oryginalnością, dowodzącą wysokich zdolności i poczucia artystycznego, które ze-
tknięcie z cywilizacją europejską rozwinię i udoskonali.

Możni dajmiosi nigdy jeszcze nie dozwolili Europejczykom poznać bogatych pałaców swoich, które mają wschodnim odznaczać się przepychem; możemy więc tylko podać opis domków mieszczańskich, nacechowanych dziwną prostotą. Dół bywa zajęty na sklep, zaś mieszkanie właściciela znajduje się na pierwszym piętrze. Z mieszkania do sklepu prowadzą mniej więcej ozdobne wschodki, pod każdym stopniem urządzona jest szufladka. Ciężki dach, grubą pokryty dachówką, zdaje się przysgułatać cały budynek, ale podobno ubezpiecza go w razie trzęsienia ziemi. Całą budowlę podtrzymują kolumny, połączone z sobą ruchomemi ścianami z papieru; podłoga ruchoma, ułożona z ledwie ociosanych desek jest ułożona na listwach; wielkie maty dwa do trzech centymetrów grube, pięknie utkane, obrobione wkoło, tworzą w jednej chwili elegancką posadzkę, zastępującą sofy i krzesła. Wszyscy siadają na tych matach, zostawiając za progiem swe słomiane lub drewniane sandały, aby nie uszkodzić ich świeżości. Całe życie rodzinne upływa w około *chibachi*; jest to naczynie prostokątne, zewnątrz pięknie odwerniksowane, na którym krzyżują się ruchome pręty z giętkiego żelaza, dające się zastosować do różnych potrzeb kuchennych; wewnątrz *chibachi* płonie jasny ogień z węgla drzewnych, w półścień piramidy białawego popiołu, przesiewanego codziennie przez gęste sito. Japończycy lubią zasiadać w około tego ogniska, które cały rok zastępuje kuchnię, a w zimie kominki i piece.

Pod ścianami ustawione są meble; zazwyczaj komoda z białego drzewa nasadzonego metalami, pełna różnych skrytek; dalej szafa rozbierana równie jak całe mieszkanie, w której chowają narzędzia kuchenne, naczynia stołowe, szczotki, miotły, wszystko coby psuło symetryczny porządek i czystość mieszkania. W przegrodach wyższych, składane bywają wielkie i grube wełniane i jedwabne kołdry i dziwna poduszka, kształtu czworokątnej ściętej piramidy, której zaokrąglona podstawa porusza się wahadłowo; na wierzchu tej poduszki leży *rzeczywista poduszeczka*, pokryta książeczką białego papieru. Ściany tej piramidy są szczególnie dopasowane i w każdej kryje się szufladka, w której japonki chowają pieniądze, klucze, listy i pamiątki. Kładąc się spać, japonka oddziera jedną kartkę papieru i na niej zaledwie opierają głowę, aby nie uszkodzić ogromnej fryzury. Obok tych nieodzownych sprzętów, znajduje się często gitara, ptaszki i kwiaty, zresztą żadnych bezużytecznych sprzętów ani gracików; cały zbytek zasadza się na czystości, piękności mat i świeżości papieru pokrywającego wszystkie ściany czyli raczej przegrody.

Kobiety niezamężne wszystkich klas lubią się podobać i stroić, najpodrzedniejsza mieszcanka szczęśliwa jeśli może całe dnie przegładać i targować materye; długi czas najprzód rozmyśla ze wzruszeniem, jak ma się ubrać na jakąś spodziewaną lub zapowiedzianą zabawę. Gdy nareszcie nadejdzie upragniona chwila, wstaje bardzo rano, rozkłada suknię na najdogodniejszym miejscu.

i poddaje się z godną lepszej sprawy wytrwałością, fryzjerce piętrzącej na jej głowie dziwaczną fryzurę. I tu, jak w Europie, sztuka przychodzi w pomoc naturze, przyczepiając ogromne war-kocze i uciekając się do wszelkich znanych europejskim damom dodatków. Wszystkie w ogóle Japonki tak umiejętnie władają pędzlem, tak doskonale umieją dobrać farb do malowania swej własnej osoby, że pod tym względem nawet w Europie mogłyby być mistrzami.

Japonki noszą suknie jedwabne, najczęściej w ciemnych kolorach, z pod których wygląda koszula, zrobiona z pasów różnokolorowej krepy; dziwną mieszaniną barw, koszula ta naśladuje płaszcz arlekina. Suknia jest długa, bez stanu, otwarta od góry do dołu, mocno się fałdująca, przewiązana nadzwyczaj szerokim pasem, związanym z tyłu na ogromną kokardę, nad ułożeniem której Japonki nie raz długie trawią godziny. Rękawy są szerokie i wiszące. Od pasa wisi zawieszona puzderko axamitne, w którym schowana jest fajka, oraz mały pugilaresik, z przegrodką na dwie srebrne łaseczki, zastępujące widelce i noże. Z jednej strony pugilaresika schowane jest małe lustro; nowość wprowadzona od czasu przybycia europejczyków. Tylko podczas zimy noszą białe bawełniane pończochy, w innych porach roku chodzą boso, zaś wychodząc z domu kładą na nogi sandały z politurowanego drzewa, na bardzo wysokich korkach, aby nie dotykały błota ani wilgoci. Sandały takie bywają przystrajane axamitem lub słomkową torsatką, i przytwierdzają się do nogi grubym sznurem. W razie deszczu pokrywają je skórą lub papierem, nigdy i w żadnym razie nie noszą ich w pokoju.

Życie mieszczaństwa japońskiego można streścić w paru słowach: zadowolenie ze swego losu i zupełny brak potrzeb. Najniższe nawet klasy nie zują nędzy ani zawiści, nie upadają pod ciężarem niewdzięcznej pracy, nie niszczą sił i zdrowia w niezdrowych warsztatach. Tak rzemieślnicy jak wieśniacy są zdrowi i weseli; są to zazwyczaj ludzie krótko widzący, wzrastający silnie i zdrowo pod pięknym niebem, w dobrych warunkach higienicznych, używający życia które upływa im łatwo, wolne od trosk i ambitnych dążeń; pracujący o tyle, o ile to jest konieczne do utrzymania życia, czasami niezmordowanie, najczęściej bardzo leniwie. Po co przeciążać się pracą? wszak nie brak dobrych sąsiadów i przyjaciół, u których w razie niedostatku, można zasiąść przy ognisku i być uczęstowanym ryżem i herbatą?

Jeśli, w razie nagłej potrzeby, ładowania lub wylądowywania statków, kupcy europejscy gwałtownie potrzebują robotników, w takim razie muszą uciekać się do władz miejscowych; inaczej krajowcy pozostaliby nieczuli na najświetniejsze ofiary.

Jednak mimo tego rozmilowania w próżniactwie Japończykowie umieją cudnie wykonywać rzeczy. Dość rzucić okiem na te śliczne wyroby z laku przez całe miesiące a niekiedy i lata werni-

ksowane ręką ludzką; na te wazony z bronzu i porcelany, statuetki z kości słoniowej tak mistrzowsko wykonane; na wszelkie produkta wyrabiane z papieru i z drzewa, piękne sztukaterye zdobiące domy i świątynie: trzeba podziwiać gust artystyczny i wytrwałą cierpliwość wykonawcy, oraz wielkie zdolności tej silnej rasy, co w zabawie prawdziwe wykonywa cuda.

Cała Japonia jest wiernym obrazem naszej starej Europy, każdy tu szuka jakiejś protekcji i opieki. W miastach lud garnie się pod skrzydła wpływowych osób, wysokich urzędników lub też ich krewnych i przyjaciół; na wsiach, wieśniacy skupiają się w około swego pana; pałac broni biednej chatki od napaści obcych żołdaków: najmniejszy szlachetka ma swoich żołnierzy i wazali. W takim stanie rzeczy, zdawałoby się że gmin i wieśniacy, o tem tylko marzą, aby wstąpić w zbrojne szeregi jakiego dajmiosa pod którego opieką nie lękaliby się policyi i drobnych urzędników: bynajmniej. Zbrojne szeregi panów japońskich, prócz oficerów, szlachty i wyższych dowódców, których urodzenie, zdolności lub adoptacya do wysokich podniosła godności, składają się po większej części z hałastry rekrutowanej w pośród wyrzutków społeczeństwa, najubożsi, ale spokojni i uczełwi krajowej unikają tej służby, bo pozbawia ich osobistości, zamienia w maszynę, a za mundur i życie wyrzeka się wszystkiego, swobody, życia rodzinnego, płacą mu aby się bił, o niczem więc więcej myśleć nie powinienu.

W miastach handlowych, dwa odmienne odgłosy przerywają nocną ciszę: bęben patrolu i świstawki niewidomych. Co noc patrol odbywa uroczysty pochód po wszystkich dzielnicach miasta; najpierw maszeruje jeden żołnierz; uderzając miarowo w mały donośny bęben, następnie dwóch silnie uzbrojonych ludzi, a po za nimi kilku posługaczy niosących policyjne latarnie. Z dawien dawna, sami Japończycy wyśmiewają się z tego patrolu, który nigdy jeszcze nie zaarrestował nikogo, a biciem w bęben z daleka uprzedza złoczyńców aby się kryli lub uciekali; ale drwiny mieszczan nie mogą przemódz rutyny, i dziś, jak przed wieki, patrole japońskie co noc spacerują po mieście.

W Japonii więcej jak gdziekolwiek znajduje się niewidomych, ci z zapadnięciem nocy, wychodzą na ulicę, choćby czas był jak najgorszy. Każdy z tych nieszczęśliwych, w jednej ręce trzyma laskę którą wyciąga przed sobą dla bezpieczeństwa, w drugiej świstawkę z której wydobywa ostre i przeciągłe dźwięki, ilekroć słyzy kogoś nadchodzącego; jest to prośba do przechodniów aby go nie potrącali na drodze. Istnieją w Japonii dwa nadzwyczaj liczne stowarzyszenia czyli bractwa ślepych. Nigdy nie zerbrzą, żyją z własnej pracy, używają ich także przy obrzędach publicznych, processyach i uroczystościach małżeńskich; w takich razach przodując orszakom z laseczką w ręku, rozpędzają natłok, pilnują porządku. Bractwa te mają swoich generałów i przełożonych, zamieszkujących w stolicy mikada.

Podanie niesie iż założycielem jednego z tych bractw był młodzian zachwycającej piękności, nazwiskiem Senmiscar, którego pokochała księżniczka cesarskiego rodu. Senmiscar kochał wzajemnie młodą dziewicę, a że w Japonii nierówność stanu nie jest przeszkodą do małżeństwa, więc kochankowie się pobrali. Lecz wielkie szczęście, to gość nieznaną a przynajmniej krótko bawiący na ziemi; śmierć porwała młodą kobietę, mąż mało nie dostał obłąkania. Gwałtowna rozpacz rzuciła go na łożo boleści, z którego powstał nareszcie po długich cierpieniach, ale nieustanne łzy pozbawiły go wzroku. Dla uwiecznienia pamięci swojej miłości i swego cierpienia, związał bractwo ślepych, które dotąd jego nosi nazwisko. Bractwo to zatwierdzone dyplomem cesarskim, przetrwało długie wieki i wielkiem cieszy się powodzeniem.

Drugie bractwo, zwane Feki, równie świetną ma tradycją. Naczelnik panującej dynastji, Yorytomo, orężem dobył się tej władzy, pokonawszy dwa współzawodniczące stronnictwa, używając jednę na pogrzebienie drugiego; chciał on następnie przywiązać do siebie jednego z najdzielniejszych obrońców pokonanego pretendenta, niejakiemu Kakekigo, któremu darował życie, nie wiadomo, czy wspaniałomyślnością czy polityką powodowany. W tym celu obsypywał Kakekigo względami i podarunkami, daremnie; wierny dawnym obowiązkom, nie tylko nie chciał służyć nowemu cesarzowi, ale tehtał nieopisaną ku niemu nienawiścią pomimo iż nie mógł odmówić głębokiego szacunku, na jaki monarcha swém postępowaniem zasługiwał. Pewnego dnia rzekł on do monarchy: „Ponieważ ilekroć spojrzę na ciebie, w dąsych mej powstaje gorąca żądza pomszczenia mego księcia i własnych moich cierpień, maza więc te oczy które pragną twój śmierci, aby mnie nie przywiódły do niewdzięczności względem ciebie, który zawsze tak szlachetnie postępujesz ze mną.” I wymówiwszy te słowa, dziki bohater wylupił sobie oczy w obec Yorytoma. Cesarz uwielbiając tak niezwykłą moc duszy, więcej jeszcze umiłował Kakekiga, i do wysokich podniósł godności.

Wzorem Senmiscara, Kakekigo wkrótce potem założył bractwo ślepych, pod imieniem upadłej księżniczki rodziny Feki, której do śmierci wiernym pozostał. Najpotężniejsi dajmiosi, w razie nieszczęścia utraty wzroku, mają sobie za zaszczyt należeć do tego bractwa.

W teatrze japońskim przedstawiają dramata i komedye; w dramatach przedstawiane bywają wyłącznie osoby należące do wyższego świata, zazwyczaj przesadzone, sztywne, które raczej śpiewają niż mówią; lecz publiczność przekłada krotchwile i tu dopiero czuje się w swoim żywiole. Osoby i sceny przedstawiane są wiernie odbiciem codziennego życia; to też widzowie z takim zajęciem słuchają, tak serdecznie się śmieją! Niekiedy przerywając aktorom odpowiadają za nich lub podpowiadają dowcipne słówka. Różnica zachodząca między naszym a japońskim społeczeństwem, żywo się odzwierciadla w przedstawieniach teatral-

nych. Kobiety nigdy nie występują na scenie; — żaden dramat ani komedia nie zawiera scen przedstawiających niewierność lub choćby tylko chwilowe zachwianie się żony w jej wierności małżeńskie; jest to fakt tak niesłychany w życiu rzeczywistym, że na scenie zdawały się nienaturalnym. Zamiłowanie w przedstawieniach scenicznych jest tak ogólne, iż najmniejsza wioszczyna ma swoją salę i trupę.

Walki szermierzy są jednak może jeszcze popularniejsze i więcej upragnione. Zdaje się iż rząd sam stara się usilnie o podtrzymanie i rozszerzenie tego zamiłowania, i sam wyznacza czas i miejsca w których igrzyska te odbywać się mają. Defilada szermierzy przed rozpoczęciem walki, jest ciekawszą niż samo przedstawienie. Ci obnażeni silnej budowy szermierze, przybrani jedynie w małe jedwabne lub aksamitne fartuszki, na których wypisane są ich nazwiska i zwycięstwa, posuwający się w uroczystym pochodzie i poważnie defilujący przed publicznością, wyglądają jak żywe album karykatur, będących najdoskonalszymi typem odrażającej zwierzęcości. Po skończonej defiladzie, jeden szermierz z każdego obozu, wstępuje na niewielkie wyniesienie mające być areną walki, a reżyser paradnie wystrojony, oznajmia publiczności ich imiona, genealogią, i dawniej odniesione tryumfy, gdy oni jednocześnie tupią nogami w ziemię i jakby na wyprobowanie sił, przeciągają się że aż kości trzeszczą. Potem po woli piją wodę i koło siebie sol rzucają garściami, dla odpędzenia uroków i zapobieżenia niebezpiecznym upadkom. Za danym znakiem, obaj olbrzymi z rykiem rzucają się na siebie, barują, potracają, unoszą, dopóki nareszcie silniejszy czy zręczniejszy, nie rzuci drugiego po za arenę. Wtedy rozlegają się radośne okrzyki i oklaski, grad różnych przedmiotów ubrania zasypuje w jednej chwili szczęśliwego zwycięzcę. Jednak ubiory te nie zostają jego własnością, są tylko dowodem niezmiernego uniesienia widzów, którzy po skończeniu przedstawienia odbierają swe szaty, za odpowiedniemi wynagrodzeniem szermierza.

Wielonośstwo nie istnieje w Japonii; ale bogaci panowie mogą mieć ile chcą kochanek, bynajmniej się z tem nie ukrywając: opinia publiczna nie nie ma przeciw temu i tylko dla kobiet jest nieubłagana. Małżeństwo nie przybiera tu żadnych form urzędowych; jest to proste obustronne zobowiązanie pismienne, będące wynikiem umowy pretendenta z rodzicami panny, poczem zabiera żonę, która odtąd zostaje matroną i panią domu męża. Kobieta kieruje całym gospodarstwem, wydaje rozkazy służbie, obznajmia się ze wszystkimi interesami męża, słowem bierze na swą odpowiedzialność cały zarząd wewnętrzny. Kobieta wychodząca za mąż, nie myśli o uciechach i próżności, czeka ją czynne i poważne życie. Na dowód zupełnego zaparcia się i zupełnego oddania mężowi poświęca swą piękność, wyrывa brwi, czerni zęby, robi się starą i brzydką. I dziwna rzecz! kobiety bez zału żrękają się piękności, mężczyźni zuowu nie okazują naj-

mniejszej chęci usunięcia odwiecznego tego zwyczaju. Dobrowolne to zeszczenie się nie tylko w małżeństwie miewa miejsce; w każdym stanie kobiety bywa także ono oznaką smutku lub żaloby i dlatego zawsze nakazuje poszanowanie. W Japonii, małżeństwo nie jest bynajmniej nierozdzielne; małżonkowie rozchodzą się równie łatwo jak się połączyli. Gdy tylko nastąpi zobopólne zezwolenie, mąż piśmiennie wraca wolność żonie, która tym sposobem wraca do pierwotnego swego stanowiska, i w trzy dni zęby odzyskują pierwotną białość, w kilka tygodni odrastają gęste brwi. Podobne rozwody dość często się zdarzają, i może dlatego wypadki niewiary małżeńskiej ze strony kobiet są nadzwyczaj rzadkie. Taki rodzaj małżeństw wpływa na stosunki rodzinne; głos krwi zupełnie tu nie istnieje; adoptacye są na porządku dziennym. Dziecko uważa za rodziców tych co go wychowali, i odpowiada za nie w obliczu władz krajowych, i ani się troszczy czy powodem tego aktu była dobroć lub proste wyrachowanie, a najżywsze europejskie rozumowania, nie zdolają wyrobić w nich naszych pojęć o uczuciach i obowiązkach synowskich. Czasami ktoś kilka razy w życiu zmienia rodzinę i w końcu sam nie wie komu winien życie.

Ciekawi z natury, mimo to Japończycy nie znają zupełnie politycznych interesów swego kraju, mało się o nie troszczą i niemal lękają się być w nie wmisczani. Szanują tylko swego zwierzchniczego księcia, o innych mówią wiele złego, uważając ich za swych przyrodzonych nieprzyjaciół. Z kalendarza znają nazwiska, tytuły i majątki ośmnastu dajmiosów, więcej o nie się nie troszczą. Wszyscy niemal umieją czytać i pisać, szkoły są wszędzie w miastach, miasteczkach, we wsiach, nawet przy góścińcach. W wyższych klassach społeczeństwa pisanie jest prawdziwą sztuką, w której doskonałą się przez całe życie, gdyż podobnie jak u Chińczyków charaktery są niezliczone, równie jak odcienia myśli ludzkiej; przeciwnie dla klass niższych jest jeden tylko rodzaj pisma. Jestto pewna liczba niezmiennych znaków rodzaj rebusów, mniej więcej wyraźnie rzecz przedstawiających.

Dziś wiadomo już, że rzeczywistą stolicą cesarstwa jest Kioto, rezydencya mikada, gdy jednak dotąd jest ono niedostępne dla Europejczyków, więc podamy tu opis Yeddo, dotychczasowej stolicy tajkuna. Jest ono tylko o pare mil odległe od Yokokamy, dawniej wioski, która od czasu przybycia Europejczyków, zmieniła się w ludne handlowe miasto. Przybywający z Yokohamy wjeżdża do Yeddo przez plac *kar i egzekucyi*, który świadczy wymownie, że dotąd Japończycy nie myślą bynajmniej o zniesieniu kary śmierci. Po każdej egzekucyi, głowy winowajców wystawione są przez dni kilka na murach bram miasta, na widok i przestroge mieszkańców. Po za tym placem ruch i życie coraz się zwiększa, a gdy dla dostania się do dzielnicy wyznaczonej wyłącznie na mieszkania dla pełnomocników europejskich, podróżny dostaje się na kupieckie przedmieście Sinagawa, napotyka liczne tłumy ludu,

wśród którego uwija się mnóstwo dzieci. Dzielnica ta położona jest zdala od środka miasta, pałaców magnatów i władz rządowych a mieszkania dyplomatów mają bardzo skromną powierzchowność. Są to dawne domy zakonników, ustąpione czasowo przez właścicieli, w skutku traktatu z 1858 r., gdy jeszcze ludzono się nadzieją, że pełnomocnicy mocarstw będą mogli swobodnie stale zamieszkać w Yeddo. Pożar w miesiącu styczniu 1863 r. rozwiązał złudzenie i tymczasowość trwa dotąd. Tylko w ważnych interesach i na kilka godzin zaledwie, pełnomocnicy przybywają do Yeddo, i dlatego dawni posiadacze nie zrzekli się praw swoich; wprawdzie nie grzebią już ciał zmarłych na cmentarzu leżycym około świątyni, który został zamieniony w ogród, ale kapłani nie przestają odbywać w świątyni swych praktyk religijnych, nie troszcząc się i nie zważając na narzuconych sąsiadów.

Z tarasu Saikaidje do legacyi francuzkiej, uroczy rozciąga się widok, zachwycone oko ogarnia całą zatokę Yeddo. Wieczorem przystań jaśnieje rzesistą illuminacją; setki łodek z pochodniami wypływają na połow, tworząc jakiś fantastyczny obraz. Na ulicach Yeddo tłum przyjmuje cudzoziemców przychylnie, ale z nieco szorstką poufałością. Nie myślą bynajmniej ukrywać swych wrażeń, wyśmiewają się głośno, objawiając niekoniecznie miłe uwagi. Dzieci bawiąc się przed domami, głośnym krzykiem przywołują rodziców, aby przyszli ubawić się dziwnym widowiskiem.

Cudzoziemiec pragnący wyrobić sobie prędko ogólne wyobrażenie o Yeddo i jego mieszkańcach, powinien odbyć przechadzkę do Asaxa, najgłówniejszej w mieście świątyni zostającej pod opieką bogini Quauuon Sama. Jeśli tam idąc zwróci się na lewo a wracając na prawo, pozna dwie główne części miasta, wojskową i arystokratyczną i handlową czyli ludową. O kilka kroków od legacyi francuzkiej, rozpoczyna się wielka handlowa ulica, ciągnąca się w różnych kierunkach przez całe Yeddo. Handlowa dzielnica miasta nie odznacza się ani architekturą ani przepychem; nie ma biedy, jest ład i porządek, ale nie więcj. Przed domem ogródek, w nim mały zbiornik wody i altauka, gdzie rodzina zbiera się na gawędkę; wzdłuż pierwszego piętra ciągnie się wielki balkon, po nad którym powiewają kartonowe rolety, poruszające tym sposobem mały młoteczek, który uderza o ściany szklanej bani. Dziwne upodobanie! Na wiosnę, korzenie paproci pokryte bują zielonią, podtrzymują wielkie banie szklane, w których pływają piękne czerwone rybki. Wszędzie i wszystko dowodzi że ten lud nie przestaje być dzieckiem w najpóźniejszych latach, zamikowanym w dzieciennych zabawach i ucieskach, i wzbudzający podziwienie swą niezrównaną zręcznością w obmyślanu i wyrabianiu różnych nieznanym nam cacek.

W pośrodku miast, po nad jedną z licznych odnóg rzeki wznosi się most *Nipon Hashi*; jest to punkt, od którego liczą się odległości w całym cesarstwie. Od tego mostu rozchodzi się bar-

dzo wiele krętych uliczek, zamieszkanych przez handlujących i przemysłowców, i prowadzących do wielkiego przedmieścia Asaxa. Tu nieco opodal płynie rzeka, nad nią rzucony wielki most drewniany, mający przeszło 300 metrów długości. Rzeka jest głęboka i toczy wartko spienione fale żółtawej wody. Po nad brzegiem wznoszą się ogromne magazyny, zawierające bogactwa tajkuna. W Japonii bogactwo książąt liczy się ilością ryżu jaki posiada lub mógłby nabyć; funt ryżu stanowi jednostkę monetarną. Licząc w ten sposób dochodzi się często do bajecznych danych, 30—40 milionów franków dochodu; ale strąciwszy koszt utrzymania licznych pałaców, oraz żołd i utrzymanie armii i służby, przekonywamy się że często błyszczące te pozory pokrywają wielki niedostatek, i że wiele z tych magnatów żyje tylko kredytem, jaki znajdują u kupeów.

Zbliżając się do świątyni w Asaxa, możnaby mieć że jesteśmy na jakimś europejskim jarmarku. Poza filarem odznaczającym się olbrzymiej wielkości latarnią, rozpoczyna się wielka, kamieniem wyłożona ulica, prowadząca do świątyni. w posród podwójnego rzędu sklepów i sklepików, mieszczących w sobie wszelkie przedmioty odnoszące się do obrządków i ozdoby świątyni. Tu zawsze napotyka się liczne tłumy, w których przeważają dzieci i kobiety. Gwar rozmów i odgłos sandałów uderzających o kamienne tafle, dziwny tworzy hałas. Stajemy nareszcie przed wschodami świątyni. Na lewo stoją stajnie bogini, a w nich wystawione na widok publiczny, dwa nędzne i chudo szaro-białe konie, z zaczerwienionemi oczyma, konie uważane za świętość, ale bardzo niepozorne. Chojuość wiernych oblicie zaopatruje ich złoby; zakupując w okolicznych sklepach groch poświęcony: ofiarodawcy uzyskują rozmaite odpusty. W nocy szacowne te zwierzęta są na pasach utrzymywane w powietrzu, aby nie skazyły swej czystości, kładąc się na ziemi jak zwykli śmiertelnicy. Na lewo w ogromnej szopie, porozwieszane są różnorodne kaski, przebite strzałami; pokolenia pokoleniom przekazują legendy o wojownikach, którzy wyszli cało z strasznych i morderczych walk, i tylko kule nieszkodliwie przebiły ich kaski, dzięki wszechmocy bogini której się oddali w opiekę.

Oprócz wielkości, Asaxa niczem nie różni się od innych świątyń, we wszystkich spotykamy jedne bożyszcze i ozdoby wielką odznaczające się prostotą. Miejsce przeznaczone dla publiczności jest nadzwyczaj szczupłe, a jeszcze połowa jego zajęta jest przez wielką, czworograniastą skrzynię drewnianą, której wierzch pokrywa ostra krata żelazna; jest to skarbonka do której wrzucają się ofiary na rzecz świątyni. Skrzynia ta nie ma dna, więc wrzucaone ofiary wpadają prosto do podziemia świątyni, gdzie nikt nie wchodzi prócz kapłanów. Od rana do wieczora rozchodzi się dźwięk *bitassen*ów wrzucanych do świętego skarbcza, jednakowoż nie jest to rujnująca ofiara, ponieważ trzeba 96 *bitassen*ów na jeden *limpo*, to jest podłużny kawałek miedzi, wartują-

cy 8 groszy. Dziwny jest obrządek modlitwy, szczególnie w godzinach gdy świątynia jest zamknięta, wtedy wierny staje przed wejściem, porywa za sznurek spuszcający się od dachu, którego poruszenie sprawia pewne kołatanie; tym sposobem uprzedził bóstwo które już powinno go słuchać, składa więc ręce i ofiaruje mu swą modlitwę, odchodząc zaś wrzuca ją napisaną na karteczce przez okratowany otwór, ażeby zaś bożyszcze nie zapomniało o niej, owija papierkiem sztukę drobnej monety.

Porzućmy gwarliwą dzielnicę handlową i zwróćmy się na prawo, a ujrzymy jakby inny świat i inne miasto, choć zawsze czysto japońskie. Napotykamy tu olbrzymie mury których strzegą dwie połowe armaty; to urzędowa część miasta w której panuje cisza i niezamącony spokój. Przez otwarte drzwi odwachu widać siedzących w kuczki na matach żołnierzy, przypatrujących się najobojętniej pochodowi orszaku europejskich legacyi; przed odwachem ustawiona różnorodna broń, bardzo starannie utrzymana. Poza odwachem rozchodzą się szerokie, nadzwyczaj czysto utrzymywane ulice, wyglądając jakby usypane piaskiem ogrodowe aleje, ale na nich nie zobaczy ani pomników ani nawet budowli z bogatemi ozdobami architektonicznymi. Chyba tylko przez grzeszność możnaby nazwać pałacami, mieszkania szlachty japońskiej; długi dwupiętrowy mur, a w nim okna przystońione drewnianą kratą, wznoszący się na podstawie z olbrzymich kamieni, w około których toczy się mały strumyk bieżący wody; oto co postrzegamy po obu stronach ulic. W oknach ukazują się głowy ciekawych, ale to tylko służba i motłoch; bramy mocno i dobrze okute, są starannie pozamykane. Czasami z poza murów ukazują się wierzchołki drzew i pięknych szpalerów, dozwalające wnosić, że poza tymi murami, gdzieś w parku wznoszą się pewnie mieszkania panów; ale po ośmiu latach pobytu, Europejzykowie nigdy jeszcze nie mieli możności poznać życie domowe, zajęcia i wzajemne stosunki magnatów japońskich.

W pośród urzędowej dzielnicy, na małej 8 kilometrów obwodni mającej wysepce, wznosi się pałac tajkuna; jest to prawdziwa forteca oblana wodą, połączona ośmiu mostami z arystokratyczną częścią miasta. Od strony pałacu widać pochyłający się nieco spadzisto taras pokryty świeżą darniną, po której tu i owdzie wznoszą się rozłożyste drzewa; taras ten ogrolony jest murem. Po nad tarasem błyszczą przezrocza wód kanału, zdobne liliami i inuemi wodnymi roślinami; liczne gromady wesoło świegocących ptaków, ozywiają tę samotnię. Daremnie wyteżasz wzrok poza te mosty i mury, aby dostrzedz coś zakrawającego na pałac lub mieszkanie; widać skutkiem przezorności, którą legendy japońskie aż nadto usprawiedliwiają, dla większego bezpieczeństwa właściciel zamieścił mieszkanie swoje, gdzieś daleko, w rozległym parku, choć jeszcze ostatnie czasy przekonują że ostrożność to nie-łostateczna, skoro nie zdołała ocalić

ani tajkuna który zawarł traktaty z cudzoziemcami, ani nawet syna jego, dziecka idyoty, którzy obaj zostali otruci.

W Japonii nie ma żadnych pomników, posągów, łuków tryumfalnych, żadnych uwidomionych wspomnień świetnych czynów lub dziejów przeszłości. Kiedy we wszystkich krajach podobne pamiątki historyczne, cuda architektury lub sztuki, uwydatniają wyraźnie różnicę przeszłości z teraźniejszością, tu nie wskazuje że była jakaś przeszłość, że bieg czasu zmienił wyobrażenia, nagromdził szczątki i zgłiszcza. Japonia nie się nie starzeje; tu wszystko zdaje się świeże, jak gdyby kraj żyjący w odosobnieniu od reszty świata, wynalazł tajemnicę powstrzymania biegu czasu, i niezmiennego postępowania zawsze jednaką i spokojną drogą praktycznego życia.

J. B.



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wystawa sztuk pięknych: Trudność sprawozdawcy.— Nieużyteczność wystaw corocznych.— Propozycja wystawy obrazów na sprzedaż i wystawy obrazów do obejrzenia.— Wystawa wybrana z wystawy: wyłowione perły.— Historia i teoria pejzażu.— Obrazy sławne wątpliwej wartości.— Utwory wystawione przez polskich artystów.— Uwagi ogólne nad obecnym stanem sztuki w Europie.— Stanowisko sztuki francuskiej.— Wiadomości literackie.

D. 2 czerwca 1868 r.

Z wszystkich zadań kronikarza-feletonisty, najcięższe i najmniej wdzięczniejsze zdawać sprawę z wystawy sztuk pięknych, a to dla wielu przyczyn. Najpierw, jedność która jest prawem głównym wszystkich prac umysłowych jak i dzieł sztuki, jedność jest dla sprawozdawcy nie możebną. Jak złożyć harmonią z 4,000 instrumentów, z których każdy gra inną nutę? Krytyk od téj kapeli dostaje zawrotu głowy... i nic dziwnego. Czyż delikatna organizacya sędziego sztuki pięknej, może znieść w jednym dniu niestrawne widowisko 4500 obrazów zestawionych wedle przypadków alfabetycznego porządku, albo ilości cali poddanych jednemu światłu, będącemu dobrodziejstwem jednych, kłeską drugich; krótko mówiąc, czy podobna złożyć jedność z obrazów zawieszonych tak, że się biją, kłócą, zaćmiewają, zmieniają do tego stopnia, iż często sam twórca dzieła swego poznać nie może?

Paryżcy sprawozdawcy z wystawy, prócz powyższej, mają większe jeszcze trudności. Związani przyjaźnią lub stosunkami z wystawiającymi artystami, to czują się poddanymi staréj sławy, to nakazują sobie uwzględnienie młodych rodzących się znakomitości. Krytyk paryzki na każdego artystę patrzy przez szpary... szybko połyka okrutne słowo sprawiedliwe, z obawy żeby na papier nie padło i nie sprawiło ciężkiego zmartwienia; pisząc oceny nieustannie musi mieć na myśli rozpacz w jaką wypowiedzenie szczeréj prawdy może wtrącić mieniające dusze artystów

zdeenerwowane pochlebstwem, a zawsze spragnione pochwał... Z tych względów, krytyk paryzki, człek zgodny i najpobłażliwszy z ludzi swojego rzemiosła, zostawia potomności łatwe zadanie mówienia prawdy umarłym, sam albo chwali, albo różami chłoczsze żywych.

Sprawozdawca piszący w cudzoziemskim języku, mianowicie w takim którego Francuzi nie rozumieją, wolny jest od wymienionej troski—ale ma inną. Jakkolwiek giętkie i kwieciste być może jego pióro, skazany jest na ustawiczne powtarzania, męczące czytelnika, a pisarza jeszcze bardziej.

Jakże urozmaicić sądy i formuły, w tak krótkim przeciągu czasu? Co powiedzieć o pięciu szóstych malarzy i rzeźbiarzy, czegośmy już przynajmniej 14 razy nie powiedzieli w naszych dorocznych sprawozdaniach z paryzkich wystaw sztuki? Malarstwo francuzkie z tego czasu, razem wzięte, przedstawia niby wielką rękodzielnię, w której do ostatnich krańców posunięto podział pracy. Malarz któremu się raz udało trafnie odmalować Bretonów, co rok potem swojego Bretona rozpoczyna. Kto do Alzacyi szczęśliwą zrobił wycieczkę, już z niej nigdy nie wychodzi i co rok wystawia wyrób tegoż gatunku. Inny wyzyskuje Gotyki, i co 12 miesięcy regularnie, dokona naśladownictwo wierne jakiego starego Flamanda. Inny do archeologii klasycznej lgnie jak Alma Tadema i wiecznie jego bruzdą chodzi. Inny umie malować owoce, ale na straganie swoim trzyma tylko jabłka i winogrona; inny gałązkę natury martwej upodobał, i nią się bawi; inny nakoniec, jak Desgoffe, co rok wystawia i wystawiać będzie do śmierci, malowane klejnoty, zwodno-okie agaty i kryształy skalne.

Tym sposobem przemysł sztuki (mówię *przemysł*), dzieli się na przegrody, jak drukarska kaszta zawierająca czcionki: na górze wielkie litery, na dole drobne.

Co począć, pytam, ażeby nadać nieco nowości, nieco woni krytyce takiej wystawy, kiedy się już powiedziało i powtórzyło swoje zdanie o artystach wielkich, i tych których peryodycznie odnajdujesz na tém samém miejscu, w téj saméj kaszcie i téj saméj przegrodce?

Gdybyż ta monotonia w różnitości trapiła jedynie opisujących, ale nuda widocznie ogarnia zwiedzających. Zbyt częste wystawy odejmują pociąg do nich powszechności. Zresztą im częstsze bywają, tém są słabsze. I być inaczej nie może. W przeciągu roku nie wytworzy się summa pięknych rzeczy wystarczająca do utworzenia salonu, godnego uwagi powszechniej w stolicy świata.

Za to ilość artystów wciąż wzrasta... zalewają Francją miernościami. Malarze i rzeźbiarze wychodzą jakby z pod ziemi, a to dla tego iż rząd, w myśli szlachetnej zapewne, daje każdemu ułatwienia, zachęca słabych, którychby miłośnieriej było zniechęcić. Tym sposobem wyrabia się ogromna masa mierności

tam gdzieby należało podniecać i wytwarzać samą *doskonałość*. Dawniej chwała mniej dobroduszna, wymagała nieco gwałtu: ażeby do świątyni piękna się dostać, potrzeba było drzwi wyważyć: dziś stoi otworem...

O! jakże mądrzy byli nasi mistrze Grecy: Parnas ich był skałą stromą, na którą z trudem dostać się było można; Parnas francuzki jest miękką łąką, na którą wejdzie każdy i legnie wygodnie.

Książęta pięknej krytyki paryzkiej, Karol Blanc i Teofil Gautier, znudzeni nieużytecznością corocznych wystaw sztuki, proponują zmianę. Na co, pytają, ten *salon* co dni trzysta sześćdziesiąt?— W interesie artystów? Dobrze. Ale jest interes wyższy od tego: interes sztuki. Te dwa interesa nie zgodzą się z sobą, dopóki nie będą miały dwóch ustaw osobnych. Wystawa sztuki taka jaka bywa dzisiaj, nigdy nie zaspokoi nikogo, gdyż jednym zamachem chce osiągnąć dwa zupełnie różne cele, to jest: chce być wystawą dzieł *wyborowych*, a jednocześnie zaspokoić pragnienia materialne artystów dając im sposób sprzedania obrazu.

Zasadniczą tę sprzeczność, zdaniem pana Blanc, rozwiązać może jedynie jak wiele innych problemów, wolność.

Z jednej strony należy dać artystom wolność stowarzyszenia się, celem urządzenia wystaw *częściowych*, w którychby występowały talenta jednej miary, albo wystaw *ogólnych płatnych*, dla zaspokojenia ciekawości publicznej i doprowadzenia artystów do majątku przez sławę.

Z drugiej strony, rząd powinien mieć wolność urządzenia w dłuższych odstępach nieoznaczonych wystawy sztuk pięknych *bezpłatnej*, otwartej każdemu, ale surowo przejranej, wybranej subtelnie, wystawy *doskonałości*, gdzieby każdy obraz był przedstawiony w przychylném odosobnieniu i najlepszym świetle; wystawy, gdzieby każdy posąg miał swoją nyszę, gdzieby wszystko było urządzone na większą chwałę sztuki francuzkiej. Na drzwiach pierwszej wystawy stałby napis: *Obrazy na sprzedaż*; na podwojach téj drugiej, wyrytoby złotem: *Obrazy do obejrzenia*.

Dobra rada. Tym sposobem, byłby bazar trwały, ponieważ go potrzeba, i muzeum czasowe, gdzie co 3 lub 4 lata świat zobaczyłby sztukę wielką, wyborową, znaczącą postęp, albo ostrzegającą o upadku.

Wielkie państwo winno ludowi wystawę taką, nie winno mu w tym przedmiocie nic więcej. Do rządu należy zdać rachunek z milionów wydanych na ozdoby gmachów publicznych, utrzymywanie historycznego malarstwa, rzeźby i sztychu, wystawiając plany pomników podanych do konkursu, kartony zamówionych dekoracyi muralnych, bronzów, marmurów i rycin któremi Muzeum Luwru zbogacił.

Wtedyto przysięgli sędziowie wystawy mieliby godne sobie zadania. Uwolnieni od niańczenia trudnych początków, przewidywania samoboju odmówionych, wolni od myślenia o niedoli

która dziś ich rozbraja i surowości wzbrania, pracowałoby dobrze, światle i sprawiedliwie. Patrząc na dzisiejszą robotę sędziów przysięgłych, dostrzegaliśmy zawsze, iż pobłazają przez ludzkość, poświęcają dla osób tylko uwzględnienia godnych, sprawę *piękną*, która jest świętą.

Przebiegając sale pałacu Elizejskiego, w tym oceanie obrazów łowiliśmy perły i ułożyli z nich wystawę małą ale wyborową. Tę ekspozycją ułożoną wedle naszej myśli, przedstawiamy chociaż na papierze.

Najprzód chcąc naszą wystawę umieścić godnie, wyrzuciliśmy wszystkie prawie malowidła zawieszane w *honorowym salonie*. Z płócien tam zawieszonych, zostało tylko cztery: *Koronacja króla pruskiego*, Menzel'a; *Neofita*, Gustawa Doré; *Urodziny Minerwy*, p. Maserolles, i widok *Werony w nocy*, malowany przez ucznia szkoły *Munichski*, pana Henings.

Każdy z tych obrazów wart widzenia. Pana Menzel ogromne płótno, przedstawia wnętrze katedry królewskiej, gdzie się spotykają dwa przepychy: przepych monarszy i przepych kościelny. Jesttu kilkaset portretów rozmaitych dostojników Państwa Pruskiego. Wszystkie wykonane z miniaturową doskonałością, chociaż na wielkie rozmiary. Menzel, malarz, znakomity, maluje podobnie jak Meissonier: rzekłbyś że to tego francuzkiego flamanda malowidło, widziane przez szkło sto razy powiększające.

Dorego obraz efektowny, przedstawia dwa rzędy *Trapistów* na ławach... czy kościelnych? to pytanie, gdyż temu malowidłu do doskonałości brak ważnej rzeczy: charakteru. Namalować do doskonałości zebraków, brodatych *modeli*, to nie toż samo co przedstawić *Trapistów*. Jakkolwiek obraz Dorego jest jego najlepszym utworem, niedostaje mu klasztornej powagi. Draperye pomięte, brudne jakby się po rynsztokach włoczyły... Jedyne usprawiedliwienie takiego przedstawienia zakonnej sukni, że obraz ma być satyrą; jego sens moralny (czy nie moralny) w postawie *neofity*, który przybywszy wczoraj do zgromadzenia, sam jeden wśród zarzeczanych mnichów zdaje się ożywiony świętym ogniem, sam jeden słucha kazania z religijném podniesieniem. „Patrzcie co z ludzi robi klasztor!” To chciał powiedzieć Doré.

Minerwa cała zbrojna stoi obok Jowisza, z którego parującej głowy właśnie wyskoczyła. Bóg bogów patrzy na nią zdziwiony. Olimpijska pogoda otacza te dwie postacie w starożytnym stylu i ze starożytną poezią pięknie oddane.

Werona w nocy, widok księżycowy, tajemniczy a wymowny, pełen skrytej rozkoszy i malowniczych efektów, mógłby być ilustracją godną *Romea i Juliety*. Balkony zdają się czekać córy *Kapuletów*... od cyprysów posrebrzonych miesięcznym blaskiem, zdaje się dolatywać śpiew słowika... Skowronek jeszcze milczy, więc żadna smutna nuta nie mięsza nocy, w którą otulone miasto rozkoszy.

Zostawiamy tedy w salonie honorowym te cztery obrazy, a wynosimy resztę. Figury urzędowe nie malowane przez Tycyana ani Rembrandta, ustępują miejsca dostojnikom malarstwa, członkom rady przybocznej sztuki, senatorom i marszałkom szkoły francuzkiej. *Portret vice-admirała Juarez'a*, pędzla Henryka Lehmann, czystego stylu, poważny a trzeźwy, pełen życia, nie tego co trawi, ale tego co myśli, zawieszamy tam gdzie umieszczono konny wizerunek królowej Izabelli. Obok Juareza stawiamy dwa portrety Cabanela, malowane z rzadką dystynkcyą. Są to prawdziwie dostojne osoby: dostojność ducha znać wszędzie a dumy nigdzie nie widać. Artysta przedstawił je bogato, a skromnie, poważnie, a nie napuszysto. Sposób malowania musi być podobny do obejścia tych wzorów.

Obok, zawieszamy Lefebvra ucznia szkoły rzymskiej, *portret dziewczęcia*, właściwiej portret wiosny; tegoż, *kobietę leżącą*, utwór przedziwny, cnością nie bez *ale*. Postać nagiętej kobiety żywa, drgająca, kolorowa, byłaby doskonała gdyby należała *całkowicie* do sfer idealnych, gdzie tylko czysta myśl wchodzi. Tu nie ma jednolitości: głowa nie należy do tego ciała; twarz ma wyraz powszedni, niezgodny z arystokratycznym kształtem reszty, wyborową pięknoscią ramion i piersi. Ale i takie postacie do rzadkości należą dzisiaj, kiedy chcąc naśladować najwyższą formę, kształt człowieka, malarze nie nagię, lecz rozebranych przedstawiają ludzi.

Zpowodu rzadkości wyciągamy też z katakumbów alfabetycznych i wyprowadzamy na jaśnią *Grzech pierworodny*, Augusta Hesse. Bardzo trudno malować Adama i Ewę w chwili fatalnej, kiedy tak okrutnie skompromitowali niewinną potomność. Trzeba zasobu wiedzy i nie mało intelligencji, gdyż są tu konwenanse które ocalić należy, są złudzenia optyczne i inne, jest położenie moralne do uwydatnienia.

Wykształcony w silnej szkole Dawida i Grossa, pan Hesse owałdował swoją sztuką. Nadto, co nigdy nie wadzi, jest to człowiek rozumny: dowodzi tego układ obrazu. Chcąc uniknąć dwóch głów równego znaczenia, rozrywających uwagę widza, przedstawił węza okręconego na drzewie z głową ukrytą za plecami Ewy, której do ucha szepcze zgubne rady. Zły duch pierwszy raz kusi tę która kusić będzie wiecznie ród ludzki. Kobieta słucha, z nieruchomym wzrokiem, jakby utkwionym w mamidło pustyni, i upuszczając jabłko w rękę męża nie patrząc nań wcale. Postać Adama siedzącego na murawie w półcieniu, poddana figurze Ewy, na którą ześrodkowane pieśzcotliwe światło. Pejzaż głęboki oryginalnej piękności, dopełnia ten obraz uczenie modelowany miły oku, a karnacyą niewieścią przypominający Corregia.

Spiące dzieci i *Sielankę* pana Bouguereau, zawieszamy obok *Grzechu pierworodnego* w honorowym salonie. Jakaż to subtelność! jakie wykończenie! Szkoda tylko że ta doskonałość zbyt jednostajna i nie dość wyrazista.

Dwa wnętrza: *Refektarz Trynitarzy* pana Zamacois, i *Refektarz* pana Gide, oba oświecone promieniem klasztornej poezyi, wy-

jęte z sal oznaczonych literami Z. G. stawiamy obok siebie. Prześliczna *Carméla* pana Giacomotti przedziwnego portrecisty, parę obrazów morskich Izabey'a, mile przegrodzą sceny potoczne.

Wybitną cechą obrazów pana Isabey'a, jest wdzięk i dowcip. Nie, żeby, malował kalembury albo wyszukiwał komicznych przedmiotów, bynajmniej, Izabey przestaje na pierwszym lepszym wzorze: łódź porzucona na piasku, morskie bałwany bijące o brzeg skalisty, rybacy zarzucający sieci, wystarczą mu do stworzenia obrazu który wrywają sobie znawcy. Dowcipem w utworach jego nazywamy ową szczególną łatwość pędzla, która wszystko ożywia, polituruje, ów dobry gust co nie dopuszcza nietrafnej myśli ani niesmacznego konceptu. Natura przez niego tłumaczona nigdy nie jest płaska; kolory zawsze odbijają wybornie, mienią się w oczach, jakby paliły płótno.... rzuty pędzlowe pewne i szybkie, nadają przedmiotom właściwą wartość, ożywiają je zawsze jakąś ukrytą iskrą.

Ulubionym przedmiotem pana Izabey są widoki morskie, chociaż w części należy do malarzy rodzajowych, sławę swoją zawdzięcza morzu. Jak czarnoksiężnik jednem skinieniem różdżki, tak on jednym rzutem pędzla wywołuje straszliwe burze, topi okręta, wydaje pełne grozy bitwy morskie, lub po równej jak lustro fali, niekołysanej najłżejszym wiatru podmuchem, suwa wazkie kaiki lub weneckie gondole, pełne gwaru, śmiechu i muzyki. Najślawniejszy utwór jego jest *Le Combat du Texel*, w którym, jako malarz morski szczytu dosięgnął.

Szkoda że Diaz przeniewierzył się naturze, bo jakkolwiek jego rodzajowym obrazom nie można zaprzeczyć wartości, to jako pejzażysta wyżej stoi. Gdyby chciał, przeszedłby zapewne najbieglejszych w tej sztuce. Ale na nieszczęście, zaniedbuje wrodzony talent: natury używa jedynie za tło dla ludzkich postaci. Kto zna jego dawniejsze dzieła, nie może być rad z tego przeobrażenia Diaza, bo któż lepiej od niego umie illuminować słońcem lasy, we mchy srebrne odziewać stare buki, zawieszać na murawie brylantowe krople rosy... ubierać skały w zielone aksamity, otwierać w zaroślach drogę którą bieży spłoszona sarna... Takich widoków Diaz wymalował krocie, ale żadnego nie wystawił. Zamiast czarownych pejzaży dał na wystawę obrazy potoczne, na które nikt nie zważa, bo tysiące lepszych wisi dokoła.

Zwykły to błąd ludzi, że się upierają nie przy tém w czém rzeczywiście mocni, lecz upatrują siłę swoją właśnie w najśłabszym punkcie. Świętej pamięci Delacroix nie zważał skoro kto chwalił jego obrazy, ale jeżeli kto powiedział że gra pięknie na skrzypcach, rzucał mu się na szyję: a jednak, malował prawdziwie, a grał fałszywie.

Do honorowego salonu wprowadzamy krajobrazy, sztukę dzisiejszą, wielką i piękną, której historia i teoria dotąd nie napisana.

Można powiedzieć bez przesady, że sztuka rzeźbienia i malowania ludzkiej postaci starszą jest niż stworzenie świata. Mieliliśmy tego dowody w ekspozycji egipskiej na zeszłorocznej wystawie powszechniej, widzieliśmy tam jeden posąg o tysiąc lat starszy od siedmiu dni Gezezy urzędowej.

Wyobrazenie zwierząt użytecznych i szkodliwych, spotykasz na pomnikach jeszcze starszych. Spytajmy wykopanych szczątków pierwotnego człowieka, owych resztek oświaty jakie pięć tysięcy lat starszej niż pierwsza statua egipska; znajdziemy tam narysowane kształty zwierząt. W jakiego było epoce? nie wiadomo, ale zapewne z jakie sto wieków przed paryżką wystawą powszechną.

Owóż, od jakże dawna artyści malują naturę? Od jak dawna ośmielają się przenosić na płótno te prześliczne widoki przyrody, nastrożające się ludzkiemu oku? Kiedy spostrzeżono że góry, doliny, łąki, lasy, wybrzeża spokojne, lub zmacone wody, dzikie wąwozy i uprawne pola, przedstawiają sztuce przedmiot zajmujący, rozmaity, przedmiot który każda pora roku, każda godzina dnia przeobraża? Odkrycie to świeże, nie liczy jeszcze trzech wieków.

Pejzażystami starożytności byli jej poeci: Homer, Teokryt, Lukrecyusz, Wirgili. Śmiało rzec można, że nikt w żadnym kraju nie widział lepiej, czulój nie kochał przyrody jak ci pejzażyści boscy, którzy krajobraz uwieczniali w jednej strofie. Duch pól, morz i lasów, w nich żyje: są oni natchnionymi szafarzami strawy żywiącej ród ludzki. Ale to co oni pokazali wyobraźni, tego żaden artysta za ich czasów nie mógł uwidomić oku. Nie wynaleziono sposobu: narodziny pejzażu czekały pewnych początków chemii. Do stworzenia posągu Venus Milo i Achillesa, potrzeba było geniuszu, marmuru i dłuta: nieliczne malowidła starożytne były jedynie rzeźbą przeniesioną na płaszczyznę cieniowaną, dla wskazania wklęsłości i wypukłości. W pierwszym i drugim razie, sztuka miała wyrażać kształt, wypukłością rzeczywistą, czy kunsztem rysunku. Ludzie tak zupełni i bogato uposażeni jak starożytni, byłiby niewątpliwie pojęli różnicę kolorów, ale nie mieli narzędzi do ich reprodukowania. Aż do dnia w którym Van Eyck rozpowszechnił olejne malarstwo, można było tylko przeczuwać koloryt i żałować że go niema.

Pejzaż nie mógł tedy urodzić się wcześniej, gdyż jeżeli potrzebuje znajomości rysunku, kolor dopiero daje mu życie. Rzeźbione drzewo byłoby dziełem śmiesznym; pejzaż czarny, choćby mistrzowską ręką zrobiony, jest tylko cieniem, szkieletem krajobrazu. Kolor jedynie, kolor wydoskonalony wynalazkami nowoczesnej nauki, może zachwycić i przenieść na płótno splendor naturalnej piękności.

Boscy mistrze odrodzenia, którzy bez wyjątku byli uczniami starożytności, jak ona, za jedyny przedmiot piękności uważali kształt ludzki. Wszystko inne było dla nich dodatkiem. Spojrzymy na ubogie pejzażyki stanowiące tło obrazów Perugina i Rafaela:

góry, drzewa, ziemia stoją tam w pośrodku pomiędzy *objaśnieniem a dekoracją*.

Od Mikołaja Poussin datuje się pejzaż historyczny, który jeszcze nie jest pejzażem w dzisiejszém znaczeniu tego słowa.

Pejzaż historyczny jestto *czyn pamiętny* oprawiony w oząstkę natury przez człowieka dążącego instynktowo do nadania większej wagi raminie niż obrazowi. Postać ludzka, chociaż tam jeszcze studyowana z uszanowaniem, schodzi do rozmiaru potocznego i wykonaną jest ogólniej. Skały i drzewa pod ręką malarza, może pomimo jego wiedzy, stają się osobami równie zajmującymi jak ludzie. Do odmalowania pnia dębu, nie inniej artysta przyłożył starania jak do odmalowania kadłubu. Ale te drzewa i góry nie są pierwsze lepsze. Tradycja nie pozwala artyście brać bez wyboru widoków dostarczonych przez naturę; punktem wyjścia pewna dana, *przedmiot* rządzi tam każdym pociągnięciem pędzla. Chodzi o oprawienie akcji starożytniej, to jest dostojnej. Dekoracja musi więc być uroczysta. Ażeby jej nadać tę cechę, malarz pójdzie na koniec świata szukać materiałów odpowiadających powadze przedmiotu. Zbiera i grupuje swoje żywioły: niebo majestatyczne, morze imponujące, widnokrąg poważny, skały czarodziejskie, drzewa górujące jak ów dąb w bajce:

„Którego głowa była bliską niebios,
A nogi dotykały cesarstwa umarłych.”

Chcąc spotęgować jeszcze godność obrazu, artysta z archeologicznych zabytków wydobywał najszczytniejsze pomniki, te, które uolbrzymił geniusz architekta a spustoszenie wiekowe ukoronowało jeszcze wyższą pięknnością. Takie *fabryki*, historyczny pejzażysta sieje w swoim krajobrazie.

Nie na *tém* koniec. Potrzeba żeby kolor dodał też coś do surowej harmonii arcydzieła. Jeden promień figlarny taki jaki Diaz na piersi swoich pasterek, albo na plecy amorków rzuca, skandalicznieby popsuł tak szlachetną całość... razilby jak flecik złośliwie wprowadzony do psalmu.

Surowość tego stylu nieco folżeje w dziele kolorysty lotaryńskiego. Temperament Klaudiusza Geleé ubliża stariej tradycji, ale nowej jeszcze nie tworzy. Szkoła francuzka aż do wielkiego odrodzenia 1828 roku, była szkołą Poussina.

Pejzaż nowoczesny ma przecież przodków: „Každy jest *czyimś* synem” jak mówi Moliere. Gdzie ci przodkowie?

Naród mały liczbą, ale wielki odwagą i wytrwaniem, stworzył sobie kraj nad brzegiem Północnego morza. Po dość długiej *małoletności*, naród ten doczekał się też swego wielkiego wieku, podobnie jak Ateny i Rzym: w krótkim czasie stał się wolny, potężny a w dodatku artysta. Holendrzy mają genialne poczucie koloru. Poczucie to dało im niebo, wody i bogaty odbłask Wenecyi. *Szczęśliwy ten zbieg* uczynił ich pejzażystami; a ponieważ nie mieli ani

przodków w historii starożytnej, ani gór posepnych, ani rzymskich zwalisk, ani poetów klasycznych, zaczęli po prostu malować samą naturę, taką jaka jest. Poznali ją gruntownie, rozumieli z pół słowa—czcili aż do bałwochalstwa. Peizaż tegoczesny ma swoje źródło w ojczyźnie Ruysdaëla, Pawła Potter, i Hobbema.

Wyszadzano Courbet'a skoro się zatytułował *uczniem natury*. A jednak nie jest to tak śmieszne jak się zdaje: matka natura dała jemu wyborne nauki. Większa część francuzkich peizażystów jeżeli nie rzemiosła, to sztuki nauczyła się w tej szkole. Na stu pięćdziesięciu malarzy karmiących się tutaj zielenią, zaledwie dwudziestu ma tradycję: ogół patrzy przed siebie. Ztąd ta powierzchowna anarchia kryjąca chwalebna jedność dążności, ztąd wspólna zasada: szukanie prawdy.

Jak w naturze, tak w jej malarzach różnaitość nieskończona: Rousseau nie podobny do Corota, Ziem do Bellef'a, Bellef i Français nie mają nic wspólnego z Courbetem, który znowu bynajmniej nie podobny do Nazon'a różniącego się całkowicie od pana d'Harignies. Nie ma widocznego podobieństwa między Bretonem a Laviellem, nikt Laviella nie weźmie za Danzat'a. A jednak wszyscy oni podobni do natury, i dlatego właśnie francuzka szkoła peizażystów jest najlepsza. Zły peizaż równie tu rzadki jak dobry obraz religijny.

Natura nieskończenie jest różnaitą nie tylko w układzie, ale w przedstawieniu się. Najmniejszy lasek, jeżeli go obejdzie się wkoło, dostarczy sto różnaitych krajobrazów. Dokonaj tej próby w różnitych porach roku, każdy z tych stu peizaży przemieni się sto razy. Wstań o świcie i z jednego miejsca patrz do zmroku, jeden i ten sam przedmiot z jednego punktu widziany, w ciągu jednego dnia przedstawi sto obrazów różnaitych.

Tak więc, jeden kącik rozległej przyrody, obejmuje milion peizaży. A jeżelibyś na to samo miejsce, o tej samej porze roku i godzinie przyprowadził stu biegłych peizażystów, miałybyś sto obrazków różnaitych—jeżeli każdy malarz patrzył własnymi oczyma nie oczyma sąsiada.

Teorią peizażu można zamknąć w jednym wyrazie najmiliej brzmiącym w ludzkiej mowie: wolność. Ale nie ma wolności bez praw—tak dobrze w polityce jak w peizażu.

Najpierw, peizażysta powinien się ograniczyć, to jest zamknąć w swęj ramie tylko ilość przedmiotów dających się ogarnąć jednym rzutem oka. Droga naprzykład, z Warszawy do Krakowa, pełną jest zajmujących szczegółów, ale takięj panoramy artysta oczom nie przedstawi.

Skoro trzeba się ograniczyć, trzeba wybierać. Peizaż nie jest oknem przypadkowo na wieś otwartę. Dzieło wykonane pędzlem czy piórem, powinno mieć początek i koniec: stanowi całość. Jeżeli za jakie lat dziesięć, przyrząd fotograficzny będący już nieomylnym rysownikiem, potrafi chwytać w lot wraz z kształtem, kolorami, fotografia przez samo słońce wykonana, nie będzie jeszcze obrazem. Prawdziwy malarz, to człowiek umiejący wybrać z na-

tury przedmioty składające się na sprawienie oznaczonego wrażenia zupełnego, jasnego, bez szczerb, lub nadmiaru szczegółów. Natura nie jest artystą; wszystkie jej twory, choćby najpiękniejsze, zostawiają coś do życzenia; w najcudniejszym pejzażu znajdziez tu zbyt mało, owdzie zbyt wiele. Artysta któryby malował dokładne kopije, zrzekłby się swojego najpiękniejszego prawa. Wolno rozszerzać, dodawać, byle prawdopodobnie. Kto sadi trzciny lub wierzby na szczycie skały, na bagnie aloesy, a na śniegu palmy maluje, ten naturę fałszuje, nie poprawia.

Sztuka pejzażysty spoczywa na dwóch *umowach*, z których jedna odnosi się do rysunku, druga do koloru.

Pierwszą, nakazaną przez budowę i doniosłość naszych organów, można streścić w tych słowach artysty: „Panie widzu, stań proszę obok mnie, i patrz na ten sam przedmiot na który ja patrzyłem. Wszystko co po za nim, jest dodatkiem. Tu, wzrok skupiony na dąb, który wybrałem sobie w lesie. Otacza go wiele innych dębów równie pięknych, ale tego podobało mnie się pokazać ci szczegółowo. Patrz na ten, widząc inne będące dopełnieniem obrazu”

Taka umowa zrobiona pomiędzy malarzem a patrzącym, ma się prawa, artysta obowiązany narysować szczegółowo swój dąb, a oddać ogólnie to co służy za tło, powinien zawierać szczegóły w miarę jak się oddala od przyjętego punktu zapatrywania. Jeżeli z umówionego stanowiska zejdzie, zbliży lub oddali punkt obserwacji, dowiedzie, że nie zna perspektywy: jest może bardzo dobrym chińczykiem ale nie zawodnie złym malarzem.

Druga umowa, jak powiedziałem, dotyczy koloru. Ani Claude de Lorraine, ani Ruysdaël, ani żaden kolorysta nie mógł oddać nawet w przybliżeniu, światła dziennego: malarz je naśladowuje jak muzyk huk harmat za pomocą basów. Słońce pejzażystów tak się ma do słońca niebiańskiego jak jeden do stu. Ale nikt się na to nie skarży—nikt nie żąda niepodobieństwa. Wymagać można jedynie, żeby gamma przyjęta przez malarza oddała sto oktav odległości, stopniowanie naturalnego światła. Krytyk nie szykanuje go za najwyższy ten jaki przyjął, ale słusznie wymagać może żeby wyszedłszy z tego tonu, ustąpiował odcienia tak jak je stopniuje natura.

W braku absolutnej prawdy, do której tu żaden wysiłek ludzki nie dobieży, konieczną jest prawda względna.

Do honorowego salonu wprowadzamy tedy krajobrazy, kwiaty i martwą naturę.

Corota pejzaże zbudowane jak pomniki a rozrzucające jak sielanki lub elegie, słodkie i nikłe jak o szczęściu rojenie, zajmą miejsce w gronie arcydzieł.

Tą razą ten czarodziej wystawił „Małą rzeczkę” i „Une queue d'Etang a Ville d'array” dwa widoczki przezroczyście, lube, których

ani rozbierać ani opisać niepodobna. Strumyczek wązki spokojnie płynie na pościeli zielonej z mięty i żeżuchy; nad wodą cztery płaczące wierzby i dwie drzące topole, na lewo, świeżo skoszona łączka na której igrają cienie drzew przewiewanych podmuchem jesiennego wietrzyka; na prawo, ogródek chłopski w którym jedna kobieta rwie sałatę, a druga bawi dziatki. Ot i wszystko. Niby mało—a tak wiele!

Koniec jeziora zalewa ramy. Woda stojąca miejscami błyszczą jak posrebrzana. Dziewczątka w czerwonej chustce na głowie i niebieskiej jupce, robi pończochę pilnując krów ogryzających chwasty i szczawiowe łodygi. Nad konającym jeziorem chimura nie ujętna sunie... wyziew jakiś, mieniacego koloru, podobnego do filizanki mleka zafarbowanej jedną maliną. W głębi nieskończony wysmug pejzażu. Wdzięk tych widoków opisać się nie da. Jest, powtarzamy, uplastycznione marzenie o szczęściu.

Pierwsze miejsce należy także przepyszny pejzażom pana Hanoteau, Barona „*Willi d'Este*” przypominającej kraje „gdzie kwitnie laur i cyprys cicho stoi” a błękitne powietrze pełne złotej kurzawy cudnie odbija od szeroko rozpartych ciemnych sosen, co tam jak słońco-chrony sterczą czekając na znużonego skwarem wędrowca. *Okolice Fontaineblau* przez Chauvel zdumiewają prawdą. Dalej, *Normandya* pana d'Aubigny, opiewana w balladach, zielone rozacza smugi, na których gęsto rozsiane sterczą stare zamczyska i snują białe trzody, bogactwo rolnika. *Zmrok listopadowy* przejmując dreszczem i wywołuje wspomnienia starych dramatów. *Widok jesieni* Bella, bogaty w efekcie i kolory sztuczne którymi zwykła się stroić jesień, jak kocietka co przetańcowała już wiosnę i lato swojego żywota.

Możnaby pisać sonety, elegie, ballady i sielanki przypatrując się tym obrazom, w których natura schwytna na uczynku, tak zrozumiale mówi tłumaczona genialnym pędzlem artysty. To szczyt dzisiejszego malarstwa.

Fromantin równie pięknie maluje naturę jak figury. Kolorysta zachwycający streścił w sobie Eugeniusza Delacroix. Jego *widoki Afryki* są bukietami, w których migają tu i owdzie jaskrawe barwy Araba, lub strzelca uganiającego się za lwem. Poczucie tegoczesne w tych obrazach posunięto do szczytu. Za to, brak poczucia rzeczy starożytnych w obrazie tego malarza *Centaures et Centaures*, które za nim się odmalowały w wyobraźni artysty, przeszły przez gaje Watteau i zbyt zdradzają smak XVIII-go a fantazyą XIX-go wieku.

Kwiaty letnie Filipa Rousseau wiszące w salonie, tam zostawiamy, jako arcydzieło malarstwa swobodnego, lekkiego i błyszczącego, które w lot chwyta wszelkie odcienia i cieszy oko utrwalając na płótnie co w naturze trwa jedną chwilę: świeżość bukietu róż białych pijących światło, ciemne bogactwo maków nakrapianych grających rolę cieniu, rozkwit pęku Ostróżki i polnych maków, których czerwień lśniącą płomieniem się pali...

Do najlepszych obrazów dołączymy jeszcze „Zbiór ziemniaków” pana Breton, „Czytanie biblii” pana Brion i „Żalobę serca” pana obrazek Saintin’a, na który długo patrzeć można... Malarz przedstawił młodą wdowę siedzącą przed biurkiem nieboszczyka męża. Na stole leżą wszystkie jego papiery, kałamarz, chronometr i wiele innych drobiazgów przypominających zmarłego. Oczy wdowy błyszczą łzami i miłością, patrzą na miniaturę męża.

„Curiosites” pana Vollon, téż warte honorowego miejsca. Artysta przedstawił zbrojownię hrabi Niewerkerke. Pod względem układu obraz nie wiele wart, ale wykonanie szczegółów doskonałe.

Z wymienionych obrazów złożyła się prawie doborowa wystawa. Chcieliśmy już zamknąć nasz *salon kwadratowy*, kiedy spostrzegamy, że w nim jeszcze niema wizerunku *Stefana Czarnieckiego*, pędzla *Leona Kaplińskiego*. Wspominamy więc o nim, gdyż niezawodnie do najlepszych portretów historycznych na tegorocznej wystawie należy.

Malarz przedstawił wojownika stojącego z odkrytą głową, w bojowym stroju „w rysiach i bisiurnej szacie,” ściśle przestrzegając dziejowej prawdy. W lewej ręce trzyma buczygan, prawą ma u pasa. Nad nim niebo pochmurne... Widnokrąg zakończy morze, które wnet przepłynie w 6000 koni, biegnąc na pomoc Duńczykom, a swoje hufce zagrzewając pamiętnymi słowy: „Pokażmy iż odwaga nie potrzebuje mostu i nie lęka się morza.”

Znacząca twarz hetmana zwraca uwagę powszechną. Najlepszy to dowód wartości dzieła. Cudzoziemcy nie wiedząc kto to taki, ale na szerokiemi czole czytają, że ten wojownik gotów zawsze przycisnąć dobrą sprawę do szlachetnej piersi, na której jaśnieje obraz Bogarodzicy.

Obrazów sławnych a wątpliwéj wartości, lista dość długa. W pierwszym szeregu postawić tu należy dwa obrazy realisty Courbета: *L'Aumône du Mendiant* i *Une Chevette passant un ruisseau*.

Pierwszy obraz okropnie szpetny razi z daleka. W środku płótna stoi figura obrzydła: stary miejski żebrak w połamanym kapeluszu, plugawém odzieniu, cały w dziurach, strzępach, łatach... przez otwartą koszulę widać piersi brudne i chude. Na nogach ma szmaty powiązane sznurkami, oblicze wybladłe, głodne, zwiedłe... oczy wygasłe, matowe, jak szyby odwiecznej katedry, ale w nich jakaś iskra litości migocze. Jedną ręką wspiera się na kiju, drugą podaje grosz, może jedyny, małemu chłopcu bezczelnie żądającym jałmużny.

Dzieciak utopiony w ojcowskich spodniach, bosi, tłusty, spina się na palcach i chciwie porywa grosz żebraczy. Pies najeżony wacha dziada: radby ukąsić, ale nie ma gdzie. Opodal, około swojego wozu siedzi rozczochrana cyganka, karmiąc dziecko patrzy na tę scenę i czeka skutku wyprawy chłopaka. Brutalność

tego obrazu wystawić się nie da. Czyni on na widzu wrażenie strzału pistoletowego *à bout portant*. Tłok ludzi otacza nieustannie tę potworność.

Drugi obraz Courbeta nie czyni przykrego wrażenia: widać zagajnik złożony z zieloności przeróżnej; pomiędzy drzewkami po kamyczkach płynie strumyk. Mała sarenka wata, z szyją w tył przechyloną, przechodzi wodę, niespokojnie wachając strumień i powietrze.

Gérôme, który nie maluje, ale pędzlem pisze, wystawił dwa obrazy. *Rozstrzelanie marszałka Ney*a zwraca powszechną uwagę. Jestto karta historii: o zmierzchu, pod murem dokonano egzekucyi, w płaszcz uwinięty trup marszałka leży na piersiach; rota żołnierzy po spełnieniu mordu, oddala się pośpiesznie. Urok Ney'a opromienia tę scenę w dziejach, podnosi do wysokości tragedyi tę powszednią kaźnię zadaną bez przygotowań, bez widzów, bez chwały. Ale w malarstwie tak być nie może. Wyobrażenia nie przemieni w bohatera, tego leżącego do góry plecami mężczyznę w sukienném odzieniu. Gdyby nazwisko nie stało w katalogu, niktby się nie domyślił że to Ney. Oczy człowieka, to dwa cerbery pilnujące jedną z bram jego unysłu: trzeba im co rzucić na pastwę, jeżeli tą bramą chcemy wejść do duszy.

Drugi obraz Gérôme zatytułował *Jeruzalem*. Ten mógłby być wzniosły, gdyby myśl o której oddanie chodziło, była powstała w exaltowanej głowie romantyka. Ponura poezya Rembrandta, gwałtowny talent Delacroix, albo szaleństwo Goya, zaledwieby temu podołały. Gdyby Rembrandt był chciał przedstawić Kalwaryą taką jak Gérôme, gdzie zamiast trzech krzyżów widać tylko trzy ich cienie, z jakimże zapalem, z jaką gorączką byłby urzeczywistnił na płótnie ten sen straszliwy... z jakąż przenikającą nieokreślonością byłby wyzwał cienie trzech trupów zawieszonych i porzuconych na szubienicy Golgoty... Jakążby smutną ukazał Jerozolimę. Odgadłbyś w pobliżu obecność trzech krzyżów, omdlałą matkę, święte niewiasty, nawróconych pogan i rzymskich żołnierzy. Snop promieni byłby przebił ciemności z boku, całość byłaby fantastyczna jak wizya, straszna jak apokalipsa. Postawiona poza realnością, w sferze widziadeł, scena taka na wskrośby przejmowała. Ale jak tylko archeologia do tego się mięsza, jak tylko malarz na miejscu szuka żywiołów prawdy i farb do obrazu, niezawodnie wystudzi natchnienie wiernością, zniszczy urok dokładnością z jaką malował Kalwaryą i wały Syonu, które widać z daleka. Co być mogło wizją cudowną z powodu nieznaczonego kształtu, jest poważném opowiadaniem podróżnika, który starannie maluje co rzeczywiście widział.

Chcąc być wielkim malarzem nie trzeba mieć zbyt wiele tego co w potocznej mowie zwiemy sprytem, lub dowcipem: dowcip z natury swojej jest przeciwnikiem uczucia będącego duszą sztuki. Wszyscy wielcy mistrze byli skupieni, przeczuciowi i sercowi; żaden nie był dowcipny ani sprytny. Dzisiejsi malarze

zbyt przebywają w salonach, zbyt się kręcą pomiędzy ludźmi, nie mają więc korzyści samotnego rozpamiętywania; pracują wśród hałasu, wśród wiru życia powszedniego; dla tego, osobistość ich znika w ciągłym starciu ze społecznością sztuczną i konwencyonalną.

Tém się tłumaczy fakt dziwny, że malarstwo francuzkie wiecznie poddane berłu mody, przemienia się zupełnie co lat dziesięć.

Müller, członek Instytutu, wystawił *Dezdemone*. Przed dziesięć laty malarz ten w największej był modzie: maniera jego stała w środku pomiędzy malarstwem świętym, a swobodniejszym wykonaniem obrazów potocznych. Styl Müllera przypominał dramaty Szekspira, poezye Bayrona, romanse Walterskota, wszystkie wielkie źródła w których wtedy poili się umysły. Koloryt miejscowy był zaletą główną: meble, ubiory, obicia, dodawały wyrazu przedstawionym scenom. Po obłędach pierwszych rewolucjonistów, przyjęto łaskawie romantyków zgodnych, przyswojonych, oddziałujących przeciwko rozwiozłościom jakich się dopuścili w kształtach, pierwsi romantycy.

Müller podniósł rodzajowe obrazy do godności historycznych. *Dezdemona* jego, przedstawiona w chwili kiedy powiada Emilii: „Nie mów do mnie. Nie mogę płakać.. a odpowiedzieć mogłabym tylko łzami.” Delikatna blondynka, gustownie ubrana, blada cierpieniem ani bardzo gorzkim ani głębokim, *gra rolę* *Dezdemony*, ale nie jest rzeczywistą kochanką Otella: mogłaby być oddana daleko lepiej.

Cóżkolwiek bądź, to rodzaj historyczny zasługujący na uwagę, a pomijany obojętnie, bo ogół tylko potoczność lubi. Mniej niż kiedy zakochana, odrętwiała, przesycona powszechność z przyjemnością patrzy jedynie na powszednie wyobrażenia sztuki etnograficznej. Nie potępiamy potocznego malarstwa: byłoby to potępić całą dzisiejszą szkołę francuzką, zawsze ładną, ale uwydatniany coraz rzadszych malarzy *postaci*, mianowicie *postaci nagich*. W tych rzędzie celują obecnie pp. Saint-Pierre, Hugrel, Coninck, Parrot i Puvis de Chavannes.

Dwaj pierwsi szukają więcej dystynkcy niż piękności, a chociaż *dystynkcyja* graniczy z *konwencyonalizmem*, zasługą wybierać kształty, gdyż *wyбір* jest początkiem stylu.

Caninck zajęty przedewszystkiem prawdą: to téż karnacye jego więcej prawdziwe niż powabne. W kolorowym obrazie przedstawił męczarnią matki patrzącej na płynącego w kołysce synka, nie jako Mojżesz czekający zbawcy, ale jako niewinny zakład małżeńskiej wierności, o której, starym gallickim obyczajem, wątpiono lub niewątpiono wedle tego jak kolebka przybifa szczęśliwie do brzegu, lub tonęła w drodze.

Parrot ma więcej wdzięku i czucia niż inni. Jego *Kobieta siedząca na skale*, cała owiana atmosferą poezyi. Pejzaż skalisty z którego jej nagość wytryska, oddzielony od wzroku mgłą opalową

widnokrag zakończony morzem i smutek rozlany w około, usprawiedliwia tytuł obrazu: *Elegia*.

Erhmann odmalował wykwintnie barbarzyńskiego wojownika, który zapominając u kolan leżącego nieprzyjaciela, zwraca się do sławy skrzydlatej po wawrzyny. Erhman jest więcej niż malarzem: jest artystą.

Cóżkolwiekby o tém prawią estetycy, symbol tak dobrze w malarstwie jak w rzeźbie, jest rzeczą najważniejszą. Gdzie tylko sztuka była wzniosła, mianowicie w Egipcie i Grecyi, była symboliczna. Rzeźby pomnikowe, wazony ateńskie i korynckie, rznięte kamienie, starożytne monety, słowem arcydzieła sztuki najwyższe i najczystsze były emblematami, przedstawiającemi co wiecznego w kształcie: nagość, i co wiecznego w ubiorze, draperyą. Warto by to założenie rozwinąć za pomocą poezyi i historyi. Tu rzucić je możemy tylko mimochodem, bo czytelnik w artykule o wystawie nie szuka poglądów ogólnych, ale opisu wystawionych przedmiotów.

Z powyższej zasady ogólnej, tylko jedna uwaga. Następstwem wyższości absolutnej sztuki symbolicznej, to że figury ubrane, albo ukostiumowane, jeżeli nie grają roli w jakiej akcji sławnej, nie są godne rozmiarów naturalnych, a tém mniej rozmiarów olbrzymich.

Uwaga ta zwraca się do wszystkich prawie dzisiejszych malarzy, którzy tu o palmę pierwszeństwa się współubiegali. Chcą oni zwrócić na siebie oczy wielkością rozmiaru swoich płócien. „*Dziewice chrześciance z Hercegowiny*” obraz ładny Cermak'a; „*Siesta*” Gustawa Doré, „*Powrót męża*” pana Giraud, wieleby zyskały na zmniejszeniu. Giraud'a płótno wygląda jak piąty akt dramatu. Rzecz dzieje się za dyrektoryatu, za czasów kiedy mężowie przebaczały wiele, bo sami potrzebowali przebaczenia. Zazdrośniejszy od innych, jeden z owych mężów w stroju a la Barras, wszedłszy do domu niespodzianie, spotkał na schodach gacha, którego wyprowadzała żona, i zastrzelił z pistoletu. Kochanek kona na ostatnim schodzie, a żona mdleje na pierwszym; w środku stoi mąż. Ubiorry malownicze, oświetlenie efektowne z wewnątrz, wyraziste twarze, wszystko to sprawia że do tego obrazu docisnąć się nie można. Byłoby to nie złe; ale czyż rzecz stosowna takie sceny robić w olbrzymich rozmiarach! To tak zupełnie jakby kto potężnym głosem deklamował brukową anegdotę.

Jeżeli buty, fraki i surduty nie przyjemnie zapekniają obraz pięć metrów wysoki, przedmioty bohaterские mogą się mieścić w małych ramach. Małe rzeczy powiększone, są nieznośne, ale wielkie rzeczy zostają wielkimi, chociaż w małym rozmiarze. Wyrznięty na sygnecie Jowisz, jest jeszcze bogiem bogów! Patrząc na *Obląkanie Ajaxa* mały obrazek pana Dunony, widzisz wszystkie osoby naturalnej wielkości. Skoro syn Telamon'a skąpany we krwi baranków, wyznaje swoje szaleństwo rozczulonemu okoleniu, Minerwa jawi się, biała i lekka jak boskie widmo...

Nie, nie! Styl nie jest przywidzeniem. Nie przywidzeniem korzystać z czytania Sofoklesa, Plutarcha, Tacyty lub Juwenalisa: jest to potrzebne, i bardzo.

Są na wystawie dwa znakomite utwory polskich artystów. Prócz Leona Kaplińskiego: *Stefana Czarnieckiego*. — Marceli Gujski wystawił brązowe popiersie Antoniego Wagi, mogące stać obok starożytniej rzeźby.

Snycerz doskonale pojął i oddał wyrazistą twarz uczonego profesora: upatrzwszy w jego fizyonomii coś z Dyogenesowej ironii i Pliniuszowej powagi, przedstawił naszego naturalistę w stroju starożytnego stoika: to jest w draperyi zarzuconej na obużoną szyję. Podobieństwo zostało uderzające, a strój, nie zwykły, wydaje się codziennem odzieniem profesora. Szczęśliwa ta harmonia fizyonomii z ubiorem, stanowi główną wartość tego popiersia, bo zdradza talent wyższy artysty, który prócz znajomości anatomicznej w modelowaniu ciała, posiada poczucie duchowe wzoru.

Prócz wymienionych są na wystawie dwa obrazy olejne ś. p. Tadeusza Góreckiego: *portret Ludwika Wołowskiego* i „*Ostatnia komunia dziewczyny*,” Tytusa Maleszewskiego pastelowy *wizerunek cesarza francuzkiego i jego żony*; nakoniec Bronisława Zaleskiego piękna aquaforta przedstawiająca *krajobraz* wedle Ruysdaela.

Dla braku miejsca musimy odłożyć do przyszłego poszytu przegląd bogatej wystawy rzeźby, a pobieżne sprawozdanie nasze z galerii malarskiej zakończyć kilku ogólnemi uwagami.

Najznakomitsi artyści francuzcy nie wystawili nic tego roku. Robert Fleury i Leon Cogniet, dwaj wysoko zasłużeni weterani, odpoczywają. Conture, Dupré, Barye, Clesinger, zniechęceni urzędowe wystawy. Nieobecność malarzy w pełni sił twórczych, jak Maissonnier, Millet, Cabat, Hebert, Pils, Yvon, Baudry, Hamon, Amaury Duval i Moreau — nie wytłumaczona.

W takim razie przyznać trzeba, że jako nie wspomóżona przez talenta pierworzędne, wystawa malarska jest niezła, a wystawa rzeźby znakomita. Na pierwszą składało się *pięć tysięcy*, na drugą *pięćuset* artystów. Ostateczny ztąd wniosek, że ogólna *summa* talentu artystycznego największa dziś we Francyi; rzut oka na obecny stan sztuki w Europie, utwierdza w tém mniemaniu.

Wedle czasu i okoliczności sztuka rośnie, upada, lub z jednej na drugą stronę przechodzi. Summa ogólna geniuszu mało się różni, wyjąwszy w trzech lub czterech epokach takich jak wiek: Peryklesa, Augusta, Leona Xgo i Ludwika XIVgo; tylko podziały bywają rozmaite. Grunt na którym wybują sztuki piękne, wysila się tak dobrze jak rola pod zbożem. Kraj w którym niegdyś arcydziała kwitły jak kwiaty strojące jego niwy, coraz uboższy, wreszcie prze-

staje rodzić, a inny natomiast, dotąd bezpłodny zakątek globu, nagle się bogaci i zarasta cudownymi krzewy, których nasiona przynieśli doń ptacy niebiescy.

Tak i pracownie niegdyś sławnych mistrzów, wyludniają i zamykają się z czasem; życie uchodzi z nich bez widocznego powodu, i tylko blade malowidła bez natchnienia, świadczą, że adepci przechowują jeszcze tu i owdzie, wygasłe tradycje.

Czyżby to dowodziło że Stwórca mniej szczerze geniuszu ludziom udziela? Nie: dowodzi, że łaski swoje rozdaje sprawiedliwie.

Italia przez trzy wieki siedząc na złotym tronie, wyłącznie dzierżyła berło malarstwa, rzeźby i architektury. Wdzięcznie zakrąglone kopuły jej kościołów, wzrastały co dnia rysując smuklejsze ubrała w przepyszne freski; armia posągów ze śnieżnego marmuru, stanęła jakby z pod ziemi wywołana w starożytniej formie a nowój jasności. Mistrze Italii świat zaćmili swym blaskiem.

Za to dziś Włochy wysilone narodzinami tylu arcydzieł, odpoczywają. Najczynniejsze niegdyś ich pracownice, zmieniły się w muzea. Szkoła rzymska, florencka, wenecka, matki tylu arcydzieł, już nie mają uczni: zaledwie kilku kopistów sili się na odtworzenie nękających wzorów. Ale Italia sownie spłaciła swój dług ludzkości. Dlatego, bezbożny chyba mógłby się dziś nagrawać z jej artystycznego upadku. Po Grecyi, przedstawiła światu najwyższe wzory piękności; a jeżeli teraz w sztuce nowoczesnej małe zajmuje miejsce, czyż dlatego przestała być matką sztuk pięknych?

Niemcy, coraz to bardziej odbiegają od naiwnych wzorów Durera, który tylko w naturze szukał natchnienia, a lubował się w prostocie. Dzisiejsi artyści niemieccy nie obrazy ale poemata tworzą na płótnie. Szkoła germańska czysto abstrakcyjna, nie raczy nawet spojrzeć na przyrodę, gardzi kolorytem, chodzi jej tylko o myśl. Malarze-filozofy przedstawiają historią ludzkości, migracją ludów, myty religijne. Nie ganimy takiego pojmowania sztuki: z dwóch ostateczności lepsza zbytnia duchowość niż zbyteczny realizm, ale ten tylko sztukmistrzem, kto stanie w środku, odda duszę i ciało, i harmonią pomiędzy nimi zachowa jak Grecy.

Szkoła belgijska wykonawczyni biegła, za ideałem nie goni: jaki przedmiot, i tworzy zeń arcydzieło; lubuje się w naturze i studyje stare obrazy. Sąsiadkę Francją naśladuje często, ale zawsze zachowując swoją indywidualność.

Angielskich malarzy cechą, oryginalność. Jest ich nie wielu ale ci nic nie wzięli od innych. Obraz angielski, jak Anglika poznasz o kilkanaście kroków. Angielskie malowidło wyrafinowane, pretensjonalne, dziwne jak chińszczyzna, ale zawsze ma w sobie coś nie pospolitego. W obrazach angielskich znać cywili-

zaczę XIX wieku, zacząwszy od myśli, a skończywszy na wernixie i ramach.

Hiszpanie zapomnieli zupełnie Valasqueza, Murilla; nawet Goya. Już nie malują habitów zakonnych, ani rycerskiej zbroi, ogorzonych cyganów, lub madon promiennych. Utracili moc, nie czują jak dawniej, fanatycznie ducha katolicyzmu; gdyby nie podpisy, dziś nie możnaby odróżnić szkoły hiszpańskiej od francuskiej, chyba tém że daleko słabsza w stronie technicznej.

Szkola francuzka w ciągu pół wieku ogromnie postąpiła. Dawni jej mistrze jak Lessueur, Lebrun, Watteau, nie mogą iść w porównanie z dzisiejszymi: z Ingrem, Delacroix, Schefferem i Decampem. W żadnym mieście niema tylu artystów znakomych co w Paryżu. Malarze francuzcy wzięli wiele od Wenetów i Flamandów, jednak nie popadli w monotonię. We Włoszech niegdyś wszystkie znaczniejsze miasta: Rzym, Florencia, Wenecya, Medyolan, Neapol, Genua rywalizowały o pierwszeństwo. We Francji sam tylko Paryż jest ogniskiem sztuki; ale w tém jednym mieście jest dobór artystów różniących się charakterem jak ludzie Północy i Południa. Ztąd różnice w sposobie malowania: szkoła Ingra i Delacroix w niczém do siebie nie podobne; obrazy Decampa, Meissonniera, Flandrina, Contura, różnią się jak dzień z nocą, chociaż jak dzień i noc mają właściwe sobie piękności.

Chociaż obecnie szkoła francuzka potraciła największych swoich mistrzów, chociaż Ingres, Delacroix, Scheffer, Vernet, Delaroché, Decamps, Rousseau nie żyją, duch ich jeszcze ztąd nie uleciał, a siła twórcza kunsztmistrzów dziś w Paryżu skupiona, jak była niegdyś w Atenach.

Po ostrych krytykach i naganach surowych, nigdy nie zadowolony kohekanek doskonałości świadczający dzisiejszą wystawę, przychodzi do powyższej konkluzji. Im więcej ganił pragnąc absolutnego piękna, tém większą czuje potrzebę przyznania, że w epoce kiedy prąd myśli ludzkiej zmieniwszy łożysko, cały skierowany nie ku idealizowaniu ale ku o władnięciu materji, Francya posiada jeszcze największą sumę artyzmu. Kto temu przeczy, nie jest sprawiedliwym. Najłatwiej pod pozorem znawstwa, poniewierać wszystkiem. Sumienny krytyk powinien mieć wiecznie obecne w pamięci zbawienne zdanie łacińskie:

„Plus negare potest asinus, quam probare philosophus.”

W chwili wypoczynku powszechnego na łonie natury, w chwili drzemki handlu księgarskiego, jedyną głośną nowością literacką w Paryżu jest romans Arsena Houssaye „*Les Grandes Dames.*” Książka zajmuje mianowicie wysokie sfery tutejszjéj społeczności: czytelniczki i czytelnicy poznają siebie w portretach naszkicowanych ze zwykłą werwą tego dowcipnego pisarza; ludzie nie należący do wielkiego świata, poznają go w téj książce: przyznać trzeba, wcale

nie pochlebnie. Houssaye jest portrecistą wiernym, maluje żywymi barwami obrazy francuzkich salonów dzisiejszych, mianowicie skandaliczne ustępy wysokiej komedii paryżkiej. Wielkie powodzenie ostatniego jego utworu „*Mademoiselle Cléopâtre*” przysposobiło czytelników „*Wielkim Damom*” których tom pierwszy wyszedł pod tytułem „*Monsieur Don Juan*.” Zbyteczna mówić że nie jest to książka dla młodych osób, ale przysmak dla smakoszy przejedzonych truflami.

— Juliusz Simon wydał w jednym tomie swoje mowy miane w Izbie w ciągu tegorocznych obrad, pod tytułem: „*la politique radicale*.” Przedmowa do téj książki jest politycznym wyznaniem wiary deputowanego opozycji.

— Pan Beulé sekretarz akademii sztuk pięknych, ogłosił drugi tom swojego kursu, mianego w bibliotece cesarskiej; tytuł tego tomu „*Tyberjusz, i spadek Augusta*.” O tym wykładzie i jego duchu anti-cesarskim, mówiliśmy obszernie w swoim czasie; dziś powtórzymy jedynie, że wystawianie w najgorszym świetle Augusta wydaje nam się systematyczne i tendencyjne.

— Pan Labarthe wydał biografią sławnych lekarzy francuzkich pod napisem „*Nos medecins contemporains*.”

— Pan Pougin napisał biografią Belliniego, pod tytułem: „*Bellini, sa vie, et ses oeuvres*.” Znajdujemy tam ciekawe listy autora *Normy* dotyczące sposobu jego twórczości, oraz z wielką znajomością rzeczy napisane rozbiory jego oper.

— Wyszedł „*Pamiętnik vice hrabi d'Aulnis*.” Jest to szkic obyczajowy francuzkich legitymistów, malujący ich życie, zajęcia i dążenia po rewolucyi lipcowej 1830 roku.

— Wysła 21 serya „*Cudów nauki*” przez Ludwika Figuier wydawanych pod tytułem: „*Merveilles de la Science, au description illustree des inventions modernes*.” Zawiera dokończenie fotografii i stereoskopii, ozdobionej pięćdziesięcioma rycinami. Następny poszyt obejmuje: „*Les poudres du guerre, l'artillerie ancienne et moderne, Les Nouvelles armes à feu portatives, fusils à aiguille et Chassepot*.”

— Teatra napół zamknięte. Zapowiadają nowy dramat Wiktora Hugo pod tytułem: „*Rok 1789*.”

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Najcelniejsze filozoficzne nauki o duszy przed sądem krytycznym obecnej nam filozofii; skreślił Józef Kremer.

Warszawa 1867 roku.

Nie chcielibyśmy tytułem naszego artykułu przerazić czytelników i wzbudzić mniemanie, iż zamierzamy ich wodzić po labiryntach metafizycznych drogami ciemnymi a pełnymi zawad. Bynajmniej. Na-
zbyt mocno, choć ze smutkiem, przekonani jesteśmy o wstręcie *ukształconego* ogółu, a zwłaszcza salonowego, do rzeczy przechodzących poza zakres powieści i humorystyki, czego dowodem że najlepsze nawet prace z innych zakresów, leżą nietknięte po księgarniach, nierozcięte po domach. Przy zdobyciu się na wytyżenie umysłowo zmordujemy jeszcze jaki dramat, urywek historyczny lub podróż; ale książka filozoficzna najczęściej i zazwyczaj w dziewiczym stanie umiera wśród katakumb księgarskich. Dobrze jej tak. Zapomniała o łacińskim przysłowiu: *nemo in patria propheta*; a nasz kraj jest ojczyzną urodzonych filozofów.

Był czas, lat temu z górą dwadzieścia, kiedy obudził się pewien ruch w kierunku do badań wyższych, kiedy zmarły *Przegląd naukowy*, źle czy dobrze, zapoznawał z filozofią niemiecką; kiedy pisma Trentowskiego zajmowały umysły żądne nowości. Wprawdzie byłoby wiele do powiedzenia o właściwości tego co się mieściło w tych teoriach, było tam zapewne więcej szumu niż treści; ale żadna krytyka silna i poważna nie ujęła w karby tego zbyt rozhukanego prądu, nie wzięła pod kontrolę objawów umysłowego natężenia; natomiast utworzyło się mnóstwo zaściankowych opponentów, którzy postanowili zdyskredytować kierunek taki, i wtedyto pokazało się, wieluto u nas jest urodzonych filozofów. Ludzie stojący na dwóch przeciwnych krańcach, jak Rzewuski i Wilkoński zrymali się na to, iżby ktoś u nas mógł poważnie się bawić w metafizykę. Nie zbili oni ani

jednego zdania, to nie było warte ich zachodu, starali się tylko zdania te zagłuszać wrzawą. Pierwszy krzyczał o powrót do katechizmu, drugi śmiał się na całe gardło z wyrazów i frazesów: obadwa prześladowali to o czem z nich żaden najmniejszego wyobrażenia nie miał. Za nimi prywatni i niepiśmienni stanęli chórem. Taki co nie widział okładki nawet od książki filozoficznej, krytykował najwymowniej wszystkie teorie, które żadną drogą nie mogły wcisnąć się do jego mózgu, filozofował przeciwko filozofii, jako nauce odwracającej od Boga, zbijał po swojemu myśli śmielsze, których nie rozumiał. Jedni z drugimi tak się z sobą doskonale zgadzali, tak się upewnili że im wrodzona filozofia wystarcza; tak głośno wyrażali tę zgodę, że w tej zgodnej wrzawie uciechł istotnie popęd do badań specjalnie filozoficznych: zrobiło się głucho, i powiedziano, że zdrowy instynkt społeczeństwa naszego odepchnął zdradliwe poszepty obcej mądrości, i półgłosem wyjawiało się jakieś oczekiwanie na filozofię *krajową*, która jednak dotychczas nie przyszła.

Te wszystkie lęki i wstręty nie rozwiązują kwestyi. Omijanie szkopułów i zawad nie równa drogi ani jej nie ubezpiecznia; a kto nosi głowę wysoko, ten idąc nie może nie potraćić o taki szkopuł, co zaś potem nastąpi: upadek, czy rana, czy ból, niewiedomo. Wprawdzie ci których spojrzenia pod nogami, potrafią się uchronić od wszelkich potrażeń, dla tych trudzić się nad odgarnięciem szkopułów nie ma potrzeby, ale nuż też któremu ze chce się spojrzeć w górę? Czyli, chcemy powiedzieć, że nawet bezbożność w filozofii jeszcze nie może i nie powinna odstręczać od niej, ale owszem pobudzać do lepszego poszukiwania Boga, aby go mieć nietylko w sercu ale i w umyśle, i okazać na żądanie wątpiącym lub niewiernym. Bo cóżbyśmy poczęli z biedakami, którym zaświrszczy w uchu jakaś wątpliwość i przeniesie do serca niepokój, przeciw któremu dogmat nie wystarcza? Trudność ich żywcem zakopać w ziemię, albo odesłać do szpitala waryatów.

Otóż zastanawiać się nad temi rzeczami, badać je, szukać światła, a przynajmniej nie dać się ogarnąć ciemnościom dotyla, iżby zbrakło środków dla uspokojenia duszy w razie potrzeby; jest nawet rzeczą miłosierdzia chrześcijańskiego, nie mówiąc już, że dla honoru ludzkiego, dla samego dostojenstwa ducha, jest potrzebą pierwszego rzędu. Chwała tym, co pierwsi postawili kwestye metafizyczne: onito królewską koronę włożyli na skronie człowieka; usunięcie z pola tych kwestyj jest abdykacyą: oto, czego nie zrozumiały kukawki filozoficzne.

Dwa są tylko wyrazy, między któremi rozciąga się całe pole wiekowych wysień ducha ludzkiego, między któremi i peten pociech spirytualizm, i krnąbny sceptycyzm i bezecny materyalizm, stawały z sobą do walki, wydzierając sobie prawdę, która ciągle im się z rąk usuwała: te dwa wyrazy, to Bóg i dusza. I dwa te wyrazy jak były dla umysłu ludzkiego zagadkami przed wieki, tak są zagadkami do dziś dnia. Jak przed wiekami utrzymywał, ale nie dowiódł, Plato, że Bóg jest istnością istności, czyli istnością taką, w której początek bierze wszelka rzeczywistość, wszelka zasada moralna, wszelki fakt intelektualny; tak i dziś mniej więcej to samo bez dowodu, powtarza

większość filozofów i ogół ludzi; jak przed wiekami Epikur bóstwu przyznał z najwyższej swęj laski jakieś istnienie martwoty bez celu, znaczenia i przymiotów, a byt wszechrzeczy zależnym uczynił od wiru cząstek niepodzielnych; tak i dziś szkoły fizyologiczne niemieckie, a mianowicie chorążowie materjalizmu: Moleszot i Büchner, za jedyną twórczość i nieśmiertelność uważają *atom*, dawcę życia i myśli, reszta zaś jest tylko, według nich, płodem imaginacji człowieka, dziecinną zabawką.

Dwa te zatem wyrazy są dziś zarówno nieobjaśnione jak były przedtém, i appellacya od katechizmu do powagi scyentyficznej ma bardzo male szanse.

W ostatnich mianowicie najbliższych nam czasach, po daremnych usiłowaniach wielkich systematotwórców, odłożono nieco na bok ogólne kwestye metafizyczne, zaprzestano poszukiwania najwyższej Istoty, a natomiast wzięto się do istot; kwestya mianowicie duszy, jako wstęp do dalszych badań, upowszechniła się bardzo, i słusznie, bo ta od tamtęj jest nieodczepną, i w jakimkolwiek kierunku rozwiążemy jedną, w takim samym rozwiąże się i druga. Jeżeli na dnie naszej umysłowej retorty analiza ukaże nam duszę jednostkową i nieśmiertelną, to jednym skokiem przerzucimy się do Boga jednostkowego i nieśmiertelnego; jeśli przeciwnie w retorcio tej ukaże się nicosić, no to z pewnością niema nic i poza gwiazdami. O takiémto postępowaniu jakie nauka przyjęła obecnie, którego właśnie świadkami jesteśmy, rozpowiada książka profesora Kremera.

Ileżto ksiąg, ile systematów postawiła metafizyka od Arystotelesa aż do Hegla! Chciawszy je uporządkować, ilużbyto trzeba użyć terminów szkolnych, jakieżby olbrzymie utworzyło się drzewo genealogiczne! Wszystkie systemata te, nad któremi ludzie przepracowali życie, świecili czas jakoś, gorączkowo przebiegały po mózgach, i zużyły się wreszcie jeden po drugim. I ów tak niedawno jeszcze sławiony Hegel, dziś we własnej nawet ojczyźnie staje się celem pośmiewiska, i mówią o nim (Büchner) przysłowiem arabskiem: „słyszę, że młyn miele, ale mąki nie widzę.” I Büchner i Schoppenhauer, dwaj krańcowi przeciwnicy, są o nim jednakiego zdania.

Znaczyłoby to konanie metafizyki, przyznanie się stanowcze do bezowocności na tej drodze usiłowań, podejmowanych w celu odkrycia pierwszej przyczyny i początku wszystkiego co jest? Nie spodziewamy się, chociaż są już dziś filozofowie, mianowicie tak zwani *pozytywiści*, którzy głoszą bezużyteczność metafizyki i odejmują jej wszelkie naukowe znaczenie. Jeżeli coś z metafizyki naprawdę skończyło, to chyba system panteistyczny. Ten tak już długo włóczył się po świecie, tak nudził swemi usypiającemi argumentami, że zdaje się na wieki sam usnął wraz z Heglem, i niech mu ziemia będzie lekką. Znajdzie się może jeszcze jaki zacofaniec, który zechce galwanizować heglowskiego trupa, ale myślący ogół i trzech groszy nie da za takie widowisko. Wiemy aż nadto dobrze, jak trudno jest zdać sobie sprawę z istoty i działań pierwiastku twórczego, i wcale nie podlegamy tej dziecinnęj illuzyi, ażeby wszystkie trudności czarodziejskim

sposobem upadały przed dogmatem Boga osobistego, różnego od natury i świata. Ale przekonaliśmy się i o tém, że wcale nie mniejsze ciemności panują w panteistycznym pojmowaniu początku rzeczy, i że jedność substancji, uznawana za ostateczne rozstrzygnięcie tej kwestyi, bynajmniej nie rozjaśnia pojęć. Następuje owszem tak nierozwikłana gmatwanina różnic i tożsamości, że wolimy już mieć do czynienia z materjalizmem, który w prowadzeniu rzeczy jest przynajmniej szczerym i jasnym, tak, że od razu widzimy, z kim mamy do czynienia, i gdzie to prowadzi; kiedy przeciwnie panteizm, przybierając wszystkie pozory spirytualizmu, w rezultatach swych wychodzi również na najgrubszy materjalizm, jeśli się nie rezwodzi w czym mistycyzmie.

Spółceństwo nasze, ogólnie mówiąc, od poczęcia życia historycznego, nigdy nie było naprawdę w ruchu filozoficznym. Błysnęło kilka nazwisk, i to w ostatnich zaledwie czasach, ale nazwiska te stały samotnie, bezwplywowe. Filozoficzne czy badania, czy mrzonki, nigdy żywo nie zainteresowały ogółu, nigdy nie stanęły pod surową kontrolą. Systemata filozoficzne za nami, jak za murem, wznosiły się, stały na porządku dziennym, upadały, a myśmy ani ducha ich, ani treści nie znali. Obojętność na wszelkie systemata, nie dopuszczając korzyści, zabezpieczała także od ich szkodliwości. Pojedynczy tylko ktoś zajrzał, podumał; jeśli zrozumiał, bawił się tém chwilę, a często nie wiedział co z tém zrobić.

Dziś zmieniły się nieco okoliczności. Instytucya wyższa obecnawa młodszemu pokoleniu ze stanem nauk filozoficznych, większe upowszechnienie się znajomości języków obcych ułatwia możność zapoznania się i z pojęciami filozoficznymi; tym sposobem tworzy się pewien kontyngens ludzi interesujących się kwestyą metafizyki, i tu właśnie spotkać się mogą w umysłach wątpliwości, wahania, na jakie narażonym jest każdy, komu przedmiot z różnych stron i z różnym zamiarem jest okazywanym. Dziś tedy więcej niż kiedykolwiek wypada, aby każdy kto ma o tém jakieś wyrozumowane przekonanie, zabierał głos za tém co mu się wydaje prawdą, a z potępieniem fałszów.

Nie naszą rzeczą jest śledzić to, w jaki sposób rzeczy te przedstawia nasza instytucya naukowa. Wykład szkolny, to sprawa domowa między professorem i uczniem, i o tyle tylko może być dyskutowanym bez obrazy szacunku należnego domowemu ognisku, o ile byłby publicznym. Kierunek jednak, który piśmem objawili professorowie Szkoły Głównej, od którego zapewne nie odstepują i w szkole, jest właśnie tym, za którym i my poważamy się obstawać. Ale z drugiej strony nasza literatura filozoficzna jest tak szczupłą i ubogą, że z niej w małej zaledwie części dowiedzieć się można o stanie społecznym tej umiejętności, to też przyczynek w tym mianowicie celu obecnie przez prof. Kremera napisany, z wdzięcznością przez ogół przyjętym być winien.

Professor Kremer pracę swą, bez widomego podziału dzieli jednakże jakoby na dwie części, raczej na dwa zamiary. Zakłada sobie

naprzód wykazać niedostateczność i niedokładność tych systematów filozoficznych, które kwestyę duszy usiłowały rozwiązać w kierunku spirytualistycznym (Dekart, Mallebranche, Leibnitz). to jest mniej więcej w kierunku wiary powszechnej, co byłoby dla ludzkości najpożądańszem; powtórę zbijam wszystkie inne teorye, zaprzeczające istnienia duszy jednostkowej, realnej i nieśmiertelnej. starając się uzasadnić to właśnie, w co spirytualiści utrafić nie umieli przy najlepszych chęciach. Do pierwszego zamiaru, to jest do krytyki spirytualizmu, jako też do wyłożenia zasad i fałszywości panteizmu, posługuje się przeważnie nauką i doświadczeniem własnem, i nie dziw, bo któż może być nadeń bieglejszym w ocenieniu historii filozofii; co zaś do samej teoryi o duszy, w przeciwieństwie z teoryą materialistów, wyrzeka się niejako samodzielnej odpowiedzialności, ale rozwija opinię Immanuela Fichtego (syna), sekuudując mu wszelako własnemi zasobami, z całą gorliwością i naukowym zapałem. Tym sposobem p. Kremer, nie poprzestaje na samej roli kronikarza systemów psychologicznych, ale staje się ich umiejętnym i krytycznym przedstawicielem, jawnie przywdziewając barwę, która go ma odznaczać, a tą barwą jest nieco innego tylko spirytualizm.

Nie wspominając jeszcze o naukowej wartości książki, to wszakże z uradowaniem wyznać musimy, że wykład sam przedmiotu, z natury swój mozolnego i mało dostępnego, jest przedziwnie jasnym, dokładnym i pociągającym. Plan nakreślony doskonale, język czysty, bez żadnej szkolarskiej gwary, myśli wywijające się jak nici z kłębka, słowem wszystkie przymioty dobrego stylu, czynią tę książkę przystępną dla wszystkich głów, nawet dla takich, o które nigdy nie ocierał się żaden system filozoficzny.

Najwালniejszemi przeciwnikami sprawy, której podjął się bronić p. Kremer, są teorye panteistyczne i materialistyczne. Panteizm wyznaje wprawdzie Boga, ale tym Bogiem jest wszystko, czyli, w obec tej teoryi ułc nie ma istnienia własnego, indywidualności własnej, ale wszystko jest tylko jakimś reflexem wszechbóstwa, a Bóg w człowieku dopiero, i to stanowisko myśli spekulacyjnej, przychodzi do samopoznania siebie. Materializm także wyznaje Boga, ale dlań bogiem jest wszechwórcza materya, kombinująca się w rozliczności atomów; dla niego człowiek ilością tylko a nie jakością, stopniem w hierwchii zoologicznej, różni się od psa, a dusza to wyrób substancyj mózgowych; dla niego niema dusz, tylko *mózgi myślące*, jak gdyby kto kiedy widział myślący mózg. Otóż najcelniejszemi ustępami w książce p. Kremera są właśnie wystąpienia przeciw tym dwom teoryom. Panteizm, pomijając wszystkie poprzednie systemata, uosobistnia p. Kremer w jednym tylko Heglu, jako ostatnim i najpotężniejszym; daje szczegółową a treściwą i doskonałą jego charakterystykę, następnie wykazuje sprzeczności pomiędzy założeniem i rezultatami tak doskonale, że każdy umysł jasny zrozumie i zgodzi się na jego wywody. Z równą pomyślnością, po wyłożeniu zasad materializmu i zredukowaniu ich do kilku głównych punktów, wyjawia p. Kremer przy pomocy Pawła Janeta znakomitego dzisiejszego myśliciela Francyi, całą naukową nicość tej po-

twornej, a dziwnie zrozumiałej doktryny. Rzeczywiście dziwić się należy, że doktryna ta, która głównie opierając się na naukach przyrodzonych, nie dla nich nie zrobiła, której dotychczasowi koryfeusze, jak Büchner, są ignorantami w obec prawdziwie naukowych mężów; że taka, powiadam doktryna, szermująca więcej zręcznością niż pracą, może znajdować zwolenników. Prawda, że główna jej klientela powstaje w łonie niedoświadczonej młodzieży uniwersyteckiej, dającej się pociągnąć niezwykłością faktu, przyklaskującej nowości, i temu to chyba fenomenowi, imponującemu liczbą i fantazją, przypisać należy rozgłos i poparcie, jakie koryfeusze materjalizmu zjednać sobie potrafili; boć przecie tacy ludzie jak zmarły Joh. Müller, jak Virchow, jak Claude Bernard i inni przedstawiciele szkoły doświadczalnej, którzy jako sami bożkowie materji, mieliby największy tytuł do jej obóstwienia, nigdy się przecie za materjalizmem nie oświadczyli, a panując nad materją rozległą wiedzą, nie śmieli jednak przechodzić ztąd do konkluzji metafizycznych. Tymczasem uczeni w rodzaju Feuerbacha i Büchnera, wtajemniczeni nie wiedzieć jakim sposobem w wielkie laboratorium istot, bez żadnych wielkich tytułów naukowych w zakresie materji, bez żadnych znakomitych poszukiwań samodzielnych, obcemi i to nieraz źle zastosowanemi wspierając się doświadczeniami, śmiało konkludują naprzód w kwestjach początku świata i pierwszych przyczyn, które najpierwsze umysły świata zostawiły w zawieszeniu.

To też gruntowne wniknięcie w naukę dostatecznym jest, do przewalania teoryj materjalistycznych, opartych na tak nędznych i spróchniałych już, od czasów Epikura, filarach (1); zwycięzko więc z tego starcia wychodzi p. Kremer, ale cóż dalej? Jeżeli spirytualizm, jak się pokazuje z jego dowodzeń, słabo i niezadowolniająco broni realności duszy; jeżeli panteizm i materjalizm są teoryjami w gruncie fałszywemi, nie mogącemi się ostać i wobec rozsądku i w obec umiejętnej logiki; gdzież tedy jest prawda?

Za całą odpowiedź p. Kremer przytacza teoryę Emanuela Fichtego, i nie poddając głównej jej myśli pod żadną krytykę, zdaje się na nią w zupełności polegać. Na to z nim nie możemy się zgodzić. A czegożby nam więcej potrzeba nad to, co Fichte okazać pragnął! Byłoby to najcisściejszém poparciem religijnych przekonań i wewnętrznych poczuć powszechności ludzkiej. Dusza osobista i niesmiertelna, wykazana jak na dłoni! Toż to byłby najświetniejszy tryumf nauki, ale Fichte nie zdobył sobie jeszcze wienca tego tryumfu. Kierunek jaki przybrał Fichte, o ile jest zacnym moralnie, o tyle, nie przeczę, może być i naukowo płodnym; ale rezultaty jakie przedstawił dotąd, dalekiemi są jeszcze od zadowolenia wymagań umysłu. Hypoteza jego zawiera się w tém, że dusza, jako istność realna, tworzy sobie organizm dla siebie bezwiednie, a w miarę postępu w tworzeniu go i w miarę jego doskonalenia się, przychodzi do świadomości

(1) Na ten kierunek pierwsi zwrócićśmy uwagę w rozprawie o Epikureizmie zamieszczonej w *Bibliotece Warszawskiej* z r. 1861, t. III.

i to w pewnej tylko części. Bardzo dobrze; ale prosimy o dowody. Fichte stara się dowodzić, a p. Kremer, idąc za nim, dowodzenia pomija nawet, przechylając się z góry, i jakby na wiarę, do hipotezy.

Postaramy się uzupełnić tę lukę w pracy p. Kremera, przedstawiając szczegółowiej argumenta Fichtego i myśl jego główną, dla przekonania się czy ją możemy uważać za wyczerpującą tę kwestyę do ostatka.

Emmanuel Fichte (ur. 1797 r.) zwrócił od razu usiłowania swoje do tych opinii, dotąd niezwalczonych, które znane są w Niemczech pod nazwą *teizmu spekulacyjnego*. Jeszcze w r. 1834 napisał on książkę, którą po polsku zatytułowaliby można: „Pojęcia o osobistości i nieprzerywalności indywidualnej,” i w niejto nasamprzód wyłożył swój sposób zapatrywania się na kwestyę dotyczącą duszy i Boga, śmiało i nie bez pewnej potęgi przekonywającój obstając, w obec szerzącego się hegelianizmu, za osobistością bożą. Ludzką, oraz za nieśmiertelnością indywidualną. Czuć tam co krok okrutny wstręt jakim go przejmuje ten ocean nieskończoności, w którym panteizm heglowski zanurza kolejno wszystkie istności doczesne (fenomena), powstające z jego wiekuistego ruchu w przestrzeni i czasie. Podług zdania Fichtego, Bóg jest nieskończonym i ograniczonym: nieskończonym jest o tyle, o ile przytomniejsze istotnie we wszystkich rzeczach; ograniczonym zaś jest i różnym od świata przez to samopoznanie jakie napotyka w przeciwstawieniu ze światem, który stworzył. Indywidualność nieśmiertelną Fichte uzasadnia przedewszystkiēm na tej uwadze, że dusza, według niego rodzicielka ciała i jako taka tworząca organizm ograniczony, określony w sobie i uwarunkowany, musi być sama w sobie z konieczności siłą indywidualną. Ucieleśniając się w formie, która ją nam wyobraża, dusza objawia właśnie tę czynność indywidualną i indywidualizującą, która jest jej własnością, a raczej która jest duszą samą w swęj niezatracałnej istocie. W porządku zjawisk dusza objawia się właśnie przez organizm, który stwarza ona i utrzymuje, który porusza i przenika w każdej chwili i w każdej części. Jak ciało, wyrób duszy, nie dodaje do jej przymiotów istotnych, tak i rozkład tego ciała nie może nic ująć z jej zasadniczej istoty.

Tęj zasady nie wyparł się Fichte i w wielkiēm swēm dziele, które chwale jego stanowi i na którēm głównie opiera się p. Kremer, a obmyślane ono było dojrzale i gruntownie, bo wyszło dopiero w r. 1856, p. t.: „Antropologia, czyli teorya duszy ludzkiej uzasadniona na drodze naukowej.”

Podług tej Antropologii, dusza w ogóle każda jest istnością rzeczywistą i absolutnie indywidualną. Każde ciało organiczne i określone w sobie ma duszę własną; każda naodwrot dusza tworzy sobie ciało organiczne, i najwyłączniej właściwościami jej odpowiadające; ciało zatem jest to dusza zwrócona na zewnątrz. dusza objawiająca się w przestrzeni i czasie. Dusza ludzka, wspólnie ze swym organizmem cielesnym i za pośrednictwem tego właśnie organizmu przez się stworzonego, przebiega stopnie rozwoju, który czyni z niej istotę jednoczącą w sobie stany nieprzemienne w części świadome siebie

(funkcye umysłowe i moralne), w części nieświadomo (funkcye fizyczno-chemiczne). Ale byłaby ona niezdolną do tego rozwoju w kierunku samowiedzy, gdyby była w sobie istotą bezwzględnie pojedynczą, gdyby odrazu nie była *jednością* (monadyczną) *w wielości*, i gdyby, mianowicie jako dusza ludzka, nie była monadą duchową, to jest zdolną dojścia do wiedzy o swęj jedności.

Najważniejszym tu punktem, że dusza nie jest absolutnie jedną ale jedną i zarazem mnogą; jako typ zupełny i żyjący pierwowzór organizmu, dusza powinna być, jak on, i mnogą i pojedynczą razem, prostą i złożoną jak on. System więc ten, równie jak i system filozofa Karusa spółczesnego Fichtemu, tēm się różnią od zwyczajnego spirytualizmu (Kartezyańskiego) że w duszy nie upatrują absolutnej jedności i że podług nich dusza przybiera własności wielorakie dopiero w związku swēm z wielością pierwiastków w skład ciała wchodzących.

Najpierwszą rzeczą, podług słów Fichtego, jest określenie stosunku duszy do przestrzeni i czasu. Zapatrywać się na duszę jako na coś zupełnie obcego czasowi i przestrzeni, stawiać ją jako nie istniejącą w żadném miejscu ani w żadnej chwili, wydaje się być rzeczą tak przeciwną naturze i doświadczeniu, że hipotezę taką z góry odrzucić należy jako niedokładną albo przynajmniej wymagającą przekształcenia. Z drugiej znów strony, wydaje się również sprzecznēm lokalizować duszę w jakiegokolwiek części ciała, czy tēż gdzieś obok niego, albo, jak i tego bywały przykłady, przypuszczać że ona później łączy się z zarodkiem (embryon) w trakcie formowania się. Zmuszeni tēż jesteśmy, z tegoż samego tytułu, zaprzeczyć istnieniu duszy pojmowanej jako forma cielesnie objawiona w przestrzeni i czasie, jak również istnieniu duszy pozbawionej wszelkich przymiotów przestrzeni i czasu. Oczywiście więc dusza, podług Fichtego jest i niematerialną i zarazem rozciągłą, koniecznie rozciągłą.

W ciele, mówi dalej Fichte, w tēm zjawisku złożonēm z substancjami różnorodnych i z sił wielorakich, należy oczywiście rozróżniać dwie rzeczy, a nasamprzód pierwiastki materialne, tworzące jego zewnętrzną objaw. Te ostatnie, jak nas naucza chemia analityczna, sprowadzić można do pierwiastków prostych, które zarówno znajdujemy we wszystkich innych ciałach organicznych lub nieorganicznych. Te zatem są wspólne ciału ludzkiemu i innym istotom ziemskim; tylko że w ciele ludzkiem, jako i w innych ciałach organicznych wyższego rzędu, są one połączone w kombinacjach szczególnych, potrójnych i poczwórnych, za czēm nie idzie jednak, aby same te pierwiastki znajdowały się w stosunkach ściślejszych z ciałem organicznēm i należały doń wyłącznie niż do innego utworu cielesnego, wziętego w całości natury. Względnie więc do duszy, czy to weźmiemy ten wyraz w ściślejszēm, czy obszerniejszēm znaczeniu, są one rzeczą najzupełniej obcą i czysto zewnętrzną. Ów tlen, ów azot i kwas węglowy, owe zasady i kruszce, których obecność udowodnioną jest w ciele, ani nie tłumaczą jednoczesnego istnienia w niēm duszy, ani tēż przez nie wytłumaczyć nie można uzdolnienia duszy do umysłowych objawów; tak, że próby podobnego wytłumaczenia (materialistyczne)

sprawiedliwie uważać można za jedną z największych niedorzeczności, na jakie zdobyć się mogą usiłowania daremne i czcze. Te, co większa, pierwiastki chemiczne, nieustannie się zmieniają; wchodzą w zakres assimilacji ciał i znów zeń wychodzą. Po pewnym okresie oznaczonym, to ciało *zewnętrne*, ten wytwór ich połączenia, tak się całkowicie odnawia, że znika najmniejsza nawet cząsteczka dawnego ciała, i powstaje ciało nowe. To ciało jednak, przez cały przeciąg naszego istnienia, tak w typie zewnętrznym, jako i w zasadniczym charakterze wewnętrznej budowy organicznej, pozostaje całkowicie t \acute{e} m sam \acute{e} m cz \acute{e} m by \acute{l} o, bez wzgl \acute{e} du na peryodyczne przemiany i odnowy pierwiastk \acute{o} w. Nie w materyalnych to zat \acute{e} m pierwiastkach znaleź \acute{c} można t \acute{e} rzeczywist \acute{a} trwa \acute{o} ść, t \acute{e} *jednocz \acute{a} c \acute{a} i utrzymuj \acute{a} c \acute{a} substancj \acute{e}* ciała, kt \acute{o} ra okazuje się czynn \acute{a} przez ci \acute{a} g całego naszego życia. Tem mniej przypisa \acute{b} y ją można prost \acute{e} j kombinacji „mieszanie” tych pierwiastk \acute{o} w; bo \acute{c} by \acute{l} by to ju \acute{z} niesłychany fa \acute{l} sz logiczny, gdyby kt \acute{o} s utrzymywał że z prost \acute{e} j kombinacji rzeczy pewnych wyniknie rzecz *nowa*, kt \acute{o} ra w żadnej osobnej kombinacji nie istnieje *sama przez si \acute{e}* .

Poparcie co do tego znajduje Fichte we wszystkich fizyologach, mianowicie w Cuvierze i we Flourensie, inne t \acute{e} ż jeszcze dowody, mianowicie co do tego, że dusza nie mieści się w jednym organie, np. w m \acute{o} zgu, ale w całym organizmie, nast \acute{r} eczaj \acute{a} mu Wolkman i J. Müller.

Flourens, kt \acute{o} rego badania stwierdz \acute{a} ć się zdaj \acute{a} odnow \acute{e} cielesn \acute{a} (co lat siedm), cytuje w jedn \acute{e} m z ostatnich dzie \acute{l} „*Życie i umysł*” ust \acute{e} p wyjęty z Buffona: „Najstalsz \acute{a} i najniezmienniejsz \acute{a} rzeczą w naturze jest to co określa. forma (le moule, l'empreinte), tak co do zwierząt, jako i co do roślin; najzmienniejsz \acute{a} i najbardziej uległ \acute{a} zepsuciu jest substancja, kt \acute{o} ra je tworzy.”

— Cuvier, dodaj \acute{e} Flourens, upodobał snadź sobie w rozwini \acute{e} ciu t \acute{e} j pi \acute{e} knej myśli, powiada bowiem: „W ciałach żyjących żaden atom nie pozostaj \acute{e} na miejscu; wszystkie wchodzą i wychodzą kolejno: życie jest ci \acute{a} glym wirem, kt \acute{o} rego wszak \acute{z} e kierunek, jakkolwiek powiklany, pozostaj \acute{e} stałym, równie jak i gatunek atom \acute{o} w doń przywiązanych, ale nie same te atomy indywidualne; przeciwnie *obecna materya* żywego ciała wkr \acute{o} tce zniknie, a ona to jednak jest siedzib \acute{a} (d \acute{e} positaire) *sily*, kt \acute{o} ra zmusi *materyj \acute{e} przyszł \acute{a}* aby szła w tym samym kierunku jak ona. Owoż forma tych ciał jest istotniejsz \acute{a} dla nich ni \acute{z} materya, bo ta ustawicznie się zmienia, kiedy ta \acute{n} ta stoi jak mur.” (Cuvier; Rapport historique sur les progrès des sciences naturelles, str. 200).

Opieraj \acute{a} c się na tych odkryciach nowoczesnej fizjologii, wnioskuj \acute{e} Fichte: „Jesteśmy tym sposobem zmuszeni uzn \acute{a} c drug \acute{a} przyczyn \acute{e} ciał \acute{a} (wy $\acute{z$ ej by \acute{l} a mowa o pierwiastkach materyalnych), zupełnie różn \acute{a} . To co w ni \acute{e} m trwa i łączy nie może się znaleź \acute{c} w dziedzinie jego pierwiastk \acute{o} w, w og \acute{o} le nie może być nicz \acute{e} m materyaln \acute{e} m. Jest ono bezwarunkowo wy $\acute{z$ sz \acute{e} m wzgl \acute{e} dnie do pierwiastk \acute{o} w materyalnych, o ile zmusza je, „przez assimilowanie ich sobie” do stopienia

swój różnorodności w harmonię cielesnego objawu, i o ile utrzymuje tę jedność przez całe życie. To też ono inaczej nie może być pojmowanym, tylko jako „siła” ale jako siła przyczepiona bez żadnej wątpliwości do *podstawy realnej*, bez której „siła” rozpierzchłaby się w niepodobiestwie idealnym. Tylko że i ta podstawa nie może być substancją materyalną, pierwiastkiem prostym, inaczej znówubyśmy weszli w znane a zakłętę koło sprzeczności.”

Zastanówmy się nad tem, cośmy tu wyłożyli i powiedzmy, czy sam Fichte nie obraca się w tem kole?

Chcąc koniecznie duszę wy dostać z pod materyi, a zarazem pozostawić jej przymioty materyalne, to jest przestrzeń i granicę, koniecznie też musiał nadybać jakieś pojęcie mieszane pomiędzy spirytualizmem i materyalizmem. Pojęcie to, w którym streszcza się cały system Fichtego, określa on doskonale w jego naturze dwoistej, nadając mu nazwę *wewnętrznego ciała* (innerer Leib). Doprowadza on nas tedy do wyobrażenia sobie jakiejś idealności, ale substancjalnej i czynnej, która względem organizmu znanego nam, organizmu jedno i wielorakiego, jest tem, czem poprzednik względem następnika; tem, czem jest pierwiastek utajony względem rezultatu jakim on objawia się przechodowo na scenie naszego świata, niby siła leżąca na podstawie ziarna względem rośliny. Nie pójdziemy za nim już dalej w wywodach, jakie, zdaje mu się, że ma prawo czynić drogą analogii pod względem bytów duszy poprzednich i następnych, pod względem stanów przeszłych i przyszłych tego „wewnętrznego ciała” obdarzonego siłą organizacyjną i przechodzącego rozmaite kolejne fazy rozwoju. Są to już mrzonki albo utopie, z którymi nauka nie ma nic do czynienia, gdzie ona ani twierdzić ani przeczyć nie może, bo oprzecz nie ma się na czem. Zakończymy ostatnią cytata, która streszcza w kilku słowach cały pogląd na tę sprawę niemieckiego filozofa: „Dusza jest istotnością indywidualną i wiekuiącą, substancją skończoną. Ciało jej jest jej wyrazem realnym, samowiedza jej jest jej wyrazem idealnym, który ona czuje sama przez się i który świadczy o tej indywidualności jaką ona posiada.”

Otóż jest zasadnicza, dogmatyczna myśl dzieła Fichtego. Postawił on twierdzenie, że dusza jest twórczynią organizmu, że jest osobistą i nieprzemijającą pomimo zatraty organizmu; ale tak do brze nie dowiódł tego twierdzenia jak i spirytualiści, pomimo że chodzi koło tego przez kilkaset stronnic. Dał wprawdzie do myślenia nie tak jeszcze tem twierdzeniem samem, jak raczej tem że udowodnił mylność wszelkich pokuszeń wyprowadzenia duszy z organizmu, z materyi, jak chcą mieć dzisiejsi biologowie. Pod tym względem, to jest pod względem przekonania się o kruchości zasad materyalistycznych, antropologia Fichtego jest nieocenioną; wdzięczni też jesteśmy p. Kremerowi, że na nią zwrócił uwagę, i że z niej w podobny sposób skorzystał; jak również dziwimy się, że mógł na jej konkluzjach poprzestać, tak jak gdyby już nic innego nie było do zrobienia, i jak gdyby Fichte wyrzekł w tej materyi ostatnie słowo.

Jeżeli p. Kremer zamierzał ocenić, jak tytuł zapowiada, *celniejszą naukę o duszy*, a w liczbie tych celniejszych zamieścił i słusznie

Fichtego, to pozwolimy sobie powiedzieć, że równie celnym, choć z innego obozu, wydaje się nam Lotze, który i jako fizyolog (autor *Patologii i Terapii*) i jako filozof, bardzo zajmował się tym przedmiotem, i którego Fichte koniecznie chciał sobie przejednać, ale mu się to nie udało (1). Nie idzie za tem, aby i ten coś stanowczego odkrył i uzasadnił na rzecz psychologii, owszem chwiejny to ostrożny i połowiczny dyalektyk; ale ucieszyłby nas mógł bodaj tem, że jako naturalista i zawzięcie gardlujący za sprawą materji, przecież kiedy ośmielił się konkludować coś na rzecz duszy, wyznał i szeroko się rozpisal, mianowicie w swoim „*Mikrokosmie*” że do rozwiązania tej

(1) Nie wiem, czy p. Kpemerowi znane jest pismo Em. Fichtego, które wydał w r. 1859 w Lipsku, p. n. *Zur Seelenfrage*. W tém piśmie streszcza on to tylko co opiewał w antropologii, ale ciekawém ono właśnie jest z powodu usiłowań, jakie w niem podejmuje, aby przyciągnąć do siebie Lotzego. Miodowém piórem wskazuje podobieństwa i różnice ich zapamiętania; ale te różnice według niego są tak mało znaczne. — „Patrz co nas rozdziela. Drobnostka! Jeszcze krok a zjednoczymy się dla pobicia pętworu, to jest materializmu.” Ale p. Lotze snadź ma twarde ucho, bo dotąd nie słyszał iżby go wzruszyła wymowa Fichtego. W istocie téż różnice, jakie ich dziela, nie są wcale drobnostką. Pierwsza, że Fichte patrząc na duszę jako na pierwiastek organizujący, od ciała niezależny, gdyż on je wytwarza, przyznaje wszelako duszy rozciągłość, a Lotze wręcz jój tego przymiotu odmawia. Druga, że Fichte uznając czynność duszy we wszystkich funkcjach organicznych, oświadcza, że ta czynność jój jest i świadomą i nieświadomą; gdy tymczasem Lotze świadomości nie odłącza od duszy w żadnym razie, a tém samém we wszystkich objawach fizjologicznych, w których umysł nie jest zajęty, widzi nic innego tylko mechanizm sił. Słowem Lotze oddziela psychologią od fizjologii. W objawach fizjologicznych uznaje on tylko wielorakie działanie sił tkwiących w pierwiastkach materialnych, wyłączając z tego działania tak dobrze witalizm jako i animizm: z téj strony więc jest materialistą. Ale w objawach psychologii właściwej, w tych które dokonywają się przy świetle samowiedzy i opisują się w jój granicach, ukazuje się on spirytualistą w najściślejszém i najrozleglejszém znaczeniu. Tym sposobem utworzony pewien rodzaj dualizmu jest zapewne słabą stroną teoryi Lotzego, to téż na nią głównie uderza Fichte. Ale téż z drugiej strony i on ze swojną duszą mającą rozciągłość a nie materialną, w żaden sposób nie wytrzymuje krytyki. Wreszcie zdaniem naszym chodzi téż tu o określenie tego wyrazu: *materya*, który dotąd bynajmniej zadowalniająco określonym nie jest. Leibnitz i Herbart otworzyli drogę, którą poszli niektórzy fizycy a w szczególności zmarły niedawno Faraday. Dwaj ci filozofowie w świecie widzą tylko siły, pierwiastki czynne; w materji zaś, która oznacza całość fenomenów przedstawiających się w przestrzeni i czasie, upatrują nie pierwiastek żaden, nie zasadę, ale rezultat, niby wrażenie jakie na zmysłach naszych wywiera zetknięcie się tych sił niematerialnych. Dotąd mało zastanawiano się nad tą hipotezą, a nie jest ona może bez znaczenia.

kwestyi sama materya nie wystarcza. A oględny to człowiek, a mistrz w skalpeli i mikroskopie, ale że sumienny i uczciwy, wolał kwestyę zostawić nierozwiązaną, niż puścić się w absurda. Radbym aby posłuchali co mówi taki Lotze lub Claude Bernard, ci, co to zaledwie lizując swy fizyologi lub chemii i posłyszawszy coś zdaleka o wielkich odkryciach materyalistów, już buńczucznie a urągłiwie spoglądają na tych, którym jeszcze tak dalece nie imponują prawa fizyczne, chemiczne i dynamiczne, aby się mieli wyrzec tradycyjnej choć ciemnej wiary w Boga i duszę nieśmiertelną. Ej, to tylko wietrzna ospa, zwyczajnie jak u dzieci; przeminie i będą zdrowe: po dziełach Jane'ta i Caro powinnyby przyjść do pewnego opamiętania.

Oprócz Fichtego i Lotzego, w tym obozie psychologów poszukujących jakiegoś zlania spirytualizmu z materyalizmem, jest jeszcze kilka wydatniejszych chorągwi i buńczuków; ale nie naszą jest rzeczą wyzywać ich przed front; zamilczał o nich p. Kremer pisząc książkę, tém mniej nam wypada nosić się z każdym szczegółem w artykule. To pewna, że jak przed Arystotelesem, tak i po Fichtem, pod względem określenia natury duszy i związku jój z ciałem, toż samo jest do zrobienia co i było, to jest wszystko. Jedna rzecz tylko jawnie widomą się stała, to jest że ani teorye panteistyczne, ani atomistyczne, ani materyalistyczne kwestyi téj nie rozwiążą; i że szkoda na to czas tracić: jak na dwadzieścia dwa wieki pracy to i tak dosyć. Cóż ją zatem rozwiąże? Ja nie wiem, ale posłuchajmy co o tém mówi jeden z nowój szkoły niemieckiej, psycholog i naturalista Rudolf Wagner, professor fizyologii w Getyndze, i którego zapatrywanie się zasługuje na przytoczenie. P. Wagner przybrał względem różnych stronnictw postawę wyczekującą, niedowierza on jednemu i drugiemu, a w broszurze „Walka z powodu duszy” dowodzi i niemożności przechylenia się do jakichbądź twierdzeń w dzisiejszym stanie nauki, i niekompetencyi fizyologii, filozofii lub teologii do rozwiązania pojedynczo kwestyi, która podług niego wymaga ich łącznego współdziałania; P. Wagner ma zapewne coś za czém się więcéj przechyla, ale ponieważ w gruncie nie twierdzi on nic, ograniczymy się przeto na przytoczeniu wątpliwości zamieszczonych w końcu broszury.

— „Wszystkie usiłowania — powiada on — podejmowane aż do tąd dla zbadania i wytłumaczenia bliżej natury duszy, czy to przez nauki przyrodzone, czy przez filozofią lub teologią, uważać należy za niedostateczne. Jednakże postępy dokonane ostatnimi czasy, pod względem warunków anatomicznych i fizyologicznych dotyczących fenomenów duszy dają kilka punktów wyjścia do nowych poszukiwań. Przypuszczenie duszy specyjalnej, realnej, substancyjnej, jeśli zapatrywać się na nie hędziem ze stanowiska nauk przyrodzonych, jest hipotezą, dogmatem, ale takim przeciw któremu nie można postawić *nic poważnego* ze strony naukowych motywów. Przypuszczenie *niebytu* duszy, w znaczeniu materyalistycznym jest także hipotezą, dogmatem, przeciw któremu, również ze stanowiska nauk przyrodzonych, można przeciwnie postawić zarzuty *bardzo poważne*, dlatego

mianowicie że objawy fenomenów psychicznych (fenomena samowiedzy jasne lub ciemne) nie dadzą się wywieść z sił fizycznych i chemicznych, jakie są nam znane. Wyrażenie: *niematerialność* duszy jest pojęciem scholastycznym, którego prawność lub nieprawność zależy od rozwoju i określenia pojęcia *materji* i innych pojęć wyższych wiążących się z niem bezpośrednio. Nauki przyrodzone są bezwarunkowo niezdolne okazać jakichbądź dowodów *za* lub *przeciw* niematerialności duszy substancjalnej. Pod tym względem zostawiają one wierze albo innej nauce zdolnej ogarnąć ten przedmiot, zupełną wolność i zupełne usprawiedliwienie. Żadna z tych nauk, ani *fizjologia*, ani *filozofia*, ani *teologia*, nie jest zdolną sama przez się, pojedynczo, ogarnąć téj kwestji ze wszystkich stron i stanowczo ję rozwiązać; trzeba oczekiwać spokojnie i przypatrywać się azali usiłowania przenikliwości ludzkiej dojdą do postawienia tej kwestji tak, aby ztąd wynikło zapatrywanie się i przekonanie wartości mniej więcej powszechnęj, to jest podzielane przez przeważną część ludzi uzdolnionych do zdrowego sądu."

Mamy tu więc opinię wcale bezinteresowną: fizyolog twierdzi, że fizjologia sama przez się kwestji duszy nie rozwiąże, ale może znakomicie przyczynić się do ję rozwiązania, jeśli to rozwiązanie jest możliwe. Opinię tę, głośno czy cicho, dzielają wszystkie znakomości fizjologiczne, tak jak to już nadmieniliśmy wyżej, a mierzności tylko nadrabiające zuchwałstwem więcej niż nauką, czupurzą się i wyjeżdżają na harc z konkluzjami na niczem nieuzasadnionemi.

Metafizyka, to pewna, w badaniach o duszy mnóstwo popełniła błędów, i do niczego nie doszła. a głównie przez to, że patrzyła na człowieka z jednej tylko strony, i nigdy nie przyszło ję na myśl obejrzeć go wszechstronnie. a jeżeli odważyła się na ten krok, to czyniła to niedołąźnie (jak Dekart), dla braku należytego przygotowania. Kiedy więc metafizyka martwiła na tém polu, nauki przyrodzone tymczasem dokazały cudów, śledząc człowieka pod względem zoologicznym. Nietrafne postępowanie nie odsądza ję jednak wcale od prawa poszukiwań drogami sobie właściwemi, w czém nauki przyrodzone wałą nawet wyświadczyć ję mogą przysługę. Jeżeli metafizyka skorzysta z odkryć poczynionych w dziedzinie nauk przyrodzonych, jeżeli przygarnie do siebie cały postęp, jeżeli jałowa dotąd psychologia stanie się antropologią, a każdy psycholog będzie wprzód fizjologiem, to jużćić prędzęj spodziewać się można postępu niż dotąd, a przynajmniej będzie się można nie dać ogarnąć złudzeniom.

Najutalentowańsi i najbieglejsi mężowie szkoły doświadczalnej, jak Claude Bernard (*Introduction à la Médecine expérimentale*, str. 59, 61, 266 i nast.), przyznają, że cały ten mechanizm doświadczeń na polu nauk ścisłych, cała ważność rezultatów obserwacyi, zależy od wrodzonej i jakoby tajemniczej, niczem nie wytłumaczonej dzielności umysłu. Myśl nowa objawia się niespodziewanie, jak błyskawica;

nych, w myślach trudno o nowość, natchnienia poetycznego niepodobna dopatrzeć, autor nie włada stylem, a jednak wysuwają się niekiedy ustępy gładkie i myśl jasna, jak np.

Jeszcze wierzę w ludzi,
Nie zniechęcił świat;
Nic mię nie ostudzi:
Každy człowiek brat.

albo w wierszu do dzieciny:

O niedługo dziecię!
Będiesz tęczę wić;
Trzeba poznać życie
I ożłowiekiem być.

Znowu w inném miejscu:

Na co serce człowiekowi,
Ono niepokoi:
Biedni ludzie uczuciowi,
Biedna myśl co roi.

W wyrachowaniu odzywa się:

Bijemy czołem przed cyfrą z lodu,
Miłość i nadzieja bledną—
Sztynny rachunek, nawet za młodu
Głowę rozsadza nam bledną. i t. p.

W dyalogach fantastycznych rozwinął p. M. rozmowę mrówek, motyli, pszczołek, konika polnego, pająka, świetlika, komara, muchy. Každy z tych owadów odzywa się po swojemu, o pracy, miłości, zabiegach i t. p. Jeden tylko komar którego szczególny apetyt porwał na krew ludzką i tój wszędzie szukał, wyznaje iż po długich trudach i mżożach spotkał wreszcie w ogrodzie włościanina spiącego, zajadłe upadł mu zaraz na nos, zaczął pić nektar z rozkoszą, nasycił się do woli, a teraz czuje że choroba jakaś ogarnia mu żołądek i całą istotę i przekonywa się że w tój krwi była wódka. Na tём zebraniu owadów konik polny przynosi nowiny o radości jaką widział pomiędzy rolnikami, którzy odzyskawszy swobodę cieszą się dobrobytem. Widziało tych istot w powietrzu brzęczących jakby wiatrem zdmuchnięte przepada.

W fragmencie Dziadunio p. M. usnuł nie tak powiastkę jak raczej obrazek powiastkowy. Nad Bohem w pięknej okolicy bieli się niewielkie sioło, dziedzictwo p. Michała. Szlachcic to dawniej daty, typ zagonowy, pełen ucziowości, surowych obyczajów, pracą i żelazną wolą zebrał znaczny mająteczek. Zdawałoby się że do tak szlachetnego przedmiotu autor nie wiele ma sympatyi, bo go trochę maluje w karykaturze:

Pan Michał siódmy krzyżyk doliożał,
Włos miał srebrzysty, mała łysina,

Mieszkając na wsi, on trochę zdziczał;
Zdrów, pełen życia i tęga mina:
Nosił kapotę siwą, wygodną

a przytém:

nosił duże kołnierze
Które zuchwale uszów sięgały,
Jak dwie miotelki, dwa wąsy ryże
Na pełnej twarzy się rozkładały.
Twarz miał czerwoną, a nos pociągły,
Który gwałtownie rwał się z zarostu,
Parę brodawek i brzuch okrągły,
Mocnej postawy, słusznego wzrostu.

Jedyném szczęściem pana Michała wnuczka Anusia, dziewczę piękne jak lilijka a jak autor mówi skromna jak trusia, chowa się przy babce, matce i dziadku, który dla niej skrętnie posag zbiera. W sąsiedztwie wznosiła się cukrownia, przedmiot obrzydliwy dla p. Michała, gdzie zgraja ludzi napół zniemczała, gdzie zakład jak widać rwał pieniądze z kąd mógł, wyłudzał cudze fortuny, łatał i łatał ale napróżno. Dyrektor p. Rum bankrut od lat kilku szukał wszelkich środków ratunku, które oburzały p. Michała. I oto:

Pan Rum dyrektor bywał w kościele—
Chociaż krew saska pulsa porusza
Gdy ujrzał Annę, w pewną niedzielę
To aż niemiecka wstrząsała się dusza;
Spytał znajomych o jój nazwisko,
A gdy żądane wiedział *detale*,
Aż zatarł ręce—że to tak blisko—
I Sas utonął w jój kapitale.

Naturalnie że wkrótce w domu szlachcica zjawia się Niemiec, częste ponawia odwiedziny, w końcu wprost panu Michałowi oświadcza się o wnuczkę. P. Michał zmarszczył czoło, i zaczął perorę:

Pytać się nawet wnuczki nie będę
Czy u niej w sercu ten affekt leży,
Kategorycznie tę rzecz wyjaśnię.
Przeszkoda pierwsza: że cukier robiasz,
Dla mnie już dosyć tój jednej winy;
Fabryką niby prowincją zdobisz,
Ale to pomnik ciężkiej ruiny,
Cukrowar chwytą pieniądze, buraki,
Wypuszcza kwity, umowy zwiera
Na lep z obietnic, łowisz jak ptaki
Dopóki kredyt mydło rozciera:
Pęk tych obietnic—czysta mamona,
Zawsze gwałtownie fabryka kona.

Tu dopiero p. Michał rozbiera to że koszta fabrykacyi cukru więcej wynoszą jak wartość cukru, że robotnik więcej bierze od niego jak od szlachty a przekonywając go szczegółowo że musi zbankrutować, radzi siać lepiej żyto i oddać się gospodarstwu, które dochód przyniesie i nikogo nie skrzywdzi, wreszcie oświadcza:

Wnuczka to moje szczęście jedyne,
Upatrz jak łowczy inną zwierzyne.

Rum całej perory wysłuchał w milczeniu ze skrucną jakby okazywał skłonność do roli, przyrzekł że handel cukrem porzuci. Mimo to słyszał jawną odmowę. Lecz nie tak prędko niemca od pieniędzy odpędzić. Nie traci nadziei, przedsięwziął użyć fortelu. Kiedy przypadkiem stary p. Michał z domu wyjechał, zjawia się Rum jako kawaler, grzeczny, układny, dowcipny, zabawił babkę, zabawił matkę, Anusię w wyborny humor wprowadził, a widząc ich przychylność w tej chwili

Coś cichutko Annie powiedział—
W pięć minut potem na sankach siedział.

Niebawem dziadunio wrócił, patrzy jakaś zmiana w domu; Anusia milcząca, osmutniała. Więc natychmiast bierze ją do swjej komnaty, tam łagodnie zaczął wypytywać o przyczynę smutku. Anusia jak poziomka poczerwiała i wyznała całą tajemnicę.

„Chroń mnie dziaduniu—łkając zawoła—
Na mnie nieszczęście ciężkie upadnie,
Jeśli nie pójdę z nim do kościoła.
Pan Rum pogroził że mnie wykradnie,
Żądał bym za nim jesożce prosila
A o tém wazysatkiem nic nie mówiła.

Zerwał się stary jak oparzony, chciał zaraz na rękę wyzwać niemczurę, lecz wstrząsnął się, porzucił tę myśl: cyt, sza, milczenie, fortel na fortel. Niedługo przypadły imieniny p. Michała. Zjechało się innóstwo szlachty, przybył także młody Janusz syn serdecznego przyjaciela p. Michała. Zjawił się p. Rum sąsiad. Wówczas to w obec zgromadzonych licznych gości p. Michał uroczyście obchodzi zaręczyny panny Anny z panem Januszem. Niemiec piorunem rażony wymyka się cichaczem:

a wtem muzyka w sieniach zabrzmiała,
I aż do świtu szlachta hulała.

Tak się skończył tryumf rolnego gospodarstwa nad cukrownią.

Drugi zbiorek wierszy p. Mostowskiego nosi tytuł *Dwa węzły*, jak gdyby niemi chciał niebo z ziemią połączyć. Tu p. M. stara się wyżej podnieść, myśl loicznie i silnie się wykluwa, za-

wsze jednak w mowie pobieżnej gdzie wyrazy autorem nie autor
wyrazami rządzi. Wstęp jest modlitwą do Boga o natchnienie.

Niech się duch wzmocni, a słabe pienie
Jeśli uzyska potęgę,
To moje myśli przyjmą święcenie,
I opromienią tę księgę.
Wtenczas ma dusza zadrga radością,
Dozna rozkoszy z za świata,
Żyć tylko będzie samą miłością
I w bliźnim ukocha brata.
W przybytku sławy pokrzepić siły;
Natchnieniem wzleczę w obłoki:
Bo te mnie dawno k'sobie wabiły
I świat ogarnę szeroki.
A gdy zobaczę z wysokości dali,
To co się mieści w obszarze,
Kiedyś powtórzę w słów dźwięcznej fali—
Bo dzisiaj—tylko ja marzę.

Węzły dzielą się na dwie części: w pierwszej *Wybrana*, w drugiej *Światelka*. *Wybrana* jest obrazkiem jakoby liryczno-dydaktycznym, w nim autor miał zamiar przedstawić walkę ideałów z materjalizmem, to jest nieba z ziemią. We wsi Grzymolinie wśród pól uroczych odznacza się pięknnością dom dziedzica p. Gustawa. Tam połączyły się skromność z lat dawnych szlachcica, z dzisiejszym zbytkiem magnata. Gustaw ma syna Konrada, córkę piękną Alinę i u niego przebywa w gościnie rezydent staruszek stoletni. W tém gronie rozwijają się ideały według pojęcia p. M. Alina niebiańska istota spisuje senne marzenia swoje. Otacza ją świat cudowny. Chór duchów śpiewa. Odzywa się pojedynczo i pokolei duch poezyi, duch muzyki, duch rzeźby, duch malarstwa, i duch miłości Platona. Alina odpowiada tym głosom, rozstaje się z niemi, przyrzeka o nich śnić, wrócić do nich jeśli Bóg pozwoli, bo teraz ma obowiązki dla ziemi, dla ojca i brata. Po takim śnie następuje rozmowa z ojcem, bratem, starcem, do której miesza się przybysz Witold i mówi:

Bóg człowieka zlepił z błota,
Więc on dla mnie zawsze szary:
Wszystko jedno—młody, stary,
Byle tylko miał dość złota.

a w końcu:

Myśleć o groszu, o resztę niedbać,
Dogadzać sobie, łaski nieżebrać—
To moje zdanie.

Alina oburza się na takie myśli, uważa to za mowę potwora ludzkości a nawet w taką skamieniałość nie wierzy. Niedługo

wieść o ideałach Aliny obiega okolice, potwarz ją ściga i oto siostra Konrada dotknięta pomieszaniami zmysłów, osadzona w domu obłąkanych. Celka zakonnika, podwórze otoczone wysokim murem oderwało ją od świata. Surowość dozorca, wieczne milczenie przerywane tylko krzykami waryatów, oto wszystko co jej pozostało. Lecz biedny ojciec odwiedzał córkę, niósł jej pociechę i radę, zajmował ręczną pracą. Możeby kto myślał że Alina z ideałami swemi jako anielska istota w tym zakładzie skończyła życie. Wcale nie... Dzięki pocziwym lekarstwom i felczerom. Tam tylko ideały zmarły a Alina wyszła zdrowiuteńka jak rybka:

Już w niej nie ujrysz wygnauki z nieba,
Postać rozwiała się poetyczna,
Dla niej potrzeba ziemi i chleba;
To już ziemianka, ale przesliczna.

I ta ziemianka pełna wdzięków i zalotności przywabia zastępy wielbicieli, a w duchu mówi: gdym ja kochała, wyście mi w oczy cisnęli wzgardą, teraz więc mści się Alina, gardzi wszystkimi, odpycha ofiary swoje. Lecz wszystko ma koniec, Alina owa wybrana została żoną.

I poszły rzeczy zwykłą koleją,
Alina została żoną;
Lecz życie inną świeci nadzieją
Nad prozaiczną matroną.

Druga część węzłów: Światelka są to wspomnienia koleżeństwa uniwersyteckiego: medycynera, malarza, fotografa i chemika oraz muzyka. Nie zasługują na żadną uwagę publiczną, są to tylko pamiątki prywatne rozwinięte w obrazkach dla własnej przyjemności.

A. J. S.

Odczyty o Wystawie paryzkiej 1867 r. Felixa Beneveni. Warszawa. 1868. W drukarni Jana Psurskiego. (w 8ce wielkiej str. 187 z planem zbiorowym gmachu, parku i ogrodu téjże wystawy na jednym arkuszu).

Zaledwie ogłoszono zamierzoną wystawę w Paryżu, prasa peryodyczna wszystkich krajów, chciwie chwyciła każdą wiadomość jaka się o niej pojawiała. Począwszy od położenia pierwszych podwalin budowli tak samego głównego gmachu jak i pomniejszych budynków, sprawozdawcy pośpieszali z podawaniem szczegółów najdrobniejszych do pism peryodycznych. Aż wreszcie wystawa 1 kwietnia 1867 roku otwartą została, i z całego świata zbiegły się tłumy przypatrzeć się temu dziwowi, zapowiedzianemu

od tak dawna. Myśl pierwszą wystawy międzynarodowej podniósł w Anglii książę Albert i wprowadził w życie w Londynie 1851 r., która stanowiła nową erę dla przemysłu. Liczyła 14837 wystawców i zajmowała 73,147 metrów kwadratowych. Wystawa powszechna paryzka z r. z. liczyła 50,000 wystawców i zajęła na placu Marsowym 500,000 metrów kwadratowych. Same te cyfry najmowniejszy stawiają dowód o ważności i korzyści tego rodzaju wystaw. I nasza prasa peryodyczna nie zaniedbała oznajmiać czytelników z wystawą pomienioną. Tak nasze pismo (w *Kronice paryzkiej*), jak *Tygodnik Ilustrowany* i *Kłosa* miały swoich sprawozdawców, których artykuły jako zasługujące na uwagę, użył p. Beneveni, do swój pracy. Nie stanowiły one wszelako równego ciągu, ani całości, którą autor *odczytów* zamierzył przedstawić.

Po zwiedzeniu na miejscu *wystawy* dla poparcia funduszków Towarzystwa Warszawskiego Dobroczynności, ogłosił dziesięć *odczytów* w sali Resursy Obywatelskiej, które miał w ciągu dwóch miesięcy: października i listopada r. z. Wykłady te zajmujące, zgromadzając licznych słuchaczy, wsparte były planem placu Marsowego, gmachu wystawy, i parku na wielką skalę dokonany, oraz licznymi okazami, w jaki prelegent starał się zaopatrzyć, dla dania dokładniejszego wyobrażenia. Odczyty te obecnie ogłosił drukiem.

Dzieło obejmujące do 200 stronnic bitego druku, w kroju wielkiej 8-ki, wraz z planem wystawy, odpowiada zadaniu swojemu pod każdym względem. Dla tych którzy nie widzieli sami tej olbrzymiej wystawy, daje jasne i dokładne o niej pojęcie, dla tych zaś co zwiedzili plac Marsowy, szczegółowe stanowi przypomnienie. W dziewięciu odczytach, na jakie podzieloną została cała praca mamy z kolei:

W odczycie pierwszym, wstęp, w którym w miejscu ogólników, często szumnych a pustych na poparcie korzyści jakie wpływają z podobnego rodzaju wystaw, autor przytacza cyfry, najmowniej świadczące o ich użyteczności. Następuje opis placu Marsowego, gmachu i parku, oraz podział i pomieszczenie przedmiotów na wystawę nadesłanych, który wraz z planem do dzieła dołączonym, daje dokładne pojęcie o tym ogromie.

Odczyt drugi obejmuje opis galerii historii pracy, zwierząt, a treściwy i starannie napisany; galerii sztuk pięknych, gdzie podany jest opis obrazów oznaczonych przez *Jury*, oraz ogólny pogląd na dzisiejszy stan sztuki malarskiej w różnych krajach; zarazem opis rzeźb główniejszych. O projektach architektonicznych, sztychach i litografiach nie ma żadnych szczegółów; brak ten niekiedy w odczytach p. Beneveni'ego czuć się daje. Nie dziwny się wszakże temu. Prelegent odczyt każdy, obliczony na posiedzenie tylko godziny czasu, poświęcał opisowi jednej grupy; w każdej grupie wybierał przeto klasę najwięcej zajmującą i dawał jej opis szczegółowy.

Odczyt trzeci poświęcony grupie sztuk wyzwolonych, obejmuje dokładny opis stanu fotografii, i *meteorografu* księdza Secchi z Rzymu (jednego z pierwszych astronomów) wskazującego główniejsze zjawiska meteorologiczne, jak: ciśnienie powietrza, prędkość i kierunek wiatru, deszcz, wilgoć i nareszcie temperaturę wykazywaną tak na zwykłym termometrze merkuryuszowym, jako też na zasadzie rozszerzenia się i kurczenia metalu. Przyrząd księdza Secchi jest połączeniem kilku oddzielnych przyrządów, przeznaczonych do znaczenia każdego z osobna zjawiska, głównym zaś działaczem jest elektryczność. Wynalazca otrzymał wielką nagrodę.

Odczyt czwarty obejmuje grupę mebli, zawiera ciekawy opis porcelany, zegarmistrzostwa i przyrządów do ogrzewania.

W odczycie piątym, o odzieży, zasługuje na uwagę ustęp o bawelnie, jedwabnikach i szlifowaniu brylantów.

Odczyt szósty obejmuje materye pierwotne. Zaleca się ustępem o stali i opisem znaczniejszych zakładów metalurgicznych.

Odczyt siódmy obejmujący galerię krajów zaeuropejskich, odznacza się ustępem o Persyi i Brazyli, która w niedługim czasie patrząc na jej wyroby i okazy, stanie na równi z innymi oświeconymi narodami świata.

Odczyt ósmy: maszyny parowe, kotły parowe, wzorowe domy dla robotników. Ostatni ustęp obszerniej autor traktuje i słusznie, bo to kwestya na dobre, a dla nas także żywotna. Starano się odpowiedzieć w modelach przedstawionych zadaniu, jakie komisya wystawy położyła: „Zbudować dla robotników dom tani, czyniący zadosyć warunkom higienicznym i dobrobytu.”

Odczyt dziewiąty, lokomotywy, telegrafy, przyrząd dla nurków *Rouquarola*.

Odczyt dziesiąty, opis wyspy *Billancourt*, uwagi o wystawie rolniczej urządzonej razem z wystawą powszechną. Środki zmierzające do poprawienia bytu ludzkości.

Streszczając jak najkrócej *odczyty* p. Beneveniego, dodać musimy, że wszystko co od nas nadesłanem było, jest wyszczególnione, ze słusznym zarzutem przeciw opieszałości wielu przemysłowców krajowych, których wyroby poczesne znalazłyby miejsce na wystawie powszechniej.

Słyszeliśmy sami od wracających z Paryża, powtarzany, rozbiony przez Francuzów i Anglików oprócz wielu innych i ten zarzut, że ujrzawszy kilka numerów Tygodnika *Illustrowanego* i *Kłósów*, pytano dlaczego pism pomienionych nie nadesłano, kiedy mogły śmiało stanąć obok ilustracyi zagranicznych.

Książka p. Beneveniego, czyta się z zajęciem i przyjemnością, gdyż oprócz treści ma powab stylu i języka, żywo i jasno oddające traktowane przedmioty. Nie przebieając w ustępach, pierwszy przed oczyma przywiedzimy, w którym mówi o *odzieży* (grupa X, klasa 92).

„Napozór zbiór tego rodzaju zdawałby się zbyt cennym na wystawie powszechnej. W gruncie rzeczy tak nie jest: ubiór każdego narodu jest przedstawieniem nie tylko jego oświaty, inteligencji, wyobraźni, lecz nadto maluje stan dobrobytu i warunki życia. Nie dosyć na tém: ważne wypadki polityczne wpływają przeważnie na zmianę kostiumów narodów. Protestantyzm zmienił kostium ludów niemieckich: anabaptyści, morawczycy, kwakry, wprowadzili nowe kostiumy. Kapelusz wysoki francuzki czarny, cylindrem zwany, dziś na całym świecie ucywilizowanym używany, datuje istnienie swoje od rewolucyi 1789 roku. Kostiumy narodowe znikają w miarę rozwoju oświaty, i nieledwie z pewnością twierdzić można, że tam gdzie one kwitną, jeszcze w całej pierwotnej sile, wiele pozostaje do zrobienia na drodze postępu i oświaty. Widok kostiumu narodowego, często lepiej odmaluje cały ten kraj, niż zbiór jego wyrobów lub płodów. Klimat, położenie geograficzne, otoczenie, bogactwo natury, wszystko tam być musi wypiętnowane. Nie jest więc bez korzyści przegląd kostiumów różnych narodów, tém więcej, że nie tylko figury pojedyncze, lecz całe grupy, w różnych okolicznościach życia, są tam przedstawione. Figury woskowe, po większej części są znakomitej wartości; w twarzach ich maluje się charakter właściwy kostiumowi lub okoliczności i do złudzenia naśladuje naturę. Najlepszy zbiór tego rodzaju okazów nadesłano ze Szwecyi. Zbiór ten przedstawiający kostiumy wszystkich okolic tego półwyspu, ściągając zawsze tłumy ciekawych do galeryi szwedzkiej, i był koroną wystawy tego kraju. Kostiumy mieszkańców różnych okolic Francyi również licznie przedstawione były, zwracały zaś szczególniejszą uwagę malownicze kostiumy Bretończyków. W ubiorach francuzkich, chociaż jaskrawych, znać lekkość, swobodę, dziwnie odróżniającą się od ciężkich i niezgrabnych kostiumów niemieckich, chociaż może w tych ostatnich więcej zwrócono uwagi na trwałość i wygodę. W oddziale ruskim budziły ogólne zajęcie mało znane kostiumy *Ostyaków i Syberyjczyków* a fantastyczne i pełne jeszcze pierwotnej prostoty kostiumy tureckie, japońskie, marokańskie, tunetańskie i innych narodów zaeuropejskich, jakkolwiek bawiły oko, jednak były niezbitym dowodem przytoczonego powyżej zdania, że do tych krajów nie przeniknęły jeszcze promienie oświaty; że utrudzające swobodę ruchów, szaty tych narodów świadczą o życiu bez pracy, pędzonym w obec warunków pozwalających takiego *far-niente*.”

Dziś już plac Marsowy wrócił do pierwotnego przeznaczenia, budowle wszystkie z równą szybkością jak były stawiane znikają, i tylko we wspomnieniu, pozostanie pamięć wystawy paryzkiej, której opisowi poświęcił swe dzieło p. Beneveni.

K. Wl. W.

Die Schoenheit und die Schoene Kunst, nach der Anschauungen der sokratischen und der christlichen Philosophie in ihrem Wesen dargestellt von P. Joseph v. Jungmann S. J. Professor der Theologie an der Universität in Insbruck. Insbruck. 1866.

Nie ma kwestyi, że dwa źródła z których czerpał ks. Jungmann, razem wzięte stanowią ogromną powagę. Źródłami temi jak to już z tytułu samego widać, są: filozofia Sokratesowa z jednej i natchnione pisma Ojców Kościoła, to znaczy rozum ludzki opromieniony blaskiem światła wiary, z drugiej strony.

Możeby się zdawało, że tu autorowi tylko o powagę chodzi, że na nią poprzestaje. Bynajmniej, rzecz się ma całkiem przeciwnie: uczony profesor przedewszystkiem i głównie przemawia do rozumu, a obfitość cytat służących do potwierdzenia jego mniemań jest jakby świadectwem stałej harmonii, jaka istnieje między rozumem ludzkim a wiarą.

Ks. Jungmann nie popularnie, nie dla mas, lecz poważnie myśląc, więc wyżej wykształconej publiczności przedstawia rozumowy i prawdziwie filozoficzny traktat o pięknie, w sposób przecież nader zajmujący, choć gruntowny bardzo; w zbyt może tylko drobiazgowych podziałach.

Dzieło składa się z dwóch części, które koniecznie odróżnić wyraźnie potrzeba. Pierwsza traktuje o pięknie, jako takim, czyli o pięknie samém w sobie, gdy druga wykłada sztukę piękną (*schoene kunst*) t. j. estetykę właściwą.

Myślą główną, którą autor na początku pierwszej części rozwija, której dowodzi, jest to, że piękno nie jest czémś zmysłowym, lecz przeciwnie, całkiem to nadzmysłowy przymiot rzeczy, i co za tēm idzie, przystępny umysłowi jedynie.

Mówimy *piękne* malowidło, *piękną* symfonia. To znaczy że obraz który podziwiam, i ta symfonia, co mię zachwyca, posiadają wspólną własność dostrzegalną, i że w niej panuje piękno. Otóż nie ma zmysłu czułego na co, któryby wspólnym był dwom przedmiotom: oko samo pojmuje obraz, ucho samo pojmuje symfonię. A więc to umysł pojmuje piękno, gdyż mogą je pochwycić i zrozumieć zarówno w muzyce jak i w malarstwie.

Mówimy jeszcze: *piękną* twarz, *piękną* idea, czyn *piękny*. Piękno jest więc nazwą, służącą przedmiotom materialnym i niematerialnym. Jednak właściwą sferą piękną, sferą, w której ono świeci w całym blasku, jest świat niematerialny, a nadewszystko świat moralny.

Zkąd autor robi zwrot do dwóch innych królestw ducha i szeroko rozwija, że pomiędzy pięknem, dobrem i prawdą ścisły, organiczny istnieje związek, którego bezkarnie potargać nie wolno.

Prawda ta jest zasadniczą w estetyce, która przychodzi do tego przekonania, że dobro i piękno właściwie są tylko jedną i tą samą rzeczywistością, przedstawiającą się umysłowi w dwóch różnych tylko formach.

W obec gruntownego i jasnego dowodzenia ks. Jungmann'a upadają najzupełniej te nędzne teorye, podług których zło moralne może być jednak pięknem, niekiedy nawet szczytnem. Czyż można przyznać pisarzom, wyznającym podobne doktryny, tytuł filozofów i *estetyków*? Albo co myśleć o tych dyletantach w dziedzinie sztuki, którzy nie pomni na owe głębokie wyrzeczenie werulamskiego filozofa: *Citius emergit veritas ex errore, quam ex confusione*, radzi mieszają piękne z przyjemnem.

W części drugiej autor zajmuje się estetyką właściwą.

Tu zapytuje się, czem jest sztuka, jaki jest cel i przedmiot sztuki? I zaraz odpowiada na to, że sztuka ma cel (co naturalnie bardzo gorszy zwolenników sztuki niepodległej), i że sama jest jeno środkiem, środkiem prawda wzniosłym i szczytnym, lecz który przecież koniecznie trzeba skierować do właściwego przedmiotu. Celem sztuki piękna jest, żebyśmy mogli doskonale i z wszelką możliwą jasnością zmysłami pojąć piękność duchową.

W końcu rozbięra autor różne rodzaje sztuk pięknych. Tu też robi bardzo sprawiedliwą estetyczną wycieczkę przeciwko wszystkim uczniom Lessyngów, Kantów, Hegłów, Schellingów.

Ostatnie karty poświęcone temu, jakim artysta być powinien, jak nie ma dogadzać chwilowym zachciankom gapięcego tłumu, a jak ma na wzniosły i szlachetny cel sztuki zawsze pomnieć.

Cały ten ostatni rozdział da się streścić w kilku wymownych słowach, wyrzeczonych lat temu 50 przez człowieka, bolejącego nad upadkiem sztuki: „O nieszczęsna epoko, wołał, tyś święte posłannictwo sztuki na błędne sprowadziła ścieżki, aby ją uczynić podług narzędziem własnej żądz... wszelka wielkość, wszelka godność znikła, a córy niebios, sztuki, są już tylko potomkami ziemi.”

Wl. Milkowski.

PRZEGLĄD NAUK PRZYRODNICZYCH.

NAJNOWSZE PRYZRZĄDY DO WYDOBYWANIA ELEKTRYCZNOŚCI.

Pogląd na obecny stan nauki o elektryczności.—Nowe maszyny elektryczne Holtza i Bertscha. — Nowe stopy hydroelektryczne; dążność do zastąpienia przyrządów tego rodzaju innymi źródłami elektryczności.—Maszyny magnetoelektryczne dawniejsze; maszyna Wilda, Siemens'a; nowe maszyny Wheatstona i Ladda.—Stopy termoelektryczne Bunzena, Marcusa, Farmera; nadzieje budzone przez przyrządy termoelektryczne.

Z pomiędzy wszystkich części fizyki właściwej, nauka o elektryczności w bieżącym stuleciu najszybszym stosunkowo postępowała krokiem, i najwięcej rozszerzyła swój zakres. Ograniczona w przeszłym wieku, aż do słynnej obserwacji Galwaniego do zjawisk tak zwanej elektryczności statycznej (1786) r., nauka o elektryczności dzięki pracom nowoczesnych fizyków, bogaciła się z każdym rokiem; powstawały nowe jej części, odkrywano całe szeregi zjawisk, i ujarzmiano coraz zupełniej ową siłę tajemniczą a cudowną, czyniąc z niej i nieporównanie czujną i pospieszną służebnią naszej woli. Strumień elektryczny topi nam dzisiaj najtrudniej topliwe ciała i roznieca owe potężne słońca, przewyższające swoim blaskiem wszystkie nasze sztuczne ogniska, wysadza z dowolnej odległości i z zupełnym bezpieczeństwem, w naznaczonej sekundzie, miny podziemne, rozkłada najtrwalsze związki chemiczne, złoci i posrebrza metale, odtwarza z drobiazgową dokładnością najdelikatniejsze zarysy utworów dłuta i rylca, przenosi z piorunową szybkością myśl ludzką przez lądy i głębie oceanów, znosząc dla niej przeszkody czasu i przestrzeni; kieruje automatycznie i bez pomocy ruchem najdelikatniejszych kółek w rozmaitych systematach mechanicznych; zastępuje nóż chirurga w niebezpiecznych operacyach; zabija, jak piorun, najsilniejsze zwierzęta.

Lecz jeżeli, pod względem liczby i różnorodności zjawisk, pod względem wagi i doniosłości ich zastosowań, nauka o elektryczności

śmiało, z każdą inną częścią fizyki może się mierzyć; to z drugiej strony, pod względem opracowania teorii wiążących i tlomaczących zjawiska, daleko po za innymi pozostała się w tyle. Faktów jest mnóstwo, ale te fakta przedstawiają dotąd zamieszanie i chaos, — nie grupują się naturalnie i łatwo i niedokładne światło rzucają na siebie nawzajem. To ubóstwo teorii elektrycznej bije w oczy szczególniej obecnie, kiedy po wykształceniu się w naszych oczach, w ciągu ostatnich lat dwudziestu, teorii mechanicznej ciepła, występuje na widownię nauk fizycznych i coraz mocniej zniewala dla siebie umysły wspaniała *hypoteza o jedności zjawisk przyrodzonych*. Atomy eteru obdarzone ruchem wirowym i zdzierające się z sobą we wszystkich kierunkach wypełniają wszechświat; grupy tych utworów w rozmaity sposób połączone ze sobą, jednością ruchu, to cząstki materji; ciepło, światło, atrakcyja, spójność, głos, słowem wszystkie zjawiska świata materialnego to tylko wypadki rozmaitych rodzajów ruchu, które przeistaczają się w siebie nawzajem, wedle stałych stosunków, poddanych prawom mechaniki, a zatem dających się wyrazić formułą matematyczną.

W obec tego porywającego swoją prostotą i jednością poglądu na naturę, który wprowadzie nie rości sobie jeszcze prawa do tytułu dowiedzionej prawdy naukowej, ale przecież nie jest w sprzeczności z żadnym prawem fizycznym, z żadną lepiej wykończoną teorią, a wszystkie te teorie obejmuje, łączy i ożywia, nauka o elektryczności ze swojemi dwoma płynami nieważkami, z chaotycznym bezładem swoich zjawisk, — sprawia takie wrażenie, jako fałszywa nuta w harmonijnej całości.

Jedną z przyczyn, dla których pojedyncze zjawiska i prawa elektryczne, nie dały się dotąd podciągnąć pod ogólniejsze zjawiska, pod prawa wyższego porządku, jest brak właściwej i ogólnej przyjętej *jednostki* do wymierzania działań elektrycznych. Dopóki w nauce o ciepłe uważano zjawiska jedynie pod względem zmian termometru, nie można było dotrzeć do samej istoty tych zjawisk. Trzeba było koniecznie naprzód oznaczyć jednostkę ciepła, za pomocą której mierzy się nie już temperatura, t. j. jedno tylko działanie ciepła polegające na powiększeniu objętości ciała, ale całkowita jego ilość potrzebna do sprawienia pewnego skutku, aby od pojęć nieokreślonych i zamieszanych, wznieść się do zbadania istotnych praw należących tu zjawisk, aby poznać równowagę ciepła i pracy mechanicznej, i wzajemne przeistaczanie się w siebie tych dwóch rodzajów ruchu materji. Otóż takiej jednostki niema dotąd w nauce elektryczności, ztąd niema wspólnej miary dla zjawisk, niema możności ścisłego dochodzenia ich wzajemnego stosunku. Lecz nowy pogląd na naturę, musi oddziaływać i na metodę używaną dotąd przez badaczyw elektryczności, zaczem ich prace stanaą się płodniejszymi niż dotąd dla ogólnej teorii fizycznej.

Tymczasem nie dziwny się, że przy sprawozdaniu z najnowszych faktów w dziedzinie elektryczności, do którego przyśpujemy obecnie, napotykamy na trudności, dla których najznakomitsi specjaliści nie odszukali dotąd słowa zagadki.

Zaczynamy od przyrządów służących do wyrabiania elektryczności, które jak wiadomo dzielą się na dwa główne rodzaje. Pierwsze, do których należą właściwe maszyny elektryczne i elektrofor dostarczają tak zwaną elektryczność statyczną; drugie dają elektryczność w ruchu, czyli strumień albo prąd elektryczny. Do tych ostatnich należą naprzód rozmaite gatunki *stosów*, których nazwa od pierwszego ich prototypu, sławnego w nauce stosu Wolty pochodzi, a w których elektryczność zrodzona przez działanie chemiczne, krąży ustawicznym obiegiem, jak skoro oba końce czyli bieguny stosu za pomocą dobrego przewodnika zostaną ze sobą złączone; *powtóre, maszyny indukcyjne Wolta elektryczne*, w których strumień pożycony ze stosu wzbudza w długim drucie skręconym spiralnie szereg krótkotrwałych, ale bezprzerwy po sobie następujących i bardzo silne iskry sprawujących strumieni, zwanych indukcyjnymi; *potrzebie, maszyny magnetoelektryczne*, w których takie same indukcyjne strumienie powstają w drucie spiralnym obwijającym podkowę żelazną, skutkiem szybkiego ruchu tej podkowy przed biegunami magnesu, lub odwrotnie magnesu przed biegunami podkowy; *nakoniec, stosy termoelektryczne*, dające strumień elektryczny przy ogrzewaniu dwóch różnych od siebie przewodników, których końce są połączone ze sobą w ten sposób, że tworzą obieg zamknięty.

Najpierwszemi w czasie były maszyny elektryczne; prababkę ich wynalazł Otto de Guericke w XVII wieku. Udoskonaloną przez Ramsdena (1766) znamy ją wszyscy, bo ona to za szkolnych naszych czasów, wraz z butelką lejdejską, elektroforem i stosem Wolty stanowiła cały arsenał elektryczny gabinetów szkolnych, który przecież tyle miał dla nas uroku. Było to narzędzie dosyć niewinne; kapryśna i nieużyta w wilgotnej porze, w suchą dawała iskry niezbyt boleśnie szczypiące stawy palca zbliżonego do jej konduktora. Chcąc mieć iskry wielkie i mocne potrzeba było budować maszyny ogromnych wymiarów: taką jest np. maszyna w muzeum Teylera w Harlemie (zbudowana 1785 r.) z taflą blisko sążniowej średnicy, dająca iskry grube na półtrzeciej linii, a długie przeszło na łokieć; lub maszyna instytutu politechnicznego w Londynie, której tafla obracana maszyną parową ma 4 łokcie średnicy. Lecz odkąd fabrykant narzędzi fizycznych Ruhmkorff zbudował (1851 r.) swoją maszynę indukcyjną, dającą przy użyciu dwóch lub trzech elementów stosu Bunzена, nieprzerwany szereg olbrzymich iskier, z których każda może zabić wołu i przestrzelić na wylot tafelkę

szklaną, na pół cala grubą; maszyny dające elektryczność statyczną (nie pomijając i maszyny Armstronga, w której para wytworzona w kociołku wypadając z niego przez liczne wyloty, na pół skroplona trze się o ich ściauki i tym sposobem wytwarza wielką ilość elektryczności), ustąpiły z pola i stały już tylko jak historyczne pamiątki w gabinetach fizycznych. Elektryczność statyczna usunęła się w cień; zastąpił ją strumień indukcyjny.

Od kilku przecież lat maszyny elektryczne, skutkiem niespodziewanych ulepszeń znowu zaczęły zwracać na siebie uwagę. Maszyny wiedeńskie Wintera niewiele różniące się od maszyny Ramsdena, zbudowane napozór ordynarnie, z konduktorami drewnianymi, lecz z ulepszonym systematem poduszek, dają przecież iskry tak ogromne, jak największe maszyny starszej konstrukcji. Lecz daleko ciekawszą jest maszyna fizyka berlińskiego Holtza, mała, silna i tajemnicza, bo nikt dotąd nie potrafił wytłumaczyć jej działania.

Maszyna elektryczna Holtza, wystawiona na ostatniej wystawie paryzkiej i będąca zresztą tylko uproszczeniem maszyny wynalezioną przez Toeplera z Rygi, składa się z dwóch krążków szklanych, z których jeden jest stale osadzony, a drugi równoległe do niego obracać się może. W krążku stałym znajduje się okienko opatrzone ostrzem z papieru zwróconym na wewnątrz, t. j. ku ruchomemu krążkowi. Doświadczający bierze kawałek kauczuku długości wielkiego palca, pociera go ręką, kawałkiem sukna, lub szczoteczką włosianą, zbliża do owego okienka i obraca korbą krążek ruchomy. Natychmiast na konduktorze metalicznym, stojącym naprzeciwko krążka, i opatrzonym jak w zwyczajnej maszynie Ramsdena w kolce metalowe, nagromadza się wielka ilość elektryczności i wypada szereg iskiei mających do 8 cali długości. Żkąd się biorą te, stosunkowo do rozmiarów maszyny, ogromne iskry? Jakim sposobem pomnaża się tak potężnie owa mała ilość elektryczności wywiązana przez jednorazowe potarcie kawałka kauczuku,—tego nam dotychczasowa teoria wytłumaczyć nie umie. I dlatego fizyk genewski de la Rive, jeden z najkompetentniejszych specjalistów w tej dziedzinie fizyki nazwał maszynę Holtza najciekawszą nowością wystawy w oddziale elektryczności.

Fizyk francuzki Bertsch jeszcze bardziej uproszczył maszynę Holtza. Odrzucił on z niej krążek stały z okienkiem, a na ruchomy zamiast szkła użył zczernionego kauczuku, będącego, jak wiadomo gorszym przewodnikiem elektryczności, niż szkło. Ten krążek stanowiący całą maszynę Bertscha obraca się korbą, i w czasie obrotu zbliża się do niego mały kawałek kauczuku naelektryzowany przez potarcie ręką; z obracającego się krążka wypadają iskry długie na 5 cali, które kłują bolesnie zbliżony palec, przebijają papier i zapalają materje palne. Zauważmy

że tu niema wcale konduktora metalowego, że zatem iskry wyśkakują ze złego przewodnika; gdyby dodano konduktor, nie byłoby zapewne rzeczą bezpieczną przybliżyć rękę do funkcjonującej maszyny Bertscha.

Biorąc krążek 20 cali w średnicy wirujący z prędkością 10ciu obrotów na sekundę i umieszczając przed nim nie jeden, ale dwa kawałki naelektryzowanego kauczuku trzymane jeden za drugim, otrzymuje się elektryczność równego jak poprzednio napięcia, ale w daleko większej obfitości. Wtedy iskry następują po sobie prawie bez żadnej przerwy: szereg ich przebija tabliczkę szklaną pół-calowej grubości, oświetla rurkę na $1\frac{3}{4}$ łokcia długą zawierającą wewnątrz rozrzedzony gaz, zapala już zdaleka ciała palne. W czasie suchym maszyna Bertscha zachowuje elektryczność przez kilka godzin, podobnie jak zwykły elektrofor.

Przechodzimy do przyrządów wzbudających elektryczność dynamiczną a najprzód do stosów hydroelektrycznych, w których strumień elektryczny powstaje skutkiem działania chemicznego. Poczynając od zbudowania stosu Wolty (1794), w którym przez działanie cynku i kwasu siarczanego na wodę, ta ostatnia rozkłada się na tlen i wodór i przy tym rozkładzie rozdziela się także jak chce mieć dzisiejsza teoria, elektryczność obojętna na dwa prądy, czyli *strumienie* jeden *dodatni* płynący w każdym krążku czyli elemencie stosu od strony tabliczki cynkowej w stronę kwasu i *ujemny* biegnący w przeciwnym kierunku, aż do dziś, mnóstwo przyrządów tego rodzaju wynajdywano, ulepszano i porzucano z kolei. Najpowszechniej znane są: stos Daniela, w którym prócz ciał wchodzących w skład stosu Wolty znajduje się jeszcze siarczan miedzi i stos Bunzена, w którym zamiast roztworu tej soli użyty jest kwas azotny (1). Oba te stosy odznaczają się większą trwałością swojego działania, na czem zbywa stosowi Wolty, co właśnie osiąga się przez dodanie siarczanu miedzi w stosie Daniela, a kwasu azotnego w stosie Bunzена.

Stos Bunzена daje strumień stały i znacznej siły, dlatego używany jest najpospoliej przy topieniu ciał, przy urządzeniu tak zwanego słońca elektrycznego i przy wprowadzeniu w ruch mechanizmu telegrafów elektrycznych. Lecz przy użyciu jego powstają gazy szkodliwe i przykre, a nadto samo obchodzenie się z tym stosem, z powodu silnych kwasów, w skład jego wchodzących, wiele przedstawia niedogodności. Szukano więc innych systematów. Jednym z głośniejszych jest stos p. Marié-Davy używany na liniach telegrafów francuzkich, którego częściami składowymi są: cynk, węgiel, woda z kwasem siarczanym i siarczan rtęci. Najnowszemi próbami w tym rodzaju są stosy pp. Duche-

(1) Nadto w skład stosu Wolty i Daniela wchodzi miedź, która u Bunzена zastąpiona jest węglem, lecz te ciała nie mają bezpośredniego udziału w wytworzeniu strumienia.

min i Leclanché. Pierwszy z nich tém się różni od stosu Bunzena, że kwas azotny zastąpiony jest kwasem pikrynowym nie wyziewającym przy użyciu żadnej pary szkodliwej, a kwas siarczany roztworem soli zwyczajnej; drugi jest prostszy: składa się bowiem tylko z cynku na którym gromadzi się elektryczność ujemna, z dwutlenku manganu (czyli braunstejnu) w kawałkach, i z rozpuszczonego w wodzie salmiaku; biegunem dodatnim tego stosu jest płytka węgla osadzona w massie braunstejnu. Ten ostatni stos ma działać od jednego do trzech lat, nic prawie ze swej siły nie tracąc.

Jakkolwiek zresztą praktyka zawyrokuje o wartości tych nowych źródeł elektryczności dynamicznej, niemniej przeto staje się widocznem w ostatnich czasach dążenie do zupełnego zarzucenia w zastosowaniach przemysłowych strumieni hydroelektrycznych t. j. zrodzonych z chemicznego działania. Czas ich przemija. Przemysł wymaga działaczy dogodnych w użyciu i przede wszystkim niedrogich, elektryczność zaś otrzymywana za pomocą stosów chemicznych drogo kosztuje. Dla obniżenia zatem ceny tego szacownego działacza, za czém poszłoby większe rozpowszechnienie jego zastosowań, jakoto: korespondencyi telegraficznej, oświetlenia elektrycznego, wyrobów posrebrzanych, odlewów galwanoplastycznych i t. p., potrzeba koniecznie zastąpić stosy chemiczne innem źródłem elektryczności. Tego źródła szuka w obecnej chwili przemysł w machinach magneto-elektrycznych; kiedyś znajdzie je może w większą jeszcze korzyścią w stosach termoelektrycznych. O tych więc przyrządach jeszcze słów kilka.

Z pomiędzy machin magnetoelektrycznych najpowszechniej znaną, bo najpospolitszą w gabinetach fizycznych jest machina Clarkego. Do pionowej deski drewnianej przytwierdzony jest silny magnes wygięty w kształcie podkowy, której końce czyli bieguny zwrócone są na dół, prostopadle do deski i do magnesu osadzona jest oś pozioma, którą za pomocą korby można obracać; do tej osi przytwierdzone są dwa walce żelazne poziome, złączone ze sobą za pomocą sztabki również żelaznej. Długi drut miedziany, osnuty jedwabiem, obwinięty jest spiralnie, warstwami na jednym z walców, z którego przechodzi potem na drugi i podobnie się na nim wielekroć razy obwija; tym sposobem powstają dwie cewki drutu, których jądra stanowią owe walce żelazne. Końce drutu za pomocą pośrednich części znajdują się w komunikacji z dwoma słupkami mosiężnymi, stanowiącemi bieguny przyrządu, które za pomocą metalowych przewodników można łączyć bądź ze sobą, bądź z ciałem, przez które chcemy przepuścić strumień elektryczny. Dopóki walce są w spoczynku, niema działania; lecz jak skoro w ruch obrotowy za pomocą korby umocowanej do ich osi wprowadzone zostaną, i końce ich zwrócone ku magnesowi będą, to się zbliżać do jego biegunów, to się od nich oddalać, natychmiast powstanie w drucie obwijającym walce szereg bardzo krótkich i silnych *strumieni indukcyjnych*, które przy stosownem urządzeniu

wypadając z biegunów i łącząc się ze sobą na zewnątrz maszyny utworzą jeden prawie nieprzerwany i potężny strumień elektryczny. Taki to właśnie strumień jest bohaterem chwili obecnej.

Maszyna na tej zasadzie zbudowana przez spółkę znaną pod nazwą l'Aliance od lat kilku dostarcza elektryczności do oświetlenia latarni morskiej na przylądku de la Héve pod Hawrem. Składa się ona z czterech wałków brązowych osadzonych na wale poziomym poruszanych przez maszynę parową. Na każdym wałku jest szesnaście cewek podobnych jak w maszynie Klarkego; końce ich przebiegają przed biegunami magnesów. Wszystkie elektryczność wzbudzona w cewkach skutkiem tego ruchu spływa do dwóch słupków, z których wychodzą druty zakończone zastruganymi klockami ścisłego węgla; za zbliżeniem do siebie obu węgli powstaje w ich ostępie luk olśniewającego światła, zastępujący obecnie płomień olbrzymiej lampy, która dawniej oświetlała latarnię.

W ostatnich latach zwróciła na siebie powszechną uwagę inna maszyna magnetoelektryczna wynaleziona w Anglii przez Wilde'a (1866), mało zajmująca miejsca, lekka i przenośna, która z jednej strony przewyższa potęgą swoich skutków najśmielsze nawet nadzieje, a z drugiej wywraca na pierwszy rzut oka wszystkie dotychczasowe pojęcia o wytwarzaniu siły i o granicach potęgi maszyn w ogólności. Oto zasada jej urządzenia. Przed stałe osadzonym magnesem obraca się podwójna cewka z drutu (jak w maszynie Clarkego); strumień indukcyjny powstający w tej cewce, przepuszcza się przez drut obwijający drugą, większą cewkę; przez te walce żelazne stanowiące jądra tej ostatniej stają się magnesem daleko potężniejszym od magnesu stałego wspomnianego na początku. Przed tym drugim wielkim sztucznym elektromagnesem kręci się nowa cewka odpowiednich rozmiarów, powstający w niej strumień służy do zamiany następnej cewki na elektro-magnes jeszcze potężniejszy: ten w następnej z kolei cewce ruchomej wzbudza strumień indukcyjny znowu większej siły i t. d. Tym sposobem otrzymuje się wreszcie potężny strumień topiący pręty żelazne grubości małego palca; platyna, złoto, srebro pod jego działaniem topnieją jak śnieg w promieniach słońca; światło elektryczne otrzymane za pomocą strumienia tej maszyny dorównywa słońcu swoim blaskiem.

Na podobnej zasadzie jak fizyk angielski, dyrektor telegrafów pruskich Siemens zbudował swoją maszynę magnetoelektryczną, która obsługuje już linie telegraficzne w tym kraju.

Jezeli maszyny Siemens'a i Wilde'a dadzą się jeszcze zaliczyć do kategorii maszyn magneto-elektrycznych, to dwa przyrządy o których jeszcze wspomnieć nam wypada, należą już do innego rodzaju przyrządów elektrycznych i nie dają się podprowadzić bez naciągania pod żadną dotychczasową teorią. Elektryczność wyrabiana w tych maszynach jest, jak się zdaje, po prostu przeistoczoną pracą mechaniczną.

Pierwsza z nich machina Wheatstona, z ogólnego swojego składu do machin magneto-elektrycznych podobna, tém przecie od nich się różni, że w niej zamiast magnesu jest prosta płyta stalowa. Wprawdzie stal posiada zwykle w sobie jakiś ślad magnetyzmu, od którego uwolnić ją prawie niepodobna, ale *czyż* ta mała ilość magnetyzmu zdolną jest wyrobić w cewkach strumień tak potężny, że przepuszczony przez grube druty, rozżarza je do czerwoności i z tego nawet powodu nie może być bezpośrednio użyty do wprawiania w ruch telegrafów elektrycznych. Jakoż strumień maszyny Wheatstona używa się tylko jako działacz służący do wzbudzania w innych cewkach strumieni indukcyjnych, które dopiero używane są do obsługi telegrafu.

Drugą jest machina Ladda. Dwie płyty żelazne poziome i równoległe od siebie, oparte są końcami na dwóch na poprzek leżących rurach żelaznych; w każdej rurze znajduje się walec również z żelaza, obwinięty w kierunku swojej osi osnutym w jedwab' drutem miedzianym. Takież sam drut obwija i płyty żelazne prostopadle do ich długości przechodząc z jednej na drugą i tworząc z nich tym sposobem jakby cewkę maszyny Clarkego, - tylko nieruchomą. Końce tego drutu złączone są z końcami drutu obwijającego jeden z walców wyżej wspomnianych ukryty w jednej z owych rur na których spoczywają płyty; drugi walec jest zupełnie odłączony od innych części maszyny i obraca się po prostu przed temi końcami, czyli biegunami płyt, które wprost nad nim leżą.

Machina w tym stanie nie daje żadnego śladu elektryczności, lecz gdy przez drut obwijający płyty i pierwszy walec będziemy przez czas jakiś przepuszczać strumień jakiegokolwiek stosu, a następnie, przerwawszy wszelką komunikację ze stosem, wprawimy oba walce w ruch obrotowy, wtedy w drucie obwijającym walec połączony z płytami powstaje strumień indukcyjny, którego siła skutkiem samego obrotu ustawicznie się wzmacnia, i który zamienia obie płyty na potężne magnesy. Jednocześnie w drucie obwijającym walec swobodny wzbudza się także strumień, którego natężenie jest proporcjonalne do szybkości obrotu; ten ostatni strumień sprawia takie same skutki fizyczne i chemiczne, jak strumienie stosów. Machina Ladda, w której długość płyt wynosi łokieć, szerokość 12 cali, a grubość 4 cale wyrównywa baterji Bunzena złożonej z 25 elementów.

Ostatniem źródłem elektryczności dynamicznej są *stosy termoelektryczne*, datujące swój początek od zasadniczego doświadczenia Seebecka (1821). Jeżeli zlutowujemy końce dwóch różnorodnych ciał, byle dobrych przewodników, np. dwóch metali, lub metalu i tlenku metalicznego, lub nawet dwóch niejednorodnych kawałków tegoż samego przewodnika, i połączywszy drugie końce ze sobą, skierujemy na punkt zlutowania płomień spirytusu lub gazu, wtedy w zamkniętym w ten sposób obiegu powstanie strumień elektryczny. Tu oczywiście ciepło przemienia się w elektryczność.

Stosy termoelektryczne dawniejsze, jak Nobilego i Pouilleta dawały strumień bardzo słaby i do żadnych zastosowań niezdatny; lecz w ostatnich latach wynaleziono nowe przyrządy tego rodzaju, daleko silniejsze. Bunzen w Berlinie i Marcus w Wiedniu zbudowali takie stosy w 1865 r. Ogniwa stosu Bunzена składają się ze spłynu antymonu i cyny, zlutowanego z siarkiem miedzi; Marcus używa antymonu spojonego z nowym srebrem, lub z pewnemi spłynami cynku i miedzi. Już stos Markusa z 20 ogniw złożony daje strumień tak silny, jak jeden element Daniela; lecz obecnie siła stosów termoelektrycznych jeszcze się wzmogła. Ruhmkorft przedstawił na wystawie powszechnej z 1867 r. nowy stos Bunzена ze stopionego siarku miedzi i drutumiedzianego złożony, który już przy 10 ogniwach wyrównywa elementowi Daniela. *Jarmer* z Bostonu wystawił inny stos termoelektryczny, nadzwyczaj tani i prosty w użyciu, bo do wydobywania z niego dość silnego strumienia wystarcza jeden płomyk gazu oświetlającego.

Budowa stosów termoelektrycznych jest daleko prostszą aniżeli wszystkich innych przyrządów wytwarzających strumienie elektryczne, użycie ich nader proste i tanie, wymaga tylko pewnej ilości ciepła, a zatem tylko materiału palnego. Jeżeli więc nowe ulepszenia przyrządów tego rodzaju pozwolą otrzymywać tą drogą obfitsze i większej siły strumienie, to niezawodnie zastąpią one wszystkie dotąd używane sposoby wytwarzania elektryczności, będącej tak potężnym i tak już dzisiaj szacownym i rozpowszechnionym działaczem.

DO REDAKCYI BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ.

W życiu znanego historyka i ekonomisty, jednego ze znakomitszych mężów w narodzie polskim, konsyliarza rady nieustającej, szambelana Felixa Łojki, jest dotychczas jeszcze nie wyjaśniony ustęp: czy należał do konfederacyi barskiej. czy nie? W dziele Juliana Bartoszewicza „Znakomici mężowie polscy w XVIII wieku” w życiorysie F. Łojki, pod tym względem powiedziano, że F. Łojko, będąc przy boku króla Stanisława Augusta, jako szambelan królewski i konsyliarz komisji skarbowej, w czasie ogólnego niezadowolenia z rządów Poniatowskiego, przeszedł do przeciwnego mu obozu i w r. 1769 przyłączył się do konfederacyi barskiej, której służył głównie jako dyplomata w nieuwieńczonych rokowaniach z dworem wiedeńskim i Kaunitzem. Po upadku konfederacyi, Łojko wrócił do króla, uzyskał znowu jego względy i powtórnie mianowany był konsyliarzem komisji skarbowej (1772 r.).

Dotychczas jednak, lubośmy wiele przejrżeli pism do dziejów konfederacyi barskiej, ani razu w nich nie doczytaliśmy się nawet nazwiska Łojki. To samo twierdzi w lat kilkanaście potem i p. Bartoszewicz w „Życiorysie Łojki” zamieszczonym w Tygodniku Ilustrowanym (Nr. 334 z r. 1866).

Wiadomość jako F. Łojko należał do konfederacyi barskiej, podana przez J. Bartoszewicza w dziele „Znakomici mężowie polscy” opiera się ile nam wiadomo, na powadze St. Kaczkowskiego („Wiadomości o konfed. bar.” str. 173), który znowu wziął tę wiadomość z dzieła Ferrand’a „Histoire des trois démembrements de la Pologne” T. I str. 279. Ferrand zaś opiera się na listach Durand’a, ówczesnego posła francuzkiego w Wiedniu, i pisze: że konfederacyi wkrótce po przybyciu Domonvier’a wysłali do Wiednia Paca i *Luiki* (ma to być Łojko), który miał obowiązek pozostać dłużej w Wiedniu dla pilnowania interesów konfederacyi, stosując się we wszystkiem do rad i środków, jakie mu za najdogodniejsze wskaże rezydent francuzki. Pac wrócił, a *Luiki* pozostał, lecz będąc po prostu oszukany przez prezydenta, nic nie sprawił.

Chcąc stanowczo wyjaśnić kwestyę: czy Felix Łojko należał do konfederacyi barskiej, lub nie? postanowiłem sobie użyć do tego pośrednictwa *Biblioteki Warszawskiej* i mam nadzieję, że nie jeden z badaczy naszych, któremu pamiątki ojczyste są miłe, a posiadających dzieła i papiery do konfederacyi barskiej, zechce się odezwać w tej materji.

W czerwcowym zeszytcie Biblioteki Warszawskiej, z powodu ogłoszenia konkursu na r. 1869, przez Towarzystwo księcia Jabłonowskiego w Lipsku, z nagrodą 60 dukatów, za napisanie historyi „Handlu zbożowego Polski z zagranicą” powiedziano: „Zadanie to jakkolwiek trafnie wybrane, jest nadzwyczaj trudne do rozwiązania, nie tyle ze swego przedmiotu, ile dla braku materyałów do niego.” Osobom mającym zamiar napisania „Historyi handlu zbożowego” możemy wskazać liczne materyały, znajdujące się w prywatnej bibliotece, X. Cz. w Paryżu, między rękopismami szambelana Feliksa Łojki. Osobiście zwracamy uwagę na tomy pod Nr. 1076, 1081, 1082, 1083 i 1092. Ostatni tom pod tytułem: „Handel gdański,” cały jest poświęcony handlowi zbożowemu Polski z zagranicą.

Dnia 25 maja 1868 r.

E. Ł.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE I ROZMAITOŚCI.

WARSZAWA.

Czerwiec 1868. r. — W pośród ciszy coraz głębszej w handlu księgarskim, podziwiać musimy działalność professorów wydziału lekarskiego naszej Szkoły Głównej, którzy ogłosiwszy prospekt na początku roku zeszłego, wytrwale go spełniają, z niemałym dla nauki i literatury naszej pożytkiem. Już o tém wydawnictwie mówiliśmy w jednym z poprzednich zeszytów, teraz dodamy że wiele dzieł zapowiadanych albo ukończono, lub są bliskie skończenia, czy téż bez przerwy podawane są dalsze ich ciągi. Z tych prac szacownych, wymienimy: 1) Anatomię patologiczną przez prof. Brodowskiego. 2) Histologię. 3) Terapię specjalną prof. Łuczkiwicza. 4) Chirurgię teoretyczną z syfilidologią prof. Girsztowta. 5) Oftalmologią (podług Weckera) przez Dra. Narkiewicza-Jodkę, docenta Oftalmologii. 6) Otyatrykę. 7) Chirurgię operacyjną (podług Sedillot'a) przez prof. ś. p. Le Brun'a. 8) Akuszerię przez Dra. Neugebauera, docenta Szkoły Głównej. 9) Pedyatrykę. 10) Psychiatrię wraz z chorobami nerwowymi drgawkowemi przez prof. Płaskowskiego. Energii i pracy usilnej prof. Girsztowta zawdzięczyć należy, że publikacya ta bez przerwy podąża stałym krokiem do celu. Na inném polu mało ruchu; jeżeli prassa peryodyczna zpanoszała co do swych rozmiarów, za to wydawnictwa dzieł treści czy naukowej, czy belletrystycznej nie pojawiają się wcale. Jedynie tylko spotykamy odbitki z drukowanych rozpraw, i powiastek po pismach peryodycznych; a chociaż w szczupłej liczbie wydawane i za cenę nadzwyczaj niską, leżą na półkach księgarskich nierozkupione. Po księgarniach pustki jakby zaraza powiała, ruch jaki jeszcze się pokazuje spowodowanym bywa sprzedażą tylko nut, książkami do nabożeństwa i peryodycznemi pismami. Z dniem 1 lipca r. b. jedna z celniejszych księgarni Henryka Natansona, zamkniętą zostanie; firma ta pozostawia po sobie zaszczytną pamięć wydawnictwem wielu dzieł naukowych, jak i doborowych z literatury pięknej.

W takim położeniu rzeczy, szczupłe są nasze wiadomości literackie miejscowe, i dalszemi tylko zasilać się musimy.

— Szkoła Główna Warszawska, dla studentów wydziału prawa i administracji ubiegających się o złoty lub srebrny medal na rok 1868/9, wyznaczyła następujący temat do rozprawy: „*O stanowisku gminy w organizmie państwa, ze szczególnem uwzględnieniem prawodawstwa w Królestwie Polskiem obowiązującego.*” Ubiegający się o nagrodę powinni: 1). Wykazać i wyjaśnić zasady nowożytnej nauki, określające właściwy stosunek gminy do społeczeństwa w ogóle, a do państwa w szczególności, 2). Przedstawić zwięzłe

obraz najgłówniejszych różnic jakie pod tym względem w urządzeniu gmin w Europie zachodzą. 3). Nakreślić szczegółowo stan urządzeń gminnych w królestwie Polskiem. Termin ostateczny do złożenia rozprawy na dzień 16 (28) lutego 1869 roku.

— Tomasz Le Brun wydał zbiór swoich komedyi wierszem i prozą.

— P. Jan Kamiński b. nauczyciel szkół elementarnych, obecnie student Szkoły Głównej Warszawskiej ogłosił broszurę (druk K. Kowalewskiego w 12ce str. 35), p. n. „O sposobach uczenia czytać a w szczególności o metodzie doraźnego czytania.” Ważna to praca, wsparta doświadczeniem, zasługuje na uwagę naszych pedagogów, i szczegółowy rozbiór.

— Szkieców satyryczno-humorystycznych F. Kostrzewskiego, H. Pillatego i innych, p. n. *Mucha* wyszedł zeszyt VI, i obejmuje XIII szkieców.

— Lucyan Wrotnowski wydał rozprawę w Warszawie: „O potrzebie kodexu międzynarodowego dla stosunków prywatnych.” 1868 r.

— Nakładem Karola Wilda księgarza we Lwowie, wyszedł nowy poszyt dzieła Felicji Wasilewskiej: „Historja literatury polskiej, ofiarowana młodemu uczyćm się Polkom.” Zeszyt ten obejmuje złoty wiek literatury, epokę Zygmuntofską i początek XVII.

— W Krakowie wydanó: „Słownik wyrazów łacińsko-polskich. Praca to trzydziestoletnia dwóch zasłużonych doktorów: E. K. Skobla i A. Kremera; oraz broszury: 1). „O treści rzeźb wielkiego ołtarza w kościele N. M. Panny w Krakowie” przez prof. Władysława Żuszczkiewicza. (Dochód ze sprzedaży przeznaczony na powiększenie funduszu potrzebnego do wydania fotografii dzieł Wita Stwosza). 2). „O archiwum akt grodzkich i ziemskich b. województwa krakowskiego” E. Ekielskiego. 3). „O zachowywaniu zabytków przeszłości” W. Pola. 4). „O kościołach kolegiackich w Krakowie” przez zmarłego J. W. Smoniewskiego.

— Do najdawniejszych badaczy naszego ludu, należy *Pizański*, który w roku 1756 w wychodzącym wówczas w Królewcu tygodniku, podał ważną i zajmującą: „*Wiadomość o zabytkach pogańskich dochowanych u Mazurów*” Obecnie Dr. Toeppen dyrektor gimnazjum w Hohenstein, ocenił wartość pracy Pizańskiego, nieznaną nam dotąd. Należałoby, ażeby Oskar Kolberg, który tyle oddał już usług krajowej etnografii, zajął się przekładem całej pomienionej rozprawy.

— Nakładem i czcionkami Ludwika Merzbacha w Poznaniu w końcu r. z. wyszło dzieło w 2ch tomach, przez Ludwika Żychlińskiego: „Historja sejmów Wielkiego księstwa poznańskiego.” Początek ich rozpoczyna autor od r. 1815 czyli kongresu wiedeńskiego. Nakładem tegoż wyszedł: „Rys historyi polskiej” Miklaszewskiego: jest to przedruk znanego u nas oddawna dzieła: broszury p. n. „Dowód że Napoleon nigdy nie istniał.” Andersena *Improvizator* przekład Hieronima Feldmanowskiego (dwa tomy). Zbiór

powieści Pauliny Wilkońskiej; Adama Mickiewicza: Listy do pani Konstancyi i *Odpowiedź* na recenzją Kozmiana, przedstawiającą z dzieł poetycznych charakter Adama Mickiewicza i Zygmunta Krasińskiego, pod wyrazami: „Dwa bałwochwaltwa, dwa ideały.”

— Karól Libelt ogłosił broszurę p. n. „Złączenie kapitału z pracą.”

— Dr. filozofii, adjunkt chemii i professor technologii Rudolf Grünsberg, delegowany ze Lwowa, na wystawę paryżką 1867 r.: wydał obecnie w témże mieście dzieło (150 stronnic drobnym drukiem) użytecznie a gruntownie opracowane p. n. Szkoły techniczne, i złożył je, jako sprawozdanie do rady miasta Lwowa.

— W liście nowo zamianowanych przez cesarza austriackiego członków akademii sztuk pięknych, ogłoszonej w *Gazecie Wiedeńskiej*, czytamy pomiędzy takimi znakomitościami jak Kaulbach, L'Allemand, Bendemann, i nazwisko Jana Matejki. Tegoż artysty w sali Towarzystwa naukowego krakowskiego, wystawiony jest nowy obraz przedstawiający Zygmunta Augusta i Barbarę w zamku Radziwiłłowskim. Obraz ten znawcy zaliczają do szkoły realistycznej w najszlachetniejszym znaczeniu.

— Księgarnia w Lipsku E. L. Kasprowicza, rozpoczęła wydawnictwo: „Biblioteczki nabożeństw katolickich.” Ze zbioru tego przysły do Warszawy dwa pierwsze tomiki: „*Czyste westchnienie do Boga*” i „*O naśladowaniu Chrystusa*.”

— Kanonik Warmiński ks. Einhorn, znany z napisanego dawniej żywota kardynała Hozjusza, pracy opartej na dokumentach kapituły warmińskiej, umieszcza obecnie w wychodzącem od lat ośmiu piśmie: *Zeitschrift für Geschichte und Alterthumskunde Ermlands*, nowe studjum: „Marcin Kromer biskup warmiński, jako pisarz, polityk i książę kościoła.”

— Posągi Długosza, Borcka, Obiedzińskiego i Jana z Głogowa, mające zdobić front *Collegium Jagiellonicum* w Krakowie, wymodelowane zostały przez miejscowych rzeźbiarzy pp. Müllera, Wyspiańskiego i Gadomskiego.

— Na cmentarzu krakowskim ma stanąć pomnik ku uczczeniu zgasłego Warszewicza; zdobić go będzie popiersie z kararyjskiego marmuru. Pracę całą rzeźbiarską powierzono artyście Gadomskiemu.

— W Londynie w roku 1827 wyszedł: „Wybór poezyi polskiej” (*Specimen of the polish poets*) przez Bewringa. W nim oprócz dawnych od Jana Kochanowskiego poetów, w przekładzie udatnym szczególniej Wiesława K. Brodzińskiego, na końcu jest wzmianka o Mickiewiczu jako autorze ludowych ballad; w 32 lata to jest w r. 1859 Dr. Joaquim Gomez de Souza z Rio de Janeiro, wydał w Lipsku u Brockhauza z francuzkim tytułem i takąż przedmową *Anthologią powszechną*, w której oddział polski składa czterech tylko poetów: Mickiewicz, I. B. Zaleski, Słowacki i Gasiński; najwięcej tu ballad Mickiewicza.

† Dnia 20 maja r. b. w Dreźnie zakończył życie Ireneusz hr. Załuski znakomity nasz rzeźbiarz. Kształcił się w Rzymie pod Teneranım. Szczególniej się odznaczał w popiersiach kobiecych; wykonał kilka znanych piękności krajowych. W Paryżu znajdują się popiersia cesarza i cesarzowej austriackich, które u tego artysty sami zamówili. Są to najcenniejsze roboty dłuta zgasłego rzeźbiarza.

† Dnia 21 maja r. b. umarł w Warszawie w 63 roku życia, *Stanisław Wysocki* zasłużony tutejszy inżynier, b. inspektor główny dróg żelaznych w Królestwie Polskiem, i radca techniczny towarzystwa kolei żelaznej warszawsko-terespolskiej. Oprócz wielu rozpraw w swoim zawodzie, drukowanych po czasopismach naszych, wydał oddzielnie: „O robotach smołowcowych” (Warszawa 1838 r. z rycinami). Przed trzydziestą laty założył w Augustowskiem jedyną w kraju fabrykę smołowcu (t. j. asfaltu ze smoły roślinnej), która dotychczas istnieje.

† Dnia 31 maja r. b. umarł w Wilnie Alexander Zdanowicz zasłużony pedagog i autor wielu dzieł ważnych i pożytecznych w 60 roku życia. Nie wiek ani praca przerwała pasmo pięknego żywota, lecz cierpienia moralne. Z licznych prac literackich wymienimy tylko najważniejsze: „Rys chronologiczno-historyczny państw nowożytnych od V wieku do dziś dnia;” i małą książeczkę obejmującą dzieje Polski dla dzieci. Przez kilkanaście lat był współpracownikiem czynnym za redakcyi A. E. Odyńca „Kuryera Wileńskiego.” Niemały też miał udział w wydawnictwie „Słownika języka polskiego” nakładem Maurycego Orgelbranda ogłoszonego w Wilnie.

† W ostatnich dniach maja r. b. zakończył życie w Krakowie ksiądz Michał Mioduszewski, znany zbieracz pieśni pobożnych. Urodził się w roku 1787.

† Dnia 2 czerwca r. b. umarł w Warszawie Alexander Le Brun doktor medycyny, professor Szkoły Głównej Warszawskiej i b. dziekan wydziału medycznego tejże szkoły. Szczegóły biograficzne o zgasłym a powszechnie szanowanym mężu podała Encyklopedya Powszechna i pisma czasowe.



Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.

Maj. 1868.

	m.	°	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	753.320	27	9.944
Najwyższy barometr dochodził d. 14 o g. 10 r.	760.30	28	1.038
Najniższy — — d. 1 o g. 6 r.	743.63	27	5.648
Średnia dzienna zmiana barometru	2.273		1,008
Największa dzienna zmiana barometru d. 1—2 o godz. 6 r.	9.25		4.101
Średnia wysokość barometru jest wyższą o	4.134		1.833
od stanu normalnego z 42 lat poprzedzających	749.186	27	8.111
Średnia temperatura maja wynosi	+ 15 ^o .63 C.	+	12 ^o .50 R.
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.22		1.78
Największa zmiana dzienna temperatury d. 22—23 o godz. 10 r.	7.0		5.6
Średnia temperatura maja jest wyższą o	2.30		1.84
od stanu normalnego z 42 lat poprzedzających	+ 13.33	+	10.66
Termometrograf wskazał: Maximum: + 28 ^o .6 C. = + 22 ^o .9 R. d. 31 po poł.			
Minimum: + 1.0 „ = + 0.8 „ d. 7 rano.			

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 63.5 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 8.6 gramów na jednym mtrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejsza o 4.9 setnych od normalnej (68.4).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 37.9 mil. czyli 16.80 lin. par., mniej o 14.5 mil. czyli 6.43 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w maju spada (52.4 mil. czyli 23,23 lin. par.).

Dni pogodnych 11, napółpogodnych 14, pochmurnych 6.

- deszczu 7: (d. 1, 2, 17, 24, 25, 26 i 27).
- gradu 1: (d. 1).
- błyskawic i grzmotów 3: (d. 17, 25 i 27).
- błyskawic bez grzmotów 3: (d. 22, 25 i 31).
- wichrów 1: (d. 1).

Wiatr panujący zachodni, południowo-wschodni i północno-zachodni.

Maj b. r. był zupełnie pogodny, suchy i bardzo ciepły; średnia jego temperatura jest + 13,5 stop. R. o 1,8 stop. R. wyższa od normalnej a o 3,4 stop. jak w r. z. W pierwszych dziesięciu dniach miesiąca przy niebie napół pogodnym powietrze było suche i dość chłodne, następnie przy zmianie wiatru na południowo-wschodni, temperatura nagle wzrastać zaczęła i już do końca miesiąca z małemi wyjątkami dni były bardzo ciepłe i po części pogodne. W nocy z d. 27 na 28 przez parę godzin trwała silna burza, której towarzyszyły częste grzmoty i błyskawice i ulewny deszcz. Największe ciepło było + 22,9 stop. R. dnia 31 po południu; najmniejsze + 0,8 stop. R. d. 7 rano; największa zmiana temperatury dzienna 5,6 stop. R. przypadła z d. 22 na 23 podczas nowiu księżycy. Barometr przez cały miesiąc utrzymywał się dość wysoko i bardzo mało stan swój zmieniał; największa jego zmiana dzienna 4,10 lin. par. przypadła z d. 1 na 2 o godz. 6 rano. Deszcze padały rzadko, dwa razy jednak t. j. w d. 25 i 27 spadł deszcz bardzo obfity, ilość bowiem wody spadłej w tych dniach wynosi cztery piąte wody jaka spada z deszczu w ciągu całego miesiąca. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był całkiem pogodny; stosunek bowiem dni pogodnych, do napół pogodnych i pochmurnych w stanie normalnym jest jak: 5,8 : 13,2 : 12,0 gdy w b. m. stosunek ten jest jak: 11 : 14 : 6. Wiatr panujący był niezwykle zmienny; najczęściej wiał zachodni, południowo-wschodni i północno zachodni.

Przez cały miesiąc obserwowano plamy na słońcu; z początku widać ich było kilka na tarczy rozrzuconych, później jedną tylko.

W d. 12 niedaleko Semlina oberwała się chmura, w skutek czego 80 domów zniszczało.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle.....	stop 5 cali 3,6 n.m. polsk.
Wysokość wody największa dochodziła d. 1.....	stop 8 " 6 " "
" " najmniejsza " d. 31.....	stop 3 " 6 " "

DON CARLOS.

STUDIUM HISTORYCZNE.

Niepodobna Niepodobna mówiąc o Don Carlosie, nie wspomnieć krótko choćby o tragedyi Szyllera tegoż nazwiska. Tragedya - to albowiem, pieśń, legenda, słowem poeci podnieśli postać Carlosa ani wydatą historycznie, ani potężną indywidualizmem, do rozgłosu, jakim się cieszy obecnie. Mimowoli ciśnie się na usta zapytanie, czemu przypisać zajęcie się postacią tak upośledzoną fizycznie, moralnie i umysłowo, tak błado rysującą się na tle wielkich ówczesnych wypadków, tak prawie nikczemną pod względem organizacyi i samodzielnej woli; czemu przypisać zamiłowanie się genealogicznego Szyllera posunięte aż do całkowitego przeistoczenia charakterów? Odpowiedzi na to szukać chyba w indywidualizmie samego poety, którego duch szukał namiętnie epok historycznych, odzwierciedlających perspektywicznie choćby, najgorętsze marzenia, najroznościelsze poglądy filozofa na ludzkość i jej potrzeby. W wyobraźni Szyllera zolbrzymiała epoka, wiek, wiek XVI, i tak już sam przez się olbrzymi i niezwykle! Pierwszy raz albowiem społeczne kwestye wyradzają namiętności i zbrodnie, przestraszające często potwornością. Jakież nadzwyczajne wypadki, najdziwaczniejsze i najoryginalniejsze osobistości wyłamują się z tajemniczej otchłani nowo tworzącej się epoki, jakby chcąc zaznaczyć przejściowy swój pochód. Rozbudzony ruch letargicznie uśpionej myśli, wytworzył wielkości cnoty i wielkości zbrodni, wytworzył dziwactwa życia, religii i polityki. Prawdy

wydające się za nowe, wypowiedane na nowo zbudowanych kazalnicach, stwierdzano ogniem i mieczem, katuszą i ofiarą. Zasiedziały, równie ofiarami uświęcone stare prawo i stary dogmat, krwią pieczętował każdą piędź, której musiał ustąpić. Na takiej osnowie, nie dziw że poeta szukał natchnienia, szukał zaspokojenia najgorętszych pragnień i porywów; a jeżeli podniósł do potęgi tragicznej takiego karła jak Don Carlos, uczynił to raczej jako antitezę z zasadami ojca jego Filipa II, który najśluszniej zwać się mógł i może, przedstawicielem idei przekazanej tradycją i zasadami.

Historyczną zasłonę postaci Don Carlosa, uchylono w najświeższych czasach. Dziejopisarze albowiem spóźniejsi Filipowi II i późniejsi, nie zgłębiali krytycznie, pisząc kronikarskim zaledwie sposobem. Najnowsze dopiero badania, wsparte wynalezionymi dokumentami archiwów z Simaneas, korespondencją dyplomatyczną dworów: hiszpańskiego, wiedeńskiego i edyburgskiego, jakoteż listami Filipa II do księcia Alby i innemi, wyświeciły stan rzeczy, czyniąc możebnym jaśniejszy i nieomylniejszy pogląd. Lecz Szyllerowi nie chodziło o ścisłość, jemu chodziło o obleczenie w krew i ciało uniwersalno-postępowych swych poglądów, o wypowiedzenie potrzeb, trzy wieki temu tak samo jak dziś, żywo czującej ludzkości. Syn przeto Filipa II, burzący się przeciw jego władzy, musiał go pociągnąć i skłonić wybór, gdyż mógł w ten sposób dwie te postaci przeciwstawić sobie jako starcie się dwóch krańcowych idei. Ten był powód obrania bohaterem Don Carlosa, lecz później zmienił Szyller plan ten wraz z osobą bohatera. Zachodzi więc dwoistość planu. Według pierwszego chciał poeta przedstawić starcie się praw świata: konwenansu z miłością w zakresie familii panującej. (W dramacie „Intryga i miłość” starcie to polegało na różnicy stanów). To jedynie miał na celu aż do 7 czerwca 1784 r. Później, jak o tém dowiadujemy się z jego listu, zamyślał podnieść tragedją do znaczenia „wysokiej tragedyi” a cztery tylko charaktery (Don Carlos, Filip, królowa i Alba) miały wypełniać ramy. O Pozie jeszcze poeta nie myślał. Tęj dwoistości tendencyjnej dramatu, nie zaprzecza Szyller w swoich listach. (Briefe über Don Carlos). Oto co pisze w ósmym: „wielkie przeznaczenie całego państwa, szczęście ludzkiego

plemienia nie mogą pozostać prostym tylko epizodem, kończącym się dziejami miłosnemi." Zamyślał on również wyświecić haniebne czyny inkwizycyi. W tym celu musiał całkowicie przerobić pierwsze trzy akta, i zastosować je do nowego planu. W owych pierwotnych aktach, jakotóż i w dzisiejszych początkowych scenach, przebija się zupełnie inna idea, i zupełnie inna charakterystyka bohatera. Sam o tém pisze w następnych słowach: „powinny mi się udać charaktery: ognistego i wielkodusznego młodzieńca, dziedzica kilku tronów, królowej nieszczęśliwej z przyczyny przymusu swych uczuć, okrutnego, obłudnego inkwizytora i barbarzyńskiego księcia Alby." Lecz o Pozie jeszcze nie ma ani słowa. Dopiero gdy tenże zaświtał w wyobraźni poety, Carlos musiał zmaleć, zblaknąć, tak że nawet tragiczny los jego, staje się tylko jedną ze sprężyn, jednym z czynników do nowój tragedyi, mogącej być zatytułowaną: „Poza." Wszystkie powyżej wzmiankowane listy Szyllera o Carlosie, jasno nas o tém przekonywają. W nich broniąc Pozy od zarzutu odstępstwa w przyjaźni powiada, że ten *obywatel świata*, ten reformator, ten apostoł idei ogarniający całą ludzkość, nie mógł i nie powinien wyczerpnąć się w jedném takiem uczuciu, jakim jest przyjaźń lub miłość. Ostatnie przeto dwa akta, przeniknione są całkiem odmienną ideą. Idealizmem bowiem jest tutaj miłość Carlosa do matki a swój poprzedniej narzeczonej, realizmem zaś jest Filip i poczucie obowiązków matki niczem nie wzruszone. Do tej niejednorodności tak widocznej w tragedyi przyznaje się sam Szyller oświadczeniem, że po napisaniu trzech pierwszych aktów nie pozostawało mu nic więcej, jak tylko przystosować o ileby się dało, dwa drugie akta. Podziwiać więc tylko trzeba, że z nieuniknionej konieczności w budowie całego planu, wytworzyła się jednak tak znakomicie przeprowadzona artystyczna skończoność!

Niektórzy ze znakomitych niemieckich krytyków (Gervinus, Hinrichs) widzą w Pozie, Karola Moora podniesionego tylko stanowiskiem, zakresem i dążnością, i oczyszczonego z grzechów i błędów. Istotnie, szlachetność i wielkie frazesy Karola Moora ściśnione w „Zbójcach" pospolitým otoczeniem i brakiem odpowiedniej działalności, kto wie czy się nie odzwierciedlają w Pozie, mogącym gonić czynem po sze-

rokich przestworzach. Poznajmy jednak bliżej ten charakter, ażebyśmy ocenić mogli donośność, zalety i błędy koncepcji poetycznej.

Markiz Poza będąc jeszcze chłopcem Rodrygiem, zamiewał przymiotami umysłu i dumą swych rówieśników, a między tymi i Don Carlosa. Carlos kocha i czci Rodryga, poświęca się dlań nawet, bo wzięwszy raz za niego winę na siebie, ukarany był do krwi różgami; Rodryg nie przyznaje się do winy, przyrzeka tylko infantowi odwdziżyć to wtedy, gdy Carlos zostanie panem dwóch światów. Młodzieńskiemu Pozie kupiono krzyż, t. j. został rycerzem maltańskim. Wiadomo, że zakonu tego mistrze równymi byli cesarzom i królom, a jego członkowie winni byli posłuszeństwo swemu jedynie mistrzowi; nie dziw więc, że młody Rodryg dumny i hardy z natury, zostawszy rycerzem maltańskim, (t. j. takim który nie jest związany żadnymi związkami: ani rodzinnymi, ani państwowymi, ani kościelnymi i zarazem takim, w którego powołaniu leży: życie swoje każdej chwili narażać i poświęcać) nie dziw, że rośnie coraz więcej samowiedzą i przekonaniem o własnej sile. Wszystkie też okoliczności zewnętrzne przyczyniają się do wzmocnienia w nim tego przekonania. Oto już jako 18-letni młodzieniec przy obronie Malty (1565) dokazuje cudów waleczności, nawet taki Alba mówi o nim z uwielbieniem; z Henrykiem II królem Francji łamie kopię zwycięzko, trzy razy tryumfując za kolor swój damy, Elżbiety francuzkiej. Po takich zaś świetnych czynach, odwiedzał spokojnie akademię w Alkali, gdzie rozwinięty już wysoko swój umysł wznieść pragnął do wysokości ducha stulecia. Potem puścił się w podróż po różnych krajach Europy, gdzie mimowoli nasiąknął ideami reformatorskimi, ideami świeżo co wykwiłtłymi z łona wypadków. Powraca więc do Hiszpanii z silnym postanowieniem zamienienia w czyn tychże idei, do czego mu się najstosowniej wydają podległe Niderlandy. Związek młodzieńczych czasów z następcą tronu, uśmiecha mu się jako środek, jako szczebel po którym pnąć się będzie można. Już ze samego powitania się z infantem potrzeba wnioskować (odnośnie do dalszego ciągu dramatu), że przyjaźń tegoż ma tylko służyć Pozie w jego celach; lecz że nie jest owém boskiem uczuciem, przenikającym na wskroś dwie

dusze. Poznać to choćby z tego, że Poza zachęca miłość szaloną i nierozsądną Carlosa do matki, że mu sam radzi opór i knowanie przeciw ojcu; jedném słowem, Poza jako entuzyasta polityczny a w celach swych ostatecznych kosmopolita, nie ma tych skrupułów, które powodują każdym innym szanującym świętość węzłów rodzinnych. I dziwna zaszła teraz przemiana, bo Poza kocha Carlosa dla swych celów politycznych, a Carlos kocha politykę dla swych celów miłosnych. Poza żyjąc niepodległe, nie chce przyjąć żadnego urzędu, żadnej pracy. Sam mówi: „Ja miałbym się poniżyć i dłużej zostać, gdy artystą być moge!”

A jednak mówi także: „Kocham ludzkość, jestem obywatelem tego świata—jestem obywatelem tych, którzy przyjdą” (którzy się urodzą). Czyż nas nie rażą cokolwiek takie zdania? Czyż to się nie wydaje tak, jak żeby ktoś obiecując żyć dla przyszłości, nie chciał nie spełnić dla terażniejszości, lub jak żeby ktoś pyszniąc się miłością dla *ludzkości*, nie chciał nie zrobić dla *ludzi*. Ogół ludzi nie obowiązany głębiej patrzeć, nazwałby to poprostu egoizmem.

Patrzmy tylko, do czego doprowadził pozę ten wygórowany indywidualizm, to entuzjazmowanie się przyszłością ludów, a według wielu: ten egoizm. Oto podburza syna i żonę przeciw ojcu i mężowi, popiera miłość syna zakrawającą na kazirodztwo, mało brakowało iż nie zabił księżniczki Eboli, krótko mówiąc: rozprzega wszystkie węzły, jakie łączą ojca z synem, męża z żoną, człowieka z człowiekiem. Prawda, że cel jego urzeczywistniony kiedyś, wielkim będzie i wspaniałym, ale środki doń prowadzące niemoralne są i nienaturalne; wielkie zaś dzieło odrodzenia niemoralnymi środkami posługiwać się nie może.

Jeżeli mimo to z całą sympatją śledzimy każdy krok Pozy, to dlatego że wiemy, iż to złe które czyni, czyni jednak w najszlachetniejszym celu. W czemże więc wadliwą jest ta postać? Oto w tém, że idealizm którego Poza jest przedstawicielem, okazuje się zbyt przesadzonym, w ostatnich zaś chwilach rozwiązania, pozbawionym konsekwencji i energii do tego stopnia, iż zwyciężający realizm prawie się słusznością nazwać może. Ta przesada (np. rozmowa pierwsza Pozy z Filipem) i niekonsekwencja są też powodem, że nawet śmierć jego nie budzi zamierzonego współ-

czucia, bo śmierć ta wydaje się jeszcze niekoniecznie nieuniknioną, niekoniecznie potrzebną. Poza albowiem od samego początku stąpa jak bohater, jak pół-bóg nieomylny, pewny i zaufany w swoje siły i swoje obmyślane plany, aż tu nagle zagmatwany w intrygę, paść musi i pada jak najzwyczajniejszy człowiek. Niema w tém konsekwencyi, którą łatwo było wprowadzać i ustalić najłżejszém choćby zaznaczeniem (w początkowych aktach) *ślabości ludzkiej*, od której nikt, geniusz nawet nie jest wolen.

Przypatrzmy się teraz robocie poetycznej Don Carlosa. W pierwszych latach swój młodości aż do owej uroczystości w Toledo, był Carlos śmiałym, ognistym młodzieńcem, marzącym o odbudowaniu złotego wieku w Hiszpanii. *Myślał* wiele, co w niepokój wprawiło Dominga. Lecz to zmieniło się teraz, a przyczyną zmiany jest straszna, paląca pierś, tajemnica wyjawiona Pozie w tych słowach: „kocham moją matkę.” Wié on, że prawa, zwyczaje i porządek natury potępiają taką miłość, wié on że doprowadzi go ona na rusztowanie lub do szaleństwa; ale wyrzec się jéj nie może, bo zakorzeniła mu się w sercu jako: *zmysłowa namiętność*. Onato odbiera mu wszelką wolę, wszelką myśl inną nie tyczącą się ukochanego przedmiotu. Nie obchodzą go: wyswobodzenie Flandryi, ani przeszłe marzenia, wstępuje „chory sercem” w działanie dramatu. Zna on swoją chorobę i mówi: „ta straszna miłość wyrwała mi wszystkie kwiaty ducha.” Zachodzi tu wielkie analogiczne podobieństwo między nim a Hamletem. I Hamlet uważa swoje ciągłe reflexy, swe długie namysły za chorobę, niepozwalającą mu spełnić kary na mordercach swego ojca. I Hamlet nie może się pozbyć téj choroby, chociaż wié ile mu ona przeszkadza w decyzyi. Tak samo jak Domingo gani smutek Carlosa, gani także ojczym Hamleta jego ponurość. Ani Poza nie może Carlosa otrząsnąć z fatalnej namiętności, ani duch zmarłego ojca nie może wyrwać Hamleta z zadumy. Narzeczcie, jeżeli Hamlet zabija morderców swego ojca, to raczej widoczna tu ręka Opatrzności niepozwalająca zbrodni ujść bezkarnie; ta sama ręka która zniewalając Carlosa do przewodniczenia Niderlandom chociaż bezowocnie, wyzwała je wreszcie inną drogą i w innym czasie. Hamlet i Carlos to jeszcze mają wspólne, że obaj pod naciskiem

łoczącej ich namiętności wpadają w ostateczność. U Carlosa miłość zabija myślenie, u Hamleta myślenie zabija miłość. Obaj więc jako chorzy, nie podołali swemu zadaniu. Atoli wielka jest różnica w ostatnich chwilach każdego; Hamlet albowiem, wiecznie rezonujący i roztrząsający, potokiem słów okraszający każdy zamiar, każdą myśl wszczętą, kończy wreszcie słowy: „reszta jest milczeniem.” Taka cyniczna ironia jest zarazem strasznym oświadczeniem zwątpienia. Carlos przeciwnie oczyszcza się ze swęj namiętności, i jeżeli nie spełnia wyższego zadania swego życia, to winę złożyć tylko trzeba na okoliczności. I właśnie w tém leży jego kara, że lubo poprawiony i oczyszczony moralnie, przedsięwziętego zadania jednak spełnić nie zdołał.

Poeta stworzył Carlosa istotą szlachetną ale miękką, tęskniącą i potrzebującą wiecznie, niby powój oparcia. Naturze, która go tak usposobiła pomogło jeszcze wychowanie, pozostawiające Carlosa w ciągłym osamotnieniu. Psychicznie więc da się wytłumaczyć wpływ, jaki Poza wywierał nań do ostatka.

Król Filip jest w tragedyi—rzec można—najgłówniejszą figurą, jużto dla swego artystycznego wykończenia, jużto jako przedstawiciel historycznej myśli, przenikającej ożywczo całą intrygę dramatu. Jako wykonawca polityki klerykalnej jest zarazem—że się tak wyrażę—królem-kapłanem. (Tembardziej należy mu się ten tytuł, iż ówczesni protestantcy nawet książęta nadawali sobie charakter kapłański; niemieccy zwali się: „pierwszymi biskupami”). Doświadcza on tragicznego losu za to, że był raz w życiu w zasadach swoich niekonsekwentnym, że będąc: „ziemi bogiem” zapragnął raz być człowiekiem. Dotknięty w uczuciu małżonka i ojca, ucuwa po raz pierwszy że jest tak samo słabym śmiertelnikiem, i dlatego szuka człowieka któryby go oświecił, któryby balsam pociechy wlał w jego serce. Idzie on dalej—bo kocha po raz pierwszy człowieka. Sam mówi: „ten młodzieniec był dla mnie pięknie wschodzącym słońcem.” Dlatego później pali go zazdrość nienawistna na samą myśl, że Poza żył i umarł nie dla niego, ale raczej dla infanta; ztądto ból jego rozpaczny i wściekły, ztąd krzyk rozdzierający: „oddajcie mi umarłego, niechaj o mnie *myśli inaczej;*” dlatego wreszcie następuje w chwilowym

uczuciu jego reakcyą, której wyrazem musi być stokroć większa jeszcze niż wprzód nienawiść. Zawiedziona wiara staje się podwaliną nienawiści, niesromającej się zaprzysięgnąć, że i: „w dziesięciu stuleciach nie będzie nikt się na mnie na tém zgliszczu—ludzkość zapłaci mi za tego Pozę.”

Streszczenie tych trzech głównych charakterów, daje mniej więcej poznać ukształtowanie całej tragedyi, a zarazem cel ostateczny poety. Zdawałoby się, sądząc po rozwiązaniu że go nie osiągnął, bo najszlachetniejsi padli zwyciężeni a światło prawdy zagasło, bo przedstawiciele wielkich myśli zbłąkani namiętnością lub osłabli na duchu „złamali się w tój krzyżowój drodze, bo siła brutalna (potęga inkwizycyi) zwyciężyła, czyli realizm przeważył idealizm. Tak jednak nie jest, i to właśnie dowodzi potęgi ducha Szyllera. Ostatnie albowiem wrażenie, to jakieś nieokreślone tchnienie poetyczne, jakiś aromat duchowy, jakiś pocieszający szept modlitwy ochładzający wzruszoną duszę, wskazujący jój w dali jeżeli nie zupełnego tryumfu niebo, to oazę spoczynku, albo przynajmniej nadzieję, iż wszelka walka podjęta tu na ziemi w imię szlachetnych idei, zakiełkuje kiedyś w piersi całej ludzkości. że cierniste drogi jakie człowiek przechodzi w imię wyższej, nieśmiertelnój zasady, znaczą dyamentowemi głoski pochód świetny i zwycięzki ducha nad materją!

I.

WIEK DZIECIĘCY I WYCHOWANIE DON CARLOSA.

Filip infant hiszpański brał ślub w Salamance z kuzynką swoją Maryą córką Jana IIIgo króla Portugalii i Katarzyny siostry Karola Vgo d. 12 listopada 1542 r. W trzy lata potem (1545) pisał Filip do swego ojca: „Wczoraj szczęśliwie z pomocą Boga, powiła księżniczka (żona) syna. Poród trwał dni dwa.” Młoda matka, w trzy dni po tak bolesném powiciu, umarła. Wielki komandor Kastylji doniósł Karolowi V o pogrzebie w tych słowach: „Pogrzeb odbył się z należną uroczystością i z żalem ogólnym. Jego wysokość (Filip) zamknął się w klasztorze Abrojo... Śmierć

księżniczki wywarła w Portugalii wielkie wrażenie." Śmierć tak nieprzewidziana i nagła, wstrzymała przygotowania do uroczystości obchodzonej w dzień urodzin następcy tronu. Filip nakazał odbyć chrzest syna bez żadnej okazałości. Z poza murów klasztornych udzielił sam rozporządzenia najszczegółowsze. I tak nakazał aby nadano dziecku imię dziada: Carlos, aby rodzicami chrzestnymi byli biskup Leoński i don Alejo de Meneses pierwszy ochmistrz księżniczki, matką chrzestną Camarea magor; (na chrzcie świętym zaś, aby celebrował biskup z Kartaginy Juan Martinez Siliceo, ten sam który niegdyś pierwszy witał zmarłą księżniczkę na ziemi hiszpańskiej). Chrzest miał miejsce w Valladolid.

Mylą się niektórzy historycy, utrzymujący, że wychowawcy Carlosa byli to ludzie niegodziwi, usiłujący zepsuć go umyślnie; przeciwnie, są na to wszelkie dowody, że dziad i ojciec Carlosa najtroskliwiej starali się o wyborowe dlań wychowanie i wyborowych nauczycieli. Z przesadzoną niemal ostrożnością dobierano dlań otoczenia, pilnie bacząc ażeby miał dobry tylko przykład i zdrowe zasady. Oddano go pod surowy zarząd. Nauczycieli wzięto z grona ludzi ówczesnie najuczciwszych i najznakomitszych, ojciec zaś i dziad nieustannie, drobiazgowo prawie dopytywali się o postępy Carlosa w nauce. Leżało to w tradycyi królów Hiszpanii dobierać za nauczycieli dla swych następców ludzi nauki, powagi, i piastujących zwykle jakąś wysoką godność kościelną. I tak: *Adryan z Utrechtu*, późniejszy papież *Adryan VI*, był nauczycielem Karola V, *Siliceo* arcybiskup toledański i prymas państwa był nauczycielem Filipa IIgo. Zaledwie więc Carlos dziewiąty rok skończył, naznaczył mu ojciec nauczycielem języków i literatury sławnego filologa *Onorato Juan*, późniejszego biskupa, a wreszcie za gorącym wstawiennictwem wdzięcznego Carlosa, późniejszego kardynała. W chwili gdy Filip wyjeżdżał zawrzeć powtórne śluby małżeńskie z Maryą Tudor (1554), doręczono Onorato'wi własnoręczny list Filipa, kończący się w tych słowach: „Powierzam ci pieczę postępu jego (Carlosa) w ciotach i naukach, ufny będąc że godnie odpowiesz tak ważnemu stanowisku." Kapelan Filipa imieniem Fray Juan de Munatones mianowany został równocześnie „powta-

rzającym łacinę” z młodym infantem, pierwszy kapelan Filipa Pietro de Castro, biskup z Salamanki miał nauczać teologii, nauki zaś prawa w ogóle i prawa cywilnego: Dr. Sendero, radca Karola Vgo, Dr. Michał Terza, rządcą Katalonii, i Dr. Franciszek Minciana, jeden ze sędziów trybunału cesarskiego.

Zarząd domu infanta poruczono naczelnie Antoniemu de Rojas, potomkowi jednej z najstarszych rodzin Hiszpanii. Po jego rychłej śmierci oddano tenże urząd bratu księcia Alby imieniem don Garcia Toledo, cieszącemu się zasłużonym szacunkiem. Drugim ochmistrem Carlosa i zarazem sędzią jego dworu był don Hernan Juarez, corregidor Grenady i radca królewski, jeden z najzaczniejszych ludzi owego czasu, występujący w smutnym życiu Carlosa jako jego anioł pocieszyciel.

Pierwszym koniuszym mianowano Luis Quijada niegdyś nauczyciela Juana d'Austria, (syna naturalnego Karola V). Don Diego de Aenna, don Gomez de Sandoval hrabia Lerma, (Lerma w tragedyi Szyllera jest rówienikiem Filipa), don Rodrigue de Mendoza i wielu innych młodzieńców, potomków pierwszych rodzin, otaczało infanta jako jego szambelani i przyboczni; urząd jałmużnika pełnił Francesko Osorio, szatnemi zaś i strażnikami klejnotów byli kolejno: Garcie Alvarez Osorio, Estever Lobon i Diego de Olarte. Przytaczamy tu dla tego te nazwiska, iż niektóre odgrywają ważną rolę w przyszłym życiu infanta, głównie zaś dlatego ażeby wykazać, z jaką pieczołowitością i baczeniem dobierano ludzi mających składać orszak przyszłego króla. Wszyscy wybrani cieszyli się powszechnym szacunkiem i dobrą imieniem; w ten sposób więc chciano się zabezpieczyć od możności złych wpływów. Baczenie to stwierdza Karol Vty listem do Antonia Rojas: „polecam ci nadewszystko, pisze, ażeby trzymać infanta na uboczu.” Filip zaś w liście do don Garcie: „Ostrzegam ażeby zwracać baczną uwagę na tych, którzy się zbliżają do księcia.”

Tém więcéj zasługuje na uznanie ta troskliwość Filipa o najmniejsze szczegóły wychowania syna, iż był on podczas pierwszych jego lat dziecinnych prawie ciągle nieobecny. Mimo to ochmistrze i nauczyciele musieli najregularniéj i najszczegółowsze posyłać sprawozdania Filipowi i jego oj-

cu, na które ci z tąż samą punktualnością odpowiadali, udzielając rad swoich i spostrzeżeń. Listy jakie pozostały z rzeczonej korespondencyi, najwyraźniej dowodzą, że ani interesa tak ogromnego państwa, ani troski panowania pochłaniające myśli i czas, nie przerwały ani na chwilę tego ciągłego baczenia na postępy przyszłego następcy tronu. Tak naprzykład Filip w cztery miesiące po zawarciu małżeństwa z Maryą Tudor pisze z Londynu do nauczyciela swego syna: „Z odebranego listu twego z dnia 25 (1554) dowiaduję się, żeś rozpoczął czytanie z infantem. Spodziewam się że je tak poprowadzisz, iż infant odniesie z tego korzyść i przyjemność.” Następnego roku pisze znów dziad infanta do jednego z ochmistrzów: „Cieszę się z wiadomości że jest chętny (Carlos) do pracy, i żeście go włożyli w akuratny tryb życia. Uważam te wasze starania, jako zasługę osobistą. Jakkolwiek ufam waszjej gorliwości i baczności we wszystkich sprawach, polecam wam atoli, ażebyście dołożyli wszelkich trudów celem ułagodzenia go i umiarkowania, i ażebyście go nie puszczali tak wolno, jak o ile słyszę był poprzednio. Uczynicie co będziecie uważać za stosowne, atoli przedewszystkiem oddalajcie go od kobiet.” W roku 1556 pisze Filip z Hampton-Court: „Cieszę się z nowin udzielonych mi względem nauk mego syna. *Nie ma rzeczy, któraby mi mogła sprawić więcej radości.*” Co więcj, Filip skąpy z natury, szczerze wynadgradza wychowawców swego syna; w tym bowiem czasie dostaje Onorato oprócz innych gratyfikacyi jeszcze 2000 dukatów stałej pensyi. Filip II wstąpiwszy na tron (po abdykacyi Karola V) a Karol V z za murów klasztoru Yuste nie przestają zajmować się najszczerzej postęпами infanta.

Aż do roku 1558 listy sprawozdawcze nauczycieli, wyrażają zadowolenie z nauk i postępowania królewicza; lecz począwszy od tego roku ton listów się zmienia: wprawdzie jałmużnik Osorio śle ciągle listy z szumnemi pochwałami, lecz don Garcie i Onorato piszą już inaczej. Pierwszy żali się że infant mimo usilności nauczycieli nie postępuje w naukach, przyczém nie skutkują ani prośby ani surowe napomnienia. Prosi więc króla, ażeby z infantem sam się widział i to *bezwzględnie*; prosi o to gorąco i kilkakrotnie: widocznie przestraszony jest nałożoną na siebie odpowiedzialno-

ścią. W końcu listu przestrzega króla przed fałszywymi raportami „pisanymi przez ludzi, którzy zapewne tak infanta nie znają jak on.” Miał tu na myśli Osoria, który wiecznie wszystkie swe listy kończył jedną utartą formułką: „Jego wysokość utrwała się w cnocie, dobroci, religijnych zasadach i rozumie, tak, iż nic nie pozostaje do życzenia w tym względzie Waszj królewskiej mości.” Język to pochlebcy dbałego o własne jedynie korzyści. Dwa razy tylko szerzej się rozwodzi tenże o infancie, i to z dość dziwnych powodów: pierwszy raz, gdy wychwala jego nadzwyczajną pobożność i skruczę, jakie okazał przy budującym całopaleniu heretyków; drugi zaś raz gdy infant posłał go do margrabi Astorya, jako teścia Beatrycy córki księcia Alby z powinszowaniem szczęśliwego jej rozwiązania, i z dodaniem uwagi, że dopóki syn margrabiiego a mąż Beatrycy nie przeprosił zagniewanego własnego ojca, dotąd żona jego nie mogła zostać matką. Szczególna to uwaga czternastoletniego królewicza, a szczególniejsze może jeszcze sprawozdanie.

Za to ze słów Onorata i Garcyi najczystsza wieje prawda, połączona z troskliwym niepokojem. Niepokój ten wzrósł, skoro przyłączyły się doń obawy o zdrowie Carlosa; zapadł on bowiem na febrę trzydniówkę, wówczas jeszcze niezbyt silną, lecz z czasem wysoce rozwiniętą i skomplikowaną.

W kilka miesięcy pisze znów Onorato do Filipa II list pełen smutku i zwątpienia, a tém większe czyniący wrażenie, że brzmi tajemniczo, mimo ostrożnych i zwięzłych frazesów. Znów zaklina w nim prawie króla, aby osobiście przekonał się o stanie rzeczy, prosząc na końcu o przebaczenie za śmiałość doniesień (?) i o *spalenie* listu „gdyż zamiarem moim było, abyś go tylko Wasza królewska mość czytał.” Równocześnie głucho wieści rozeszły się o charakterze infanta; u dworu poczęto się dziwić szczególnym i dziwacznym jego objawom. Wprawdzie arcyksiąże Maxymilian (późniejszy cesarz niemiecki) krewny Filipa II i siostra tegoż Joanna, wdowa po księciu portugalskim, ustanowieni przez króla regentami w czasie jego nieobecności, nic nie wiedzieli o tej zmianie usposobienia Carlosa; ale nie można się temu dziwić, zważywszy, że pierwszy zanadto był zajęty sprawami państwa, Joanna zaś kobieta osmutniała i dziwaczna, prawie nie wy-

chylała się ze swój komnaty. Trudność było zresztą wyrobić sobie jasne zdanie o charakterze Carlosa, samym nawet jego wychowawcom. Przechodził on bowiem często z łagodnego, otwartego usposobienia to w nagłą niepohamowaną gwałtowność, to w czyny okrucieństwa zdające się być wynikiem napadu obłąkania. Niektórzy historycy oskarżają już Carlosa w téj epoce wprost o dzikość. *Strada* np. opowiada, że się zdarzało często na polowaniu, iż przyniesionym żywym zającom, ucinął łby, pojąc się widokiem ich drgającego konania; toż samo potwierdzają ambasadorowie obcych dworów w swoich listach.

Inni dodają, że gdy raz ukąsiła go w palec oswojona jaszczurka którą drażnił, w najwyższym gniewie ugryzł jęj łeppek własnymi zębami. Postępki te zdawały się wskazywać w Carlosie już w dzieciństwie usposobienie gwałtowne i skłonności przewrotne. Atoli trzeba je raczej uważać za przypadki chwilowego naruszenia umysłu, aniżeli za wrodzone okrutne usposobienie. Są bowiem na to dowody, że Carlos miał dobre serce i był szczerym i otwartym. Wszyscy jego słudzy byli doń bardzo przywiązani, i on też często chętnie ich wynadgradzał. Tak np. ubogiemu swemu alka-dzie, który nie miał za co wyposażyć córek, napisał następny rewers: „Przyrzekam doktorowi Juarez wypłacić 10000 dukatów dla jego trzech córek, *skoro tylko będę w stanie.*” Pojedyncze przeto wybryki, jakich się dopuszczał, nie mogą stanowić zasadniczych rysów prawdziwego jego charakteru, nie są one złemi jego *przyzwyczajeniami*, ale raczej *początkami* przypadkowemi osłabionego umysłu. Wątpić jednak trzeba, czy te przypadkowe objawy choroby umysłowej ukształtowały się już w tak wybitne znamiona, iżby wierzyć można (jak to niektórzy historycy twierdzą), że Karol V w przejeździe po abdykacyi do ostatniego swego schronienia w r. 1556 widząc Carlosa przez dni piętnaście, miał się dopatrzeć w nim strasznych symptomatów dziedzicznej choroby (matka Karola V była obłąkaną), ciężaczej na jego plemieniu jakby przekleństwem; Infant miał bowiem wtedy dopiero jedenaście lat, i nie dał jeszcze żadnego powodu do podobnych przypuszczeń.

W dniu 21 maja 1559 r., dniu Śtej Trójcy, tak zwana święta Inkwizycya przygotowała widowisko dla ludu i dworu: widowisko całopalenia innowierców. Według praw edyktu,

rejentka Joanna i Carlos musieli być obecnymi. Wystawiono więc estradę na placu Valladolid, na wprost rusztowania i stosu. O godzinie 7ej rano nadszedł orszak królewski, rejentka weszła na estradę, przy niej szedł Don Carlos i tłum wysokich dygnitarzy państwa, jakoteż wyższego duchowieństwa. W tej chwili przyprowadzono rejentce jakieś dziecko nieznanne, które ona nader mile przyjęła, nazwawszy bratem i „Jego Wysokością.” Był to syn naturalny Karola V, późniejszy sławny Juan d’Austria. Poczem przedstawiła go Carlosowi, lecz Carlos urażony że komuś oddają honory jemu dotychczas tylko należne, przywitał się z nim bardzo zimno, z przykrością znosząc jego obecność przy sobie. Tymczasem urzędnicy inkwizycyi, otoczyli wkoło penitentów przybranych w dziwaczne i pogrobowe kostiumy: było tychże trzydziestu. Najznacniejszym był Cacalla, spowiednik cesarza, jeden z najwymowniejszych kaznodziei swego czasu. Tuż obok niego szło kilku jego braci, za nimi niesiono kości ich matki, Leonory do Virezo, które wygrzebano umyślnie na to, ażeby je spalić za karę iż wydały takie dzieci wyrodne. Było także kilka zakonnic bardzo młodych, i bardzo pięknych, grzesznych według wyrażenia współczesnego kronikarza: „rozszerzaniem przeklętej nauki” (luterskiej). Piętnaście osób miało być zaraz spalonych, drugich piętnaście skazanych na wieczne więzienie. Gdy już wszystko było gotowe, arcybiskup sewilski, zbliżył się do tronu. Rejentka i Don Carlos powstali, a wyciągnawszy rękę po nad krucyfix, powtórzyli razem te uroczyste słowa: „Przysięgam jako książę katolicki, użyć całego mojego wpływu przez całe życie, na obronę, zachowanie i zwiększenie wiary katolickiej, kościoła świętego apostolskiego rzymskiego, na ściganie heretyków i apostatów, jej nieprzyjaciół, i na wspomaganie skuteczne świętej inkwizycyi, ażeby heretycy i burzyciele wiary katolickiej karani byli według kanonów apostolskich, i to bez żadnego wyjątku i bez żadnej różnicy między osobami.” Sekretarz inkwizycyi powtórzył tę przysięgę ludowi. Poczem arcybiskup zawołał: „Niechaj Bóg ochrania Wasze wysokoście i Wasze królestwa!” Penitentom odczytano wyrok i oddano ich władzy świeckiej.

Cacalla, który miał być pierwszy spalony, struchlały błagał o życie. Zapomniał że odstępsem swoim stworzy-

wszy adeptów, powinien był więcej okazać godności w tej ostatniej chwili. Zwróciwszy się do swego ucznia Herreque-lo usiłował go nawrócić, lecz nadaremnie: ten jeden pozostał mimo najsroższych mąk niewzruszonym. Cacalla swoim lamentem uzyskał tyle tylko że go wprzód uduszono, zanim go rzucono na stos; inni skazani okazali skruchę, więc ich nie palono żywych: spółczesny kronikarz przyznaje, że to był raczej strach niż skrucha.

Auto-da-fé ukończyło się o piątej wieczorem, a więc trwało 10 godzin. Przez dziesięć godzin paśli oczy swe książęta, wielcy panowie i piękne damy tym okropnym widokiem. Przez dziesięć długich godzin słuchał błądy, wąty, młodociany Carlos rozpaczliwych krzyków, rozdzierających jęków, patrzył na krew i łzy, patrzył na barbarzyńskie męczarnie, niby na duch wieku unoszący się z płomieni. Co myślał, co czuł wtedy, jak pojmował tę expiację, niewiadomo; świadkowie naoczni milczą: lecz nie mogło to nieoddziać szkodliwie, na jego słaby już z natury umysł.

II.

POWRÓT FILIPA II. — JEGO TRZECIE MAŁŻEŃSTWO. —
ELŻBIETA VALOIS. — UROCZYSTOŚĆ NASTĘPCY TRONU.

Filip II owdowiawszy po Maryi Tudor, zawiadomił stryja swego cesarza Ferdynanda o blizkim swoim powrocie. Istotnie téż d. 6 września 1559 r. przybył do Valladolid. Zaraz na wstępie obdarzył syna na znak swój łaski orderem Złotego Runa, i na znak nie mniejszej łaski dla św. Inkwizycyi nakazał przyśpieszyć nowe auto-da-fé, które się téż odbyło w październiku, zamiast w przyszłym maju. Trzy tylko zginęły ofiary, z godnym podziwu mężstwem. Ułatwiwszy się z najważniejszymi sprawami polityki, pomyślał o trzeciem swoim małżeństwie.

Trzeba jednak wiedzieć poprzednio, jakim zbiegiem okoliczności przypadła mu za żonę *Elżbieta de Valois*, która była przedtém zaręczoną z infantem. Po sławnych zwycięztwach pod *Saint-Quentin* i *Gravelines*, które utorowały pokój zawarty w *Cateau-Cambresis*, dwa państwa zawierają

jące traktat pokoju, postanowiły wzmocnić silniejszym węzłem dom francuzki i austryacki. W tym celu przeznaczyły Elżbietę córkę Henryka II francuzkiego, Don Carlosowi. Filip zamyślał naówczas ożenić się z Elżbietą królową Anglii. Lecz ta zanadto dobrze pamiętała niezadowolenie z jakim lud i dwór Anglii patrzeli na Filipa męża Maryi Tudor jej siostry, zanadto dobrze znała nienawiść Anglii do politycznych i religijnych idei hiszpańskiego księcia, zanadto wreszcie hardą była i dumną, ażeby chcieć pęta nałożyć na siebie dobrowolnie. Potęga atoli dworu austryackiego była wówczas tak wielką, że nie śmiała wręcz odmówić synowi Karola V. Zwlekąła przeto tak długo, dopóki nie wzmocniła się parlamentem i przywiązaniem ludu; lecz nawet wtedy gdy się już czuła ustaloną na tronie, umiała odgrywać komedję, aż do ostatniej chwili. Chciała może oszczędzić miłość własną Filipa, dość że na wiadomość o nowém jego staraniu się o rękę księżniczki francuzkiej, udała przed ambasadorem hiszpańskim księciem Feria wielki gniew, w który jednak nikt nie uwierzył.

Tak więc Filip nie mogący już rachować na Anglię, zamyślił ożenić się z narzeczoną syna swego. Wkrótce książę Alba zaślubił księżniczkę w Paryżu przez prokurację. Księżniczka kilka jeszcze miesięcy pozostała we Francyi, gdyż Filip zatrzymać się musiał w Niderlandach. Dopiero 3 sierpnia 1559 r. nakazał kardynałowi Mendozie, aby wyjechał za granicę naprzeciw Elżbiety. Król Franciszek II francuzki, Katarzyna medycejska i król Nawarry odprowadzali młodą królowę do Bayonny, w Bayonnie oczekiwali posłowie hiszpańscy, którzy jej towarzyszyli do Guadalajary, gdzie się znajdował król Filip. W pałacu księcia Infanta odbyły się rzeczywiste zaślubiny (1560); Don Carlos mimo febry był obecnym jako jeden ze świadków ślubu swego ojca. Elżbieta ujrzawszy poraz pierwszy Filipa II, miała mu się przypatrywać tak długo i tak uporczywie, że urażony król wykrzyknął: „Czy upatrujesz na mój głowie siwych włosów?” Nie była dziwną ta ciekawość 15-toletniej kobiety, na widok 33-letniego małżonka.

Wielu pisarzy i poetów opowiadało tę pierwszą chwilę widzenia się Don Carlosa z młodą swą matką. Miała to być dla obojga chwila elektryczna, chwila nagłej i zobopól-

něj miłości, mającej się skończyć tak tragicznie. Otóż tu zaraz można się przekonać, jak dalece często powieść czy poezya odskakuje od prawdy historycznej. Carlos bowiem w dzień ślubu swego ojca miał dopiero lat 14, był brzydkim i zanadto upośledzonym moralnie i umysłowo, aby był zdolnym nie już natchnąć piękną kobietę miłością, ale ją samemu uczuć. Elżbieta podrzędną zawsze rolę odgrywała w życiu Carlosa. Słodka, łagodna i bojaźliwa z natury, pędziła życie cicho i samotnie, i zgasła wreszcie pozostawiając tylko za sobą wspomnienie szybko się zacierające: jej cnót i wdzięków. Postać jej tchnie wielką poezyą, tak jak każdej młodej, pięknej kobiety zgasłej w pośrodku smutnego życia, jak każdej królowej, która na wielkość tego świata patrzy z melancholijnym i słodkim uśmiechem. *Szyller* potrzebował ją tylko skopiować aby stworzyć postać prawdziwie poetyczną. Życie jej wzbudzało ogólny szacunek ludu i dworu, wszyscy historycy na to się zgadzają. Przywykła do owego rozkosznego życia Francyi, za którym tak wzdychała z więzienia Marya Stuart, umiała się jednak zastosować w ponurém otoczeniu madryckiej etykiety. Skromna, cicho spełniająca swe obowiązki, nie mieszała się do spraw państwa, chyba wtedy gdy potrzeba było wzmocnić zgodę między jej krajem rodzinnym, a krajem małżonka. Dlatego wszyscy ją kochali i wielbili; dlategogo czcił ją i kochał Carlos, ów sierota nie znający pieszczot matki. Kochał ją miłością braterską i synowską, delikatną i wdzięczną może za to, że powodowana litością i czułością kobiecą, kołła jego bóle fizyczne i moralne. Carlos słabowity, wątły, wydawał się jej godnym opieki, jego zaś nie mogła nie oczarować dobroć i macierzyńska troskliwość, które dotąd znał tylko z nazwiska. Naturę zobopólnej sympatyj (don Carlosa i Elżbiety) trafnie ocenił ambasador francuzki w swoim sprawozdaniu do Katarzyny Medycejskiej. Nie było ono tajemnicą dla nikogo, to też nie obawiał się Carlos obdarzać matki swęj drobnemi podarkami, w które ona stroiła się radośnie i pokaźnie.

Wkrótce po zawartém małżeństwie Filip II chciał ogłosić uroczyste następstwo na tron syna swego. To świadczy najlepiej że kochał prawdziwie i po ojcowsku, lecz zarazem

że nie znał jeszcze dokładnie stanu swego syna, skoro go aktem tym uznał za zdolnego do rządzenia.

Powołano tłumy grandów, dygnitarzy i deputowanych kortezów. W dniu naznaczonym (22 lutego 1560 r.) orszak królewski wyruszył z pałacu poprzedzony gwardją i mistrzami ceremonii. Grandowie obsypani drogimi kamieniami jechali w przodzie na koniach okrytych rzędami szytymi złotem i brylantami. Don Carlos lubiący przepych, jechał za nimi na białym rumaku. Bogactwo i przepych jego szat dziwnie odbijały od bladeści lica znukeanego długą febrą. Po lewicy jego jechał Juan d'Austria, pociągający oczy wszystkich wdziękiem i powagą. Za nimi księżniczka Joanna w lektyce w towarzystwie dam dworskich, których stroje przewyższały wszystko co dotąd widziano. Nareszcie poprzedzony czterema heroldami i czterema łucznikami, ukazał się Filip II konno. Obok niego hr. Ortopeza niósł goły miecz. Wojsko zamykało orszak. Uroczystość rozpoczęła się wspaniale, piękna muzyka brzmiała nieprzerwanie podczas odprawiania mszy św. Po ukończeniu tejże jeden z heroldów zawołał: „Niechaj zajmą miejsca ci, którzy mają złożyć przysięgę Jéj wysokości.” Pierwsza powstała księżniczka Joanna i zbliżyła się mając po bokach króla i infanta, do celebrującego kardynała Mendozy. Ukląkwszy wykonała przysięgę na wierność Don Carlosowi, poczem chciała ucałować rękę jego; lecz ten niedozwoliwszy jéj tego, serdecznie ją uściśnął i na miejsce odprowadził. W tenże sposób wykonał przysięgę Juan d'Austria. Poczém wykonali ją grandowie, prałaci i deputowani. Książę Alba kierujący całym porządkiem zbliżył się ostatni, lecz czyto przez nieuwagę, czy téż z pychy, dość że nie chciał ucałować dłoni infanta. To przelamanie etykiety obraziło do tego stopnia Carlosa, że się spojrział oburzony. Książę zrozumiawszy swój błąd chciał go naprawić, lecz infant odpowiedział mu tak zapalczywie i zuchwale, że aż król nakazał synowi dać satysfakcyę Albie. Ukrywszy gniew, musiał Carlos uściśkać się z Albą. Na ostatku wykonał przysięgę obiecującą chronić praw królestwa, odprawiać sądy sprawiedliwe i bronić swoją osobą i wszystkimi siłami religii katolickiej. Na zakończenie zaś tych uroczystości, dano znów ludowi niby jako zabawę, całopalenie heretyków, odbyte d. 25 lutego.

Był to jeden z najświetniejszych dni Carlosa, po nim miały nastąpić smutne i rozpaczne.

III.

DON CARLOS W ALKALI. JEGO CHOROBA I POWRÓT DO MADRYTU.

Filip II zapewniwszy w ten sposób prawa swego następcy, chciał się teraz ubezpieczyć czy będzie on ich godnym? Poddał go więc systematowi twardemu i surowemu, nacechowanemu ponurością właściwą jego charakterowi. Odtądto datuje się epoka nieporozumień coraz przykrzejszych między ojcem i synem. Zaniepokojony wreszcie ojciec tym stanem a więcej jeszcze chorobą infantą, obmyśla dlań miejsce oddalone od Madrytu. W tym celu posyła z zapytaniem do gubernatorów Malagi i Gibraltaru, czy powietrze tamże jest zdrowe, i żąda od nich *pod przysięgą* prawdy. Przełożył jednak w końcu Alkalę, miasto niezbyt odległe od Madrytu, a sławne naówczas uniwersytetem, rozumując, że 16-letni infant będzie mógł, pielęgnując zdrowie, dokończyć zarazem nauk. Towarzyszyli mu: Juan d'Austria, wielka liczba szlachty i doktorzy. Nie mamy bliższych szczegółów o początkach pobytu Carlosa w tém mieście, pozostałe dokumenta z owych czasów są raczej przesadzonemi panegirykami wielbiącemi z właściwą Hiszpanom napuszyłością jego cnoty i przymioty.

Kto wie, czy czyste powietrze Alkali i życie spokojne jakie tu prowadził nie byłyby uspokoiły chorowitego jego umysłu, gdyby nie przypadek nieszczęśliwy, który nie mógł nie wywrzeć stanowczo zgubnych następstw. Infant mieszkał w pałacu arcy-biskupa. Pewnego dnia, udał się ztamtąd do klasztoru Franciszkanów (19 kwietnia 1562 r.); zstępując tamże po zepsutych schodach, pośliznął się i upadł uderzywszy głową o zamknięte drzwi tak silnie, że natychmiast zemdlął. Przywołany przyboczny lekarz Chacon badał ranę w obecności nauczycieli infantą i dwóch innych doktorów przybocznych nazwiskiem: Vaga i Olivares. Przekonał się że rana była wielkości dłoni, i że to była kontuzya błony czaszkowej. Opatrzono ranę, lecz Carlos oprzyto-

mniawszy, mocno skarżył się na bóle głowy. Ochmistrz Quijada przelegniony, ażeby doktorzy chcąc oszczędzić cierpienie księciu, nie pominęli wymagań sztuki lekarskiej, żądał od Chacona aby chorego leczył nie jak księcia, ale jak zwykłego śmiertelnika. Puszczono mu krew, poczem febra która i tak jeszcze przed upadkiem Carlosa srodze go wyniszczyła, zjawiła się na nowo.

Wtedy Garcie de Toledo pierwszy koniuszy, poznawszy ważność niebezpieczeństwa, posłał do Filipa II z zawiadomieniem o zaszłym wypadku. Gdy król przybył ze sławnym lekarzem Vesale, choroba groziła wielkiem niebezpieczeństwem. Niepokój króla nie przebierał w możebnych środkach wyleczenia. Zawezwano szarlatana, który jednak tylko chorobę pogorszył. Oddano chorego miłosierdziu niebios, nakazano uroczyste nabożeństwa pó całym kraju. Filip II w listach własnoręcznych do biskupów prosi o processye i inne pobożne akta „które mogą być najmiłszemi Bogu.”

Dwudziestego pierwszego dnia od chwili nieszczęśliwego upadku, wszystkie symptomata okazywały śmierć blizką. W tém powszechném wzruszeniu przypomniano sobie cudowność relikwii alkalskich, zwłaszcza, że Carlos czuł szczególne nabożeństwo do błogosławionego Diega, zmarłego przed stu laty *in odore sanctitatis*. Jeden z jałmużników królewskich wymyślił straszny obrzęd, który odrazu przypadł do gorącej i ponurj wiary Filipa II. Wykopano ciało Diega, pogrzebane w murach klasztornych, i przyniesiono je (całe i nierozpadnięte jakby nazajutrz po śmierci—mówi współczesny) do komnaty chorego; poczem, jeśli wierzyć można słowom kroniki, ułożono to ciało na łóżku infanta, a nawet na jego ciele, Infantowi zaś osłabionemu gorączką, polecono modlić się gorąco. Wieczorem tegoż dnia osłabł Carlos tak dalece, że zapowiedziano królowi rychłą śmierć jego. Zrozpaczony król, opuścił Alkalę i zamknął się w zwykłym podczas dni żałoby klasztorze św. Hieronima, nieopodal od Madrytu. W nocy, choremu którego wyobraźnię rozgorączkowano sceną z relikwiami do stopnia egzaltacyi, zdawało się, że widzi błogosławionego Diega, który przemówiwszy doń kilka słów pociechy, przyobiecał mu szybkie wyzdrowienie. Widzenie to, które głoszone jako cud, nie było zapewne niczem inném, tylko podbudzoną grą

chorobliwej imaginacyi. Doktor Chacon nie inaczej toż tłumaczy, dodając że pomogły zwykłe w tych razach środki lekarskie. Dość że nazajutrz zdrowie się polepszyło, o czem natychmiast nieodstępujący łoża infanta księżę Alba, króla zawiadomił. W trzy dni później gdy przybył Filip II do Alkali, zastał już syna przy zdrowych zmysłach. Wkrótce oczy odzyskały wzrok i febra zniknęła: życie następcy tronu było ocalone. Infant powstawszy z łoża po raz pierwszy, przeszedł do komnaty ojca, który go powitał z oznakami najżywszej radości, a w kilka dni potem był już Carlos na nabożeństwie dziękczynnem w kaplicy tegoż błogosławionego Diega. W ciągu całej choroby dał Carlos dowody wielkiej cierpliwości i pobożności, a otaczający go, dowody prawdziwego przywiązania i wytrwałości. Sam król obecnym był na czternastu konsultacjach medycznych. Przedewszystkiem zaś jakby za nadgodę starał się Filip o kanonizację błogosławionego Diega; toż samo polecił Carlos w swoim testamencie, na co jednak zgodziła się Stolica Apostolska dopiero we 26 lat po wyzdrowieniu infanta (za Syxtusa V).

IV.

CHARAKTERYSTYKA DON CARLOSA.

Król nie pozwolił już powracać synowi do Alkali. Obawiał się trzymać go zdala od siebie, a może chciał 17 letniego królewicza powoli wtajemniczać i przyuczać do spraw państwa i polityki; atoli teraz dopiero przekonał się że mu to z dziwnym jego charakterem nie przyjdzie tak łatwo. Teraz dopiero przekonał się, o ile fałszywie brzmiały raporta Osorya, a o ile prawdziwie Onorata i Garcyi. Don Carlos nie był pięknym, nie miał ognistych oczu ani ponętnej postawy, jak to sławili poeci i niektórzy historycy. Według wiernego portretu zachowanego po dziś dzień, i świadectwa naocznych świadków, Don Carlos obwisłe miał ramiona; tułów naprzód pochylony, cerę bladą, oczy bez wyrazu, i w ogóle wszystkie ruchy ciała chorobliwe. Jeden z ambasadorów ówczesnych dodaje: „Ma brzydką twarz, lubo cerę białą a włosy blond, przytem nogi jego nierówniej

są długości." W późniejszym czasie, gdy zamyślano Don Carlosa ożenić z córką cesarza Maxymiliana, ambasador francuzki *Forquevanlu* pisał: „przykro jest, że księżniczka czeska ma poślubić księcia tak brzydkiego i takich obyczajów."

Pochylony, mały, chuderlawy, dalekim był od marzonych rycerzy uganiających się po turniejach. Niewiadomo też, czy kiedy próbował się na turniejach, lubo jeździł konno i ćwiczył się w robieniu bronią po kilka godzin dziennie. I jakże wreszcie było żądać popisów w sprawach rycerskich wymagających nie tylko zdrowia ale i nie pośledniej siły, od człowieka wycieńczonego długotrwałą febrą, która wstrzymywała nawet rozwój jego organizmu fizycznego i umysłowego? Ile razy febra go opuściła, natychmiast król pośpieszał zawiadomić o tém swoich ambasadorów pozostających przy obcych dworach; a czynił to tém skwapliwiej, że nie mogły nie obić się o jego uszy wieści rozpuszczane przez samychże dworaków, wieści czyniące infanta niezdatnym do stanu małżeńskiego.

Chcąc coś orzec o charakterze Don Carlosa, nie można wydawać sądów stanowczych i bezwzględnych; mylą się albowiem zarówno ci, którzy go odsądzają od wszelkiego rozumu i serca, jak i ci którzy w nim widzą młodzieńca pełnego zalet i przymiotów ciała i umysłu: można i trzeba iść drogą pośrednią, która będzie drogą prawdy.

Infant miał niezaprzeczenie zalety, które się zwą: wielkimi, gdy je pełnią przyszli królowie; był bowiem hojnym i wspaniałym, dawał jałmużny obfite i wynadgradzał sowskie tych, których lubił lub cenił. Tak np. testamentem swoim zapisał renty wieczystej 3000 dukatów Marcinowi z Kordowy za okazaną waleczność przy obronie Mazalquivir i to jak się sam wyraża „ażeby wspierać tych, którzy się dobrze zasłużyli państwu." Posyła historykowi Guicciardini 200 dukatów z podziękowaniem za napisanie dzieła p. t. „Opis Niderlandów;" sekretarzowi hrabiego Horn 2200 dukatów za wywód historyczny o orderze „Złotego Runa." Są także zapisy dla różnych dam dworskich, w których dopatrywano się awanturek miłosnych, nie ma jednak na to najmniejszego dowodu a nawet prawdopodobieństwa. Są także zapisy dla kilku nieletnich dzieci, w czém widziano dowód jego oj-

cowstwa, lecz i te przypuszczenia pokazały się płonnymi i fałszywymi: były to bowiem dzieci podrzucone, a podjęte przez niego z litości.

Drugą wielką zaletą Don Carlosa była szczerść i prawdomówność. Wszystkie świadectwa są w tym względzie jednoznaczne. To mniemanie przeżyło wszelkie potwarze, wszczęte po jego śmierci. Co się tyczy jego zasad religijnych, różnie różni dowodzili: *Prescott* uważa go za przychylnego religii reformowanej, inni uważają Filipa postępowanie z nim późniejsze, jako antagonizm króla katolickiego z odstępcą; inni nareszcie robią go wprost naczelnikiem protestantów hiszpańskich: są to wszystko opinie osobiste, niczem a niczem nie poparte. My przeciwnie widzieliśmy jego gorącą wiarę, fanatyczną prawie podczas choroby w Alkali; w testamencie swoim składa wyznanie wiary uroczyste, w prośbach listownych do Stolicy Apostolskiej za Onoratem i innymi, przebija się wierne, pełne najczystszej ortodoxyi synowskie posłuszeństwo. W sporze Don Carlosa z Filipem II zachodzą inne całkiem pobudki, a nie różnice zasad religijnych, co łatwo dowieść samemi choćby datami. Gdyby wreszcie był kiedykolwiek i w czemkolwiek od zasad religii katolickiej odstąpił, niezawodnie fakt ten nie uszedłby uwagi powszechniej, niezawodnieby posłowie obcych dworów szeroko się o tém byli rozpisywali. Tymczasem, raz tylko jeden pisze poseł francuzki, że Don Carlos nie spowiadał się w Wielkanoc. W tym pośpiechu zanotowania tego wyjątkowego zdarzenia, najlepszy dowód jego rzadkości. Don Carlos istotnie nie spowiadał się w tym roku (1568), lecz nie spowiadał się dlatego, że będąc najgorzej wówczas z ojcem, nie mógł przemódz skrupułów swego sumienia, ażeby odbyć spowiedź z gniewem w sercu. Nie chąc zaś dać złego przykładu ludowi, zapytał się legata papieżkiego czy może się spowiadać nienawidząc! Tu właśnie skrupulatność jest najlepszym dowodem jego ortodoxyi, którą też w połączeniu z prawdziwą pobożnością do ostatniej zachował chwili; wszystkie przeto ataki w tej mierze, wszelkiej pozbawione są podstawy.

W przyjaźni nie mniej był wiernym i wdzięcznym. I tak: gdy się dowiedział że Filip II mianował Juana d'Austria admirałem, natychmiast przybiegł z Madrytu do Eskurialu podziękować Filipowi jakby za przysługę osobistą.

Osobą którą najwięcej cenił i kochał, był Onorato Juan. Dla niego wyrobił biskupstwo, o konfirmację sam prosił papieża w tych słowach: „proszę to uczynić dla mego nauczyciela, dla którego czuję wielką wdzięczność i miłość.” Nie przestał na tém: zaraz w następnym roku (1565) legat papieżki pisał do Rzymu: „Infant prosił mnie ażebym przypomniał Waszój Świątobliwości daną obietnicę. Gdy odrzekł że nie wiem o co chodzi, roześmiał się właściwym sobie śmiechem, mówiąc: że dotąd nie będzie spokojny, dopóki Wasza Świątobliwość nie zrobi kardynałem jego nauczyciela” (Onorata). Było zawczesne to żądanie kapelusza kardynalskiego, byłby go atoli dostał Onorato, wsparty instancją infanta, gdyby nie śmierć która go nagle zaskoczyła w lipcu 1566. Takie gorące wstawienie się za ukochanym nauczycielem, pięknie świadczy o szlachetnej stronie duszy. Kochał go też infant niezmiernie. Znać to przywiązanie naiwne we wszystkich listach doń pisanych, w których zwykle w *postscriptum*: „Najlepszy przyjaciel (jest Onorato) jakiego mam w życiu.” Onorato też wzajem jeden może umiał słodkiem słowem ulagodzić nagłą Carlosa zapalczywość, a umiał dla tego, bo znać było że to słowo płynię z prawdziwego dlań przywiązania. Rzadko jednak mogli się ze sobą widywać; Onorato albowiem chociaż mieszkał tylko 40 mil od Madrytu, nie mógł jednak często wyjeżdżać dla podeszłego wieku i słabowitego stanu zdrowia: musiał więc odkładać odwiedziny drogie swemu sercu, zastępując je tylko częstymi listami, w których obok mądrych rad przeznaczonych dla dawnego ucznia, objawia się zarazem cała czystość i szlachetność duszy piszącego. Oto jeden z nich: „Upraszam Waszój wysokości pamiętać o trzech rzeczach, któremu mu zawsze polecał. Pierwszą jest miłość Boga... (tu wdaje się w szczegóły, z których jeden o tyle charakterystyczny, iż poleca popieranie św. Iukwizycyi, z kąd wnioskować można, że i najoświeceni ludzie nie są wolni od przesądów wieku); drugą: posłuszeństwo należne ojcu, i obowiązek przypodobania się jemu... ponieważ każda inna droga jest niebezpieczną, i sprowadza zgryzoty a żadnej korzyści.” Widocznie, nie tajna mu była niezgoda trwająca między ojcem a synem, obawia się więc o smutne następstwo dla swego wychowanka. Trzecią rzeczą ważną jest obchodzenie się

łagodnie ze wszystkimi którzy się do Waszój wysokości zbliżają, lub jemu służą. Mówiłem to już często, że jestto jeden z przymiotów najwięcej przynoszących chwały książętom. Z niegato sądzą o skłonnościach książęcia, ponieważ można przypuścić, że skoro jest dobrym dla tych którzy są przy nim, to będzie dobrym dla wszystkich; jeżeli zaś źle się obchodzi z tymi którzy mu dzień i noc służą, to jakże się będzie obchodził z tymi, którzy go nigdy nie widzą?... Błagam nareszcie Waszą królewską wysokość, abyś z nikim nie postępował sobie pogardliwie... przeto się bowiem utraci miłość poddanych, jak tego liczne były przykłady. Ażeby się tego ustrzedz, nie trzeba się nigdy dopytywać, o prowadzenie innych, ani cieszyć się z ich obłędów, bo z takiej ciekawości wielkie złe urość może... Gdy się wie dużo tajemnic cudzych, można się stać przyczyną niesnasek domowych, a nawet buntów w kraju... panujący utraci zaufanie, nikt mu już nie wierzy.. co jest nieszczęściem dla królów." List ten nie jest zbiorem prostych rad, lub znanych ogólników, przeciwnie, jest on widocznie dyktowany intencją poprawienia o ile się da dwóch błędów infanta: niezgody z ojcem, i gwałtownych uniesień z różnemi osobami dworu.

Uniesienia te i dziwactwa odsłoniły królowi i dworzanom straszną pewność o stanie umysłu przyszłego króla. Kto więc, czy téj choroby umysłowej nie możnaby dopatrzeć w całej linii plemiennej Karola V. Obłąkanie matki jego Joanny Kastylskiej odbiło się w dziwactwach syna, gdy osiadł starcem w klasztorze, w dzikiéj prawie ponurości Filipa II, w napadach szaleństwa Don Carlosa przeszłych w końcu w stan normalny, w niedołęztwie Filipa III i IV a nareszcie w obłąkaniu zapalczywém nieszczęśliwego Karola II, za którym jako za ostatnim szczepem téj świetnej dynastyi zapada się wieko grobowe. Jestto jakby jedna czarna nić wiążąca cały ten szereg jednym węzłem fatalnym.

Wspomnieliśmy powyżéj o czynach okrucieństwa, które popełniał infant w pierwszej młodości. Umysł jego od tego czasu mało się rozwinął i mało ukształcił. Dowodzą tego choćby jego listy, nie ma w nich ani ładu, myśli, ani stylu. Wina to nie nauczycieli, ale jego niewytrwałości w pracy i wrodzonego niedołęztwa. Dlategoto zapewne przestano

na pozostawieniu jego ukształcenia w takim stanie, do jakiego się dało doprowadzić. Ułożono mu wprawdzie bibliotekę z doborowych złożoną dzieł, jak: Sallustyusza, Terencyusza, Ezopa, Plutarcha, ale zdaje się że Don Carlosa więcej zajmowały przyjemności pospolite jakoto: dobra kuchnia, gra i wycieczki nocne. Z tych wybryków w jedzeniu często chorował; potrafił np. zjeść za jednem posiedzeniem 16 funtów owoców, w których były 4 samych winogron. *Brantône* znowu opowiada w swych pamiętnikach, że infant lubił włóczyć się po nocach (*ribler le pavé*) i że znieważał przechodzące kobiety. Inni potwierdzają że te nocne wycieczki wyprawiano potajemnie przed królem, któryby zapewne na nie nie pozwolił. Naturalnie że się tu nie obezło bez nieprzystojnych wybryków. Na jednej z takich nocnych włóczęg, wylano przypadkiem z okna trochę wody, która oblała głowę infanta. Wpadł on w taką wściekłość, że powróciwszy do pałacu, nakazał straży pozabijać mieszkańców owego domu, a potem cały dom spalić. Oficer któremu to polecono użył wybiegu. Wyszedł bowiem, a wkrótce wróciwszy rzekł, że widział kapłana idącego z wiatykiem do tegoż domu, że więc zdawało mu się iż trzeba dom ten oszczędzić: Don Carlos nie miał nic przeciw temu.

Don Carlos grywał także w karty, atoli straty jakie ponosił, nie przenosiły cyfry trzechset dukatów.

Jakkolwiek Filip II nienawidził wszelkiego publicznego rozgłosu, byłby jednak zapewne zamknął oczy na te nocne wybryki i zbytek w jedzeniu i piciu, gdyby go codzien nie dochodziły nowiny to o jakimś dziwnym postępku, to o wyskoku znamionującym szaleństwo. Przyznać to trzeba, że Filip II we względzie ojcowskiego uczucia, na to piętno jakim go nacechowali niektórzy pisarze a mianowicie poeci, wcale nie zasłużył. Pieczołowitość z jaką śledził najmniejszych postępków syna, fizycznych, moralnych i umysłowych, rozpacz którą był przejęty podczas jego choroby w Alkali, późniejsza radość z odzyskania jego zdrowia; nareszcie niemożność odważenia się na powiedzenie sobie téj smutnej prawdy że syn cierpi obłąkanie: są dostatecznym dowodem niepokoju ojca, któremu dobro jedyne go syna leży istotnie na sercu.

Dumny monarcha czuł się jak piorunem rażony w osobie własnego syna. Podczas gdy cały dwór znając stan Don Carlosa, niespokojnie wyczekiwał przyszłych wypadków, gdy ambassador francuzki pisał do swego dworu, że: „infant podległy jest bólom głowy” a legat papieżki nie ukrywał bynajmniej prawdy; król jedynie napozór spokojny, nieprzenikniony może, nie zdecydowany jak zawsze, nie chcący czy nie mogący zwierzyć się nikomu z tém, czegoby mu nikt powiedzieć nieśmiały, udawał że nic nie wie o stanie umysłowym swego następcy. Wolał raczej uważać go za hardego, gwałtownego, opierającego się wszelkiej władzy, a zatem potrzebującego ciągle surowego prowadzenia. Sądził, że postrachem powstrzyma nieszczęsnego; lecz w zamian za to, wywołał w nim tylko nienawiść i wstręt, których tenże nie umiał nawet dobrze zamaskować. Ztądto wytworzyło się położenie pełne niebezpieczeństw i obustronnych skandalów. Filip nie chciał ustąpić w niczem, bo sądził iżby to ubliżało jego godności (być téż może, że chciał tym sposobem dłużej pozostawać w złudzeniu). Don Carlos również, mimo zakłęb Onorata, nie chciał karku nagiąć. Doszło do tego, że nienawiść Don Carlosa ku Filipowi II i wszystkim jego zaufanym doradcom, stawszy się powszechnie jawną, stała się zarazem przedmiotem ogólnych pogadanek i wniosków. Poseł wenecki tak o nim teraz pisze: „Jest on (Carlos) niecierpliwy, gniewający się bez przyczyny, w gniewie często okrutny, nienawidzący wszystkich którzy służą ojcu.” Poseł francuzki mówi: „Potępia i pogardza wszelkimi czynami swego ojca.” Wszyscy ówczesni świadkowie stwierdzają tę nienawiść.

Infant dojrzewając miewał coraz częstsze napady wściekłego gniewu, podczas których, mimo powyżej wymienionych zalet serca, stawał się strasznym dla całego swego otoczenia. Napady te niestety były coraz częstsze, szaleństwa coraz gwałtowniejsze, tak iż zaniepokojenie i gniew Filipa II wzrosły. Nie przytaczamy tu wszystkich scen anegdotycznie w różnych społecznych kronikach skandalicznych i pamiętnikach aż po dziś dzień przekazanych; dość będzie wspomnieć o tych kilku, w których infant posunął się aż do zamiaru zabójstwa. Raz uczynił to z kardynałem Espinosa i to z następnego powodu. Sławny aktor Cisneros dawał

przedstawienia sceniczne w Madrycie, które się bardzo podobają Don Carlosowi, ale nie a nie św. Inkwizycyi a mianowicie jój prezydentowi, rzeczonemu kardynałowi. Nie więc dziwnego że tam, gdzie wkrótce zakazano kobietom grywać na scenach, gdzie przedstawienia dramatyczne policzono między grzechy śmiertelne, że tam pewnego dnia, nagle, bez tłumaczenia się zamknięto teatr. Było to wolą rządu czy inkwizycyi, a więc kardynał nie miał zapewne najmniejszego zamiaru ani ochoty, dokuczenia tém przyszłemu swemu monarsze. Mimo to infant osądził z zapalczywością właściwą swemu gniewowi, że chciano przerwaniem mu przyjemności obrazić dotkliwie jego godność. Spotkawszy przeto kardynała w jednej z pałacowych galeryi przyskoczył do niego, z ręką *na sztylecie* wołając: „Dlaczego zabraniasz Cisnerowi służyć mi?—Klnę się na życie ojca, że cię zabije!” I byłby go nieochybnie zabił, gdyby go obecni nie byli wstrzymali.

Innym razem zaszła scena równie ohydna, a niestety prawdziwa.

Przyniesiono Don Carlosowi buty, które mu się wydały ciasne. Nie trzeba było więcéj, aby go rozgniewać. Wypoliczkował więc don Mamota swego majordomo, za to, że je ten obstalował, a potém zadzwonił gwałtownie na będącego na służbie Alfonsa z Kordowy. Ponieważ mu się zdawało że się ten nie bardzo pośpieszył, więc w najwyższym gniewie porwał go, chcąc go wrzucić w doł przez okno zamkowe. Na krzyk don Alfonsa zbiegli się słudzy i wstrzymali infanta; lecz ten kazał buty pokrajać na kawałki, kawałki ugotować a ugotowane szewcowi zjeść. To ostatnie zapewne jest już dodatkiem.

Usługującym mu, nie wolno było odezwać się słowa wtedy gdy był w gniewie, nie szczędził albowiem uderzeń ani ochoty wyrzucania przez okno.

Najcharakterystyczniej odbija się gwałtowność i rodzaj pomięszania Don Carlosa w następnym wypadku:

W r. 1561 umarł wielki szatny infanta Ortego de Brivesca, a na jego miejsce miano przeznaczyć innego. Don Carlos chciał Juana Esteber de Lobon, ale król przełożył Gareje Uvares Osorio, (Uvares Osorio ożeniony był z córką księcia Alby). Don Carlos lubił aż dotąd Osoria, lecz dowiedziawszy się o nominacyi, przeszkadzał mu w jego nowym

urzędzie wszelkimi środkami. Nie chciał mu naprzykład podać liczby swoich wydatków i dochodów, przez co tenże nie mógł uregulować budżetu infanta. Ażeby budżet ustalić, zebrali się majordomowie, ochmistrz i Osorio i przystąpili do zrobienia nowego inwentarza.

Dowiedziawszy się Don Carlos o tém, zakazał sporządzenia inwentarza, a chcąc się lepiej upewnić, pochował klucze od kufrów w których były suknie i klejnoty, sprzedając wiele z nich poza obrębem pałacu i bez wiedzy Osoria. Postanowiwszy raz przeszkadzać mu wszelkimi sposobami w urzędzie, *gnatwał* rachunki skarżąc się przed każdym na złą jego administrację.

Trwało to przez dwa lata, dopiero w r. 1563 Filip II ustąpił. Zadowolniony infant oddał urząd ten Labonowi powierzając mu nietylko cały swój majątek, ale i najskrytsze swoje tajemnice. Labon stał na szczycie łaski, wszyscy mu zazdrościli, aż tu nagle i niespodzianie, z tą dziwną zmiennością, która stanowiła rys charakterystyczny słabego Don Carlosa umysłu, znenawidza niedawnego swego ulubieńca. Pod pozorem że brakło jakiegoś papieru chce on w wściekłym gniewie wyrzucić Lobona przez okno. Gdy dworzanie przybiegli z pomocą, Don Carlos począł lżyć Lobona od ostatnich słów, oskarżając go o obrazę majestatu i nakazując mu natychmiast pałac opuścić. Nie dość na tém, nakazuje kommissy złożonej ze swego sekretarza, skarbnika i intendenta wytoczyć przeciw niemu śledztwo i prowadzić je z największą surowością. Sam doglądał toku śledztwa, podniecając kommissyę i tak aż nadto skorą do niesprawiedliwego wyroku.

Nie wiadomo czy śledztwo wykryło istotne przestępstwo Labona, dość że odebrany mu urząd oddano Diegowi Olerte. Trzy lata zaledwie cieszył się Lobon nadzwyczajną łaską (do 1566).

W tento sposób przechodził Don Carlos z najwyższej miłości do najwyższej nienawiści; wiecznie oddany wichrom chwilowego kaprysu wpadał znów nagle w szalony gniew objawiający się śmieszniemi zapędami lub dzikiemi wykrzyki.

Między radami udzielonemi przez Onorta Don Carlosowi, nie było żadnej tyczącej się czystości obyczajów.

Można z pewnością mniemać, że jeżeli ją pominął, to dla tego iż nie było do niej wtedy powodu; później dopiero szerzono potwarze o nocnych wycieczkach infanta. Cokolwiek bądź wycieczek tych nie było wyłącznym celem hulaszcze ubieganie się za miłośkami; jeden tylko ambasador Wenecyi wyraża się z tego względu, następnie: „Długo miano go za skromnego, lecz od kilku miesięcy dzieje się przeciwnie” (w 1567). Wyrażenie powyższe ambasadora Wenecyi, chce raczej powiedzieć to co martwiło rodzinę królewską, to jest że Don Carlos był fizycznie całkowicie słabym.

Sekretarz królewski poświadcza to w jednym z swoich listów pisząc: „Nie pokazuje on usposobienia zwykłego w jego wieku.”

Może też i dla tego zwlekał do nieskończoności Filip II małżeństwo Don Carlosa, mimo usilnych nalegań cesarza Maksymiliana.

Przynajmniej *Forguevaux* oświadcza bez ogródek, że lekarze stanowczo orzekli iż don Carlos ojcem nie będzie. Łatwiej więc i prawdziwiej obronić go od zarzutów nieporządnego życia w owych nocnych wycieczkach a to opierając się na tym choćby pewniku, iż go natura stworzyła zbyt słabowitym i niedołącznym. Takim więc był Don Carlos pierwszy szlachcic Europy, nadzieja monarchii hiszpańskiej w okolicznościach tak trudnych. Przymioty i błędy jego tak fizyczne jako i moralne nie złożyły się na to, aby z niego stworzyć człowieka w całym znaczeniu tego słowa; nie jest więc odpowiedzialny w obec historyi za swoje grzechy i występki.

V.

UKŁADY O MAŁŻEŃSTWO DON CARLOSA.

Jeszcze z ciągu r. 1561 zamyślał Filip II o małżeństwie syna swego. Z Francją łączyła go własna żona, o Anglii nie było co myśleć, bo Elżbieta zanadto nienawidziła zasady których on był przewodcą: pozostało cesarstwo Niemieckie czyli księżniczka Anna Czeska starsza córka Maksymiliana króla rzymskiego a syna cesarza Ferdynanda. Po-

krewniostwo nader bliskie (cesarz Ferdynand był bratem Karola V), bynajmniej nie odstraszało, owszem tém snadniej-sze wydawało się połączenie interesów i polityki dwóch od-nóg jednego szczepu (domu austriackiego). Filip II polecił ambasadorowi swemu w Wiedniu hr. de Luna, rozmówić się w tym względzie z Maxymilianem.

Król czeski (Maxymilian) przyjął zwierzanie z najżywszą radością, prosił tylko o tyle czasu, ile potrzeba ażeby zasią-gnąć rady cesarza Ferdynanda. Już we dwa dni potém pro-szony o to przez hr. Luna napisał list do Filipa II, zgadzają-cy się najzupełniej na zaprojektowane małżeństwo. Lecz zaledwie to uczynił, doszły go wiadomości o febrze wycień-czającej Don Carlosa (było to właśnie przed wysłaniem go do Alkali), skutkiem czego wszelkie dalsze układy musiano odłożyć aż do zupełnego przywrócenia zdrowia. Cesarz Fer-dynand nie bardzo chorobie tej wierzył mimo zapewnień księcia Alby i sprawozdań własnych ambasadorów. To téż jak tylko Martin de Gunman (ambasador cesarski w Madry-cie) zawiadomił o polepszeniu zdrowia Don Carlosa, natych-miast cesarz nie tracąc czasu napisał (1562) do Filipa II w tych słowach: „Teraz przy polepszeniu zdrowia infanta zdaje mi się że nadeszła pora stosowna do pomówienia o po-łączeniu go z moją wnuczką. Co się mnie tyczy, zaręczam że gdybym wiedział o jakim małżeństwie korzystniejszém dla naszych domów, nie mówiłbym o tém.”

Nie poprzestając na tém, wychwalał przed hrabią Luna przymioty infanta i swój wnuki, prosząc ażeby Filip II przy-czynił się rychłém zezwoleniem do zadowolenia jego całej familii.

Niecierpliwosć Ferdynanda przemieniła chwilowe po-lepszenie stanu zdrowia Don Carlosa w zupełne wyzdrowie-nie; to téż nie mile tknęła go odpowiedź hrabiego Luna utrzymującego, że po febrze czwartaczce potrzeba przynaj-mniej rok później odpoczywać, i że król jego nie ożeni syna swego, dopóki by tenże całkiem nie wyzdrowiał. Cesarz i teraz jeszcze niedowierzający znanemu sobie dobrze Filipo-wi II, sądził że cała ta przewłoka dzieje się umyślnie w ja-kim ukrytym celu. Rzekł więc w poufnéj z hrabią Luna rozmowie, że doszły go niemylnie wiadomości iż Filip II za-

myśla ożenić Don Carlosa z własną ciotką, z księżniczką portugalską i że już uzyskano potrzebną na to w Rzymie dyspensę; lecz że według jego widzenia, księżniczka portugalska nie jest ani tak młodą ani tak ładną jak jego wnuczka.

Naiwny ten i mieszczański prawie niepokój Ferdynanda o wyswatanie swęj wnuczki, spowodował kategoryczną odpowiedź Filipa II, zaprzeczającą wręcz wszelkim fałszywym pogłoskom o zamiarze połączenia Don Carlosa z własną ciotką.

Pozór ciągłej choroby infanta lubo był prawdziwym, służył jednak Filipowi II za dogodną zwłokę, zwłaszcza gdy mu się zdało, iż się zbyt pośpieszył; nowa albowiem nadzieja obudziła żywo dawne jego ambitne i szerokie plany.

Mówiliśmy już, że po śmierci drugiey swęj żony Maryi Tudor, przymuszony porzucić Anglią, która go przeklinała, chciał znowu poślubić Elżbietę. Chciał zaś dlatego, że protestancka i swobodniejsza Anglia sprzeciwiała się jego fanatycznęj wierze, i jego zaborczym zamiarom. Anglią uważał za gniazdo herezyi, za ognisko z którego rozchodzące się po świecie płomyki, zapalały bezbożnie umysły prawowiernych.

Anglia to był jego wróg, jego demon dmuchający ironicznie w rozbujającą przez niego katolicką propagandę. Tam więc dotrzeć do panowania, przytłumić i zgnieść nowy kościół, najśłodsze było Filipa marzeniem. Lecz czas budowania olbrzymiey *armady* jeszcze nie nadszedł, samą siłą materyalną nie chciał jeszcze walczyć, wołał dyplomatycznym wybiegiem, zręczne zawikłaniem, nastrojeniem okoliczności w taki sposób, iżby mogły służyć za szczebel do posuwania się dalej.

Otóż zdawało mu się, że takie okoliczności teraz nadeszły. Wziął się do dzieła z całą skrytością właściwą jego charakterowi, i z roztropnością nakazującą nie palić okrętów za sobą w układach z cesarzem.

Tą okolicznością był powrót Maryi Stuart do Szkocyi, po śmierci Franciszka II jęj męża.

Była to epoka, w której Elżbieta głośno oświadczała iż chce pozostać „dziewicą królową.”

Po niej więc odziedziczyłyby prawem sukcesyi Marya Stuart lub jej dzieci, połączony tron Anglii i Szkocyi. Chciwym oczom Filipa IIgo otwierał się niezmierny widnokrąg.

Żeniąc Don Carlosa z Maryą Stuart, miał nadzieję przyłączenia korony Anglii i Szkocyi do korony hiszpańskiej, zadość czynił swojej zemście i swoim planom, wszczepiając w krajach tych zasady swojej wiary i monarchii, a zarazem mógł mieć przyjemność skrzyżowania projektów Katarzyny Medycejskiej marzącej o połączeniu syna swego (późniejszego Karola IX) gdy dorośnie, z rzeszoną królową.

Nazywało się to prowadzeniem polityki na wielką skalę, albowiem wszystkie te monarchie złączone pod jednem berłem, otwierały stanowcze wpływy we Francyi, wpływy które mogły kiedyś dołączyć i tego kraju koronę do innych.

Zrozumiał olbrzymią ambycję swego pana hrabia de Luna, bo pisze doń pod dniem 19 stycznia 1562: „Zdaje mi się, że dopóki infant nie wyzdrowieje, nie trzeba sobie nigdzie rąk związywać. Lada chwila może się zdarzyć coś takiego, co lepiej przypadnie Waszej Królewskiej Mości i zwiększeniu jego potęgi, a przecież rzecz to nie mało obchodząca króla tak wielkiego, i tak zbliżonego do stworzenia monarchii uniwersalnej. Mówię to dla tego, że głoszą o chorobie królowej Anglii, że więc po niej odziedziczyłyby koronę królowa Szkocyi.

Nadto Gwizyusze, wujowie Maryi Stuart są naczelnikami partyi katolickiej we Francyi, Vendôme zaś ich wróg, rzadzi dzisiaj w taki sposób iż długo utrzymać się nie można.” Widoczna więc że zamyślał z pomocą Gwizyuszów, a po doprowadzeniu do skutku rzeszonego małżeństwa z Maryą Stuart, opanować całkowicie politykę Francyi.

Nic dziwnego że taką przyszłością mógł być Filip II olśniony.

Obznajmiono biskupa Quadra, posła hiszpańskiego w Anglii z temi projektami. Nie zasypia on pola, już w r. 1563 jest w korespondencyi z sekretarzem Maryi Stuart, Lethingtonem. Sprawa ta wymagała nadzwyczajnej zręczności i ostrożności. Potrzeba się było strzedz ażeby się o tém nie dowiedziała ani Elżbieta nienawidząca polityki hiszpańskiej, ani Katarzyna Medycejska marząca o małżeństwie Ka-

rola IX z Maryą, ani cesarz niemiecki podwójnie interesowany, bo ofiarujący się dla Maryi Stuart z synem swoim arcyksiążęciem Karolem, ani wreszcie Murray i stronnictwo protestanckie szkockie, wrogie katolicyzmowi. Lecz Quadra zasługiwał na zaufanie: był zręcznym i ostrożnym.

W czerwcu tegoż roku zaszła sprawa tak daleko, że się Filip nie wahał z urzędowem udzieleniem pozwolenia swemu posłowi. Filip nie obawiał się arcyksięcia, bo wiedział że Marya Stuart miała się wyrazić: „iż nie myśli iść za Niemca nie mającego nic prócz płaszcza i szpady,” obawiał się daleko więcej Francyi.

Lecz jeszcze wahał się z daniem pozwolenia na urzędowe i jawne zapytania rządu szkockiego a tu tymczasem okoliczności nagliły. Już bowiem i Elżbiecie nie tajne były zamysły Filipa i cesarza, gdyż oświadczyła Maryi Stuart iż będzie ją uważać za nieprzyjaciółkę w razie gdyby zaślubiła arcyksięcia; z drugiejż strony, dwór francuzki obiecywał Maryi koronę Francyi, jeżeli poczeka 2 lata na Karola IX, w razie zaś gdyby czekać nie chciała, jeżeli zaślubi księcia Gwizyusza lub księcia Ferrary lub księcia Nemours jako książąt podległych koronie francuzkiej. W pośród takich intryg, trudno się było zasłaniać biskupowi Quadra niepewnymi odpowiedziami, które Marya mogła uważać za odmowę; nie czekając więc dłużej odpowiedzi z Madrytu wysłała na własną odpowiedzialność swego ajenta do Szkocyi ażeby się potajemnie rozmówił z królową.

Narażał się tym krokiem na gniew swego monarchy w przypadku gdyby celu nie osiągnął. Wolał atoli poradzić się własnej energii, aniżeli dać się zaskoczyć wypadkom. Król też niedługo pochwalił go za tę samodzielność.

Ajent Quadry Luiz de Paz wybrał się do Irlandyi i Szkocyi pod pozorem szukania piratów, którzy zabrali okręt hiszpański płynący do Indyj. Miał ze sobą list kanclerstwa angielskiego, nakazujący władzom Irlandyi pomagać mu w poszukiwaniach. Z Chester posłał drugiego niejakiego Bal, ajenta króla hiszpańskiego dla spraw marynarki, do wice króla Irlandyi ciągle pod pozorem szukania piratów; sam zaś wybrał się do Szkocyi mając nadzieję jak mówił, niezawodnie ich tam znaleźć. Bal nakazał swoim marynarzom odprowadzić go aż na miejsce.

Zaledwie Paz tam przybył, udał się do Lethingtona i oddał mu w obecności innych osób, z umyślną ostentacją list biskupi, tyczący się piratów, potajemnie zaś wsunął mu liścik dotyczący małżeństwa królowej. Natychmiast Lethington naradził się z królową, skutkiem czego postanowiono przyjąć go na publiczném posłuchaniu, niby jako proszącego o ukaranie piratów. Tak się też stało. Królowa przyjęła Paza w obec całego dworu i wysłuchiwała głośno wypowiedzianej a zmyślonój missyi, poczem dopiero oddalwszy zręcznie otaczających, wysłuchiwała prawdziwego zlecenia.

Paz opowiedział jój zamiary swego króla i biskupa Quadra, prosząc w imieniu tego ostatniego aby królowa przysłała kogoś dobrze zaufanego i obznajmionego ze sprawami Szkocyi, z którymby można było rzecz doprowadzić do pomyślnego rozwiązania; w końcu prosił o najściślejsze dochowanie tajemnicy. Królowa chciała naznaczyć Lethingtona jako pierwszego motora projektu, lecz obawiano się wzbudzić podejrzenia czujnej Elżbiety.

Biskup Ross miał go zastąpić. Podróż jego do Anglii wydać się mogła bardzo naturalną, gdyż jako chory miał jechać do wód do Francyi.

W przejeździe przeto wypadało mu złożyć wizytę ambasadorowi Francyi, a za jedną drogą ambasadorowi Hiszpanii. Przy takiej sposobności umówiwszy się z biskupem Quadra, wysłałby ztamtąd zaufanego z relacją. To załatwiwszy, Paz wybrał się z powrotem do Anglii.

Lecz na nieszczęście biskup Ross mocno zachorował; dano więc znać Pazowi (którego dościgniono w drodze) że Rossa zastąpi Rolet sekretarz królowej; lecz gdy Paz przybył do Londynu, zastał już umierającego biskupa Quadra. W cztery godzin po jego przybyciu biskup umarł. Był to fatalny cios dla toku całej negocyacji.

Rolet tymczasem przybywszy do Londynu i dowiedziawszy się o śmierci ambasadora, natychmiast pojechał do Niderlandów (po drodze widząc się z ambasadorem francuzkim, któremu zaręczył że nigdy nie było mowy o małżeństwie między Don Carlosem z Maryą Stuart) i stawił się przed kardynałem Granvelle, kardynał nie bardzo dowierzając autentyczności dokumentów i osobie posła, przyjął go jednak

uprzejmie. Lecz Filip II (będący naówczas w Monzon) gdy się dowiedział (w październiku) o śmierci biskupa Quadra tak zręcznego i gorąco popierającego rzeczoną sprawę, mocno się zniechęcił, obawiając się zaawanturowania w politykę pełną niebezpieczeństw.

Przewidywał bowiem trafnie, że Don Carlos ożeniony z Maryą Stuart ściągnie na niego nienawiść Elżbiety i Katarzyny Medycejskiej i cesarza niemieckiego. Świetna przyszłość błyszcząca w dali wiodła go na pokuszenie, ale odstraszały wielkie niebezpieczeństwa.

W tej niepewności chciał zaciągnąć rady pierwszego swego męża stanu księcia Alby. W liście do niego wyraził obawę że w razie połączenia się z Maryą Stuart, Karol IX ożeni się z księżniczką Anną; w razie zaś wybrania księżniczki Anny, rywalizujące mocarstwa nie omieszkają korzystać ze związku z dziedziczką Anglii i Szkocyi. Została mu wprawdzie (słowa listu) jedna droga t. j. popierania konkurencyi arcyksięcia Karola, a zachowanie dla Don Carlosa księżniczki Anny; lecz wie on dobrze że arcyksięcia nie życzy sobie ani Marya Stuart ani Anglia, że więc ubliżyłby swęj godności popierając go nadaremnie. Nikt wówczas nie przypuszczał, ażeby Marya pogardzając ręką tyłu księżąt wybrała Darnleja idąc za popędem miłości nie mającój nic wspólnego z polityką. Wszelkie więc prawdopodobieństwo przemawiało za połączeniem się z domem Francyi a tego najbardziej obawiał się zazdrosny i ambitny Filip II.

Książę Alba w odpowiedzi, kilka roztrząsa zapytań. Pierwsze czy można ożenić infanta? potem czy nie jest za młody tak pod względem moralnym jako a może i przedewszystkiem fizycznym względem tyle ważnym z powodu kombinacyj opartych na jego potomstwie.

Oczywiście więc miano wątpliwości co do siły jego zdrowia. W dalszym ciągu listu książę nie zataja że rozpoczęte układy z domem edynburskim pociągną za sobą niezliczone kłopoty i niebezpieczeństwa, że Filip II będzie miał przeciw sobie Anglią, Francją, a może i cesarstwo.

Robi uwagę, że nie zna stosowniejszój żony dla infanta nad księżniczkę Annę. Wié doskonale książę Alba, że Katarzyna Medycejska myśli o koronie Anglii i jeżeli teraz po-

piera arcyksięcia, to raz dlatego że wie iż go nie chcą a przez to zyska sobie względy cesarza; a potem że jej przedewszystkiem chodzi o upływ dwóch lat, w ciągu których Karol IX dojrzeje. Zdaniem więc jego, potrzeba otworzyć oczy cesarzowi, wykazując w jasnym świetle Katarzynę i jej cele. Głównie radzi ostatecznie, ażeby zaniechać negocyacyj z Maryą Stuart, która króla tylko narazić może w obec cesarza, a trzymać się projektu z księżniczką Anną odsłaniając chytrą Medyceuszki. To zdaje mu się jak na obecną chwilę, jedynie możebną i praktyczną polityką: przyszłość doradzi co czynić dalej. Istotnie też Filip II odebrawszy tę odpowiedź, zaniechał myśli aliansu ze Szkocyą, lecz nie chciał tego dworowi szkockiemu wyjawić otwarcie i od razu. Nowy ambasador w Londynie Diego Guzman de Silva mógł się wkrótce przekonać, że o negocyacyach Filipa II z Maryą Stuart wie już Elżbieta.

Zdziwiło go tylko nadzwyczaj grzeczne przyjęcie z jej strony; nie tylko bowiem że go zaprosiła do swojej łoży, że muzyka grała hymny narodowe hiszpańskie, że mu opowiedziała treść granej sztuki (gdyż Diego dobrze po angielsku nie umiał) ale nadto opowiadała mu tonem zwierzenia i zaufania najdrobniejsze szczegóły swego przeszłego życia.

Podczas tej rozmowy w łoży i w chwili gdy Diego zauważył że komedye kończą się zwykle małżeństwem, królowa nagle zapytała o zdrowie infanta. Diego odpowiedział że obecnie ma się dobrze, na co królowa tonem melancholijnym zawołała:

„Wszyscy mię odrzucają, dowiedziałam się że infant stara się o królową szkocką.” Diego odpowiedział wymijająco, składając pogłoski na karb bajek dworskich, lecz królowa nie dając się zbić z toru, rzekła: „a przecież niedawno mówiono w Londynie, że król hiszpański posłał tutaj swego ambasadora na to aby się układał o moje małżeństwo z infantem.” Diego zrozumiał że królowa chce żeby sobie w Madrycie robiono nadzieję.

Zawiadomił natychmiast o tém króla, który doskonale pojął że Elżbiecie ani się śni o zaślubieniu Don Carlosa, i że tém łudzeniem chce go odciągnąć od projektów z Maryą Stuart; mocno go tylko zadziwiła zdradzona tajemnica tak ostrożnie prowadzonych układów.

Przełęczony ażeby się cesarz nie dowiedział o wszystkim, usłuchał rady księcia Alby odrzucając plany szkockiego małżeństwa pod piękną pokrywką przychylności dla arcyksięcia, którego jak się wyraża do swego ambasadora „uważa jak swego syna.”

Atoli tak nienawistnie patrzył na zabiegi Katarzyny Medycejskiej, że nakazał swemu ambasadorowi iżby postępowaniem swoim niepokoił ciągle dwór francuzki; gdyby albowiem tenże przeszkadzał konkurencji arcyksięcia z Maryą Stuart, król gotów jest na nowo swatać infanta.

Król dodaje z naciskiem: że jedynie w tym wypadku rozpoczyna na nowo układy. Obawy jego były wówczas zbyt znaczne, bo Marya właśnie miała się połączyć wiecznym węzłem z Darnlejem, o czém dowiedziawszy się, przesłał natychmiast słowa swego zadowolenia.

Wygrywał bowiem na tém małżeństwie tyle, że niweczył zamiary Francyi i tak w owęj chwili rozdartęj wewnętrznie zatargami. Tak zakończyły się zabiegi o rękę Maryi Stuart dla Don Carlosa.

Charakteryzują one politykę Filipa II ostrożną i śmiałą, trzymającą się gruntu i latającą po obłokach.

W tymże roku (1564) nastąpił na tron cesarstwa niemieckiego po śmierci Ferdynanda, syn jego Maxymilian król rzymski, czeski i węgierski. Przy pierwszém zaraz widzeniu się z posłem hiszpańskim wręcz mu oświadczył, że o rękę córki jego księżniczki Anny dwór francuzki usilnie czyni zabiegi.

Że jakkolwiek przekłada w każdym razie infanta za zięcia, chce jednak wiedzieć z wszelką pewnością czy może na niego rachować; gdyż w przeciwnym razie nie mógłby pogardzać tak korzystnym wydaniem córki za mąż z jakimś mu się ofiarują.

Poseł hiszpański Chantoney w wielkim był kłopotcie co odpowiedzieć, ponieważ zdrowie infanta a mianowicie siły fizyczne, bezwarunkowo nie pozwalały na wejście w związki małżeńskie. Chcąc zyskać na czasie, zaproponował Maxymilianowi połączenie drugiej jego córki z młodym królem portugalskim.

Ale Maxymilian zimno przyjął propozycję, wyraźnie dając do zrozumienia że stokroć wyżej ceni sobie połączenie córki z Karolem IX aniżeli z królem portugalskim, mimo potęgi jakąby połączone razem domy angielski, hiszpański i portugalski stworzyć mogły. Zakończył zaś żądaniem stanowczej odpowiedzi Filipa II, względnie infanta i księżniczki Anny. Kłopotu ambasadora co odpowiedzieć nacierającemu cesarzowi, nie podzielał bynajmniej Filip II; owszem w tém zwlekaniu miał pewien rodzaj zadowolenia, bo trzymał przez to w szachu Medyceuszkę. Był pewnym tego, że cesarz nie łatwo zrzeknie się najświetniejszej partyi jaką był naowczas Don Carlos w Europie, że więc nie odda starszej córki Karolowi IX ani nikomu, mógłby tylko oddać młodszą którejby téż Karol nie odrzucił. Lecz właśnie Filipowi II o to właśnie chodziło, aby i młodziej nie otrzymał; chodziło mu aby żadną drogą nie zdołała się Francya umocnić związkami z cesarstwem. Zamyślając młodszą córkę Maxymiliana poślubić z królem portugalskim, starszą zaś zachowując dla infanta (który ciągle jeszcze był słabym i niezdolnym) przecinał odrazu Medyceuszce całą sieć intryg, którą ta niemniej zrzecznie usnuć umiała.

Dla cesarza jednak, postępowanie Filipa II było podejrzanem, a już co najmniej zagadkowym. Objawił swą niecierpliwość i niepokój posłowi hiszpańskiemu, który wysilał swój dowcip, aby jako tako upozorować wieczne zwlekanie swego króla.

Słał więc list za listem do Madrytu prosząc o decyzją, lecz otrzymał tylko nakaz odwołania się do powrotu księcia Alby z Francji.

Maksymilian nie bardzo smakował w téj nowej wymówce, pobudzony nadto doniesieniem, że Don Carlos wielce życzy sobie księżniczki Anny za żonę, i że portretowi jej z wielką przyjemnością się przygląda. Może téż być iż go niepokoiła wiadomość, jakoby Medyceuszka uplanowała sobie ożenić Don Carlosa z córką swą Małgorzatą Valois. Nie wiedział on o tém z jakim chłodem przyjął Filip II tę propozycją. Potrzeba było jednak cokolwiek zaspokoić cesarza, którego wytrwałość byłaby chwalebną, gdyby nie ta okoliczność, że dyktował ją interes państwa; cesarstwo bowiem

z pomocą związku hiszpańskiego ustalało raz na zawsze swą przewagę. Filip II wiedział to wszystko, lecz że przeczuwał nie jedną jeszcze zwłokę, chciał przeto upewnić Maksymiliana przysłaniem wspaniałych podarków dla księżniczki Anny. Luis Vagnegues de Figuero odwoził je do Wiednia. Między innemi był pierścień brylantowy wartości 30,000 talarów. Maksymilian i jego małżonka przyjęli wysłańca nader uprzejmie, a Filip II znów zyskał na czasie, o co mu najwięcej chodziło.

Czas bowiem według niego trzymał w zanadrzu wypadki, a wypadki usprawiedliwiały te lub owe czyny.

(Dokończenie nastąpi).

WIKTORJA REGINA,

ZE WSPOMNIENIEN NARZECZONEJ.

UŁOŻYŁ

Jan Zacharyasiewicz.

(Ciąg dalszy).

XXV.

Przeszliśmy wzdłuż cały ogródek. Był to zwykły przedmiejski ogród, już z dawnych czasów dosyć zaniedbany. Tu i owdzie widać było ślady, że niegdyś służył on za przybytek jakiejś zamożniejszej rodziny. Prawdopodobnie jakiś stary szlachcic, życiem miejskiem znudzony, albo klęską powszechną z rodzinnego gniazda wygnany, przyszedł do miasta i przytulił się do ostatnich jego zabudowań. Kawałek pustego gruntu zasadził drzewami, a wśród nich postawił drewniany dworek z małą facyatką i gankiem wystającym. I przeżył tutaj prawdopodobnie resztki życia w osamotnieniu, chodząc codziennie na modlitwę do pobliskiego kościółka, albo otoczony liczną rodziną, patrzył z tego ganku ze zgrozą w przyszłość niedaleką, gdzie potomkom jego zabraknie korzystnych przywilejów, w braku których będą musieli zniżyć się do pracy osobistój, aby sobie na kawałek chleba zarobić! Może być, że owa szara nieznajoma, której dziwna postać takie wrażenie na nas sprawiła, jest wnuczką

albo prawnuczka owego pierwszego mieszkańca tego dworku, który tu powoli zamierał, nie mając nic przed sobą a wszystko za sobą!...

Podobne myśli przychodziły mi do głowy, gdyśmy szły wzdłuż ogrodu. Zapewne nie jedna burza przeszła po nad tym dworkiem i po nad temi drzewami sędziwemi. To, co pierwszy mieszkaniec tutaj dla przyjemności i wygody postawił i posadził, służyło prawdopodobnie jego potomkom za jedyny środek do życia. Drzewa dostarczyły mu owoców, ale nie dla niego. Sprzedawał je zapewne, aby za nie kupić chleba i soli. Ziemię pokopał w grządki i zagony, aby najpotrzebniejszej strawy powszedniej dostarczyła. I postarzały dworek o ścianach nachylonych mieścił kiedyś kilka rodzin, jak to widać było z okien w rozmaity sposób pomalowanych.

Dzisiejsi mieszkańcy prawdopodobnie nie dawno tu przybyli. W ogródku widać było dopiero usiłowania, aby tej pustce nadać jakiś lepszy pozór. Wprawdzie większą część ziemi przeznaczono na różne warzywa, ale nie zapomniano także o tém, aby i oko mogło się czém pożywić. Korzystano z każdej piędzi i zasadzono kwiaty. Zagony i ulice przyprowadzono także do porządku. Na odnowienie tylko domku nie stało jeszcze albo czasu, albo pieniędzy. Stał on smutny i obszarpany jesiennemi słotami.

Weszłyśmy do sieni. Szara nieznajoma otworzyła drzwi i zatrzymała się chwilę na progu, aby znajdującym się wewnątrz mieszkańcom dać czas do uprzątnienia różnych zawad.

Ciepła para uderzyła nas w oczy. Weszłyśmy z Ewunią do pierwszej izby.

W izbie było mnóstwo rzeczy, potrzebnych do ubrania kobiecego. Biały kołnierz i kołnierzyk, czepki i zarękawki leżały w beładzie wielkimi stosami. Podeszła kobieta, z surowym wyrazem na twarzy, stała przy stole z żelazkiem w ręku do prasowania. Nie patrzyła wiele na nas, zajęta swoją robotą. Chciałam ją pozdrowić, ale nie mogłam uchwycić żadnego jej spojrzenia. Byłyśmy dla niej tak obojętną rzeczą, jakby nas wcale w izbie nie było!

Całe jednak jej ułożenie świadczyło, że nie zawsze była tą pracą zajęta. Przyszła mi dziwna myśl do głowy, że może ta kobieta była kiedyś uprzejmą i uwielbianą gospo-

dynią domu, która gości swoich witała z czarującym uśmiechem na ustach, z błyskotnym dowcipem w każdym słowie! Rój wielbicieli otaczał ją dokoła, w ich oczach była i piękną i mądrą!...

Dziś się wszystko zmieniło! Zmarszczki pokryły jej twarz, ubóstwo zabrało wszystkie błyscidełka. Rój trutniów rozleciał się na cztery wiatry, i cóż jej tylko zostało? — Oto praca, tylko praca! Zajęta pracą nie widzi już świata przed sobą! Obojętni są jej goście, bo ona się dzisiaj już nie bawi, ale pracuje. Praca musi się wyrzec wszystkich form towarzyskich, bo na nie niestaje jej czasu.

Weszliśmy do drugiej izby. Tu był już większy porządek. Przy stoliku koło okna siedziały dwie młode dziewczynki i szyły. Przy nich leżały kawałki płótna, a na oknie książek kilka. Podłoga była czysta, stołki białe umyte.

Dziewczynki spojrzały przelotnie na nas i zaraz wróciły do pracy. Szara nasza przewodniczka pozdrowiła je serdecznym uśmiechem i otworzyła trzecie drzwi. Weszliśmy za nią z Ewunią.

Był to mały pokoik. Na ścianach widać ślady dawnego malowidła. W kącie za parawanem stało skromne, białą pościelą okryte łóżko. Koło okna mały stoliczek, na którym opierała się szafka z książkami.

Całą moją uwagę zwrócił fortepian. Był to instrument jednego z najznakomitszych fabrykantów. Utwierdzał on moje przelotne domysły, że mieszkańcy tego dworku schronili się tutaj zapewne po jakiejś przebytej burzy.

Nie szukałam zbyt daleko przyczyny takiej burzy. W naszych oczach odbywają się najdziwaczniejsze przemiany losów. Wielkie fortuny topnieją w krótkim czasie. Nie wszyscy mają ochotę zejść do wymagań dzisiejszych wyobrażeń: to téż herby starożytnych wodzów strąca z nad bramy zamkowej ręka przemysłowca, a natomiast pisze firmę swoją. Trudno rozstać się nam z dawnym życiem próżniaczem, kiedy próżnować było o czém. Do tego jeszcze nieprzyjazne wpływy nieba i ziemi zadają często ostatni cios tam, gdzie jeszcze tłała jaka iskierka dobrej woli i rozsądnych postanowień na przyszłość!...

Domysł więc mój, że tu mieszka podupadła jakaś rodzina, bynajmniej mnie nie zadziwił. W dzisiejszych czasach tyle biedy i nędzy widzimy tam, gdzie przed chwilą był dostatek a nawet i przepych!...

Smutno spojrzałam na palisandrowy fortepian, jakby na świadka lepszych i to niezbyt dawnych czasów. Od fortepianu podniosłam oczy, aby spojrzeć na młodą kobietę, która jakby w oczekiwaniu stała przed nami. Spotkałam się z jej spojrzeniem: było ono dziwne. Nie umiem go ani opisać, ani bliżej określić. Czułam tylko, że to spojrzenie wchodzi gdzieś w głąb duszy mojej, i ją na wskroś przenikało. Z trwogą odwróciłam się od tego spojrzenia, bo zdawało mi się, że ono może mi coś w duszy zatruć!...

Nieznajoma spostrzegła moją obawę przed jej badawczym wzrokiem. Podniosła głowę jednym rzutem do góry, i stała przed nami w tak dumnej i wyzywającej postawie, że ani Ewunia, ani ja nie miałyśmy odwagi opowiedzieć jej cel naszych odwiedzin. Uwolnił nas z tego przykrego położenia poczciwy żydek, który właśnie teraz za nami do izby zdążył. Wziął z rąk Ewuni przygotowane wzorki i podał je nieznajomej z potrzebnymi objaśnieniami.

Zdawało mi się że nieznajoma wcale tych objaśnień nie słyszała: osłupiałem okiem patrzyła bezmyślnie na podany wzorek. Po twarzy jej przebiegały od czasu do czasu jakieś dziwne dreszcze. Czasami były tak silne, że jej całą twarz dziwnie wykrzywiały. Oczy ciemno szafirowe przybierały chwilami blask jakiś nieokreślony.

Bardzo naturalnie wytłumaczyłam sobie to wszystko, com widziała. Stojąca przed nami hafciarka była prawdopodobnie dopiero w pierwszych tygodniach nowego swego zawodu. Fortepian i wiele innych drobiazgów, świadczących wymownie o dawniejszym jej stanie, przekonywały mnie, że mimo wszelkich rozumowań trudną dla niej była nowa jej rola. Być może, że do niedawna obce ręce pracowały na nią i ubierały ją od stóp do głowy: dzisiaj zmuszoną jest ręczną pracą zarabiać sobie na kawałek chleba. Przy najsilniejszym charakterze trudno jest ustrzedz się w takim razie od wzruszeń.

Tak wytłumaczyłam sobie tę dziwną, z dumą przed nami stojącą kobietę.

— Więc pani żądasz odemnie haftu według tego wzorku?—ozwała się po chwili głosem dziwnój jakiéjs wibracyi.

Zapewne sprawił ten głos na Ewuni wrażenie niepospolite, bo szybko odrzekła jakby się tłumacząc:

— Faktor w hotelu powiedział nam, że pani podejmujesz się prac podobnych!

— Tak jest—odparła spokojnie—jest to mój zawód!

I mnąc nielitościwie po rękę podany przez żydka wzorek, wpatrywała się we mnie z jakąś dziwną uwagą.

— Chciałybyśmy mieć od pani odpowiedź!—zauważyłam nieśmiało po chwili.

Zdawało mi się, że szara nieznajoma namyślała się nad odpowiedzią. Po twarzy jój przebiegały najrozmaitsze odcienia; na pół otworzone usta drżały, jakby im trudno było wymówić tych słów kilka. Wreszcie odetchnęła głęboko i rzekła:

— Za tydzień może pani przysłać. Nazywam się Kornelia.

— Czynię jeszcze panią uważną—wtrąciła Ewunia—że ta robota potrzebną jest do wyprawy.

— Wiem o tém—odrzekła szybko hacziarka i poczerwieniała, a potem szybko zbladła na twarzy.

Ewunia spojrzała na mnie z zadziwieniem. Uśmiechnęłam się boleśnie, bo w téj chwili serce mi się ścisnęło. Przyszło mi bowiem na myśl, że ta stojąca przed nami młoda i piękna kobieta marzyła prawdopodobnie niegdyś o podobnej wyprawie dla siebie. Roje snów rozkosznych okręzały jój młodą główkę. Dzisiaj, przy biedzie i niedostatku potrzeba może wyrzec się na zawsze tych marzeń złotych i służyć tylko za narzędzie do szczęścia innych!... Ulitowałam się nad biedną ofiarą przewrotów społecznych i chcąc ją pocieszyć, o ile to w téj chwili było w mojej mocy, rzekłam do niej:

— Ponieważ kuzynka moja wspomniała o wyprawie, mogę więc w razie potrzeby zażądać pomocy pani?

Spotkałam się w téj chwili z jój wejrzeniem. Było w niem tyle boleści i ironii, że jój więcej nic powiedzieć nie mogła. Zwróciłam się do Ewuni, dając jój do poznania, że tutaj nic więcej nie mamy do czynienia. Ewunia czekała

tylko na ten znak i szybko zbliżyła się do drzwi. Żegnając nas ozwała się Kornelia:

— Jeżeli w czém pani pomocną być mogę, uczynię to chętnie!

Odetchnęłyśmy swobodnie na ulicy. Właśnie chcieliśmy obie z Ewunią udzielić sobie wzajemnie kilka słów o wrażeniu, jakie sprawiła na nas ta kobieta, gdy do nas zbliżył się młody, jasnowłosy mężczyzna, który jakby na nas czekał przy bramie.

Nieprzyjemném było dla mnie to spotkanie. Młody ten człowiek znany był w całej naszej okolicy; nazywał się powszechnie pan Sławosz, chociaż nie wiem, czy to imię słowiańskie nadano mu przy chrzcie, czy później sam sobie je przywłaszczył. Był to jeden z tych próżniaków miejskich, których każda obca kobieta, przyjeżdżająca za interesem do miasta, spotka za sobą.

Pan Sławosz był ozdobą takich próżniaków. Matka jego miała niegdyś znaczny majątek tuż pod miastem. Owdowiawszy młodo, porzuciła wieś i jako niezrozumiana dotąd i niepojęta kobieta, osiadła w mieście, aby się dać bliżej komu pojąć i zrozumieć. Zabawa ta kosztowała ją dosyć drogo, bo i majątek przeszedł i młodość przeszła. Został jój tylko Sławosz, jasny jak laleczka blondynek, który niczego w życiu się nie uczył, a o którym miała kochana mama to wyobrażenie, że się może ożenić z panną o milionowym posagu. Stosownie więc do téj roli zaopatrywała go zawsze w jasne rękawiczki, a fryzyer miasteczka urozmaicał jego głowę co kilka miesięcy w najnowsze pukle na kredyt.

Pan Sławosz czekał na nas przy bramie i według wszelkiego prawdopodobieństwa miał niezachwiane przedsięwzięcie odprowadzić nas przez całą długą miejską ulicę dlatego tylko, aby mieszkańcy miasta przy nas go widzieli.

— Myślałem, że panie przemieniły się w białe gołąbki i dymnikiem tego dworku wyleciały!—zagadnął do nas zdejmując kapelusz.

— Byłby to z naszej strony koncept niefortunny—odparła Ewunia, która często lubiła drwić sobie z niego.

— Spodziewam się, że przyrównaniem do białych, niewinnych gołąbków bynajmniej paniom nie ubliżyłem!

— Wcale nie! Ale nabawiłeś pan nas niemałym strachem!—mówiła dalej Ewunia.

— Nie wiem dlaczego?

— Boś pan z dzisiejszą fryzurą podobny zupełnie do jastrzębia! Wyobraź pan sobie, gdybyśmy były gołąbkami....

— To *mój* fryzyer przestraszył panie a nie ja. Mówił mi łotr, że ta fryzura nazywa się *à la Pappenheim!*

— Pomylił się pański fryzyer—odparła Ewunia zachodząc się od śmiechu—są tylko buty *à la Pappenheim!*

— To wszystko jedno—przerwał niepokonany bohater małego miasta—buty czy nie buty, ale widać, że *mój* fryzyer jest czytany!

— W każdym razie czyni on zaszczyt panu!

— Tam do kata! A on mi codziennie mówi, że ja jemu zaszczyt czynię! Obnoszę bowiem na mojej głowie sztukę jego po całym mieście i napędzam mu zarobku!

— I jesteś pan dla niego chodzącą reklamą!

— Dalibóg prawda! Pani mówisz jak z książki! Nie ja jemu, ale on mnie płacić powinien! Kto ma bowiem tyle stosunków....

Widziałam, że Ewunia gotuje się z jakimś nowym żartem dla biednego Sławosza. Miałam zawsze litość z ubogimi na duchu. Żał mi się zrobiło biednego Sławosza. Przerwywając Ewuni rzekłam do niego:

— Czy nie znasz pan tej młodej kobiety, u której byliśmy?

— A! szarady, szarady naszój!—odparł dowcipnie pan Sławosz.

— Jakto? Szarady?

— Bo ona u nas nazywa się szaradą. Raz dlatego, że zawsze w szarych sukniach chodzi, powtóre, że nikt nie może odgadnąć kto właściwie ona jest. Próbowano wielu zbliżyć się do niój, ale odeszli z nosami na kwintę. Ja sam...

— Cóż się panu wydarzyło.

— Ot, powtarzać niema co, ale zawsze warto wiedzieć. Przed pół rokiem zjechała tutaj i zajęła ten opuszczony dworek. Zrazu widzieliśmy w niój kobietę dystygowaną. Czy to na ulicy, czy to w kościele sprawiała zawsze efekt. Mówiono na ucho, że księżniczka jakaś z Ukrainy dla kaprysu wybrała sobie takie *incognito*. Więc chodziliśmy gęsiego

za nią, gdzie się tylko pokazała. Bo téżto i warto chodzić. Piękność rzadka!

— Pan zaczynasz być rozwlekłym!

— Razu jednego spotkałem ją na ulicy Franciszkańskiej. Chodziłem trop w trop za nią. Stałem po godzinie przy każdych drzwiach sklepowych. To była kampania nie-lada! Wreszcie zdawało mi się, że ją nieustanném fixowaniem skruszyłem. Wychyliła się ze sklepu z porywającym uśmiechem i podając mi sztukę płótna o pięćdziesięciu łokciach, rzekła do mnie: *Pardonez monsieur*, mój służący nie nadszedł. Czybyś pan nie mógł mi téj grzeczności wyświadczyć i to płótno matce mojej oddać? *Parbleu!* pomyślałem sobie, to przecież ona sama zawiązuje, a nawet od razu poznaj matkę, zaprezentuję się....

— A tymczasem!

— Biegnę ze sztuką płótna, która najmniej ćwierć centnara ważyła, fantazyja oskrzydła me kroki, marzę o podwojach książęcych, a tu tymczasem wychodzi do mnie jakaś szwaczka!...

— I czy to pana rozczarowało?—zapytałam pana Sławosza dosyć zgryźliwie!...

— A jużci!—odparł dandy miasteczka—jakiż bowiem relacye mogę mieć z córką szwaczki? I tak odegrałem dosyć śmieszną rolę służącego, o czém tylko paniom w zaufaniu powiadam!

Przyszła mi dziwna myśl do głowy. Chciałam próżniakowi miejskiemu dać materyał do zapełnienia czasu i chciałam przytém skorzystać coś dla mojej ciekawości. Rzekłam więc do niego z całą powagą:

— Niech się pan nie smuci tym domysłem, żeś uczynił przysługę pracce. Bardzo słusznie nazywacie ją panowie szaradą. Jest ona prawdziwą, dla panów nieodgadnioną szaradą. Ja która teraz od niej idę, a byłam tam nie bez pewnego celu, mogę to panu sumiennie powiedzieć, że to nie jest szwaczka!... Są wypadki w życiu... są wyjątkowe położenia, gdzie, choćby dla chwilowego kaprysu, wypada odegrać pewną rolę...

Pan Sławosz otworzył gębę na rozcież. Potém uderzył się po czole, aż pięciu żydów się obejrzało i krzyknął:

— Julko miał słusność! Gdym mu pod sekretem powyższe zdarzenie opowiadał, powiedział mi to samo. Mówił: Wiesz Sławoszu, nie umiałeś z szczęścia korzystać! Kto wie, kto to być może? Czytałem niedawno w kalendarzu, że jakaś milionerka, chcąc się przekonać, czy ją kto bez pieniędzy kochać będzie, poszła za pannę sklepową! Kto wie...

— Być może, że pański przyjaciel miał słusność!

— A wiesz pani że w tém coś jest!... Razu jednego wieczorem zabłądziłem tutaj i zacząłem krążyć około tego dworku. Okna były otworzone, wieczór ciepły a księżyc świecił jak we dnie. Z okna wychodziły tony muzyki. Na trawie była rosa, a mówią że muzyka lubi się ślizgać po rosie. Otóż jak zaczęły po téj rosie jechać do mnie różne akordy i tryle, to mówię paniom, że podobnej muzyki nie słyszałem, chociaż żaden koncert w mieście nie obejdzie się beze mnie! Mama mówi, że muzyka to mowa dusz; dalipan, moja dusza coś tam jęj nawzajem szwargotała!.. Ale nie dość na tém. Zaczęła śpiewać!... Aj, aj, aj! co to był za śpiew! Mówię paniom, że takie miałem uczucie, jakby mi kto serce z piersi wypruł i z niem potem uciekał odemnie!...

— Cóż potem nastąpiło w dziejach serca pańskiego?

— Co?... Rozczarowanie! Okrutne rozczarowanie!

— Cóż sprowadziło to rozczarowanie?

— Myśl złowieszczą, że to śpiewa praczka!

Smutne uczucie ogarnęło mnie w téj chwili. Pocziwy Sławosz wypowiedał się tak jasno, czém dla niejednego mężczyzny jest kobieta!... Gdyby była księżniczką, gdyby zresztą miała jaki posag nieszpety, pan Sławosz byłby do dziś jeszcze rozczulał się nad jęj śpiewem, nad wdziękami i przymiotami jęj duszy!... Dowiedziawszy się jednak, że jest biędną, że pracę rąk swoich musi na codzienny chleb zarabiać, znikł z przed jego oczu cały urok, który przed chwilą ją otaczał!...

I pomyślałam sobie, czémby i ja byłam dla tego brzydkiego świata, gdybym nie miała posagu? Myśl ta zaparła mi na chwilę oddech w piersi, a biędna szara hafciarka stanęła mi przed oczy smutna i zapłakana!...

— Tę myśl, to jakiś zły duch panu podszeptał,— rzekłam po chwili — a gdyby to nawet rzeczywiście była praczka...

Pan Sławosz otworzył szeroko usta. Rozśmiałam się nad wychowaniem biédnego gagatka, który prawdopodobnie pod obcym płótem umrze, bo pracować nie umie, i rzekłam do niego z powagą:

— Raz jeszcze panu mówię że życie ma wiele tajemnic niezgłębionych... Wielu patrzy tylko oczyma i widzą tylko to, co zwykłemi oczyma widzieć można! Szczęśliwszy, kto własną zasługą wykryje tajemnicę...

Podobało się Ewuni to zaciekawienie pana Sławosza. Popychając myśl moją jeszcze dalej, mówiła do niego:

— A ja ręczę panu, jeżeli pan zadasz sobie tylko przez kilka dni tyle pracy, aby zawsze być koło dworku, to pewne odkrycie może pana uszczęśliwić!.. W szarój łupince mieści się drogocenna perła, a wasza szarada, jeżeli kto odgadnie będzie sowitą nagrodą!

— Panie wprowadzają mnie na straszliwie rozkoszne domysły,— odparł pan Sławosz—a teraz nawet wierzę, że to nie może być praczka, która tak pięknie gra i śpiewa... to coś wyższego, coś z „z towarzystwa...”

— A cokolwiek pan się dowiesz, podzielisz się z nami! — dorzuciłam z uśmiechem.

W tój chwili stanęliśmy przed hotelem. Powóz już czekał na nas.

XXVI.

W drodze mówiłyśmy z Ewunią czas niejaki o szarój młodój kobiecie, o której wiedziałyśmy tyle, że się nazywa Kornelia. Ewunia miała dobre serce, więc ubolewała uad nią wraz ze mną. Nie przeczyła memu zdaniu, że położenie tój kobiety jest nader smutne, że prawdopodobnie dawniej była w dostatkach a teraz jeszcze zupełnie nie wzięła się w nową kolój życia. Tém tłumaczyłyśmy sobie jój dziwną rolę w obec nas. Mówiłyśmy także o panu Sławoszu, a Ewunia cieszyła się z mego konceptu, że potrafiłam tego miejskiego próżniaka zaciekawić osobą nieznaną. Spodziewała się ztąd jakichś ciekawych, a może nawet romantycznych wiadomości o kobiecie, która również i dla nas była istną szaradą.

Po niejakiem czasie przestałyśmy mówić o tém zdarzeniu. Dla Ewuni, która nie lubiła zajmować się długo jedną myślą, przestało prawdopodobnie to zdarzenie być ciekawem. Dla mnie miało ono coś nieodgadnionego, tajemniczego. Wyobraźnia moja nawiązała do niego dziwne nici i snuła z nich jakąś tkankę fantastyczną!.. Milczałyśmy obie przez resztę drogi.

W domu czekała nas niespodzianka. Zastałyśmy Stanisława: przyjechał po Ewunię. Po przywitaniu się z nami dobył pugilaresik i z uśmiechem tajemniczym wyjął mały, na cienkim papierze pisany liścik.

— Papier ten, — rzekł do mnie — ma dla kogoś wielką wartość. Zdaje mi się, że nie potrzebuję być dyskretnym w tym razie. Wprawdzie pisze Cezaryusz do mnie, ale widać z całego listu, że był tak pisany, aby go narzeczona czytać mogła. Przyjaciele i krewni narzeczonę odgrywają czasem dziwną rolę. Narzeczony czyli kochanek otwiera przed niemi serce, spowiada się z wszystkich uczuć i marzeń swoich. Niedomyślni wierzą, że to dla nich jest ten afekt szczególny; a oni tymczasem są tylko konduktorem, posłańcem, który ten afekt komu innemu ma przenieść!..

— I cóż pisze Cezaryusz? — zawołała Ewunia sięgając ręką po list.

— Za pozwoleniem — odpowiedział Cezaryusz podnosząc rękę z listem do góry — za pozwoleniem, ten list należy wyłącznie do Reginy, chociaż niby do mnie jest stylizowany!

Rumieniec wystąpił na moją twarz. Serce odezwało się żywiéj. Dziwne ogarnęło mnie wzruszenie.

Wyobraźnia kobiety ważną gra rolę w dziejach jéj serca. Gdyby w téj chwili stał przedemną sam Cezaryusz, i to co w tym liście było napisane, ustnie wszystko wypowiedział, może nie byłby na moją twarz wyszedł rumieniec, ani serce nie doznałoby tego dziwnego wzruszenia; ale Cezaryusza nie widziałam już kilka tygodni: był tylko w mojej pamięci, a wyobraźnia zajmowała się nim dosyć często. Odtwarzała go w najrozmaitszém oświetleniu, i wynajdowała dla niego rozmaite sytuacje. Raz widziałam go smutnego, siedzącego w samotnym dworku swoim z twarzą ku mnie zwróconą, liczącego drgnienia wskazówki na zegarze. Odwrotnie znowu patrzyłam na niego, jak zapomniawszy o mnie rzucił

się wolny i swobodny w świat uciech i zabaw kawalerskich, a czoło jego marszczyło się, gdy go myśl nachodziła, że tam gdzieś na podgórzu karpackim ma narzeczoną, która jest koniecznym, piątym aktem w dramacie życia!... Przyznam się, że w takim razie niepokoiło się serce moje, a śród tego niepokoju wchodził Cezaryusz coraz więcej w głąb duszy mojej i stawał się jej nieoddzielną własnością...

To też list Cezaryusza poruszył aż do dna serce moje. Wzięłam go z ręki Stanisława. Ewunia pochyliła się na moje ramię, aby wraz ze mną czytać: lekko odsunęłam ją ręką od siebie i rzekłam:

— List ten chociaż pośrednią drogą przyszedł do mnie, jest jednak moją wyłączną własnością. Listu narzeczonego nie profanuje się wspólnym czytaniem. Daruj Ewunio, ale słowa te pisane straciłyby wszystko dla mnie, gdyby równocześnie i twoje oczka je czytały. Niech ja pierwój sama z niemi się napieszczę, a potem jeżeli uznam za stosowne, mogę ci coś z nich udzielić.

Rzekłszy to, schowałam list za rąbek sukni i wyszłam z nim do mojej biblioteczki.

Spojrzałam po szafach z książkami, czy który z dawnych moich przyjaciół na mnie nie patrzy: wszyscy patrzali na mnie, i zdawało mi się, że mi są radzi. Jakoś jaśniejszym wydał mi się w tej chwili ten pokój ciemnymi firankami osłoniiony, powietrze, którym oddychałam, było pełne jakiejś woni przyjemniej... Rzeczywiście kochałam Cezaryusza w tej chwili!

Z dziwnym wzruszeniem rozwinęłam papier i czytałam:

— „Nie rozumiem i nie pojmuję sam siebie. Odkąd wasze strony opuściłem, nie mam ani jednej chwili, w którejby myśl moja nie była przy was! Tutaj tłoczą się wkoło mnie dawne figury, którym tyle życia poświęciłem! Wierzaj mi, patrzę na nie z pewnym wstrętem. Wszystkie wspomnienia, które się do nich wiążą, napawają mnie goryczą, żem był tak ślepym, żem prócz ich nieodłącznych conceptów nic innego w świecie nie podziwiał!... Gdy sobie pomyślę, że ci ludzie wzięli mi tyle drogiego czasu z mego życia, i do tego jeszcze wmówili we mnie, żem się z niemi bawił, bierze mnie ochota zamknąć ich do domu karnego i wytoczyć im proces o kradzież i rabunek popełniony nie tylko na mnie, ale na całym

społeczeństwie!.. Zapytasz mnie może zkąd we mnie taka zmiana? Nie: wiem, że nie zapytasz. Ty wiesz dobrze, kto mnie przemienił i co mnie przemieniło! Zaprawdę, przy niej wszedłem w jakąś inną, świetlaną atmosferę. Obaczyłem rzeczy, które dla mnie były pierwój niewidome! Usłyszałem harmonią, której śród gwaru niższego świata rozróżnić nie mogłem. Napoiłem serce i duszę jakimś innym czarownym napojem!.. I po tém wszystkim chcesz, aby mi ta duszna, zgniła atmosfera nie ciążyła na piersi?.. Ale z drugiej strony żal mi całej mojej bezużytecznej przeszłości! Dzisiaj potrzeba było zbierać, a jam nic nie siał! Czasami nawet chwyta się mnie myśl rozpaczliwa, czy to już nie jest zapóźno?... Serce jednak odpowiada mi zawsze, że dla tego kto kocha, nic nie jest zapóźno, nic nie jest nie możliwego. To też wracam się do rzeczy, które już dawno spełnić byłbym powinien, zaczynam od abecadła, aby przynajmniej zbliżyć się do tego ideału, o którym mówiliśmy z Reginą!.. Czuję, że dla niej muszę stać się lepszym, niż dotąd byłem, inaczej nie dam jój tego szczęścia, jakiego pragnie jój dusza...”

Przeczytałem te słowa kilkanaście razy, a czytałem je zawsze z dziwném wzruszeniem serca. Były one dla mnie świadkami, że Cezaryusz mnie kocha i że to wszystko było nieprawdą, co mi wyznała wyobraźnia moja śród wielkich udręczeń. Na tę czystą spowiedź uderzyło wzajemnie serce moje, a imię Cezaryusza wżyło się głębiej w tajniki duszy!..

Długi czas siedziałam w biblioteczkce. Chciałem do końca wysnuć wątek marzeń moich; ale nader trudno było mi przyjsć do tego końca. Każda myśl nawiązywała drugą, każdy obrazek łączył się z drugim jakby jakie cudowne panorama. Zdawało mi się, że Ewunia słusznie utrzymywała, mówiąc niegdyś zemną o miłości. Według jój zdania należało tylko uchwycić tę nić złotą, a reszta znajdzie się sama z siebie: należy tylko iść po tój nici dalej, a dojdzie się do samego pasma.

I ja w tój chwili widziałam już przed sobą to złote pasmo, owe runo mytyczne, po które trzeba przepływać tyle cichych zdradliwych głębin, tyle wzburzonych fal i bałwanów morza!..

Z twarzą zarumienioną wyszłam do Ewuni. Chciałem wyjść do niej spokojną, z sercem regularnie bijącym, ale tego

uspokojenia nie mogłam się doczekać; przeciwnie samotność drażniła mnie co raz więcej.

Ewunia czekała na mnie z niecierpliwością: jej piękne, pogodne czoło pokryło się nawet małą chmurką.

— Wierzę teraz — rzekła do mnie — że jesteś samolubną i dla mnie nie masz żadnej przyjaźni!

— Czy cię to zadziwia? — odpowiedziałam z uśmiechem — wszak mówią serce jest największym egoistą!

Spojrzała na mnie z zadziwieniem. Pomyślała chwilkę a wyciągając rękę po list, ozwała się:

— Już mnie nudzą twoje dziwaczne sentencje! Daj prędko list, niech przeczytam! Dosyć długo pieściłaś się nim!

Schowałam list do kieszeni, a biorąc Ewunię pod ramię pocałowałam ją w skronie i rzekłam:

— Przebacz mi, ale listu tego teraz nie dostaniesz. Może później. Nie wiem czy jestem zazdrosną, że to, co się mnie tyczy, dla siebie samą zatrzymać pragnę, czy mniej prózną, że ze zwycięstw moich przed światem nie mogę się chełpić!

— Co też ty bredzisz?

— Ewunio, w tém zawsze różnić się będziemy. Tybyś nie była szczęśliwą, gdyby szczęścia twego inni oglądać nie mogli, a ja całe szczęście moje widzę tylko w tajemnicy serca! Pozwól mi pieścić się tą tajemnicą, a mój pocałunek niech ci świadczy, jaką jest ta tajemnica!

I ucałowałam ją z całą namiętnością kochającej kobiety!

XXVII.

Od tego dnia coraz więcej myślałam o Cezaryuszu. Nie było prawie chwili, w której nie widziałabym go przed memi oczyma. Coraz jaśniejsza atmosfera otaczała go. Wpatrywałam się w rysy jego, śledziłam najmniejszych objawów jego charakteru i usposobienia. Byłam w tej mierze podobną do poddanych, którzy z trwogą i nadzieją śledzą przymiotów następcy tronu. Zaiste, Cezaryusz miał wkrótce zostać władcą całego mego życia, czyż mogło mi być obojętnem, jakie będą jego rządy?

Listy nadchodzące teraz co dzień prawie do Stanisława, odślaniały mi coraz więcej Cezaryusza. W samą rzecz nie omyliłam się w moich nadziejach, że z oddalenia lepiej go poznam, niżeli stałby przy mnie nieodstępnie aż do ślubu. Serce ma tyle spraw subtelnych, które giną w życiu codziennym; życie bowiem nasze jest dzisiaj tak realnie nastrojone, że każda odmienniejsza struna wydaje się dziwnie niezgodnym brzęczeniem. Znałam ludzi kochających się, którzy w obec siebie nigdy tém nie byli, jakimi odsłonili się później w listach do przyjaciół. To też i dla mnie każde słowo Cezaryusza miało znaczenie daleko sięgające. Z pojedynczych tych słów mogłam sobie dopiero złożyć całego człowieka i śledzić jego przeobrażenie się pod wpływem uczucia, które jego serce ogarnęło!

Co do mnie, zdaje mi się, że Stanisław nie szczędził różnych wskazówek Cezaryuszowi. Nie wypytywałam go o to nigdy. Ewunia tylko wyszczebiotała coś czasami, co mi zawsze rumieniec na twarz wywoływało. Była to jednak dla mnie przestroga, że mnie obserwują i Cezaryuszowi o wszystkiém sprawę zdają. Nie mogłam więc być zupełnie szczerą dla Ewuni, bo nie chciałam aby Cezaryusz wiedział więcej, niżeli godność kobieca zezwolić może: zresztą nie maskowałam się w niczem.

Z listów Cezaryusza dowiedziałam się, że między nami była dziwna emulacja. Podczas gdy ja kilka godzin dziennie poświęcałam na to, aby ostatnią naszą wspólną myśl w czyn przyprowadzić; gdy już nawet spore grono biednych dzieci wkoło siebie zebrałam, abym im dać to wszystko, do czego zarówno z każdym człowiekiem niezaprzeczone prawo miały: pisał Cezaryusz do Stanisława w jednym z swoich listów między innymi:

— „Wracam jeszcze do tego nieszczęsnego serca. Regina powiedziała mi, że nic nie ma bardziej upakarczającego dla mężczyzny jak być zerem. I zaprawdę, gdy teraz o tém myślę i w życiu się rozpatruję, to prawie wszyscy jesteśmy zerami! Któżto z was ma przynajmniej ochotę wyjść z tego zakłętego kółka i stać się jakąś cyfrą? Nam się zdaje, że już jesteśmy czémś, jeżeli nam przypadek włożył pod poduszkę pełną kiesę. Zdaje nam się, że jesteśmy czémś, jeżeli z téj kiesy hojnie wydajemy, rozumie się dla

siebie!... Zdaje nam się, że nikomu za to nie jesteśmy odpowiedzialni. A my tymczasem wzięli tylko pożyczkę od społeczeństwa, od której potrzeba spłacać procent i dawać kwotę amortyzująca dany kapitał!.. Bo weźmy tylko na uwagę, że to wszystko co mamy, jest majątkiem społeczności; cóż się stanie z tą społecznością, jeżeli w pojedynczych częściach całą sumę stracimy... Nie ma położenia, któreby wyłączało nas od pracy osobistej, od pracy w szerszym i ciasniejszym zakresie słowa. Może cię zadziwia, skąd nagle takie myśli biorą się w mojej głowie? Oto odpowiem ci szczerze: czytam i czytam dosyć wiele. Czyń i ty to samo, a podobne zdania nie będą ci się wydawać dziwnymi!..”

W drugim liście pisał znowu Cezaryusz:

— „Piszesz mi, że Regina poświęca kilka godzin ulubionej myśli swojej. I ja tutaj nie próżnuję. Objechałem moje sąsiedztwo. Wszędzie byli mi radzi i zaraz po przywitaniu kładli karty preferansowe na stół... Nie uwierzysz jak wiele tutaj apatyi dla wszystkich wyższych interesów. Zgnilizna kompletna, a trzeba zaczynać od pracy Herkulesa. Patrzą na mnie z politowaniem i mówią, że obudziła się we mnie ambicya i chiwość jakichś zaszczytów powiatowych. To mnie jednak nie zraża. Sądzę że Reginie zdam dosyć korzystny rachunek z czasu, w jej nieobecności przebytego.”

Podobne listy rozświecały co noc więcej mój horyzont. Zdawało mi się, że czarodziejskie uczucie miłości przetrwarzało zwolna Cezaryusza, który z każdą chwilą stawał się podobniejszym do mego, wymarzonego ideału. A im więcej w wyobraźni mojej do niego się zbliżał, tém żywiej i rozkoszniej biło mi serce, z tém większą tęsknotą oczekiwałam jego powrotu.

Były chwile, w których czułam się zupełnie szczęśliwą. Patrzałam w przyszłość jasną i pogodną, a na tém pogodnym i czystym niebie szczęścia kreśliłam ulubione moje obrazy, bez których dusza moja żyć nie mogła!

W tój dobie szczęścia i rojeń rozkosznych chciałam aby wszyscy co mnie otaczają, byli również szczęśliwymi. Nie mogłam patrzeć na biednego żebraka, któryby nie pożegnał mnie weselszym, na pracującego wieśniaka, którego znoju nie osłodziłabym słowem i czynem. Chore wieśniaczki miały we mnie lekarza i opiekuna, a spragnieni na du-

chu dostawali odemnie pożywność, na jaką tylko mnie stać było. Nawet zwierzęta wiedziały że byłam szczęśliwą, bo smutnych i zgłodniałych nie mogłam widzieć przed sobą. Serce przepełnione szczęściem chciało wszędzie nieść z sobą szczęśliwą swoją atmosferę...

Jeden punkt czarny stanął mi teraz w drodze. Potrzeba było pojechać do miasta po haft zamówiony.

Biędna hafciarka przychodziła mi często na myśl. Utwierdzałam się coraz więcej w tém przekonaniu, że to jakaś ofiara losu, która godna jest pomocy mojej. Myślałam nieraz o niej i o sposobie, jakby jój prawdopodobne nieszczęście osłodzić można było. Wpadałam na różne plany, ale wyrokować o nich nie mogłam, póki się bliżej téj nieszczęśliwej istocie nie przypatrzyłam.

W tym celu wybrałam się pewnego dnia do miasta. Ewuni nie brałam ze sobą, bo zdawało mi się że sama bliżej będę mogła przystąpić. Zresztą dla mnie była hafciarka jakimś ciekawszym przedmiotem niżeli Ewuni się wydawała. Nie wiem dlaczego, ale zawsze z pewnem wstrząśnieniem serca przychodziła mi myśl o niej do głowy. Zdawało się jakobym się czegoś obawiała. To utwierdzało mnie, że w jój pięknych, lecz smutnych rysach twarzy mieści się jakaś tragedia, która już zdala, jak chmura gromami brzemienna, mroźnym wiatrem zawiewa...

Przez całą drogę tylko o niej myślałam. Myślałam także i o Sławoszu i ciekawam była pierwszego jego spotkania: spodziewałam się od miejskiego próżniaka jakichś ciekawych wieści w téj mierze.

Jedno z tych oczekiwań spełniło się zaraz przy wjeździe do miasta: przed hotelem stał Sławosz w angielskim kapelusiku i jasnych rękawiczkach; miał twarz ku mnie zwróconą, jakby na mnie czekał.

— Byłem pewny, że panie przyjadą—rzekł do mnie otwierając drzwiczki powozu i podając mi rękę.

Podał także rękę i pannie służącej, która mi towarzyszyła, a poznawszy że to nie Ewunia, cofnął się na stanowisko jemu przynależne i powtórzył do mnie powyższe słowa swoje, z niejaką jednak odmianą:

— Byłem tego pewny, że pani przyjedzie!

— Czy to pan opierasz tylko na jakimś przecuciu?
— zapytałam żartobliwie.

— O nie, wcale nie na przecuciu! — zaprotestował szczerzy i otwarty pan Sławosz — ale na dzisiejszym śnie moim!

— Czy można wiedzieć, co się panu śniło?

— Już nad samym ranem, gdy Piotruś przyniósł mi do łóżka kawę z ładnym kożuszkciem, zdrzemnąłem sobie jeszcze raz, a to, dlatego, że wczoraj późno w noc byłem na nogach, wypełniając rozkazy pani!

— Moje rozkazy?

— A tak! Najprzód pani mi rozkazała, a potem ja sam sobie rozkazywałem, bo to stało się dla mnie wielką rozrywką. Nie uwierzysz pani jak nasze miasto jest przerażająco nudnym. Zawsze jedne i te same znane figury! Wiem już o której godzinie, minucie i sekundzie obaczę jedną z tych figur. Wiem nawet jaki program jest ich ubrania na cały tydzień. Wiem co mówią do siebie i co za tydzień powiedzą. Jednostajność i ciasnota aż rozpacz bierze! Gdyby nie ta szarada, czy raczej gdyby nie pani zaciekałaś mnie tą szaradą, nie byłbym już miał żadnego konceptu do dalszego życia. Być może, że w braku wszystkiego, byłbym się może zakochał...

— Takiego braku nigdy pan w życiu swoim nie uczujesz — przerwałam szybko Sławoszewi, który miał ochotę coś z tych słów dalej wysnuć, jak to śmiejące się jego oczy przepowiadały.

Biędny Sławosz spojrział na mnie z uwagą, jakby nie wiedział, czy za słowa moje ma się gniewać czy podziękować. Namyslił się jednak na drugie; ze słodkim uśmiechem pochylił głowę naprzód i odparł:

— Pani jesteś zawsze dla mnie zbyt łaskawą. Rzeczywiście w życiu jest tyle zajęć i różnych interesów, że o podobnej próżni trudno nawet pomyśleć. Ale przychodzi czasem kreska na Matyska! Ręczę pani, że czasami mamy w życiu taką samą przyjemność, jak przy czytaniu romansu!

— Jakże pan daleko zaszedłeś!

— Nie, pani: jestem bardzo blisko. Czytając romans ciekawi jesteśmy, co to będzie w drugim rozdziale; a ja nie mniej ciekawy jestem, gdy wieczorem dostanę się do

ogrodu panny Kornelii i przez okno ją obaczę. Pomyślę sobie przytém, co to będzie, jeśli jeszcze pół godziny będę patrzył?... I tak mija godzina po godzinie, a ja nawet nie czuję, że się zaziębił i kataru dostał!... Co téżto może jedna, zagadkowa kobieta! To jeszcze stokroć ciekawsze od romansu!

— Więc dowiedziałeś się pan co o panie Kornelii?

— Tyle co nic; ale to zawsze jest dosyć wiele, są bowiem w mieście ludzie, którzy i tyle nie wiedzą. Julko np. powiada.... ale co tam o tém mówić, co bądź głupiec gada! Pies szczeka w lesie, a wiatr niesie!

— Niech pan wróci do panny Kornelii!

— Zgadłaś pani, że ona trzyma w garści jakąś wielką tajemnicę; ale cóż z tego, chcę zajrzeć, to zawsze obaczę—figę!

Rozśmiałam się, patrząc teraz na twarz Sławosza. Malował się na niej taki rozpaczliwy smutek, a szeroko otwarte oczy jego z brwiami w górę podniesionymi wyglądały jak u pierwszego tragika sceny niemieckiej. Zapytałam go po chwili:

— Czy pan mówisz o jakim rzeczywistym fakcie, czy tylko używasz figury krasomówstwa?

Sławosz pomyślał chwilę, posunął palcem po szerokim czole i odparł:

— Chciałem tém słowem „figa” oznaczyć zawód mój, jaki mnie spotyka każdego wieczora!

— Ale przecież opowiedz mi pan co!

— Wszystko pani opowiem. Czternaście wieczorów spędziłem w bliskości tego zaczarowanego dworku i nic nie widziałem!

— Nicesz pan nie widział! Nic nie słyszał?

— Nic nie widziałem, to prawda, ale nasłuchiwałem się za to co niemiara!... Po całych wieczorach bowiem, jeśli nie pracuje, nie modli się i nie płacze, to gra i śpiewa! Otóż téj gry i tego śpiewu aż mi nadto było, chociaż przyznam się, że wołałem to niżeli klęczenie i płkanie!... A gra i śpiewa zawsze tak smutno, aż serce boli. W pieśni jednej powtarzała kilka razy, i dlatego zostało mi w pamięci:

„Wzięłaś serce, wzięłaś duszę
A ja żyję, i żyć muszę!...”

Sławosz wydekłamał te wiersze tak patetycznie, że w inném usposobieniu wywołałyby śmiech na moje usta. Przyłożył rękę do piersi, czoło namarszczył a głowę podniósł do góry, jak to widział w tragicznych rolach wędrującej trupy teatralnej. W tej chwili jednak nie mogłam się rozśmiać. Tych kilka w prostocie ducha wymówionych słów Sławosza odsłoniły mi tajemniczą zasłonę, jaka kryła przedemną tę biedną kobietę. Była to prawdopodobnie ofiara nieszczęśliwej miłości: prawdopodobnie oprócz dojmującego niedostatku cierpiała na boleść rozdartego serca!..

Sławosz stał ciągle przedemną w pozycji tragicznego bohatera. Nie wiem jak sobie tłumaczył to dziwne milczenie moje. Spozrzęłam jednak, że jakimś niezwykłym wzrokiem wpatrywał się we mnie. Przerwałam mu to spojrzenie.

— Panie Sławoszu!—rzekłam do niego—pan jesteś na drodze zakochania się w nieznajomej!

— W tej chwili o pani myślałem!—odpowiedział zmieniając postawy.

— Prawdopodobnie masz pan wiele czasu do tracenia!

— Była to tylko kontynuacja dzisiejszego snu mego!

— O sen już nie pytam.

— Mimo to winienem pani opowiedzieć go!.. Jak powiedziałem, wczoraj długo w noc stałem między jaworem a gruszą i patrzyłem w okna panny Kornelii. Przyszedłem późno do domu i długo spać nie mogłem. Nad ranem, kiedy już kawa stała przedemną, zdrzemnąłem sobie i oto we śnie widziałem panią. Śniło mi się, że stałem między jaworem a gruszą, kiedy do ogródka weszła pani w stroju jasnym z zielonemi kwiatami na głowie. Szłaś ścieżką pomiędzy astry i malwy do dworku. Wreszcie otworzyłaś pani drzwi i zniknęłaś w sieni.. Po niejakiem czasie widziałem panią wychodzącą z dworku; ale jasnej sukni i zielonych kwiatów na głowie nie było! Miałaś pani na sobie strój czarny, niby zakonny, a na twarzy smutek głękokoki!..

Mimowoli wzdrygnęłam się na ten dziki obraz fantazyi Sławoszewej, ale w tej chwili usłyszałam za sobą głos trzeciej osoby. Był to nasz żydek usługowy, który najprzód pytał się o zdrowie ojca i Ewuni, a potem ofiarował mi swoje szczerze usługi we wszystkich dzisiejszych sprawunkach.

Zamówiwszy sobie dobre jego chęci na później, pożegnałam Sławosza i aby zmylić jego oczy, puściłam się ze służącą wprost przeciwną ulicą od téj, którą właśnie iść miałam.

Za godzinę dopiero zbliżyłam się do upragnionego dworku.

XXVIII.

Jest to już w naturze naszéj, że z pewnym niepokojem zbliżamy się do miejsc i osób, z któremi dłuższy czas bawiliśmy się w myślach naszych. Taki sam niepokój ogarnął serce moje, gdym ujrzała wśród drzew ten osamotniony, podupadły dworek.

Weszłam do ogródka. Prócz starannie wygracowanej ścieżki nie było w nim żadnych zmian. Na kilku jesiennych jabłoniach czerwieniły się jabłka, a z poza nich wyglądały szare, zimowe gruszki. Astry i malwy kołysały się zwolna, pociągane lekkim podmuchem wiatru, to w tę, to w ową stronę. Zresztą było cicho, spokojnie, smutno!

Otworzywszy drzwi do sieni usłyszałam gwar podobny do licznych głosów małych dzieci. Byłam zaciekawioną. Zwolna wzięłam za klamkę. Hałas wydobywający się z izby zagłuszył skrzypnięcie drzwi. Wejrzałam w sam środek tego dziwnego zgromadzenia.

W obszernéj izbie, kilkoma długimi ławami umebłowaném, było kilkanaścioro dzieci w ustawicznym ruchu. Miały po trzy, cztery lub pięć lat. Ubogie ich ubranie, konopne koszulki i różne łachmany okazywały, że to była młodsza generacya ubogiego przedmieścia; lecz dobry i zdrowy duch ożywił tę małą biedotę, bo twarze były rumiane i uśmiechnięte.

Widok ten był dla mnie prawdziwą niespodzianką. Sprawił on na mnie takie wrażenie, jakbyśmy nagle przed sobą ujrzeli to, czego gorąco w duszy pragnęliśmy. Zaprawdę wyznać muszę, że przez chwilę myślałam, że to śni mi się wszystko!..

Dzieci tworzyły różne grupy. Widać było, że się bawiły z sobą. Według wieku i usposobienia połączyły się i rozchodziły, aby się znowu inaczej ugrupować. Na ławie leżało kilka małych książek z dużemi literami.

Głównym punktem tych wszystkich grup fantastycznych, była młoda, blada kobieta. Siedziała na krześle profilem do mnie zwrócona. Trzymała w ręku biały kawałek płótna i szyła. Na małym stoliczku przed nią stała biała, świeżo rozkwitła róża.

Śród krzyku i hałasu nie spostrzegła mnie. Miałam sposobność jeszcze raz dobrze się jęj przypatrzeć.

Wszelkie moje domysły prawdopodobnie nie myliły mnie. To nie była zwykła, na kawałek chleba pracująca kobieta. Wyraz jęj twarzy kazał się domyślać innego ongi otoczenia, innego zajęcia. Jeżeli przyrównania użyć mogę, to wydała mi się podobną do dowódcy, który wziął na siebie ubiór i rynsztunek prostego żołnierza i zajęty jest właśnie czyszczeniem broni...

Zdawało mi się, że robotę szycia odbywa mechanicznie. Również i gwar dzieci nie powstrzymywał jęj myśli, które gdzieś daleko poza ten dworek wybiegły!... Oczy miała otwarte szeroko, jak to czynią ludzie głęboko zamyśleni, a kiedy w te piękne, szafirowe oczy dłuższy czas się wpatrywałam, zdawało mi się, że widziałam na dłużej rzęsie wiszącą łzę jasną, promieniejącą!...

W tęg chwili ujrzał mnie jakiś chłopiec pyzaty: stanął nagle zdziwiony i czarne oczy swoje wlepił we mnie jak w tęgę.

Młoda kobieta spostrzegła to. Posunęła zwolna oczy za wzrokiem chłopca i poczerwieniała cała. Wstała szybko, a gdy się do mnie zbliżyła, była już blada jak ściana.

— Przepraszam panią—rzekłam do nięj podając jęj rękę—przepraszam stokroć, że pozwoliłam sobie wykraść chęby na chwilę ten precudowny obrazek! Ale nie ja tylko patrzyłam... na taki piękny obraz patrzy sam Bóg z nieba!..

Młoda kobieta zbliżyła się do mnie i patrzyła na mnie chwilę wzrokiem, którego opisać nie umiem. W jęj ciemnoszafirowych oczach malowało się silne, wezbrane uczucie. Blask tych oczu ciemniał coraz więcej, a twarz nabierała wyrazu nieokreślonej piękności. Piękna, szlachetna dusza zdawała się coraz więcej na zewnątrz wychodzić.

To dziwne wpatrywanie się we mnie tęg młodej kobiety i to chwilowe zawahanie się wytłumaczyłam sobie w sposób nader prosty. Każde wyższe uczucie, schwywane na uczynku

przez obce oko, traci na chwilę odwagę i wyczekuje z niedowierzaniem, jak je zwykły świat przyjmie. Potrzeba więc było ją ośmielić i dać jej do poznania, że takie szlachetne uczucia pojmują i całą ich zacność uznają.

Prawdopodobnie malowało się to na twarzy mojej i w oczach; doznałam bowiem tak przyjemnego wzruszenia, jakbym patrzyła w tej chwili na Anioła-stróża, zeslanego z nieba dla opieki biednych, opuszczonych dzieciak!...

Wyczytawszy to w mej duszy, wysunęła młoda kobieta do mnie rękę, którą uścisnęłam z całą serdecznością; ręka jednak jej była zimna i martwa: nie uczułam żadnego wzajemnego ściśnienia...

Po chwili, jakby się ze snu przebudziła, wysunęła rękę z dłoni mojej, przesunęła nią po czole i oczach i rzekła:

— Haft dla pani skończony: proszę do pokoju.

Mówiąc to otworzyła drzwi do sieni, przesunęła się jak piękne widmo przedemną i zaprowadziła mnie na drugą stronę dworku, gdzie już byliśmy za pierwszym razem z Ewunią.

I uderzył mnie ten sam widok, co i wtedy. Podeszła kobieta z surową twarzą prasowała różne kobiece ubrania. Nie zwróciła na nas najmniejszej uwagi. Dla niej nie było gości, nie było żadnych obcych ludzi; miała przed sobą pracę i tej pracy poświęcała całą uwagę: świat, światowe stosunki były dla niej obojętne.

W trzecim pokoiku usiadłyśmy obie z młodą kobietą naprzeciw siebie. Zdawało się, że obie zapomniałyśmy o hafcie, jedynym prawie celu naszego widzenia się. Patrzyłyśmy wzajemnie na siebie, jakbyśmy o czémś ważniejszym miały z sobą do mówienia. Nasze spojrzenia krzyżowały się ustawicznie. Żadna z nas nie miała odwagi zacząć o hafcie.

Wreszcie przemogłam milczenie, które wzajemnie wydało nam się uciążliwe i rzekłam:

— Może wyrządzą krzywdę biednym dzieciakom pozabawiając je obecności pani!

— Nic to nie szkodzi, nadgródzę im tę chwilę w dwójnasób! Zresztą korytarz jest ciemny, a otwór we drzwiach pozwala mi patrzeć na nie, choć mnie nie widzą. I mają to przekonanie, że moje oko zawsze je widzi!

— Czy pani codziennie je zbiera?

— To są dzieci biednych mieszkańców przedmieścia, którzy po większej części żyją z dziennego zarobku. Widziałam na własne oczy, jak smutny jest los tych biednych dzieci, gdy rodziców niema w domu. Albo siedzą zamknięte w ciasnych izbach i głupieją w samotności bezowocnej, albo w złém towarzystwie psują za młodu poczciwe serca i dusze. Z takichto szeregów rekrutują się później kryminały i domy poprawy!... Otóż rodzice wychodząc na zarobek przyprawdzają je do mnie, do téj pustej izby. Tam bawią się, lub uczą trochę pod mojem okiem. Sprawia mi to rozrywkę w smutném życiu mojem, a pracy mojej wcale nie przeszkadza. Gdy rodzice od pracy wracają, biorą je odemnie do domu.

— Ale mieszkańcy przedmieścia są ludzie biedni—odpowiedziałam nie śmiało—wynagrodzenie więc za trudy pani...

Tu urwałam, bo młoda kobieta podniosła nagle głowę do góry, jakby słowa moje jej ubliżały. Patrzała chwilę na mnie wzrokiem ożywionym. Na jej twarzy igrał uśmiech gorzkiej ironii. Wyraz téj twarzy zdawał się mówić do mnie: Wy ludzie bogaci i w dostatkach żyjący, wy nie pojmujecie tego, aby człowiek kiedy mógł co czynić bez oglądania się na zapłatę! U was każda zapłata, to brzęcząca moneta, która rzuca się biednemu wyrobnikowi! Zapłata dobrego sumienia, przekonanie słodkie, że się spełnia czyn poczciwy i poboczny, to dla was rzecz nie zrozumiana! Biedny, podług was, to jest maszyna, którą porusza pieniądz, z robek!...

Takie myśli czytałam na twarzy młodej kobiety. Chciałam je szybko przerwać, bo serce moje nie pozwalało na tę obelgę moję.

— Niech pani słów moich źle nie tłumaczy—rzekłam z pośpiechem.

— Nie—przerwała mi Kornelia—krzywdy najprzód nikomu nie wyrządzam; winnam jednak wytłumaczyć się pani.

— Słucham z jak największą uwagą!

Młoda kobieta oparła się o poręcz krzesła i założyła wkrzyż ręce. Twarz jej uspokoiła się i pobladła jak biały marmur. Zaiste, była w téj chwili podobną do pięknej, mar-

murowej statui. Światło padało z okna ukośnie i oświecało w sposób artystyczny wszystkie wypukłości na jej piękném czole; tylko w oczach szafirowych palił się płomyk życia i grał różnemi barwami.

— Każda kobieta—ozwała się po chwili—musi w życiu coś ukochać i do tego całe życie swoje przywiązać; inaczej nie ma dla jej duszy spokoju, dla jej serca wytchnienia! Będzie jak ów liść spadły z drzewa, którym wiatr ustawicznie pomiata. Nie wie gdzie się ostanie, dokąd go nowy powiew zanieśie... Takie tułactwo duszy i serca, to największe nieszczęście dla kobiety!...

Serce moje uderzyło żywiéj na te słowa. Zdawało mi się, że ta, co mówi, jest moją siostrą rodzoną!... Młoda kobieta mówiła dalej:

— Los różnie darzy kobietę: jednej składa szczęście już w kołysce, innym wydiera z rąk, kiedy mozolnie już sobie je zapracowały! Pierwsze mają szczęście zadarmo, drugie postradawszy zapracowane, muszą stwarzać sobie szczęście sztuczne... Do drugich ja należę. Nie mając innego, stworzyłam sobie sztuczne szczęście. Przywiązałam ubogą dziatwę do siebie, a służąc jej za opiekunkę, uspakałam moje sumienie, że bezużytecznie nie żyję na świecie! To jest jedyna moja zapłata!

Podaliśmy jej rękę z wielkiém wzruszeniem, które mnie w téj chwili opanowało. W odpowiedź słów naprędce znaleźć nie mogłam. Ręka jednak młodej kobiety była zimna i martwa jak pierwej. Patrzała na mnie z uwagą, jakby mnie badać chciała. Chwilę tę uważałam za stosowną, aby się zbliżyć do jej serca, które widocznie srogo bolało. Rzekałam do niej:

— Szlachetność i wzniosłość takiego życia w zupełności uznaję; to jednak, coś mi pani mówiła, jest tylko owocem wielkiego bólu i smutnych zawodów.

— Dlatego, być może, że mniej ma wartości—przerwała szybko z ożywieniem—ale któż osądzić może, dlaczego takimi a nie innymi dziejami prowadzi nas Opatrzność do wielkich celów swoich!... Pani naprzykład jesteś teraz u szczytu szczęścia....

— Uśmiech złowieszczy na twarzy pani budzi niepokój we mnie....—przerwałam szybko mówiąc.

— Może to tylko przeczucie tego, co dziś, jutro, nastąpić może! — odparła z uśmiechem tak dziwnym, że mnie zimno wskroś przeszło!

Nastąpiło milczenie. Wyraz twarzy mówiącej sprawił na mnie takie wrażenie, że mi nagle oddechu w piersi zabrakło. Spozrzęła to młoda kobieta. Złowrogi blask jej oczu zniknął powoli; zastąpił go wyraz smutny nad miarę. Podała mi tym razem sama rękę i rzekła głosem przerywanym:

— Nie lękaj się pani; historia nie każdego serca tak się kończy, jak się skończyła moja. Ale z każdym dniem mnoży się coraz więcej takich historii, bo z każdym dniem olbrzymieją niefortunne stosunki czasu, które zabijają podobne im kobiety!

— Czy nie mogłabyś pani bliżej określić te kobiety?

— Kobiety, które się rodzą ubogie, lub się z czasem niemi stają!

Wyrzekłszy te słowa głosem nieokreślonej boleści, rzuciła się w tył krzesła i oparła głowę o poręcz. Usta zacięła, jakby nie chciała nic więcej powiedzieć. Piers jej podniosła się głębokim westchnieniem.

Uszanowałam jej boleść: ze wszystkich sfer społeczeństwa najdotkliwszą dumą jest duma ubóstwa.

— Czy nie zbyt czarno patrzysz pani na świat? — ozwała się po chwili. Ubogim odmawiasz pani szczęścia na ziemi, a przecież mnie się zdaje, że ubodzy więcej go używają niżeli bogatsi. To szczęście jest tylko zupełnym, co jest własną pracą zarobione. Bogaci nie znają takiego szczęścia!

Młoda kobieta spojrzała na mnie z zadziwieniem; po niej jakim czasie uśmiechnęła się boleśnie i rzekła:

— To są frazesy a nic więcej! Od biednego wszystko ucieka, słońce inaczej mu świeci, gwiazdy i księżyc są bledsze!...

— Ale serca ludzkie.

— Serca, mówisz pani? — zawołała młoda kobieta i wyprostowała się na krześle — o sercach mówisz pani? O jakich sercach? Czy o tych które opiewają poeci, czy o tych, które ludzie w piersi noszą jako rzecz niepotrzebną!

— To wyjaśnia mi nieco żal pani do ludzi, do świata! — rzekłam z uśmiechem współczucia.

Młoda kobieta nic na to nie odpowiedziała, tylko ruszyła głową na znak przyznania.

— Jeżeli słowa moje panią nie urażą, to pójdę dalej w moich domysłach.

Uśmiechnęła się gorzko i pochyliła głowę, jakby dalszej mowy mojej słuchać chciała.

— Pani zapewne kochałaś i byłaś kochaną!

Patrzała przed siebie, a szafirowe jej źrenice zamigotały rozkosznym uczuciem.

— Ktoś panią przestał kochać, bo byłaś ubogą!

Usta jej przeciągły się z wolna do cierpkiego, bolesnego uśmiechu: na białym czole zarysowała się chmurka.

— Jeżeli on sam był ubogi... jeżeli nieubłagane warunki życia... wychowanie i potrzeby pani....

Podniosła się z krzesła i stanęła przedemną w całej okazałej swojej postaci. Położyła rękę na piersi i rzekła:

— Jeżeli kobieta prawdziwie kocha, to umie potrzebom swoim nadać takie granice, jakie chce... Nieszczęściem moim jest, że mnie kochał człowiek bogaty i jam go kochała!... Miłość ta stała się przekleństwem dla mnie na całe życie moje!

— Jakto?—podjęłam szybko—to był człowiek bogaty i przestał panią kochać, jego serce zamilkło!

Młoda kobieta spuściła głowę na piersi a ręka jej spadła bezwładnie na dół. Patrzałam na nią z uwagą. Cała jej postać była w tej chwili tak piękną, jakiej jeszcze może żaden artysta nie namalował!... I dziwne przysły mi myśli do głowy: jakto? człowiek bogaty mógł przestać kochać tę kobietę tak bogatą w piękność ciała i duszy?... Zaiste nie znałam żadnej innej, któraby w tym obojem bogactwie mogła jej wyrównać! Cóż jest miłość? Co kocha mężczyzna w kobiecie?

Smutek jakiś zaczął ogarniać serce moje. Wzięłam tę piękną, bezwładnie puszczoną rękę Kornelii i rzekłam:

— Czyż to być może, aby człowiek zamożny, nie znający kłopotu o codzienne życie mógł się od pani odwrócić?

— Odwrócił się!—odpowiedziała jak automat głosem bez dźwięku.

Przyszła mi w tej chwili dziwna myśl do głowy; przypomniałam sobie słowa mojej krewnej. Kornelia prawdo-

podobnie nie korzystała z drogiego czasu, w którym była tak blisko serca kochającego.

— Czy nie jest w tej smutnej tragedyi wina po stronie pani?—zapytałam po chwili.

— Wina?—odpowiedziała z niejakiem ozywieniem Kornelia—jakażby mogła być moja wina?

— Wiem, na pierwszy rzut oka wcale niedopatrzona. Bogaci ludzie mają swój własny światek ciasny, egoistyczny. Kobieta, której serce ma szerszy horyzont nad sobą, powinna z przywileju korzystać. Gdy serce mężczyzny jest dla niej otwarte, powinna wraz z sobą rzucić w nie cały świat wyższych, szlachetnych uczuć. Powinna otoczyć go tą nową, nieznaną jemu atmosferą i tak się zrość ze światłem tej atmosfery, że bez niej nic lepszego nie mógłby dojrzeć! Serce jej powinno stać się dla niego ową kunsztownie oszlifowaną soczewką, przez którą patrząc na świat boży, widzi w nim cuda, jakich oko jego pierwój nie oglądało!... Czyż pani czarem miłości nie przeniosła go w ten świat wyższy, który ciebie otacza, i tém nie przykuła?

Młoda kobieta milczała: głowę spuściła na piersi i patrzyła przed siebie wzrokiem osłupiałym.

— Więc pani nie jesteś bez winy?—mówiłam dalej—pani poświęciłaś zapewne ten czas drogi zabawkom i pustym frazesom...

Po niejakiem milczeniu odetchnęła młoda kobieta głęboko i wyszepnęła zaledwie dosłyszalnym głosem:

— On się dlatego odwrócił odemnie, bo znalazł bogatszą!

— To był nikczemny! Nie wart żalu!—zawołałam szybko z oburzeniem.

Młoda kobieta podniosła głowę, spojrzała na mnie z uwagą, a grożąc mi podniesionym palcem rzekła:

— Nie mów pani że on nikczemny!... Oby to nie była zła godzina, w której te słowa wymawiasz!

Głos Kornelii brzmiał w tej chwili tak dziwnie, że z trwogi serce moje żywiój uderzyło... Po chwili jednak uspokoiłam się. Przypomniałam, że mówimy o człowieku, którego Kornelia kochała. Prawdziwie kochająca kobieta nie pozwoli nawet wtedy ulubieńca snów swoich nazwać

nikczemnym, kiedy już oczywiście na to zasłużył! Tém się różnimy od mężczyzn.

Spojrzałam na Kornelią: stała jeszcze przedemną z palcem jakby do groźby, podniesionym i z tym dziwnie przesywającym uśmiechem na twarzy; jéj oczy wpiły się aż w głąb mojej duszy i ztamtąd nie mogły się oderwać.

— Nie mów pani że on nikczemny—powtórzyła po długiém milczeniu—bo w takim razie zrównamy się!

W téj chwili skrzyknął ktoś drzwiami od sieni. Przypomniałam sobie, że służąca czeka na mnie; wstając szybko z krzesła rzekłam:

— Nie chcę pani więcej kraść drogiego czasu; ale pozwól mi jedną prośbę. Przy bliższém poznaniu dowiesz się pani, żeśmy może sercem i duszą sobie pokrewne; cieszę się z tego, że sama już to widzę.

Młoda kobieta spojrzała na mnie z niejakiém zadziwieniem; po chwili zbliżyła się szybko do stolika a biorąc ztamtąd jakąś paczkę do ręki, rzekła do mnie:

— Zapomniałam co nas od siebie na zawsze przedziela!

Mówiąc to, podała mi z uprzejmym ukłonem małą paczkę: był to ów haft zamówiony. Przyznam się że nie w porę mi przyszedł; sprowadził on nasz wzajemny stosunek do smutnej rzeczywistości: przedemną stała tylko biedna zarobnica. Piękne myśli i obrazy które przed chwilą jéj głowę otaczały, rozwiały się jak złudne mgły jesienne, gdy słońce zejdzie....

Unikając dalszego upokorzenia biednej pracownicy, schowałam pakiecik, a natomiast nieznacznie zostawiłam na stole banknot, który według rachunku zwykłego, daleko przewyższał kwotę należącą się za haft. Mówiłam jeszcze coś o wyprawie mojej, w której jéj pomocy zawezwę, i pożegnałam ją serdeczném uściśnieniem ręki. Przyobiegałam ją rychło odwiedzić. Młoda kobieta zebrała mnie z widoczną obojętnością: była roztargnioną, jakby słów moich nie słyszała.

Zaledwie jednak ze służącą do hotelu zdążyłam, zastałam już tam czekającego na mnie żydka. Oddał mi list następujący:

— „Zapewne przez zapomnienie zostawiłaś pani banknot nie mówiąc mi abym z niego wydała, czynię to teraz,

Za haft, jako za pracę dziesięciodniową, biorę dziesięć złotych. Wprawdzie w sklepie daleko więcej się płaci; biedna jednak kobieta, która cały dzień mozolnie pracuje, nie może więcej zarobić. Może być, że osoby opływające w dostatkach i zbytkach mniej liczyłyby sobie podobną pracę; ale to już przekleństwem biednych, że ich trud, pracę, a nawet poświęcenie się oblicza świat na pieniądź tylko i to nader mało!... Resztę odsyłam.”

Takię treści był list, który przeczytałam. Poznałam w nim dziwnie excentryczną kobietę. Co większa, domacałam się w tych słowach pewnej pychy względem mnie jako bogatszej. Tę pychę ubóstwa można często napotkać u biednych; znamionuje ona jednak zawsze jakiś grunt lepszy, chociaż sama przez się jest naganną.

I przyznam się że tęp postępowaniem tęp dziwnęj kobiety czułam się upokorzoną. Przekonałam się, że nie zawsze pieniądź nasz ma tam wartość, gdzie go kładziemy; często się zdarza, że wyszedłszy z rąk naszych staje się dla innych fałszywym liczmanem i takim także do nas wraca!...

Takie myśli zaprzątały moją wyobraźnię podczas powrotu do domu.

XXIX.

W dniach następných wszystkie moje myśli i marzenia podzielone były między Cezaryuszem a Kornelią. Roiłam sobie rzeczy najcudowniejsze. Do planów moich na przyszłość przybyła trzecia osoba. Jęj szlachetne serce, jęj dusza pełna pięknych, wzniosłych uczuć obiecywała mi siostrzaną pomoc we wszystkich naszych wspólnych projektach. Widziałam ją przy moim boku jako siostrę, która mnie rozumiała i pojmowała. Nieszczęście, które grubym kirem jęj umysł oblokło, przyciągało mnie do nięj jakąś potęgą tajemniczą. Zdawało mi się że pod wpływem mojęj przyjaźni i przy wspólnych pracach naszych, straci to nieszczęście raniące kolce swoje i pozwoli jęj zwolna pogodzić się z światem. Marzyłam nawet, jak o tęp wszystkiem Cezaryuszowi opowiadać będę i jak go mocno uraduję tym niespodzianem znalezionym klejnotem na drodze naszego życia!...

Takie rojenie snułam sobie przez dni kilka. Nawiązywały się one snadnie do marzeń moich o przyszłości szczęścia; Cezaryusz bowiem pisywał codziennie, jakby chciał dać mi niezbity dowód, że wszystek zbytni czas od zajęć gospodarskich i interesów ogólniejszych tylko mnie poświęca. A we wszystkich jego listach przebijała gorąca miłość dla mnie, nieogarniona ku mnie tęsknota. Bez marzeń o mnie wydawało mu się życie puste i ciemne, jak podróżnemu droga śród nocy! ..

Miłość kobiety jest najczęściej biernem uczuciem. Jój położenie społeczne, obyczaj odwieczny a nawet sama istota jój serca nie pozwalają jój wyjawiać pierwój uczucia swoje, póki druga strona milcząc się zdaje. Rzadko bardzo wydarza się, że dwa serca naraz do siebie uderzą i w jednej chwili się zrozumią; najczęściej dopiero objawione uczucie mężczyzny wywołuje u kobiety wzajemność i to tém większą, im silniejsze jest piérwsze.

Taką była moja miłość dla Cezaryusza. Rozłączenie nasze wywołało między nami tyle objawów jego przywiązania do mnie, że w końcu uczułam prawie takie samo silne uczucie w duszy mojej, o którym niegdyś tak gorąco marzyłam!

Teraz już na prawdę kochałam go, kochałam całą duszą, całym życiem. Nawet wszelkie wspomnienia dawnych marzeń moich, wspomnienia tém ponętniejsze, bo w rzeczywistości nie dosnute, blakły teraz i ginęły w obec dzisiejszych wzruszeń, jakich teraz serce moje doznawało!

I nic mi prawie już nie brakło do szczęścia mego. Bawiłam się rozkosznie tém szczęściem, jak się bawi dziecię błyskotném cackiem. Na wszystko co mnie otacza, patrzyłam okiem szczęśliwój kobiety. Jesienne pogodne niebo z białemi obłoczkami, gwiazdy migające z milczącą twarzą księżycy, tajemniczy szum lasów zielonych, śpiew ptaków i poświst wiatrów północnych, wszystko było dla mnie zrozumiałe, było pełne uroku i z dziwną rozkoszą wnikało w całą moją istotę! Zdawało mi się, że tém wszystkiem żyję i oddycham, że za każdym oddechem wchodził ten cały świat w piersi moje i rozpierał je jakiémś dziwnie rozkoszném uczuciem!..

Czy pojmie, czy zrozumie kto miłość kobiety?..

Szczęście moje ceniłam w tój chwili tém wyżej, im ciemniej odbijała od niego smutna dola biédnej Kornelii. I ona marzyła niegdyś o podobném szczęściu i ona miała wszelkie prawo do niego, a może nawet większe odemnie, bo była wyższa przymiotami duszy i serca! Dlaczegoż nie dozwolił jój Bóg być zarówno szczęśliwą?...

Nieszczęście biédnej kobiety naprowadzało mnie na różne myśli. Najprzód ogarniał mnie strach niemały, gdym pomyślała, że podobny los byłby i mnie spotkał, gdyby nie ten przypadek, zem się nie urodziła ubogą. Wyobrażałam wtedy siebie porzuconą od całego świata, upokorzoną i nieszczęśliwą. Miałam żal do społeczeństwa, że tak haniebnymi prawami się rządzi. Przywilój mój bolał mnie, bo był okupiony łzami tylu nieszczęśliwych a w gruncie może wyższych istot odemnie! Szczęście moje wydało mi się z jednej strony tém ponętniejsze, że obok niego tyle nieszczęśliwych na mnie patrzyło, a z drugiej strony rozpieierała mi serce skarga, dlaczegoż i tamte również szczęśliwemi być nie mogą?..

Byłam podobną do żeglarza, który w pysznym okręcie odbił od brzegu. Na pełném morzu rozbija się okręt; wzburzone fale rozłamują kruchą budowę; wielu z moich towarzyszy tonie, inni dobywając ostatnich sił pasują się z rozhukanym żywiołem. Mnie dostała się jedna deska, której trzymając się unosiłam się na fali. Zrazu smutno mi było, zem nie mogła dalej płynąć w wygodnym, pysznym okręcie. Narzekałam na los, że mnie pozakawił tak przyjemnej podróży; ale spojrzawszy wkoło siebie i widząc, że wielu potonęło, a inni towarzysze podróży tylko ze śmiercią jeszcze walczą: przycisnęłam pozostały mi kawałek deski z wdzięcznością do piersi i podziękowałam Bogu, że i tak o mnie nie zapomniał! Na tę deskę lóźnie po falach pływającą przeniosłam wszystkie moje marzenia z rozbitego okrętu!..

Taką wydała mi się miłość moja. Ogarnęłam ją całym ciepłem duszy mojej, bo wiedziałam, że inniej między ludźmi już nie znajdę. Ale obok mego szczęścia myślałam o nieszczęśliwej Kornelii! Chciałam ją bliżej przyciągnąć do siebie i złagodzić jój cierpienie: nie łatwe to jednak było zadanie.

Za kilka dni byłam znowu w mieście; wzięłam z sobą coś z mojej wyprawy: chciałam tym sposobem najprzód ma-

teryalnie przyjść jej w pomoc. Ale zawiódłam się. Kornelia przyjęła mnie z jakąś trwogą, z jakąś bojaźnią. Nie zbliżyła się do mego serca, ani nie pozwoliła mi zbliżyć się do siebie: była dla mnie zimną, dumną, pyszną.

Spostrzegłam, że w obec tej kobiety na nic się nie przydadzą wszystkie moje dobre chęci. Podejrzywała mnie prawdopodobnie o intencje jałmużnicze i odpychała je z całą dumą niezasłużonego ubóstwa. Potrzeba było szukać innej drogi. Za robotę, którą jej dałam, brała tak mało, że to przechodziło wszelkie wyobrażenie. Posądzałam ją o utajoną chęć dokuczenia mi. Chciała mi dać uczuć całą nędzę ubóstwa swego, a przytém z pewną ostentacją okazywała dumę, z jaką umie znosić los swój nieszczęśliwy.

Przypadek rzucił mi znowu w drogę pana Sławosza. Miejski próżniak miał twarz już na seryo znużoną.

— Przychodzisz pan jak wołany—rzekłam do niego—właśnie myślałam o panu.

Sławosz zdarł skwapliwie angielską czapczkę z ufryzowanej głowy i uśmiechnął się z śmiechem szczęśliwego.

— Czy umiesz pan milczyć?

— Jak zimny grób, pani!—odparł szczęśliwy—milczenie jest moim najlepszym przymiotem, bo w mowie nie jestem zbyt tęgim!

— Pani Kornelia potrzebuje mojej pomocy; ale ja muszę zostać *incognito*.

Sławosz zadrżał od wewnętrznej rozkoszy, która mu nowe romantyczne przygody obiecywała.

— Odbierzesz pan ze sklepu różne płótna i każesz pan jej zrobić różne potrzebne rzeczy według załączonych wzorów.

— Ba, ale czy ją to nie obrazi? A nuż nie jest ona prostą szwaczką, tylko...

— To pan posłój służącą, tylko o mojem nazwisku niech pan nic nie wspomina!

Pan Sławosz przyrzekł wszystko wypełnić, a ja udałam się do sklepu dla zakupna potrzebnych rzeczy.

Wróciwszy do domu, przebyłam dni następne w pewnym miłym spokoju, jaki jest owocem spełnionego dobrego uczynku. Jeszcze kilka razy posyłałam z różnemi drobnemi

robótkami pannę służącą do miasta, a poczciwy Sławosz był zawsze tak uczynnym, że mnie nawet przestał rozśmieszać prostotą ducha swego.

Niebo szczęścia mego wyjaśniało się z każdą chwilą w czysty, głęboki szafir. Wszystkie grożące mi zrazu mgły i chmury rozsunęły się i osiadły na krawędziach widnokręgu, aby nigdy więcej nie powstać.

Każde wspomnienie Cezaryusza wywoływało mi mocniejsze bicie serca. Łada turkot wozu na dziedzińcu, napędzał mi rumieniec na twarz. Dziękowałam Bogu, że mi dał w pełni uczuć rozkosz miłości...

Wreszcie nadszedł list od Cezaryusza, w którym obiecywał, że za kilka dni przyjedzie. List był pełen najgorętszej tęsknoty. Cezaryusz używał w nim słów, jakich nigdy od niego nie słyszałam! Byłam w dwójnasób szczęśliwą!

I jakbym się do tej uroczystej chwili przygotować chciała, wychodziłam co dzień kilka razy na drogę do lasu prowadzącą i śledziłam długo, długo, czy nie ujrzę jakiego podróżnego!...

Serce moje biło przytém, jakbym już w tej chwili Cezaryusza oczekiwala. Na twarzy czułam już gorące oczy jego, które jakby miały usta.... Rumieniłam się sama przed sobą... Zdawało mi się że każdy liść patrzy na mnie...

W jednej z tych dziwnych chwil życia mego stałam na skrócie drogi niedaleko ogrodu; przyłożyłam rękę do czoła i patrzyłam w błękitną dal, gdzie wił się jasny pasek małej drożyny: serce biło mi niespokojnie.

Boczną drogą, o kilkadziesiąt kroków odemnie zaturkotał wózek. Spojrzałam w tę stronę.

Dziwne serce! uczułam nagle tak gwałtowne bicie, jakby mi nagle z piersi wydobyć się chciało!..

Na wózku jechał jakiś mężczyzna w szarém, myśliwskim ubraniu. Twarzy jego rozemnać nie mogłam... Przyszła mi na myśl... pan Andrzej!

Zawstydziałam się i przestraszyłam tego dziwnego wzruszenia. Marzenia dni owych leżały już w pamięci mojej porzucone i podarte jak szmatki z lalki dziecięcej, a czemuż w tej chwili dobyły się z ciemnego kąta, aby ciemną smugą swoją wypłynąć na jasne niebo moje?...

Zawróciłam do domu i za karę weszłam do biblioteczki mojej, aby tam w samotności odpokutować to dziwne wzruszenie serca, które dzisiaj całe oddane było Cezaryuszowi.

Za godzinę wypogodziły się marzenia moje, a na jasnym niebie mojej przyszłości siedział na tronie Cezaryusz. Uczułam znowu tęsknotę ku niemu i znowu z bijącym sercem wyszłam na drogę i patrzyłam na ten błękitny pasek drożyny....

I rzeczywiście tym razem okazał się wózek podróżny, ale zamiast Cezaryusza ujrzałam stryjenkę.

Stryjenka rzadko mnie odwiedzała: tylko ważny interes familijny sprowadzał ją do nas.

Spojrzałam na jej twarz i przeczulałam odrazu, że w tej twarzy kryje się jakaś ważna kartka mego życia.

XXX.

Z niezwykłą powagą powitała mnie stryjenka. Kazała mi usiąść przy sobie w powozie. Zaledwo kilka słów wymieniłyśmy między sobą. Jechałyśmy do dworu w głębokim milczeniu.

Ponieważ ojca mego nie było w domu, kazała stryjenka zaprowadzić się do biblioteczki. Był to najcięższy i najstronniejszy kącik w całym dworze: wносиłam ztąd, że stryjenka ma ze mną o czémś ważnym mówić.

Z bijącym sercem usiadłam przy niej. Stryjenka patrzyła na mnie czas niejaki, a potem ozwała się spokojnie:

— Przeczuwasz zapewne, że zbliżam się do ciebie w zamiarze jak najlepszym. Słowa moje może z początku zabolą cię, ale w skutkach przekonasz się, że były podyktowane życzliwością i przyjaźnią dla ciebie.

Wstęp taki zaniepokoił mnie jeszcze więcej: wstrzymałam oddech w piersi, aby żadnego z jej słów nie uronić.

— Wiem o tém — mówiła dalej stryjenka — że masz swój własny rozumek, który z tych książek wyssałaś i którym jak niezręcznie przyczepionym rudlem chcesz się kierować po falach życia. Wierzaj mi, życie nie jest jak gładka, bezdenna powierzchnia morza, po której można pływać jak się komu podoba: życie ludzkie jest to potok górski, który

każdą skałę, każdy kamyk okrążyć musi, jeśli nie chce rzucić się w bezdenną przepaść i tam zginąć!

— Słowa stryjenki trwożą mnie—rzekłam z sercem ściśniętym.

— Słowa moje przychodzą zawsze w czas, aby grożące ci nieszczęście od siebie odwrócić. Wierzaj ludziom doświadczonej. Nie chcij życia modelować podług romansu. Gdyby Ewunia tak samo myślała, byłaby do dziś dnia starą panną. A tak potrzeba było na niejedną rzecz oko przymrużyć, a resztę samo z siebie się ułożyło. Stanisław nie jest wprawdzie bohaterem romansu, ale jest człowiek, z którym wyrozumiała kobieta żyć może. Jest dla Ewuni grzecznym i uprzejmym, co dzisiaj już wiele znaczy. Umie żyć w świecie, a jeśli ma jakie wady, to umie zachować je w tajemnicy. W wielu rzeczach zostawia Ewuni wolną rękę, co także wiele znaczy dla kobiety!

— Wszystkiego tego nie rozumiem!

— Bo ty Regino, całego rzeczywistego świata nie rozumiesz. Szukasz całej sztuki drogiej materyi, a tymczasem jest już dosyć, jeśli ta materya zupełnie nie jest podarta. Nie znajdziesz u żadnej kobiety całego szczęścia: każda naprawia i łąta jak może, a do świata obraca stronę jak najlepszą!... Nie chcij więc żądać rzeczy niepodobnych i weź życie jakim jest!...

— Ale ja mam już całe moje szczęście gotowe! Nie potrzebuję nic szukać, nie brać!

— Jesteś nieszczerą względem mnie. Wiem, że krzątasz się koło naprawy tego szczęścia, ale hierzesz się niebacznie do tego!.. Podobną jesteś do majtka, który chcąc dno okrętu naprawić, wyrąbuje spróchniałe belki, aby je nowymi zastąpić; tymczasem przez zrobiony otwór bucha woda i zatapia okręt!

— Moje szczęście już naprawiłam, gdzie tego było potrzeba—odpowiedziałam z naciskiem—a dzisiaj już się niczego nie obawiam.

— Zawsze ten sam krnąbrny rozumek, ta sama zarozumiałość. Zrazu wzdrygałaś się na samą myśl o przyjeździe Cezaryusza, a dzisiaj sama przyznasz, że biorąc go za męża, bierzesz sobie szczęście, jakiego ci wszyscy zazdroszą.

— Otwarcie wyznam, że mam przed sobą nadzieję szczęścia!

— Ale szczęście ludzkie jest kruche, nie trzeba żadnych experimentów używać!

— O experimentach nigdy nie myślałam! Czy stryjenka wie o czém; coby mi w téj mierze zarzucić można?

— Czy wiem, czy nie wiem, o to teraz nie chodzi: ale radzę ci aby dnia ślubu nie odwlekać, tylko jak najprędzej go postanowić.

— Przecież mi nie grozi żadne niebezpieczeństwo! Nic wkoło siebie nie widzę, coby mnie niepokoić mogło!

— Nie uwierzysz jaki jest świat w tym względzie złośliwy. Jeżeli gdzie jest para narzeczonych, to wzbudza to jakąś dziwną zamieć między ludźmi. Człowiek jest egoistą a każde szczęście sprawia zazdrość; wynajdują więc rozmaite rzeczy, które rzucają na drogę narzeczonym, aby ich rozłączyć: u jednych jest panna za stara, u drugich za młoda; narzeczony jest u jednych ubogim na duchu, u innych ubogim na kieszeni; raz ma nos za duży, drugi raz za mały: słowem nicuje się wszystko, że świętej cierpliwości potrzeba, aby wytrwać aż do ślubnego kobierca. Po ślubie zaś wszystko samo z siebie upada. Para wydaje się wszystkim dobrana i jakby stworzona dla siebie: on nie mógł się lepiej ożenić; ona nie mogła lepiej wyjść za męża. Ci sami ludzie, którzy przed ślubem niestworzone rzeczy wygadawali przychodzą do młodego małżeństwa ze słodkim uśmiechem wieszając mu szczęścia i długiego życia!... Ach! wszyscy ludzie podobni są do dzisiejszych dyplomatów, którzy srożą się i grożą sąsiadom swoim, a uginają głowę przed spełnionymi faktami, utrzymując że stało się dobrze, bo inaczej stać się nie mogło!

— Jakąż naukę mam ztąd wiaść dla siebie? Dotąd jeszcze nie widzę jasno, nie umiem sobie zdać sprawy...

— Nauka jest ta, abyś z Cezaryuszem wzięła ślub jak najprędzej, a gdy to będzie czynem dokonany, umilkną wszystkie wieści i zbyt subtelnie wyrafinowane pretensye osób trzecich, które mają się za poszkodowane!...

Na te słowa nie miałam już żadnej odpowiedzi. Stryjenka mówiła tak spokojnie, jakby słowa swoje opierała na jakichś znanych faktach, o jakich ja nawet nie miałam naj-

mniejszego wyobrażenia: nie mogłam stryjenki ani pojąć ani zrozumieć.

— Najprzód—mówiła dalej stryjenka—nie jesteś dzieckiem, aby tego nie pojąć, że jak w marzeniach kobiety znajdzie się coś, czego ona do przyszłego szczęścia swego nie potrzebuje i je porzucone na dnie pamięci zostawia, tak samo i w życiu mężczyzny są pewne wydarzenia, które go w drodze życia napotkały, chwilę z nim szły, a potem jak pył z obuwia przed progiem przyszłego szczęścia jego odpadły. Takich drobnych wydarzeń nie trzeba nigdy brać na seryo, a chociaż czasem na seryo brane były, to nie trzeba ich oświecać światłem tragiczném, bo to ani jednej ani drugiej na nic się nie przyda!

Zaczęłam przeczuwać jakieś wielkie nieszczęście. Serce moje ścisnęło się boleśnie. Czułam nad sobą grom zawieszony, ale nie wiedziałam, z której strony na mnie uderzy!

— Jakto?—ozwałam się po dłuższej chwili milczenia—miałżeby Cezaryusz ofiarować mi serce?...

— Serce mężczyzny—przerwała stryjenka—to ostatnie jego słowo i postanowienie! Innego serca nie żądam od niego. Jest ono podobne do srebrnej monety, która czy nieco starta czy cała, ma zawsze jeden i ten sam hart. Zresztą kochająca kobieta posiada władzę przywrócić tój wytartój monecie jój dawny, srebrny połysk.

Uśmiechnęłam się boleśnie na tę dziwnie praktyczną filozofią stryjenki. Przy spokojniejszém usposobieniu byłabym może podjęła tę myśl stryjenki i dalej o niej rozprawiła; w tój chwili jednak nie chodziło mi wiele o żadne teorye życia. Serce moje było ściśnięte jakąś trwogą nieokreśloną. Szczęście moje było zagrożone. Chciałam stanowczo stryjenkę zapytać, z kąd i jakie grozi mi niebezpieczeństwo, ale słów na to znaleźć nie mogłam. Lękałam się, abym od razu coś nie usłyszała, coby może było nad moje siły. Tymczasem mówiła stryjenka dalej:

— Zważyć potrzeba jeszcze na to, że nie każda historia jest w gruncie taka, jaką wydawać się może napozór. Są kobiety które z góry ułożą sobie pewną kampanię i przeprowadzają ją z wszystkimi wymysłami taktyki i strategii. Podobne do zimnych aktorek odchodzą z tragicznej sceny, aby za kulisami śmiać się i bawić w towarzystwie wesołym.

Na scenie chodzą na koturnie i pozują, a na wesołym wieczorku rzucają wkoło błyskotne dowcipy i zalotne spojżenia!... Zważ tylko moje dziecię, że żadna kobieta nie szalała i nie rozpaczała za biédnym kochankiem, a za bogatym gotowa się posunąć do najtragiczniejszej sceny!...

Nie mogłam dłużej powstrzymać mego oburzenia na takie poniewieranie serca kobiecego.

— Stryjenka—rzekłam z gniewem—wyrządzasz wszystkim nam a tém samem i sobie wielką krzywdę!

Praktyczna i doświadczona kobieta rozśmiała się z ironią, patrzała chwilę z uwagą na mnie a potem się ozwała:

— Czy myślisz, że panna Halina inną rolę teraz odgrywa?

— Co za Halina?

— Przecież masz z nią codzienne stosunki i wzięłaś ją w szczególniejszą opiekę. Nie wiem, jaki ostatecznie masz w tém planik, ale obawiam się, że wyniknie coś z tego, być może nadzwyczaj mądrego, ale bardzo niekorzystnego dla ciebie.

— Na miłość Boga!—zawołałam prawie w rozpacz—nie znam żadnej Haliny i nie wiem co się straszego święci!

— Może być, że inne imię przybrała, jak to zwykły czynić aktorki!

— Gdzie ona jest?—krzyknęłam i chwyciłam ręką za serce, bo mi w téj chwili pęknąć chciało.

— Mieszka w mieście z matką i utrzymuje się z szycia!

Pierś moja drgnęła konwulsyjnie: przyszła mi na myśl Kornelia.

— Jakto i ta osoba miałaby posiadać serce Cezaryusza?

—zapytałam drżącymi usty.

— Była prawie jego narzeczoną, jak o tém mówiono w całej okolicy!—spokojnie odrzekła stryjenka.

Teraz dopiero pojęłam słowa i całe zachowanie się Kornelii!... Przed oczyma wszystko mi pociemniało!...

Pierwszej chwili téj nowej mojej sytuacji nigdy opisać nie zdołam: zdawało mi się że piorun uderzył we mnie, ale żadnego bólu, żadnej boleści nie czułam; nie miałam żadnego czucia ani życia w sobie: myśli moje zatrzymały się nagle jak koła maszyny parowej, pod którą ognisko zgaszono;

nie słyszałam nawet bicia serca, ani nie czułam, aby pierś moja oddychała.

Stryjenka patrzyła na mnie z pewnym zadowoleniem. Moje odrętwienie wzięła za odwagę, z jaką słowa jej wysłuchałam. Podgarnęła włosy moje, z pod których zimny pot płynąć zaczął, a nawet zdaje mi się, że mnie w czoło pocałowała. Poczém mówiła dalej:

— Jakiekolwiek zdanie twoje w pierwszej chwili być mogło, cieszę się z tego, że cię widzę odważną i spokojną. Chcesz biédnej i nieszczęśliwej kobiecie dopomódz, to i owszem; tylko miej się na bacności aby cię nie zdradzono. Wiesz bajkę o wężu, którego wieśniak w swoim zanadru wychował. Położenie twoje dzisiejsze jest bardzo niebezpieczne; dla tego nie przestanę wołać: ślub, ślub! jak najprędzej! Niech będzie raz fakt spełniony, sakrament dokonany; potém, już łatwiej i bezpieczniej oddać się miłości chrześciańskiej!

— Czyż rzeczywiście grozi mi takie niebezpieczeństwo?—zapytałam jak automat głosem urywanym.

— Niebezpieczeństwo jest, bo serca mężczyzn są dziwnie kapryśne. Ona ma być piękną i posiada wiele ujmujących przymiotów. Cezar szalał za nią, tak umiała romans prowadzić: to właśnie spóźniło pierwszy przyjazd jego do ciebie.

Czułam że połowa twarzy mi paliła, a druga połowa była zimna jak lód. Teraz dopiero usłyszałam bicie serca: zbudziło się ono z całą gwałtownością. Wyznać muszę, że pierwsze jego uczucie było... podobne do zazdrości.

— Któż jest ta nieszczęśliwa kobieta—zapytałam chciwie—czy raczej czém była pierwój? Od niej nie dowiedziałam się dotąd nic o jej przeszłości.

— Ojciec jej, straciwszy rodzinny majątek, chodził znacznemi dzierżawami. W ostatnich czasach sąsiedował z Cezaryuszem. Panna Halina miała wychowanie wykwintne i w całej okolicy słynęła za piękność angielską. Ma mieć rude włosy.

— Blond włosy! Prześliczne włosy!—poprawiłam stryjenkę.

— Mniejsza o włosy—odpowiedziała z chmurką na czole stryjenka—ale ma mieć spryt wielki władania sercami.

mężczyzn. Okręzało ją nieustannie mnóstwo adoratorów. Wybrała z nich, rozumie się, najbogatszego i obmotała go złotą siatką. I kto wie co by się było stało, gdyby sam Pan Bóg téj misternéj osnowy nie był przeciał.

— Cóż Pan Bóg uczynił? — zapytałam z pewną boleścią.

— Nieboszczyk pan Krzysztof podniecany ustawicznie przez Halinę, aby czegoś lepszego od innych dobił się między swemi, wdał się w różne experymenta, które go zrujnowały. Reszty dokonały klęski ziemi, nieba i różnych innych wydarzeń. Nastąpiła subhasta, pan Krzysztof zapadł na tyfus i śmiercią swoją zmazał wszystkie rachunki. Halina z matką osiadła w mieście i utrzymuje się z pracy.

— A Cezaryusz?

— Cezaryusz długi czas nie wiedział co zrobić: panna Halina brała na siebie jak najczarniejsze suknie, czesała włosy *à la niobe*, grała i śpiewała same smutne melodye. Ale rozważa i rada przyjaciół przemogła u Cezaryusza. Zerwał więc pozory stosunku, bo zaręczyn żadnych między nimi nie było!

— Więc to wszystko dobry Bóg uczynił! — rzekłam patrząc w zamyśleniu przed siebie.

— Widać, że Pan Bóg czuwał nad twoją przyszłością! — wymówiła szybko stryjenka — dlatego miej ufnosć w Jego miłosierdziu, że cię i nadal nie opuści. Tylko swego rozumu nie kładź na szalę Jego wyroków, bo przecież najmędrszy człowiek z Bogiem mierzyć się nie powinien!... A więc unikaj wszelkich założonych intryg i jeszcze raz: ślub, ślub jak najprędzej.

Nic nie wiem co się dalej ze mną działo: zdaje mi się, że czułam na czole pocałunek stryjenki; potem jakoś pusto i przestrono zrobiło się wkoło mnie. Spojrzałam wkoło siebie: byłam sama jedna. Rozśmiałam się śmiechem obłąkanego, a obfity strumień łez wytrysnął z oczu moich i płynął bez ustanku, jakby nim całe życie wypłynąć chciało!...

XXXI.

Po całogodzinym spazmatycznym płaczu uczułam ulgę. Przedemną poczęło się rozwidniać. Najbliższe przedmioty wystąpiły przed moje oczy z wszystkimi swemi konturami. Patrzałam na nie czas niejaki, prawie bezmyślnie; potem przypominałam sobie słowa stryjenki. Wyskakiwały one z głębi mojej pamięci jak bańki powietrza uwięzione na dnie wody. Zaczęły się zwolna grupować obok siebie. Wyczytałam z nich to wszystko, co mi stryjenka przed godziną powiedziała!

Nie mogłam jeszcze jednak myśleć nad tém wszystkiém. Mąciło mi się w głowie, jedna myśl za drugą zaczepić się nie chciała. Biegały one luźnie po głowie bez szyku, bez logiki. Wreszcie z wielką mozołą sformułowałam sobie w ten sposób obecny mój stan:

Cezaryusz przedemną kochał inną. Osoba ta była godną miłości każdego z mężczyzn. Posiadała wysokie przymioty duszy i urody. Niestety i ubóstwo odjęty jej błyskotny pokost światowy, pokost, w którym przeglądają się dusze płytkie i powszednie. Z tym pokostem uleciała miłość Cezaryusza i zwróciła się do mnie. Cóż jest więc miłość? Czy Cezaryusz kochał Halinę? Cóż kochał w tej kobiecie? Cóż Cezaryusz dzisiaj we mnie kocha? Cóżby uczynił, gdyby podobny jak Halinę los mnie spotkał? Czy każda uboga kobieta ma być wyjęta z pod praw do szczęścia? Czy mam przykładem uświęcić tę dziką zasadę społeczeństwa naszego? Czy mogę sumiennie wziąć w posiadanie skarb, który gdzie indziej był w zastawie, a na który dano całe życie?!.. Czy serce moje rzeczywiście kocha Cezaryusza?

Na te pytania nie miałam na razie żadnych odpowiedzi...

Spojrzałam po książkach, stojących w długich czarnych szafach. Byli to dawniej jedyni moi przyjaciele; ale dzisiaj nikt mi z tych wiernych doradców moich nie odpowiedział. Twarze ich były milczące, usta nieme, oczy zimne i skamieniałe!

Spojrzałam po obrazach wiszących na ścianach. Niedys myśl dziecinna szukała w nich różnych odpowiedzi na

niektóre zagadki i zagadnienia życia; sceny, które przedstawiały, tłumaczyły mi nieraz najdziwaczniejsze zapytania: dzisiaj patrzyły smutno na mnie, a zamiast życia i myśli okazywały mi tylko czarną farbę drukarską lub różnorakie barwy na płótnie!

Spojrzałam przez okno na daleki krajobraz, który szeroko rozciągał się przedemną. Tam w błękitnawej dali majaczyło coś, co nie mogło odpowiedzieć na zapytanie moje! Tam mnie rwało i ciągnęło i obiecywało radę jakiejś napróżno wkoło siebie szukałam! Zarzuciłam szal na ramiona i wyszłam do ogrodu, aby ztamtąd iść daleko, daleko, aż po odpowiedź!

W ogrodzie było mi ciasno i duszno. U każdej gałązki tkwiły wspomnienia tak niedawnych, złotych marzeń! Oto tam krzak agrestu, z pomiędzy którego Cezaryusz dobył ów kwiateczek powoju!... Tam jeszcze nie powiędły zupełnie te bratki i astry, o których tyle pięknych rzeczy mówiliśmy między sobą!...

Duszno, ciasno mi było wśród tych wspomnień. Chciałam je na chwilę wszystkie zostawić za sobą, aby nie głużyły odpowiedzi, jakiej, nie wiem od kogo, może od Boga, oczekiwałam!... Czémprędzej wyszłam z ogrodu.

Z ogrodu prowadziła ścieżka ku lasowi. Na tej ścieżce spotykałam się często z Ewunią i Cezaryuszem, gdy do nas przyjeżdżał. Tam na skrócie drogi, wśród tych zarośli leszczyny, obaczyłam go po raz pierwszy!

Uszczknęłam garść liści z wiszącej nademną gałązki, bo zdawało mi się, że liście te szepcą mi to wszystko, com wtedy poraz pierwszy od Cezaryusza słyszała! Rzuciłam te liście na wiatr, który je pochwycił i poroznosił na wszystkie części świata!...

Wreszcie, przebywszy lasek wyszłam na obszerną, dalekimi górami zamkniętą dolinę. Szeroka przestrzeń otwierała się przedemną. Oczy moje wyciągnęły się po tej przestrzeni i szukały jakiego punktu wypoczynku, któryby serce wzburzone mógł ukoić!...

Dziwne wrażenie sprawia rozległość na chore serce. Zdaje się, że cała istota nasza rozciąga się po tej przestrzeni

niezmierzonej i sprawia nam ulgę pożądaną. W piersiach robi się nam przestrono, oddychamy całą przestrzenią. Wszystko co tam jest, dzikie i piękne, wody, łąki, góry i lasy, wchodzi kolejną w pierś naszą i zostawia tam woń i urok swój ku naszemu pokrzepieniu!

Takim orzeźwiająjącym widokiem napoiła mnie dolina. Czułam w piersiach zapach macierzanki i konwalii, mogłam pomiędzy nimi odróżnić woń najdrobniejszego kwiatka, jaką mi w dani posyłał; słyszałam każdy szept strumyka, śpiewkę każdego ptaka, słyszałam brzęczenie złotój muszki i szelest trawki po której pełzał mały robaczek.... ale odpowiedzi dla siebie nie słyszałam!

Usiadłam na kamieniu, który samotnie leżał na miedzy i zamyśliłam się.

Życie ludzkie przedstawiło mi się w dziwnych obrazach. Widziałam grupy najrozmaiciiej utworzone, w ustawicznym ruchu. Wrzało tam ciągle i kipiało jak w mrowisku. Jedni biegli do celów swoich, inni wracali zgarbieni od starości lub skaleczeni. Żaden na drugiego nie zważał wcale. Gdy jeden upadł, drugi stawiał na nim nogę, aby iść dalej, albo wyżej spojrzeć. Widziałam kobiety z rozpuszczonemi włosami ciągnące mężczyzn za poły, którzy nęczone przez inne im się wrywały! Słowem walka i jedna wielka walka! A któż w tej walce najpierw i najczęściej upada? Oto biędni i ubodzy! Czyż to jest przekleństwem być ubogim na świecie?

Już prawie nad wieczorem wróciłam do domu. Nie przyniosłam z sobą żadnej odpowiedzi. Najdalszy przedmiot, który w dolinie widziałam, samotnie na ostatniem wzgórzu stojący krzaczek mówił mi, że odpowiedzi jeszcze dalej szukać trzeba!...

W domu zastałam ojca, który właśnie co wrócił z pola. Był wesół i niezwykłą pogodę miał na twarzy. Zapytałam go o powód tej wesołości.

— Chciałem ci sprawić niespodziankę — rzekł do mnie — ale serce moje buntuje się przeciw temu. Cezaryusz przyjedzie dzisiaj.... I cóż ty na to?

Mówiąc to wziął mnie ręką pod szyję i podniósł twarz moją do góry.

— Czemuż takas smutna? — zapytał patrząc na mnie — twoja twarz zimna jak biały marmur, a oczy czerwone jakby od płaczu?

Nic na to nie odpowiedziałam, bo czułam łzy pod powieką. Ojciec pocałował mnie w czoło.

— Odgaduję twój smutek — rzekł po chwili — i mnie także smutno nieraz! Coraz więcej zbliża się czas, w którym ja ciebie, a ty mnie utracisz! Oby Bóg miłosierny wynagrodził nam wzajemną stratę naszą!

Przed gankiem zaryły się w téj chwili dzielne rumaki, z powozu wyskoczył Cezaryusz.

(Dokończenie nastąpi).

ZARYSY AMERYKI.

(Z NOTATEK TURYSTY).

Nowy Rok w New-Yorku.—Wymuszone pocałunki.—Processy maskaradowe.—*Dead-beats-club*.—Przyjęcie w ratuszu.—Śnieżki.—Wizyty dam. Piąta aleja.—Domy Krezusów.—Wewnętrzne ich urządzenie.—Zaslugi.—Wydatki.—Domy gry.—Bezpłatne śniadania.—Święcenie niedzieli.—Emanypacja kobiet.—Ich sumiennosc i uczciwosc.—Krzewicielki oświaty i jak się z nimi obchodzą.—Wady kobiet.—Zgubna zasada i jej skutki.—Wykształcenie.—Moda.—Falszywe zęby i perły.—Nowe sitko.—Jednostajność oświaty.—Stosunki rodzinne.—Ślizgawki, loterye fantowe.—Niemieckie towarzystwo.—Sentymalizm i apetyt.—*Lodging houses*.—Teatr ludowy i jego spektatorowie.—Dobroczytnosc Północy i paralizowanie jej przez Stany Południowe.—Literatura amerykańska i jej przedstawiciele.—Metodyści i ich meeting.—Murzyn kaznodzieja.—Praktyczność i idealizm.—Namietność zakładów.—Wyścigi parostatków i katastrofa.—Na Zachód!—Koloniści.—Kopalnie złota.—Szwartz.—Indyanie.—Wstręt do pracy południowców.—Proletaryat.—Ludzie jedzący ziemię.—Rodzina glinojadów.

Ponieważ przybyłem do Nowego Yorku na kilka dni przed Nowym Rokiem, rozpocznę przeto swoje notatki od opisu wrażeń jakich tego dnia doznałem. Przedewszystkiem winienem nadmienić, że istnieje tu szczególny zwyczaj, na który pewnie mężczyźni się nie gniewają: oto wolno im tego dnia całować się z piękną połową rodu ludzkiego. Pierwszego stycznia w każdym domu od rana zastawiają stoły rozmaitemi pokarmami i napojami, a gospodyni domu przyjmuje odwiedzających, z których każdy, skosztowawszy coś z daru Bózego, ma prawo pocałować ją; w dniu tym żadnemu ze swych znajomych zaszczytu tego nie odmawia. Gospodarz przytem jest nieobecny, bo tak, jak inni mężczyźni, zajęty jest robieniem wizyt w mieście. Są tacy co obiegają w tym dniu 200 do 300 domów; to też wizyty te

ciągną się od rana do późnej nocy. Amerykanie, którzy w ogóle nie trzymają się wielu europejskich zwyczajów, uważają przecież wizyty noworoczne za rzecz niezbędną. Łatwo sobie wyobrazić jakito ruch i zgiełk panuje dnia tego na ulicy! Oprócz powozów, śpieszących tam i sam z powinszowaniami, ciągną się wszelkiego rodzaju wozy, obwieszane chorągiewkami, napisami i napełnione przybraniami w rozmaite kostiumy ludźmi, jak to ma miejsce podczas karnawału w Paryżu. Processyie te tworzą zwykle członkowie rozmaitych klubów i t. p. zgromadzeń. W r. 1867 szczególnie odznaczał się *Dead-beats-club*, który nawet umyślnie powstał dla utworzenia takiej maskaradowej processyi. Pod sztandarem tego klubu jechało kilka powozów, jeden za drugim, i wszystkie wzbudzały podziwienie publiczności. Ale panie, przyjmujące gości, bynajmniej nie były względem nich tak przyjaźnie usposobione. Członkowie *dead-beats*, których było około 60, za główną widownię działalności swojej obrali *piątą aleję* (*fifth Avenue*), to jest najwspanialszy i najbogatszy z cyrkułów Nowego Jorku. I tu, jak w innych częściach miasta, stoły były nakryte i zastawione jadłem, a gospodynie przyjmowały wizyty od dziesiątej rano do północy. *Dedbitsy* nigdy nie przestępowali progów tych świetnych apartamentów, ale w dzień Nowego Roku nawet i nieznanym odwiedzają w Ameryce Północnej. Przed słowami: „*Happy new-year!*” (winszujemy Nowego Roku!) otwierają się wszystkie drzwi. *Dedbitsy* wymawiali tę czarodziejską formułę, i dzięki jej, sprząтали wspaniałe pieczenie, kosztowne przekąski, wyborne wina i przysmaki. Przechodzili tym sposobem od domu do domu nakształt szarańczy, pozostawiając za sobą tylko spustoszenie i rozgniewane gospodynie, które po ich wyjściu na nowo zastawiać musiały swoje stoły. Członkowie tego dowcipnego klubu postępowali w ten sposób do północy. Możliwość takiej *sui generis* działalności chyba tem tylko da się wytłumaczyć, że szeregi pustoszącej armii nieustannie zapełniają się nowymi rekrutami, w zamian tych co wystąpili z sztyku skutkiem przejedzenia się lub przepicia. Niektórzy bogacze pogardzający zwyczajem, zupełnie nie otwierali tego dnia drzwi swoich, a ograniczyli się tylko na zawieszeniu w ganku koszyków do kartek wizytowych. *Dedbitsy* ukarali ich za to kocią muzyką i narzucali do koszyków miedziaków, zgniłych jabłek i rozmaitego śmiecia.

W ratuszu (*City-Hall*) także było przyjęcie dnia tego. Mer Hoffmann przyjmował najprzód urzędników i znakomitsze osoby, a następnie każdego, kto tylko przyszedł. Tu jednak zachowywano wstrzeźliwość, t. j. nie było żadnych spirytusowych napojów, a więc i *Dedbitsom* nie zdało się pożytecznym tracić czas na podobne wizyty. Nie im tylko samym zawróciła się głowa ku wieczorowi. Liczba osób idących niepewnym krokiem wzrosła ku wieczorowi do tego stopnia, że ci co szli inaczej, dziwnie jakos nie przystawali do ogólnego obrazu. Bo też rzadko głowa wytrzymać zdoła 14 godzin nieustannych libacyj. O północy wszy-

stkie drzwi się zamykają, co jednak nie przeszkadza niektórym dżentelmanom natarczywie do nich się dobijać, nawet i po tej godzinie. Policya starannie podbiera tych naruszcycieli publicznego spokoju i odprowadza ich na nocleg skarbowy. Pomiędzy aresztantami tego rodzaju, którzy nazajutrz wypuszczają, znajdują się nieraz osoby należące do najwyższych warstw społeczeństwa.

Oprócz procesyi, w dzień Nowego Roku widzieć można inne jeszcze ciekawe widowisko. Uliczniki na placach i rynkach urządzają rodzaj bateryi, z których ciskają śniegiem na przejezdnych. W tym mianowicie roku mogli sobie zrobić tę przyjemność, bo zima była mroźna i śnieżna. Przejeżdżający, po większej części, przyjmują ten nie najprzyjemniejszy żart bez gniewu, i starają się tylko jak najrzeczniej uniknąć pocisków; lecz biada temu, ktoby się rozgniewał! W mgnieniu oka osypią go ze wszystkich stron gradem śnieżek, tak, że musi jak niepyszny uciekać wśród niemiłosiernego śmiechu widzów, którzy zawsze w takich razach stają po stronie atakujących.

Nazajutrz mężczyźni siedzą w domu, a damy robią wizyty. W domach także zastawiają rozmaite przekąski i łakocie, ale wszystko odbywa się cicho i przyzwoicie, i tylko po weselszych i zarumienionych twarzyczkach przejeżdżających dam, wnosić można, że i one nie odmówiły jakiego kieliszka likieru lub szampa. Zresztą damy odwiedzają tylko blizkich znajomych, a gospodarz, którego wizytą swą zaszczyca, ma prawo pocałować odwiedzającą. Trzeciego stycznia wszystko już wraca do zwykłego trybu życia.

Wspomniałem wyżej o Piątej alei. Przy tej, jak i przy sąsiednich ulicach wznoszą się domy bogatych obywateli Nowego-Jorku. Domy nie stoją tuż przy trotuarze, ale oddzielają się odń wazkim pasem ziemi, zasadzonej drzewami i ogrodzonej żelazną kratą. Przez ten rodzaj ogródka prowadzi dróżka, przeznaczona dla posługi. Kamienne schody, wznoszące się bezpośrednio z trotuaru na pierwsze piętro, tylko panom służą. W domach tych nie ma ani kantorów, ani magazynów; mieszkają tu jedynie gospodarze, których handlowe i przemysłowe zakłady znajdują się w środku miasta; dorózkarzy także niema w tej części miasta, są tylko prywatne powozy.

Od alei Madison rozpoczyna się prawdziwy cyrkul Krezusów. Gmachy stają się coraz wspanialszemi, a wraz z nimi i karety i liberya lokai. Aleja ta niezmiernej długości, ciągnie się z północy na południe. Balustrady tu już nie żelazne, lecz marmurowe z kosztownemi rzezbami. Ściany domów także pokryte białym marmurem lub szarym granitem. Dachy po większej części, jak i w całym Nowym-Yorku, płaskie. Balkonów nadzwyczaj wiele. Okna nie roztwierają się na dwie połowy, jak u nas, ale podnoszą się i składają z dwóch wielkich szyb. W takich domach mogą tylko mieszkać królowie-negocyanci (*prince-merchants*), jak

ich tu nazywają. Wynajęcie takiego domu kosztuje rocznie 5—10 tysięcy dolarów.

By dać pojęcie o wewnętrznym urządzeniu tych pałaców, opiszę jeden z nich, zajmowany przez pewnego bankiera. Cała rodzina składa się z dwóch tylko osób: męża i żony. Na dole od ulicy, znajduje się wspaniała jadalnia; przy niej bufet z kryształami, srebrem i porcelaną. Z tyłu kuchnie, pralnie i t. d. z wyjściem na dziedziniec zasadzony kwiatami. Jadalnia wybita kosztownymi dywanami; inne pokoje płótnem woskowym. Na pierwszym piętrze znajdują się salony i bawialne pokoje; w których posadzki wysłane są kobiercami, kosztującemi wiele tysięcy dolarów. Wszystkie podwoje wyrobione z najdroższego drzewa, a ozdobione złocistemi arabeskami. Na marmurowych i jedwabnym obiciem pokrytych ścianach wiszą drogie obrazy. Urządzenie tych dwóch pięter kosztowało przynajmniej 30,000 dolarów. Tu też znajduje się i biblioteka gospodarza, oprawy książek precudne; ale same książki, zbieranina bezładna.

Korytarze i schody także są pokryte precudnemi kobiercami. Na drugim piętrze znajdują się pokoje sypialne. Ani pojęcia nie mamy o wielkości łóżek amerykańskich. Wraz z frankami zajmują one przynajmniej 72 stopy kwadratowe przestrzeni. Łóżko takie z franką od mustyków kosztuje około 1000 dolarów. Za sypialniami wspaniałe łazienki z marmurowym bassenem, zwierciadlanemi ścianami i t. d.; następnie jeszcze kilka buduarów z tymże samym zbytkiem przyozdobionych. Na trzecim piętrze mieszka rządcą domu, kamerdyner i kucharz; na czwartym reszta posługi. Do wszystkich pięter dochodzi woda rurami. Szaf nigdzie nie ma: miejsce ich zajmują wygodne nisze w ścianach.

Łatwo wyobrazim sobie jak dobrze musi być posłudze w takim domu. Utrzymanie jej wyborne: rządcą domu pobiera 150 dolarów co miesiąc (do niego należy nadzór za porządkiem domu i wszelkie sprawunki), kucharz 120 dolarów, kamerdyner 100 dolarów i t. d. Nawet pomywaczka pobiera 25 dolarów miesięcznie. Codzienne wydatki takiego domu wynoszą około 100 dolarów, lubo i to prawda, że przynajmniej trzy lub cztery ubogie rodziny żywią się codziennymi resztkami z pańskiego stołu. Koni nie chowają w domu: za ich utrzymanie wraz z powozem, płacą miesięcznie wielkiemu zakładowi Livry 500 dolarów. Gdy do tych rozchodów dodamy to co się wydaje na stroje, teatru i t. d., to nie dziwim się wcale, że rodzina z dwóch tylko osób się składająca przeżywa rocznie około 100,000 dolarów. Wszystkie te liczby poczerpnałem z najautentyczniejszych źródeł, a przywiódłem je dla tego by dać pojęcie o bogactwie Nowego-Yorku, i o tem co kosztuje tu życie w wyższych sferach społeczeństwa. Ci co mają dzieci, naturalnie tracą jeszcze więcej: gubernatorowie i gubernantki otrzymują od 2000 do 3000 dolarów rocznie.

Nigdzie nie zdarzyło się nam widzieć domów gry z takim przepychem urządzonych. Poszedłem przez ciekawość do jednego

z takich domów, najmłodniejszego w Nowym-Yorku, do którego wstęp został mi ułatwiony przez pewnego włocha, namiętnego gracza. Zanim jednak przystał na moją propozycję, wręcz mi powiedział: „cokolwiekby się stało, pamiętaj pan, że nie namawiał pana do tego.” Zapewnie się obawiał by i mnie nie skusił szatan gry. Ale byłem pewny siebie. Zakład ten, utytułowany niewinną nazwą restauracji, leży w najmłodniejszej części miasta. Wiele ze stołujących się tu osób, ani domyśla się tego co się dzieje o kilka kroków od nich za ścianą. Uważają wprawdzie, że niektórzy goście nikną, nie wychodząc przez drzwi zewnętrzne, ale nie jeden sobie pomyśli, że panowie ci wychodzą żeby się napić w osobnym pokoju, jak to jest we zwyczaju yankeesów.

Gdyśmy przeszli do wspólnej sali, mój towarzysz szepnął coś jakiemuś panu, stojącemu u kasy: ten pociśnął kilkakrotnie rękojeść telegraficznego dzwonka, potem przeszliśmy przez boczne drzwi i znaleźliśmy się w długim korytarzu, z którego, po wielu zakrętach w prawo i w lewo, dostaliśmy się do wspaniałego salonu. Wszędy widne było złoto, marmur i kosztowne meble. Za tym salonem znajdował się drugi, w którym stoły były zastawione najwysmienitszymi winami i przekąskami na zimno. Wziąłem sobie ostryg, napiłem je wybornym Chablis, potem zjadłem kawał doskonałego cietrzewia, który opłukałem szklanką Margau, a na deser wybrałem sobie ciastko migdałowe, owoców i szampa. Jak widzicie przekąska była wcale nie zła, a jednak za wszystko co się tu zje i wypije żadnej zapłaty nikt nie wymaga. Wyjątek tylko stanowią cygara, są one w najlepszych gatunkach hawajskich, i sztuka kosztuje 50 centów (około pół rubla, ale podług zwyczaju, daje się lokajowi dolara, nie wymagając reszty).

Sądząc z długości drogi, którąśmy przeszli, wniosłem, że się znajdujemy już nie w tym domu, w którym była restauracja. „Masz pan rację, rzekł mój towarzysz. Jestto ostrożność przedsięwzięcia względem policyi tutejszej, która nie toleruje podobnych zakładów.”

Rozmieniłem w kasie dziesięć dolarów na marki, włoch mój też samo uczynił z 1000 dolarów. Nie grają tu bowiem w gotówkę, ale w marki czyli liczmany, które następnie w kasie napowrót się odmieniają. Weszliśmy najprzód do pokoju przeznaczonego na ruletę. Było tu już około półtora os. Postawiłem dwa dolary, poszczęściło się mi i za chwilę miałem już w kieszeni 130 dolarów liczmanami. Towarzysz mój, przeciwnie, bardzo był nieszczęśliwy, bo wkrótce postradał połowę swego mienia.

Towarzystwo graczy składało się z amerykańców, francuzów, hiszpanów, włochów i t. d., lecz ani jednego nie było Niemca, pomimo, że mnóstwo ich znajduje się w mieście. Przeszliśmy do sąsiedniego pokoju, gdzie panował faraon. I tu także Niemców nie dostrzegłem. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa pochodzi to ztąd, że plemię germańskie i tu nie straciło swego zamiłowania, do bardziej patryarchalnego sposobu życia, to jest do prze-

pedzania czasu w szczupłym przyjaznym kółku, za butelką piwa i fajką. Faraon nie sprzyjał mi tak jak ruleta, i straciłem wszystko com wygrał na tej ostatniej.

Obok podobnych przejawów życia, w tymże samym Nowym-Yorku niedawno jeszcze toczono najgorętsze spory o potrzebie ścisłego obchodzenia dni świątecznych. Obecnie prawo to (excise-law) zostało już przyjęte i weszło w życie. Od rana już (excise-law) zostało już przyjęte i weszło w życie. Od rana już w niedzielę zamykają się wszystkie sklepy i traktyernie, tak że biedni wieśniacy, którzy przez całą noc jechali na raune targowisko, nigdzie nie znajdują kątka gdzieby się i sami, i konie swoje ukryć mogli, nigdzie nie mogą kupić ani kieliszka wina, by rozgrzać swe złodowaciałe członki. Wielu gospodarzy hotelów i zajazdów skazano na kary za to, że trzymali zakłady swoje otwarte w czasie niedozwolonym, a nawet odebrano niektórym prawo prowadzenia handlu. Do trzeciego lutego zima była tak mroźna w Nowym-Yorku, że van Bergen, prezydent towarzystwa opieki nad zwierzętami, oskarżył przed sądem kilku rzeźników za to, że przetrzymali kilka sztuk bydła, przeznaczonego na rzeź, przez całą noc na dworze. A przecież mógłby sobie ten zacny dzentelman wspomnieć, że tysiące ludzi muszą teraz drzeć z zimna przez całą dobę, do poniedziałku rano, w obec zamkniętych zajazdów; mógłby o tym wspomnieć dlatego, że wraz z niemi cierpią też i konie niewinne. Ale kwestyi dni świątecznych nikt dotknąć nie śmie.

Przed dwudziestą jeszcze laty podjęto w Ameryce pytanie równouprawnienia obu płci, ale wówczas same tylko excentryczne kobiety nią się zajmowały. Obecnie wraz z rozwiązaniem kwestyi niewolniczej, i sprawa emancypacji kobiet także naprzód postąpiła, i żadnej prawie nie ulega wątpliwości, że jeszcze przed końcem bieżącego wieku, kobiety tutejsze zupełnie zostaną równo uprawnione z mężczyznami. Amerykanki nie bez słusności utrzymują, że jeżeli murzyni, dotychczas jeszcze bardzo ciemni, nieokrzesani i w ogóle mniej nawet zdolni do ukształcenia aniżeli białe kobiety, będą przyjmować udział w sprawach państwa, to kobietom, prawo to tym sprawiedliwiej jeszcze się należy. I nie same już tylko egzaltowane osoby obstają za równouprawnieniem. Z bardzo małemi wyjątkami, wszystkie kobiety tak skromne panny jak i szanowne matki, są tego przekonania, że kobieta nie dla samego tylko domowego ogniska, lecz i dla działalności publicznej jest stworzoną. (?)

Nie wyrzekając w tej mierze własnego zdania, muszę wyznać, że takowe równouprawnienie mogłoby być pożytecznym dla Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki pod dwoma względami: najprzód że przez nie koniecznie musiałyby się zmiekczyć obyczaje mężczyzn; powtóre, że mężczyźni mogliby natenczas prosto i szczerze sądzić o postępowaniu kobiet. Obecnie rzecz to niemożliwa, skutkiem samej ich bezbronności. Na wszystkie sprawiedliwe zresztą zarzuty, mają one jednakową odpowiedź: „Zróbcie nas wol-

nemi, a potem sędzicie nas, ale nim to nastąpi, sami odpowiadajcie za to, żeśmy takimi, jakimiście nas uczynili."

Za korzyścią przypuszczenia kobiet do rozmaitych publicznych obowiązków, bardzo wiele przemawia. Podczas wojny ostatniej, kilkaset kobiet przyjęto do służby skarbowej dla wycinania i składania całych setek millionów assygnat, wartości od 5 centów ($3\frac{1}{2}$ kop.), do 1000 dolarów (około 1420 rubli). Ani jedna assygnata nie zginęła, a wątpić należy, czyby się obeszło tak szczęśliwie przy najstaranniejszym nawet wyborze urzędników z pomiędzy mężczyzn. Wiele wprawdzie opowiadano o złym niby prowadzeniu się tych kobiet, ale nie wiem o ile te pogłoski zasługują na wiarę; to pewna jednak, że najzawziętsi ich nieprzyjaciele, nie im zarzucić nie mogą pod względem uczciwości.

Jest jeszcze i inna przesłiczna strona w charakterze kobiet amerykańskich: jest nią zamiłowanie pracy i szczerze zaparcie się dla dobra ludzkości. Wiele kobiet i panien udaje się na południe, dla krzewienia oświaty pomiędzy niewolnikami. I jakież wynagrodzenie za to ich spotyka? W północnych Stanach kobieta takim cieszy się szacunkiem, o jakim i wyobrażenia nawet nie mamy. Ublżenie kobiecie nigdy się nie przebacza. Co innego na południu. Nie tylko iż nikt z drogi nie ustąpi tym szlachetnym istotom, które przybyły tu w tak dobroczynnym celu, ale uliczniki mogą się im bezkarnie urągać, wyższa klasa z pogardą zamyka drzwi swoje przed nimi, a niższa wyśmiewa bezmyślnie ich usiłowania. Jedyną nagrodą biednych tych istot jest miłość i wdzięczność nieszczęśliwych niewolników, którzy swobodę swą zawdzięczają energii i sprawiedliwości północy.

Ale jednocześnie w kobiecie amerykańskiej wiele jest i wad, które dziwnie jakoś odbijają obok takich przymiotów. Najpierwszą z nich nadzwyczajna lekkomyślność, nie harmonizująca wcale z ogólnym amerykańskim charakterem. Jakolwiekby to, pewna, że próżność, namiętnie zamiłowanie zabaw światowych i strojów, nigdzie może nie zakorzeniły się tak głęboko jak w Ameryce. Większa część kobiet i panien wyższej, a właściwiej mówiąc, bogatszej klasy, cały niemal czas swój przepędza przed zwierciadłem lub w powozie wizytowym. Tysiące rodzin rujnuje się skutkiem takiego sposobu życia, i prawdziwie, pojąć trudno, z kąd jeszcze pozostałe czerpią środki dla uskuteniania takich wydatków. Dzieje się to skutkiem bajecznej działalności i energii mężczyzn, którzy na to zdaje się pracują, by zadowolić najnierozsądniejsze pragnienia żon i córek swoich. Obok tak błędnego pojęcia celu życia, rozwija się i inne złe, które nie tylko zwiększa niemoralność, ale zagrażałoby nawet wyczerpaniem amerykańskiej rasy, gdyby coroczny napływ cudzoziemców jej nie podtrzymywał. Złe to panuje w Europie tylko w wyższych klasach, ale w Ameryce dotyczy wszelkich warstw społeczeństwa. Rozumiem tu powszechnie przyjętą i bynajmniej nie tajoną chęć Amerykanek posiadania jak najmniejszej ilości dzieci. Z badań

statystycznych doktora Allena, w stanie Massachusetts, naprzykład, wśród anglo-saksońskiej ludności, liczba rodzących się zmniejszyła się o pięć razy w porównaniu z tą, jaką była przed 200 laty, gdy tymczasem w rodzinach niedawno przesiedlonych zachowuje się ten sam stosunek, t. j. rodzi się pięć razy więcej dzieci, aniżeli u oddawna osiadłych w Ameryce mieszkańców. Doktor Allen surowo potępia wszystkie przyczyny, które wywołały taki stan rzeczy.

Pod względem powierzchowności, to jest wdzięków ciała i dziwnie miłego obejścia, rzadko które kobiety dorównają Amerykankom. Każda z nich umie ubierać się do twarzy, potrafi zająć każde towarzystwo i zarazem prowadzić rozumną, a nieraz bardzo obszerną korespondencją, poruszającą najrozleglejsze i najgłębsze kwestye. Wszystkie one w ogóle lubią pisać i piszą dobrze. Każda z nich umie prócz tego znaleźć się w najtrudniejszych okolicznościach życia, i zachować się przyzwoicie i godnie w każdym położeniu, w jakim ją los postawi. Są jednak one zbyt zimne i jeżeli można tak się wyrazić, z pozoru tylko pociągające. Na piszącym te słowa, sprawiały wrażenie jakichś bogin, podziwia się je, chwali, ale oddawszy należny dank opuszcza się obojętnie.

Moda z równą, a może i z większą jeszcze wszechwładnością niż w innych krajach, w demokratycznej Ameryce panuje. Najnie-rozsądniejsze mody przenoszą się tu z szybkością błyskawicy z jednego końca Stanów w drugi, i zaledwie pierwsze pudło z potworkami nowościami wypróżni się na eleganckim Brodweju (główna ulica Nowego-Yorku), wnet ogromne paki z takimże towarem rozsyłają się w najodleglejsze miejscowości. Jeżeli prawodawcy-niom mody przyjdzie fantazyja nosić lichy jaki gałganek zamiast kapelusza, albo ostrzydz sobie włosy, natychmiast każda najostatniejsza fermerka w tenże sam sposób głowę swą ubiera. Kry-nolinę widziano w takich miejscowościach, dokąd z trudnością dostawała się noga ludzka. Tutejsi dentyści tylko dla tego doprowadzili swą sztukę do takiej doskonałości, że mnóstwo kobiet kazało wyrwać sobie zęby, choćby zdrowe nawet, ale w miejsce sztuczne ale bądź powodu nie piękne, i wstawiać na ich miejsce sztuczne ale kształtne. Gdy nastąpi moda noszenia fałszywych brylantów i kamieni, to wszystkie noszą takowe, lubo nigdzie nie ma takiej obfitości prawdziwych kamieni drogich co tutaj. Lecz co szczególniejsza, to że fałszywymi tymi kamieniami, lokami i t. d. nikt nie ma zamiaru oszukać kogokolwiek: noszą się one nie dla tego zęby gorsze okazać za lepsze, ale dla tego, że taka moda. Mężczyźni także ślepo trzymają się mody. Niech tylko dandysi niujorscy przystrzygą sobie brody w ten lub ów sposób, a najodleglejsi koloniści też samo uczynią. W ogóle Amerykanie nie umieją zadowalać się tem co posiadają. Nie widziałem, zdaje się ani jednego Amerykanina bez zegarka i scyzoryka, ale wątpię czy którykolwiek z nich nosi jeden zegarek dłużej nad 2—3 lat, a scyzoryk dłużej nad 2—3 miesiący. Najprostszy człowiek

znajduje wszystko nie dość dobrém dla siebie; każdy pragnie czegoś lepszego, a przynajmniej nowego.

Obok tego upędzania się za przedmiotami nowości i mody, również skłonni są Amerykanie do wszelkich zmian w dziedzinie moralności i religii. Dziś przejawia się jakiś chorobliwy nastrój religijny, jeżeli można tak się wyrazić, a jutro opanowują umysły kwestya o równouprawnieniu obu płci i t. d.: podczas takich epidemii wszystko pozostałe odsuwa się zupełnie na stronę. Wyznać też należy, iż demokratyczny pierwiastek wywiera pewien wpływ i na umysłowy rozwój Amerykanów. Nie ma tu wcale owych wybitnych różnic wykształcenia, które widzimy w Europie pomiędzy rozmaitemi warstwami społeczeństwa; słusznie zauważano, że nawet zdolności do wykształcenia są jednakowe prawie pomiędzy Amerykanami; niema pomiędzy niemi przykładów ani tak zupełnej ciemnoty, ani też genialności, jak to ma miejsce w Europie. Najlepiej dowodzą tego ostatnie wojenne wypadki. Wątpliwości nie ma, że odkrywały one najobszerniejsze pole dla wszelkich zdolności; lecz jeżeli i znalazło się wówczas wielu godnych działaczy, to przecież nie widzimy pośród nich żadnej prawdziwie genialnej osobistości.

Rodzinne stosunki Amerykanów także zupełnie są nowe dla nas Europejczyków. Dzieci używają tu wielkiej niezależności, lubo przyznam się, że nie zdarzyło się mi być świadkiem scen, które opisują niektórzy podróżnicy, przedstawiając tę niezależność w rykach zakrawających na karykaturę. Opowiadają naprzykład, że pomiędzy ojcem i córką, która wróciła do domu po dość długiej nieobecności, zawiązuje się czasem następna rozmowa, ma się rozumieć po uściśnięciu ręki, na znak powitania:

— *Kalkuluje* (1) żeś ze sześć już tygodni w domu nie była; moja droga?

— Jak raz czterdzieści dwa dni, ojcze.

— I gdzieżeś przez ten czas bawiła?

— W Kentucki, w Illinois i t. d.

— Dobrze; a jak tam stoi bawelna?

— Podskoczyła o dwa centa.

— A cukier?

— Spadł o jeden cent; kukurydza zle stoi: papiery niujorskie w kursie.

— I nic więcéj?

— Nic. Ale pozwól, ojcze, przedstawić sobie tego pana: jestto mój mąż. Wzięliśmy z sobą ślub w X. przeszłego tygodnia.

— *Sir!* *kalkuluje*, że przyjemnie mi będzie zaznajomić się z panem.

— I ja bardzo się cieszę, że szczęśliwy traf pozwala mi zarekomendować się panu.

(1) Amerykanie bardzo często powtarzać lubią to słowo rachuje, czyli *kalkuluje* (to *calculate*) nawet wówczas, gdy można się bez niego obejść.

Jest w tém bez wątpienia trochę przesady, ale to pewna, że niezawisłość w jakiej tu rodzice pozostawiają swe dzieci, przechodzi czasem w coś zupełnie zakrawającego na obojętność względem losu tych ostatnich. Wyznać jednak należy, że ta samodzielność, do której Amerykanin od dzieciństwa przywyka, wytwarza w nim tę energią i wytrwałość, które w całym życiu jego się pojawiają.

Mówiąc o niujorskich zabawach, zapomniałem wspomnieć o ślizganiu się na łyżwach, w którejto rozrywce Amerykanki przewyższają wszystko co w tej mierze zdarzyło mi się widzieć! Niepodobna opisać ich zręczności i wdzięku. Nie ślizgają się lecz tańcząc na lodzie, tak, że każda z nich zdaje się być doskonałą baletniczką. W grudniu pogoda bardzo sprzyjała tego rodzaju zabawom. Najwykwintniejsze towarzystwo zbierało się na ślizgawce, urządzonej na rogu 5-jej alei i 58-jej ulicy. Za wejście płacono się 75 centów. Były tu i restauracye, jedna dla dam, a druga dla mężczyzn. Mężczyźni mogli wchodzić do restauracyi kobiecej, tylko wówczas gdy towarzyszyli jakiej damie. Oprócz tych zabaw, w tymże czasie, to jest około Nowego Roku, było wiele loteryi fantowych, urządzonych w celu dobroczynnym. Bogaci ludzie robią bardzo nieraz hojne ofiary w podobnych rzeczach. Wygrane bywają ogromne: 5, a nawet 10 tysięcy dolarów. Zdarzyło się mi być na jednym wieczorze, urządzonym także w celu dobroczynnym przez niemiecko-amerykańskie towarzystwo, i tu przekonałem się, że niemki nauczyły się od amerykańek postępować sobie bez ceremonii. Stoł na wieczór został zastawiony mnóstwem waz i koszów z owocami, konfektami, piernikami, ciastkami i t. d., ale ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, zanim podali pierwszy półmisek, piękne zgromadzenie wypróżniło wszystkie wazy i kosze, przesyypawszy wszystko co w nich było do swoich kieszeni. Niektóre nawet przemysłne matki rodzin przyniosły zapewne w tym celu potężnej wielkości torby i worki. My mężczyźni pozostaliśmy w całym tego słowa znaczeniu bez deseru. Nie byliśmy też szczęśliwsi i z innymi pokarmami: sentymentalne piękności tyle ich sobie nakładały na talerz, że m się wydziwić nie mógł amerykańskiemu apetytowi. Niektóre tylko troskliwe małżonki pamiętały o swoich mężach, ale o nas kawalerach nikt się wcale nie troszczył. To też wstaliśmy od stołu zupełnie głodni. Jużto w ogóle człowiek niezonały poczytuje się tu za jakiegoś Paryę, i jako taki zasługuje na wszelkie kary.

W braku pieczeni i sosów, musieliśmy poprzestać na mowach, któremi nas uraczyli niektórzy z obecnych. Powiedziano wiele dobrych rzeczy, ale pomimowoli musiałem się uśmiechnąć, słuchając retorycznego frazesu „o delikatnych różach, które obecnością swoją przyozdobiają nasze zgromadzenie,” i myśląc jednocześnie o tém, że te to właśnie róże pozbawiły nas całej prawie kolacyi.

Do użytecznych zakładów dobroczynnych zaliczyć należy *nocelegi* dla dzieci, tak zwane *lodging houses*. Wątpiwości nie

ulega, że nędza ze wszystkimi jój smutnemi następstwami, wielką jest we wszystkich wielkich miastach; lecz to com widział tutaj, lub co słyszałem od wiarogodnych osób, z tém chyba tylko da się porównać to co się dzieje w Londynie. W Nowym Jorku istnieją całe ubogie cyrkuły, w których gniezdzą się dzieci opuszczone lub zbiegłe od rodziców. Znany autor opowiada że poszedł raz do teatru ludowego, który się znajduje w jednym z takich ubogich cyrkułów. Przy wejściu został literalnie obłożony przez tłum małych włóczęgów, których większa część karaną już była za złodziejstwo lub inne łotrstwa. Sto rąk wpadło do jego kieszeni, ale spodziewał się tego zawczasu i nic nie miał z sobą: mali więc złodzieje niczém się nie pożywili. Usiadłszy w orkiestrze, rzucił okiem po sali: było w niej około 700 chłopaków, od 8—12 lat, brudnych, obdartych, zupełnie pozbawionych cieplejszej odzieży. Większa ich połowa żadnej nawet bielizny na sobie nie miała. Niektórzy byli pijani, wszyscy w ogóle bardzo hałasowali; kłócili się, bili i dopuszczali się nieprzyzwoitych żartów z dziewczynkami tegoż samego wieku. Te ostatnie sceny taki nieraz obrót przybierały, że potrzeba było wmięszania się policyi.

Dobroczynni ludzie starają się ocalić tych nieszczęśliwych. W tym celu urządzono „noclegi,” w których chętnie zatrzymują te dzieci, które oświadczą chęć pozostania. Przyjętych do zakładu uczą rzemiosł i czytania, i oddają na służbę do ludzi uczciwych. Wiele było przykładów, że z tych biednych istot, skazanych na zupełną zgubę moralną, wychodzili ludzie porządni dobijający się bytu niezależnego pracą uczciwą.

Dążność do dobroczynności w ogóle wielce jest rozwiniętą w Ameryce, że wspomniim tu tylko o „kantorze wyzwolonych” (*Freedmen's office*) założonej przez obywateli Północy, za czasów dobroczynnego Linkolna, dla niewolników południowych. Zakład ten wiele dobrego poczynił: dzięki jemu, załatwiono więcej niż 40,000 spraw pomiędzy czarnymi i białymi, wiele set tysięcy niewolników otrzymało możność utrzymywania się własną pracą; chorzy, kalecy i sieroty otrzymali pomoc i opiekę. Ale na nieszczęście wszystkie prawa Południowych Stanów skierowane są na to tylko, by powstrzymać wszelki rozwój ras kolorowych. Nawet zakładanie szkół dla nich tylko z trudnością otrzymuje potwierdzenie od rządu, handel ich ograniczony wszelkimi sposobami, a nawet zabronione im wejście do jednych kościołów z białymi. Niezadowolony jeszcze tém wszystkiem rząd, poruczył generałom Stidemanowi i Fullertonowi odbyć w Południowych Stanach, tak zwany inspektorski objazd, z tajemnym poleceniem uznania działań „kautoru wyzwolonych” podejrzanem i stawiania przeszkód jego czynnościom.

Opisując jaki kraj niepodobna zamilczeć o jego literaturze. Ogólny stan oświaty jest w ogóle bardzo wysoki w Ameryce, a zamiłowanie do czytania książek, jest tu więcej—nawet upo-

wszecznione niż w Anglii. O swobodzie zdań nie ma co i mówić. Zdawałoby się, że przy takich warunkach, obfitość oryginalnych utworów byłaby faktem najnaturalniejszym. Dzieje się jednak zupełnie przeciwnie, a przyczyn tego szukać nienależy ani w braku czasu, ani w braku ambicyi autorskiej, pomiędzy ludźmi wysoko ukształconemi. Nie można też powiedzieć, że oryginalnych dzieł dlatego tak mało, że dzienniki pochłaniają wszystkie nowe utwory, chociażby zupełnie nawet nieodpowiednie do pism czasowych. Ubóstwo amerykańskiej literatury zdaje się prawdopodobnie pochodzić skutkiem strasznego napływu angielskich dzieł, które stanowią ważną gałąź handlu w Nowym Yorku, Bostonie i Filadelfii. Księgarnie są zawałone temi płodami, tak, że literackie wykształcenie Amerykanów żywi się tylko utworami dawniej metropolii, skutkiem tego przytłumia się wszelki rozwój własnej narodowej literatury w kraju, który posiada wszystkie warunki po temu, a mianowicie: wysokie ukształcenie umysłowe, wybitną samoistość i zupełną oryginalność poglądów. Wpływ ten tak dalece jest silny, że nawet w tych niewielu oryginalnych amerykańskich utworach nie prawie nie masz amerykańskiego, wyjąwszy niektórych idiotyzmów; a u lepszych nawet pisarzy, jak u Longfellowa, Prescottta, Washingtona Irvinga, i tego nawet nie ma, tak że słusznie można ich uważać za angielskich autorów, którzy tylko przypadkiem wydają swe utwory w Ameryce. Ekscentryczności Poe'go są raczej osobiste, aniżeli narodowe: Cooper jest Amerykaninem tylko z wyboru przedmiotów.

Ze wszystkich sekt, w które Ameryka obfituje, największy wpływ wywierają metodyści, i można przypuścić, że wpływ ten przytłumi z czasem wszystkie inne, bo ilość metodystów wzrasta w strasznym stosunku. Pierwszy metodysta zjawił się w Ameryce w 1766 r. a obecnie cała trzecia część ludności Stanów Północnych należy do tej sekty. Dodać do tego należy, że ci fanatycy posiadają ogromne bogactwa, i że każdy z nich zobowiązuje się nawrócić przynajmniej jednego grzesznika na „łono świętej nauki,” jak się wyrażają. Chciałem być na *pobożnym meetingu* tych sekciarzy. Odbywał się w dolném pięttrze ich kościoła, gdzie się mogło zmieścić około tysiąca ludzi. Gdy wszedłem *meeting* już się rozpoczął. Widok tego com ujrzał smutne sprawił na mnie wrażenie. Mnóstwo osób klęczało, zakrywwszy twarz chustką lub rękami, i płacząc, szlochając lub wołając na głos: „*Oh, Jesus! Poor sinner I am! Give me salvation, oh, Lord!*” (O Jezu! Jam nędzny grzesznik! Zbaw mnie, o Panie!) i t. d. Przed oltarzem leżało krzyżem kilka osób; tu też klęczał jakiś człowiek z zamkniętymi oczyma, z głową w tył odrzuconą i rękami wyciągniętymi, któremi machał i głośno wykrzykiwał jakieś niezrozumiałe słowa (podług nauki metodystów, sam Duch Święty wkłada w usta osób będących w extazie,

to co te ostatnie mówią). Wszystko to wydało mi się teatralnym, sztucznym, chorobliwie fanatycznym. Wreszcie całe zgromadzenie powstało i zaintonowało modlitwę, kończącą się niemelodyjnym frazesem: „*He can cure a sin sick sou.* (On zbawia może i spragnioną grzechu duszę).

Następnie miał mowę jeden wędrowny kaznodzieja (*itinerant preacher*), słynny ze swęj potęgi (*power*). Powierzchnowość tego człowieka była oryginalna. Takim wyobrażam sobie Jana z Lejdy: wydatne, ostre zarysy twarzy, blade i zapadłe policzki, wysokie czoło, otoczone czarnymi włosami, nadzwyczajna gętkość głosu, przechodzącego od najcichszego, pieścziotliwego tonu, do ogromnego prawie huku. Sądzę, że to był fanatyk, który się wydoskonalif długą wprawą. Za temat swęj mowy obrał szczęśliwość sprawiedliwych i męczarnie grzeszników, i wyznać należy, że umiał swęj mowie nadać tak poetyczny i grozny odcię, że nie dziw iż wywarła ona silne wrażenie. Rozwinąwszy najokropniejszy obraz, nagle zamilkł, i niespodzianie przeszedł do ubolewania nad nieszczęsnymi, którzy nie wyszli jeszcze na drogę prawdy. „Być może, dodał, że niektórzy z nich są tu obecni”... I znowu począł w jaskrawych barwach malować wszystkie okropności piekła, które téj jeszcze nocy może ich pochłonać, poczem zaczął modlić się głośno, by błądzący zostali oświeceni prawdziwem światłem Ducha Św. „Tu, tu, do ołtarza” wołał poglądnąc na lud ognistym wzrokiem... I słowa te poskutkowały: pięć lub sześć kobiet wstało z miejsca, podeszło słańając się do potężnego kaznodziei i bez sił upadło mu do nóg. Całe zgromadzenie znowu tenże sam hymn zaintonowało. Wyznać należy, że metodyści znają się na rzeczy, i że efekt, który starają się wyrzucić na swoich słuchaczy, nie może przejść bez wrażenia na słabe umysły. Ale na mnie scena ta przykre sprawiła wrażenie, i pomimo woli przypominałem sobie prostą nieozdobną mowę pastora negra, którą słyzałem będąc w jednym z Stanów niewolniczych. Chowano murzynkę, pokojówkę żony plantatora, u którego czas jakiś gościłem. Byłem obecny wraz z gospodarzami przy tym smutnym obrzędzie, i dziś jeszcze tkwi mi w pamięci skromny cmentarz z drewnianemi krzyżami, na których wypisane tylko imiona: Sambo, Pompejusz, Cezar i t. p. bez żadnych komentarzy, i prosta niezgrabna postać czarnego kaznodziei, mówiącego zepsutym językiem i nie umiejącego wyszukać zręcznych i dobitnych wyrażęń; ale ten obraz w oczach moich ma daleko większą wartość, aniżeli obrachowane na efekt kazanie metodystów.

Napozór dziwnem się wydaje, że Ameryka, kraina przede wszystkim praktyczna, posiada tak niesłychanie wielką ilość sekt. Ale nienależy wystawiać sobie Amerykanina tylko jako spekulanta zbierającego pieniądze. Zna on wprawdzie wartość pieniędzy i nie lubi trwonić czasu w bezczynnem rozumowaniu o wszystkim i o niczem; jest on od nas nieskończenie praktycz-

niejszy i wytrwalszy, nie mniej jednak może oddać się zupełnie jednej idei, i oddać się nie tylko w słowach i marzeniach, ale czynem, poświęceniem swoich wygód i mienia. Przykładów na to dostarczyła ostatnia wojna domowa, a i teraz widzimy to samo w dziełach oświaty, dobroczynności i t. d. Ale oprócz tego są chwile, w których duch Amerykanina rzuca na czas jakiś swoje praktyczność, wszystko co jasne, prawdziwe, określone, matematycznie udowodnione, a skłania się ku nieokreślonemu i nadprzyrodzonemu. Nie więc dziwnego, że każde religijne mniemanie znajduje tu odgłos i zyskuje zwolenników z nadzwyczajną szybkością. Amerykanin jakby się obawiał, by go nie przygniotła ta materialna część życia, która pochłania wszelkie jego zabiegi, i stąd rzuca się z niesłychanym zapałem do wszystkiego, co go od ziemi oderwać może. Rozmowy z pozagrobowym światem, wywoływanie duchów, stoliki wirujące i tym podobne bołamuctwa przyszedły do nas z Ameryki.

Dla uzupełnienia charakterystyki Amerykanina, wypada coś powiedzieć o ich namietności do zakładów: pod tym względem bodaj że przewyższają oni Anglików. Ja sam omal nie stałem się ofiarą tej niepoohamowanej namietności, lubo osobiście bynajmniej nie dałem do niej powodu. Płynęliśmy z Saint-Louis do Altony w górę Missisipi. Dzień był pochmurny, wiatr wiał gwałtowny; fale wielkiej rzeki podnosiły się bardzo wysoko, i coraz bardziej przyjmowały ten brudno-żółty odcień, którym się ta rzeka od różnia. Przy przeciwnym wietrze i falach, które wówczas rzekę pokrywały, nie dziw, że parostatek wszystkie siły musiał wyteżać, by z dostateczną prędkością płynąć przeciw wodzie; to też kapitan naszego „Rindera” nie załował paliwa i pieca.

Parochód był przepelniony podróżnymi: ludziami i paki literainie zapełniali cały pokład. Znajdowali się tu przedstawiciele wszystkich narodowości i stanów: Amerykanie, Niemcy, Francuzi, murzyni i t. d., adwokaci, deputowani, misyonarz z surową fizyognomią, sentymentalne lady pod gęstymi welonami, kupcy, komiwojażerowie, fermerzy, rozmaici przedsiębiorcy i humbogiści (*humbug-maker*), poczynając od konstruktorów olbrzymich kolei żelaznych, do sprzedających eliksir życia.

Właśnie byłem zajęty badaniem tego różnorodnego tłumu, gdy wiatr się wzmógł i kilka kropli deszczu spadło na pokład: to zmusiło wielu pasażerów do zejścia na dół, by szukać wygodniejszego schronienia w kajucie. Pokład się wypróżnił, z czegośmy bardzo byli radzi, bo nam pozostałym było wygodniej. Parostatek okropnie się wahał, a dym z komina wygryzał oczy i wcale nieprzyjemną wonią nosy zapełniał; nie obawiałam się jednak kołysań, bo nie podlegam morskiej chorobie, a od przykłej woni miałem w ustach wyborne hawańskie cygaro. Znajdowałem nawet szczególną przyjemność i w tém podrzucania parostatku z boku na bok, i we wściekłości fal, wówczas, gdy mi owinięty

w ciepłe palto i pled siedział i czuł się zupełnie bezpiecznym, pomimo wściekłego gniewu żywiołów.

Bezpiecznym! Ależ nikt nie może nazywać się bezpiecznym na amerykańskich parostatkach lub kolejach żelaznych; oprócz bowiem zwykłych przypadków, które wszędzie mogą się przytrafić, pasażerom zagraża tu jeszcze i co innego: a mianowicie, przyjemność wylecenia w powietrze z machiną parostatku lub stratowania kołami zgruchotanych pociągów, i to wszystko z łaski kapitanów lub konduktorów, nie dlatego iżby się nie znali na służbie lub byli niezdolni, lecz z powodu nieszczęsnego szafu spółzawodnictwa. Wypadki, odnoszące się do tej ostatniej kategorii, daleko są częstsze od pochodzących z nieuwagi lub przyczyn naturalnych.

Rzeka pokrytą była mnóstwem statków, które płynęły bądź w jedną z nami stronę, bądź w dół rzeki. O parę-set sążni przed nami szedł parostatek „Minerwa”. Dopełdzaliśmy go powoli, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa, kapitan jego zauważał to i także przyspieszył biegu, tak żeśmy daleko z tyłu pozostali. „Mój panie, czy ten parowiec co tam płynie, także należy do waszego towarzystwa?” zapytał naszego kapitana mały, przysadzisty człowieczek, okryty szerokim płaszczem. „Nie, sir”, odparł kapitan, długa i chuda figura, w rodzaju Don Kiszota, ale z miną zeterminowaną i poważną. „W takim razie, kapitanie, *kalkuluje*, że nie pozwolisz temu ladaco dopłynąć przed nami do Altony?” wymówił wyzywającym prawie głosem mały dzentelman. „*Kalkuluje*, że się pan nie mylisz, zimno odpowiedział kapitan, i jeżeli nie przybędę na pół godziny przed tym niegodziwcem do Altony, to niech będę przeklęty i niech mi sądzono będzie na zawsze pić wodę z cukrem, zamiast *branditoddi*!”

I na potwierdzenie swój chwalebnej determinacji, rozkazał natychmiast dodać paliwa do pieca. Mały człowieczek wlaź tymczasem na ławę, żeby lepiej widzieć ruch obu parostatków, i zwrócił się do innego dzentelmana w wielkim słomianym kapeluszu. „Zakładam się o dziesięć dolarów, że prześcigniem!” wymówił wyniośle. „A ja zakładam się o 50, że to nie nastąpi!” odparł tenże niedbale. — „Zakładam się o 5 dolarów za naszego kapitana!” zawołał jeden fermer. „A ja tyleż stawię przeciw niemu!” zaryczał inny. „Sto dolarów, że nie dogonim!” rzucił ktoś z poza mnie. Odwróciłem się i ujrzałem mężczyznę o szerokiej twarzy i takichże plecach, który wyglądał na kalifornijskiego poszukiwacza złota. „Przyjmuję ten zakład!” odrzekł wykwintnie ubrany dzentelman, który dotąd jak się zdawało nie zwracał uwagi na tę scenę, — „a jeżeli pan przegrasz, to pieniądze pójdą na rzecz kapitana!” „I pańskie także!” — „Zgoda.”

Wiść o mającém nastąpić *steamboat racing* (wyścigi parowców) przebiegła z szybkością błyskawicy po pokładzie, a następnie i po kajutach, z których w mgnieniu oka wysypali się wszyscy młodzi i starzy, mężczyźni, kobiety i dzieci. O wszy-

stkiem zapomniano w tej chwili: i o kartach i o bufecie i o deszczu. Jestem pewny, że nie było ani jednego człowieka pomiędzy najbiedniejszymi pasażerami, któryby się nie założył, za lub przeciw naszemu parostatkowi. Najdelikatniejsze panie zapomniały o wietrze i duszącym dymie; najzarozumialsii dżentelmani odłożyli na stronę swą nadętą powagę, abolicyoniści i południowcy swą nie-nawieść polityczną. Wszyscy jedną tylko myślą zajęci byli: „prześcignim czy nie?” ale nikomu jak się zdaje na myśl nie przyszło, że przy tych nierozsądnych wyścigach stawia się na kartę życia każdego z nas.

Wątpliwości nie ma, że na „Minerwie” działo się coś podobnego do tego co miało miejsce u nas. Pokład jej był okryty pasażerami, którzy oka nie spuszczała z naszego „Rindera”. Kapitan ciągle wydawał rozkazy, majtkowie biegali, maszyny ostatnie siły dobywały. Widocznym było, że jak u nas tak i tam, każdy z nich był zajęty, który z parostatków otrzyma zwycięstwo, a zupełnie o tym nie myślał, że i przed zwycięstwem, może wylecieć w powietrze. Gdyby kto i wyraził taką myśl, niktby zapewne nie zwrócił na nią uwagi, i wyznać muszę, że sam byłem w jakimś uroczystym nastroju ducha, który zagłuszał we mnie wszelkie podszepty zdrowego rozsądku.

„Minerwa” wszystkie siły wyteżała, ale nasz parostatek był w ogóle nierównie lepiej zbudowany niż nieprzyjacielski, i dlatego z każdą chwilą coraz większą zdobywał przestrzeń, przy wściekłych okrzykach publiczności; ci nawet pasażerowie, którzy się zakładali przeciw kapitanowi, zapomnieli o tym, że mogą przegrać i cieszyli się jak szaleni, w przewidywaniu zupełnego zwycięstwa.

Ale w tejże samej chwili, gdy „Rinder” zrównał się z przeciwnikiem, rozległ się ogłuszający trzask, i wszyscyśmy popadali jeden na drugiego. Uchwyciłem się za jakiś przedmiot i spojrziałem dokoła... Straszne widowisko ujrzałem... Część pokładu wyleciała w górę, a z otworu buchał słup płomieni. Wtém, odłamała się jedna z komór kołowych, i wpadła w wodę wraz ze stojącym na niej kapitanem. Kajuta kapitańska rozpadła się w drugą i spadła z pokładu, pociągając z sobą wielu pasażerów. Ci co pozostali cali i nieuszkodzeni stracili rozum ze strachu, i rzucali się po pokładzie, popychając jedni drugich. „Kocioł pękł! Spuścić szalupę!” dawano się słyszeć ze wszystkich stron.

Nigdy nie zapomnę tej chwili! Okropne niebezpieczeństwo przebudziło we wszystkich ślepy egoizm, bezlitośne, okrutne uczucie, hańbiące rodzaj ludzki: kobiety i dzieci padały, ale nikt nie zwracał uwagi na ich płacz i narzekanie. Niektórzy pasażerowie wskoczyli w wodę, inni mimowoli w nią wpadli. Spuszczono jedną szalupę; ale tylu ludzi do niej wskoczyło, że nie wytrzymała i przewróciła się... Nowe krzyki... A ogień tymczasem z okropną rozszerzał się szybkością.

Potrzeba oddać sprawiedliwość „Minerwie.” Zapomniała w tej chwili o zniewadze, jaką choieliśmy jej wyrządzić, i spuściła

wszystkie swoje szalupy dla naszego ocalenia. Toż samo uczynił jeden z parostatków idących za nami i tym sposobem okazano nam wszelką możliwą pomoc. Nie pamiętam dobrze jakim sposobem i ja znalazłem się na bezpiecznym miejscu. Dzięki Niebu wyszedłem bardzo szczęśliwie z tego wypadku, bom stracił tylko niewielką torbę podróżną, zresztą byłem zdrow zupełnie. Nie wielu jednak było tak szczęśliwych: około pięćdziesięciu pasażerów albo utonęło, albo zginęło na pokładzie; wielu ciężko było rannych, a z parostatkami, który poszedł na dno, zatonięły wszystkie towary i bagaże.

W kilka dni potem dzienniki ogłosiły publiczności o przytrafionej katastrofie, i na tem wszystko się skończyło.

Rząd washingtonski oddawna zabronił podobnych wyścigów, a przełamujący to prawo ulegają wielkim karom pieniężnym; pomimo tego jednak *steamboat-races* powtarzają się i nie przestaną się powtarzać, bo sama publiczność im sprzyja. A jakież prawo zdoła wykorzenić narodową namiętność?

W życiu narodów spostrzegać się daje jedna szczególna tajemnicza cecha: jest nią dążność do przesiedlenia ze wschodu na zachód. Tak było w czasach najstarożytniejszych, to samo widzimy dziś jeszcze. Azyatyckie ludy przestały zalewać Europę, ale natomiast Europejczycy przeprowadzają się przez ocean do Ameryki. Nie sam tylko złotodajny piasek lub nienaruszona pługiem gleba, wabią niezliczone tłumy emigrantów, udających się do Kalifornii, Konzasu, Kolorado lub Montany; nie zaiste, ludzi tych ciągnie jeszcze coś takiego, co nazwać można wewnętrzną missyą rodu ludzkiego, missyą, którą spełniają bezwiednie, ale która niezmiernie zmusza ich dążyć na zachód dopóty, aż wszystkie części kuli ziemskiej jednakowo prawie zaludnione nie będą.

Skutkiem tego przez całą połowę roku, po pierwotnych drogach amerykańskich stepów, ciągną się nieskończonym pasmem karawany emigrantów. Są tygodnie, w których mimo warowni Kirne, około której koniecznie przejeżdżać muszą wszyscy udający się na zachód, przechodzi od 4,000 do 5,000 rozmaitych wozów. Wozy te, ciągnięte przez muły lub konie, i pokryte płóciennym białem okryciem, wydają się zdala niby powoli posuwającą się flotyllą.

W wozach tych mieszczą się starcy, dzieci i kobiety wraz z odzieżą i niezbędnymi sprzętami w życiu kolonisty: młodzi ludzie jadą konno. Wielu z nich niema nawet obuwia, co nie przeszkadza im jednak mieć nadzieję, że wrócą nababami z błogosławionej zachodniej krainy, — i nadzieja ta wcale nie jest płonną, bo Ameryka jest krajem cudów, i mnóstwo w niej znajdzie się milionerów, którzy wprzódzy zebraćkami byli.

Karawany takie odbywają dziennie 12—20 mil angielskich. Za nadejściem nocy podróżni zatrzymują się, ustawiają wozy do koła, zapędzają konie i bydło w środek taboru, i obwarowują się w nim wedle możności na przypadek napadu czerwonco-skórych.

Drogi bowiem w ogóle wcale nie są bezpieczne. Z twierdzy Kirne rozsyłają się patrole na wszystkie strony, ale co mogą one począć w tych nieskończonych stepach, przeciw dzikim łupieżcom, szybkim jak antylopy, a dającym znać o sobie tylko krwawymi śladami, które po sobie zostawiają? Poczтовым powozom towarzyszy zwykle konna eskorta; oprócz tego na każdej stacyi utrzymują się piesze sztydwachy, ale pomimo tego i poczty często są napadane. Nie wstrzymuje to jednak bynajmniej ogólnego ruchu na Zachód, owszem wzmógł się on znacznie w ostatnich czasach, a mianowicie po ustaniu wojny domowej. Spodziewać się należy, iż po ukończeniu olbrzymiej kolei żelaznej „Wschodniego oceanu,” ożywią się i te pustynie, a dzięki energii rządu i osób prywatnych, kraj zupełnie oswobodzony zostanie od indyjskich łupieżców.

Jeszcze w roku zeszłym udało się mi zwiedzić kopalnie złota w prowincyi Kolorado... Eksploatacya złota niedawno tu jeszcze się zaczęła, a jednak Kolorado po Kalifornii jest już najbogatszą w złoto krainą. Dotąd odkryto tam około 10,000 złotodajnych min, a mnóstwo przemawiających machin w nieustannym znajduje się ruchu. Na wschód Ameryki ludzie starają się zбогаć za pomocą rolnictwa i handlu; na zachód, każdy mieszkaniec jest niestrudzoną poszukiwaczem złota, albowiem Kolorado, Nevada, Montana, słowem wszystkie zachodnie prowincye północnej Ameryki, pokryte są górami, a uprawa gleby i wszelki inny przemysł nie mogą ani w setnej części dać tego, co daje przemysł górniczy.

Złotodajne te okolice zwiedzałem z bardzo miłym człowiekiem, panem G. Siedliśmy na wózek pocztowy, przeprowadziliśmy się promem przez Plattę, i zaczęliśmy się piąć na pierwsze rozgałęzienia wspaniałych gór, które szeroko na widnokręgu się rysowały. Oto i ciasny wąwóz, przez który wchodzi się w góry, zwany tak dobitnie „złotą bramą” (Golden-Gate); oto i cudny Klir-Krik, z szumem spadający ze strasznej wysokości. Z obu stron naszej drogi wznosiły się nakształt ścian prostopadłych nagie skały, uwieńczone ciemną zielenią jodeł i sosien. W ciemnych przepaściach błyszczały strumienie, odbijające wszystkie kolory tęczy i cudnie łamiące się z promieniami słońca, które przypadkowo w tę straszną głąb zajrzało. Widok był wspaniały; psuły go tylko wyrąbane miejsca: las został użyty na rozmaite budowle. Co robić! Duch czasu pomimo narzekania poetów przyjemne poświęca dla użytecznego.

Droga szła przez góry do Central-City, głównego punktu i niby serca złotodajnej krainy. Pięliśmy się coraz wyżej i wyżej; droga stawała się coraz bardziej niebezpieczną: to się podnosiła prawie prostopadle, to niespodzianie w najstraszeniejsze zapadała przepaści. Ale zapominaliśmy o niebezpieczeństwach, zachwycając się krajobrazem, który nas otaczał. Na samym wierzchołku zatrzymaliśmy się i spojrzeliśmy dokoła. Denver-City,

z któregośmy niedawno wyjechali leżał tak nisko, że domy jego wydały się nam niby małemi ciemnymi punkcikami. Po za nim rozciągał się nieskończony step, podobny do morza zielonego. Nazajutrz rano ujrzelśmy i góry śnieżne, których lodowiska w dziwnie fantastyczny sposób odbijały się na słońcu. Zagłębiając się coraz dalej w góry, dotarliśmy wreszcie do części północnej Klir-Kriku, (Clear-Creek) który płynie tu spokojnie, w głębi wąskiej doliny. Na brzegu rzeki widzieliśmy mnóstwo machin przezywających, zbudowanych z drzewa lub z granitu. Droga przed nami ciągnęły się wozy naładowane drogocennym towarem. Ogorzałe, dziko wyglądające postacie snuły się tam i sam, rozmawiając z sobą w języku niezrozumiałym dla nienawykłego ucha. Na skałach tu i owdzie sterczały blokhauzy, niby gniazda drapieżnych ptaków. Wszystko cośmy widzieli dokoła świadczyło o nieustannej pracy. Wjeżdżaliśmy do „starej kopalni Jerzego”, najdawniej odkrytej w tych górach. Główna eksploatacyja odbywa się na przestrzeni 3 mil angielskich. Widziałem wiele górskich osad w podrózach moich po Niemczech i Szwajcaryi, ale to com miał w tej chwili przed swojemi oczyma, nic zgoła nie ma wspólnego z temi spokojnemi miasteczkami i wioszczynami: wszystko tu wrzało chorobliwą działalnością, o której w Europie ani pojęcia nie mamy.

Postanowiliśmy zabawić tu kilka dni, by poznać bliżej pracę i zwyczaje poszukiwaczy złota. Niektórzy turyści przyjęli sobie za zasadę malować tutejszą ludność, jako zbieraninę wszelkich wyrzutków społeczeństwa, i zapewnijają, że każdy z tych zuchów, gotów w każdej chwili powitać cię kulą lub nożem, za to tylko, że mu się fizyognomia twoja nie podobała. I ja wprawdzie spotykałem tu ludzi bardzo nieokrzesanych, nie troszczących się wcale o swą powierzehowność i przyzwoitość, i więcej może niż potrzeba oddanych ulubionemu *wiski*; ale w każdym razie nie takich potworów, za jakich podawały ich pomienione opisy. Wątpliwości nie ulega, że zaraz po odkryciu tutejszych min, zbiegło się tu wiele podejrzanych osobistości, wiedzionych żądzą prędkiego zbogacenia się; obecnie wszakże ci tylko tu przychodzą, którzy nie obawiają się pracy. Pod względem rass, najzupełniejsza mieszanina: spotkać tu można i jasnowłosego Niemca, i wysmukłego kreola, i lekkiego Francuza, i poważnego yankeasa; ale cała ta zbieranina prowadzi w ogóle życie regularne, i poddaje się powszechnie przyjętemu porządkowi rzeczy, wyjąwszy jednych tylko Irlandczyków, którzy zyskali smutną sławę opalców i włóczęgów.

Kopalnie, podziemne roboty, tajemnicze ognie, oświecające fantastyczne grupy robotników, wszystko to tyle już razy opiswano, że nie myślę tu powtarzać znanych rzeczy; powiem tylko, że zdaniem wszystkich doświadczonych i uczonych ludzi, w górach skalistych tyle znajduje się skarbów, że dosyćby ich było dla zbogacenia wszystkich narodów kuli ziemskiej.

Zresztą, gdzieżto czasem nie zabrnje człowiek w nadzieję zyskania bogactw! Amerykańskie dzienniki podają, że przed kilka laty pewien żyd, nazwiskiem Szware, uroił sobie, że w kloakach i kanałach rynsztokowych Nowego Jorku, znajduje się mnóstwo kosztownych przedmiotów; nie namyślając się długo, zszedł tam, spędził trzy doby w tym okropnym podziemnym labiryncie, i powrócił z rozmaitemi srebrnemi i złotemi rzeczami, których wartość obliczają na 27,000 dolarów. Według własnych jego zeznań, znalazłby nierównie więcej jeszcze rzeczy, gdyby nie zabłądził i nie trafił zamiast Broadway i innych bogatych cyrkulów w inną, stosunkowo uboższą część miasta. Na drugą zaś wyprawę nie stało mu serca, zbyt bowiem był nastraszone przebytymi niebezpieczeństwami.

Przed odjazdem naszym ze złotodajnej krainy, zdarzyło się mi widzieć kilka typów prawdziwych leśnych Indyan. Trzej z nich należących do spokojnego plemienia, zostającego w pewnym przymierzu z poszukiwaczami złota, z awili się w kopalni celem uniewinnienia się z ciężącego na nich zarzutu kradzieży koni. Wyrazali się bardzo złą angielszczyzną, ale jak się zdaje mówili bardzo szczerze, i przyrzekali odszukać winowajcę, by go przykładownie ukarać. Starszy z nich był naczelnikiem plemienia, dwaj pozostali—synami jego.

Wracając ze swej wycieczki w góry, rozmawialiśmy nieraz o niestrudzonej działalności białych mieszkańców północnych Stanów, i porównywaliśmy ją z tą opieszalą guśnością, która cechuje południowe Stany. Weźmy na przykład choćby i obie Karoliny. Na granicy ich z północną częścią związku, t. j. w części gdzie nie można jeszcze z korzyścią uprawiać ryżu, trzciny cukrowej i bawełny, ciągną się nieprzebyte sosnowe lasy, których produkta umiejętnie zużytkowane, mogłyby sownie wynagrodzić niedostatki, pochodzące z jałowych, gliniastych gruntów. Takby niewątpliwie postąpiła ludność Stanów północnych. Ale podróżny przejeżdżając tym lasem, widział wprawdzie wielu negrów, bądź niewolników, bądź najętych, którzy rąbali olbrzymie drzewa, lub robili na nich nacięcia, celem otrzymania żywicy; ale oprócz dozorczy, nie mógł dostrzedz ani jednego białego człowieka wśród tej masy robotników. Największa nędza nie zmusi białego do przyjęcia udziału w pracy, przez czarnych dokonywaną. Upředzenie to i dziś jeszcze istnieje, pomimo wszelkich usiłowań światłych mieszkańców północy, którzy po przytłumieniu powstania poczęli się starać o wykorzystanie proletaryatu w południowych Stanach.

Łatwo jeszcze pojąć, dlaczego bogaty plantator, który urodził się i wychował wśród zbytków, przywyka robić wszystko cudziemi rękami, i z pogardą spogląda na wszelką pracę; ale jak sobie wytłumaczyć, że ludzie literalnie z głodu prawie umierający, do żadnej nie chcą wziąć się pracy, tylko dla tego, że urodzili się białymi? Swobodni murzyni żyją od nich daleko lepiej, ubie-

rają się przyzwoiciej, a nawet skutkiem tego dobrobytu, dochodzą nieraz znakomitego stopnia rozwoju umysłowego, ale ci biali nędzarze, *white trash*, jak nazywają, gniją w swęj gnuśności i pomimo swych łachmanów, spoglądają na czarnych z pychą, przypominającą ubogich hidalgów Kastylii. Bogaci plantatorowie podtrzymują w nich tę ambycyą z własnego interesu: małemi darami starają się utrzymać ich w swęj zawiśłości, to też w razie potrzeby mogą na nich polegać. Więc dają im to kawał ziemi w swoich posiadłościach, to parę razy w tydzień obdzielają resztkami pańskiego stołu i t. d. Ale w dzdzystą porę roku upływają nie tylko tygodnie, ale miesiące, w ciągu których wszelka komunikacya pomiędzy temi chałupami i pałacami ich patronów zupełnie jest przerwaną, i wówczas to jedynę prawie pożywieniem tych nieszczęśliwych jest glina. Od tęj dziwnej karmy otrzymali oni nazwę *clay-caters* (glinojady). Rzecz dziwna, że tak przywykają do tego pokarmu, iż wówczas nawet gdy są zupełnie syci, nie przestają jednakowoż przeżuwać gliny. Ale tak nienaturalne pożywienie, ma naturalnie bardzo opłakany wpływ na zdrowie tych biedaków. Cera ich jest żółta, przykre sprawiająca wrażenie na patrzącym, co im nawet zjednało charakterystyczne przezwisko u północnych Amerykanów: *tallow-face* (bladolicych, dosłownie koloru świecy łojowęj).

Podczas bytności mej w Ameryce przed pięćią laty, miałem zrzęcnosć być w Północnej Karolinie i własnymi przekonać się oczami o fizycznej i moralnej nędzy tych biednych istot. Przyjechałem z jednym towarzyszem do Elizabettown, zkad robiliśmy wycieczki do okolic. Raz spotkała nas straszna burza, o dziesięć mil od miejsca, w którym mieszkał znany nam plantator. Było już późno gdyśmy z narażeniem życia przeprawiali się przez bystry, szeroko wezbrany strumień. Po niesłychanych trudnościach zdołaliśmy się zeń wydostać, ale radość nasza niedługo trwała, bo droga na przeciwnym brzegu była niezmiernie kamienista. Ledwieśmy się wlekli, deszcz lał jak z cebra, ciemnosć panowała dookoła, a upragnionego domu plantatora wcale widać nie było. Położenie nasze w rzeczy samej stawało się okropnem, gdy wtęm czarny nasz stangret Faro, zawolał: „Massa! ogień!” Jakoż istotnie w niewielkiej od nas odległości, z poza czarnej gęszczy drzew migąło jakieś światółko. Sądząc żeśmy stanęli u celu podróży, popędziliśmy naszego konia, który zupełnie już ustawał, ale niestety, zbliżywszy się do tak pożądanego światła, zamiast eleganckiego domu plantatora, ujrzeliśmy nędzną chałupę, zaledwie mogącą udzielić nam schronienia od gniewu rozhukanych żywiołów. Zawsze jednak było to ludzkie mieszkanie, i dla tego zatrzymaliśmy się.

Drzwi otworzył nam chłopak dziesięcio lub dwunastoletni, żółty, chorobliwęj cery, raczej do cienia niż żyjącej istoty podobny. Prawdziwy *tallowface*! Weszliśmy. Jedyny pokój ubogiego mieszkania oświecał się dymiącém i trzaskającém łuczycem. Za-

miast krzesła leżały na podłodze trzy lub cztery grube sosnowe pieńki; dwa niskie łóżka, o połamanych nogach, stały w kątach zarzucone brudnymi łachmanami, które i odzież i pościel zarazem stanowiły. Na kominku stała drewniana misa, jedyne całe naczynie w domu. Przez szczeliny ścian świstał przeraźliwie wiatr, a przez dach lał się deszcz jak przez przetak.

Cały ten obraz obejrzałem jednym rzutem oka, ale wtem oczy moje zostały jakby przykute na miejscu. Wprost przedemną na kulałem krzeselku, które dostało się tu zapewne ze złożonych apartamentów plantatorki, siedziała jak posąg grecki, dziewica Bosa, napół naga, z długimi wijąciami się i czarnymi włosy, wydała się mi niby jaką boginią. Wpatrywała się bacznie we mnie swemi czarującymi, czarnymi oczyma, a ja zupełnie oniemiałem na niespodziany widok tak doskonałej klasycznej piękności. Ale wrażenie to nie długo trwało. Brudne łachmany, które miała na sobie, i same ciało grubą warswą błota pokryte, przywróciły mi przytomność, i wówczas dopiero zwróciłem uwagę na nieprzyjemną żółtą barwę twarzy mojego bóstwa... I w innym kącie izby siedziała staruszka z dwojgiem dzieci, również brudnych i żółtych, i spoglądających na nas wielkimi czarnymi oczyma.

— „Czy daleko do domu pana Kerri?”—zapytał mój towarzysz. — „Z pięć mil!” odparła stara. — „Czy same jedne tu mieszkalacie!” — „Nie, mężczyźni na polowaniu.” — „Na cóżby mogli polować tak późno?” — „Łowią murzynów.”

Kazałem Feremu postawić konie pod przyzbą i podać worek z wiktuałami. — „Czy nie macie czego do zjedzenia?”—zapytałem naszych gospodyń. — „Nie,” odpowiedziano. — „Jako, nie nie ma!” — „Nic, od czasu jak deszcze się zaczęły.”

Rozwiązałem worek i wysypałem wszystko co się w nim znajdowało na płytę kamienną, zastępującą miejsce stołu, bo tego ostatniego nie było. Widok jadła ożywił te napół martwe istoty, które rzuciły się na nie z gorączkową łapczywością i zaczęły przedko pożerać.

— Siądź i ty, Fero, i tobie jeść się pewnie chce, — rzekłem do swego stangreta.

Klasyczna piękność spojrzała na mnie wzrokiem najwyższej pogardy.

— Spodziewam się, że nie zechcesz pan, byśmy razem jadły z jakimś tam murzynem?—rzekła wgardliwie. Jesteś pan dżentelmanem i znasz się zapewne na przyzwoitości!

— Przebacz pani! — odrzekłem z należnym uszanowaniem. Nie miałem zamiaru wyrządzać pani zniewagi. Fero zje potem.

Po obiedzie, który gospodynie nasze aż do najmniejszej okrużyny sprzątnęły, żółtolica rodzina znowu wróciła do swjej nieruchomości, nie spuszczając z nas swych wielkich żółtych oczu. Towarzysz mój zauważał pocichu, że mu jakoś mdło robi się w tem towarzystwie figur woskowych. Po chwilowem milczeniu stara zapytała:

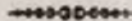
— „Zkąd panowie przybywacie!” — „Z Waszyngtonu,” odpowiedzieliśmy. — „Cóż to ten Waszyngton?” — „Stolica Związku; tam znajduje się kongres, tam mieszka prezydent.” — „Prezydent! dla czegoż abolicyoniści obrali sobie murzyna prezydentem.” — „Lincoln bynajmniej nie jest murzynem.” — „Więc któż on taki?” — „Człowiek, który los swój zawdzięcza własnej swej wartości i pracy.” — „Pracy? więc musi być chyba murzynem?” — „Na Północy pracują i biali ludzie, pomimo swej cery.” — „Więc hańbią cały Związek! Ale spodziewam się że kobiety przynajmniej potępiają ich za to?” — „Owszem, same pracują, służą w fabrykach, kantorach, uczą dzieci...”

Klasyczna piękność obrzuciła nas wzrokiem od stóp do głowy, i wymówiła powoli:

— „I te kobiety zarabiają pieniądze?” — „Tak, miss, ma się rozumieć; — odparłem — i dzięki tym pieniądzom mogą nosić piękne czyste suknie, zbierać jakiś fundusik i otoczyć troskliwością starych swych rodziców. Czyliżby się takie życie i pani nie podobało?” Usteczka złotolicej bogini pogardliwie się wykrzywiły.

— „Wolę niż to wszystko, zachować godność własną!” — odrzekła z wyniosłością nie do naśladowania. Walać swe ręce pracą.

Nie mogłem wstrzymać się od uśmiechu. To *walać ręce* było niezrównane, w ustach podobnej nędzarki. Rzuciwszy po dolarze złotolicej rodzinie, spiesznie wsiadliśmy do kabrioletu, ale długo nie mógł zapomnieć „glinojadów” i ich wyobrażeń o godności człowieka.



SZKOŁA POZYTYWNA.

(Ciąg dalszy).

IV.

METODA FILOZOFII POZYTYWNEJ.

Dobrze to powiedziano, że kto znalazł właściwą drogę doświadczenia do prawdy, mądrość znalazł. Jeżeli nauki w jakim peryodzie nie postępowały, wina to była główna lubo nie jedyna, złej metody.

Jeżeli w starożytnych wiekach spotykamy mały postęp wiadomości, jeżeli w średnich wiekach jeszcze mniejszy; wina to metody zamknięcia się uczonych i odosobnienia, uważania podmiotowych urojeń za prawa rządzące światem.

Czém tedy jest metoda? Oto drogę którą powinny iść naukowe badania, ażeby doprowadziły do pożądaných wypadków, kontrolowanych biegiem i rozwojem świata rzeczywistego. Metoda zatem powinna każdej nauce wskazać przedmiot badania, granice, poza które sięgać nie wolno, jeżeli się nie chcemy bawić w marzenia, środki za pomocą których cel osiągnąć można.

Jakaż jest metoda filozofii pozytywnej? Doświadczenie i umiejętność postrzegania tam gdzie doświadczenia czynić niepodobna. Metoda taka powiada do każdego badacza: masz zmysły i rozum. Patrz raz, drugi, trzeci i dziesiąty na to co się wkoło ciebie dzieje; doświadcza raz, drugi i setny gdy wypadnie, ażali spostrzeżone zjawiska tę mają przyczynę, którą im naznaczasz; ażali prawo któreś dla nich i z nich wytropił jest powszechném, czy też uległóm przeciwdziałaniu innych praw i przyczyn. Nie jestto zatem gminne, pospolite postrzeganie odkrywające z powtarzających się zjawisk prawa empiryczne; lecz postrzeganie umiejętne, wykazujące nie tylko prawidłowość w zjawiskach, lecz oraz pokazujące że tak a nie inaczej być musiało.

Zjawiska tak fizyczne, jak społeczne nie są wyosobnione, lecz jedne są dla drugich przyczynami. Kto więc chce umiejętnie badać i dojść prawa jakiemu pewne zjawisko ulega, musi brać w rachubę niezliczony szereg zjawisk poprzedzających, z których dostrzegane powstało, wyłączyć dalsze od bliższych, wykazać jak mówimy przyczyny istotne od okoliczności towarzyszących. O takięto obserwacyi mówi metodologia filozofii pozytywnej i taką a nie inną posługują się nauki doświadczalne; naturalnie w naukach społecznych, gdzie doświadczenie jest niemożliwe a przynajmniej niebezpieczne, i obserwacya przybiera w pomoc inne jeszcze żywioły metodologiczne, a mianowicie porównanie, dedukcyą i t. p.

Pozytywna metoda uczy nas, że przedmiotem filozoficznego poznania są wszystkie zjawiska, a więc tak świata fizycznego jak i społecznego. Tém samém wskazuje nam granice, za które ścisłej umiejętności przekraczać nie wolno. Temi granicami są: przestrzeń i czas. Wszystko co sięga poza te naturalne granice naszego rozumu, może być przedmiotem poezyi, metafizyki, ale nie ścisłej dowodliwej nauki.

Ztąd już wynika, że metoda pozytywna wymaga po wszelkiej nauce chcącej nosić charakter pozytywności, czyli pewności, by się rzekła szukania absolutu i ograniczyła na badaniu tego co jest względne, co się odbywa w granicach przestrzeni i czasu. Koniecznym jest zatem dalej, rzeczenie się wyszukiwania tak zwanych przyczyn pierwszych i ostatecznych czyli celowych, bo ani początku ani końca wszechrzeczy dowieść drogą ścisłej nauki niepodobna. Zostawiając tedy metafizyce poetycznej wszystkie te ciekawe pytania o absolutie, pierwszej przyczynie i ostatecznym celu, metoda pozytywna naznacza skromniejsze zadanie dla badań rozumu ludzkiego. Ale też ścieśniając widnokrąg swoich poszukiwań, pewniejszą jest dojścia do prawdy w tém co najwięcej obchodzi wiedzę teoretyczną i dobrobyt społeczeństwa ludzkiego.

„Wszakże, ażeby wiedzieć czém jest metoda pozytywna i stosować ją skutecznie, powiada A. Comte, trzeba się jęj przyglądać w zastosowaniu do rozmaitych nauk. Słowem, do pojęcia tej metody można przyjść przez filozoficzny rozbiór nauk. Metody niepodobna studyować w odłączeniu od poszukiwań, do których ją mamy stosować, w takim bowiem razie, to jest zastanawiając się nad nią osobno, otrzymalibyśmy naukę suchą, niezdolną zapłodnić ducha ludzkiego. Gdy o tej metodzie w oderwaniu rozumujemy, wypadają nam w końcu ogólniki tak nieokreślone, że o wpływie ich na rozum nie ma co myśleć. Jeżeli zaś tylko logicznie dowiedzimy, że wszystkie nasze wiadomości powinny być oparte na doświadczeniu, że winniśmy raz postępować od faktów do zasad, to znów od zasad do faktów, i jeżeli jeszcze kilka podobnych aforyzmów wygłosimy; mniej zaiste znamy metodę pozytywną, niż ten kto aby jednę umiejętność pozytywną choćby nie zbyt głęboko wystudycował, nawet bez zamiaru filozoficznego poznania. Wła-

nie zapomniawszy o tym ważnym fakcie psychologowie dotychczasowi brali mrzonki swoje za naukę, sądząc że już znają metodę pozytywną, gdy przeczytali to co o niej pisał Bacon lub Dekart (1)."

Całe potężnych 6 tomów *Kursu filozofii* poświęcił Comte właściwie mówiąc wykazaniu czem jest metoda pozytywna, jaką być powinna w śledzeniu zjawisk przyrody a jaką w badaniu praw rządzących społeczeństwem ludzkim. Trzeba nawet wyznać, że usystematyzowanie całej wiedzy ludzkiej, o ile się ta zajmuje zjawiskami przyrody, przedsięwziął tylko dla tego, azeby dowieść że i zjawiska społeczne nie według widzimisię, lecz według praw statycznych rozwijają się niepoliczoną różnaitością. To właśnie nakreślenie zarysów fizyki społecznej jak ją nazwał, było ostatecznym celem metody. Ponieważ o socyologii niżej będziemy mówili, więc tam jeszcze i o metodzie pozytywniej do zjawisk społecznych stosowanej kilka słów nadmienimy.

Lecz chociaż Comte o metodzie pozytywniej szeroko w powołaném dziele, na rozmaitych miejscach mówi; chociaż zapewnia i słusznie, że metoda pozytywna dopiero w stosowaniu pokazuje się czem jest i jakie usługi oddaje nauce: jednak trzeba, że te ogólnikowe napomknienia nie dają czytelnikowi dostatecznego pojęcia o metodzie pozytywniej. Rozwinięcia zatem i ułożenia tych ogólnikowych napomknień o metodzie podjął się Mill, który w swojej „*Logice*” na wskazówkach Comte'a oparty gruntownie i umiejętnie wyłożył naturę metody pozytywniej w dwóch kierunkach: fizycznym i społecznym stosowanej. Zastanawiając się nad metodą pozytywną, zauważmy najprzód, że wszystko co wiemy i co umiemy pochodzi z doświadczenia, że całą naszą wiedzę składa się ze świadomości zjawisk, faktów i związku ich między sobą; że nie mamy żadnych wrodzonych idei: że nawet dalekie z pozoru od doświadczenia prawdy i pewniki matematyczne na równi z zasadami obyczajowemi, są w gruncie tylko wynikiem doświadczenia osiągniętym przez indukcyę. Indukcyja zaś jest taką czynnością umysłową, która wynajduje i udowadnia zdania ogólne, „jest więc uogólnieniem doświadczenia.” Za pomocą indukcyi wnioskujemy, że co jest prawdą o pewnej ilości jednostek danej klasy, prawdą jest o całej tej klasie; lub że co jest prawdą w pewnym czasie, będzie prawdą zawsze przy podobnych okolicznościach (2). I tak, wiedząc z doświadczenia, że Piotr, Paweł, Jan i t. d. pomarli, wnosimy że każdy człowiek umrze. Znaczy to tyle jak gdybyśmy powiedzieli, że bieg rzeczy na świecie jest jednakowy, a do tej prawdy indukcyja nas prowadzi. Doświadczenie tedy jest i źródłem i ostatecznym sprawdzianem wszystkiego co wiemy i umiemy. Prawdę mówiąc,

(1) Cours de phil. positive. T. I. str. 34.

(2) Mill. A System of Logic. T. I. Book. III. Chap. II i III. Wyd. 6. 1865. (London).

cała nasza filozofia polega na powiązaniu zjawisk i faktów, a powiązanie to będzie znalezione, gdy okażemy jak pewne fakta i zjawiska są poprzednikami następujących po nich faktów i zjawisk, czyli gdy znajdziemy właściwy stosunek między przyczyną i skutkiem. Zrozumienie tedy wyrażenia tego *przyczyna* jest niesłychanej wagi dla metody filozoficznej; z dobrego pojęcia przyczyny jak ze źródła, tryska cała filozofia. Co tedy znaczy przyczyna? Fakt, zjawisko lub szereg faktów i zjawisk, z których *koniecznie* powstały inne fakta i zjawiska. I tak, żelazo w zetknięciu się z kwasorodem powietrza, pokrywa się niedokwasem, czyli jak mówimy rdzowieje. Zjawienie się rdzy byto *skutkiem* zetknięcia się kwasorodu z żelazem. Nie potrzeba tu żadnej metafizycznej siły do wytłumaczenia tego zjawiska, jakie często metafizycy wynajdują, żeby wyjaśnić związek dwóch faktów następujących po sobie. Przez przyczynę tedy rozumiemy: *niezmiennego poprzednika* a przez skutek: *niezmiennego następnika* (*antecedens et consequens*). Prawdziwa przyczyna, powiada Mill, jest to summa takich poprzedników (poprzednich zjawisk, faktów) bez których skutek nie byłby nastąpił. *The reale cause, is the whole of these antecedents*. I gdzie indziej tenże mówi: „Przyczyna, mówiąc filozoficznie jest całkowitą summą warunków tak dodatnich jak ujemnych, które gdy się razem znajdują, muszą sprowadzić taki, nie inny skutek” (1). Z doświadczenia zatem wiemy, że wszystkie zjawiska tworzą pewne grupy, pary; że jedne mają się względem drugich jak przyczyna do skutku. Dla wykazania tych stosunków, tego związku między zjawiskami, Mill nakreślił metodę opartą na indukcji. Metoda owa mająca być stosowaną przeważnie do badania zjawisk fizycznych dzieli się na cztery rodzaje, czyli cztery metody. Pierwsza zowie się *metodą zgodności*, druga *różnicy*, trzecia *reszty*, czwarta *zmian spółbytnych*, które objaśnia następującymi przykładami:

Metoda zgodności. Weźmy kilka naczyń z płynami zawierającymi rozpuszczone rozmaite ciała, które oziębamy i kilka roztworów tych samych ciał które ogrzewamy; wszystkie będą się krystalizowały. Siarka, cukier, alun, chlorek sody są ciałami różnemi; temperatury, okoliczności także są różne: a jednak w tém wszystkim jeden fakt jest wspólny i jedyuy, to jest przejście z ciekłego w stan stały: wnosimy zatem, że to przejście jest niezmiennym poprzednikiem krystalizacji. Otóż jest przykład metody zgodności; zasadniczem prawidłem dla niej jest: „że jeżeli dwa lub więcej wypadków dochodzonego zjawiska, mają tylko jedną okoliczność wspólną, okoliczność ta jest albo przyczyną albo skutkiem.”

Metoda różnicy. Weźmy ptaka który na wolném powietrzu oddycha i zanurzymy go w gazie kwasu węglanego: spostrzeżemy zaraz, że przestaje oddychać, że w pierwszym wypadku (na wolném

(1) To pojęcie przyczyny nie jest wcale zasługą Mill'a; znacznie już dawniej poświęcił wyrozumieniu jego D. Hume prawie cały swój wielce nauuczający traktat pod tyt. „An inquiry concerning the human understanding.”

powietrzu) nie dusił się a w drugim się dusi. Zresztą oba wypadki podobne są do siebie, bo jest ten sam ptak i prawie w tej samej chwili: różnica tylko zachodzi w jednej okoliczności, w zanurzeniu za pierwszym razem w powietrzu zwyczajnym, za drugim w gazie kwasu węglanego. Ztąd wnosimy, że okoliczność ta jest jednym z niezmiennych poprzedników zaduszenia. Otóż przykład metody różnicy. Zasadniczém prawidłem dla niej jest: „jeżeli mamy wypadek w którym się dostrzegane zjawisko spotyka i drugi wypadek w którym się nie spotyka, a przy obu wypadkach okoliczności są te same z wyjątkiem jednej; zjawisko tę jedną ma za przyczynę lub skutek.”

Metoda reszty. Weźmy dwa szeregi faktów lub zjawisk, z których jeden wyobraża poprzedniki, drugi następniki. Powiążmy wszystkie poprzedniki z wyjątkiem jednego, ze swoimi następnikami; i wszystkie następniki z wyjątkiem jednego, ze swoimi poprzednikami: naówczas można wnieść, że pozostały poprzednik wiąże się z pozostałym następnikiem. Na przykład fizycy obliczywszy według praw rozchodzenia się fal dźwięcznych, jaka powinna być szybkość dźwięku, przekonali się, że dźwięki biegną prędkiej niż wskazywał rachunek. Ta przewyżka czyli *reszta* szybkości jest następnikiem i przypuszcza pewnego poprzednika; Laplace przekonał się że tym poprzednikiem jest ciepło wywiązujące się przy każdej fali dźwięcznej. Kiedy tę nową okoliczność wprowadzono do rachunku, pokazało się, że został ścisłym. Otóż przykład metody *reszty*. Zasadniczém dla niej prawidłem jest: że „jeżeli z pewnego zjawiska wyłączymy część będącą skutkiem pewnych poprzedników, reszta zjawiska będzie skutkiem pozostałych poprzedników”

Metoda zmian spółbytnych. Weźmy dwa fakta: ziemię i ruch wahadła, albo księżyc i ruch morza. Ażeby połączyć bezpośrednio dwa te zjawiska ze sobą, trzebaby pierwsze usunąć i przekonać się czy to usunięcie pociągnie za sobą brak drugiego zjawiska. W powyższém przypuszczeniu usunięcie takie jest niemożliwe i dlatego używamy drogi pośredniej dla przekonania się o związku dwóch tych zjawisk. Przekonywamy się, że wszystkie zmiany w jednym ze zjawisk pociągają zmiany w drugim; że wszystkie ruchy wahadła odpowiadają różnym położeniom ziemi; że wszystkie okoliczności towarzyszące podnoszeniu się i zniżaniu morza odpowiadają położeniom księżyca. Oto przykład metody zmian spółbytnych. Zasadniczém prawidłem dla tej metody jest: że „jeżeli pewno zjawisko ulega zmianom za każdym razem gdy inne zjawisko także się zmienia; wnosimy, że pierwsze jest przyczyną lub bezpośrednim albo pośrednim skutkiem drugiego.”

Te metody są jedynymi drogami, któremi się możemy dostać do tajników natury; w gruncie posługują się one tym samym środkiem to jest wyłączeniem, *eliminacją* a indukcyą znow jest w istocie tylko takim wyłączeniem. I tak, mamy dwa szeregi zjawisk, z których jeden wyobraża poprzedniki, drugi następniki, a każdy z nich

zawiera w sobie więcej lub mniej składników (elementów) dajmy na to dziesięć. Do którego z poprzedników należy odnieść następnik? Czy pierwszy następnik wiąże się z pierwszym poprzednikiem, czy też z trzecim, szóstym i t. d.? Na wyszukaniu tego związku polega cała trudność i zadanie. Dla rozwiązania téj trudności, należy eliminować czyli wyłączyć poprzedniki nie łączące się z następnikami które rozważamy. Metoda *zgodności* powiada Mill, ma za zasadę, że wszystko co może być wyłączone nie jest związane ze zjawiskiem za pomocą prawa. Metoda *różnicy* opiera się na tém, że wszystko co nie może być wyłączone jest ze zjawiskiem związane przez prawo. Metoda *reszty* jest tylko odmianą metody różnicy; metoda zmian spółbytnych drugą jej odmianą, ale rozważa nie zjawiska lecz ich zmiany.

Metody powyższe jednakże nie wystarczają tam, gdzie skutek będąc wynikiem kilku przyczyn, nie może być podzielony na części składowe. W takim wypadku, metody eliminacji, wyłączenia, wyosobniania nie mogą być stosowane. Nie mogą zaś wyosobniać, nie możemy wnioskować przez indukcję. Trudność ta zachodzi we wszystkich wypadkach gdzie ruch spotykamy, gdyż prawie wszelki ruch jest skutkiem zbiegu sił; skutki więc tych sił znajdują się w nim pomieszane do tego stopnia, że rozłączyć ich nie można bez zniszczenia ruchu, a ztąd trudno oznaczyć udziału jaki miała każda z sił w wytworzeniu ruchu. Wéźmy np. ciało popychane dwoma siłami kąt tworzącemi; ciało to pójdzie po przekątnéj, a ruch jego jest skombinowanym wynikiem dwóch sił które na nie działały. Otóż żadna z powyższych metod nie powie nam, jaki był udział każdej z sił w wytworzeniu ruchu. Indukcyja tu nie poradzi, trzeba się uciec do dedukcyi. Jakoż zjawisko to pomijamy, stawiamy się obok niego, śledzimy zjawiska prostsze, oznaczamy ich prawa, wiążemy każde ze zjawisk ze swoją przyczyną za pomocą zwyczajnéj indukcyi.

Następnie przypuszczając zbieg dwóch lub więcej przyczyn, wnosimy ze znanych nam już praw, jaki powinien być całkowity ich skutek. Potém sprawdzamy, czy ruch o który szło jest podobny do przewidywanego, a gdy tak jest, przypisujemy go przyczynom z którycheśmy go wyprowadzili. Tak np. dla odkrycia przyczyn wpływających na bieg planet, wyszukujemy za pomocą prostéj indukcyi praw rządzących dwiema przyczynami: siłą rzutu pierwotnego i siłą przyciągającą przyspieszoną. Z wynalezionych praw wnosimy przez rachunek o ruchu ciała któreby ulegało połączone-mu ich działaniu; a sprawdziwszy że bieg planet obserwowanych zgadza się ściśle z ruchami przewidywanymi, wnioskuje, że istotnie dwie siły o których mowa, są przyczynami biegu planetarnego. Tejto metodzie, powiada Mill, zawdzięcza umysł ludzki największe swoje tryumfy. Jej zawdzięczamy wszystkie teorie, które niezmierną moc powikłanych zjawisk sprowadziły pod kilka praw prostych.

Porównywając obie metody, to jest indukcyjną i dedukcyjną, ich ważność, usłuży, zakres; przekonywamy się, że pierwsza wspiera

początkowe kroki umiejętności (Bakon), a druga jej dojrzałość. Pierwszą stosujemy do zjawisk dających się rozłożyć, z którymi możemy odbywać doświadczenia; drugą do zjawisk nie dających się rozkładać czyli doświadczać. Pierwsza skutecznie nam posługuje w fizyce, chemii, zoologii, botanice, wreszcie w każdej umiejętności, gdzie zjawiska są prostsze, niepowikłane; druga kieruje nami w astronomii, w wyższej fizyce, w fizyologii, historii i tam wszędzie gdzie zjawiska są wielce powikłane, jak np. w życiu zwierzęcym i społecznym, lub tak od nas odległe jak ruchy ciał niebieskich i kataklizmy ziemskiej skorupy.

Jakiś natury zjawiska, taką powinna być i metoda; niewłaściwa metoda wstrzymuje postęp nauki; właściwa posuwa. Jeżeli nauki doświadczałne nie posunęły się do czasu Bakona, wina to metody, ponieważ chciano się posługiwać dedukcją, kiedy trzeba było wprzód przejść szkołę indukcji. Jeżeli fizjologia i nauki społeczne mało obecnie postępują, to również wina metody, ponieważ używamy indukcji zamiast dedukcji. Za pomocą dedukcji, z praw fizycznych i chemicznych należałoby tłumaczyć zjawiska fizjologiczne. Za pomocą dedukcji, z praw rządzących inteligencją, należałoby tłumaczyć zjawiska historyczne. Wszystkie nauki dążą do tego, by się stały deduktywnymi; wszystkie dążą do skupienia się w kilku zdaniach ogólnych, z którychby można resztę wywnioskować. Wtedy poznamy naturę, gdy miliony faktów i zjawisk zdolamy wywieść z dwóch lub trzech praw naczelnych. Taki jest ostateczny cel nauki: zredukowanie praw niepoliczonych do kilku (1).

Dla scharakteryzowania metody pozytywnej, wypadło nam się uciec do Mill'a, ponieważ Comte, jakkolwiek szeroko w różnych miejscach wielkiego swojego dzieła rozprawia, nie dał systematycznego jej wykładu. Wszakże Mill tylko rozwinął zasadnicze myśli Comte'a i często w swojej „Logice” na niego się powołuje. Uzupełnienie zatem jednego przez drugiego, nie jest eklektycznym połączeniem różnorodnych żywiołów, lecz tylko rozwinięciem tych samych pomysłów. Sądziłszy więc że czytelnik może zyskać ścisłe i szersze pojęcie metody pozytywnej, gdy ją ujrzy przykładami objaśnioną i szerzej w jednym ciągu rozwinętą.

Nim się jednakże rozstaniemy z wykładem metody pozytywnej, winniśmy zwrócić uwagę czytelnika na parę punktów niezmiernie ważnych dla nauki.

Oto najprzód, wielu sądzi, że filozofia pozytywna chce metodę indukcyjną stosować *bezw warunkowo* tak do zjawisk fizycznych jak i społecznych. Jest to mylne zrozumienie rzeczy. Comte dobrze powiedział, że im zjawiska są zawikławsze, im na wytworzenie ich składało się więcej przyczyn, tem trudniejsze są do zrozumienia i wytłumaczenia, tem ostrożniej w sądach naszych postępować winniśmy. Tylko do najprostszych zjawisk można stosować metodę indukcyjną; przeciwnie, gdy zjawiska są zawikłane, jak w życiu

(1) Mill—A System of Logic. T. I. Book. III. chap. VIII i IX.

jednostkowym i społecznym, gdy zjawisk tych nie można w retorcji powtórzyć: wówczas i indukcyja nie wystarcza. Dlatego tylko na połączeniu obu metod, stosownie do natury zjawisk, polega gruntowność badań naszych. Mill jeszcze systematyczniej postąpił sobie, ponieważ osobno rozważa metodę jakiej się trzymać należy w naukach doświadczalnych, a jakiej w naukach społecznych.

W szkole tedy pozytywnej tylko metoda subiektywna, tylko przenoszenie urojonych praw w świat fizyczny i społeczny, jest błędem; przeciwnie zaś metoda obiektywna, tak indukcyjna jak i dedukcyjna, zarówno są potrzebne i zarówno naukowe. Cała wiedza nasza składa się tylko ze zrozumienia zjawisk fizycznych i społecznych; aby je zaś wyrozumić, trzeba jak najmniej osobistych przywidzeń i urojeń przenosić w świat nas otaczający a jak najwięcej mądrości w świecie spowitej, przenieść do własnego ducha. Muszą zamilknąć serce i fantazyja, troski i radości muszą się usunąć na bok, gdy rozważamy niezmienny bieg świata i gdy szukamy godziny na zegarze wieczności.

Powtóre, przeciwnikom nowości należy wiedzieć, że metoda pozytywna nie jest nowością. nie jest wymysłem Comte'a ani Mill'a, jakkolwiek wykończenie im zawdzięcza: przeciwnie nauki doświadczalne oddawna nią się posługują. I w naukach społecznych używali jej wszyscy gruntowni pisarze, tak iż nie ma żadnego ze znakomitszych autorów, któryby więcej lub mniej świadomie nie trzymał się tej metody. W ogóle zatem szkoła pozytywna metodą swoją nie wyróżnia się ani od naturalnego kierunku umysłu. ani od znakomitszych poprzedników w dziedzinie nauk doświadczalnych i społecznych. Wyrobienie zaś metody w szczegółach jest niewątpliwie zasługą tej szkoły. Między Arystotelesem, Bakonem, Locke'em, Hobbes'em, Hume'em i Monteskiuszem z jednej, a Comte'em i Mill'em z drugiej jest wielka różnica, ale jeszcze większe podobieństwo.

(Dokończenie nastąpi.)



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Guizota „Meditations sur la Religion Chrétienne” tom IIIci. — „L’Epopée terrestre” przez pana Lefevre: przyszłość poezji. — Raport z literatury teatralnej Edwarda Thierry — „Przepaść” pięcio-aktowy dramat Karola Dickensa przedstawiony w Vaudeville. — Rocznica urodzin Corneilla. — Inauguracja popiersia Alfreda de Musset w Teatrze francuzkiin. — Doroczne posiedzenie Akademii nauk.

Paryż, d. 2 lipca 1868 r.

Wśród głośniejszj zwady materyalistów ze spirytystami wyszedł tom trzeci Guizota „Medytacyi nad religią chrześcijańską.” Księga ta przychodzi na odsiecz zapoznanemu duchowi.

„Wszyscy ludzie, ci nawet którzy się mają wieszać, szukają szczęścia” mówi Pascal. Ta pogoń szczęścia, ze stryczkiem czy bez stryczka, nie przestała być celem ludzi, tak materyalnych jak duchowych: pierwsi *tu*, drudzy *tam* chcą być szczęśliwi. Dla jednych jak dla drugich świat jest oberżą, gdzie wspólnie mieszkają, tylko na różnych piętrach. Jedni pewni życia nawet po śmierci, otwierają okna wychodzące na niebo; drudzy wyłącznie zajęci kontemplacją ziemi, usiłują usłać sobie na niej wygodne łoża, żeby w niem spać snem długim.... wiecznym.

Ta ciągła i niepokojąca praca materyalistów, tak mocno wstrząsa podwaliną domu, że możnaby im przypisać podstępny zamiar obalenia okien, przez które ich duchowi sąsiedzi wyglądają szczęścia położonego w samym tylko Bogu.

Pascal powiada jeszcze: „Od czasu jak człowiek porzucił Boga, nie ma nic w naturze, czémby Go nie usiłował zastąpić.” Do dzisiejszego wieku tak to dobrze przypada, jak do wieku Pascala. „Człek gotów czcić wszystko—mówi dalej francuzki myśliciel: gwiazdy, niebo, ziemię, żywioły, rośliny, zwierzęta, owady, węże, gorączkę, wojnę, głód i morową zarazę. Od czasu jak stra-

cił prawdziwe dobro, wszystko mu się niemi wydać może, nawet samobójstwo."

Te rany społeczne, zwątpienie i negacya, usiłuje leczyć poważny i wierzący Guizot w książce, o której tu chcemy powiedzieć słów kilka. Nieprzystoi sędziemu ziemskich pigmocy i fraszek sztuki, rozbierać przedmiot tak głęboki; to też zostawiając analizę komu należy, w chwili zamknięcia teatrów i wystaw, damy jedynie znać o urodzinach poważnej księgi.

W trzecim tomie *Medytacji nad religią chrześcijańską* Guizot przystępuje do trzech zarzutów, które nie wierzący czynią każdej religii objawionej: stawia chrześcijaństwo naprzeciw wolności, moralności i nauki, i za pomocą faktów historycznych tudzież psychologicznych, chce dowieść że tak zwana *Morale independante* jest „rzeką bez źródła,” że nauka może postępować i rość, nie zacierając w Piśmie Świętym głębokich śladów boskich; że nakoniec, religia chrześcijańska nie tylko nie jest przeciwniczką wolności, ale że jedna nie może opuścić drugiej pod karą śmierci dla obywateli. Czemże jest w swym zaraniu chrześcijaństwo bezobronne, zawsze obalany i zawsze stojący przed państwem rzymskim zbrojnym ku jego zniszczeniu? Dla pierwszych chrześcijan to *wolność umierania*.

Chrześcijaństwo, religia chrześcijańska, w wymownej Apologii Guizota nie są ogólnikami używanymi obojętnie; zastępują one wyrażenia długo będące jednoznacznikami wojny: kościół katolicki i kościół reformowany. Podczas powstania ateizmu, widząc niebezpieczeństwo równie groźne dla protestantów jak dla katolików, Guizot, ażeby skuteczniej walczyły wspólnego wroga, godzi dwa kościoły poróżnione, łącząc je na punkcie, na którym inogdy się zrozumieć bez obłudy i krzepić, nie czyniąc sobie poniżających ustępstw. Na co, pyta, dwa mundury i dwie chorągwie w armii duchowej, wyznającej jednego Boga Jezusa Chrystusa.

Gdyby to wyrażenie nie było zszargane w dziennikarskich polemikach, możnaby nazwać godzący system Guizota *eklektyzmem religijnym*. W przedmowie którą uważnie czytać warto, Guizot z wykładem swoim łączy słowa dwóch powag kościoła chrześcijańskiego: Mgr. Darboy arcybiskupa paryżkiego i pana Decoppet, pastora z Alais.

To zbliżenie dokonane na progu księgi, jest kluczem do *Nowych medytacji*.

W dalszym ciągu Guizot usiłuje pogodzić chrześcijan i przekonać wolnomyślicieli. Daleko stąd jak widzicie, do gniewu i pogardy Bossueta, który niby Jowisz olimpijski, piorunuje „libertynowów.” Guizot dalej jeszcze stoi od hrabiego de Maistra, kiedy tenże twierdzi „że kto mówi lub pisze w celu odjęcia dogmatu narodowego ludowi, powinien być powieszony jak złodziej domowy.” Rousseau jest tegoż zdania w swoim *Contrat social*, nie bacząc czego się dla siebie domaga.

Spokojny obrońca wiary, Guizot, nie ma ani namiętności Bossueta, ani szyderstwa De Maistra, ani poezji Rousseau. Nie

leci w środek walczących jak wielki Gallikanin i wielki ultramon-tanin, ale wleciawszy w przezrocza wiary, znajduje czasem wy-mowę Pascala, ton melancholiczny i rzewny autora *Mysli*, kiedy tenże woła mierząc nieskończoność Stwórcy i stworzenia: „Gdyby go świat zmiażdżył, człowiek byłby szlachetniejszy od tego co go zabija, bo on wie że umiera, świat nie zna swojej nad nim ko-rzyści.”

Nie jestże to krzyk nieśmiertelnej duszy to wyrażenie: „*L'homme sait qu'il meurt!*” Oto w pięciu słowach proces wydany materializmowi. Wszyscy doktorowie uzbrojeni skalpelami da-rewnie badają materią: nie przemówił niema. poplami ich narzę-dzia i systemy. Duszę, której tam nie znaleźli, Pascal słyszał i zanotował jej szczytne westchnienie.

Pożegnanie które Guizot daje życiu na ostatniej karcie swo-jej przemowy, nie ma poletu Pascala, ale ma ton rozrzewniający, który brzmi długo w myśli i oczom błyszczy w tém wyrażeniu „*J'essaye mon tombeau.*”

„...Zasługuję żeby mnie słuchano z zaufaniem, mówi Guizot. Wiele widziałem i trochę działałem w mojem długim życiu. Bra-łem udział w sprawach świata. Opuściłem go i tylko z dala pa-trzę na nie. Od lat 20-tu *próbuję mojego grobu*. Wstąpiłem weń żywy i nie próbowałem wyjść z niego. Mam zarazem doświad-czenie i oderwanie. Gdyby mi dane było jeszcze oddać przystługę dwom wielkim sprawom, które w moich oczach są jedną sprawą: wierze chrześcijańskiej w duszach i wolności politycznej w moim kraju, czekałbym wdzięczny w spoczynku, jutrzeńki dnia wieczne-go „którą szaleńcy zwą śmiercią” jak mówi Petrarca „*Quel che morir chiaman gli schiocchi.*”

W twardą purytańską swoją wymowę Guizot często wsunie obrazek wymowniejszy od wykładu. „Moralność niepodległa, powiada, jest tratwą którą dają duszy ludzkiej i społeczności, aże-by je uchronić od zatonięcia z ich starym okrętem.” Albo to: „Ewangelia jest zwierciadłem. w którym jeżeli się przejrzy człek widzi plamy na swojej duszy i na swoim życiu, ale z niego te pla-my pochodzą nie ze zwierciadła.”

Wpatrzywszy się w historią ludzkości, Guizot w jeden okres streszcza mnogie wypadki i na świadków stawia. Chcąc pokazać wyższość chrześcijaństwa nad innymi religiami, które mając nie-gdyś wielkość, popularność i czynność w świecie, unieruchomiły się w ramach społecznych, przeznaczone jak one na rozsypkę, Guizot powiada:

„Trzy wielkie religie: pogaństwo, budyzm i machometanizm zajmowały i zajmują jeszcze obok chrześcijaństwa znaczne miejsce na ziemi. Poganizm po pięknych i krótkich podrywach, doszedł do anarchii republik greckich i rzymskich, do upadku despoty-cznego państwa rzymskiego. Budyzm zrodził tylko przesady fan-tyczne i abstrakcyje panteizmu mitologicznego pod rządem nie-moralnym kast i władzy absolutnej. Mahometanizm gdziekolwiek

wszedł, przynosił tylko jarzmo sity, niewyleczoną nienawiść szczerpów i jałowość podboju. Sam tylko chrześcijaństwo podniecił lub przyjął w duszach i społeczności ludzkiej, wolność i postęp."

Tęj wolności którą przyniósł chrześcijaństwo, sam jeden może być moderatorem i regulatorem. „Demokracja głównie zajęła wolą ludzką, zawsze człowiekowi gotowa przypisać cechę i prawa Boże. Człowiek tyle miejsca zajmuje w jej przepisach i tak wysokie, że zapomina łatwo o Bogu i sam się zań uważa. „Pamiętaj że jesteś człowiekiem” kazał sobie co rano powtarzać mądry monarcha. Wzniosły ten pozew nie mniej potrzebny demokracji jak monarchii, i jestto właśnie przysługa jaką jej oddaje religia chrześcijańska: jest tam światło, głos, prawo, historia, nie pochodzące od człowieka, a które jego stawiają na właściwym miejscu, nie ujarzmiając. Żadna wiara, żadna ustawa nie podnosi tak wysoko godności ludzkiej i nie karci tak potężnie ludzkiego zachwalstwa."

Rodzącą się za Restauracji niewiarę układną, Lamenaïs nazwał tym tytułem swojej książki „*L'Indifférence en matière de religion.*” Złe się przeistoczyło: *niepokój* zajął miejsce *obojętności*. Ale dziś jak przed 40-tą laty, złe nie jest wyleczone... „Byliśmy świadkami, mówi Guizot, najsprzecznějších wypadków. Wszystko zakwestyonowane w umysłach, w czynach wszystko zachwiane, obalone, podniesione, zostawione w zachwianiu. W obec takiego widoku wszystkie przekonania osłabły, wszystkie nadzieje pobiły. Pośród powszechnego trzęsienia dusz, nauki i potęga ludzka w świecie otaczającym, rozpostarły się i ukrzepiły; światłość coraz większą się stawała nad materialnym światem, im więcej cierpiał moralny. Zbieraliśmy i zbieramy czynniej niż kiedy owoce z drzewa wiedzy, a przepisy życia, prawa dobrego i złego, zatarły się w naszej głowie. Człowiek stoi pomiędzy pychą a zwątpieniem, upojony swoją potęgą i drżący obawą swojej niemocy."

Uwydatniając tylko główne ustępy, nie dałem pojęcia o układzie dzieła. Jestto błąd pod względem porządku myśli. Ale powiedziałem na wstępie że nie zamierzam pisać rozbioru, tylko z daleka książkę pokażę. Dla dopięcia tego celu, przytoczenia lepsze niż suchy, metodyczny rozbiór. Jeżeli krytyk ma rękę szczęśliwą, cytacja staje się czołem, wzrokiem, ustami twarzy... Zawsze to życie. Analiza zawsze jest szkieletem.

Pan Andrzej Lefèvre wydał tom wierszy pod tytułem „*L'Épopée terrestre.*” Autor nie jest nowicuszem w piśmiennictwie: znamy jego piękny przekład *Eklogów* Wirgiliusza, zapewne najlepszy jaki we francuzkim języku istnieje. Dziś na śmielsze puszcza się przedsięwzięcie: pan Lefèvre chciałby znaleźć początek właściwą nazwemu wiekowi, będącemu wiekiem nauki. Z pomiędzy wyników wiedzy które wydają mu się najwłaściwsze do epopei wybrał *historią człowieka*, taką jaką poznajemy ze świeżych odkryć, począ-

wszy od człowieka w stanie natury, aż do tytana który podbił i oświadczył przyrodę.

Przedmiot obszerny! Są więc rozmaite rzeczy w tomie poezyi pana Lefèvre: poglądy ogólne na ludzkość, stanowisko poezyi za dni naszych, zadanie ludzkości, dużo wierszy udatnych, które jeżeli nie znajdują czytelników, staną się jednym więcej argumentem przeciw tezie autora, o wieczno-trwałości poezyi.

Pan Lefèvre twierdzi, że poezya liryczna jest nieśmiertelna. Warto się nad tém założeniem zastanowić. Kwestya stoi oddawna na porządku dziennym. Lamartine ją postawił i dyskutował jeszcze w 1834 roku, w broszurze pod tytułem „*Des destinées de la Poesie.*” Od owój rozprawy nie wyszedł tu jeden tom wierszy żeby autor nie pytał, czy poezya jeszcze na czasie? Zły to znak! Tylko choremu bicia pulsu liczą. Prawda że chory wyzdrowieć może. Poezya słabuje... każdy to przyzna; ale czy jest przynajmniej nadzieja odzyskania siły? Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi.

A najprzód, co to jest poezya? Pan Lefèvre tak na to odpowiada: „Poezya leży w wyrażeniu plastycznym; jest ściśle związana z jedną ze zdolności gruntownych człowieka, z assimilacją (pryswajaniem) czyli tworzeniem na swój obraz i podobieństwo. Człowiek kontemplując przedmioty i idee, ożywia je swoim życiem; tak nadał rzeczom bezdusznym nazwy, płęć i wolę; mowa była dziełem poezyi zanim została dziełem rozsądku.”

Jest to niby to, jednak możnaby rzecz wyrazić wzniosłej, a przynajmniej prościej. Dla powszechności poezya jest tylko kształtem, miarą, taktem, rytmem. Dla wyjątków jest czemś więcej, jest mową nadzwyczajnego czucia. Tu myśl z wyrazem jedno stanowią, nie można rozłączyć formy od gruntu.

Poezya jest więc rodzajem życia. Są w nas dwie wielkie zdolności: *wyobraźnia i rozwaga*. Pierwsza przywiązuje się do tego co indywidualne, druga do tego co powszechne. Pierwsza bierze przedmioty jakie są, druga czyni z nich idee. Ta daje naukę, tamta poezyą. Poezya pierwsza przychodzi: dziecko żyje wyobraźnią. Ludzkość zaczęła jak dziecko. Człowiek pierwotny jest naiwny, nierozważny, niewolnik uczuć swoich. Widzi tylko stronę natury zewnętrzna i czującą. Jak widzi tak tworzy, jak czuje tak wyraża. Potężnie oddaje uderzające wyobraźnią wrażenia, bo ich jeszcze nie osłabiła analiza. Ustawicznie podbudzany widokiem świata tajemniczego, czuje potrzebę naśladowania, odpowiadania mu... Oznacza go dźwiękami, i oto tworzy się mowa; uosabia go w istotach wszechpotężnych, i oto rodzi się religia; maluje go obrazowemi słowy, i oto rodzi się poezya liryczna.

Poezya ta jest pozostałością pierwotnej ludzkości; jestto człowiek żyjący jeszcze wyobraźnią; jestto temperament odrębny, temperament artysty, zdolność wzruszeń i intuicyi. Język jego jest mową jego uczuć; cały obrazowy, szukający porównań, które objaśniają, uosobienia, które ożywia. Nadto, ponieważ brzmienie

jest także środkiem oddawania uczuć, poeta wyraża się językiem rymowanym, dźwięcznym i miarowym.

Essencją poezji powszechnej jest: *wyobraźnia lubująca się w piękności czującej, malowniczej, oddająca ją obrazowemi słowy.*

... „Gwiazdy w okół twojej głowy, pod twoimi nogi fale morza, na falach morza tęcza przed tobą pędzi i rozdziela mgły; co ujrzysz jest twojem, brzegi, miasta, i ludzie tobie się przynależą; niebo jest twojem. Ty grasz uszom niepojęte rozkosze, ale sam co myślisz? Kwiat polny co nie wie o woniach swoich, więcej ma zasługi przed Panem od ciebie.”

Dlatego że nie mają *wieszczów*, tylko *poetów*, nie mają poezji *nieśmiertelnej*, tylko liryczną, dramatyczną i dydaktyczną, wszystkie trzy przez rozum zagłuszone. Francuzi wątpią o przyszłości poezji i jedyne zbawienie tej exotycznej rośliny upatrują w przeflancowaniu jej na twardej gruntu rozumu...

W przeszłym wieku Francuzi pytali, czy Niemcy mogą mieć dowcip? Niemcy pytają czy Francuzi mogą zrozumieć poezję? Kiedy pani Stael była w Wejmarze w 1804, Schiller, wielbiciel jej rozumu, tak się o nią wyrażał: „Takiego poczucia poezji jakie my mamy, ona nie ma wcale; dlatego w dziełach poetycznych pojmuję tylko stronę namiętną i oratorską.”

Ocena godna uwagi. Dla Francuzów poezja a krasomówstwo, jedno znaczy. Duch ich praktyczny, zawsze dążący do jakiegoś celu, daje wyobraźnię na usługi jakiejś sprawy, kładzie ją w szereg środków przekonania: igraszek fantazyi nie rozumie. Poezja francuzka była też jedynie sztuką rymotwórczą; romantyzm dopiero dał tu poznać poezję wyobraźni, uwolnił poetów od trosk rozsądku niezgodnych z sztuką natchnioną, uwolnił nawet zbyt znacznie, posuwając poezję wyobraźni aż do stopnia na którym nie istniejąc dla myśli, ale jedynie dla oka i ucha, jest niby malowidłem oderwanem od płótna.

Ale wróćmy do zamiaru Lefevra pogodzenia poezji z nauką. Odkrycia kosmologiczne, geologiczne i inne, nie mają w sobie nic przeciwnego poezji: przyroda nie potrzebuje bajek mitologicznych ani przesądów, żeby była poetyczną. Świat Kopernika, Newtona i Cuviera dość wielki, dość tajemniczy; mniej zapewne nadobny niż wspomnienia złotego wieku, albo raj, ale niemniej wzniosły. Nie idzie jednak za tym, żeby nauka nie szkodziła poezji: szkodzi jej, i bardzo. Nauka płynie z *rozwoju rozwagi*, a poezja z *przewagi wyobraźni*: wzrost ducha krytycznego koniecznie pomniejsza natchnienie. Poezja jest wyrobem życia naiwnego, płodem spółki człowieka z naturą, potrzebuje warunków takich jak ludzkość w kolebce, musi więc pierzchać przed postępowaniem naukowym i przemysłowym ludzkości. Poezją tę, którą nazwalibyśmy *pierwotną zdolnością człowieka*, wyruguje wyrafinowana oświata. Poeci będą zawsze, bo zawsze znajdują się tu i owdzie jednostki z wyobraźnią bujną; ale poeci będą coraz więcej odosobnieni. Dawniej cała społeczność z nich się składała: ona rodziła śpiewy

ludowe, poemata narodowe i bezimienne. Później, tłum już sam nie śpiewał, ale przyjmował poetów jako posłańców niebios i żył rzuconą przez nich manną. W końcu poezya stała się literaturą. Literatura ta miała jeszcze czytelników przed dwudziestą laty, dziś już ich nie ma. Kilku literatów którzy sami są wyrobem sztucznym społeczeństwa, czyta i chwali, ogół zostaje obojętny. Lud francuzki już nie wierzy w poezyą, a jak powiada Voltaire: „poezya ludu to wiara w poezyą.”

Czy odrodzi się poezya pierwotna ludzkości? Lamennais wierzył w nową erę wiary. Ponieważ wszystko względne, przypuścimy, że unyśł ludzki zdobywszy wielką przestrzeń wiedzy, znajdzie się znowu sam na sam z nieskończonością i tajemnicą. Jeżeli tak będzie, poezya może zakwitnąć na nowo.

Ale czy Lamennais dobrze widział? Czy chodzi jedynie o poezyą względną człowieka w obec nieskończoności? Ścisłość nauki spóczesnej, czy nie zmieni naszej konstytucyi wewnętrznej, czy nawet umysłu ludzkiego nie przeinaczy jak społeczności materialnego świata w którym panuje?

Przyszłość więc poezyi, młodzieńczej mowy ludzkości, niepewna. Ale nad tą powszechną poezyą młodego świata, góruje *poezya wieszczca*. Ta już nie jest mową ludzką, ale Bożą... dlatego będzie wieczną. Ale tego głosu Najwyższego może nienależy stawiać obok harfy Eola „poezyi, matki piękności.” Ta jest muzyką rajska—tamtą do objawów Stwórcy należy... „Błogosławiony ten w którym zamieszkałaś jako Bóg zamieszkał w świecie, nie widziany, niesłyszany, w każdej części swojej okazały, wielki Pan, przed którym się unizają stworzenia i mówią: „On jest tutaj.”

Przybył nowy tom do „Zbioru Raportów z postępu nauk i literatury we Francyi” wydawanego z rozkazu ministra oświecenia.

Po pana Quatrefages raporcie o *postęпах antropologii*, pan Thierry złożył raport z postępu literatury dramatycznej. Sprawozdawca urzędowy całkowiec zawiódł nasze oczekiwanie. Zamiast obrazu skreślonego szeroko w pełnym świetle, znaleźliśmy zbiór miniatur wykropkowanych dwuznaczną farbą. Żadnego poglądu całości, żadnej jasnej konkluzyi: same do zrozumienia wahanie, nie szczere nagany i nieszczere pochwały.

A jednak, nie talentu brak sprawozdawcy. Zanim został administratorem Teatru Francuzkiego, pan Edward Thierry był krytykiem trafnym i wytrawnym. Mało jest piór w piśmiennictwie spóczesnym równie giętkich a ostrych jak jego. Thierry ma umysł dyplomatyczny równie nie zdolny do zapału jak do odrazy. Eklektyk aż do obojętności, krotchwile równie uważnie rozbiera jak dramat Szekspira; o książce mierniej równie długo gada jak o arcydziele. Największy i najmniejszy, niby równo go zajmują. Ale życzliwość jego ma nawiasy; są stopnie w jego grzecznych ukłonach;

celnie strzela z boku, wybornie złoci gorzkie pigułki: złośliwość zawsze znajdziesz u niego, pomiędzy liniami. Umie niepostrzeżenie kłóc śpilkami: szpony jego w aksamit się chowają zanim poczujesz draśnięcie.

Wszystkie te zalety zręczności uczonego fehmistrza były na swoim miejscu w felietonie, gdzie wolno być skrytym, dwuznacznym, ciemnym, opalowym i brylantowym; nie miło spotkać je w raporcie urzędowym, na karcie historycznej, która powinna być jasną, otwartą i sprawiedliwą.

Na pierwszy rzut oka uderza w raporcie pana Thierry systematyczna a głucha niechęć przeciwko ruchowi dramatycznemu 1830 roku. Na dnie każdego okresu znajdziemy naganę. Ów ruch tak płodny i szlachetny, który ogłosił swobodę piśmiennictwa, z którego wyszli nawet jego przeciwnicy, Thierry przedstawia jako towar zagraniczny, spreczny z duchem i tradycjami Francji. Mówiąc o pierwszych zwycięstwach romantyzmu w teatrze powiada, że były drogo okupione. Przedstawia dramat już zabity w 1838 roku, roku urodzin *Ruy-Blas'a* a pochowany w chwili wystąpienia Racheli. Dalej czytamy te słowa: „Publiczność więcęj czuła co straciła niż co zyskała.“

Nic nie straciła — a zyskała wszystko. Straciła piśmiennictwo bezduszne, wyblakłe odbicie wzorów, przepisy machinalnie narzucone rozwojowi umysłu, poezją pożyczaną, teatr sztuczny w którym pokutowały nieboszczyki. Zyskała natomiast odkrycie nowego poetycznego świata, zniesienie pańszczyzny i służebności dawnego rządu literackiego; zyskała widnokrąg powiększonej sceny, ruch życia w miejsce więzienia konwencyonalizmu: — język kolorowy i gorący wniknął jako nowa krew w żyły odrętwiałej sztuki.

Wbrew twierdzeniu pana Thierry, odrodzenie francuzkie 1830 roku nie zerwało z tradycją narodową, ale wyszło z tradycji i żywiołu języka francuzkiego. Rabelais, Regnier, Corneille, Moliere, Saint-Simon, Bossueut, pani Sévigné, powiązani prawni związki z geniuszami zagranicznymi: oto przodkowie i poprzednicy w prostęj linii nowej szkoły. Nie zbuntowała się ona przeciwko arcydziełom klassycznym, ale przeciwko naśladownictwu bez smaku i barwy parodującemu wielki styl. Ani Corneilla, ani Moliera, ani Racina nie chciała obalić; ale panów Ancelot, Duval, Delrieu i im podobnych. Ruch romantyczny szanował marmury, rozkruszył samą tylko glinę.

Sam Thierry w dalszym ciągu odpowiada sobie spisując w dwóch kolumnach daty dzieł współzawodniczych, które w 1829 i 1843 przedstawiono tutejszj powszechności. Po jednęj stronie *Hernani*, *Marion Delorme*, *le Roi s'amuse*, *Lucrece Borgia*, *Marie Tular*, *Angelo*, *Ruy-Blas*, *les Bourgraves*, *Henri III*, *le More de Venise*, *la Marechal d'Ancre*, *Chatterton*, *Caligula*; po drugięj, *Pertinax*, *Clovis*, *Junius Brutus*, *Cajus Brutus*, *Arbogaste*... Po jednęj stronie skład mumii, po drugięj spis dzieł oryginalnych i płodnych, pomiędzy któremi są arcydzieła. Po jednęj stronie żywi, którzy

zapłodnili potomność, po drugiej umarli, po których nawet nie zostały napisy grobowe.

Pan Thierry kwaśno-gorzki dla romantyków 1830 roku, chwali zapalczywie Ponsarda. Pojawienie się jego wita jako odwet francuzkiego ducha „odnajdującego się w *Lukrecyi*.”

Nie możemy przemilczeć o tém przesadném podniesieniu poety szanownego zapewne, ale którego czas już do sprawiedliwych rozmiarów sprowadził. Ponsarda wielkość przesadzono z rozmysłem. Umówiona reakcyja nagle roztrąbiła jego sławę: użyła jego talentu jako broni przeciwko geniuszom. Tragedya jego była pociskiem na *Burgrafów*. Zafane piśmiennictwo potrzebowało bożyszczka: wzięto pierwsze lepsze, dało mu sektę i wyprawiło inauguracyą. *Lukrecya* przybyła skromnie z prowincyi, nie czując się wcale klasyczną, ale dłużniczką nowój szkoły. Z dramatów rzymskich Szekspira, z *Kaliguli* Dumasa, z poematów starożytnych Andrzeja Chenier i Alfreda de Vigny, Ponsard wziął całą krasę swojej *Lukrecyi*. Był to dramat łaciński, całkiem w guście czasu.

Ale fałszywa nazwa *tragedyi* zachwyciła pseudo-klassyków: obrali ją królową restauracyi wstecznej. Rymarze szkolni i więdłe laureaty, retory Atenów, skupili się około nowego dzieła, wykroili sobie chorągiew z jego draperyi. Bo reakcyja tragiczna nie tylko rutynę zachęcała, zachęcała głównie mierność. Zalety ujemne pisarzy podrzędnych godzą się wybornie z surowym przepisem literatury XVII wieku: sławiono jej trzeźwość, żeby chudość swoją usprawiedliwić. Wielkich poetów żywych, zawsze zaprzeczają cienie poetów zmarłych, miażdżą ich, jak żołnierze Alaryka, rzucając im na głowę starożytne popiersia. Dramaty wygwizdywać każą wężom furyi *Orestesa*; smagają liryzm; kolor zowią pstroczną, różniczenie epok mienią archeologią śmieszłą. Pod pozorem dobrego gustu i prostoty, chwalą ubóstwo i spłowiałość języka. Zawisę dokonywa zaczętej reakcyi: powszechność z jednakiem zapalem niszczy co wielbiła wczoraj... Retoryki uschle zakwitają na nowo, rymowana proza znów płynie po myśli płaskiej. O tragedyo! ileż rapsodów popełniono w twojem imieniu!

Ponsard źle zrobił że wziął na seryo ów sztuczny fanatyzm i przyjął rolę do której nie miał ani powołania ani siły. Zostawiony sobie samemu, byłby wszedł w ruch literacki, zachowując w nim swoją trzeźwość. Postawiony jako reformator, usiłował pomniejszyć siebie, skurczyć się... stężał też i skostniał w kapliczce w której go postawiono.

Reforma przedsięwzięta w jego imieniu, była jałowa i negatywna: dążyła do zniesienia liryzmu w poezyi, wyobraźni w stylu, kolorytu i swobody w dramacie. Poeta poddał się prawu stworzonemu w jego imieniu, i pierwszy ukaranym był za swoją poetykę. *Agnieszka de Meranie* zamknięta w wieku średnim, mówiąca nieśmiałym językiem trubadurów 1820 roku, łodowatym upadkiem odpokutowała przesadzony tryumf *Lukrecyi*. *Charlotta Corday* pomimo kornęłowskięj siły scen kilku, przepadła zamrożona chłō-

dem formy umarłej, zastosowanej do najwyższej z epok. Przekładem galickim *Ody Horacyusza*, mozolném naśladownictwem *Ulissasa* Homerowego, Ponsard dowiódł niezdolności chwywania klasycznego piękna w jego prawdziwej podniosłości. Klasykiem był, ale z naśladownictwa, z drugiej ręki że tak powiem. Zrodzony do rozpowszechniania wyobrażeń miernych, wszystko do poziomu swojego stosował. Ideał jego był ograniczony ciężkimi teoryjami; rozumująca dobroduszość wydawała mu się prostotą wielkiej sztuki. *Honor i Pieniądze*, *Gielda*, rozprzestrzeniły jego sławę nie podnosząc jej wcale.

Zamykając się w rymowanej komedii, Ponsard zrzekł się wszelkiej inicjatywy i walki. Mimo szlachetnych usiłowań *Lwa zakochanego*, gdzie poeta porwany przez ducha czasu, wznosił się ponad swą zwykłą doniosłość, sztuka jego znaczy ostateczny kres reakcyi którą uosabiał. Emil Augier związany z nią pochodzeniem i sympatją, wnet się od niej oddalił, szukając w komedii nowej drogi niepodległej. Owo odrodzenie niby klasyczne, które miało odrodzić teatr, wydało koniec końców tylko zacnego retora. Zapowiedziawszy Corneilla, zrobiło nowe wydanie Delavigna.

Razi jeszcze w raporcie pana Thierry stroniczość dla zarządzanego przez niego teatru. Zamyka się on w nim i nie chce patrzeć dalej. Szeroko rozbiera sztuki grane w Teatrze francuzkim, innych tylko tytuły wymienia. Ale ten spis obejmuje wszystkich znaczących autorów spółczesnego teatru; chwalać ich dyrektor potępia siebie. Jeżeli sztuki pani Sand odznaczają się „prawdą przedziwną, finezyą dyalogu i żywością obrazów,” to czemuż dyrektor *Francuzkiego teatru* pozwolił przedstawiać w Odeouie *margrabiego Villemer*? Jeżeli Dumas syn jest „naturą bogatą, mieszaniną marzeń, zuchwalstwa i sprawiedliwości, biegłym praktykiem znającym wszystkie kombinacye sceny,” czemuż go sobie Teatr francuzki nie pozyskał? Jeżeli Mallefille „jest figurą oryginalną drapującą się ze słuszną dumą w swoją szlachetną sławę,” dlaczegoż pan Thierry nie chciał przyjąć *Sceptyków* i zmusił znakomitą sztukę do szukania przytułku w małym teatrze Cluny? Jeżeli pan Sardou jest „nado- buém odbiciem Beaumarchai'go” czemuż *Rodziny Benoiton* nie przedstawiają na tejże scenie co *Wesele Figara*? Jeżeli „Teodor Barriere jest Arystofanesem wedle naszej miary” dlaczegoż dyrektor przyjął tylko jednoaktową sztukę jego „*le Feu au Couvent*”? Chwalić autorów pozostałych po za Teatrem francuzkim, to dowodzić że dyrekcyja teatru tego nie daje inicjatywy, nie przyciąga ludzi utalentowanych.

O sztukach przedstawionych w Teatrze francuzkim znajdujemy sądy dziwne, i dziwne zapomnienia. Ponsarda posąg wyźłobił pan Thierry dwa razy większy niż natura; Wiktora Hugo daje w medalionie. Nie wspomina o tryumfalnym powrocie *Hernaniego*, który wskrzesił dzisiejszy dramata, rozniecił w łonie powszechności przygasłe uczucie szlachetności.

Za to pomiędzy sztuki stanowiące epokę, Thierry wpisuje pana Laya *Duc Job*, którego wartość literacka żadna, a powodzenie nie znaczące. August Vacquarie dla pana Thierry nie istnieje: *Jan Beaudry i syn* przedstawione za jego dyrektorstwa, nie stoją na liście zapchanéj nic nie znaczącemi tytułami.

Nie powiedzieliśmy wszystkiego o tym raporcie któremu stanowisko autora nadaje osobliwszą wagę; ale powiedzieliśmy dosyć żeby czytelnicy nasi mogli poznać ducha tego dokumentu urzędowego, który w Paryżu narobił wiele hałasu.

Dramat Karola Dickensa przedstawiony w wiernym przekładzie pod tytułem „*le Abime*” zajął nadzwyczajnie francuzką publiczność. W porze letniéj, nie sprzyjającéj teatrom, „*Przepaść*” ściągnięta do Vaudevillu mnóstwo widzów i jest dotąd najważniejszem przedstawieniem sceniczném.

Po Walterskocie, Anglia sławiła i zbogaciła trzech powieściopisarzy całkiem różnych i nierównych talentów: Bulwera (późniejszego lorda Lytton), Karola Dickens'a i Wilhelma Thackeray'a. Pierwszy obok rozległej nauki na której zbywało jego młodym współzawodnikom, nie miał ani lotnéj wyobraźni, ani wyrazistości autora *Dawida Coppelfield*; nie miał filozofii ani humoru wielkiego satyryka, autora *Vanity Fair* (Jarmarku na próżność). Był to pisarz uroczy, zręczny, bazarz pogodnego i silnego umysłu. Bulwer obserwował, pisał, malował znakomicie, ale sposobem który już słuszył innym do malowania, pisania i obserwowania. Napisał mnóstwo powieści, które przetłumaczono na wszystkie języki, ale siły twórczéj nie wyszafował wiele. Zbywało mu na indywidualności: Bulwer nie posiadał tego głównego daru romansopisarzy angielskich. Dla tego ze zdolnościami wyższemi pozostał jednak niżej od poprzedzających go oryginałów, od Foë, Richardson'a, Fielding'a, Sterne'a, Goldsmith'a, Walterskota i tych dwóch pisarzy o dziesięć lat od niego młodszych, którzy po nim przyszli i zaczęli go: Thackeray'a i Dickens'a.

Dwa te nazwiska w których się streszcza ostatni kształt powieści angielskiej, stoją na równi, chociaż nie jednako błyszczą. Zupełna różność geniuszu. dwie sławy porównała. Porównanie niemożebne, ustąpiło miejsca uwielbieniu. Ludwik Blanc po panu Taine sądził Thackeray'a z taktem i bezstronnością rzadką. *Historyk literatury angielskiej* poświęcił powieściopisarzowi studyum obszernie; autor *listów o Anglii* napisał tylko jedną kartkę, z której wyjmujemy kilka wierszy, bo nikt lepiéj nie osądził Wilhelma Thackeray'a:

„Autor *Vanity Fair*, *Perdennis'a* i *New-Comes*, mówi Ludwik Blanc, nie umiał wcale sztuki podstawniczéj romansopisarza, którą jego współzawodnik Karol Dickens w tak wysokim stopniu

posiada: nie umiał zainteresować przez akcją. Romanse Thackeray'a malują życie, ale go nie pokazują w ruchu. Pełno w nich obserwacyi, ale wypadków mało. Wiele mówią do umysłu, mało do serca, a nic prawie do oczu. Rozwijane tam dramaty, scenę mają tylko w świecie ducha. Osoby tam żyją nieruchome; zajęcie jakie dają, jest wyłącznie filozoficzne. Anglia w Thackeray'u nie straciła romansopisarza, ale moralistę, równego Addisonowi, humorystę prawie równego Sternowi, a satyryka wyższego od Swifta, w tém znaczeniu że Thackeray miał duszę, której Swift prawdopodobnie nie posiadał."

Moralista, humorysta, satyryk, takim był rywal Karola Dickensa. Ten jeszcze nie skończył swojego dzieła, więc ostatecznie stanowisko jego w piśmiennictwie angielskiem dopiero potomność oznaczy. Tu można jedynie wydać wyrok tymczasowy.

Dickens autor „Przepaści“ sztuki obecnie przedstawianej w Paryżu, a ułożonej przez niego z powieści, jest wielkim malarzem portretów, wnętrzy i pejzaży; w tych trzech rodzajach zarówno biegły: wszystkie trzy mistrzowsko wykonywa. Pędzel jego jaskrawy, ożywia czego dotknie: ludzi, meble, drzewa, nawet kamienie; w całości która wzrok i serce jego uderza, nie pominie żadnego szczegółu. Gdyby w tym kolorycie i tém żłobieniu twardem, które z jednaką energią oddaje obrys kamienia i cierpienie duszy, można było co zganić, to chyba materyalizowanie życia, myśli, dramatu; to że autor czyni z wszystkiego obraz widomy oczom ducha, ale często rozumieniu jego nieprzystępny. Każda definicya jest kulawa: sam tylko przykład uczy. Weźmy tu naprzykład opis burzy Dickens'a:

„Oczy równie szybkie jak błyskawice dostrzegały w każdym ich płomieniu mnóstwo przedmiotów, którychby w dłuższym czasie nie dostrzegły w dzień: widać było dzwony na dzwonnicy z poruszającymi je sznurami; ptasie gniazda w kominach i gzeinsach; przełknięte twarze pod okryciem przejeżdżających powozów, które konie spłoszone unosiły z turkotem głuszącym grzmoty; widać było pługi porzucone na polu, skoszone łąki, zakończone lasem równie wyraźnym jak strak sterczący u fasoli obok drogi. Mgnienie światłości jasnej, przenikającej, drżącej, pokazującej wszystko; potem odciśnięty czerwony w świetle żółtem; potem niebieskiem, potem blask taki żeś widział już tylko światło — a potem najgęstsza, najgłębsza ciemność.“

Co za obraz! Tak dokładny, że czytelnik sam niby siedzi w onym dylizansie z przełętkami podróżnymi... Nawet zamknawszy oczy widzi krajobraz w ogniu, to co ciemni; widzi owe jasności porające czarne niebo, te ciemnice orane do głębi zygzakami błyskawicy. Nie tylko widzi to wszystko na kartce powieści „*Marcin Chazzelewit*“ ale mianowicie w swojej pamięci. Zjawiska opisane przez wyobraźnię Dickens'a w tej fantastycznej burzy, już nieraz uderzyły wzrok jego i zostały w pamięci. Teraz wracają, i rują się tam z dokładnością prawie matematyczną.

Wielki ten malarz, kolorysta z bujną wyobraźnią, czy pozostał mistrzem zmieniając widownię? Czy na scenie równie wyrazisty jak w książce? Nawet po dobrém przyjęciu dramatu na scenie francuzkiej nie możemy orzec stanowczo. Trzebaby najpierw wyświecić dwa punkta: czy powodzenie jakiego doznała w Londynie „przepaść“ zawdzięcza *zasłudze* czy też popularności Dickensa? następnie, czy w przekładzie francuzkim nie zbladł koloryt oryginału? W braku światła w téj mierze, idziemy prosto do celu i pytamy, czy jako dramat angielski lub sztuka francuzka „przepaść“ ma zalety dzieł potężnych posiadających dar poruszania tłumu. Tak postawiona kwestya da się rozwiązać łatwo.

Dramat napisany naiwnie, krąży około akcji skomplikowanėj. Niewierna żona p. May, przybywa szukać w domu podrzutek syna opuszczonego przed dwunastą laty. Skrucha jój i chęć naprawienia winy, ujmuje służącą tego zakładu. Sara wskazuje dziecko matce zapewniając, że to szukany Ryszard May.

Scena poznania tworząca prolog dramatu, jest rozrzewniająca: autor *dochodzi* do dramatyczności sposobem elementarnėj prostoty. Dzieci siedzą przy stole. Pozyskana łzami matki Sara pod groźbą utraty służby, obiecuje jój wskazać małego Ryszarda. Nie mówiąc, ani wskazując, sługa kładzie rękę na głowie dziecka. Trwa to chwilę, ale ta niema scena przenika

Sara się pomyliła. Sierota zwany w zakładzie Ryszardem May, nie jest synem pani May. Rzecz wydaje się późnij.

Uptywa lat piętnaście. Matka umarła, a ten który za jój syna uchodzi jest jednym z najbogatszych londyńskich winiarzy. Sara wszedłszy do niego w służbę, wyznaje mu chociaż ze wstrętem, tajemnicę téj zamiany dzieci, której on zawdzięcza swoje wejście do domu i spadek po matce przybranėj. Ryszard jest ideałem *zaczynności*: myśl, że posiada cudze mienie, w serce go rani śmiertelnie. Choroba sumienia zaraża ciało: wycieńczony, umierający, postanawia znaleźć i zbogacić syna swojój dobrodziejki. Wpada niby na ślad jego: zdaje się że syn pani May przybrany przez rodzinę angielską, był wychowany w Szwajcaryi. Właśnie też ten mniemany syn Richenbach (czarny zdrajca dramatu) przybywa ztamtąd i osiada w Londynie z wychowanką swoją Małgorzatą, którą szalenie kocha, a która jego nienawidzi.

Dickens zręcznie puścił widzów na trop fałszywy; obydwóch pazory mylą: Richenbach nie jest tym którego szuka dla zwrócenia mu spadku zbyt czuły winiarz z City. Richenbach będąc dzieckiem, zebrał w Alpach, cierpiał głód i chłód; bystry a przewrotny, skoro mu się uśmiechnęła fortuna, oddaje bliźnim złe jakiego od nich doznał.

Z przybyciem do Londynu tego awanturnika, akcja i zajęcie gdzieindziej się przenosi. Ryszard May i jego spadek, idą na drugi plan, głównego pola dramy ustępując współzawodnictwu dwóch pretendentów do serca Małgorzaty. Opiekun jój, Richenbach

jest w spółce z kupcem win Jerzym. Awanturnik szwajcarski przedstawia w Londynie dom handlowy z którym Ryszard i Jerzy są w stosunkach. Za pomocą sfałszowanego podpisu przywłaszczył on sobie, im przynależną sumę pięciuset funtów szterlingów. Ten fałszywy kwit ma Jerzy: w rękę człowieka kochanego przez Małgorzatę, ten papier staje się sprężyną dramatu. Jeżeli się wykryje, że go Richenbach sfałszował, jego fortuna i miłość przepada, nadto pójdzie na galery. Potrzeba mu więc koniecznie odebrać ten materialny dowód swojej niestawy. Jerzy ciągle ten papier przy sobie nosi... tém gorzej! trzeba go będzie odebrać gwałtem... chociażby przyszło złodziejowi być rozbójnikiem.

Goniłwa za fałszywym wexlem, przysposabia i kombinuje dwa główne położenia dramatu. Obaj rywale jadą w podróż, Richenbach z zamiarem odebrania wexlu. Na szczycie Alp, nad przepaścią, wszczyna się bój stanowczy. Fałszerz wyzywa kupca na okute kije, zrzuca maskę i mówi do niego: „zabrałeś mi serce kobiety którą kocham, ja tobie wziętem pięćset funtów, ale jeszcze z nami nie kwita. Rzucę cię w wieczność, w przepaść którą mamy pod nogami.” Zaczyna się mocowanie... Wtém, Małgorzata która za nimi pogoniła przeczuwając grożące Jerzemu niebezpieczeństwo, jawi się nagle, wołając: „Stój! morderco!” Zawiedziony przez miłość i fortunę, Richenbach skacze w przepaść.

Zapomniałem powiedzieć że syn pani May się znalazł: jest nim Jerzy. Testamentem przyjaciela Ryszarda wszedł w posiadanie matczynego majątku; bogaty, szczęśliwy, kochany, żeni się z Małgorzatą.

Jest życie, ruch, napiętność w tym dramacie na przemiany wzruszającym i dziecinnym. Główna jego wada systematyczne używanie środków uderzających oczy więcej niż umysł. Rażąco niewprawny dramaturg, Dickens ukazuje się na scenie jak w powieści, malarzem zajętem przedewszystkiem mocnym wycieniowaniem przedmiotów i figur. Skoro tego położenie wymaga, rzecz doskonała: Jadalnia w dzień w prologu, obraz przedziwny! ręka sługi na głowie chłopca wystarcza do wzruszenia: słowa byłyby wszystko popsuky — przeszkodziłyby słyszeć uroczyste milczenie jakie nastaje w sali.

Nocleg w karczmie, kiedy Richenbach zadawszy opium Jerzemu przychodzi po omaeku szukać papierów w kieszeni uspiętego, to drugi efekt materialny, którym Dickens tłum porywa: środek to nie omyłny ale niski... Pojedynek nad przepaścią, jest dekoracją nie rozwiązaniem; sztuka — jeżeli tu jest jaka — nie przechodzi poziomem melodramy: widowisko czcze i brutalne.

Rozmawiający dowcipnie o winie, człowiek który w swoich wędrówkach podziemnych odkrył tajemnice winnic pełnych i próżnych, jest najlepszą figurą dramatu: daje mu rozmaitość i wesołość. W Anglii tę rolę poruczono najlepszemu aktorowi Trzech Królestw.

Co do tytułu sztuki, Dickens wziął go zapewne chcąc igrzać z dwuznacznością tego słowa *przepaść*. Aż do ostatniej sceny po-

Jedynku, mniemałem, że *przepaść* ma tu znaczyć jedynie upadek moralny bez powstania, położony nie na Głeczerach Alpejskich, ale w sercu Richenbacha, obtudnika, złodzieja i fałszerza nie poprawnego.

Rocznicę urodzin Corneill'a Teatr Francuzki obchodził *Medea*. Przedstawiono ją pomiędzy *Cynną* i *Kłamecą*. Całkowite odkopanie *Medei* było nie możebne: zaledwie znieść można czytanie téj pierwszej tragedyi Corneilla; wypadki piorunujących nudów byłyby się pojawiły w sali gdyby tę sztukę przedstawiono od deski do deski. Prócz pięciu czy sześciu arcydzieł które trwać będą tak długo jak język francuzki, teatr Corneilla jest rozległą ruiną. Tu, piramida w rozsypce; tam rzymskie forum ze ściętą kolumnadą, z tryumfalnymi łuki odartymi z płaskorzeźb i trofeów; owdzie sarkofagi próżne; dalej maska komiczna, której czas brodeń ze mchu dorobił. *Medea* w tych szczątkach przedstawia jednego z owych sfinxów, lub gryfonów, grubo wyciosanych, które znajdują w wykopaliskach sztuki pierwotnej. Miejsce jój w ciemnym kącie pracowni mistrza, scena uwydatnia jój niekształtność.

Zresztą *Medea* należy do grup bohaterek mytologicznych, które straciły swoje prawo obywatelstwa w nowoczesnym teatrze. Jakież zajęcie budzić mogą bajki pogańskie wyjęte ze swojego okolenia, ze swojej ramy, z tego splendoru poezyi starożytnéj, które im zwraca słońce i lazur rodzimy. Pozbawione cudownego żywiołu w którym żyły, owe córy wyobraźni Helleńskieję, schną i stygną. Nie są już boskie—zaledwie ludzkie. Co znaczy *Medea* bez cudów złotego runa, bez swoich ziół czarownych, bez zakłętego kotła, gdzie stary Eson odmładza ludzi; bez cugów skrzydlatych węzów które ją wożą z Kolchozy do Teb, a z Koryntu do Aten, błyszczącą jak meteor? Jest tém samém, czemby była operowa czarodziejka po zgaszeniu świeczników i zwinieciu dekoracyi.

Exorcyzmowana czarownica staje się nie zrozumiałą potworą, przechodzi z królestwa piekieł do królestwa zwierząt. Na scenie schodzi do rozmiarów zazdrośnej kobiety, która się mści na niewiernym mężu zabijając jego dzieci. Zbrodnie jój przestając być bajeczne, stają się bezezne.

Rzecz dziwna! Ta pierwsza tragedia Corneill'a zdaje się rowieśnicą jego sztuk ostatnich, kiedy już talent jego był w upadku. Styl jój nawet słabo zwiastuje mające przyjść arcydzieła. Geniusz Corneill'a jeszcze nie przemówił w *Medei*: bełkocze jakimś barbarzyńskim językiem, nadętym i nie poprawnym.

Po *Cynnii* o którym już nie ma nic do powiedzenia, przedstawiono *Kłamecę*, pojawiającego się na scenie tylko w dniu uroczyste. Napisany po *Cydzie*, *Kłameca*, należy do najświetniejszej epoki Corneill'a. Intryga nieco podstarzała, wlecze się powoli po przez komplikacye naciągane, pomyłki nazwisk, przejęte listy i dwuznaczności.

Jak *Cyd* z dramatu Guilhelma de Castro, tak *Klamca* jest naśladowany z komedy Alarcon'a. Ale Corneille nie nosi hiszpańskiego płaszcza Stariej Kastylii tak dobrze jak jej zbroję. W dramacie bohater'skim jest jak u siebie; gubi się w zagmatwaniu komedy przygodowej. *Klamca* jednak zawsze bawić będzie bujnością wyobraźni i werwą zmyślenia. Bazarz-artysta, kłamie bez celu, bez rozmysłu ani korzyści, kłamie tak jak improwizuje Arab albo Panie Kochanku, dla własnej zabawy i podziwiania drugich.

Na przyszłą rocznicę Corneill'a, teatr francuzki wznowi „*La Suite du Manteur*” sztukę której tu nie grano od lat 60-ciu a której wartość zdaniem ówczesnych krytyków, znacznie wyższa od samego „*Klamcy*”

— Instalacją popiersia Alfreda de Musset uczczono w Teatrze francuzkim przedstawieniem na scenie *Nocy październikowej*, jednej z najpiękniejszych elegii Musseta. Przedsięwzięcie nie łatwe: słusznie się można było obawiać że woń tych wierszy zachwycająca w samotności, w tłumie zwierzeje. Dzięki grze pierwszorzędnych artystów, tak się nie stało: przejmujący zapach dialogu poety z Muzą, chociaż przeszedł przez pośrednika, wniknął w dusze słuchaczy.

Znana powszechnie treść tej elegii: poeta cierpienia swoje zwierza Muzie, ona go pociesza. Rzecz nie była napisana dla sceny. Czuli to wszyscy. Dla tego odbyto pierwój próbę tej transfiguracyi w salonie, a kiedy tam się udała, przeniesiono przedstawienie na większą widownię.

W oznaczony wieczór Teatr francuzki napętnił się wielbicelami Musseta. Podniesiona zasłona odkryła poddasze, gdzie poeta z podpartą ua dłoni głową, duma; za nim stoi Muza uwinęta w białe draperye. . Pokoik powszedni, a w nim istota nadzwyczajna. Pomieszanie stylu mogło się wydać dziwne: przecież nie zdziwiło nikogo, tak umysły były przysposobione do widzenia tej dekoracyi. Dyalog przyjęto z wielkiem zadowoleniem. Dawno nie widzieliśmy tak szczerego uznania, takiego zachwytu świadczącego że zamilowanie poezyi wytwornej, żyje.

Przedstawienie *Nocy październikowej* jest znakomite. Tylko, jeżeli wolno żądać w dobrem ulepszenia, pragnęlibyśmy widzieć innego Musseta jak ten którego przedstawia Delaunay. Prawda że kiedyś tu pod koniec jego życia widywali autora *Hiszpańskich powieści* wyglądał jak dandy: cera blada, wzrok zemdlony, włosy jasne, mówił cicho, jednostajnie. Taka była szata powszednia, w której Musset występował w świecie. Ale to nie był autor *Rolly*, autor *Spowiedzi*, autor *Paezu*, autor *Ust czary*. Potomność która na wielkich pisarzy patrzy przez ich dzieła, nie da jemu ani takiej twarzy, ani takiego obejścia. Homer dla nas urodził się stary, siwy i ślepy; Mickiewicz pozostanie zawsze takim młodym jakim go widzimy w *Wallenrodzie*; Woltera w posągu Houdona poznaję przysze wieki. Nie to wyobrazenie prawdziwe które powłokę cie-

lesną ducha przedstawia, ale to, które oddaje kształt tego ducha taki jaki w zamiarze harmonii boskiej być musiał.

Zwierciadłem odbijającym Musseta jest jego *Confession d'un Enfant du Siècle*. Tam go widzimy, nie Musseta pozującego na Bajrona, ale Musseta poetę, co poczuł i wystąpił wszystkie pragnienia i wątplenia XIX wieku. Tam jest kochanek płomiennój Belcoire. Gdyby był taki martwy i zblakły jakim go widywano w tłumie, nie byłby czarodziejem. Czyżby się tak do niego rwały serca młode, gdyby w nim nie znajdowały spotęgowanych swoich radości, cierpienia i pragnień, a mianowicie tych naszych omdleń ducha i zaćmienia nadziei.....

Akademia nauk odbyła swoje doroczne posiedzenie. Sekretarz wieczysty, chemik Dumas, czytał pochwałę Faradaya.

Poważną częścią takiej sessji jest rozdanie nagród uczonym miejscowym i zagranicznym za prace zeszłoroczne. Zdawane z nich raporta odkrywają ducha akademii, wskazują dążenia rozmaitych gałęzi wiedzy, znaczą postęp dokonany w każdej. Z tego stanowiska uważany wykaz nagród rozdanych przez francuską Akademię Nauk, może być ciekawy. Druga większa część posiedzenia, nie bardzo zajmująca. Dla nieuczonych słuchaczy nie może mieć powabu odezwy zimny biografi angielskiego chemika znanego ledwie z nazwiska. Jednak zawsze tłum ludzi przysłuchuje się memoryalowi ogłoszonemu poprzednio w pismach periodycznych.

Wielkiej nagrody matematyki nie dano nikomu. Od lat kilku już tak się dzieje. Akademia złożyła tylko hold pośmiertny, na grobie młodego geometry Edmunda Bour, który wielkie okazywał zdolności, a którego już uwieńczoną pracę ogłosił *Journal de l'Ecole polytechnique*.

Wielką nagrodę astronomii fundacyi Lalanda, otrzymał tego roku włoch astronom Schiapparelli z Medyolanu, za nową teorią dotyczącą gwiazd spadających. Zdaniem jego, słońce działając na drobne ciała krążące w przestworze, oświeca je i strąca; zamiatają je także po drodze ogonami komety, i spędzają na stronę w parabolicznym biegu. Tym sposobem także, zdaniem pała Schiapparelli spadają na ziemię ze sfer sąsiedzkich aerolity.

Nagrodę statystyki fundacyi Montyona dostał pan Marchand za *Etude statistique et economique de l'agriculture du pays de Caux*. Jestto bilans zupełny położenia rolników w tej okolicy. Autor zebrał wszystkie szczegóły dotyczące bydła, węg, pożywienia, mierzwy, produkcyi mleka, masła, sera i mięsa. Dane fizyczne i analizy chemiczne pól rolniczych, stanowią wartość tej pracy.

Doktorowie Marny i Quesnoy otrzymali zaszczytną wzmiankę za dzieło pod tytułem: „*Topographie et statistique medicales du département du Rhône et la ville de Lyon*.” Drugą wzmiankę honorową otrzymał pan Vacher za „*Etude médicale et statistique sur la*

mortalité à Paris, à Londres, à Vienne et à New-York." Autor studyje mianowicie rok 1865, podczas grasowania cholery w Paryżu. Karta uwypatnia stosunki choroby z danymi meteorologicznymi rozmaitych miesięcy. Ta część książki bardzo chwalona. Porównanie Paryża z trzema wymienionymi stolicami wydaje się akademii dowolne.

Pan Blanchet przysłał akademii *statystykę ślepych i głuchoniemych*. Liczba tych nieszczęśliwych jest jeszcze bardzo wielka we Francji. Z list popisowych Blanchet doszedł, że w ciągu lat dziesięciu było 1825 ślepych na 2,000,000 młodych ludzi stających do rewizyi. Głuchoniemych było 2223 na dwa miliony. Autor rozbiera przyczyny tych kalectw.

Od lat wielu stoi na akademickim konkursie skomplikowana kwestya fizyki matematycznej: *„la direction des vibrations de l'ether dans les rayons polarisés.*" Memoriał tegoroczny musiał zadowolnić uczone grono, gdyż akademія uznaje konkurs skończonym i daje złoty medal autorowi memoriału oznaczonego numerem I, którego nazwiska jeszcze nie znamy.

Baron Fremont ufundował testamentem nagrodę roczną 1000 franków, jako pomoc dla uczonego, pracującego „nad ulepszeniem sztuk wyzwolonych i przemysłowych.” Zapomogę tę od lat trzech akademія przyznaje panu Gautudes fizykowi, który od lat dwudziestu oddaje się poszukiwaniom w fizyce, chemii i mechanice.

Nagrodę Dalmonta za poszukiwania i odkrycia inżynierskie, 3600 fr. otrzymał p. Bazin za pracę pod tytułem: *Recherches hydrodiques.*

Wielką nagrodę *fizjologii doświadczalnej* otrzymał pan Cyon za memoriał pod tytułem: *„recherches sur le innervation du coeur.*" Autor odkrył *„nerf dipresseur de la circulation*" przez co zdaniem akademii, rozjaśnił znakomicie ciemną zagadkę fizjologii nerwów serca.

Drugą nagrodę fizjologiczną dano doktorowi Baillet, za poszukiwania dotyczące *robaków wnętrzościowych zwierząt domowych.*

Medycyna i chirurgia najwięcej nagród otrzymała. Wymienimy tylko znaczniejsze. Doktor Chauveau dostał 2500 franków za dzieło p. t. *„Recherches sur la vaccine primitive.*" Po 1500 franków dostali doktor Schultze, Herard i Cornil za *studya anatomiczne i kliniczne suchot płucowych*; doktor Foissac za dzieło p. t. *„De l'influence des climats sur l'homme.*" Buchard otrzymał pochwałę za memoriał: *„Des de generations secondaires de la moelle épiniere,*" doktor Cottard za rozprawę o *rozmięczeniu mózgu*; Comenge za *studjum koklusu.*

Nagroda dwóchtysięczna *Des arts insalubre* dostała się inżynierowi Freycinet, za raporta dotyczące sposobów czynienia zdrowymi rozmaitych fabryk. Są to raporta z missyi rządowej do Anglii, poruczonej temu inżynierowi in.

Stawna nagroda *Breanta* przeznaczona dla wynalazcy lekarstwa na *cholere morbus*, pozostała w biurku akademii.

Dano tylko 2500 franków panu Huet, za *memoryał o rozwoju i szerzeniu się cholery*. Paryzki lekarz Mesnet, któremu tu poruczono kierunek szpitali choleryków w 1865 roku otrzymał 1500 franków zachęty za *memoryał o cholery*. Mesnet stwierdza ten fakt, że najśmiertelniejsze wypadki cholery owego roku, napadały ludzi bez poprzedniej dyarii.

Nagrodę Joecker'a amerykańskiego lekarza, ustanowioną na zachętę chemii organicznej, dostał pan Behrtolet za prace o węglanach i kwasach.

Barbiera nagrodę przeznaczoną za odkrycia dotyczące nauki lekarskiej, dano panu Hugnier, za rozprawę p. t. „*de l'Hystéromètre*.”

Desmaciera nagrodę przeznaczoną uczonym badaczom rozlicznej rodziny grzybów, dostało dzieło Niemca pana Barry, profesora botaniki na uniwersytecie w Halli. Książka wyszła pod tytułem: „*La Morphologie et la physiologie des cryptogames*.” Zdaniem Akademii ma to być dzieło magistralne; ze stanowiska naukowego nikt głębiej nie zapatrywał się dotąd na grzyby.

Nagroda Savigny ustanowioną była dla młodych podróżujących zoologów, którzy nie mając subwencji od rządu, zajmą się studjowaniem zwierząt czworonożnych w Egipcie i Syrii. Fundator był naturalistą i członkiem Instytutu egipskiego. Myśl jechania do Syrii w celu naukowym nie uśmiechnęła się tu żadnemu z młodych adeptów nauki; nagroda została w biurze akademickim. Kanał Suezu ciągnie w tamte strony mnóstwo inżynierów i mechaników, ale naturalistów jakoś nic do Egiptu nie wabi.

Wielka nagroda mechaniki, nie została rozdana. Zważywszy że rok 1867 był popisem wszystkich mechaników na Polu marsowym, wnosić trzeba że albo geniusz ich osłabł, albo sądy Akademii nie są sprawiedliwe: bijąca w oczy rzeczywistość, każe przy tym ostatnim wnioskowi pozostać.



WIADOMOŚĆ O SĄDACH BOŻYCH, CZYLI ORDALIACH W DAWNEJ POLSCE.

Z rękopisu biblioteki miejskiej Elbląskiej.

Pierwszą wiadomość o istnieniu rękopisu w tytule powyższemu powołanego, powziąłem z wydania starych praw pruskich (*iusa Pruthenorum*), ogłoszonego przed dwoma laty w Królewcu Wydawca praw pruskich opisując rękopisa, z których czerpał text do swego wydania, między innemi wspomniał o rękopisie należącym podówczas do p. Neumana, starszego miasta Elbląga, nadmieniał jednakże że pomimo łożonych starań nie mógł go otrzymać dla porównania, przyczem wspominał także że w rękopisie tym znajdować się ma podanie o dawnych zwyczajach sądowych polskich. Powziąwszy tę wiadomość starałem się za pośrednictwem znajomych moich otrzymać odpis tej właśnie części rękopisu elbląskiego, w której miało się znajdować opisanie owych dawnych zwyczajów sądowych polskich. Krok ten pozostał wszakże bez skutku. Tymczasem będąc na początku roku obecnego w Petersburgu, dowiedziałem się od członka akademii nauk p. Kuniga, iż w rzezonym neumanowskim rękopisie w istocie podaną jest wiadomość o sądach bożych tak jak one były praktykowane w starodawném sądownictwie polskiem. To zaostrzyło jeszcze więcej ciekawość moją i stało się powodem, iż przejeżdżając wkrótce potem przez Berlin upraszałem p. tajnego radcę Dunkera naczelnika tajnego archiwum królewskiego, znakomitego autora historii starożytnej, i zarazem profesora uniwersytetu berlińskiego, aby raczył mi pośredniczyć w otrzymaniu upragnionego odpisu. W ciągu tego czasu rękopis wzmiankowany przez właściciela darowany został bibliotece miejskiej w Elblągu, co jak się zdaje ułatwiło możność zdję-

cia z niego kopii; jakoż w istocie kopię tę w tych dniach otrzymałem od p. Dunkera.

Jest to traktat w języku niemieckim spisany, opisujący sposób, w jaki różne gatunki ordaliów mają być spełniane i wskazujący zasady, podług których sędzia osobom spór wiodącym w celu ustanowienia dowodu nakazuje poddać jednej lub drugiej próbie. W traktacie tym znajdujemy zarazem podane modlitwy, które używani przy spełnianiu ordalij, kapłani odmawiali.

Ile przypominam sobie nie zdarzyło mi się dotąd czytać tak pełnego traktatu z dawnych czasów pochodzącego o ordaliach. Mam powody do domniemania, że traktat jest tłumaczeniem z łacińskiego.

Wszakże nie to tworzy w oczach naszych jego ważność. Zwraca on uwagę naszą na siebie dla tego mianowicie, że przechowuje pamiętkę sposobu użycia ordaliów w naszym starodawnym sądownictwie.

Że reguły w nim podane odnoszą się do sądownictwa polskiego, świadczy o tém rękopis elbląski podający je jako dawne zwyczaje sądowe polskie, następnie i w samym traktacie uczyniona wzmianka o polskiem duchowieństwie i obowiązkach jego wynikających z przepisów o pojedynkach, co niewątpliwy stanowi dowód, że tu mamy do czynienia z rozporządzeniami właściwemi dawnemu sądownictwu polskiemu. Pytanie tylko powstaje zkąd w rękopisie elbląskim ten traktat znajduje się i jaki mógł być powód praktyczny, dlaczego przedmiotem tym zajmowano się w Prusiech?

Nie mając pod ręką potrzebnych materiałów, za pomocą których mógłbym na pytanie to odpowiedzieć w sposób więcej zadawalniający, ograniczę się tylko na przytoczeniu z pamięci niektórych faktów, które jak, sądzę, tymczasowo zaspokoją ciekawość naszą.

Przeglądając liczne dyplomata wieku XIII, XIV i XV, dotyczące ziem które dostały się pod władzę zakonu krzyżackiego, natrafiłem na wzmianki dowodzące iż prawo polskie (*jus polonicum*) w niektórych stronach podległych zakonowi obowiązywało. Mianowicie pamiętny jest pod tym względem akt układu zawartego za pośrednictwem legata Stolicy Apostolskiej w drugiej połowie XIII wieku, między zakonem a mieszkańcami Pomorza i Pomeranii. Zapytani mieszkańcy tych stron jakiemby nadal chcieli się rządzić prawem, oświadczyli że obierają sobie prawo swoich sąsiadów, to jest prawo polskie. Zakon zgodził się na to żądanie, zastrzegł tylko iż nie mają używać w sądach swoich ordaliów. Zupełne ztąd płynie przekonanie, że w niektórych ziemiach zakonu obowiązywało prawo polskie i że częścią tego prawa było użycie ordaliów.

To dostatecznie tłumaczy co mógł być za powód, dlaczego właśnie w Prusiech zachował się traktat o sposobie użycia ordaliów w sądach sądzących podług prawa polskiego.

Wprawdzie we wzmiankowanym układzie zastrzeżono, iż w sądach polskich użycie ordaliów ma być wyłączono, ja jednak rzecz całą tak sobie tłumaczę. Legat papieżki który układ do skutku doprowadził, chciał zapewne przy zawieraniu jego powziąć wiadomość o tem, co stanowiło prawo polskie, a znalazłszy je w sądownictwie podług prawa odbywanem, ordalia są w użyciu, nastawał pewno na zakon, aby nadal używania ich nie dopuszczał, bo w owych czasach Stolica Apostolska wszędzie przeciw nim występowała; zgodził się na to zakon, sam jednak działając w duchu innych widoków; i ubiegając się więcej za świeckimi korzyściami jak za duchownemi celami dozwolił w praktyce i po układzie uciekania się do ordaliów, nie widząc w tem nic szkodliwego dla siebie. Takim sposobem ordalia pomimo rozporządzeń układu pozostały w niektórych częściach ziemskich pruskich w użyciu i zapewne jeszcze czas niejaki utrzymały się w zastosowaniu choć nawet w sąsiedniej Polsce; już z końcem wieku XIII stanowiąc zniknąć zaczęły.

Porządek wykładu przyjęty w traktacie taki. Najprzód mowa jest o ordalu przez pojedynek, następnie opisane ordale przez żelazo, nakoniec o ordalu przez wodę. Podajemy w krótkości ważniejsze rozporządzenia.

Wykład poczyna się od słów: jeżeli sędzia poleci człowiekowi na którego skarga jest zanesioną odpowiadać, ten zaś utrzymać będzie iż jest niewinny, wtedy sędzia pyta go czy ma świadków na poparcie swego twierdzenia, jeśli ich nie ma sędzia nakazuje mu bić się. Po tym wstępie idzie dalej przepis, że jeżeli ci, którzy się mają bić są obaj chłopami (gebuer), że mają się bić na palki (kulen), jeśli zaś chłop pociągnął do odpowiedzialności rycerza (ritter), że wówczas pojedynek ma się odbywać na miecze (swerte); przeciwnie, jeśli rycerz pociąga do odpowiedzialności chłopą, że się musi bić na palki. Skutkiem pojedynku jest, że jeżeli pozywający zostanie pokonany traci tylko prawo do dochodzenia swęj protensyi; przeciwnie jeśli zostanie pokonany oskarżony, skazuje się na to, o co był skarżony.

Po kilku drugorzędnych rozporządzeniach, dotyczących jeszcze pojedynków, zaczyna się wykład o próbie przez rozpalone żelazo. Sędzia pociąga do niej oskarżonego który nie może stawiać świadków na udowodnienie swęj niewinności i udowodni niemożność pojedynkowania się. Ordale przez żelazo jest dwojakie: albo trzeba na trzy rozpalone żelaza stąpić i przez nie przejść, albo też nieść w rękę rozpalone żelazo trzy kroki. Przy opisanu sposobu jakim ordale to spełnia się, przepisano, że noga którą na żelazo stawiano i ręka którą niesiono żelazo, powinna być na trzy dni i przekonywa czy noga lub ręka są uszkodzone, lub nie. Nadto, przed przystąpieniem do próby przez żelazo, powinna być msza odprawiona i zmówiona następująca modlitwa: „Deus iudex justus et pociens qui auctor es pacis et iudicas equitatem respice ad di-

sceptationem nostram et dirige iudicium nostrum qui justus es... qui respicis terram et facis eam tremere, qui per adventum unigeniti filii tui... mundum salvasti, genusque humanum redemisti, Tu hoc ferrum igne fervens benedicere dignare et sicut tres pueros Sydrah, Misac et Abadengo jussu regis Babilonis in fornacem succensam missos illesos salvasti angelumque tuum mittens eos exinde deduxisti et Susannam de falso crimine liberasti, ita clementissime dominator oramus et petimus ut quisquis innocens de crimine sibi objecto in hoc ferrum miserit et ipsum portaverit sanam et illesam eam educat... Omnipotens Sempiternus Deus, qui es scrutator occultorum cordium, te supplices exoramus ut si homo hic culpabilis est de rebus sibi objectis et diabolo ingranante cor ejus praesumpserit in ferrum ignitum manum suam mittere, Tua justissima veritas declarare dignetur, ut in ejus corpore virtus tua declaretur ut anima illius per penitentiam et confessionem salvetur. Si vero in aliqua deceptionis diabolicae versucia confidens, reatum suum dissimulare celareque voluerit, Tua sanctitas dextraque omnem caliditatem demonis evacuare dignetur. Benedicere dignare Domine Sancte Pater Omnipotens Eternus Deus hoc ferrum ad discernendum in eo justum iudicium tuum (1)."

Nakoniec, jeśli powołany do odpowiedzialności nie może stać świadkiem dla wykazania swej niewinności, sędzia może go poddać próbie wodnej. Traktat szczegółowo opisuje formalności, jakie przy użyciu tej próby powinny być zachowane i podaje także formę modlitwy, jaką kapłan odmówić powinien przy poświęceniu

(1) Co brzmi po polsku: „Boże, sędzio sprawiedliwy i cierpliwy, który jesteś sprawcą pokoju i sądzisz wedle sprawiedliwości, wejrzyj na rozprawę naszą i kieruj sądem naszym, który sprawiedliwym jesteś, który spoglądasz na ziemię i sprawujesz, że ona drży, który przez przyjście jednorodzonego Syna swego świat zbawiłeś i ród ludzki odkupiłeś, Ty żelazo to rozpalone racz pobłogosławić i jakoś trzech chłopców Sydraha, Misaka i Abadengę z rozkazu króla babilońskiego wrzuconych do rozpalonego pieca, ocaliłeś bez szkody i aniola im swego posławszy z tamtąd wywiodeś i Zuzannę fałszywie oskarżoną uwolniłeś, tak najlaskawiej panuj prosimy i błagamy Cię, ażeby ktokolwiek jest niewinny zbrodni mu zarzucanej a dotknie się ręką tego żelaza, aby ją zdrową i nieuszkodzoną wyciągnął. Wszzechmogący, Przedwieczny Boże, który czytasz w sercach ukrytych, prosimy Cię pokornie, żeby jeśli człowiek ten jest winny rzeczy zarzucanych mu i z podniety diabła serce jego kazalo mu włożyć rękę w żelazo rozpalone, Twoja prawda najsprawiedliwsza niech raczy sprawić, aby na jego ciele świętość Twoja się objawiła, ażeby dusza jego przez pokutę i spowiedź została zbawioną. Jeżeli zaś ufny w pokusę jakichś diabelskich wykrętów, występek swój chciałby zataić i ukryć, Twoja świętość i prawica wszelki podstęp diabelski niech raczy oddalić. Racz pobłogosławić Panie, Ojciec Święty, Wszzechmogący, Przedwieczny Boże to żelazo, aby było ku rozpoznaniu w tym słusznym sądzie Twoim.”

wody. Próba przez wodę uważała się za drugorzędną, na końcu bowiem traktatu wyraźnie powiedziano, że sędziowie nie nakazują jej w głównej sprawie (hauptzache).

Ostatnia ta uwaga naprowadza mnie na myśl, że właściwem ordale w starodawném sądownictwie polskiem musiała być tylko próba przez żelazo. Pojedynki weszły niewątpliwie dopiero później w użycie za rozszerzeniem się pojęć rycerskich, a próba wodna mogła być naśladowaniem praktyk innych plemion w sąsiedztwie osiadłych. Być nawet może że ordale przez przejście na rozpalonych żelazach było najdawniejszą formą, w jakiej praktykowaną była próba przez żelazo w Polsce. Zdaje mi się, że Helmold świadczy, iż próba przez rozpalone lemieszce była właściwą Słowianom nadłelbiańskim, z którymi mogli ją podzielać i dawni Polacy.

Podając wiadomość tę mam nadzieję, że ona zachęci badaczy naszych starożytności do ogłoszenia tak w oryginale jako i w tłumaczeniu polskiem całego obecnego traktatu; uczyniłbym to może sam, gdybym mógł znaleźć sposobność porównania odpisu mego z rękopisem elbląskim, gdyż, ile mi się zdaje, odpis mój w kilku miejscach i to ważnych, niezupełnie jest wierny.

w Czapłowie, d. 20 lipca 1868 r.

R. Hube.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Kilka słów o teorii statystyki. Napisał Witold Załęski, docent Szkoły Głównej. Warszawa, 1868, str. 76.

Mówią, pisze Göthe, że cyfry rządzą światem. To jednak pewna, że cyfry pokazują jak świat jest rządzony. Postrzeżenie to poety-filozofa jest bardzo trafne. Nim nauka dojdzie do wysłedzenia praw stałych rządzących światem ludzkim i nim je w rachunku wyrazić zdoła; tymczasem wiele już czyni, gdy pokazuje jakle są skutki przyczyn i objawy praw rządzących zjawiskami świata całego. Każda z nauk więcej lub mniej przyczynia się do osiągnięcia tego wypadku wiedzy powszechnej: głównie jednak jest to zadaniem statystyki. Nauka to jeszcze bardzo młoda pod względem teoretycznym; tak młoda że kilkudziesięciu autorów trudniących się jej opracowaniem nie zdołało się zgodzić nawet co do jej określenia czyli definicji, celu, środków jakimi się posługiwać należy przy spisywaniu danych statystycznych. Ztąd jednak nie trzeba wnosić, że teoria do niczego nie prowadzi. Gdyby tylko wskazała zbierającym postrzeżenia, jakiej drogi mają się trzymać, ażeby nagromadzone fakta nie utonęły w chaosie, jużby spełniła swoje zadanie. Dlatego, zgadzając się z autorem wspomnionój wyżej broszury, że tylko statystyka porównawcza zasługuje na nazwę naukowej, sądzimy że i teoretyczne poszukiwania nie są bez wartości.

P. Załęski dał się już poznać z kilku rozpraw zamieszczonych w „Ekonomiście” z których wnieśliśmy, że mu nie zbywa na gruntownych wiadomościach z nauk polityczno-ekonomicznych i filozoficznych, a tём samém że może pożytecznie pracować na tój niwie. Broszura tegoż autora którą się obecnie zajmujemy składa się z dwóch części: najprzód z poszukiwań nad metodą w ogóle a osobliwie statystyczną, a powtóre z określenia i podziału samej statystyki.

Co do pierwszej części, p. Załęski zaczął *ab ovo* i dość obszernie zastanawia się nad metodą indukcyjną i dedukcyjną, a to głównie

podług „Logiki” J. S. Mill’a. Przyznamy się, że koniecznego związku między tą częścią rozprawy a następną nie widzimy. Należało przypuszczać, że czytelnicy jeżeli nie wszyscy, to przynajmniej większa ich liczba rozumie czém jest indukcya a czém dedukcyja. Wprawdzie autor sam się przyznaje, że musi „sięgnąć nieco daleko” (str. 2); zastrzeżeniem tém jednak nie ochronił swojej pracy od „rozwlekłości. Zyskała ona wprawdzie przez to na obszerności, ale ani pojęcie metody statystycznej, ani pojęcie samej statystyki, nie stało się jaśniejszem. W ostatecznym razie, można było czytelnika odesłać do „Logiki” Mill’a, jeżeli żadnej logiki nie czytał; lub też na parze stronic przypomnieć na czém polegają metody. Z tego zaś co p. Z. o metodologii napisał nie sądzimy ażeby nieznający „Logiki” Mill’a, zrozumieli o co mu właśnie chodziło.

Określenie téż indukcji podane przez autora nie jest dość ściśle. Pisze on bowiem: „indukcyją nazywamy taki proces umysłowy, za pomocą którego wnioskujemy że co jest prawdą dla pojedynczego wypadku, jest nią również dla wszystkich, które pierwszemu ze względów pewnych i oczywistych, są zupełnie podobne. Jest to zatem wnioskowanie z pojedynczego wypadku o całym szeregu podobnych wypadków, od pojedynczego do ogólnego” (str. 2—3). Rzeczywiście określenie powyższe indukcji daje Mill w rozdziale swojej „Logiki” zatytułowanym „O indukcji niewłaściwie tak nazywanej”. I w istocie z *pojedynczego* wypadku nie można wnioskować logicznie o całym szeregu podobnych wypadków. Z wad i przymiotów pojedynczego człowieka nie można wnosić o wadach i przymiotach całego narodu. Dlatego to i Mill, którym się p. Z. posilkuje, w rozdziale „Of the ground of induction” powiada, że indukcya „polega na wnioskowaniu z *pewnej liczby* wypadków (*from some individual instances*), w których dostrzegane zjawisko zachodzi, że toż zjawisko powtórzy się we wszystkich wypadkach pewnej klasy; mianowicie we wszystkich takich które są *podobne* pierwszym ze względu na okoliczności materyjalne” czyli istotne. (A system of Logic. T. I Book III. ch. III). Co o metodzie w ogóle, to i o innych rozdziałach broszury w których kategorie logiczno są rozbierane, można powiedzieć, a mianowicie że są nie na swoim miejscu. Nie wielu znajdzie się ludzi, a tém mniej statystyków, którzyby potrzebowali dowodzenia prawa przyczynowości. Zarzut nasz zatem odnośnie do pierwszej części pracy p. Z. redukuje się do tego, że autor zamieścił ustępy z logiki zamiast wprost przystąpić do wykładu statystyki, *in medias res*.

Za to w bezpośrednim związku ze statystyką zostaje rachunek prawdopodobieństwa i wyszukiwanie cyfr średnich, czyli jak nazywają przeciętnych. Na tymto rachunku opiera statystyka swoje rozumowania i wywody. Oczywiście, że przy podobnych obliczeniach nie może być mowy o ścisłości bezwzględnej. Zawsze będą to tylko postrzeżenia, które następnie sprawdzać należy. Nie tylko zaś obliczenia te nie mogą być bezwarunkowo pewnymi, lecz nadto stosownie do natury postrzeganych faktów, do ich ilości, będą więcéj lub mniej prawdopodobnymi. I tak, wypadek otrzymany przez statysty-

czne postrzeżenie nad faktami ze świata nieorganicznego, prędzej może służyć za potwierdzenie przypuszczonego prawa, niż ze świata organicznego; a z tego znów prędzej niż z ludzkiego. W stosunkach ludzkich działają przyczyny bardzo liczne, jedne ogólne, drugie szczególne, stałe lub przypadkowe. Te ostatnie krzyżują się z pierwszymi, a tém samém i na wypadek wpływać muszą. Dalej, postrzeżenia statystyczne wtenczas dopiero nabierają wagi, gdy są czynione na wielką skalę, w rozmaitych miejscach, przy działaniu rozmaitych przyczyn, w otoczeniu różnych warunków. Na to wszystko statystyk musi mieć oko; w przeciwnym bowiem razie zebrane przez niego fakta mogą mieć niejaką wartość dla męza stanu, dla polityki praktycznej, ale nie będą miały wartości naukowej.

Po tych metodologicznych uwagach i wzmiankach o rachunku statystycznym, w drugiej części swojej pracy zastanawia się p. Z. nad określeniem statystyki i jej zadaniem. Powiada nam zatém, że statystyka jest „metodą i nauką.” Niewątpliwie, metoda jest niezbędną do wszelkiego badania naukowego a tém samém i do poszukiwań statystycznych. Wiadomo jednak, że lepsi statystycy mniej pisali o metodzie a więcej o nauce. Z poszukiwań uczonych niemieckich nad metodą, z poprawek jakie jedni czynili nad drugimi, urodziło się kilkanaście książek, które statystyki nie posunęły. Ktoby nam nie wierzył, niech przeczyta co o tym przedmiocie pisał R. Mohl, w swojej „Historii nauk politycznych” (T. III). P. Załęski widocznie poszedł w ślad tych Niemców i rozprawę swoją tak rozdrobnił, tyle nakładł tytulików, chciał być tak po niemiecku głębokim, że przeczytawszy „kilka słów” nie wynieśliśmy bardzo jasnego pojęcia statystyki. Nie przeczymy tedy że statystyka jest metodą, to jest że systematycznie spisuje swoje postrzeżenia; ale wolelibyśmy żeby mniej było mowy o metodzie.

Powtóre statystyka jest nauką, to jest nie tylko szereguje fakta, ale wiąże je z przyczynami. Jest to już postęp w badaniach statystycznych; z początku bowiem tabelle statystyczne miały cel czysto praktyczny, miały służyć za wskazówkę dla administratora państwa jak rozłożyć podatek lub ilu wziąć na pobór wojskowy.

Na drogę naukową wprowadził statystykę Quetelet. W zjawiskach pewnej klasy dostrzeganych przez pewien dość znaczny przeciąg czasu ujrano prawidłowość, powtarzanie się pewnych faktów z dziedziny ekonomicznej lub moralnej. Z tego empirycznego postrzeżenia śmielsi zawnioskowali, że czyny ludzkie podlegają stałym prawom. Ztąd naturalnie powstało stare pytanie o stosunku woli do tych praw statystycznych. Na pytanie dotychczas nie ma stanowczej odpowiedzi: tyle jednak wiadomo, że prawa te nie działają fatalnie, jakby z góry oznaczone, lecz że jeżeli nie będzie przeciw nim oddziaływania woli ludzkiej, sprowadzą takie a nie inne wypadki. Tym sposobem wcale się nie znosi wolną wola i odpowiedzialność za czyny ze świadomością dokonane.

Przedmiotem statystyki podług p. Z. „są wszystkie zjawiska świata realnego w ludzkości i poza ludzkością, które są skutkami

przyczyn stałych i przypadkowych i nie mają charakteru bezwarunkowo jednakowego, ale tylko charakter w ogólności jednostajny t. j. w wielkiej liczbie wypadków od przyczyn stałych zależny" (str. 51). Taki jest i naszém zdaniem przedmiot statystyki. Można go jednak było ograniczyć w słowach i poprzestać na tém, że statystyka zajmuje się zjawiskami świata realnego. Objaśnienie tej definicyi już znane jest czytelnikowi z poprzednich uwag.

System dzielenia nauki na nowe gałęzie tak właściwy spekulacyjnemu umysłowi Niemców, przejawia się i u p. Załęskiego. Podziela zatem zdanie tych, co statystykę dzielą na demografią i właściwą statystykę z tą różnicą, że gdy Niemcy demografią wyżej stawiają, p. Z. kładzie ją na drugiem miejscu. Demografia zaś jest znajomością kraju. Jest to wyłączenie z geografii wielu faktów statystycznych, które podobało się nazwać osobną i to samodzielną nauką. Demografia dzieli się na ogólną i specjalną. Innych podziałów nie przytaczamy, bo możnaby zapomnieć o statystyce, taki chaos powstaje w umyśle w obec tylu samodzielnych nauk i nauk. Nowość bywa czasem dowodem gonialności, czasem prostego naśladownictwa lub chęci stworzenia czegoś oryginalnego. Należałoby wprzód porozumieć się co do samej statystyki. Jest ona tylko częścią nauk politycznych. W tém znaczeniu już mniej więcej utartém zrozumią przedmiot jej wszyscy. Gdy ją podzielimy na rozmaite demo-geo-topo-polityko-grafie, zapomnimy czém jest statystyka.

Pod wpływem dzielenia i drobienia przedmiotu w nieskończoność, autor dopuścił się małej niezgodności ze samym sobą. Na jednem miejscu powiada, że różnica pomiędzy statystyką urzędową i prywatną jest zasadnicza (str. 59); na drugiem zaś że „zwykle odróżnianie statystyki rządowej od prywatnej nie jest zasadne" (str. 73).

Co do nas nie myślimy ani bronić ani zbijać tego podziału. Wartość postrzeżeń statystycznych zależy od tego, kto je czyni i jak czyni. Są fakta które lepiej może zebrać biuro statystyczne; są znów inne które i prywatnemi siłami można gromadzić. Zawsze rząd będzie się nimi posługiwał w celach praktycznych a uczeni w celu wysledzenia przyczyn ogólnych działających w świecie.

Do smutnych jednak wypadków doszła statystyka, gdybyśmy dali wiarę francuzkiemu uczonemu, którego zdanie p. Z. zdaje się podzielać. Oto Guerry „przedstawiwszy w statystyce geograficznej rozkład występków i wykształcenia, obalił (?) również powszechne dotąd mniemanie, że występkі zmniejszają się z oświatą i dowiódł nie tylko że nie ma odwrotnego stosunku zależności ilości występków od panującej na daném terytorjum ciemnoty; ale nadto, że niektóre występkі zamiast zmniejszać się, rosną i są w stosunku prostym do szerzenia się elementarnego wykształcenia" (str. 67—68). Jeżeli do takich wypadków statystyka dochodzi, cóż dziwnego że jak Rousseau chce wrócić ludzi do stanu natury? Jeżeli oświata nie wpływa na charakter człowieka i na jego czyny, trudno zrozumieć dlaczego rządy i ludzie prywatni tyle łożą na wychowanie publiczne.

Widocznie statystyka źle rachowała. I my jesteśmy przekonani, że cyfry statystyczne dają najbardziej zbliżony do prawdy obraz stanu danego społeczeństwa. Ale to prawdopodobieństwo więcej ma wartości gdy dotyczy materialnej strony człowieka, niż gdy się odnosi do moralnej. Na czyny ludzkie działa nadzwyczaj dużo okoliczności i pobudki, których statystyka nie może ocenić. Ztąd i rozumowania jej nad czynami ludzkimi są bardzo ułomne. Tu właśnie należy być najostrożniejszym w odnoszeniu skutków do przyczyn; tu trzeba całej bystrości rozumu dla odróżnienia przyczyn ogólnych i stałych od przypadkowych; tu jest pole dla filozofa i wyższego meża stanu: ale też jest to sfera myśli, w której przez pośpieszne uogólnianie można dojść do najniedorzeczniejszych wniosków.

Nie weźmie nam za złe autor, żeśmy z całą swobodą zdanie nasze o jego pracy objawili; sądzimy bowiem, że jakakolwiek krytyka lepszą jest od bezwarunkowej *admiraacji*. Chętnie uznajemy naukowe usposobienie p. Z. do poważnej pracy naukowej i jesteśmy przekonani, że jak tylko myśl jego wyswobodzi się ze spekulacyjnych powijków niemieckich, będzie korzystnie służył sprawie wyższego oświecenia.

Jakkolwiek z błędów gramatycznych nie sądzimy o wartości naukowej broszury p. Z.; radziibyśmy jednak wiedzieć, dlaczego koniecznie pisze: punkty, instrumenty, daty (dane) zamiast punkta, instrumenta, dane (np. statystyczne cyfry, wypadki). Dlaczego u p. Z. zwolennicy lub trzymający się jakiejś metody, nazywają się „przytrzymującymi się tej metody?” (str. 20 i 21). Rozprawa autora wygląda tak jak gdyby była tłumaczona i to mozolnie z niemieckiego: myśl nie płynie swobodnie, lecz z trudnością. Ztąd czytanie i rozumienie są nużące. Sądzimy, że przy tak gruntownej nauce jaką się p. Z. odznacza, dojdzie z czasem do samodzielniejszego myślenia i swojskiego pisania.

F. Krupiński.

*Pół-djable weneckie, powieść od Adryatyku, przez J. I. Kra-
szewskiego. W Krakowie 1866 r. (w 8ce, str. 269).*

Konrad Lipiński, z rodu Wenecyanin, którego przodkowie zwali się Lippi de Buccelis, oddawna osiedli w Polsce, uszlachceni, gdy do rodowitej tarczy otrzymali białego Nałęcza: w chwili rozpoczęcia się powieści był sierotą, bo mu zmarł ojciec, i dziedzicem wsi Robnin w Poznanskiem. Dziad jego Bernard, zacny człowiek, ale dziwak, przez strojenie się w czasie uroczystych u siebie zebrań po włosku, i trzymanie do usług murzynka, zjednał sobie tak od sąsiadów jak od ludu przydomek *pół-djabła weneckiego*, który przeszedł na syna i wnuka. Staranne otrzymawszy wychowanie, znał zarówno dzieje i język dawnej przodków ojczyzny, jak i swojej własnej.

Kiedy zawiązała się konfederacya Barska, młody Konrad przystąpił do niej, bił się jako prosty towarzysz, i wrócił do rodzinnego dworu; przez czas jego niebytności zarządzał gospodarstwem Pukało z pod Kowna rodem, zacny i wierny sługa, a przywiązany serdecznie, który wynosił na rękach Konrada. Radość pocziwego Pukały była nieopisaną, kiedy powrócił panicz ukochany.

Konrad od chwili gdy wszedł w dwór samotny Robnina, zapadł w zadumę, a następnie ponury smutek. Miał tu wszystkie pamiątki swych lat dziecinnych i młodzieńczych, ale zabrakło tych co je ożywiali. Sam je zwiedzając obudzał w duszy swój żalność za minioną przeszłością.

Jak zwykle bywa, pogwarze obozowego życia, przy ciągłym ruchu i oczekiwaniu walki, po wstrząśnieniach gwałtownych, widokiem krwawych zapasów, przejście nagle w zacisze wioskowe nie może dać upragnionego spokoju. Ten tylko spokój sielski ukochać i swobodnie używać może, kto tak burzliwego zawodu w kwiecie wieku nie przeżył! Gdyby Konrad znalazł serca kochające ojca, matki, i rodzeństwa, z których pierwsi spoczęli w grobach, drudzy daleko w świat się odbili, jeszczeby odetchnął swobodnie; ale stary wiorny sługa nie wystarczał za wszystkich; i młody panicz, coraz w większy zapadał smutek. Zbladł, zchudł, i osowiał! Tak przebiedował zimę, ale z wiosną przyszła mu myśl szczęśliwa odwiedzenia starej przodków swoich ojczyzny Wenecyi: ta myśl go orzeźwiła, przywróciła mu zdrowie i wesołość. Wybrał się więc z siedemnastoletnim Maciejem, dla ubioru węgrynkąm przezwanym i sporym trzosem złota w zamierzoną podróż, i na barce kupieckiej zwanój *Padre Antonio* kapitana Weneta, puścili się morzem.

„Już się byli nieco odsunęli od brzegów i tryesteński amfiteatr wzgórzów piękną ich oczom malował się panoramą, gdy zpod desek okrętu, rzekłbyś z głębin morza, ze śpiewką na ustach, z hałasem i szumem wyskoczyła jakaś postać, wyrwała się raczęj, stając jak zjawisko jakie przed oczyma zdziwionych podróżnych. Wszystkich też wejrzenia na nią się obróciły. Turcy podnieśli zwieszono głowy, Grecy zaczęli muskać wąsy, Żydzi powykęcali twarze, węgrynek wstał aż na nogi, a pan Konrad osłupiał. Kapitan okrętu jakby na przyjęcie ochoczo plasnął w szerokie dłonie. Jakże opisać to zjawisko wodne, powietrzne, bo nie ziemsko wyglądające? Było to dziewczę lat najwięcej piętnastu, średniego wzrostu, z ręczne jak sarneczka, kształtów pełnych, ubrane dziwacznie, ale tak cudownie piękne, że osłupienie Konrada całkiem usprawiedliwiało. Wszyscy zresztą patrzali na to trzpiotowate dziewczę z jednakowym zachwytem. Kto widział wizerunek Beatryx Cenci w jednej z galerii rzymskich, ten łatwo sobie wyobrazi te drobniutki, regularne rysy niezmiernego wdzięku, któremi się uśmiechała mała czarownica. Usteczka jej rumiane, podobne były do rozkrojonej wiesienki, czy do dwóch świeżych róży listków, a oczy miała duże, czarne, śmiałe, zabijające ognistemi strzałami; płeć białą jak śnieg, włosy... no! włosy niestety były rude! Nie była to je lnak ta barwa przykro czerwona, krzykliwa, ale coś

naksztalt bronzu i złota, jak u Wenery Tycyana: drogi ten kolor wene-
cyankom ulubiony. który go sobie nadawać umiały sztuką, jeśli po-
skąpiła im tej ozdoby natura. Na dziewczęciu wszakże znać było,
że sobie główki nie wypiekała na słońcu, i nie wymęczyła warkoczy,
które były aż do zbytku obfite, ogromne i długie, tak, że zdawały się
ciężyc małej główce, którą opasowały kilkakroć węzłem wielkim mi-
sternie uplecionym, spadając na pulchny karczek biały! Dziewczę
ubrane było niewiedzieć jaką modą, ale bogato i strojnie; na nóżkach
pantofelki żółte i złotem szyte, i jedwabne szerokie ubranie tureckie,
na to rzucona sukienka z muslinu, potem płaszcz cięższy aksa-
mitny galonami lamowany. Oprócz tego miała na sobie kaftanik
rozpięty, szyty bogato i pas z frendzlą złocistą spływającą do kolan,
i czapczkę na główco, a na rękach pierścieni, obręczy, a na szyi
łańcuszków weneckich, jak pajęczyn... mnóstwo. Znać było, że się
czuła piękną i lubiła stroić, że wiedziała, iż wszędzie podziwienie obu-
dzi, bo się jakoś zaraz zwycięzko obejrzała dokoła i z uśmiechem
zwróciwszy się do kapitana spytała go włoszczyzną wenecką, wska-
zując na Konrada, coby był za jeden?

— *E un signore Polacco.*

Zdaje się, że wiadomości o pochodzeniu podróżnego zaciękała
dziewczę, które śmiało podeszło bliżej Konrada; wzięwszy się jedną
ręką w bok, poczęło mu się przypatrywać uśmiechając.

Konrad był bardzo przystojnym, młodym mężczyzną, rycer-
skiej postawy, a choć się na podróż nie stroił, niewypadało mu też
ładajako wyglądać, więc ubrany był dosyć bogato i smakownie. Miał
na sobie suknię z węgierska adamaszkową, z pętlcami złotemi,
a na niej płaszcz bramowany bogato, który go dobrze osłaniał;
czapkę z czapłem piórem, szablę piękną u pasa i turecki szal zamiast
zwykłego przepasania. Twarz jego smutna, poważna, zamysłona,
oczy ognia pełne, usta wyrazem łagodności pociągające, tworzyły
zeń piękny wzór dla malarza. Dziewczę zdawało się to uznawać,
bo mu się też długo i z uwagą przypatrywało, a Konrad topniał
można powiedzieć od jej wzroku. Gdyby chwilę dłużej byłby go
może nie wytrzymał, bo mu krew śalami do piersi biła i głowy,
a rumieniec krwawy oblewał całego. Niewiedząc co z sobą robić,
bo mu i ręce zawadzać zaczęły i nogi drżeć i suknie dolegać, sięgnął
ręką do wąsa i pokręcił go machinalnie. Dziewczę widać samo
zrozumiało, że sobie tego nieboraka jakby pod pręgierzem postawiło,
i rozśmiawszy się pierzchno ku kapitanowi, który z boku poglądał
wesoło na to stworzonko kapryśne, ale nie okiem kochanka... raczej
troskliwego ojca i opiekuna."

Była to Cazità córka kapitana Zanaro i właściciela statku,
na którym płynął nasz bohater. Ta urocza istota stanowczo wpły-
nęła na dalsze losy i życie Konrada: rozkochany w niej, łatwo dał
się odstreczyć trudnościami co do zamiaru pielgrzymki do Ziemi
Świętej, dawniej przedsięwziętego, i po różnych przygodach uszczę-
śliwiony został małżonkiem ubóstwionej Cazity. Pocziwy Pukało,
z przorażeniem się dowiedział o ożenieniu młodego pana z Włoszką,

niemniej tem dotkniętą została i klucznica, zarazem gospodyni zacna Murzynowska. Co było narad, rozmyślań, jak się z cudzoziemką potrafią rozmówić: co troski, aż ich przecie pocieszył proboszcz miejscowy, lepszą nadzieją. Nadeszła gruba jesień: i młode małżeństwo stanęło przed gankiem starego Robnińskiego dworu.

„W domu od trzech dni, jak na złość przepalane nie było... chłód przejmujący po pokojach. Na progu w ganku nikt nie przyszedł z chlebem i solą powitać... ale Konrad pocałował młodą piękną choć smutną i strwożoną małżonkę, przypatrującą się dziwnie temu domostwu poważnemu a smutnemu, które się zwało przyszłym jej domem. Po tamtym kraju jakże się wszystko wydawało dziwne, smutno, chłodno, dziko; ludzie jacyś zbiedzeni, niebo szare, kraj płaski, wody ubogie... a jak na złość nawet w tej porze ani zieleni ni kwiatu! Na jej twarzyczce wdzięcznej znać było walkę, którą odbyła, nim opuściła ukochane *Lido*, brzeg Adryatyku i pływającą po morzu ojczyznę swoją. Zbladła, osmutniała, tęsknotą była obleczoną od stóp do głów. Jemu radością świeciła twarz, on oddychał raźniej z każdym kamieniem, drzewem, śmiał się do ludzi i ścian; ona coraz wyglądała smutniejszą, niemogąc tej radości podzielać.

„Cazicie jedno zdaleka widne jezioro podobało się... woda przypominała jej ojczyznę, uśmiechnęła się jak do staręj młodych lat przyjaciółki. Mimo chłodnego powietrza uprosiła, że doszli aż do brzegu i stanęli przysłuchując się szumowi fali, ale po chwili pobladła smutna.

— Słuchaj, *mie caro*—rzekła—to coś okropnego, ta woda inaczej się odzywa i co innego mówi... głos jej zimny, macoszyn nie mojej matki Adryi... nie. Ja nie rozumiem nic, to język wasz... obcy... to woda jakaś inna... smutna.

Zaczerpnęła jej dłonią i rzuciła na ziemię.

— Jakto!—zawołała—taka przestrzeń wody bez odrobiny soli. mojej fali znam smak ostry i szczypiący... ta... zepsuty... czy ją mroź wasz wygotował?

Zamilkła, bo Konrad posmutniał. Uczepiła mu się na ramieniu.

— Cóż robić—szepnęła—to twoja ojczyzna... chciales, bym jej spróbowała, żyć bez niej nie możesz... a ja... ja—dodała tuląc ręką bijące serce—ja bez mojej, dla ciebie... spróbuję!”

Nadeszła zima. Cazita dziwiła się nieznanym obrazom śniegu, lodu, widokom drzew obmarzłych... ale tęsknota coraz więcej ją gnębiła. Zasląbla, pobladła, poczęła kaszleć, płakała tylko, a gdy ją Konrad starał się uspokoić, szeptała mu jedno:

— Odwiez mnie tam! tam! niech tylko popatrzę na Adryatyk, niech odetchnę mojem powietrzem, pobiegnę do mojego ogródka, będę zdrową!

Konrad wyjazd odkładał do wiosny, a gdy pierwsze jej dni nadeszły, Cazita zaczęła naglić, a on z dnia na dzień zwlekać, bo mu tęskno było opuszczać wiosnę z rodzinnego dworu. Wreszcie widząc jak ukochana małżonka co dzień niknie, postanowił wrócić

do Wenecyi. Stary Pukało płakał i wróżył, że swego pana już nie zobaczy, wiedziony proroczem natchnieniem.

Widok morza i Wenecyi przywrócił Cazicie siły, zdrowie, i wesołość: ale za powrotem do swego domku, nie znalazła ojca, co jęj radość zmniejszyło. Wkrótce, w nadziei rychłego jego powrotu orzeźwiała jak dawniej. Konrad posmutniał; tęsknota wycisnęła swe piętno na zaszponionem obliczu. W oczach nikł, sechł i bladnął, chociaż nie czuł się ani chorym, ani się na cierpienie uskarżał. Świat mu powoli obojętniał, ochoty do życia coraz bardziej brakowało. Myślą wracał do ojcowskiego dworu w Robninie, do dzielnego swego wierzchowca, do szumu drzew starych, co cieniły jego kolebkę, do pól falujących zbożem, i prostej wieśniaczej piosenki, którą ocho tak wdzięcznie daleko roznosi. Ojciec Cazity kapitan Zanaro, po smutnych przygodach wrócił, i radość była powszechna. Ale nie uczuwał jęj biedny Konrad; był to cień tylko dziarskiego młodziana. Cazita wreszcie dostrzegła tak wielkiej zmiany: domek na Lido był dla nięj ozywczym, dla Konrada zabójczym; postanowiła więc jechać do Polski. Smutnie uśmiechnął się biedak i rozradował.

Maciek ów węgrynek, przechodząc smutne koleje, i szaloną miłością ukochawszy powabną Włoszkę, zdradzony, przy dawnym panu postugiwał, i był mu nieodstępny towarzyszem. Konrada opuszczały siły, wreszcie krew rzuciła się ustami, raz i drugi. Już łoża teraz opuścić nie mógł, i o podróży dalekiej myśleć. Czuł ostatnią godzinę i gdy żona z ojcem na gondoli używali przejażdżki, kazał Macłkowi przywołać znajomego kapucyna z pobliskiego klasztoru, i wypowiedział się jako umierający.

„Zaraz po księdzu wcisnął się Maciek, siadł na ziemi w nogach łożka.

— A która tam godzina?— zapytał Konrad.

— O! już słonko dobrze zaszło, odparł żywo chłopak, bydelko powróciło z paszy; Pukało obszedłszy obory idzie, zdrowaśki mrużąc na solwark do wieczorzy. Stefanek poszedł też pewnie okiennice pozamykać we dworze, a na plebanii i księżyna odmawia brewiarz...

Tu zatrzymał się Maciek, a Konrad dodał żywo:

— Mów, mów; co ci się tam więcej śni:

— Ano, już chyba więcej nie wiem — rzekł Maciek — żaby skrzeczą w sadzawce, i jezioro się kołysze, bociany do snu posiadały. Burek chodzi i burczy. cicho! cicho! tylko ode mlyna turkot słychać jak tam kola szumią i turkoczą, a na wsi może gdzie pastuszki śpiewają. Na Aniół Pański dawno przedzwonili.

— A we dworze?— spytał Konrad.

— Pustka, panie.

— Zegar idzie?

— O ten się nie zająknie pewnie.

— Która godzina?— począł Konrad.

— Ciemno dobrze... ino nie wiem— dodał chłopak czegoś przełękły— czemu oni nie powracają.

— Mów o Robninie—poprawił go Konrad.

— Może świece zapalić?

— Tak, dobrze—słabym głosem zawołał Konrad, przed N. Pan-
ną zmówimy konfederacką litanję... Ale spojrzno, czy nie wracają?
Albo nie, mów mi o Robninie.

Chłopak skrzesał ognia i zapalił świecę: dziwnie mu się blade
wydała twarz pana, dziwnie straszne uczuł po sobie dreszcze i trwoję
w duszy. Nastawił ucha, myślał, że posłyszysz plusk przybijającej do
brzegu gondoli, ale cicho było jak w grobie. Konrad zdawał się
drzemać: na palcach chodził Maciek koło niego. Podniosły się po-
wieki ciężko.

— Maćku—rzekł—co tam w domu?

— Śpię, panie!

Chłopak przysunął się do łóżka, chudą, kościstą rękę dobył
z pod okrycia Konrad, poszukał wkoło i podał mu woreczek.

— To dla ciebie—rzekł—abyś miał o czem powrócić do domu.

— A! mój panie drogi, przecież my razem pojedziemy. Chory
tylko potrząsnął głową.

— Weź—rzekł—i daj mi rękę—tak! dziękuję ci... niech Bóg
szczęści i błogosławi.

Maciek coraz niespokojniejszy, szlochać począł: przykląkł przy
nim.

— Co ty się tam trwożysz—począł Konrad—nie ma czego. Jam
zdrow! mnie już dobrze, tylko mi się bardzo, bardzo... spać chce.
Siadaj przy mnie, zaśpiewaj co naszego... pocichu... a ja się zdrzemnię.
Maćkowi nie na śpiew się zbierało, oczy ocierał i modlił się. Konrad
zdawał się usypiać. Nagle pochwycił się, spojrzął na chłopca, siadł
i począł mówić słabym ale prędkim głosem:

— Słuchaj, co tam się stanie ze mną, w woli Bożej; jeślibyś
został sam, nie mieszkaj tu dłużej, jedź do domu, do swęj chaty. Po-
wietrze tu nie zdrowe, ludzie inni, serca dobre, ale inne, o nie nasze.
Myśmy nie stworzeni do ich życia, ani oni, żeby nas zrozumieć mogli.
Wracaj mówię ci bo nie wyżyjesz. I znowu pochylił się na poduszki.

— Zrozumiałeś? spytał. Maciek płaczem tylko odpowiedział.

— Co tu łyzy pomogą—wyszeptał chory—nie masz czego jeszcze
płakać, to babska rzecz.. wstydz się. A po chwili znowu spytał:
—która godzina? Co tam u nas robiją? Czemu oni nie wracają? Wszak
na dworze pogoda?

— Pogoda, panie.

— Świeci księżyc?

— Jeszcze nie wszedł.

— Tu nie taki księżyc jak u nas.

— Tak! u nas piękniejszy—potwierdził Maciek.

I było potem milczenie... chłopiec przysłuchiwał się ciężkiemu
oddechowi pana, który się zdawał usypiać powoli; ale oddech ten
coraz cichł, ustawał, i zupełnie go w końcu słyhać już nie było...
Bo nie było już i duszy Konrada na świecie."

Tak zakończył życie dzielny młodzian. Gdy spoczął w mogile nad Adryatykiem, Czita pocieszyła się wprędce oddając rękę innemu. Maciek, nieusłuchawszy przyjaznej rady Konrada zmarniał w Wenecyi. W Robninie, po nadeszłej wiadomości o śmierci młodego pana, poczciwy Pukało zmarł wprędce: nie mógł przeżyć tego ciosu.

Taką jest treść powieści J. I. Kraszewskiego, z której mnóstwo ubocznych epizodów opuściliśmy, mając na myśli wybitny jej cel i postacie. Powieść ta należy do najlepszych utworów w tym rodzaju naszego autora. Główna jej myśl jak i dążność jest zacna i szlachetna a wyraźnie oparta na wielkiej prawdzie, znajomości charakteru rodzinnego. Konrad, pomimo pochodzenia z przodków włoskiego, zachował wszystkie cechy ziemian naszych. Pierwszą miłością silną i gwałtowną ukochał czarującą istotę, nie przewidując, że silniejsze uczucie nad tę miłość chowa w głębi swęj duszy. I to uczucie ochłodziło zapal serca:—pragnienie gorące życia pod rodzinną strzechą, oddychania ojczystym powietrzem, wpatrywania się w oblicza sobie znajome a przyjazne, stały się na obcej ziemi jedyną potrzebą dla niego. Ściany Robnińskiego dworu dawniej puste, teraz oblokły się czarownym powabem. Uchodził z nich z tęsknotą, z większą chciał wrócić do nich, bo czuł, że wtedy tylko odetchnie całą pierś swobodnie. A gdy trawiony tą gorączką wewnętrzną nie spełnił na razie zamiaru powrotu tak upragnionego, padł sam ofiarą, bo miłość kobiety nie potrafiła ukoić potężniejszego uczucia.

Ustępy, jakie przywieśliśmy w ciągu sprawozdania z tej powieści, dadzą wyobrażenie czytelnikowi, jak jeszcze J. I. Kraszewski młodem piórem włada, jak umie malować poetycznie tak obrazy z natury wzięte, jak postacie, i ich duchową stronę; czarowny urok porывa czytelnika i pociąga do odczytania bez przerwy tego utworu, który przewodnią myślą, w tak powabnej szacie, staje na właściwej wyżynie, pomiędzy wielą innymi powieściami.

K. Wł. W.

Listy Władysława IV do Krzysztofa Radziwiłła, hetmana polnego W. X. Lit. pisane 1612—1632 r., z autografów Biblioteki Cesarskiej w Petersburgu, ogłosił Ant. Muchliński. Kraków. Wytłoczono u Wład. Jaworskiego, Nakład i własność Zelmiana Igła. 1867. 8-vo. str. VIII i 136.

Na czele książki czytamy w tak zwanym „Przypisku wstępnym” co następuje: „Listy następujące, których szereg ciągnie się od r. 1611 do 1632, wypisane zostały z Cesarskiej Biblioteki w Petersburgu, do której się zapewne z Nieświeża dostać musiały. Zbytecznym byłoby dowodzić ich znaczenia dla historii kraju i biografii Władysława IV-go. Sześćdziesiąt kilka listów pisa-

nych do jednej osoby, po większej części poufnych, dotyczących najważniejszych kwestyj, są zaprawdę dla dziejów datkiem wielkim, chociażby tylko znane fakta wyjaśniały. Maluje się w nich, mimo nieco urzędowej formy, przyszły panujący, jego plany, troski, zajęcia i sposób zapatrywania się na sprawy publiczne onego czasu. Osobliwie listy dotyczące się wyboru na tron moskiewski są ciekawym przyczynkiem do pamiętnika Żółkiewskiego i jego korespondencyi. Dalej staranie wczesne o koronę dla Władysława Zygmunta, już tu wydatnie i charakterystycznie się odbija w listach. Mnóstwo szczegółów drobnych zyskuje historia w tej korespondencyi, która tém jest cenniejsza, że stanowi całość pewną. Listy zwłaszcza poufałe, jako materiały historyczny, bywają nieocenione; często pewniejsze one przedstawiają źródło niż pamiętniki, w których człowiek maluje się myśląc o tém, jak się ma odmalować; gdy w korespondencyi pomimo woli się zdradza i z prawdziwszą się okazuje fizyognomią. Listy przyszłego Polski króla, naówczas jeszcze książęcia, choćby nawet bogatęj jak te nie dawały treści, już jako szanowna pamiątka są cenne."

Ten „Przypisek wstępny” datowany jest z Drezna w październiku 1865 r. i podpisany przez Kraszewskiego. Dalej czytamy w nim, że na wydanie tego zbioru listów namówił Kraszewski, że Kraszewski bierze na siebie winę późnego ukazania się w druku tego zbioru listów, że wreszcie Kraszewski „winę tej publikacji, jeżeli się okaże zbytęczną lub niepodobną, całą bierze chętnie na siebie.” Te szczegóły czysto osobiste objaśniają, czemu książkę wydaną przez Muchlińskiego podpisuje Kraszewski. Znakomity powieściopisarz jest tu więc właściwie głównym motorem. on namówił, on wydał, on winę bierze na siebie, p. Muchliński tu chyba ma zasługę, że listy z autografów przepisał i to może na polecenie Kraszewskiego.

Ale wysławiwszy wartość wydanych listów, Kraszewski wspomina o winie publikacji, którą całą bierze na siebie. Nie rozumiemy tego. Winy tu nie ma żadnej, jest owszem pewna zasługa. Najmniejszy szczegół osób historycznych dotyczący obchodni nas, tém bardziej listy Władysława królewicza, nawet takie listy, jak tu wydrukowane.

Nie o winę więc nam pytać się tej publikacji, ale o jej zasługę: jakąż to jej istotnie wartość? i co do bogactwa materiałów przynosi ten zbiór listów? W tém rzecz.

Otóż przywykli oddawna wysoko cenić zasługi literackie Kraszewskiego, nie możemy pojąć owego „przypisku wstępnego,” w którym ten zbiór listów Władysławowych zaleca. Gdzie tu są owe „najważniejsze ówczesne kwestje,” gdzie tu w owych listach maluje się „przyszły panujący i jego plany, troski, zajęcia i sposób zapatrywania się na sprawy publiczne,” gdzie tu to mnóstwo „szczeólów drobnych,” które „zyskuje historia”? Listy dotyczące się wyboru na tron moskiewski miały dopełniać pamiętnika Żółkiewskiego. W czém? ciekawiliśmy. To prawda, że te listy „przy-

sałego Polski króla, już jako szacowne pamiątki są cenne," ale gdzież ta bogata treść listów?

Człowiek taki rozumny, jak Kraszewski, upatrzył treść, najważniejsze społeczne kwestye w zbiorze, w którym (strach powiedzieć po takim zaleceniu!) nie ma żadnej treści; upatrzył materiały ważny w drobiazgu nie, ale to nie przynoszącym nauce. Za pamiątkę serdecznie dziękujemy, i jako tylko pamiątka godne były te listy druku. Nie mielibyśmy żadnej pretensyi do tej równianki pamiątek narodowych, ale na polecenie gniewać się musimy, bo to zwodzi ludzi dobrej wiary, jak i nas zwiódło.

W tych 60-ciu listach są najzwyczajniejsze, najpospolitsze rzeczy, które w niczem historii nie obchodzą. Listy krótkie o kilku, rzadko kiedy o kilkunastu wierszach, po większej części tylko grzeszne. Największy geniusz nie z nich nie wycisnie dla charakterystyki czasów. Listy są do owego Krzysztofa Radziwiłła, hetmana polnego Litwy, tego, który się kłócił ciągle ze Zygmuntem III-cim, do brata Janusza, marszałka rokoszowego.

W pierwszym liście jest to tylko, że był u królewicza w przejeździe do ziem obcych syn hetmana; w drugim to tylko, że był u niego starosta Kokonaski i przelożył wszystko co miał w poruczeniu; w trzecim to tylko, że królewicz odebrał przysłane sobie charty; w innym są obietnice królewicza, że gotów się za hetmanem przyczynić do ojca; w innym znowu, że spodziewa się królewicz wiele po przyjaźni hetmańskiej, i t. d. Kiedy indziej królewicz ubolewa nad śmiercią kasztelana wileńskiego, dawniejszego marszałka rokoszu. Czasami przedmiotem listów są sprawy gospodarskie, królewicz prosi dla starostw swoich o psy albo konie. Najwięcej zwykłych poleceń, jako to: „Jasnogórskiego kuchmistrza swego w pewnych sprawach do Wilna posyłam, któremu zleciłem też nawiedzić zdrowie W. M. i niektóre nowiny komunikować" (list z d. 8 września, 1628) i t. d.

Szukaliśmy napróżno owych listów, które mogą być przyczynkiem nieocenionym do pamiętnika Żółkiewskiego i szukaliśmy napróżno. W roku 1616 pisze królewicz, że się na wojnę wybiera i że nie „cheiwość jaka panowania, ale miłość tej ojczyzny" go wiedzie. Mamy w liście wyraźną pewność, że Radziwiłł będzie mu towarzyszył w wyprawie. W trzecim prosi Władysław, żeby Radziwiłł „pomógł expeditiej, na którą wszystko chrześcijaństwo patrzy." W czwartym donosi, że na wiadomość o ruszeniu się królewicza w drogę „i w Rzpltej i w ludziach przedniejszych większa gorącość nastąpiła" i t. d. Nic nauce, ale to nic, coby rozjaśniało sprawę elekcji królewicza i wojny moskiewskiej. Po wojnie, jak wiadomo, królewicz dostał w administrację księstwo smoleńskie, siewierskie i czerniechowskie. Co znaczyła owa administracja wykazaliśmy to w artykule o Władysławie IV-ym w Encyklopedyi powszechnej.

Otóż cała osobliwość książki tej, że mamy tu kilka listów z tym administratorskim królewicza tytułem. Ależ to nic nowego.

Królewicz zawsze był, jak to mówią, potrzebniakiem. Otóż z całej tej masy listów jeden tylko zwrócił naszą uwagę, w którym o wsparcie Rzpltej prosi. Tu szczegół ten ciekawy, że królewicz jak się sam wyraża „i pięćdziesiąt tysięcy spełna” nie miał od ojca na swoje utrzymanie, i że z administracyi nic nie miał, bo cały z księstw dochód szedł na „praesidia tameczne i na poprawę i budowę zamków” (str. 45—46). Nie to, że królewicz prosił o poparcie Radziwiłła u Rzpltej, bo to rzecz zwyczajna i do niej nawykliśmy: kogo mógł prosić potem i królem zostawszy, ale ten drobny szczegół, że z administracyi nic nie miał, a od ojca pobierał do 50,000 złp. na utrzymanie swoje, jest największym faktem w tym zbiorze listów.

Drugi fakt nieco wychodzący nad poziom drobiazgów bez treści, jest szczegół, że „za pewną ugodą” podczasy W. X. Lit. ustąpił królewiczowi prawo swoje na starostwo mereckie (w grudniu, 1626). Królewicz prosi hetmana, żeby go zwolnił od stanowisk i stacyi żołnierskich. Tu osobliwością jest data przejścia starostwa z ręki w rękę, chociaż ktoby koniecznie był ciekawy, łatwoby tę datę mógł znaleźć w aktach metrycznych w Warszawie, a urzędową, co najważniejsza.

Trzeci szczegół dotyczy dziejów Adama Kazanowskiego. Ożenił się jak wiadomo ze Słuszkówną, tyle potem sławną żoną Radziejowskiego. Otóż królewicz z Warszawy 5 stycznia 1628 roku prosi Radziwiłła, żeby ojca panny, kasztelana minskiego, utrzymywał w dobrych względem Kazanowskiego uczuciach. Tu mamy tylko datę oświadczyn i postanowionego małżeństwa, ale może i to interesować ze względu na osoby.

Oż tedy za wartość książki, w której szczegół o Kazanowskim jest jedną z trzech największych jej osobliwości?

Nie szkodzi że te listy wyszły; powtarzamy, że to pamiątka. Ale jeżeli p. Kraszewski chciał zrobić przysługę nauce, tyle innych droższych, cenniejszych materiałów gnije po rękach, po bibliotekach, po zbiorach. Porównajmy te listy Władysława pod względem bogactwa ze zbiorem listów tegoż Władysława już króla, ogłoszonym przez Ambrozego Grabowskiego. Tam list jeden więcej ma w sobie treści, jak tych Kraszewskiego 60. Zbiory listów Władysława w rękopiśmie dwa jeszcze znamy, o jednym tylko słyszeliśmy wprawdzie, bo o zbiorze Pusłowskiich w Merczowszczyźnie. Te listy właściciel, mąż dobrej woli, miał ochotę wydać kiedyś i cieszyliśmy się nawet nadzieją, że sami zajmniemy się tą pracą. Zbiór ten znamy tylko w kilku wyciągach, to jest raczej w odpisie kilku listów. Inny zbiór jest u światłego obywatela pana Jana Jundziłła i ten w Warszawie przeglądaliśmy. Tu głównie korespondencya królewicza z Radziwiłłami i Sapielami. Oba te zbiory są bogate i porównywać ich nawet nie można ze zbiorem Kraszewskiego i Muchlińskiego.

Dodajmy nawiasem, że Władysław IV brzydko i bardzo niewyraźnie pisał i że grube błędy robił w pisowni, tak samo, kiedy był królewiczem, jak i królem.

Dnia 27 października 1867 roku.

Juljan Bartoszewicz.

Dr. Karola Schenkla Ćwiczenia greckie na klasę trzecią i czwartą szkół gimnazjalnych. Z szóstego wydania niemieckiego na język polski przetłóżył Zygmunt Samolewicz. Lwów. Nakładem K. Wilda. 1868.

Jużto przyznać trzeba, że w Austrii i w Niemczech męstwo nauki nie leuią się do pisania książek elementarnych, w skutek czego nie brak im dobrych i użytecznych dzieł tego rodzaju. P. Schenkł obecnie, jeżeli się nie mylę, prof. uniwersytetu insbruckiego, znany mi z kilku dobrze napisanych rozpraw, zebrawszy skrętnie materyały do powyższych ćwiczeń greckich, umiejętnie je zestawil i wydał na pożytek uczącej się młodzieży. Najwymowniejszym zaś pedagogicznej ich wartości dowodem jest to, że szóste już wyszło wydanie w ziemiach, gdzie książek podobnych rok rocznie pojawia się wiele.

Ćwiczenia Schenkla głównie zastosowane są do znanej Gramatyki Jerzego Kurcyusza, (Curtius) profesora niepospolitej nauki i rzadkiego talentu w przyswajaniu szkołom tych rezultatów postępującej umiejętności, które uznano za niewzruszone prawdy.

Wybór więc p. Z. S. ze właśnie taką książkę przyswoił do użytku po szkołach polskich uważamy za dobrze rozważony, nader trafny i szczęśliwy.

Znajdujemy tu najprzód ćwiczenia w akcentowaniu (str. 1 i 2); następnie greckie i polskie przykłady do nauki o formach (str. 3—92), dalej ustępy do czytania (str. 92—116): nie są to już pojedyncze zdania urywkowe, lecz ustępy krótkie, zawierające zaokrągloną całość; dodatek poetyczny (str. 116—130) mieści w sobie epigramy (w distichach i tetrastichach) i Jamby. Na przykładach polskich do składni greckiej (str. 131—156) kończą się ćwiczenia. Ostatecznie zamykają dziełko: Słowniczek grecko-polski (str. 1—54) i polsko-grecki (55—70). Zewnętrzność książki, papier, druk przyjemne sprawiają wejrzenie.

Przeoczytawszy tę książkę sumiennie ją polecamy światłej rozwadze pedagogów i uczącej się młodzieży. Żalowałoby tylko wypała, że oprócz wymienionych po przedmowie (na str. III i IV) pomyłek drukarskich, jest jeszcze innych nader wiele; spodziewać się jednak należy, że przy powtórném wydaniu, jakiego się niezawodnie powyższe ćwiczenia doczekają, korekta będzie troskli-

wszą. Może tu i owdzie wyraz lub zdanie jakie, albo zmienić albo innem stosowniejszem zastąpić wypadnie. Nasunęła się nam ta uwaga już po przeczytaniu kilku stron. I tak np. na str. 11 N. XIII zdanie 4-te greckie brzmi w polskim przekładzie: „Rozsądny syn rozwesela (jest pociechą) ojca, nierozsądny zaś martwi matkę” jakoby rozsądny syn był tylko ojca pociechą a nierozsądny tylko matki umartwieniem. Na str. 5 N. IV zdanie 1 na polskie przełożone znaczy: zwycięstwo wdraża (wprawia) żołnierzy w niedbałość i nieposłuszeństwo. A więc każdy wódz pragnący mieć karnych i dbałych żołnierzy, powinienby sobie żyć, czyć jak najmniej zwyciężać. Zamiast *νικη* położyłbym *φωνη* albo *συμφορα*, przez co zdanie staje się prawdziwem.

Sądzę, że i szanowny autor chętnie się zgodzi na to, że zdań podobnych trzeba unikać.

Mniejszych doniosłości są uwagi następne: w ćwiczeniu wstępnem N. II w wyrazie *διωκε* trudno będzie uczniowi oznaczyć iloczias głoski, albo zaakcentować w N. III wyrazy *πινος*; *παντα*, a jednak wymaga się i jednego i drugiego; być może że uwaga ucznia ma być zwrócona na *incipites*? Nad *την* kropki zbyt wiele. Str. 8 przy N. IX opuszczono odwołanie się do § 132, 133 Gram. Kureyusza.

Przedmowę samą lepiej byłoby zakończyć na ustępie: „usprawiedliwić je zechce” (str. II); albowiem w tém co następuje, autor „pociesza się tą myślą, że ćwiczenia te greckie... są pierwszym (?) od wielu lat dziełem, na niwie języka greckiego wydanem w kraju (sic?)” — że: „zasługują na pobłażliwe ocenienie” że „w innych greckich dziełach więcej się jeszcze znajduje pomyłek drukarskich.” *Solamen.... forios habuisse malorum!* Rzeczywiście pocieszue tego rodzaju pocieszenie się.

A. Mierzyński.

*Geschichte der deutschen Kaiserzeit von Wilhelm Giesebrecht.
Brunszwig. 1868. 3 tomy.*

P. Giesebrecht nie tai, że w jego dziele jedna szczególniej myśli góruje i zaraz na pierwszy rzut oka da się rozpoznać. Myśl to partyotyczna. Chce on, aby Niemcy, przyjrząwszy się z bliska swej przeszłości, swęj potędze w zjednoczeniu i swęj sławie z czasów cesarstwa, zaniechali teraz ciągłych niesnasek, rozdwojeń, i złali się w jedno wielkie ciało polityczne.

Ale ta myśl, zkądinąd sobie bardzo dobra może, grzeszy bardzo fałszywem przeprowadzeniem i bezprzykładném prawie w rocznikach nauki zaślepieniem autora.

Powiada on, (zapewne, chcąc dosadniej dawną potęgę swym ziomkom wystawić), że zawsze i wiecznie Niemcy były pierwszym narodem świata: co tylko w Europie było szlachetnego, zacnego, prawdziwego, pięknego, dobrego, wszystko stworzyli Niemcy, wszystkiemu dali początek.

Taki ślepy, źle zrozumiany patryotyzm prowadzi nawet tak poważnego dziejopisarza, jak p. Giesebrecht na manowce i nie pozwala mu uniknąć obrazów często najzupełniej fałszywych, z prawdą historyczną niezgodnych. Naturalnie, dostaje się tu najwięcej i najniesłuszniej Słowiańszczyźnie, przeciwko której autor przy lada sposobności robi ciągle, a prawie zawsze niesprawiedliwe, bo nieuzasadniane wybieżki. Z tej jednej myśli wypływa, że wszystkie poglądy autora na byt społeczny i oświatę Słowian (którzy dla autora zawsze byli i są barbarzyńcami i wszystko, co tylko mają dobrego, wzięli od Niemców) są zupełnie przekrzywione i jak najniezręczniejszymi przekręcane.

Kilka przykładów, na chybił trafił wyjęte z dzieła o którym mówimy, wystarczy dla poznajomienia czytelnika z opiniami niemieckiego autora:

„Żaden naród nie przewyższył Niemców w męztwie; bohaterstwo, szlachetność, dzielność, są nieodłączne od ich imienia.” (II. 12).

Powiada dalej p. Giesebrecht, że potrzeba aż było żywiołu giernkańskiego, ażeby się *ludzkości wróciła swoboda*, aby nowa doba szczęścia na ziemi nastąpiła! (I. 41).

W tomie I na str. 728 i w tomie II na str. 524 autor wyraźnie powiada, że bez zaborów słowiańskich krain, nie byłby Niemiec prawdziwym Niemcem. To mi pochwała nie na żarty!

Rzesza niemiecka była niebieską strażnicą, której *z mocy przez samego Boga jej nadanej*, winny się narody bać i korzyć się przed nią. (II. 5). Cudowne!

Kiedy przychodzi mu mówić o zaborach dokonywanych na ziemiach słowiańskich, on te rzeczy bierze lakonicznie bardzo i powiada, że to jest właśnie „sztuka niemiecka,” (*das ist deutsche Art*); na tém się bowiem opiera ten dobry pierwiastek niemieckiego postannictwa tu na ziemi. (I. 730).

P. Giesebrechtowi naprawdę się wydaje, że Niemcy pustosząc ziemię słowiańską, każdy swój krok znaczą mordem, gwałtami i pożogą, nad którymi obecny świadek, choć Niemiec, z serca ubolewa, czynili dobrze, prawnie, gdyż to wypływało z ich cywilizacyjnego postannictwa, jakie im niebo samo naznaczyło z góry!

Dzieło p. Giesebrechta jest wymownym dowodem, czego może dokonać takie zaślepienie bez granic nawet w człowieku uczonym.

Zresztą nie tylko względem Słowian jest autor tak niesprawiedliwym. Posłuchajmy:

W roku 1046, Henryk III, jak wiadomo, uwolnił Rzym od gorszającego panowania trzech na raz papieży (Benedykta IX, Sylwestra III i Grzegorza VI) a osadził na tronie papieskim Niemca Klemensa II, co jest zresztą faktem bardzo naturalnym, boć przecież Henryk III idąc na Rzym, wiódł ze sobą wojsko, z którym co chciał

mógł robić. Ale p. Giesebrecht nie poprzestaje na tém: dodaje swój komentarz w tym sensie, że w tym fakcie widniała już wielka idea Opatrzności, aby Niemcy na wieczne czasy opanować mogli cały Zachód. (II. 394).

P. Giesebrechtowi zdaje się też, że np. papież Leon IX nie wiele dbał o potęgę Rzymu, bo on jeno, powiada autor myślał o tem, jakby zachować i zapewnić rozwój cesarstwu niemieckiemu (II. 498). Wygląda to na to, jak gdyby wszyscy ludzie znakomici i wszyscy wpływowi mężowie pracowali tylko w interesie Niemiec i o nich tylko myśleli. Szczęśliwe złudzenie!

Poprzestajemy na tych kilku przytoczeniach; czytelnik niech sam sobie utworzy sąd o dziele, w którym największe zbrodnie, najpodlejsze występki społeczne i narodowe, byle tylko dokonywane w celach niemieckich, bywają nazywane „*deutsches Wesen*” „*deutsche Art*” i t. p.

Władysław Milkowski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Sidla, komedia w 1ym akcie z francuzkiego Pawła Dhormoys.—
Przyjaciół Babolin, komedia w 1ym akcie z niemieckiego A. Bahn.—
Takie wszystkie, komedia w 1ym akcie, z francuzkiego Karola Narrey.

W wszystkich stolicach lato wypędza mieszkańców z murów. Biegna na wieś, do ogrodów, do pól, do gajów, aby świeżem odechnąć powietrzem. I u nas przed upałem chroni się ludność i opuszcza miejskie budowy i zabawy. W teatrach gorąco, duszno. Wygodniej w amfiteatrze łaźnienskimi, lub w ogródkach i za miastem. Widowiska puste, jedyna nowość ściąga do teatru większą ilość lubowników sztuki. Dyrekcya teatrów stara się ciągle o nowości. W tym czasie prócz *Ubogich w salonie* komedyi oryginalnej p. Lubowskiego przedstawiono *Sidla*, *Przyjaciół Babolin* i *Takie wszystkie*, trzy drobnostki dramatyczne, które humorem i wdziękiem zajmą muszą publiczność.

Sidla, jest to okruszyna dramatyczna, zwierciadełko czasów trybunału miłości, gdzie gra na sercach, poszanowanie wszelkich marzeń kobiecych, przytęm elegancya i zalotność stauowały w wyższej klasie społeczeństwa prawie jedyny cel żywota. Błogie te chwile minęły. Usamowolnienie kobiet podnosi je do poważnej godności męskiego zawodu; lecz czy na tej drodze kobieta nie straci uroku, owego obłoczku poetycznego przez który czarownie przebijały się wdzięki jej duszy i ciała i stawały się źródłem rozkoszy i szczęścia? W *Sidlach* zjawiają się z owego świata istoty. Młoda, śliczna i z natury zalotna margrabina de Breuilles (Bakalowicz) znudzona holdami wielbicieli, pewna potęgi swych wdzięków, straciła wiarę w stałą i prawdziwą miłość mężczyzny, podejrzewa w każdej miłości interes materyalny, z takim więc przekonaniem, bez żadnego prawie przywiązania, dla przyzwoi-

ści oddała rękę pierwszemu swemu mężowi, człowiekowi w wieku, a utraciwszy go, teraz młoda wdówka i pani znakomitych włości jest gotowa wejść w podobne powtórne związki małżeńskie z baronem de Naniac (Rychter) wielbicielem jej, który szósty krzyżyk wieku liczy. Baron sąsiad, do dóbr swych znaczną część gruntów margrabinę nabył. Zdaje się więc wdówie że baron stara się o jej rękę dla zaokrąglenia granic, bo cóż się nie robi dla zaokrąglenia granic? A że szczerze nad wszelkie illuzye przekłada, a nie wierzy w miłość czystą która się w jej sercu nie obudziła, postanowiła oddać rękę swą baronowi, nie tając się z tém, że to robi aby mu granice zaokrąglić.

Widzimy Barona w gabinecie margrabinę. Jakież to typ przesliczny, godzien wieku Ludwika XIVgo. Baron w wytwornym ówczesnym stroju, wymuskany i jakby z umysłu odnudzony, z pękiem piór pawich w ręku, lekko i z wdziękiem przesuwając się na paluszkach po gładkiej posadzce, i piękne cacka na biurku, konsolach i słupach w buduarze margrabinę obmiata starannie z pyłu, a oczy wlepia w tę siedzącą na krześle i nieporuszoną damę, gotów na każde jej skinienie jak niewolnik na skinienie sultana. Margrabina tonie w marzeniach rozpieszczona życiem rozkosznym, tęskni, coś brak sercu co powiedzieć trudno. Rozmowa rozwija się z zalotnym baronem, w niej narzeczony chciałby przyspieszyć chwile połączenia którą margrabina jakby z umysłu opóźnia. Wreszcie nasuwa się nowy przedmiot do rozbiurzenia i tam młoda wdówka śmiało zapewnia że nikt z mężczyzn nie wytrzyma przed baterją jej wdzięków, że każdy musi paść na kolana i zostać jej wielbicielem. Baron nie podziela tego zdania i utrzymuje że może się zdarzyć młody człowiek, który oprze się wszystkim wdziękom i zalotności margrabinę i nie uczuje dla niej miłości i na próbę wymienia synowca swego Henryka (Tatarkiewicz). Na taką myśl oburza się margrabina, ztąd spór i zakład. Margrabina najuroczyściej przyrzeka natychmiast skończyć z baronem i przyjmując go za męża, jeśli Henryk nie ulegnie przed siłą jej powabów i nie zostanie jencem miłości. Próba zaraz się odbywa. Henryk który od dawna czuł miłość dla margrabinę, z woli stryja zbiera wszystkie swe siły do odporu i do odegrania powierzonych mu roli. Nic nie pomogły wdzięki, przymilenia, jedwabne słówka, wyznania zalotne a nawet szczere, bo piękną wdówkę oddawna sympatya tajemna pociąga do Henryka.

Wszystkie usiłowania rozbiły się bez skutku. Henryk jak kamień okazał zupełną obojętność, chociaż mu głos osłabł i życie

gasto. Wówczas margrabina ze łzami w oczach, w gniewie jawnie wyznaje przegraną i natychmiast oddaje rękę baronowi. Nie tracąc czasu wchodzi notaryusz; kontrakt małżeński jest przygotowany: pośpiesznie i z pomięszaniem podpisuje go margrabina. Baron z uśmiechem i poważnie składa na nim swój podpis, a na rozkaz stryja Henryk, jako świadek, ze drzeniem nieszczęśliwy podpisuje papier.

Otóż owa dama zalotna której sideł nikt uniknąć nie zdołał, teraz kiedy prawdziwą poznała miłość, musi zostać żoną starego i sama wpadła w siła, lecz w siła szlachetne. Baron bogaty doświadczeniem życia dobrze znał młode serca i ich uczucia tajemne. Teraz odzywa się do nich, i czyta głośno akt notaryalny. Zdziwienie nadzwyczajne: pokazuje się, że kontrakt obejmuje małżeństwo margrabiny nie z baronem, lecz z Henrykiem. Tu już znikają wszelkie zapory etykietalne, szczerść i szczęście wszystkim usta rozwiązuje. Baron łączy młodą parę, wesołość i wdzięczność kończy tę małą pustotkę dramatyczną. Ale z niej na zawsze pozostanie w pamięci zdolność znakomita artysty p. Rychtera, który w Paryi jako wyrzutek społeczeństwa, starzec, mieszkaniec lasów, ojciec szukający jedynego syna, w nędzy i rozpaczycy zgrozą i wstrętem przejmuje serca; teraz w Siłach ozdoba społeczeństwa, baron strojny, wytworny, pełen delikatności i salonowego taktu, powierzchownością i szlachetnym charakterem, podobać się musi.

Nie można nazwać *Przyjaciela Babolina* komedią, jest to fraszka humorystyczna. Przedstawia przygody jednej osoby, przygody w rodzaju małych nieprzyjemności życia ludzkiego. Akcja starannie obmyślana dla wykazania i utrzymania głównego charakteru: sztukę podnosi niepospolita gra p. Chomińskiego.

Jak ślimaczek w skorupie, tak żyje w Paryżu Hyacynt Baboliu (p. Chomiński), cichy, spokojny. W późnych latach życia ma swój zakątek, ma swoje przyzwyczajenia, swoje wygody, swój porządek; unika wszelkich wzruszeń i najmniejszej przykrości, przytęm czystość obyczajów, czystość serca i myśli, moralność w której od dzieciństwa się przechował, stanowi szczęście jego i świat jedyny z którym nigdy rozstać się nie chce. Lecz trudno się oprzeć prośbie przyjaciela. Dał słowo że odwiedzi p. Edmunda de Delma w wiejskim jego ustroniu w Neuilly. Długo odwłóczy, walczy z myślami, w końcu puszcza się w tę straszliwą podróż, i siada do omnibusa który go męczy i rozbija. Przybywa na miej-

sca, lecz nim doszedł do mieszkania p. de Delma spada ulewa, a on jakby ze strumienia dobyty, stawa u celu, lecz nie zastaje przyjaciela tylko żonę jego Alicyą, która go gościnnie przyjmuje i osobny oddaje pokój. Lecz zaledwie przebrany wchodzi do salonu, wpada w zamęt intryg i zamieszania. Tu baron Mila dawny znajomy oknem się wdarł do mieszkania Dalmów dla widzenia się z żoną Edmunda i gwałtem prosi Babolina, aby mu tę miłosną schadzkę ułatwił. Tu znowu widzi żonę przyjaciela gotową do przemieszania. Niedługo mąż zazdrosny wpada i chce w pojedynku zabić uwodziciela. Baron daje list Babolinowi do żony Edmunda. Żona daje mu list do barona. Edmund daje mu list do barona. Nagle jest skrzynką pocztową, jest w piekle. Wszyscy go ciągną jako narzędzie swych celów. Opierać się nie może. Edmund przyjaciel grozi mu pojedynkiem jeśli woli jego nie spełni. Babolin jednej chwili nie ma wypoczynku, chce uciec, lecz go chwytają. Na widok tego co się w jego oczach dzieje, niespokojność, przerażenie i zgryzota sumienia trapią go bez ustanku. Już upada pod tym ciężarem, kiedy wreszcie wszystko się wyjaśnia. Baron nie kochał się w Alicy żonie Edmunda, lecz w siostrze jego Maryi, która udawała żonę Edmunda, dla przekonania się o prawdziwym przywiązaniu barona. Wszystko więc wraca do moralnego porządku a Babolin do spokojności i do Paryża.

Fraszka ta musi być przeróbką z jakiegoś utworu francuzkiego z małym dodatkiem kataru i kichania jako niemieckiej płaskości. Język przekładu nielitościwie grzeszny: zdaje się że to praca, do której tłumacz gwałtem pomimo woli napędzony został.

Takie wszystkie. Jeszcze jeden obrazek dramatyczny, mały, lecz pełen akcyi życia i humoru, który z całą siłą ironii, cudowną prawdę rzuca w oczy kobietom, a jednak kobiety patrzą na to widowisko z zajęciem, z wesołością, z uśmiechem i piją miód w którym na ich słabości znaczna jest doza zbawiennego lekarstwa.

Scena w Ems przy źródle wód mineralnych. Widzimy hrabinę Arnoulf (p. Niewiarowska) Szwedkę. Piękna młoda kobieta wolnym wymierzonym krokiem przechodzi się w galeryach wód, z lašką w ręku i wychyla kubki wody z pedantyczną ścisłością. Postać poważna, zimna, prawie lodowata, szuka zdrowia. Nadzieje serca jej spełnione. Jest narzeczoną hr. Maurycego de Trany (p. Tatarkiewicz) i oczekuje godziny ślubu, marząc o swęj

przyszłości i rozkoszy. Nagle w tém samym miejscu jawia się Peruwianka Donna Sylvia de Torellas (Palińska), równie dama arystokratyczna jak hrabina; lecz dzika, ognista jak dziecię tropikowe. W Paryżu poznała hr. Maurycygo, miłość porwała dwa serca, już prawie została jego narzeczoną, kiedy Maurycy nagle porzucił Paryż i wyjechał nie zostawiając o sobie żadnej wiadomości. Wyjazd tak nadspodziewany do najwyższego stopnia rozplómił namiętność. Sylvia jak tygrysyca za lupem rzuca się bez namysłu sama jedna w pogoń za przedmiotem ukochanym. Stawa w Ems i w téj samej galeryi spotyka Szwedkę. Widok nieznamomój drażni Sylwią, nie może spokojnie patrzeć na ten kobiecy automat bez życia i ruchu. Z ust Sylvii sypią się zjadliwe ucinki. Nie zbliża się do hrabiny chociaż nikogo w Ems nie zna, a pragnęłaby od kogobądź jakakolwiek mieć wiadomość o Maurycym. Niespokojna przegląda wszystkie dzienniki, wszystkie gazety i nagle, o rozpaczy! napotyka doniesienie, że wczoraj odbyły się w Ems uroczyste zaręczyny hrabiny Arnoulf z hrabią Maurycym. Ta wiadomość piorunem razi burzliwe serce Sylvii. Traci prawie przytomność, i bez względu na wszelką przyzwoitość, nie pytając o nazwisko Szwedki, nie wymieniając swego, zbliża się do hrabiny i odtąd rozwijają się wyborne sceny, które odsłaniają serca obu kobiet. Litość, współbolewanie, następnie zazdrość, oburzenie, rozpacz, nienawiść i zemsta, następują z kolei w miarę odkrywania się wzajemnych sytuacji. Sylvia przedewszystkiem głośno wyznaje że kocha bez granic, że jest zdradzoną, pada na sofę i mdleje, a Szwedka widząc nieszczęśliwą istotę lituje się nad nią, przybiega z pomocą, i eterem ją cuci. Sylvia zaledwie odcucona w uniesieniu odzywa się z boleścią i oświadcza że jej narzeczoną jest hr. Maurycy de Trany. Szwedka krzyknęła z boleści, pada na krzesło i znowu ją Sylvia ratuje i cuci. Tu kiedy wszystko wiadome, zaczyna się walka rywaliek. Żadna z nich swęj własności tak drogiej wydrzcć sobie nie da. Są to matki Salomona walczące o jedno dziecko. Namiętność wzrasta, obrażona duma doprowadza do ostateczności. Sylwia chce aby śmierć jednę z narzeczonych zapewniła szczęście drugiej, a więc proponuje pojedynek, który Szwedka przyjmuje. Peruwianka natychmiast przynosi pistolety, proch i kule w kieszeni. Już mają wyjść na krwawe spotkanie, Szwedka staje i oświadcza że z pewnością swęj rywalce śmierć zada, lecz w wieczornęj porze nie potrzebuje się narażać na zaziębienie i na katar, wraca więc po okrycie i otulona wychodzi. Już do walki na śmierć

nie ma przeszkody. Wtém jedna myśl wstrzymuje obie, a jeśli kula nie zada śmierci, jeśli tylko nosy pourywa lub w oko wpadnie? O nie! życie stracić to jest niczém, lecz znieść brzydotę to nad ich siły. Porzucają więc pojedynek lecz nie Maurycego. Zgadają się więc niech on sam wybiera, a one przygotowują się do wszelkich poświęceń i ofiar dla niego, aby tylko jego serce i wybór pozyskać. Kiedy te projekta snują, nagle z okna widzą, jak Maurycy konno wraca z przejażdżki. Obie panie nasycają się jego widokiem, chwają zręczność, postać, ruchy i niecierpliwie oczekują przybycia. Wtém Maurycy nagle przybiega, lecz niestety, noga się pośliznęła a on pada plackiem na posadzkę w najsmutniejszym i najkomiczniejszym położeniu. Szpicróżga i kapelusz odleciały daleko! Myślicie że w takim wypadku narzeczone krzyknęły z przerażenia, że pobiegły na pomoc? Broń Boże! Obie jakby na komendę wybuchły śmiechem głośnym, serdecznym, śmiechem spazmatycznym, śmiechem pustym na widok niezgrabny, który się podnieść nie może. Śmiech nie był do wstrzymania.

W owęj to chwili Maurycy poznał że obie narzeczone jednej są wartości, poznał że w żadnym z tych serc nie ma dla niego uczucia. Wtedy im wyznaje, że nie przypadkiem lecz z umysłu upadł. aby się o ich przywiązaniu przekonać. Żegna więc obie damy i uwalnia je od wszelkich obowiązków. a te jeszcze po jego odejściu nie mogą śmiechu wstrzymać: śmieją się i śmieją bez ustanku.

Charakter Peruwianki i Szwedki stanowią główne wrażenie tego drobnego lecz pięknego utworu. Role te wykonane były z prawdziwem pojęciem sytuacji i z nadzwyczajną zręcznością. Trudniejszą jednak rolę Sylvii p. Palińska oddała z taką namiętnością, z takim życiem, że każde jej poruszenie było rozkoszą dla widzów.

Mru. K.



WIADOMOŚCI BIEŻĄCE I ROZMAITOŚCI.

WARSZAWA.

Lipiec 1868 r.—Wyszło dzieło: „Wykład porównawczy prawa karnego” przez Stanisława Budzińskiego profesora Szkoły głównej. (w 8ce, str. VIII, 324). Jest to część wykładu czteroletniego z katedry w tejże szkole. Ogłoszona teraz praca, obejmuje tylko dwie części, to jest: ogólne zasady nauki poparte spostrzeżeniami porównawczemi; i treściwy rys filozoficznych na prawo karne poglądów. W częściach 3 i 4, które autor później ogłosić zamierza, ma wyłożyć ogólne zasady prawa obowiązującego i naukę o ważniejszych pojedynczych przestępstwach; przedmiot dotąd pokrótce przez profesora Franciszka Maciejowskiego w jego wykładzie traktowany, a przez p. Budzińskiego w kilku monografiach dotknięty. Dzieło powyższe wyszło nakładem autora w drukarni Jana Jaworskiego, w starannej i ozdobnej edycji.

— Dr. Henryk Struve professor nadzwyczajny w Szkole głównej warszawskiej, własnym nakładem rozpoczął wydawnictwo zeszytami dzieła p. n. „Wykład systematyczny logiki, czyli nauka dochodzenia i poznania prawdy.” Zeszyt pierwszy obejmuje: „Część wstępną.” Drugi zamykający w zupełności część tę zawiera: „najnowszy stan logiki, rys logiki w Polsce, podział tej nauki” już jest pod prasą drukarską.

— Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa a z drukarni G. Pätza w Naumburgu wyszedł w Warszawie *Przewodnik wychowania*, przez p. Henryka Wernica. Książka ta odznaczająca się bardzo pięknym wydaniem zawiera str. 191 i VII wstępu w większej osemce.

— Student Szkoły Głównej p. Wiktor Kosmowski wydał swój przekład sławnego dzieła Adolfa Wurtza, profesora chemii w Paryżu, pod napisem: *Wykład filozofii chemicznej*. Całość składać się ma z 5 zeszytów, dotychczas zaś wyszło 2, następne wkrótce prasę opuszczają. Przekład odznacza się wiernością i dobrą polszczyzną.

— Pamiętnik Towarzystwa Lekarskiego za lipiec r. b. ogłosił zajmujące sprawozdanie z oddziału obłąkanych kobiet w szpitalu Dzieciątka Jezus za rok 1867 przez Dra Wilhelma Lubelskiego. Sprawozdanie to jest i w oddzielnych odbitkach, w małej liczbie egzemplarzy.

— Z drukarni I. Goldmana, nakładem Leopolda Grossmana wydana została książeczka p. n. „Mały katechizm matek albo króciuchny wykład katechizmu dla dzieci od lat sześciu do dziesięciu przez ks. Gaume, przełożony przez tłumacza dzieł religijnych: Gauma; Guillois, Schmidta, Sailera i innych” (Leona Rogal-

skiego). Warszawa. 1868 r. Autor tój użytecznej książeczki w przedmowie swój pisze: „Wydanie niniejszego dziełka jest odpowiedzią na zanoszone do nas często żądania przez matki chrześcijańskie, tudzież przez osoby zajęte pierwotnym wychowaniem dziełek. Katechizm matek obejmuje króciuchny wykład wiary chrześcijańskiej, zastosowany do katechizmu wytrwałości (Catechisme de persévérance). Może być nauczany na kolanach matki, przed wejściem dziecka na słuchanie katechizmu parafialnego. Poprzedza katechizm obraz nauki chrześcijańskiej. Prosto i zwięźle to skrócenie całej teologii, przedstawia boską budowę religii, w jój ogóle i cudnym związku jój części.” Cena niska, tylko po kop. 12½ (25 groszy) ułatwia nabycie tego dziełka.

— Doktor medycyny fakultetu paryzkiego i warszawskiego Henryk Levittoux, w r. b. ogłosił dwie rozprawy, występując otwarcie przeciw homeopatii, rozszerzającej się coraz więcej. Broszury te mające ścisły związek z sobą, noszą napisy: „Kilka słów w obronie nauki i prawdy z powodu odczytów publicznych pana Kuczyńskiego homeopaty.” „List otwarty Dra Levittoux do przyjaciół ludzkości z powodu artykułu o homeopatii, umieszczonego w Nrze 96, 2 (14) maja Dziennika Warszawskiego.” Obecnie ogłosił trzecią i ostatnią: „Głos wołającego na puszczy, w obec homeopatów z Lublina.”

— We Lwowie wychodzi pismo czasowe p. u. „Szkoła” poświęcone wychowaniu publicznemu. W niēm znany zaszczytnie na polu literackim Antoni Matecki ogłosił rozprawę: „O naturze spółgłoski j i praktycznych ztąd następstwach dla ortografii polskiej.” Rozprawa ta, która gruntownością swoją niewątpliwie poskromi nadużycie tój spółgłoski, wyszła w oddzielnej odbitec we Lwowie z drukarni E. Winiarza. 1868 (w 8ce, str. 32).

— Redaktor i wydawca *Gazety Teatralnej*, która po pół-roku istnienia, stosownie do ogłoszonego prospektu, zamkniętą została, ogłosił zbiór swych utworów dramatycznych p. n. „Komedye prozą i wierszem.” Książka ta obejmuje: 1) Pokój o jednych drzwiach; komedia w 1 akcie prozą. 2) Zony które za nos wodzą mężów; komedia w 2ch aktach wierszem. 3) Baltazar czyli wybór męża; komedia w 1 akcie prozą. 4) Konsylium: intermezzo Medyko-Chirurgiczne (żart dramatyczny) w 1 akcie wierszem.

— Z powodu spadłego meteoru w końcu stycznia r. b. w okolicach miast Pułtuska i Makowa, Szkoła główna wysłała z grona swego pp. Tytusa Babezyńskiego profesora matematyki i Karola Deike adjunkta obserwatorium, dla zebrania bliższych wiadomości, i zrobienia nad odłamkami znalezionemi analizy naukowej. Teraz pomieniona Szkoła wydała broszurę, w której podała zebrane wszelkie rezultaty p. n. „Notice sur la météorolithe tombée le 30 Janvier 1868 aux environs de la ville de Pułtusk.”

— Wydawnictwo zeszytami dzieła Jana Kantego Wołowskiego „Kurs kodexu Cywilnego,” postępuje bez przerwy. Tom pierwszy już ukończony.

— Józef Oleszkiewicz znakomity malarz, którego pamięć unieśmiertelnił Mickiewicz, mało był znany ogółowi, prócz kilku wspomnień naszego wieszca, że był „znany w Petersburgu ze swoich cnót, głębokiej nauki i mistycznych przepowiedni.” Gazeta Warszawska w Nr. 144 r. b. podaje o tym artyście ważne szczegóły, które chętnie powtarzamy. „Znakomity ten malarz urodził się w roku 1777 na Żmujdzi; kształcił się w Wilnie pod Smuglewiczem i za granicą pod Davidem; po powrocie do kraju przebywał w gubernii Wołyńskiej; następnie w roku 1810 wyjechał do Petersburga, tamże wkrótce obrany członkiem Akademii sztuk pięknych, umarł w r. 1830. W jednym z zajmujących owoczesnych listów A. E. Odyńca, które od czasu do czasu zamieszcza *Kronika Rodzima*, znajdujemy szczegółowo skreślony wizerunek moralny tej uderzającej, tajemniczej postaci; tak tajemniczój i uderzającój, że nawet Mickiewicza, którego natchnienie poetyczne nie lada czemu powodować się dawało, czarem swoim ośwładła i do opiewania siebie zniewoliła. „Jest to najnotliwszy, najbogobojniejszy człowiek, i jak go tu w Petersburgu nazywają, *mistyk*, to jest wierzący nietylko w dogmata, ale w żywą zawsze i wszędzie obecność Boga, w ciągle i nad wszystkiem czuwającą Opatrzność, i nakoniec w tajemniczy świat ducha, przeważnie choć niewidomie wpływający na ludzi. Ustawiczne przytém czytanie Biblii nadaje myślowi i wyobraźni jego swedenborgiczny, jak mówi Adam, nastrój i kierunek, tak, że nawet jak Swedenborg przewiduje niekiedy przyszłość i wiele rzeczy trafnie przepowiedział; w przepowiedni się jednak nie wdaje, i owszem pod tym względem jest niezmiernie ostrożnym. Najwydatniejszą atoli cechą jego jest miłość w najrozleglejszém tego wyrazu znaczeniu, ogarniająca nietylko wszystkich bez wyjątku bliźnich, ale wszystkie żyjące stworzenia, a nawet i świat roślinny. Nad tém uczuciem dla całego stworzenia, góruje w nim tylko cześć i uwielbienie dla Stworzyciela i Zbawcy, i żarliwość o chwałę Jego. Uczuć tych i łatwowiernój jego dobroci nadużywają czasem niektórzy, ale on sam nietylko tego nie widzi i nie przypuszcza, lecz owszem oburza się na tych, którzy tak sądzą i chcieliby go o tém przekonać. Wszystko co żyje, jako obdarzone życiem przez Boga, ma już dlań pewny charakter świętości; ztąd nietylko żadnego nigdy mięsa nie jada, przypisując właśnie jedzeniu jego wszystkie zwierzęce popędy i namiętności w ludziach, ale i najdokuczliwsze nawet żyjątka znajdują w nim opiekuna i obrońcę.”

Owoż dziwną się nam rzeczą wydawało, że taki człowiek, który jak ze wszystkiego wnosić można, pierwszy w duszę Mickiewicza rzucił nasiona głębokiego, niekłamane go mistycyzmu, który ostatnie kilkaset rubli oddawał, aby przekonać bluźniercę, że jest nad wszystkim czuwająca Opatrzność, mógł kiedykolwiek wisieć na łasce magnata, jak utrzymywać się podobało jego usłużnym biografom. Szczęściem mamy przed sobą list Józefa Oleszkiewicza, w którym obok wspaniałych rysów tej duszy szlachetnej aż do dziwactwa, wyświeca się prawdziwy stosunek znakomitego artysty do

Alexandra hr. Chodkiewicza. Jest to dotychczas, o ile wiemy, jedyny piśmienny po Oleszkiewiczu zabytek; dlatego podajemy go tutaj w całości ze znajdującego się u nas autografu:

„Jaśnie Wielmożny Panie Dobrodzieju!”

„Nie żyjąc jak tylko z pracy uciążliwej, nigdy sobie nie obiecywałem fortuny dostatecznej, ani znam nawet sposobów innych lub przemysłu nad mój talent, który mi się tak skąpo opłacając czas cały zabiera, abym mógł innemi zasługami zdobyć się na środki utrzymania się przynajmniej w mierności. Od tego czasu jakem pierwszy raz dostał się do domu pańskiego, lat temu siedm, możesz sam JW. Pan zaświadczyc, jak zupełnie czas ten przepędzałem na ciągłej i nieustannej pracy aż do dnia dzisiejszego; zysk cały od ś. p. pana Olizara, JW. Karwickiego i pana Bierzyńskiego, wynoszący 830 czerwonych złotych, wyłożyłem na okrycie mojej nagości, w jakiej powróciłem z wojażu, i na małe porządki odzienia i bielizny naszej, które do połowy są naddarte.

„Nadzieja tylko prawdziwego i ciągłego starania mnie przywiodła do ożenienia się; i czyż może kto pewniejszy pokazać sposób uczciwy nad ten do utrzymania żony, na którym ja się zafundowałem, zwłaszcza redukując do najściślejszego punktu moje potrzeby? W tej to prowincyi żyjąc, nie mogę szukać ani się spodziewać blisko za doinem pańskim zysku żadnego, osobliwie w dzisiejszej porze; jeśli trudno teraz jest panom, jakże mnie przykro będzie zająć aż do ostateczności!

„Pokładam nadzieję i miałem od JW. Pana zapewnienie, iż za powrotem jego z Kijowa odbiorę pewnie 600 cz. zł. za obraz Karola Chodkiewicza; z tém miałem jechać do Litwy z moją żoną i bratem dla szukania dalszego sposobu do życia. Cóż pocznę teraz? z rąk żydowskich odbieram sto dukatów dzisiaj, nie słysząc nic od Pana: nawet nie miałem tego szczęścia, żebym z rąk jego własnych odebrał.”

„Śmiem prosić JW. Pana o rezolucję finalną dzisiaj dla mnie, gdyż obojętność mnie siła kosztuje, i o uszczerbek resztę zdrowia mego przyprawia. Proszę Pana i zaklinam na jego honor, żebyś mnie zaspokoił w tygodniu ze wszystkiém, jak się na jego słowo spuściłem: to jest opłacić mnie resztę cz. zł. 500 i dać pozwolenie na piśmie na mieszkanie przeznaczone w Wilnie na lat 3 lub 4. Więcej nie żądam od Pana widząc jego w trudnych okolicznościach; całego benefisu prosiłbym jeszcze o brykę czterokonną do przewiezienia rzeczy.

„To wszystko o co Pana Dobrodzieja proszę, czuję, iż nie przechodzi granic sprawiedliwości, ani jest nadużyciem łaski JW. Pana, na którą tak gorliwie i długo pracowałem. Pewny jestem, że JW. Pan w kilku dniach może się dla mnie wystarać o tak małą summę dla Pana, a mój los dzisiejszy decydującą.

„Nie mogąc bowiem i długów powiększać tutaj i przez wzgląd na czas, którem jeden mi tylko daje kawał chleba, będę przymuszonym z największym żalem serca w przyszły czwartek żonę

odesłać do matki, a sam opłaciwszy długi wynoszące 50 cz. zł. przeszło, z resztą szukać poprawy losu gdzie dalej na świecie, co mnie pewnie nie zrobi krzywdy na honorze, prócz nędzy i niedostatku, której nie spodziewałem się tak prędko doczekać."

„Zostaje z najwyższym upoważnieniem
Jaśnie Wielmożnego Pana Dobrodzieja
najniższym sługą,

1808, Apryla 2.

Józef Oleszkiewicz.”

— W Krakowie w drukarni C. K. Uniwersytetu Jagiellońskiego wyszła broszura p. n. Stanowisko C. K. Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, wobec nauki i kraju. Rzecz miana na publicznym obchodzie 50 letniego istnienia tegoż Towarzystwa w dniu 16 maja 1868 r. przez prof. Dr. Józefa Majera Prezesa Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, (w Sce str. 21). Każdorocznie czytamy sprawozdania o pracach i działalności tego naukowego ciała: ale obecne, było chwilą więcej uroczystą, bo właśnie pół wieczny obchodziło jubileusz od swego założenia.

— Zaniłowanie do widowisk teatralnych coraz się rozszerza, nie tylko w Warszawie ale i we wszystkich okolicach kraju. Obecnie w królestwie Polskim, gości 8 towarzystw dramatycznych, dających przedstawienia po prowincjonalnych miastach. 1) Truppa dramatyczna p. Carmantranta (towarzystwo Ortyńskiego) bawi w Kielcach. 2) Modzelewskiego w Opatowie. 3) Okońskiego w Busku. 4) Raszewskiego w Pińczowie. 5) Ratajewicza w Częstochowie. 6) Stobińskiego w Rawie. 7) Sulikowskiego w Ciechocinku. 8) Trapszy w Kaliszu. Ostatnie towarzystwo Trapszy jest pierwszym pomiędzy wszystkiemi, tak dobozem aktorów, jak ich liczbą, oraz umiętnym kierunkiem ich dyrektora i zamierza stale się osiedlić w Kaliszu.

— W Bonn, w połowie września ma się zebrać Kongres archeologiczny. Towarzystwo naukowe Krakowskie, a głównie wydział archeologiczny otrzymał zaproszenie na takowy. Na reprezentanta więc swego pomienione Towarzystwo uchwaliło zaprosić członka swego hr. Alexandra Przezdzieckiego, który w roku 1867 jako współredaktor naszego pisma wybrany przez redakcyę Biblioteki Warszawskiej po otrzymaném zaproszeniu na kongres międzynarodowy w Antwerpii, w tymże charakterze znajdując się, złożył szczegółowe sprawozdanie, któreśmy w zeszycie grudniowym 1867 r. umieścili.

— W Cieszynie od 1 lipca r. b. wychodzi nowe czasopismo polityczno-literackie p. n. „*Szląskie nowiny.*” Nakładcą i redaktorem głównym jest Karol Prohazka, w którego drukarni odbija się i *Gwiazdka Cieszyńska.*

— We Lwowie p. Antoni Schnajder, po trzydziestoletniej pracy, ogłosił przedpłatę na wydawnictwo zeszytami słownika, obejmującego po szczególe wszystkie w Galicyi miasta, wsie, osady, jeziora, rzeki, potoki, z dokładném objaśnieniem pod względem

historycznym, statystycznym, topograficznym, agronomicznym i t. d. Do 30,000 obejmuje dzieło nazw wszystkich miejscowości. Do każdego tomu dodawany będzie oddzielny zeszyt, zawierający cytowane w tekście z poprzedzających zeszytów, a dotąd jeszcze nieogłoszone dokumenta, dyplomy, przywileje i t. p. posługujące dla tём lepszego objaśnienia. Ilości tomów tak ogromnego dzieła, sam autor uie oznaczył. Prenumerować można zeszytami lub tomami:

— Dr. Grünhagen, uczony wrocławski, przygotował historię Szlązka, której część Isha do r. 1250 doprowadzona, ma wyjść wkrótce, staraniem stowarzyszenia do historyi i starożytności Szlązka. Badacz ten w r. b. zwiedzał Kraków i jego archiwa, w których znalazł niemało do swój pracy ważnych materyałów.

— Kuryer Warszawski w Nrze 159 r. b. przywodzi następną wiersz Hugona Kolłataja, wyłobiony na skale w Karlsbadzie:

„Gdzie wzrok wkoło sięgnąć może,
Tyś niezmierny wszędzie Boże!
Widok dzieł Twych duszę wznasza!
Czuje, żem jest częstką Ciebie.
Ziemia, morze, światy w niebie,
Wszystko Twoją moc ogłasza,
Tolnie świat cały Twórcą swoim,
Wszyscy żyjem w łonie Twojem!”

— P. Duvernoi. zamieścił w numerze 4 r. b. „Wiadomości Uniwersytetu Moskiewskiego” ciekawą i wyczerpującą rozprawę o dokumentach Tubińskich, dotyczących pierwotnych druków słowiańskich w Wittembergu. Rozprawa ta, nietylko zajmuje się badaniem rzeczy drukowanych pierwotnie na użytek Słowian południowych i roztrząsa źródła tę rzecz wyjaśniające, ale i rzuca pierwsze światło na stosunek tychże Słowian t. j. Kraińców i Chorwatów zajętych bardzo dawno w kordon, do plemienia zwierzchniczego.

— Posąg Kopernika w naturalnej wielkości odlany w Norymberdze (w odlewni pp. Lentz i Heroldt), równie jak posągi astronomów i matematyków Tycho-Brache'a, Mättilina nauczyciela Kepplera, Josta Burk'a zdobić będą podnóże pomnika, który ma być wzniesiony Kepplerowi znakomitemu astronomowi w jego mieście rodzinném Weilerstadt, według pomysłu budowniczego Krelling'a.

— W Anclam wyszedł tom IV ważnego dzieła p. n. „Handbuch von Neuvorpommern, Stralsund, Rügen, von Bergbars.” Traktuje obszernie dzieje Pomorza, Rugii, Stralsundu, i całego nadbałtyckiego słowiańskiego nadbrzeża, co i dla naszych pierwotnych dziejów obojętném być nie może. W b. m. lipcu ma być w Szczecinie i na Rugii obchodzona uroczystie 700-letnia rocznica zdobycia twierdzy Arkony przez Duńczyków i książąt pomorskich, Bogusława i Kazimierza.

— Zwłoki zmarłego we Francyi w kwiecie wieku jednego z pierwszorzędných malarzy naszego okresu, Artura Grotgera,

sprowadzono d. 4 lipca do Lwowa i na cmentarzu Łyczakowskim pochowano.

— Starożytny Tynec nowego ciosu doznał dnia 4 maja r. b., przez uderzenie pioruna, który oprócz innych szkód, nad głównymi drzwiami kościoła potrzaskał tablice marmurowe z napisami. Jest to jeden z najdawniejszych kościołów w tych stronach, a sama miejscowość znana jest z czasów przedchrześcijańskich, pod tą samą nazwą w dawnych opowiadaniach naszych kronikarzy.

— Hr. Rudolf Wratisław wydał dzieło o Cyganach, w którym traktuje o sposobie życia, pochodzeniu i języku tego ludu tułaczego. Dotyka głównie Cyganów austriackich, których liczne bandy mają szczególnie w Węgrzech wygodne schronienie. Przyłączył do tej rozprawy małą grammatykę języka cygańskiego, oraz słowniczek z niemieckiego na cygański, i z cygańskiego na niemiecki, oraz kilka ustępów w języku cygańskim do czytania. Przytomnieć winniśmy: że oddawna mamy w tym rodzaju bardzo szacowne prace. W roku 1824, a zatem przed pół wiekiem blisko, wydał uczony Ignacy Daniłowicz dzieło p. n. „*O Cyganach wiadomość historyczna, czytana na posiedzeniu publicznem b. uniwersytetu wileńskiego dnia 30 czerwca 1824 r.*” (Wilno. W drukarni A. Marcinkowskiego. 1824) z dodaniem wyrazów i wzorów odmian grammatycznych tego narodu (w 8ce, str. 116). W roku 1830 znany badacz Teodor Narbutt ogłosił w tejże drukarni obszerniejszą i uzupełniającą powyższe dzieło pracę p. n. *Rys historyczny ludu cygańskiego* (w 8ce, str. 176); w końcu mamy także słownik języka cygańskiego, z wykazaniem zarazem szczegółowem pochodzenia każdego wyrazu, z jakiego języka jest wzięty. Dla nas są tym więcej zajmujące oba te dzieła, że oprócz ogólnych badań co do pochodzenia tego ludu, mamy ciekawe wiadomości o Cyganach polskich i litewskich.

— W zeszycie poprzedzającym podaliśmy krótką wiadomość o znakomitej ofiarze jaką uczynił p. Kinnel, właściwie Kühnel dla Zakładu imienia Ossolińskich. Gazeta Warszawska ogłosiła więcej zajmujących szczegółów o tym wspaniałym darze, który powortorzmy:

„Pan Kühnel urodził się w Złoczowie, którego łączą ze Lwowem wspomnienia naukowe, uczęszczał bowiem tam na kursa filozoficzne, bawił przez lat kilka w Wenecyi, gdzie poświęcił się z zapalem sztukom pięknym. Tu powstał związek cennego jego zbioru, liczący dzieła najpierwszych włoskich mistrzów. Doprowadziwszy zbiory swoje do niepośledniej liczby, postanowił przekazać je publicznemu użytkowi. Zgłosił się więc do Zakładu Ossolińskich ze skromnym zapytaniem, czy zbiory jego nie znalazłyby w nim pomieszczenia. Z wdzięcznością i skwapliwie skorzystał Zakład z jego szlachetnego uczucia, i w krótkim czasie znaczną część ich objął w posiadanie. Ogół zbiorów obejmuje: a) 148 obrazów olejnych; b) Tekę z własnoręcznemi kopiami najznakomitszych malarzów, między którymi: 4 Rafaelowskie, z tych jedna przestaną by-

ła (według społecznego (1515 r. na niej dopisku) w upominku znakomitemu malarzowi norymberskiemu, Albertowi Dürerowi; c) Statuę naturalnej wielkości N. Maryi Panny; d) Książki, sztychy, kamee, rzeźby, których liczba dotąd nie znana. Z tych zbiorów Zakład już otrzymał: 1-o Karton ze szkicami w liczbie 400, 2-o Trzy nader znakomite kamee z wizerunkami Leonarda da Vinci, Rafaela i młodej kobiety; 3-o 30 sztychów z oryginalnych rysunków Rafaela, znajdujących się w Akademii Weneckiej sztuk pięknych; 4-o Następujące obrazy olejne: 1) „Wydobycie Mojżesza z Nilu” Murilla; 2) „Uczta bogów” Rubensa; 3) „Wskrzeszenie Łazarza” prawdopodobnie Rembranta; 4) „Dziewczyna i Pasterz” Juliusza Romano; 5) „Zesłanie Ducha Świętego” Giorgio Rambarellego; 6) „Bitwa” przez Bourguignona; 7) „Bitwa” tegoż; 8) „Adam i Ewa” Varatarego (Padovanino); 9) „Dziewczyna modląca się” Sebestyana Conchy. Resztę zbiorów Zakład wkrótce otrzyma. Dzieła te mogą być ozdobą każdej galeryi, a dla Zakładu imienia Ossolińskich są tém cenniejszemi, że dotąd w stosunku do innych swych zbiorów, najmniej był zasobnym w malowidła cenniejszych europejskich mistrzów.

† Dnia 21 czerwca r. b. we Lwowie zakończył życie Wincenty Thullié mając lat 79 wieku. Największe zasługi położył dla sceny lwowskiej, tłumaczeniami dramatów z francuzkiego i niemieckiego, które przedstawiane, wspomagały repertoar tego teatru, zanim go Fredro oryginalnemi utworami odżywił. Thullié ogłosił drukiem: „Rocznik dramatyczny” (Lwów 1827) i „Komedye” (Lwów 1833, w jednym tomie). Pomiędzy przekładami i naśladowaniem znajduje się jedna komedia oryginalna „*Nieporozumienie*.”

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.
Czerwiec, 1868.

Czerwiec, 1868.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

w Obserwatorium Astronomiczném Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wziesione jest 367,6 stóp paryzkich
 długość w czasie 1^h14^m45^s,7 czyli w łuku 18°41'25",5

nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5",
 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany kieżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0 ^o					TERMOMETR s t u s t o p n i o w y				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1		751.26	751.63	750.17	750.50	750.890	+15 ^o .4	+19 ^o .2	+24 ^o .4	+17 ^o .9	+19 ^o .23
2		751.37	752.05	750.51	750.21	751.035	15.5	18.1	21.6	17.5	18.18
3		749.08	749.06	747.61	748.61	748.590	15.4	21.3	27.6	18.8	20.78
4		749.43	750.12	748.93	749.71	749.548	18.6	25.7	27.6	21.0	23.23
5	☉	750.62	751.90	753.04	754.66	752.555	17.8	18.6	17.1	15.2	17.18
6		755.29	755.64	755.47	755.94	754.585	13.9	19.6	17.1	16.3	16.73
7		755.69	755.21	752.51	750.21	753.405	15.5	18.9	23.8	16.4	18.5
8		747.31	746.87	748.30	750.63	748.278	17.3	22.4	15.9	13.8	17.35
9		752.89	753.01	753.28	754.77	753.363	13.8	17.7	16.2	10.6	14.45
10	☾	756.29	757.05	756.58	756.62	756.585	10.4	14.4	18.9	12.9	13.65
11		756.47	755.52	753.03	751.98	754.250	14.5	18.5	23.7	16.9	18.40
12		749.93	749.45	749.06	749.82	749.565	16.1	19.3	19.3	14.0	17.18
13	☉	751.37	752.63	753.23	754.45	752.920	11.4	14.5	19.2	16.2	15.33
14	☾	755.33	756.41	755.65	756.95	756.210	15.4	18.6	22.4	17.8	18.55
15		758.43	758.65	757.56	756.68	757.830	17.1	22.8	25.2	20.2	21.33
16		756.62	756.54	754.61	754.79	755.640	18.6	24.4	28.8	20.4	23.05
17		756.78	756.70	755.07	753.80	755.603	14.1	17.9	22.4	18.5	18.28
18		751.56	750.83	750.20	753.14	751.433	18.1	23.1	23.0	14.5	19.68
19		755.63	755.87	755.22	757.31	756.020	11.9	18.6	21.4	12.5	16.10
20	☉	759.11	759.00	757.32	756.04	757.868	10.4	14.2	21.7	15.0	15.33
21		755.91	755.54	753.52	752.81	754.445	15.8	20.4	25.7	19.8	20.43
22	☾	752.74	752.20	750.28	750.13	751.338	18.7	24.1	29.2	20.8	23.20
23		750.62	750.59	749.07	748.98	749.815	20.0	27.0	31.3	21.6	24.38
24		749.80	750.10	749.47	750.13	749.875	21.0	29.4	33.1	23.9	26.85
25		750.67	751.60	751.53	753.01	751.703	19.6	27.2	28.8	22.2	24.45
26		754.80	754.11	753.33	754.37	754.403	16.9	24.3	25.8	17.5	21.13
27	☉	754.41	753.93	751.90	751.70	752.985	15.3	17.5	17.3	12.5	15.65
28	☾	751.52	751.20	749.50	749.10	750.330	11.5	17.3	20.2	11.8	15.20
29		750.75	751.07	750.22	750.08	750.530	11.4	16.1	20.0	15.2	15.68
30		749.66	748.74	748.29	748.85	748.885	16.1	20.2	19.2	13.8	17.33
Sr.		753.046	753.143	752.149	752.533	752.718	+15 ^o .57	+20 ^o .38	+22 ^o .93	+16 ^o .85	+18.93

Wilgotność średnia dzienna	S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Ilość wody do wysokości w milim.	Wysok. wody na Wiele	
	6	10	4	10	6	10	4	10			
	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.			
49.9	pogodny	pogodny	pogodny	pochm.	Z1.	Z1.	Z1.	Pn1.			3 7
72.0	pochm.	pochm.	pochm.	napół pog.	Pn2.	Pn1.	PnW1.	W1.			3 10
73.6	poc. desz.	napół pog.	napół pog.	pochm.	PnW1.	PdW1.	Pn1.	PdW1.	0.7		3 9
68.1	pogodny	pogodny	napół pog.	pochm.	PdW1.	PdW1.	PdW1.	PdW1.			3 7
86.2	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	Z1.	Z2.	Pn1.	6.5		3 6
75.2	napół pog.	pochm.	poc. desz.	pogodny	Z1.	Z1.	Z1.	Pn1.	0.4		3 6
67.2	pogodny	napół pog.	napół pog.	pogodny	Pn1.	Pn1.	Z1.	Pd1.			3 7
76.7	pogodny	pochm.	poc. desz.	pochm.	Pd1.	Z1.	PnZ2.	PnZ1.	3.2		3 9
72.3	pochm.	pochm.	pochm.	poc. desz.	PnZ1.	Pn1.	Pn2.	PnZ1.	1.1		3 9
70.0	pochm.	pochm.	napół pog.	pogodny	PnW1.	Pn1.	W1.	PnW1.			3 9
59.3	napół pog.	pogodny	napół pog.	pochm.	W1.	PdW1.	W1.	W1.			3 10
77.4	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	W1.	PdW1.	Z1.	PdZ1.	3.3		3 9
70.6	poc. desz.	pochm.	pochm.	pog. z ch.	Z1.	Z2.	Pn1.	Pn1.	2.1		3 7
57.8	pogodny	napół pog.	pochm.	pogodny	Z1.	Z1.	Pn1.	Z1.			3 10
61.4	pog. z ch.	napół pog.	napół pog.	pogodny	Z1.	Z1.	Z1.	Z1.			4 0
57.4	napół pog.	napół pog.	napół pog.	pog. z ch.	Pd1.	PdZ1.	Z1.	Pn2.			3 7
54.6	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn1.	Pn1.	Pn1.	PnW1.			3 6
53.9	pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	PdZ1.	Z1.	PnZ3.	PnZ2.			4 0
56.5	pogodny	pochm.	napół pog.	pogodny	Z1.	PnZ2.	PnZ2.	Pn1.			3 11
58.3	pogodny	pogodny	pog. z ch.	pog. z ch.	Pn1.	Pn1.	Z1.	PdZ1.			3 9
58.3	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Z1.	Z1.	Z1.	Z1.			3 2
54.1	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnZ1.	PdZ1.	PdZ1.	Pd1.			3 0
51.4	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd1.	Pd1.	PdW1.	PdW1.			2 10
44.7	pogodny	pogodny	pog. z ch.	napół pog.	Pd1W.	Pd1.	Pd1.	W1.			2 7
55.9	pogodny	pochm.	napół pog.	pogodny	PdZ1.	Z2.	PnZ2.	Pn1.			2 7
59.8	pochm.	pochm.	pochm.	napół pog.	Z1.	Z1.	Z2.	Pn1.	0.1		2 5
71.9	pochm.	pochm.	pochm.	napół pog.	Z1.	PnZ1.	Z1.	Z2.			2 1
74.3	napół pog.	pochm.	pochm.	pochm.	Pn1.	Pn1.	Z1.	Pn1.	1.8		2 1
64.2	pogodny	pochm.	pochm.	napół pog.	Pn1.	PnZ2.	PnZ2.	Z1.			2 1
69.0	napół pog.	napół pog.	napół pog.	pochm.	PnZ1.	Z1.	Z1.	PdZ1.			2 1
64.1									19.2		3.7

	m.	e.	L
Średnia wysokość barometru miesięczna	752.718	27	9.677
Najwyższy barometr dochodził d. 20 o g. 6 r.	759.11	28	0.610
Najniższy — — d. 8 o g. 10 r.	746.87	27	7.086
Średnia dzienna zmiana barometru	2.583		1.145
Największa dzienna zmiana barometru d. 7—8 o godz. 6 r.	8.38		3.714
Średnia wysokość barometru jest większą o	3.806		1.732
od stanu normalnego z 42 lat poprzedzających	748.812	27	7.945
Średnia temperatura czerwca wynosi!	+ 18° 93 C.	+	15° 14 R
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.96	"	2.87 "
Największa zmiana dzienna temperatury d. 4—5 o godz. 4 po połud.	10.5	"	8.4 "
Średnia temperatura czerwca jest wyższą o	1.24	"	0.99 "
od stanu normalnego z 42 lat poprzedzających	+ 17.69	+	+ 14.15 "

Termometrograf wskazał: Maximum: + 33° 5 C. = + 26° 8 R. d. 24 po poł.
Minimum: + 8.1 " = + 6.5 " d. 28 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 64.1 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 10.4 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejsza o 4.3 setnych od normalnej (68.4).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 19.2 mil. czyli 8.51 lin. par.; mniej o 44.9 mil. czyli 19.90 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas w czerwcu spada (64.1 mil. czyli 28.41 lin. par.).

Dni pogodnych 8, napółpogodnych 13, pochmurnych 9.

— deszczu 9: (d. 3, 5, 6, 8, 9, 12, 13, 26 i 28).

— błyskawic i grzmotów 2: (d. 3 i 4).

— błyskawic bez grzmotów 2: (d. 1 i 3).

Wiatr panujący zachodni.

Czerwiec b. r. był pogodny, suchy i ciepły. Średnia jego temperatura + 15.1 stop. R. jest o 1,0 stop. R. wyższa od normalnej (+ 14,1 stop. R.), a o 2,3 stop. R. jak w r. z. (+ 12,8 stop. R.). W pierwszej połowie miesiąca, przy niebie napół pogodnym, temperatura była w ogóle wysoką, lecz w skutek częstej zmiany wiatrów, sama ulegała dość znacznym zmianom jak z 4 na 5, z 10 na 11, z 16 na 17 i t. p., od d. 21 do 26 przy niebie prawie stale pogodnym, powietrze było suche i niezwykle ciepłe; do najgorętszych należał d. 24, którego średnia temperatura wynosi + 21,5 stop. R. o 7,0 stop. R. wyższa od normalnej, i w którym to dniu na słońcu po południu termometr wskazywał + 34,6 stop. R.; w ostatnich dniach miesiąca, gdy księżyc był w pierwszej kwadrze i przechodził przez równik niebieski, temperatura nagle zniżyła się zaczęła, a powietrze było dość chłodne i wilgotne. Największa zmiana dzienna temperatury 8,4 stop. R. przypadła z d. 4 na 5 o godz. 4 po południu podczas pełni księżyca. Barometr przez cały miesiąc utrzymywał się wysoko i w ogóle mało stan swój zmieniał, największa jego zmiana dzienna 3,71 lin. par. przypadła z d. 7 na 8 o godz. 6 rano. Deszcze padały bardzo rzadko i nieobficie. Dni deszczu było 9 o 5 mniej jak normalnie. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był nieco pogodniejszy jak zwykle, stosunek bowiem dni pogodnych, do napół pogodnych i pochmurnych wstanie normalnym jest jak: 6,3 : 14,0 : 9,7, gdy w b. r. tenże stosunek jest jak: 8 : 13 : 9. Wiatr panujący był zachodni, często także wiał północny.

D. 1 wieczorem koło białe otaczało księżyc.

W d. 22 i 23 obserwowano kilka plam na słońcu, zaś w d. 11, 14 i 21 żadnych plam na tarczy słonecznej nie było widać.

W skutek mocnych upałów, jakie niemal w całej panowały Europie w początkach tego miesiąca, częste były burze, gwałtowne ulewy, wichry i grady. Gazety przepelnione są doniesieniami o klęskach, które także Królestwo Polskie nawiedziły.

W wielu okolicach Królestwa w nocy z d. 18 na 19, a w Prusach nad Bałtykiem z d. 19 na 20 był szron i mróz tak silny, że nać niektórych roślin pomarżała.

D. 20 w Peszcie zauważano trzęsienie ziemi trwające około 6 sekund; w tymże samym czasie (d. 20 o godz. 7 1/2 rano) w Jasberynie silne trzęsienie ziemi trwało przez 1 1/2 minuty i zrządziło znaczne spustoszenia.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle..... stop 3 cali 3.7 n.m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 15 i 18... stop 4 " 0 " "

" " najmniejsza " d. 27—30.... stop 2 " 1 " "

WIKTORJA REGINA,

ZE WSPOMNIENIEN NARZECZONEJ.

UŁOŻYŁ

Jan Zacharyasiewicz.

(Dokończenie).

XXXII.

Ojciec wybiegł na powitanie Cezaryusza. Dla mnie była ta chwila dziwną, jakiej opisać nie jestem w stanie. Zdawało mi się, że stoję między dwoma prądami, z których każdy ciągnie mnie zarówno w swoją stronę. Widok Cezaryusza, który niejako zrósł się z marzeniem mojem, a którego do niedawna z taką tęsknotą oczekiwałam, pociągał mnie gwałtownie do niego. Serce moje rwało się ku niemu, jak ptak długi czas swobody pozbawiony. Czułam, że wszystka krew uderza mi do twarzy, że wszystkie nerwy moje drżały jakimś dziwnym dreszczem wzruszenia; ale droga między mną a Cezaryuszem zakłaskała się nagle w przepaść niezgłębioną. Zimny, mroźny wiatr pociągał ku mnie z téj przepaści i lodowatém powietrzem owijał skroń moją gorącą. A nad przepaścią zawieszona jak widmo w powietrzu unosiła się śmiertelnie blada kobieta i groziła mi ręką do góry wzniesioną, jakby mówić chciała: między tobą a szczęściem twojem stać będę wiecznie: wyciągając rękę po rozkosz życia, napotkasz mnie zimną, skostniałą z boleści; wysyłając

oko po wonne barwy obaczysz moje usta sine i zamarły na nich uśmiech kurczowy!...

Dziwny, okropny był stan mojej duszy. Nie wiedziałam co uczynić, na którą stronę się przechylić. Przyznam się że w obec takiej walki, jaka teraz w mojem sercu się odbywała, byłam za słaba. Tysiące kobiet przebiegłoby po tém zdarzeniu, jak po głębinie zmarzniętej wody suchą nogą. Cóżto bowiem tak strasznie dziwnego, że mężczyzna porzuciwszy jedną kobietę, którą kochał a której pojąć za żonę niepozwalaly mu stosunki światowe, zbliżył się do innéj, która przypadkiem posiadała warunki brakujące pierwszój, i ją także ukochał i miłość swą węzłem nierozdzielnym na całe życie zawiązał? Czyżto nie dzieje się codziennie? Któraż narzeczona myślała kiedy o tém, że przed nią te same słowa wymawia narzeczony, które wymawiał do innéj przed chwilą, a której dla tego nie zaprowadził do ołtarza, że los kapryśny *wyposażywszy* ją szczerze we wszystkie przymioty, odmówił jój tego przymiotu, który w zwykłym języku światowym właściwym *posagiem* się nazywa?

Zaiste, gdybyśmy same czuwały nad godnością naszą, gdybyśmy postępowaniem naszym nie zniżały siebie samych do bezdusznój liczby, za jaką sobie towarzyszów życia kupujemy; gdybyśmy szanując w kobietach ubożej urodzonych to, co prawdziwą istotę kobiety stanowi, same naszą godność kobiecą szanowały: nie miałybyśmy w życiu tych srogich rozczarowań, na które skarży się dzisiaj po wytrzeźwieniu z pierwszego szału każda kobieta; nie byłoby tych łez krwawych i westchnień konwulsyjnych, które dzisiaj życie kobiety stanowią!...

Może to było nieszczęściem mojem, zem nie pragnęła chwili szału, ale całego, trwałego szczęścia. Dlatego zwykłą drogą świata, jaką dzisiaj wszystkie kobiety idą, iść nie chciałam. W tém, co mi teraz na drodze szczęścia stanęło, tysiące kobiet nie widziałyby żadnej przeszkody i z twarzą śmiejącą poszłyby dalej; ja jednak zatrzymałam się, bo ujrzałam zdradę popełnioną na sercu kobiecém. Jeżeli bowiem same siebie bronić nie będziemy, jakież wyobrażenie damy o sobie mężczyznom? Czémże dla nich będzie kobieta,

jeżeli wolno zatruć jój serce, rozdrzcć duszę i—pójść do innój?

Odwracamy się od człowieka, który w sposób nieprawy przywłaszczył sobie jaką drobną, cudzą własność; pogardzamy tym, który rozmyślnym planem wydarł komuś jakąś rzecz drogą; potępiamy zbrodniarza, który targnął się na cudze życie, zabił drugiego lub go na zawsze okaleczył: a człowieka, który złamał na zawsze duszę kobiety dla błahych względów światowych, nazywamy bohaterem i rade otwieramy mu serca nasze! Cieszy nas zwycięstwo nasze odniesione nad biedną ofiarą, i rozkoszujemy w tém zwycięstwie, jak dziki tygrys rozkoszuje we krwi ofiary swojej!...

I przyszedł mi na myśl monolog straszny a prawdziwy, jaki wygłasza na widok pysznych marzeń swoich bohater Fiesco! Zaprawdę małemi przestępstwami brzydzi się świat, przed wielką zbrodnią uklęka i uwielbia ją!...

Sprawa jednéj kobiety musi być solidarną, jeżeli chcemy ostać się na naszym wysokiém stanowisku; obelga i nieprawość wyrządzona jednéj kapłance poniża cały zakon....

Takie myśli przebiegały mą duszę, takie uczucia miotły móm sercem, gdy obaczyła Cezaryusza. Z drugiejj strony słabe kobiece serce rwało się ku temu, który był moim narzeczonym i którym pieściłam się w duszy tak długo, aż wyrósł niejako do ideału, przezemnie upragnionego. Powtarzam raz jeszcze, że w obec téj walki byłam słabą. Nie mogłam zaraz na wstępie wypowiedzieć mu to, co w téj chwili czułam; nie mogłam również rzucić mu się w objęcia lub w serdecznym uścisku ręki okazać mu to wszystko, co kochająca kobieta w takim razie okazać może. Wybrałam więc drogę, jaką zazwyczaj wybierają ludzie słabi, to jest drogę pośrednią: poszłam do mego pokoiku, aby zyskać na czasie, namyślić się i przygotować.

Okno mego pokoiku wychodziło ukośnie w kierunku do ganku; gęste gałęzie brzoskwiń i kwiaty stojące na oknie osłaniały mnie i pozwoliły patrzeć na to co się przed gankiem dzieje z mego ukrycia.

Z drzeniem serca przystąpiłam do okna. Przed gankiem stał ojciec i rozmawiał z Cezaryuszem. Co kilka słów otwierał ramiona i przyciskał go do siebie jak rodzonego syna; na twarzy ojca widziałam radość i wzruszenie.

Twarz Cezaryusza wydała mi się nieco ogorzałą, lecz z tém mu było bardzo dobrze. Przybyło tój twarzy więcej hartu, więcej mękości: oznaczała ona znaczną siłę charakteru i pewne powzięte już postanowienie. Chciałam jeszcze więcej czytać na tój twarzy, chciałam wyczytać coś, co każdy winowajca ma w obec badającego sędziego, ale tego tam nie było; przeciwnie była to twarz człowieka szczęśliwego, która ma sumienie jak najspokojniejsze. Oczy tylko okazywały jakiś niepokój, ale niepokój ten prawdopodobnie tylko mnie miał na celu. Śród rozmowy i uścisków ojca rzucał Cezaryusz często spojrzenia ku drzwiom od sieni, czy mnie nie obaczy!

Swoboda i spokój rozlany na twarzy Cezaryusza zachwiał na chwilę moje domysły. Może to wszystko, co dzisiaj słyszałam i z czego reszty się domyślałam było tylko luźną wieścią, puszczoną przez złych, nieżyczliwych ludzi, jakich nigdy niebraknie dla narzeczonych? Może to wszystko gruntuje się na jakiej zamianie osoby? Może domysłami memi wyrządziłam mu krzywdę, która nie byłaby nigdy do przebaczenia!...

W końcu na szalę postanowienia mego przechyliło się serce; przemówiło ono zbyt wymownie za obwinionym bez dowodów: nie chciało niewczesném posądzeniem utracić ulubieńca, który już tam zamieszkał.

Przekonałam się również, jak wielką rolę w podobném położeniu odgrywają stosunki rzeczywistości. Widziałam ojca, jak mówił z Cezaryuszem o powozie i koniach. Powóz był nowy, lśniący, zapewne świeżo z fabryki sprowadzony; konie były także nowym nabytkiem i świetnie w przybory swoje ubrane: wskazywało to, że Cezaryusz pełnemi żaglami zawija już do portu, pewny sprzyjającej fali, która go do brzegu niesie!... Ojciec z radosną twarzą oglądał wszystko po szczególe: obmacywał koła i resory, głaskał konie, patrząc na nie to z boku, to z frontu.

Wszystkie te drobnostki rzeczywistości obowiązywały mnie niejako; wszystko to robiło się dla mnie z wiarą niezachwianą, z ufnością w moje uczucia: miałyżby moje błahe domysły wszystko to w niwecz obrócić?...

Wysłałam na ganek, aby Cezaryusza powitać....

Cezaryusz w okamgnieniu był przy mnie. Pochwycił mnie za rękę i tysiące gorących wycisnął na nią pocałunków: w pocałunkach tych czułam całą jego duszę, czułam jego życie, które wchodziło we mnie....

Przyznam się, że w tej chwili nie myślałam o zdradzie popełnionej na biednej kobiecie... nie myślałam o umartwieeniu, jakiego przed chwilą doznawałam... zdaje mi się żem o niczem nie myślała!

Przedemną stał przyszły towarzysz życia, który mnie kochał taką miłością, jakiej od niego pragnęłam, miłością wyższą, karmiącą się wyższym nad życie codzienne interesem; żyjącą życiem społeczeństwa, którego byliśmy ogniwem. A ja tego człowieka wzajemnie kochałam!...

Uścisnęłam z całą serdecznością dłoń jego i patrzyłam na niego chwil kilka w tém upojeniu, jakiego tylko kochająca doznaje kobieta, a którego żadne pióro oddać nie potrafi!

Ale na czole mojem błąkała się zapewne jakaś myśl złowroga, widokiem szczęścia niedostatecznie spłoszona, bo Cezaryusz z uwagą patrzył na mnie czas niejaki a potem się ozwał:

— Obawiam się czy to co widzę jest przypadkową grą wieczornego słońca, czy rzeczywistą chmurką? Widzę coś na czole pani, co na chmurkę wygląda?

Słowa Cezaryusza wyrwały mnie z mego upojenia. Złowrogie widmo nieszczęśliwej kobiety stanęło nagle przed nami i przedzieliło nas od siebie. Cofnęłam się w tył o pół kroku i odpowiedziałam z uśmiechem:

— Na niebie mego szczęścia nie znajdziesz pan żadnej chmurki... wyjąwszy, jeśliś z sobą jakiegś nie przyniósł! Wtedy mogłaby powstać straszna burza, któraby najpierw mnie zabiła!

Cezaryusz trzymał mnie za rękę i patrzył na moje oczy wzrokiem badawczym. Nie mniej badawczém okiem patrzyłam i ja niego. Nie wiem, co czytał w twarzy mojej. W jego nic wyraźnego nie wyczytałam; widziałam tylko rozrzewnienie serca, słodycz czującej głęboko duszy i ukryte szczęście.

Po chwili milczenia podniósł moją rękę do ust swoich i rzekł:

— O chmurkach nie godzi się mówić w pierwszych chwilach spotkania!

— Tém piękniejszą wyda nam się pogoda!—odpowiedziałam i uścisnęłam go serdecznie za rękę.

Zdawało mi się, że pocałunek, jaki w tój chwili uczułam na ręce, był zwykłym, konwencyonalnym.

XXXIII.

Mówią że serce przeczuwa katastrofy, jakie je spotkać mają. Cezarysz nie wiedział o niczém, niczego się nie domyślał; mimo to przez cały wieczór spostrzegłam w nim pewien niepokój, z jakim ustawicznie we mnie się wpatrywał. Nie odrywał odemnie oczu ani na chwilę, jakby się lękał, aby podczas tego nie uszło co jego uwadze. Chciał widzieć co każde uderzenie serca mego na moją twarz przyniesie, jakie myśli i marzenia przemkną po mojem bladém czole. Z podwojoną uwagą patrzył na moje usta, gdy jakie słowo wymówić miałam, śledził poruszenia méj piersi, czy jakie ukryte nie błąka się tam westchnienie!...

Co do mnie, nigdy nie zapomnę tego wieczoru. Nie powiem, żebym była dla Cezaryusza nieszczerą, żebym kłamała przed nim to, czego w duszy nie czułam; zbyt długo mieszkał on w myślach i marzeniach moich, aby po tém, co zaszło, miał mi być obojętnym. Przeciwnie, w naturze serca naszego jest, że tém mocniej przywiązuje się do marzeń, którym grozi niebezpieczeństwo. Czasami dopiero wtedy roztacza się przed nami cały urok naszego skarbu, kiedy bierzemy pióro do ręki, aby jednym podpisem rzec go się na zawsze! Dopiero przy zachodzie słońca czujemy żal, że nam uciekł jeden dzień życia, który już nigdy nie wróci!...

Zachowanie się moje względem Cezaryusza było tego wieczora nacechowane ową gorączkowością, owym niepokojem serca, który z wszelką słuszością mógł wziąć za oznakę mego przywiązania, a nawet miłości. Niektóre chwile, które śród mego wzruszenia serce mi krwawiły, ginęły dla patrzącego oka w powszechnym niepokoju, jaki miotał całą duszą moją.

Z tego więc co widział Cezaryusz, mógł być zupełnie zadowolonym; nie widział on jednak prawdopodobnie, co mnie ten nader długi wieczór kosztował! Nigdy, nigdy nie zapomnę tego wieczora!

A przecież zdawało mi się, że Cezaryusz coś prze-czuwał. Szum wiatru w gałęziach lip na dziedzińcu, szczekanie psów, nawoływanie stróżów nocnych w około gumna i ogrodu, wszystko to trwożyło go jakoś: oglądał się nagle poza siebie, patrzył w okno, nasłuchiwał z uwagą.

Po herbacie prosił mnie, abym co zagrała. Usiadł przy mnie koło fortepianu a krzesło przysunął bliżej, niżeli zwykł był czynić.

— Co mam panu zagrać?—zapytałam patrząc z uwagą w jego oczy.

Cezaryusz podparł ręką głowę, spojrzął przed siebie jak człowiek zamyślony i odpowiedział w niejakiem roz-targnieniu:

— Muzyka, to słowa serca; wygraj pani to, co w tej chwili w niem się mieści: nie pojmuję jak można komu rozkazywać co ma grać lub śpiewać!

— Nie pytałam o rozkazy—rzekłam z lekkim wyrzu-tem—chciałam tylko wiedzieć, co się panu z tego co umiem najlepiej podoba! Panowie macie czasem odrębne gusta, a nam potrzeba się częstokroć do tego gustu zastosować!

Cezaryusz spojrzął na mnie zdziwiony. Patrzyłam mu śmiało w oczy i śmiało wytrzymałam jego badawcze spoj-zenie. Uśmiechnął się po chwili z pewną goryczą, jakiej pierwej na jego twarzy nie widziałam i rzekł:

— Jeśli się nie mylę, pani masz ochotę rozpocząć małą wojnę!

— Wojnę? — odpowiedziałam z uśmiechem — wojnę? Czyż moje tak lojalne słowa zapowiadają wojnę?

— Jeżeli malkontenci w jakim państwie mówią z ostentacją o bezwzględnej uległości, to żywią niezawo-dnie w sercach swoich bunt nader blizki!

— Zle wybrałeś pan to przyrównanie! Tylko poddani zwykli buntować się, kobieta nie należy do nich!

— Prawda, przyrównanie nie było zrzeczne: kobieta należy do rządzących....

— Ale rządzącym wypadnie często stosować się do opinii publicznej, wymagań podwładnych.

— W takim razie zostawiam pani zupełne prawo inicytywy, ów z zawiścią strzeżony klejnot przez wszystkie rządy....

— Więc korzystam z niego w całej rozległości teraz i kiedyś także do niego się odwołam. W obu jednak razach przyrzekasz mi pan słuchać! Czy tak?

Gdyby Cezaryusz był wiedział, jaką myśl w duszy mojej tym przypadkowym słowem podłożyłam, nie byłby może z tak jasnym uśmiechem wziął moją rękę do pocałowania. Długo trzymał moją rękę, jakby liczył w niej tętna, jakby z obiegu krwi chciał badać, co w tej chwili dzieje się w sercu mojem! Potem uśmiechnął się szczęśliwie i odrzekł:

— Teraz i zawsze będę słuchał. Teraz muzyki a potem rozkazów. Czém mi w tej chwili będzie muzyka, tém samém będą mi przez całe życie rozkazy pani!

Odpowiedziałam Cezaryuszowi za te piękne słowa uściśnieniem ręki i położyłam palec na klawiszach, aby wypełnić jego życzenie. I dziwna myśl przyszła mi w tej chwili do głowy. Wybrałam kompozycję stosowną do naszej obecnej sytuacji. Przebiegłam całą skalę tonów, przeszłam całe bogactwo pięknych i poważnych akordów i zagrałam Karnawał wenecki!

Cezaryusz z razu słuchał z pewnym roztargnieniem. Zdawało się że podczas gry mojej oddał się własnym marzeniom; podparł ręką głowę i patrzył zamyślony przed siebie: prawdopodobnie szukał myślą najbliższej przyszłości swojej!....

Jedni mówią, że muzyka każda wyraża pewne myśli i przed okiem naszym odsłania pewne obrazy. Zapewne nie każdy kompozytor był pewny tego twierdzenia, bo uznał za rzecz słuszną dać najprzód napis na swoim dziele, co ono oznacza, a potem jeszcze popodpisywać niektóre miejsca, jak np. chmury nadciągają, słońce zaczyna świecić, niebo wypogadza się, Filon woła Alcimadury i t. p. Bez tych napisów byłby może kto inny inaczej wytłumaczył sobie te melodye i kombinacje tonów. Drudzy znowu utrzymują, że muzyka potęguje tylko to, co już w słuchaczach gotowego

zastała. I tak: pewien znakomity krytyk opisując koncert Liszta, wprowadza czytelników poza kulisy całego audytorium i z wszelką ścisłością anatomiczną trepanuje wszystkie głowy, aby nam okazać, co w każdej chwili wywołał koncert znakomitego mistrza. Zaraz na wstępie przedstawia nam okazałego jegomościa, który od lat siedmiu marzy o kluczu szambelańskim. Dla niego dziwnie działają tony mistrza; wypychają one na pierwszy plan klucz złocisty, wiszący na szerokiej wstędze. Każdy niezwyklejszy akord, każda śpiewniejsza nuta, to dźwięk tego złocistego klucza o złote, przy bocznych kieszeniach fraka przytwierdzone guziki.... Tam spekulant giełdowy zaciska usta, ilekroć razy długie palce maestra zbliżają się do basu. To złowieszczy dla niego sygnał. On spekuluje na podwyżkę *à la hausse!* Wszelkie obniżenie tonów, to obniżenie kursów na giełdzie!.... Tam w ukryciu, jak fijołek w trawie, siedzi blada dziewczica i lękliwie patrzy na ufryzowaną głowę złotego młodzieńca. Marzenia jej postępują wraz z rosnącą grą artysty, a gdy tenże całą siłą do kulminacji swojej kompozycji dąży, dziewczica widzi siebie już w białym stroju na stopniach ołtarza i czuje na palcu obrączkę ślubną szepcząc słowa: i ja nie opuszczę aż do śmierci!... i t. d. O czém myślał w takim razie krytyk, który miał bilet gratysowy?.... Zapewnie o przyszłym efekcie swojej krytyki!

Nie wiem, jakie myśli i marzenia rozbudziła gra moja w duszy Cezaryusza? Czy ona wniosła tam co nowego, czy tylko służyła słuchającemu za wygodną pauzę milczenia, jak się często w salonach wydarza.

Po chwili jakby się ze snu ocknął, spojrzał na mnie Cezaryusz i rzekł po niejakiem milczeniu:

— Pani grasz wybornie Karnawał wenecki! Nigdy nie był on dla mnie zrozumialszym. Zdaje mi się, że widział plac przed kościołem św. Marka, że słyszał ten cudowny dyalog dwóch.....

— Dwóch masek!—przerwałam Cezaryuszowi biorąc ostatnie akordy karnawału.

— Masek?..... prawda; to maski rozmawiały z sobą!

— Rozmowa ich nie była szczerą! Była tylko czczą zabawką dla chwilowego ubawienia się!

— Prawdopodobnie, ale nie zawsze. Czasami przed maską wypowiada się prawdę, jakiej bez maski niktby nie powiedział!

— Ach! taka prawda musi być straszna!

— Przeciwnie: dla własnej wygody naszej bierzemy ją za żart, to jest tak, jak nam ją podano!

— Taka wygoda życia jest okropna! Nigdy nie chciałam się spotkać z podobną wygodą u innych!

— Zapewne... ale niech po tej maskaradzie zagra pani coś na seryo: czuję potrzebę poważniejszych uczuć!

— Znasz pan *Elegię* tego samego mistrza? Znasz pan tę smutną katastrofę w życiu kompozytora?

Cezaryusz pochylił głowę na znak, że zna jedno i drugie. Zaczęłam grać *Elegię*!

Żywo stanęła mi w tej chwili smutna katastrofa poety, którą w tej kompozycji tak pięknie ale oraz tak smutno wyśpiewał. Grałam może z większym użelzi zwykle zapamiętałam, może lepiej nawet w tej chwili rozumiałam kompozytora!....

— To smutna tragedia serca! — rzekł Cezaryusz i odechnął pełną pierśią.

— Serce kobiety pękło z bólu! — dodałam i przestałam grać nagle.

W tej chwili wstał ojciec z sofki. Skończywszy lulkę i przejrawszy gazety zaczął przechadzać się po pokoju; to było znakiem, że zamierza udać się na spoczynek: zegar nad kominkiem wskazywał godzinę pierwszą.

Po krótkiej powszechniej rozmowie rozeszliśmy się wszyscy.

XXXIV.

Upragnioną była mi w tej chwili samotność. Chciałam zebrać wszystkie wrażenia dnia dzisiejszego; chciałam się zmierzyć sama z sobą, czy na wypadek koniecznej ofiary i stanowczego kroku, sił mi nie zabraknie.

Rzuciwszy się na krzesło w samotnym pokoiku moim przyłożyłam rękę do serca, aby się dowiedzieć najprzód co ono mówi: serce biło mi żywo i chętnie nawet mogłoby się pogodzić z rzeczywistością. Było ono prawie zupełnie

po stronie Cezaryusza, pieściło się jego obrazem, który tam tak długo przemieszkował; zamarzyło nawet o świetnej, szczęśliwej przyszłości, jaka mnie czeka przy boku mego przeszłego, dozgonnego towarzysza: świat cały zazdrościł mi, wszyscy patrzali na mnie jak się patrzy na szczęśliwą!...

Ale w tej chwili wychyliło się do mnie blade, smutne widmo. Jakiś głos wewnętrzny mówił mi, że pałac szczęścia mego, obronny zamek rządów moich spoczywać będzie aż do ostatniej mojej chwili na podziemnym więzieniu, z którego w chwilach nocy spokojnej, doleci do mnie jęk męczonój podemną ofiary!...

Gdziekolwiek okiem spojrzałam, widziałam przed sobą smutną twarz biédnej kobiety, której serce pękło z bólu, że nie mogła być tém, czém ja dzisiaj byłam, chociaż może prędzej odemnie na to sobie zasłużyła!...

Widziałam ją gdy na suchy kawałek chleba zarabiała całodzienną pracą, a jeszcze wśród tej pracy poświęcała w marzeniach swoich wiele chwil temu, który w jej duszy rozbudził i potargał te złote marzenia!...

Widziałam jak na kolanach błagała Boga o mężtwo i odwagę do dalszego życia, które prócz ostrych cierni nie miało już dla niej żadnych kwiatów, żadnego wdzięku!

Widziałam jak postradawszy miłość, która jej całe życie wypełnić miała, nie wsiąkała w siebie żółci i złośliwej ironii życia, jak to wiele z zawiedzionych kobiet czyni, ale napełniła serce swoje jeszcze czystszą i jaśniejszą miłością Boga i ludzi, wśród których żyła!

Czyż nie byłoby z mojej strony niesłychanem okrucieństwem, abym tę kobietę zostawiła bez żadnego ratunku na drodze życia? Czyżbym mogła spokojnie królować w pałacu szczęścia mego, gdyby ona z podziemia do mnie jęczała?

Ale jakież byłby sposób jej ratunku?

Na to pytanie ścisnęło się z bólu serce moje. Odpowiedź była dla niego straszną, zabijającą. Potrzeba było być zrzec się tego, co moje jedyne szczęście stanowić miało! Potrzeba było wyrzec się — Cezaryusza!

Ta myśl odebrała mi na chwilę przytomność. Oparłam głowę o poręcz, a wkoło mnie zaczęły dziwne rzeczy majaczyć!...

— Jako—szeptał mi ktoś do ucha—i ty mogłabyś powziąć myśl tak dziką, niepojętą? Któraż kobieta czyni ofiarę z serca, które zdobyła? Któraż odrzuca od siebie szczęście, co samo do niej przychodzi? Czyż nie jest całe życie nasze tylko walką mocniejszego? Mocniejsza kobieta zdobywa laury, a przecież zdobywa je w walce z innemi! Cóż ztąd, że jedne ulegną? Wszak to jest los każdej walki! Któż zwyciężonemu władzcy oddaje berło i koronę, jeżeli panowanie jest niepodzielne? Jakież mogę mieć skrupuły idąc dalej drogą mego szczęścia?...

Gdy taki głos wewnętrzny do mnie przemawiał, było mi coraz smutniej, coraz boleśniej w duszy. Uczułam żal do saméj siebie, że podobnego głosu tak długo słuchać mogłam. Kolana moje mimowoli zgięły się, z moich oczu wypłynął potok łez....

Zaczęłam się modlić. I długo, bardzo długo modliłam się: wreszcie wstałam i czułam jakąś ulgę.

Zaledwie jednak napowrót w krzesło usiadłam, aby po odbytej walce wewnętrznej odpocząć, zbliżył się znowu do mnie kusiciel.

„Jesteś narzeczoną — szeptał mi do ucha — zaręczyny twoje odbyły się z wszelką okazałością, całe sąsiedztwo podzielało tę uroczystość... Cóż dzisiaj świat na to powie, że twój narzeczony z pierścionkiem swoim odjedzie od ciebie? Cóż powiedzą wszyscy sąsiedzi, jeśli zamiast spodziewanego wesela usłyszą wieść stugębną, że Cezaryusz zerwał ze swoją narzeczoną!... I jakakolwiek będzie temu przyczyna, jakiegokolwiek będą pobudki twoje do tak stanowczego kroku, świat cały wytlumaczy je na twoją niekorzyść, bo to jest jego odwiecznym zwyczajem! Świat nigdy nie łączył się ze słabszymi, a szczęśliwym zbrodniarzom służył zawsze z uniżeniem! Świat, to żyjąca wiecznie ironia dobrego, to szatan splątany i walczący z aniołem, to myśl szlachetna w mózgu zatwardziałego złoczyńcy, z którego nigdy na jaw oswobodzić się nie może!... Ten świat obsypie cię śmiechem szyderstwa! Przyjaciele, którzy przed chwilą życzyli ci szczęścia twego, będą się z ciebie natrzasać i palcem wskażą cię na wszystkich drogach twoich! Wymyślą najokropniejsze historie, a ty odegrasz w nich rolę niefortunnéj bohaterki, którą ze sceny gwizdaniem i obelgą wygnano!... Wierzaj,

kobieta dla opinii świata często wiele, a czasami nawet wszystko poświęca! Gdy po pod wodę płynąć nie można, trzeba iść z wodą. Świat ma swoje stare, pozytywne prawa, a prawa natury, serca i sumienia nie są dotąd księgą obowiązującą. Dwa te światy walczą wprawdzie z sobą nieustannie, ale prawa pierwszego nie są jeszcze w praktyce niczem nie uszczuplone, choćby nawet zasady inne głoszono!..."

Myśli podobne napierały coraz mocniej na serce moje. W piersi brakło mi tchu, brakło mi westchnień. W oczach nie miałam już łez. Duszno, strasznie duszno było mi w mojej komnacie: przystąpiłam do okna i otworzyłam je.

Noc była zimna, jesienna. Niebo świeciło nademną ciemnym szafirem, a na niém rozsypane miryady światów mrugały do mnie z jakąś dziwną przyjaźnią. Z poza ciemnego lasu na krawędzi góry przedzierał się księżyc i srebrną luną znaczył swój pochód na szafir rozpięty.

I zdawało mi się, że na tém czystém, pogodném niebie widzę tron Boga na gwiazdach oparty, obłokami otoczony. W błękitnej szacie, ze srebrnym włosem na głowie patrzył ku mnie z miłością straszliwy Władzca światów. Na Jego sędziwej twarzy igrał uśmiech dobrotliwy i zdawało mi się, że mówi do mnie:

„Patrz dziecię! Oto miryady światów otaczają mój podnózek i od wiek wieku słuchają mych rozkazów. Zakreśliłem im tory, z których im zbaczać bezkarnie nie wolno, zliczyłem je i podzieliłem je między słońca, które im dają światło i ciepło. I całemu stworzeniu dałem podobne prawa, a każde z nich chowa je w piersi swojej. I im nie wolno przeciw tym danym prawom wykroczyć bezkarnie!... Czy nie umiesz tych praw jasno w twojej duszy odczytać? Cóż ci zaciemnia wzrok twój? Mówisz o względach dla świata?... O biedna, trzykroć biedna! Czémże w obec tych szumu milionów światów, jest szept drobnej trawki, którą nazywasz opinią twego światka?... Gwar ten przeminie jak przemija szmer liści, nie zostawiwszy pamięci po sobie, a w księdze świata zapisane tylko będą wszystkie uderzenia serca twego, prawe i nieprawo!... Strzeż twego serca, słuchaj co tam mówi prawo moje, a głos świata zostaw za sobą!..."

I długo, długo patrzałam w to niebo gwiazdziste. Wiatr chłodny jakby zmaczaną chustą owijał skronie moje, a serce moje zaczęło bić coraz wolniej. Błogi spokój ogarniał je zwolna, a lepsze, szlachetniejsze myśli, brały górę nad wzburzoną namiętnością.

W tém jakiémś dziwném, nieokreśloném uczuciu czułam rozkosz niewymowną. Gotowałam się do wielkiej ofiary. Słodki dreszcz przebiegał wszystkie nerwy moje. Czułam w duszy jakieś nowe, dotąd nieznanne życie!...

Tymczasem księżyc przebiegł sporą przestrzeń nieba i zniżał się ku lasom przeciwniej strony. Iskrzące gwiazdy zaczęły zwolna przygasać a szafirowe tło nieba bieleło coraz więcej. W końcu z poza najwyższej góry trysnął różowy strumień światła; całe niebo podzieliło się na dwie połowy: ku jednej mknęły ciemne duchy nocy, druga gotowała się na przyjęcie nowego gościa, który biały i jasny wychylał się z poza krawędzi widnokregu: nowy dzień zaczął świtać.

Walka moja była skończona! Sumienie przemogło miłość!

Odeszłam od okna i spojrzałam do zwierciadła. Rzecz dziwna: zamiast bladój, bezsenną nocą zmęczonój twarzy, ujrzałam w zwierciadle twarz świeżą, pełną życia i uroku. Nigdy nie widziałam siebie tak piękną! Cóż mnie nagle uczyniło tak piękną, coż mi dodało tyle powabu?...

Nie poszłam już wcale do łóżka, bo nie czułam potrzeby spoczynku. Miałam tyle sił i zdrowia, jakbym najlepiej całą noc przespała. Umysł mój był trzeźwy i pogodny, a jesienna woń powiędłych liści, wydała mi się tak przyjemna, jak woń wiosny!...

XXXV.

Gdy już dostatecznie serce moje do wielkiej ofiary przygotowałam, zaczęłam nad tém myśleć, aby ofiara moja wydała należyte owoce; niedość mi bowiem było rzec się Cezaryusza, ale chciałam Kornelii szczęście przywrócić.

Było to zadanie nader trudne. Serce nie lubi żadnego pośrednika, bo gdzie pośrednik sprawę w rękę bierze, tam nie ma już serca. Nie mogłam więc stanąć otwarcie między Cezaryuszem a Kornelią i jak to się w wodwilu dzieje, wziąć

ich za ręce i razem połączyć. W życiu sprawa serca postępuje inną drogą; potrzeba mu było zostawić swobodną tę drogę.

Długo myślałam nad tą drogą; wreszcie szczęśliwa myśl przysłała mi do głowy: serce uderzyło mi żywiéj, a w duszy uczułam taką dziwną rozkosz, jakiej nigdy w życiu nie doznałam!...

Dzień tymczasem coraz jaśniej wybijał się z poza czarnych lasów. Już kilka ptaków zaświegotało w konarach lip, szczyty topoli zabłysły czerwonym złotem: w cerkiewce ozwał się dzwon na pozdrowienie N. P. Maryi...

Zarzucałam szal ciepły na siebie i wyszłam do alei ogrodu. W alei przechadzał się już ojciec. Trzymał czapkę w rękę i głośno odmawiał Pozdrowienie Anielskie. Na widok ojca zasmuciło się serce moje.

— Dzień dobry ci, moje dziecię, — ozwał się ojciec, całując mnie w głowę — właśnie myślałem o tobie.

Zacięłam usta, bo przeczuwałam, że się zaczyna moja droga cierniowa. Poświęcenie się jest piękną woniejącą różą, ale kolce jéj ranią rękę, co ją zrywa: pierwsze kolce miały mnie w téj chwili rozranié.

— Właśnie myślałem o tobie, moje dziecię — mówił dalej ojciec — bo miałem noc dziwnie niespokojną. Obawiam się aby nad naszym dachem nie zawisła jaka chmura nieszczęścia. Nie umiem ci się bliżej wytłumaczyć, bo właściwie nic nie wiem i nic nie widzę, coby wam na drodze do waszego szczęścia stanąć mogło, a jednak czegoś niepokoi się serce moje!

— Cóżby się naprzykład tak złego stać mogło? — odpowiedziałam z bolesnym uśmiechem.

— Coby się stać mogło? Różne rzeczy dzieją się z dopuszczenia woli Bożej.

— Co Bóg dopuści, to już być złem nie może!... Są rzeczy które za złe uważamy, a które w końcu stają się dla nas szczęściem!

— Prawda, prawda, temu nie przeczę...ale widzisz moje dziecię, człowiek jest człowiekiem i przywiązuje się do tego szczęścia które ma pod ręką, a nie wypuszcza go aby kiedyś z lichwą napowrót je odebrać! Przyszłość nie nasza!

— Czy ojcuzko stosuje to do mnie w téj chwili?

— Niekoniecznie, ale tak... widzisz, przy niespokojnym sercu różne myśli przychodzą do głowy. Naprzykład gdyby twój ślub z Cezaryuszem...

— Gdyby mój ślub z Cezaryuszem nie przyszedł do skutku? Czy to miałeś ojcze na myśli? Czyż to byłoby już niepowetowane nieszczęście?

— Nie nie, tego nawet nie przypuszczam. Tak przywiązałem się już do tej myśli, i tak go jako syna mego pokochałem, że jakiegokolwiek w tej mierze nieszczęście, mogłoby mnie zabić!

Połknęłam kilka gorzkich łez i zacisnęłam usta. Nic na to ojcu nie odpowiedziałam, bo mi żadne słowo przez usta przejść nie chciało.

— Nie, nie, nie — mówił ojciec dalej machając ręką w koło twarzy, jakby niemiłe myśli od siebie odpędzał — nie, nie, nawet myśleć o tym nie chcę!

— Przecież zapewne był jakiś powód, który ojcu podobne myśli natrącił — rzekłam z zapartym oddechem.

— Ej, żaden powód! Co tam powtarzać cudze głupstwa! Pies szczeka w lesie a wiatr niesie!

— Przecież ojciec nie masz przedemną żadnej tajemnicy? — zapytałam z niejakiem zdziwieniem.

— Ot, to ci powiem, tylko nie przywiązuj do tego żadnej wagi. Służący Cezaryusza, którego Szymek wczoraj uraczył, miał się wyrazić, że on póty nie uwierzy w ożenienie swego pana, póki nie obaczy go przy ołtarzu. Powiedział także, że jeździł on ze swoim panem do jednego dworu, gdzie była panna bardzo ładna i gdzie się miał żenić, ale jakoś się urwało!

Mówiąc to do mnie, patrzył ojciec z uwagą na mnie: nie wyczytał na twarzy mojej żadnego zdziwienia: nie było mu to jakoś na rękę. Z lekką chmurką na czole odezwał się do mnie po niejakiem milczeniu:

— To ci powiedziałem dla tego, abyś z tego korzystała mogła. Wyrobiłaś bowiem sobie dziwne wyobrażenia o miłości. Chcesz ludzi brać na próbę, odwlekasz dzień ślubu, a ja ci mówię, kto strunę przeciągnie, to ją urwie!

Chciałam coś ojcu na to odpowiedzieć, ale zamiast słów cisnęły mi się łzy do oczu. Łzami jednak w tej chwili mó-

wić nie chciałam. W nieszczęściu chciałam mieć twarz pogodną jak niebo lipcowe. Łzy miałam tylko dla siebie i dla Boga!...

W tój chwili odwołał ekonom ojca do gospodarskiej narady.

XXXVI.

Dzień listopadowy, pogodny i ciepły zajaśniał całą swoją okazałością. Słońce wysunęło się już sporo wysoko i oblało może poraz ostatni ciepłym światłem odumierające kwiaty i drzewa. Małe, złote muszki, które już na sen zimowy w kryjówkach swoich się pokładły, zbudzone ciepłymi promieniami, wyszły napowrót do życia i miłym brzęczeniem napełniały całe powietrze.

Smutno, bardzo smutno zrobiło mi się na widok tój pięknej, jakby na nowo do życia budzącej się przyrody. Wszystko oddychało nowym, pełnym życiem, dla wszystkich починаł się dzień nowy szczęścia i rozkoszy, tylko dla mnie zachodziła w tój chwili gwiazda mego szczęścia, którą pieściłam się tak długo, taką tęsknotą ją ogarnęłam!....

Na widok zdrowych, dniowych barw życia, zaczęło się moje serce buntować. Myśli w nocy poczęte zaczęły blednąć przy tonach rzeczywistych. Jeszcze raz przystąpił do mnie kusiciel i mówił mi bardzo rozsądne rzeczy, ale i tym razem odszedł zwyciężony. Rozkaz poświęcenia, jaką już dzisiaj uczułam, obowiązywała mnie do wychylenia reszty czary!

Mimo to musiałam z sercem mojem wejść w kompromis. Nie mogło ono tak nagle pozbyć się uczucia swego dla Cezaryusza. Uczucie to może nie było ową wielką a tak rzadką miłością, zbliżało się jednak bardzo do niej. Trudno było naraz wyplenić je, wyplenić bez wielkiego bólu, bez żalu.

Ustawa świecka pozwala człowiekowi osądzonemu na śmierć, po odczytaniu wyroku żyć jeszcze trzy dni; dla czegoż ja nie mogłam po wydaniu na siebie wyroku żyć jeszcze dawnym szczęściem mojem przynajmniej tyle dni co zbrodniarz?

Było to ustępstwo dla serca, które tak nagle z marzeniem swoim nie chciało się rozłączyć.

Postanowiłam więc trzy dni jeszcze być rzeczywistą narzeczoną. Postanowiłam przez te trzy dni żyć całą pełnią mego szczęścia, a potem przysposobić się do odwrotu, przez ciernie, przepaście a może nawet, przez grób!...

I ozwała się we mnie próżność kobiéca. Jeżeli gwiazda mego szczęścia zająć miała, to chciałam aby zaszła tak jasna i promienna, jaką podczas krótkiego swego życia nigdy nie była!...

Poszłam do mego pokoju i kazałam się ubrać w nową suknię, która do wyprawy mojej należeć miała. Włosy utrefiłam w duże, na ramię spadające pukle, w których byłoby mi najładniej do twarzy. Do włosów wetknęłam tylko jeden czerwony kwiatek z dwoma zielonymi listkami.

Obaczywszy się w zwierciadle nie poznałam siebie: miałam w sobie coś z pierwszych bohaterów greckich. Zdawało mi się, że mnie oczekują liczni widzowie, przed którymi mam godnie odegrać wielką tragedję życia....

Wyszłam do ogrodu. W ogrodzie już czekał na mnie Cezaryusz.

Nie umiem opisać pierwszej chwili naszego spotkania. Na mój widok trysnęły z jego twarzy promienie szczęścia. Przyskoczył do mnie i uchwycił za dłoń moją. Nie broniłam mu ręki, ale stałam nieco dalej od niego. Powaga z jaką go przyjęłam, kazała mu stać w tej samej oddali. Widziałam jednak wzruszenie jego, gdy mi rękę całował. Prawdopodobnie ręka moja zdrząła w tej chwili, bo ją przed ustami czas niejaki zatrzymał i długo we mnie się wpa-trywał.

Zaczęliśmy przechadzać się po ogrodzie. Zwróciłam rozmowę na rzeczy, które nas otaczały.

Przed obiedem przyjechała Ewunia. Zrazu przestraszyłam się aby Ewunia nie wygadała się z czem i nie popusła mi całego planu; ale po pierwszych słowach przekonałam się, że Ewunia nic o Kornelii nie wie. Stryjenka prawdopodobnie tylko sama dowiedziała się o tém, i niechcąc dalej sprawy tej rozmyzywać, nie zwierzyła się nikomu. I bardzo słusznie.

Zaraz na wstępie, obejrzawszy mnie od stóp do głowy, klasnęła Ewunia w ręce i zawołała:

— Teraz już wierzę, że Regina wkrótce uklęknie przed ołtarzem: już się przyzwyczajają do stroju uroczystego.

Uśmiechnęłam się na to boleśnie. Przypomniałam sobie, że kobiety nie tylko do wesela, ale i na śmierć lubią ładnie się ubierać. Słyszałam o konających, które z wszelką przytomnością wydawały rozkazy co do ubrania w trumnie.... Ja wesela nie oczekiwałam!...

Po obiedzie postanowiliśmy wycieczkę na górę, na której majaczył mały błękitnawy krzaczek; krzaczek ten odrysowany nie jasno na tle nieba, był olbrzymiemi drzewem!

Tymczasem i ojciec był z nami. Przejeżdżając przez las na skrócie drogi, rzekła do mnie Ewunia:

— Renio, tu obaczyłaś po raz pierwszy pana Cezaryusza: weź garść liści z téj leszczyny na pamiątkę!

Cezaryusz sięgnął ręką do góry i chwycił za gałązkę leszczyny: gałązka została przy drzewie, tylko liście pozostały w garści Cezaryusza. Patrząc na tę gałązkę z liści odartą i smutnie sterczącą pomiędzy innymi, rzekłam do Cezaryusza:

— Spójrz pan, coś zrobił! Z pięknej zielonej gałązki zrobiłeś pan smutną bezlistną łodygę! Czy ze wszystkiemi pan tak robisz?

— Jeżeli dobrze pojmuję aluzję -- odparł Cezaryusz z uśmiechem ożywionym -- to na to pytanie tylko pani odpowiedzieć może!

— Masz pan słuszność: ja na to winnam panu odpowiedzieć.

— Czyż serce pani oberwałem ze złotych marzeń jego, jak tę gałązkę z zielonych liści?

— A gdybyś pan nie mnie, ale kogo innego o to zapytał?

Na ustach Cezaryusza zaigrał uśmiech żartobliwy, ale na czole jego wystąpiła mała chmurka. Przerwywając szybko tę scenę sięgnęłam po liście leszczyny, które w rękętrzymałam i wzięłam z nich trzy listki. Schowałam je za rąbek sukni na piersi. Ewunia trąciła ręką Cezaryusza, a obsypując mnie pocałunkami, zawołała:

— Patrz pan, patrz pan! Nigdy nie myślałam, że będzie tak sentymentalną!

I chciała jeszcze tak dalej wesoło szczebiotać, gdy nagle spojrzawszy na mnie, umilkła i posmutniała: w moich oczach były łzy!...

Dalszą drogę odbyliśmy w poważniejszym nastroju.

Na szczycie góry, pod olbrzymiem drzewem usiedliśmy wszyscy. Słońce dosyć ciepło ogrzewało nas; na stoku góry pasły się owce kilkoma stadami: z różnych stron dochodził do nas odgłos fujarek pasterskich.

Przed nami rozwijał się przecudny krajobraz: długa dolina, dwoma pasmami gór jakby w ramki ujęta wybiegała nam z pod niej i mknęła gdzieś w dal błękitną aby się w końcu z niebem poślubić. Wzięła mu z pod nóg prawie pyszny, kryształowy potok, który jakby tęsknąc za nami, kilka razy do nas zawracał, i przepadła razem z nim w bezkresnym przezroczu!... Tu i owdzie sterczały grupy drzew, jakby z gór sąsiednich stoczonych, a czasami błysnął mały stawek, który na ziemi drugie niebo tworzył!...

Widok natury ma w sobie coś podobnego do muzyki. Oko i ucho działają tutaj na duszę naszą w jeden sposób: budzą w niej marzenia drzemiące i potęgują je w miarę wrażenia, jakiego doznajemy.

Staliśmy długi czas w milczeniu. Zdaje się, że każdy był sam sobą zajęty. Myśli nasze i uczucia wysnuwały się z duszy naszej jak lśniące, różnobarwne wstęgi i dążyły wraz z potokiem w przestrzeń daleką i wiązały się na jej krańcu z białymi obłokami nieba, które jakby naumyślnie zniżały się tam ku ziemi!...

Nie wiem jakie były marzenia ojca, wnosząc jednak z jego twarzy i jasnego wejrzenia były te marzenia jasne i pogodne. Widział zapewne szczęście moje, roztaczające się daleko i szeroko, jak ta dolina przed nami, ubarwiona grupami drzew zielonych, przezroczą wód błękitnych i sinemi górami. Ewunia patrzyła przed siebie z lekką chmurką na czole. Na widok tej pięknej natury czuła zapewne żal do życia, które nie dało jej tak pięknych widoków!... Cezarynsz patrzył także tak samo jak ojciec i Ewunia przed siebie, ale patrzył okiem rozmarzonym. Zdaje się, że w duszy jego tłoczyły się w tej chwili piękniejsze od natury widoki, bo widoki bliższej, szczęśliwej przyszłości!...

Na mnie ta piękna dolina sprawiła odmienne wrażenie: zdawało mi się, że poraz ostatni patrzę na nią z sercem żywiej bijącym, że za dni kilka zamilknie to serce i nasunie wzrok mój mgłą szarą i smutną. Kto wie, czy wtedy dusza moja będzie wrażliwa na to wszystko, co dzisiaj przed sobą podziwia? Nastrój naszego oka zależy od tego, co się w sercu dzieje; cóż obaczymy, jeśli tam smutek lub gorsza od smutku cisza grobowa osiedzie?

Chciałam przerwać te smutne medytacje; rzekłam do Cezaryusza:

— Szukajmy jakiego ostatniego jesiennego kwiatka, któregooby jeszcze mróz nie zwarzył? Kto go pierwszy znajdzie, ten znajdzie szczęście swoje!

— Szukajmy więc wspólném okiem — odpowiedział z uśmiechem Cezaryusz — bo tylko wspólnie szczęście znaleźć możemy!

Rzekłszy to zbliżył się do mnie i zaczęliśmy oboje szukać jakiego kwiatka na ziemi. Ojciec założył ręce i przechadzał się pod drzewem patrząc daleko w dolinę. On nie pragnął już żadnego kwiatka na ziemi: szczęście całe widział wemnie. Ewunia jednak schyliła wzrok do ziemi, jakby jeszcze kwiatka szukała: czyż ona nie czuła się szczęśliwą?...

Miejsce, gdzieśmy z Cezaryuszem za kwiatkiem patrzali, tworzyło lekką pochyłość góry, która nagle załamywała się w przepaść stromą, bezdenną. Na samej krawędzi téj przepaści rosły krzaczki jałowcu. Patrząc na te krzaczki zdawało mi się, że nie bez celu rzuciła je tam ręka Stwórcy. Była to dla drobnych, pełzających zwierzątek jakoby baryera, chroniąca je od przepaści. Mogły się na tych liściach i gałązkach powstrzymać i napowrót cofnąć. Nie przeczuwałam że jeden z tych krzaczków jałowcowych odegra daleko ważniejszą rolę...

Szukając kwiatka zaczęłam się zwolna w tył cofać. Nie wiedziałam że byłam blisko przepaści. Żółte i czerwone liście drzewa, które na trawie leżały łudziły mnie barwą swoją. Za każdym krokiem myślałam, że widzę kwiatek. Cofałam się więc krok za krokiem, od jednego złudzenia do drugiego....

W téj chwili krzyknęła Ewunia; podniosłam oczy i obejrzałam się: stałam na ostatniej piędzi ziemi, nad samą przepaścią... Do tego jeszcze lekki powiew wiatru wziął szeroką suknię moją i zawiesił ją ponad brzegiem...

Rzucił się ku mnie Cezaryusz. Na nieszczęście usunęłam się w téj chwili z miejsca; nie mogąc już mnie ręką dosięgnąć, stracił w zapędzie równowagę i zsunął się w przepaść!

Nie opiszę téj chwili naszego przestachu: Ewunia zemdląła, ojciec stanął jak wryty, bo Cezaryusz nagle znikł mu z oczu.

Ja tylko jedna stojąca nad brzegiem przepaści, widziałam co się stało. Usuwając się w przepaść, chwycił Cezaryusz za krzaczek jałowcowy i zawisł w powietrzu; ale krzaczek był mały i słaby, a ziemia w której miał korzenie była krucha i pulchna....

Widziałam z przerażeniem jak spory kawał murawy odkroił się nagle od brzegu, a głębsze korzenie krzaku zaczęły jak nitki pękać jedna po drugiej!...

Kilka sekund bezczynnych, a Cezaryusz znikłby wraz z krzaczkiem w bezdennéj otchłani...

Ratować go nie było sposobu. Rękami trzymał za krzaczek, a całym ciałem był już daleko poniżej krawędzi: schylać się nie można było, aby mu podać rękę...

Przytomność jednak nie opuściła mnie: widząc odkrojoną murawę i pękające korzenie krzaku postąpiłam szybko dwa kroki naprzód i stanęłam nad samą przepaścią, na odkrajanym kawałku ziemi, który przykrywał korzenie krzaku.... Ciężarem swoim powstrzymałam dalsze wrywanie się korzeni, ale lada chwila mogłam sama runąć w przepaść....

Teraz odzyskał ojciec przytomność. Przyskoczył do mnie i położył się na ziemi; spuścił w przepaść rękę i chwycił Cezaryusza za ramię: powoli, powoli wysunął się Cezaryusz na murawę.

Otarł pot z czoła i boleśnie spojrzął na mnie. Ściskając go za rękę rzekłam do niego:

— Nie tylko że oboje szczęścia naszego nie znaleźliśmy, ale byliśmy w niebezpieczeństwie życia!

— Pani winienem życie moje!—odpowiedział Cezaryusz całując mnie serdecznie w rękę.

Patrzałam długo ze smutkiem w twarz jego: zdarzenie dzisiejsze nasuwało mi dziwne myśli.

— Tak jest —rzekłam do niego — uratowałam pana, chociaż pan właściwie mnie na ratunek śpieszyłeś. Nie chciał pan o tém kiedy zapomnieć: ratować życie można w różny sposób.

Cezaryusz wytłumaczył sobie te słowa na swoją korzyść. Rękę moją ucałował z całą namiętnością.

XXXVII.

Pierwszy z ostatnich trzech dni mego szczęścia przeszedł dosyć szczęśliwie. Wydarzenia tego dnia wzięłam za wskazówki Opatrzności, które wytyczały mi drogę, jaką iść miałam dalej.

Na drugi dzień odwiedziliśmy z Cezaryuszem mały mój zakład dla małych dzieci, których rodzice do dziennej pracy odeszli. Naśladowałam w tém biedną Kornelię. Chciałam tym sposobem zbliżyć choć myślą Cezaryusza do istoty, dawniej przez niego ukochanej!...

Był to stary, bezużyteczny dworski budynek; kazałam go naprawić i w dużej izbie urządziłam małą bursę miejską: zacną staruszkę wybrałam na nadzorczynię. Biedna dzia-twa, która czas ten gdy rodzice w polu lub na zarobku byli, spędzała w beczynności i rozpuście, zgromadzona tutaj pod okiem starszej kobiety, uczyła się porządku i przyzwoitości.

Cezaryusz z wielkiem zajęciem przypatrywał się działwie, rozmawiał z nią, egzaminował i małym datkiem uszczęśliwiał ją. Jakby idąc ze mną w zawody, opowiadał mi, że i on coś podobnego u siebie zaprowadził i jeszcze wiele, wiele innych rzeczy mówił mi, których tutaj wyliczać nie będę.

Sądząc jednak z tego wszystkiego, przekonałam się, że Cezaryusz prawie zupełnie odrodził się. Powrócił z czczych foremek światowych do prostych a zacnych uczuć, od pól-snego, fałszywego dowcipu do myśli poważnych i pożyte-cznych. Zabolalo mnie, że ten człowiek, który pod wpły-

wem mego uczucia tak się przetworzył, odejdzie odemnie i stanie mi się obcym... ale sumienie moje i prawo Boże nie pozwalały mi inaczej sobie postąpić!...

Gdyśmy do domu wracali rzekł do mnie Cezaryusz:

— Nie taję tego, bo sama pani to widzisz, że patrząc na panią, napiłem duszę szlachetniejszym uczuciem, o jakim pierwój nie miałem wyobrażenia. I przyznam się, że to rozbudzone uczucie nie daje mi teraz spokoju. Wynajduje wszelkie najdrobniejsze nieprawości moje i każe mi je naprawiać. Tak np. w majątku moim był grunt włościański obok mego; gospodarz tego gruntu był człowiek dla mnie nieprzyjazny: chciałem go za tę nieprzyjaźń ukarać. Kazałem rozmierzyć miedze nasze, z czego okazało się, że głęboko worał mi się w moje pole. Odebrałem więc rzecz ukradzioną, mimo płaczu i narzekań całej włościańskiej rodziny. Dzisiaj przechodząc koło tego gruntu przypomniałem sobie fakt ten. Cóż pani powiesz na to? Sumienie moje ozwało się, czy zbytnią sprawiedliwością nie wyrządziłem krzywdy biédnej rodzinie!... I kazałem jej napowrót wziąć dwa zagony z mego pola!...

— To więcej niżeli szlachetnie! — odpowiedziałam.

— Stary Marek ukraść mi kilka kóp pszenicy z łanu; byli świadkowie na to: oddałem go do sądu, gdzie spory czas siedział zamknięty. Dziś i to wyrzucało mi sumienie: zawołałem go i dałem mu kilka zagonów pod kartofle... Obawiam się, jeżeli to tak dalej stopniowo pójdzie, i wszystkie moje powszednie grzechy zaczną się budzić i wołać wynagrodzenia...

Ścisnęłam go z całą serdecznością za rękę i odpowiedziałam:

— Sumienie szlachetne nie jest nigdy niebezpieczne; każde szlachetniejsze uczucie jest podobne do czystej wody wlanój do próżnego naczynia: co tylko tam jest nieczystego, rozpuszcza się i wychodzi na wierzch!

— A tém szlachetném uczuciem jest—nasza miłość! —rzekł Cezaryusz i spojrział mi tkliwo w oczy.

Nie mogłam znieść w téj chwili jego wejrzenia i odwróciłam się: wzrok mój padł na grubą łodygę słonecznika, który złamany chwiał się w wietrze ...

Przeминаł dzień drugi, szczęśliwy, i zawitał wreszcie dzień trzeci, ostatni! W tym dniu postanowiłam odślonić cały mój plan i rozpocząć bój z sobą i z ludźmi.

Już pierwszy świt zastał mnie przy modlitwie. Prosiłam Boga, aby mi użyczył mężstwa i odwagi, aby mnie nie odstępował, gdy upadnę w bólu i rozpaczyl!...

A gdy się dzień w całej pełni rozbudził, obudziło się i w sercu mojem owo powszednie życie kobiety, od którego tak trudno się odłączyć. Zawołałam służącą i kazałam się ubrać świetniej niżeli zwykle; może to była próżność kobieca, a może duma ofiary, która za lepszą myśl oddaje całą przyszłość swoją. W dawnych bojach żołnierz brał na siebie mundur paradny i w takim ginął! Chwila boju była u niego uroczystością, która podwajała w nim mężstwo i odwagę....

Starannie ubrana przejrzałam się do zwierciadła. I myśl pusta przysła mi do głowy. Któż z nas zwycięży, zapytałam siebie: ja, czy Kornelia?... Lecz zaraz spuściłam głowę jak winowajca i więcój nie dopuszczałam do siebie podobnej myśli....

Wcześniej niżeli zwykle wyszłam do ogrodu; zdaje się że Cezaryusz jakby czekał na mnie: zjawił się zaraz przy mnie.

— W dniu dzisiejszym—ozwałam się do niego zaraz po przywitaniu—czeka pana trud i praca nielada!

— Cóż jest, coby mi w usługach pani sprawiło trud i pracę?—zapytał z szczęśliwym uśmiechem Cezaryusz.

— Dzień dzisiejszy poświęcisz pan moim sprawom: mam interes do miasta!

— Każę natychmiast zaprządz, a na obiad stanę z powrotem!

Cezaryusz wyrzekł te słowa tak lekko, tak swobodnie, jakby nic nie przeczuwał, co w tych słowach było! Patrzałam z uwagą na twarz jego, czy się czego nie domysli, czy serce jego nie ma jakiego dziwnego przeczucia. Prócz szczęścia i rozmarzenia nic nie widziałam. Mój Boże! pomyślałam sobie, jak to często biedny człowiek nic o tém nie wie, co się zbiera nad jego głową!... On tak swobodnie wymówił „z powrotem,” a któż odgadnie, jaki to będzie ten powrót?....

— Sprawunek mój—mówiłam dalej—jest wprawdzie drobny napozór, ale pan wiesz, że życie kobiety składa się z samych drobnostek!... Dałam haft do wyrobienia, a potrzeba do tego bliższego porozumienia się z hafciarką...

Tu głos mi się urwał, bo serce moje zaczęło się buntować. Była to dla mnie chwila stanowcza. Mogłam jeszcze zawrócić, rzucić kir niepamięci na cudze łązy i cierpienia i wejść w posiadanie szczęścia wygodnego aż do śmierci!...

— Potrzebne jest do tego haftu ustne porozumienie się...—mówiłam dalej, a usta moje drżały...

— Wskaż mi pani tylko adres, do kogo mam się udać — ozwał się Cezaryusz najspokojniej.

— Przejdiesz pan ulicę Garbarską, Wesołą i Ustronną... Przy samym końcu Ustronnéj jest mały, pochylony dworek....

Patrzałam przy tych słowach z uwagą na Cezaryusza, czy co z mego planu nie odgadnie: niczego się jednak nie domyślał.

— Pochylony dworek stoi w ogródku—ciągnęłam dalej, — zapewne obaczysz pan dzieci przedmiejskie, bo osoba, do której pana posyłam, jest mi duchem i myślą pokrewną, tylko więcej może szlachetną!... Nadzoruje ona dzieci, których rodzice na zarobek wyszli.

— Pani rada otaczasz mnie samemi szlachetnemi obietnicami.

— Bo wierzę, że przy szlachetnych nie możesz pan być nieszlachetnym!... Biedna hafciarka nazywa się Kornelia!

Cezaryusz wysłuchał to imię z całym spokojem: niczego się nie domyślał.

Za godzinę wózek jego zniknął już we mgle błękitnawéj doliny.

XXXVIII.

Dnia tego nigdy nie zapomnę. Gdyby życie ludzkie, jak niektórzy utrzymują, składało się z pewnej liczby uderzeń serca, to dzień ten kosztował mnie niezawodnie kilka lat życia!...

Zaraz po wyjeździe Cezaryusza poszłam do biblioteczki mojej, bo to było jedyne schronienie, w którym nie naga-bywali mnie domownicy; tam mogłam w samotności pła-kać lub rozmyślać: prócz Boga nikt na mnie nie patrzył!

Zrazu czułam jakąś ulgę na sercu. Wszelka niepew-ność i wahanie się znikły, krok stanowczy już był uczyniony. Nie było już żadnego odwrotu. Co odemnie zależało, już wykonałam, reszta była w ręku Boga. Za mną był już Rubikon, przedemną tylko losy wojny: jakikolwiek mógł być wypadek téj wojny, sumienie moje i honor były już ocalone!

Chwilowe to jednak uspokojenie, które po każdym, ważnym kroku w życiu następuje, nie trwało długo. W du-szy mojej powstała nowa walka; a była ona dla mnie tém boleśnieszka, im bliższą była chwila ostatecznego wyroku.

Najprzód ozwał się w sercu mojem wielki żal za tém, co tracę. Prawie od roku karmiłam się marzeniami i my-śłami o Cezaryusza: widziałam jak pod wpływem szlachet-niejszych uczuć przybierał w oczach moich postawę szlachet-niejszą; wreszcie wszedł do mego serca i tam zamieszkał. Porównywając go z ludźmi powszednimi widziałam w nim człowieka lepszego i wyższego. Widziałam jego gorącą mi-łość dla mnie, przywiązanie do tego, co mnie otaczało: dzisiaj sama go opuściłam i wysłałam jak żołnierza na stracony posterunek!...

Żal ten rozdzierał mi serce. Egoizm jego wyrzucał mi zbrodnię popełnioną na samej sobie. Wyobrażałam sobie skutki mego kroku w barwach najczarniejszych. Ciągłe szeptał mi ktoś do uszu:

„Jeżeli Cezaryusz ujrawszy ukochaną dawniej osobę, powróci do dawnych uczuć, a ty sama się zostaniesz, cóż się stanie z tobą, z twoim ojcem, Ewunią i całym sąsiedz-twem? Ileżto smutku i rozpaczy wyniknie ztąd dla naj-bliższych twego serca, a ile powodów do śmiechu i szyder-stwa dla twoich nieprzyjaciół? Któraż kobieta zdobywszy sobie szczęście, odpycha je dobrowolnie od siebie dla jakiejś fantazyi lub źle zrozumiałego skrupułu sumienia? Krok twój jest niczém inném jak tylko istném szaleństwem, obłą-kaniem serca, chorobą zbyt drażliwej duszy!...

Takie myśli szarpały boleśnie serce moje, które nie mogło wyrzec się egoizmu i nie rozumiało mojej ofiary. Wtedy budziły się we mnie nadzieje, że nad Kornelią mogę jeszcze zwyciężyć. Cezaryusz mógł wprowadzić z nią się widzieć i rozmawiać; nie wynikało jednak ztąd, aby wrócił do dawniej dla niej miłości: dzisiaj bowiem ja stałam między nimi. W dziecięcym stanie może nas lada fraszka zabawić; za kilka lat, postąpiwszy w wyobrazeniach, patrzyśmy na tę samą fraszkę z obojętnością!...

Tak samo mógł Cezaryusz patrzeć dzisiaj na Kornelią, marzyłam sobie, a serce moje biło żywiej na myśl zwycięstwa odniesionego nad rywalką. Ale wnet zasmuciłam się, bo Kornelia nie była wcale fraszką, była piękniejszą a prawdopodobnie i szlachetniejszą odemnie! Bogactwo duszy przy zewnętrznych wdziękach zniewala każde serce do hołdu!...

I serce moje ścisnęło się z bólu, jak serce każdej zwyciężonej kobiety. A w obec tego niebezpieczeństwa rósł Cezaryusz w oczach moich, jak rośnie urok obrazu, od którego się coraz więcej oddalamy!...

Siedziałam długo jak posąg nieruchomy. Przedemną snuły się najdziksze obrazy. Szala zwycięstwa między mną a Kornelią ważyła się co chwila na inną stronę, stosownie do tego, czy serce nad lepszą myślą przeważało, czy sumienie nad sercem górę brało.

Upłynęło półtóry godziny. Według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien w tym czasie Cezaryusz być już u Kornelii...

I dziwny obraz stanął mi w tej chwili przed oczyma: widziałam go klęczącego przed Kornelią; całował jej ręce i wyrzekał się wszelkich popełnionych względem niej grzechów. Przysięgał że mnie nigdy nie kochał, że tylko względy światowe kazały mu wejść ze mną w stosunek podobny! Błagał o przebaczenie za chwilowy obłąd i przyrzekał poprawę i miłość dozgonną. Kornelia miała łzę w ciemnoszafirowych oczach i ten boski wyraz na bladłej twarzy, który ją od wszystkich kobiet wyróżniał, miała wkoło swjej jasnej główki jaśniejszą jeszcze aureolę ubóstwa i nieszczęścia, i długim, długim spojrzeniem przebaczała mu!...

Zerwałam się z krzesła na ten dziwny obraz i zaczęłam szybko chodzić po pokoju. W sercu mojem piekło mi, jak lawa rozpalona; po moich nerwach targał jakiś ból dotąd nieznan. Czy była to pycha kobiety nad którą inna zwyciężyła, czy żal za utraconém szczęściem? Czy miłość moja dla Cezaryusza była istotnie tak wielką?...

Pragnienia duszy kobiecej, jak trudno rozróżnić was i podzielić, które do nieba a które do ziemi należą! Czyż to ma być prawdą, co mówią poeci, że jesteśmy czémś połowiczném między człowiekiem a aniołem? Instynkta aniołów walczą w sercu naszym z żądzami ziemi, a walka ta jest naszym życiem!...

Duszną wydała mi się atmosfera pokoju: wyszłam do ogrodu. Przechodziłam przez te wszystkie ścieżki i drożyny, przez które chodziliśmy razem z Cezaryuszem. Dzisiaj wyszłam go na stracony posterunek... Czy wróci do mnie, czy zginie dla mnie na zawsze!...

Wreszcie nadeszła pora obiadu. Kazałam zaczekać a sama niecierpliwie patrzyłam na drogę pod figurą...

Minęła godzina, dwie, pod figurą nikogo nie było widać: kazałam podać obiad.

— Czy jesteś słabą, Regino?—zapytał mnie ojciec przy obiedzie z utajonym uśmiechem.

— Z czegoż to ojciec wnosi?

— Jesteś bledszą niż zwykle i masz na twarzy jakies drgania kurczowe: usta twoje drżą nieustannie!

— Mało spałam w nocy i czuję się zmęczoną!

— Nic to, moje dziecko—odpowiedział ojciec kładąc mi rękę na ramię—wzruszeń swoich nie wypieraj się przedemną. Znam źródło twego niepokoju: cieszę się z tego, bo to co widzę, daje mi rękojmię, że będziecie oboje szczęśliwi, czego jedynie pragnę na świecie!

Biędny ojciec!... Poczulałam łzy w oczach. Schyliłam się szybko, aby łez moich nie widział: rękę jego okryłam gorącemi pocałunkami! Na samą myśl, jak srogie czeka go rozczarowanie, przestało mi bić serce...

Po obiedzie wyszłam znowu do ogrodu i znowu długi czas patrzyłam na drogę pod figurą... Trzymałam rękę na sercu, bo mnie mocno bolało w téj chwili... Pod figurą nie było nikogo!...

Cóż Cezaryusz tak długo robi w mieście?... Zły to był, bardzo zły znak dla mego serca!... Kornelia prawdopodobnie nie była dla niego tém, czém dla dorosłego cacko potłuczone, którém bawił się będąc dzieckiem!...

Nadszedł wieczór, gwiazdy wytryskiwały z ciemnego nieba, po rosie szeleścił wiatr wschodni: Cezaryusza nie było? Ojciec wrócił od zajęć gospodarskich i usiadł przed kominkiem w gościnnym pokoju; był czegoś niespokojny; gazet wcale nie czytał: leżały one nietknięte nad kominkiem.

— Czy nie miał Cezaryusz jakiego wypadku?— zagadnął po długiém milczeniu.

Nic na to nie odpowiedziałam. Serce moje domyślało się, jaki mógł mieć wypadek Cezaryusz i co ten wypadek mógł mnie kosztować; nie wspomniałam jednak nic o tém, bo wiedziałam, że to może ojca jeszcze więcej kosztować!...

Grałam na fortepianie. Godziny mijały, ogień wygasł na kominku: Cezaryusz nie wracał!

Około północy wstał mój ojciec i powiedziawszy mi tylko „dobranoc” udał się na spoczynek. Widziałam, że nie był kontent, i o tém co go nie pokoiło, nie chciał ze mną rozmawiać: wypadało i mnie pójść w jego ślady.

Już sporo po północy usłyszałam turkot wózka. Serce moje ścisnęło się, byłam blizką omdlenia; zebrałam jednak wszystkie siły, klękałam na ziemi i poleciłam Bogu biędne serce moje, które nie mogło ponieść ofiary, jakiej od niego żądałam.

Do samego rana prawie nie zmrzyłam oczu; również aż do rana widziałam światło w oknach Cezaryusza. I on więc nie spał, nie mógł spać po widzeniu się z Kornelią?... Miałam w tém dostateczny powód do myśli, że serce moje poniesie cios oczekiwany, ale z drugiej strony mogłam być pewną, że ofiara moja nie pozostanie bez owocu...

Z brzaskiem dnia wstałam i ubrałam się; zbliżyłam się do okna aby śledzić i okna Cezaryusza. Z niemałym zdziwieniem ujrzałam go prawie o świcie wychodzącego z sieni: miał głowę spuszczoną ku ziemi jak człowiek zamysłony; udał się na samotną drożynę, która prowadziła na pola puste i łożą zarosłe.

I znowu mijały długie godziny, a Cezaryusz nie wracał. Ojciec zapytał o niego przy śniadaniu, i dziwiła go widocznie tak długa nieobecność; pocieszał się tém tylko, że od służącego dowiedział się, iż żadnego wypadku w drodze nie mieli.

Dla mnie jednak nie było to dostatecznym....

Wreszcie nadeszło południe: Cezaryusz nie wrócił jeszcze z samotnej swojej przechadzki....

Na tém już mogłam mniej więcej opierać moje domysły, widoczną było rzeczą, że spotkanie się Cezaryusza z Kornelią nie było obojętne: odświeżyło ono w jego sercu dawną miłość dla niej. Z tém odżyłém napowrót uczuciem nie mógł czy nie chciał stanąć Cezaryusz przedemną: szukał samotności, aby je zwalczyć i pokonać....

I nie było w tém nic niepodobnego. W każdym innym razie byłby Cezaryusz może z uśmiechem na ustach przeszedł po tém wspomnieniu do porządku dziennego; dzisiaj jednak było to przejście wielce utrudnione. Pod wpływem uczucia dla mnie wyszlachetniał Cezaryusz i stał się o wiele lepszym od tego, czém był wczoraj. W tém niejako odrodzeniu jego napotkało go wspomnienie jego dawniej miłości. Czy to wspomnienie nie obowiązywało go do innego? Czyż nie zbudziło ono w jego sumieniu przynajmniej takiego samego skrupułu, jaki wywołał widok włościanina, za kradzież sprawiedliwie ukaranego?

Byłam już prawie pewną, że plan mój, chociaż z nie małym bolem serca mego, zaczyna mi się udawać....

Dopiero na obiad wrócił Cezaryusz. Tłumaczył się tém że w lesie zablądził; z twarzy jednak jego poznałam, że nie mówi prawdy: widziałam nawet, że mu to wielką boleść sprawiało, że przedemną kłamać musi.

Patrzałam uważnie na niego. Napozór nie zmienił on postępowania swego ze mną; serce jednak kobiety jest podobne do kwiatów mimozy: lada powiew powietrza drażni go i zamyka. Czuję, że z jego duszy wieje już inne uczucie....

Po obiedzie używaliśmy zwykłych naszych rozrywek. Przez cały czas z uwagą obserwowałam Cezaryusza: coś miał w duszy, z czego bardzo rad nie był. O Kornelii zaledwie kilkoma słowy wspomniał. Nie wprowadzałam

imienia tego do rozmowy, aby nie obudzić jego podejrzenia. Raz nawet utknął na tém imieniu, jakby chciał natomiast inne wymówić (właśnie nazywała się Halina) i zaczerwienił się. Udałam, że tego nie widzę: nie chciałam spłoszyć budzącego się dla niej uczucia, i nie dałam mu z mojej nie takiego do poznania, coby go na moją ukrytą myśl naprowadzić mogło.

Wiele jednak, bardzo wiele kosztowała mnie ta rola moja. Ile boleści doznałam, z jakimi wyrzutami serca i duszy walczyć musiałam, wiadomo tylko Bogu, który czyta w najskrytszych tajnikach naszych!...

Nadszedł wieczór. Cezaryusz nie prosił mnie jak zwykle abym co grała. Propozycje ojca, aby wcześniej udać się na spoczynek przyjął bez namysłu; tylko żegnając mnie na dobranoc, ucałował rękę moją z taką gorącą namiętnością, takim dziwném wzruszeniem, jakby się lękał odejść ode mnie!...

Ale ja błagałam w téj chwili Boga, aby mi dodał sił i odwagi!...

XXXIX.

Noc ta przeszła mi nieco spokojniej. Podobną byłam do żołnierza ranionego w boju: podczas narady lekarzy i operacyi bolesnej bolał biedny, trwożył się i niepokoił; widząc jednak, że mu już rękę odjęto, uspokoił się i zasnął.

Byłam prawie pewną, że Cezaryusz już do mnie nie należy. Wprawdzie było to tylko silne wspomnienie, które walczyło z moją miłością. Każda kobieta ma w takim razie podostatkiem środków, aby to wspomnienie przyćmić i nad swoją rywalką ostatecznie zatryumfować. Prawdopodobnie i mnieby się to udało. Nie przeczę, że nawet miałam do tego wielką pokusę; ale myśl lepsza, jaką mi Bóg do duszy mojej włożył, zwyciężyła i tym razem.

Rano był Cezaryusz nieco spokojniejszym; w głębi jednak jego wzroku majaczyło coś, czego właściwym wyrazem nazwać nie umiem. Ile razy do mnie mówił, ile razy uwagę swoją jakiejś rzeczy poświęcał, odrywało go coś nagle i przenosiło myśli jego poza sferę naszą. Czasem był nieprzytomny i nie pojmował moich słów. Bolesnie uśmie-

chałam się na to wszystko, ale nie dałam mu uczuć tego, co się działo w duszy mojej.

Trzy dni przeminęły w ten sposób; czwartego dnia powiedziałam Cezaryuszowi, że znowu mam sprawunki do miasta.

Cezaryusz spojrział na mnie z niedowierzaniem. W jego oku błysnęło jakieś dziwne światło. Patrzałam na niego z udaną obojętnością, jakbym nie miała żadnej myśli obocznej.

W pierwszej chwili zdawało mi się, że Cezaryusz przełknął się słów moich. Niepokój malował się w jego spojrzeniu. Patrzył na mnie z pewnym wyrzutem i żalem; potem przemknął po jego twarzy jaśniejszy promień: było to zapewne wspomnienie Kornelii, którą dzisiaj mógł znowu obaczyć. Wspomnienie to nie było wcale nieprzyjemne....

Zajęłam się leżącą na stoliku książką. Nie chciałam uwagą moją ciążyć na twarzy Cezaryusza; również nie chciałam mu okazać, co w tej chwili dzieje się w sercu mojem, które mimo wszelkich postanowień moich buntowało się co chwila...

Po długim milczeniu odetchnął głęboko Cezaryusz, wziął mnie za rękę, patrzył chwilę na mnie i rzekł nieśmiało:

— Może Pawełek mógłby ten sprawunek załatwić?

— A, przepraszam pana—odpowiedziałam z bolesnym uśmiechem—nie wiedziałam, że to będzie dla pana tak wielką ofiarą!...

— Tak jest—podjął szybko Cezaryusz—zbyt wielką ofiarą jest dla mnie nie widzieć pani przez cały dzień!

— To zostawiam panu wolny wybór—rzekłam z pewną goryczą.

Cezaryusz dostrzegł zapewne tę gorycz w słowach moich: patrzył czas niejaki na mnie, jakby się namyślał lub walczył z sobą; potem wziął szybko kapelusz ze stołu i rzekł z gorączkowym pośpiechem:

— Wypełniam rozkaz pani!

Oczy moje zalały się łzami, gdy go widziałam idącego szybkim krokiem do oficyn, aby do wyjazdu potrzebne wydać rozkazy.

I znowu przez cały dzień te same co pierwszym razem przechodziły uczucia przez serce moje, były jednak o wiele łagodniejsze; serce moje oswajało się już z myślą poświęcenia: i teraz jeszcze wybuchnęło razem żalem i rozpaczą, ale nie było to już tak bolesnym jak przedwczoraj. Zrazu boli nas ukłócie śpilki, ale po odniesionej ciężkiej ranie nie czujemy ostrza lancetu. Byłam nawet weselszą i pogodniejszą: rozkosz poświęcenia przemogła już ból ofiary.

I tym razem nie przyjechał Cezaryusz na obiad. Po obiedzie kilka razy spojrzałam na dróżynę pod figurą. Serce moje zadrzało i rzuciło przed duszę całą wiązkę uschłych marzeń moich; usunęłam je spokojnie na bok, aby kiedyś, gdy się wszystko spełni, spalić je na ofiarę Bogu!...

Wieczorem zapytał się ojciec kilka razy o Cezaryusza, nie okazywał jednak niepokoju jak pierwszym razem: przyzwyczał się już do tej myśli, że nie wróci z miasta przed północą. Grałam tego wieczora wiele, a muzyka sprawiała mi większą niżeli kiedykolwiek przyjemność: zdawało mi się, że znowu jestem sama na świecie....

Cezaryusz wrócił po północy. Z pierwszym brzaskiem dnia widziałam go znowu wychodzącego z oficyn na puste pole i łąki. Ubiór jego i włosy były zaniedbane, jak u człowieka, który ma wiele na głowie....

Około południa spotkał mnie w ogrodzie. Był bladejszy na twarzy, oczy miał rozgorączkowane. Prowadziliśmy z sobą rozmowę zwykłą, obojętną. O sprawunkach tyle mi tylko mówił, ile koniecznie potrzeba było; nie wypytywałam go bliżej: jak najmniej mówiłam z nim o mieście.

Obserwując teraz Cezaryusza widziałam między nim a mną dziwną różnicę: ja byłam z każdą godziną spokojniejszą, jego niepokój wzrastał co chwila; w rozmowie z nim czułam coraz więcej pogody w duszy, jego słowa i spojrzenia zdradzały coraz więcej usposobienie gorączkowe; na moich ustach pojawiał się często uśmiech swobodny, jego twarz stawała się coraz więcej rozstrojoną....

Był to naturalny przebieg dziejów naszych serc; ja dążyłam do portu zrezygnowawszy z podróży po morzu: jego rwały zdradliwe fale na szeroki ocean! U mnie rezygnacya dobiegała do kresu, a u niego rosła walka....

Tak minęło dni kilka. Widziałam i czułam, że oboje dążymy szybkim krokiem do katastrofy: pragnęłam przebyć ją jak najprędzej!

Po kilku dniach wszedł Cezaryusz raniiej niżeli to zwykł od niejakiego czasu czynić, do błękitnego pokoju. Siedziałam na sofie i czytałam. Zdziwiło mnie to ranne przyjscie Cezaryusza. Był dosyć starannie ubrany.

Usiadł koło mnie i rozpoczęliśmy rozmowę obojętną. Cezaryusz słuchał rozmowy tylko jednem uchem. Był niespokojny i często wstawał aby się przejść po pokoju; stanął przy oknie i patrzył zamyślony przed siebie; kilka razy skierował rozmowę na sprawunki moje w mieście: mówił o sklepach, w których nie spodziewał się tak wyborowych towarów.

Dorozumiałam się z tego wszystkiego, że Cezaryusz radby znowu do miasta pojechać, tylko brak mu pozorów.

Spostrzeżenie to było dla mnie ostatecznym wyrokiem. Wstałam i odetchnęłam głęboko jak człowiek, który już wszystko stracił, wszystko za sobą zostawił, ze wszystkiem zerwał, czém długo, długo karmił duszę swoją... Cała przeszłość moja była już skończona, a przedemną leżała nowa, pusta, osamotniona droga życia!...

Westchnęłam jeszcze raz i pobiegłam szybko do mego pokoiku, aby nikt łez moich nie widział. Serce ma swoje prawa: może ono wyboleć, wypłakać się, choć rozsądek nie widzi bynajmniej potrzeby ni łez ni bólu. Kornelia odniosła nademną zwycięstwo...

Za chwilę wyszłam do Cezaryusza z notatką sprawunków. Widziałam że Cezaryusza oczy błysnęły jaśniejszém światłem, gdy ujrzał ten papier w rękę moję; ale wnet zasmucił się, spojrzął na mnie okiem pełnem boleści i rzekł:

— Czy pani jesteś kontentą z mego załatwiania tych sprawunków w mieście?

— Mam zaufanie do pana — odpowiedziałam — że wszystko co pan zrobisz, musi być dobrem!

Długi czas patrzył na mnie Cezaryusz i miał niemiłosiernie notatkę, którą mu podałam. Twarz jego, mimo wszelkich usiłowań, zdradzała wielką walkę. Przebiegały po niej najrozmaitsze odcienia uczuć; które w tój chwili jego sercem wstrząsały.

Zajęłam się książką, aby mu tę walkę ułatwić. Byłam przekonaną, że to walczą rozpaczliwie tylko niedobitki wielkiej armii...

Cezaryusz przeszedł się kilka razy po pokoju; zatrzymał się nagle przedemną i rzekł głosem bez dźwięku:

— Pojadę do miasta, jak tego sobie pani życzysz; przyobiecuję jednak spieszyć się i wrócić na obiad.

— Niech pan szanuje koni—odpowiedziałam obojętnie —a przykład wyprawy po kwiaty exotyczne niech zawsze stoi przed oczyma! Kosztem pieniędzy trudem zapłaconych ludzi i męczarnią biednych zwierząt, nie kupisz pan wdzięczności u kochającego serca! Za serce płaci się tylko szlachetnym uczuciem i czynem godnym tego serca!...

Z gorączką uścisnął Cezaryusz rękę moją i szybko oddalił się.

XL.

Gdy nadszedł czas obiadu, zapytał mnie służący, czy na Cezaryusza czekać; rozśmiałam się do siebie i kazałam o zwykłej porze podać obiad: zjedliśmy obiad bez Cezaryusza.

Powrócił jak zwykle około północy. Nazajutrz wstał o świcie a kazawszy sobie podać strzelbę i konia pojechał do Stanisława: zapewne miał wiele do myślenia i nie chciał, aby obecność moja ciążyła w takim razie na nim.

Postanowiłam z tego korzystać i cichy dramat nasz posunąć o jeden akt dalej ku końcowi. Kazałam zaprzędnąć konie pod pozorem, że mam w mieście nagły sprawunek do załatwienia: w istocie chciałam się widzieć z Kornelią.....

Jak zwykle przed hotelem w mieście obaczyłam Sławosza: stał przed bramą i wykrecał się na wszystkie strony świata jak kogutek na dachu. Na zjeżonych jego włosach kołysała się angielska czapeczka, jakby pod nią wiele nowych myśli i marzeń przybyło!...

Ucieszył się niezmiernie gdy mnie obaczył. W zapale nietylko mnie, ale i moją służącą wysadził z powozu, czego dawniej nigdy nie czynił. Podałam mu rękę, bo szczerze ucieszyłam się z jego spotkania. Przeczynałam, że miejski

próżniak coś mi opowie, co mi posłużyć może w wykonaniu moich zamiarów.

Zaraz po przywitaniu się ułożył Sławosz twarz swoją jak mógł najpoważniej i rzekł do mnie głosem przytłumionym:

— Przez tydzień jestem jak na żarzących węglach, mam tyle dla pani rzeczy, chociaż nie wiem, czy wszystko powinienem opowiedzieć. Julko powiada, że takich rzeczy najlepiej nikomu nie gadać, chociaż one codziennie w świecie się trafiają!....

— Pan mnie przecież nie chcesz dręczyć niemiłosiernie—odpowiedziałam.

— To, cobym pani opowiedział, to jeszcze gorsze, niż wszelkie udręczenia!—Ale Julko powiada, że w cudze sprawy nigdy nie trzeba wścibiać nosa, bo i nos utną i człowiek nikomu tém nie pomoże!

— Najprzód śmiem pana zapytać, czy to, co pan masz w zanadrzu, mnie się tyczy?

— A jużci nikogo więcej—tylko wprost pani!... Jako człowiekowi się zdaje, że jest szczęśliwy, tymczasem...

— Zacznij pan rzecz odrazu: jestem na wszystko przygotowaną!

— Ba! to tak się mówi! Julek powiedział, że byłbym podłym, gdybym chciał panię tak strasznie zmartwić!

— Panie Sławoszu—ozwałam się biorąc go za rękę—po tém, coś już pan powiedział, nie możesz się w pół drogi zatrzymać.

Sławosz spojrział na mnie wystraszoném okiem.

— Cóżto, czy ja co pani powiedział?—zawołał w rozpaczy.

— Już mi pan wszystko w ogólnych frazesach powiedziałeś—rzekłam z odwagą—teraz tylko dodasz pan potrzebne szczegóły!

Sławosz patrzył na mnie czas niejaki w milczeniu; rozbierał słowa moje i widział że mam słuszność.

— Jeśli tak jest jak pani mówi—ozwał się po chwili, to moje milczenie już do niczego. Zresztą pojmuję, że milczenie jest przysługą a może nawet obowiązkiem tam, gdzie już klamka zapadła. Ja tutaj w mieście wiele rzeczy widzę,

a przecież nic nie mówię. Ale pani przecież jeszcze ślubu nie wzięłaś z panem Cezaryuszem... tylko proszę o sekret!

— Daję panu moje słowo!

— Otóż powiem pani cuda! Julek miał słuszność, że panna Kornelia jest osobą zagadkową, że jej stan terazniejszy...

— Niech pan zostawi na boku wszelkie domysły przyjaciela, a opowiadaj pan, co wiesz.

— Zaraz, zaraz, ale tego jest bardzo wiele: nie wiem z kąd zacząć!... Ohó, już wiem. Przed dziesięcioma dniami przyjechał siwemi końmi i żółtą amerykanką pan Cezaryusz, o którym mi mówiono, że jest...

— Tylko dalej, dalej panie Sławoszu: chciiej pan mieć wzgląd na moję niecierpliwość!

— Zaraz w hotelu zapytał o pannę Kornelię: żydek zaprowadził go, a ja, jakoby miał jakie przeczucie, poszedłem za nim.

Tu zatrzymał się Sławosz, jakby mnie chciał do czegoś ważnego przygotować! Serce biło mi w piersi... Sławosz mówił dalej:

— Pan Cezaryusz wszedł do ogrodu, a ja zatrzymałem się przy parkanie, do którego przypiera altanka, zielona fasolą ocieniona. Mróz nocny zwarzył już fasolę i poczynił w ścianach altany znaczne otwory. Widziałem że panna Kornelia była w téj altanie. Nie wiem czy płakała tam, czy czekała na to spotkanie; zdaje mi się jednak że płakała, bo często widziałem ją tam płaczącą...

Wstrzymałam oddech w piersiach. Duszno mi się zrobiło, jakby mi brak było powietrza... Sławosz mówił dalej:

— Zrazu szedł pan Cezaryusz prosto do dworku, ale chłopczyzna mały wskazał mu na altanę. Teraz nie wiem co się stało: słyszałem jakiś przytłumiony jęk, a Cezaryusz jak wryty zatrzymał się w proggu altanki...

— I cóż dalej?

— Co dalej?... Dalej nastąpiło to wszystko, co się zazwyczaj robi, gdy które zemdleje... Przyniesiono wody, wołano i krzyczano...

— Czy wyszła z dworku matka panny Kornelii? — zapytałam skwapliwie, bo usta moje drżały nieustannie.

— Nie : matki właśnie w domu nie było; tylko dzieci przedmiejskie narobiły hałasu i krzyku: przynosiły to wody, to chustki.... Wreszcie uciszyło się. Dzieci wróciły do izby, w altanie została tylko p. Kornelia i p. Cezaryusz.

— Słyszałeś pan co mówili z sobą?

— Wszystko słyszałem, bo rzecz była nader ciekawa. Najprzód było długie milczenie. P. Kornelia siedziała oparta na stole i patrzyła przed siebie, jakby nic w tej chwili nie widziała; pan Cezaryusz stał przy progu oparty o słup, który tworzył niejako oddźwierze do altany. Po chwili podniosła się panna Kornelia, jak to ona umie, gdy kto do niej się zbliża i rzekła z pychą jakby była księżniczką: „Jaki jest cel odwiedzin pana?”... Pan Cezaryusz na to nic nie odpowiedział, tylko mocno się zmieszał. P. Kornelia patrzyła z uśmiechem ironicznym i rzekła: „zapewne nie masz pan odwagi w tej chwili mówić ze mną, jako z biedną zarobnicą. Wstydzisz się pan dawniejszej znajomości, dawniejszej roli! Gdybyś mnie pan spotkał w pysznym salonie...” Pan Cezaryusz ciągle milczał, jakby mu kto na kłódkę gębę zamknął. Potem zabrało mu się na odwagę: przystąpił krok bliżej i rzekł: „losy nasze są w ręku Boga. Mamy żywe współczucie dla tych, którym one wypadły nieszczęśliwie, ale innym dla których Bóg był miłosiernym, nie powinniśmy złorzeczyć!...” Na to podniosła się szybko panna Kornelia i zawołała: „Słusznie pan mówisz: nie złorzeczymy wyrokom Boga; Pan Bóg według pana filozofii, odbiera szczęście tym, których trafiła klątwa ubóstwa i nie każe nawet szemrać na to! Serca opravione w złoto mają u Niego większą protekcją!... Dla nich przygotował Bóg szczęście tego świata, a biednym... biednym wolno jest przyczynić się pracą swoją, skropioną łzami, do ich szczęścia!... Pan zapewne przyszedłeś po haft zamówiony... Szczęśliwa Regina, będzie w nim wyglądać cudownie!... Służę panu! Rzekłszy to wyszła z altany jak królowa, a pan Cezaryusz postępował za nią jak niewolnik z głową zwieszoną, oczy w ziemię spuściwszy!...

— I cóż daléj? — zapytałam, a twarz moja pałała z gorąca.

— Co daléj, tego powiedzieć nie umiem; tyle wiem tylko, że za kilkanaście minut wyszedł z dworku pan Cezaryusz z jakąś paczką w ręku: szedł ścieżką ku bramie jak

człowiek niepozytywny, patrząc w zamyśleniu przed siebie. Zdaje się nawet, że zmylił drogę, bo zamiast do miasta, poszedł prostą drogą w pole. Ciekawy byłem co to dalej z tego będzie: poszedłem w niejakiem oddaleniu za nim. Z drogi zwrócił na ścieżkę prowadzącą pomiędzy pola. Szedł ciągle z głową ku ziemi spuszczoną, w rękę niósł pakiecik, jakby sam nie wiedział co niesie.

— Pan opowiadasz mi dziwne rzeczy—rzekłam po krótkim milczeniu.

— I dla mnie wydały się one dziwne. Dzień cały prawie nic nie jadłem, bo mi ciekawość nie dała... Pan Cezaryusz chodził po polach i bałem się czy go nie opętały szatan i nie szepce mu do ucha co grzesznego!... W końcu wrócił do hotelu, wszedł do stancyi i zamknął się na klucz. Po kilku godzinach zawołał żydka i dał mu list dosyć gruby. Przed wieczorem wrócił żydek i przyniósł mu list, nie wiem czy ten sam czy inny. Zapewne nie był kontent pan Cezaryusz z tego listu, bo późnym wieczorem wyszedł z hotelu i długo zamyślony chodził po ulicach miasta bez żadnego celu. Potem skierował ku Ustronněj; poszedłem za nim. Myślałem, że wejdzie do dworku, ale nie wszedł. Chodził tylko wkoło parkanu i przysłuchiwał się muzyce. Panna Kornelia grała coś na fortepianie. Dopiero koło północy wrócił do hotelu i wyjechał! Wróciłem do domu głodny i zakatarzony!

Sławosz zatrzymał się tutaj, jakby już skończył. I mnie się zdawało, że już koniec, bo więcej niepotrzeba mi było; Sławosz jednak odetchnął tylko a potem zaczął znowu:

— Nazajutrz, gdy według zwyczaju wstąpiłem do OO. Franciszkanów na mszę, gdzie zazwyczaj cały piękny świat miasta się gromadzi, poznałem w ciemnym kącie przed obrazem Przemienienia Pańskiego klęczącą Kornelię: trzymała chustkę przy oczach i gwałtownie płakała....

Dłużej nie mogłam już słuchać Sławosza. Ból serca chciałam jak najprędzej uśpić rozkoszą dokonanego poświęcenia, chciałam biegnąć do biędnej, nieszczęśliwjej kobiety, otrzeć jěj łzy, przycisnąć ją do piersi i płakać, z nią razem płakać, ale płakać łzami radości i rozkoszy... choćby na usypanej mogile marzeń moich!..

— Więc to już wszystko!—rzekłam z głębokim westchnieniem.

— Prawie wszystko—odparł Sławoszcz—bo to co potem jeszcze zaszło, było tylko powtórzeniem tego, co się pierwszego dnia stało. Za trzy dni przyjechał znowu pan Cezaryusz. Znowu poszedł do dworku, ale powiedziano mu, że Kornelii nie ma w domu. Długi czas chodził ulicą tam i napowrót; był zamyślony a od czasu do czasu machał ręką, jakby jakieś myśli odpędzał od siebie.... Wreszcie spotkał Kornelię z małą jakąś dziewczynką. Zbliżył się i uklonił: Kornelia odwzajemniła ukłon z taką dumą, jakby mu tym ukłonem wielką łaskę wyświadczała. Cezaryusz zaczął coś mówić do nię; Kornelia wzięła dziewczynkę za rękę na drugą stronę tak, że ta dziewczynka była między Kornelią a Cezaryuszem: odgrodziła się więc od niego małym dzieckiem, tak jak w bójce Twardowski przed djabłem. Mówili coś do siebie bardzo żywo. Cezaryusz miał minę winowajcy; Kornelia wyglądała na prokuratora: wreszcie przy bramie zatrzymali się. Zdaje się, że Kornelia nie chciała aby Cezaryusz dalej z nią szedł. Gesta jej stawały się coraz żywsze, gwałtowniejsze; w końcu przyłożyła jedną rękę do serca a drugą groźnie wskazała na niebo; potem otworzyła furtkę i mocno zatrzasnęła ją za sobą. Cezaryusz stał chwilę przed furtką, jakby nie wiedział co się z nim stało; potem ocknął się, zwiesił głowę i poszedł znowu na puste pola.... Ztamtąd wrócił prosto do klasztoru OO. Franciszkanów. U furtyana zapytał się o Ojca Salezego. Ojciec Salezy to poczciwy i zacny staruszek, który słynie jako spowiednik znakomity. Cezaryusz długo tam siedział u niego, potem wyszli obaj: Cezaryusz poszedł do hotelu, a Ojciec Salezy w kierunku ulicy Ustronnéj.... Za godzinę wszedł Ojciec Salezy do hotelu z miną nienajlepszą; rozmawiał chwilę z Cezaryuszem, który potem po odejściu Ojca, długi czas zamyślony chodził po pokoju, jak to mi żydek opowiadał!..

-- Jestem panu nadzwyczaj wdzięczną!

— Zaraz, pani, tylko skończę. Wczoraj był także Cezaryusz. Od żydka dowiedział się, że panna Kornelia zaśląbła; pobiegł szybko do lekarza, a potem późnym wie-

czorem widziałem go stojącego między gruszą a kasztanem i patrzącego w okna dworku.. Stał długo, może do północy!

Na tém skończył Sławosz opowiadanie swoje. W przekonaniu, że mi wielką uczynił przysługę uśmiechnął się słodko i zatarł ręce jakby najlepszy spełnił uczynek: wyjątkowo był on dla mnie istotnie dobrym uczynkiem!

Pożegnałam Sławosza i stanęłam na ulicy jak błędna owca która nagle drogę zgubiła!...

XLI.

Po krótkim zastanowieniu się wyjaśniło mi się położenie Cezaryusza. Według wszelkiego prawdopodobieństwa kochał on Kornelią ową lepszą, szlachetną miłością, która dzisiaj nader rzadko napotyka się między ludźmi. Nagła zmiana stosunków Kornelii uderzyła niespodzianką w tę miłość; Cezaryusz miał wprawdzie znaczny zasób w sobie do wytrwania w raz powziętém uczuciu, ale był jeszcze zbyt powszednim człowiekiem, aby mógł zwycięzko wyjść z tego boju ze światem, jego przesądami i odwiecznym obyczajem. Trzymał się czas niejaki, ale uległ opinii kółka w którym wyrósł i wychował się; potargał więzy, czas miał reszty dokonać; podobne ciche, nieznanne tragedycy odbywają się codziennie....

Tu nastąpiła nasza znajomość! Stosunek nasz wzajemny, piękne, szlachetne uczucia uszlachetniły niejako dusze Cezaryusza. Nie pysznię się tém, że to było mojem dziełem, bo to było dziełem miłości, jaką ku mnie powziął Cezaryusz. Moją zasługą może było, że nie marnowałam na fraszki tego złotego uczucia, ale skierowałam je do źródła z kąd wyszło: do Boga i obowiązków względem bliźnich i społeczeństwa... Pod wpływem więc tych wyższych myśli oczyścił Cezaryusz serce swoje z wszystkich światowych naleciałości i przywrócił mu pierwotną tkiwość na to wszystko, co dobre, szlachetne i prawe...

W tém odrodzeniu jego napotkało go wspomnienie życia, które miał dawno za zmarłe; piękna, szlachetna kobieta stanęła przed nim i okazała mu serce zranione i duszę rozdartą!... Cezaryusz był sprawcą tego!...

Odżyły w nim nagle wszystkie chwile tego epizodu, i w duszy uszlachetnionej sprawiły wyrzut, który jak cień przywiązał się do jego kroków!... Tego wyrzutu chciał się widocznie pozbyć, ale nie mógł: walczył sam z sobą, ale nie mógł dójść ani do zwycięstwa ani do przegranej....

Teraz nadszedł czas mojej roli.

Weszłam w ulicę Ustronną, która prowadziła do dworku Kornelii.

Dworek wydawał mi się dzisiaj smutniejszym niż dawniej. U okien były zasłony na dół spuszczone; złowieszczą cisza panowała w atmosferze ogródka: nawet świątobliwe ptastwo odleciało gdzieś z ogródka, aby tej ciszy grobowej nie mieszać żadnym weselszym śpiewem.

Z bijącym sercem otworzyłam drzwi do sieni; nie było tam ani gwaru dziatwy, ani piosenki pracujących dziewczynek: był jakiś smutek w powietrzu, jakaś duszność, jakiej określić nie mogę.

Otworzyłam drzwi do pierwszej izby. I teraz leżało na stole mnóstwo świeżo wypranej bielizny, ale starej matrony z twarzą surową nie było przy robocie: żelazko od prasowania stało zimne, na kominie nie było ognia.

Weszłam do drugiej izdebki. Na białym łożu leżała Kornelia blada jak ściana; miała oczy przymknięte, a ręką i palcami czyniła ruchy, jakie spostrzegać można w chorobach gorączkowych; koło niej siedziała podeszła matrona z twarzą surową i modliła się na książce: czasami patrzyła niespokojnie na chorą.

Wejścia mego nie spostrzegła sędziwa matrona. Zrobiłam kilka kroków naprzód; szelest sukni mojej zwrócił dopiero jej uwagę: podniosła oczy i surowo spojrzała na mnie, również otworzyły się powieki chorąg.

Zbliżyłam się szybko do łóżka i wzięłam chorą za rękę: chora oprzytomniała nagle, jakby cudowną siłą przeniknioną; podniosła się z poduszki i usiadła w łóżku. Twarz jej nosiła ślady mocnej gorączki, ale oczy patrzyły trzeźwo.

— Haft już oddałam—rzekła do mnie—czegoż pani chcesz więc odemnie?

— Przychodzę panią odwiedzić i w słabości pocieszyć!
— odpowiedziałam a łzy drżały mi pod powieką.

Kornelia patrzyła chwilę na mnie z całą uwagą; potem uśmiechnęła się boleśnie i rzekła:

— Pocięchy żadnej, pani dać mi nie możesz! A to co mi pani dajesz, jest dla mnie gorszem od pogardy!

— Gorszem od pogardy?—zawołałam skwapliwie—pogardza się tylko jałmużną nieprzyjaciela!

— Słusznie nazwałaś to pani! Jałmużna nieprzyjaciela! Precz z taką jałmużną! Milsza śmierć!

Rzekłszy to usunęła się w poduszki, a bledność śmiertelna pokryła jej lica. Wzięłam ją znowu za rękę i chwilę tak ją trzymałam. Przyszła znowu do przytomności i znowu wyrwała mi rękę; podnosząc głowę rzekła do mnie:

— Prześtańmy grać rolę względem siebie: mów pani otwarcie, a ja również otwarcie na wszystko odpowiem.

— Mój narzeczony, pan Cezaryusz kochał panią przed dwoma laty!

— W obec Boga i sumienia byłam jego narzeczoną, choć nie odbyliśmy ceremonii zaręczyn!

— Potem zapomniał.

— Nie, pani, nie tak. Potem klęski osobiste i powszechne odebrały nam nasze mienie. W raz z naszym mieniem znikł dla Cezaryusza wszelki urok, jaki mnie dawniej w oczach jego otaczał. Wstydział się uczucia powziętego ku mnie. Reszty dokonały rady przyjaciół, których żywił swoim chlebem i poił winem. Narajono mu bogatą pannę, tam pojechał i targ przybił. Ale ta bogata panna dowiedziawszy się o mnie, zaniepokoiła się; chciała czemś okupić szczęście swoje i biędnej zarobnicy zostawiła banknot, aby jej zapłacić za odstąpionego kochanka. Potem wymyślała różne roboty, za które hojnie płaciła i innych jeszcze podmawiała do podstępu. Chciała kilkoma papierkami które jak drobne strzępki wisały od jej posagu, okupić moją boleść, zapłacić wszelkie pretensye!... I pan Cezaryusz na podobną wszedł drogę! O zgrozo! Więc i on... on sądzi, że pretensye zawiedzonego życia dadzą się zapłacić?... O podły, nikczemny świecie! O ludzie przewrotni i grzeszni! I wy sędzicie, że pieniądz wasz jest wszechmocny, że zmyje łzy wypłakane w długich nocach bezsennych.... że zapłaci za tyle kurczowych uderzeń serca,... za tyle gorzkich i krwawych west-

chnień... że wreszcie zmaże w księdze Boga to, co tam jest zapisane na sąd ostateczny!...

Wymówiwszy to z gorączkowem wysileniem upadła na poduszki i straciła przytomność. Usta jęj drżały jeszcze, ręką chwytała coś po powietrzu, oczy napół przymknięte patrzyły przed siebie—ale już nic nie odpowiadała.

Rzuciłam się przed nią na kolana, a z oczu moich puściły się łzy obficie. Płacz mój zdawał się obudzać ją. Oczy jęj zamigotały słabym blaskiem; rękę zbliżyła do mnie, jakby mnie szukała. Wzięłam ją za rękę i zawołałam:

— Na litość Boga, uspokój się Halino! Nie przyszłam do ciebie z jałmużną, ale chcę ci zwrócić cały twój skarb! Serce Cezaryusza zwracam ci, bo tyś jest jego godną. Ty go kochasz i on kochać cię będzie, kochać musi! Miłość szlachetnego serca nie może zostać bez wzajemności!...

Halina była ciągle nieprzytomną; tylko na ostatnie słowa moje przebiegło jakieś dziwne światło po jęj twarzy: była to twarz kobiety szczęśliwej, w niebo wziętej!...

— Halino — mówiłam dalej — Halino, siostró moja: oto weź z rąk moich, co nieprawnie mnie się dostało!

I zdjęłam z palca pierścień, który w dniu zaręczyn od Cezaryusza dostałam i włożyłam jęj na palec...

Jakiś dziwny, magiczny wpływ sprawił ten pierścień na nieprzytomnej: była cała spokojną i nieruchomą jak posąg z marmuru; tylko w oczach napół zmrużonych rozstlił się blask jakiegoś uczucia rozkoszy, poczem nastąpiło drgnienie całego ciała, zakończone na twarzy uśmiechem zachwycenia!...

Był to ostatni akt mojęj ofiary: obie byłyśmy w tęg chwili bardzo szczęśliwe!...

Po chwili zawezwałam lekarza, a do ojca wysłałam posłańca, że dzisiaj nie wrócę.

.

Za trzy godziny wróciłam ze służącą do hotelu; byłam pewną, że o tym czasie ktoś z domu przyjedzie, list mój bowiem, pisany naprędcę, mógł słusznie wszystkich zaniepokoić.

Jakoż nie omyliłam się: po półgodzinném oczekiwaniu zaturkotały koła przed hotelem, a pianą okryte rumaki

zaryły kopytami: był to Cezaryusz. Za chwilę wpadł do mnie cały zmieniony.

— Czy pan sam przyjechałeś?—zapytałam go zaraz na progu.

— Ojciec i pani Stanisławowa jadą także—odparł chwytając oddech w piersi—ja tylko przypuściłem konie, aby choć o półgodziny prędzej od nich zdążyć: zdaje mi się, że potrzebną jest nam chwila rozmowy sam na sam!

Podaliśmy mu rękę dosyć spokojnie i rzekłam:

— Pan odgadłeś, że na to liczyłam; w samej rzeczy kilka chwil rozmowy z panem sam na sam bardzo potrzebuję!

— Słucham—odrzekł Cezaryusz i zaparł oddech w piersi.

Wzięłam go serdecznie za rękę jak dawniej i prosiłam aby usiadł przy mnie.

— Panie Cezaryuszu—rzekłam do niego z szczerem i otwartem wejrzeniem—niech pan się przygotuje, że będziemy mówić o rzeczach bardzo ważnych, które rozstrzygną o naszej przyszłości.

Twarz Cezaryusza przybrała wyraz uroczysty, oczy tylko biegały niespokojnie i zdradzały burzę serca.

— Wierzę—mówiłam dalej—że każde z nas pragnie szczęścia. Wyobrażamy sobie, że przyszłość nasza będzie szczęśliwą: otóż, powiedz mi pan szczerze, czy bierzemy z sobą warunki naszego przyszłego szczęścia?

— Warunki?—ozwał się po chwili Cezaryusz głosem niepewnym, jakby nie wiedział co ma na to odpowiedzieć—warunki? O jakich warunkach mówi pani?

— Każda rzecz musi mieć swoje warunki, bez których istnieć nie może; tak samo i szczęście: lekkomyślnością jest pragnąć i spodziewać się szczęścia, gdzie warunków do tego szczęścia niema!

— Zdaje mi się, że miłość sama mieści już w sobie warunki przyszłego szczęścia!

— Prawda, ale trzeba dobrze siebie obejrzyć, gdy do świątyni miłości przystępujemy. Trzeba mieć na sobie szaty czyste, godowe, bo inaczej w najbliższej przyszłości może się z nami stać to, co się stało z owymi zaproszonymi na biesiadę, którzy przyszli bez szat godowych. Oto, mówi

przypowieść ewangeliczna: związano ich i wypchnięto do ciemnicy na płacz i zgrzytanie zębów!...

— Czy sądzi pani, że nie jestem godnym szczęścia?

— Przeciwnie, pan należysz do tych nielicznych wyjątków, którym należy się szczęście w całej pełni!... Nieszczęściem tylko jest może, że idąc do przygotowanego szczęścia zbłądziłeś pan z drogi i zamiast do słońca, sięgnąłeś pan do małej gwiazdki!...

Cezaryusz patrzył na mnie z gorączkowym niepokojem; usta jego drżały, oczy rzucały dziwnym blaskiem.

— Czy wierzysz pan w potęgę wspomnień?—zapytałam po chwili milczenia.

— Wspomnień?—powtórzył bezmyślnie—jakie to mają być wspomnienia?

— Jeżeli np. gotujemy sobie nową, szczęśliwą przyszłość, a tu za nami ciągnie się jak chmura złowieszczą jakieś dawne wspomnienie i przyczepia się jak pijawka do naszej duszy!...

— Ach! to prawda.... są straszne, zabójcze wspomnienia!

— Powszedni ludzie w życiu powszedniem nic sobie nie robią z podobnych wspomnień. Składają je na dnie duszy jak stare, stargane rupiecie, na które nową, tandetną robotę rozwieszają. Tym ludziom nie dokuczają podobne wspomnienia. Brzydkie zwierzęta, mieszkające w nieczystościach podziemnych nie czują uposiedzenia swojej atmosfery i nie pragną świeżego oddechu; ptak jednak, który ma lot wyższy i swobodny, unikać będzie tych trujących wyziewów!...

Cezaryusz wstrząsł nagle głową, jakby dopiero oprzytomniał: oczy jego zamigotały dziwnym ogniem, twarz poczerwieniała.

— Wiem już, wiem, do czego pani zmierzasz!—rzekł głosem dziwnie drżącym—wiem, co pani masz na myśli... ale na miłość Boga, powiedz mi pani jakie jest wyjście z mego położenia?

Rzekłszy to załamał ręce i zakrył twarz.

— Wyjście z tego—odpowiedziałam spokojnie—jest nader proste: należy wrócić się do tego punktu drogi, od którego zaczęliśmy zbaczać!

— To niepodobna!

— Kto chce, temu wszystko jest podobnym!

— Nie wszystko odemnie zawisto!

— To co pana obowiązywało, jest rozwiązane!

— Jako?—zapytał skwapliwie z wystraszonem wej-
rzeniem.

Zamiast odpowiedzi okazałam mu rękę, na której już nie było pierścionka: zrozumiał ten gest i tę odpowiedź! Wziął mnie za obie ręce i silnie je ścisnął: dłonie jego drżały febrycznie.

— Więc wszystko między nami skończone?—zawołał z boleścią.

— Za to nawiązane tam, gdzie zerwanem być nie powinno!... Pierścionek pana jest na ręku Haliny!

Cezaryusz stał chwilę jak człowiek, który nagle stracił władzę wszystkich zmysłów swoich: zdaje się, że w tej chwili nic nie widział, nie słyszał i nie czuł.

Powoli zaczęła się twarz jego ożywiać: w oczach roz-
żarzał się płomień coraz weselszy; podniósł rękę do góry jakby od czoła chciał odpędzić jakąś mgłę złowrogą: po-
tém odetchnął głęboko i łzy puściły mu się z oczu.

Uszanowałam tę chwilę bólu. I mnie puściły się łzy z oczu; w tej chwili bowiem rozstawałam się z marzenia-
mi, które tak długo pieściłam w duszy mojej... Serce bola-
ło, choć dusza czuła rozkosz spełnionej ofiary....

W tej chwili weszli do pokoju ojciec i Ewunia. Oba-
czywszy ojca zerwałam się z krzesła i pośpieszyłam ku
niemu: upadłam do nóg jego i zaczęłam je łzami oblewać.

— Ojczy mój, drogi ojczy!—zawołałam wśród najwyż-
szej boleści—przebacz mi, przebacz za smutek i zmartwienie,
jakie tobie zgotowałam!

— Cóż to jest, drogie dziecię?—zapytał ojciec głosem
bez dźwięku i stanął osłupiały.

— Regino, bój się Boga!—krzyknęła rozpaczliwie Ewu-
nia, która coś wiedziała a reszty się domyślała—bój się
Boga, zabijesz ojca... Porzuć te mrzonki chorobliwej duszy
i bądź kobietą jak inne! Któż tam na takie drobne rzeczy
zważa? Co powie świat cały! Hańba, plotki i... stare pa-
nieństwo!

Podniosłam głowę od nóg ojca i spojrzałam na niego
przez łzy.

— Czy ojciec pragnie szczęścia mego, czy ofiary? — wyrzekłam głosem spokojnym.

— Jakięj ofiary? — wpadła Ewunia namiętnie, któż ofiary od ciebie żąda? Szczęścia twego pragniemy, szczęścia jak sobie!

— Szczęścia mi życzysz Ewunio jak sobie? — podjęłam z tym samym spokojem — takiego szczęścia mi życzysz?... Ewunio, powiedz mi szczerze, czy jesteś szczęśliwą?... Czy te wszystkie drobnostki życia, za które tak skwapliwie chwytasz, wypełniły próżnię twego serca?... Ewunio, wierzaj mi, do szczęścia prowadzi tylko jedna droga, którą Bóg nakreślił w sumieniu i sercu; wszystkie inne dróżki i ścieżki są tylko złudnym omamieniem!

Nazajutrz byłam już w domu. Położono mnie do łóżka, a lekarz zakazał mówić w mojej obecności o czemkolwiek, coby mój umysł drażnić mogło. Cezaryusz został w mieście.

XLII.

Dwa tygodnie byłam w dziwnęj gorączce. Nic nie działałam, co się ze mną stało; tylko jakieś luźne, oderwane sny majaczyły po mojej głowie i niepokoiły mnie.

Przy mojem łóżku widziałam tylko ojca i starą piastunkę moją. Czasem przyjeżdżała Ewunia, ale miała twarz zagniewaną, jakby mi mego kroku nigdy przebaczyć nie chciała. Stryjenka pogniewała się na dobre i wcale o mnie nie dbała: nieszczęście moje wydawało jej się wyższem od jej zasad praktycznych.

Zaledwie po dwóch tygodniach mogłam wstać o własnych siłach. Biędny ojciec, jakby tylko na to czekał. Wytrwał on przy łóżku mojem, gdy tego była potrzeba; widząc mnie jednak przychodzącą do zdrowia, uległ teraz zmartwieniu, które siły jego niszczyło, i położył się do łóżka: tylko miłość dla mnie utrzymywała go dotąd na nogach.

Nieszczęście to wzięłam za dopuszczenie Boga, który nie chciał, abym odrazu ujrzała ogrom nieszczęścia, jakie sobie przez mój krok zgotowałam. Słabość ojca zajęła ca-

ły mój umysł: siedziałam teraz całe dnie i noce przy jego łóżku odpłacając dług ojcowskiej miłości.

Wreszcie i ojciec przyszedł do zdrowia; na twarzy jednak jego pozostało niezatarte znamię katastrofy, przez którą przeszło ojcowskie jego serce: on widział dalej i lepiej i bolał stokroć więcej odemnie ze względu na moją przyszłość.

Teraz dopiero zaczęły się okropne rzeczy przedemną odsłaniać. Nie miałam nawet wyobrażenia, jakim jest świat dla tych, którzy idąc za szlachetniejszym popędem, chcą się wyłamać z pod jego praw zgrzybiałych!...

Już samo wspomnienie tego co było, napawało mi duszę jakąś nieprzyjemną goryczą. Jesień była już późna, a mrozy nocne powarzyły do reszty wszystkie kwiaty; czarne, bezlistne łądygi chwiały się w wietrze: liście na drzewach pożółkły, trawy zwiędły i opadły na ziemi!

Taki widok natury nie mógł w serce moje wlać żadnej pociechy. W ogrodzie każda ścieszka, każda gałązka przypominała mi niedawną przeszłość moją, która wśród zieleniącej się jeszcze natury wyglądała jak czarna, świeżo usypiana mogiła, nową, świeżą trawą jeszcze nie pokryta!...

Unikałam tych wspomnień i zamykałam się w izdebce mojej. A tu znowu żałośliwy, jesienny wiatr wciskał się przez wszystkie szpary do mnie i jakby płakał nademną!...

Ale najstraszniejsi z tego wszystkiego byli dla mnie ludzie!.. Człowiek wyższy może być na wyobrażenie Boga stworzony, ale człowiek powszedni ma w sobie naturę szatana! W nieszczęściu widzi się to jasno!

Długo odpędzane zaczęły się teraz całym rojem cisnąć do mnie różne wieści i historyjki, jakie sobie ludzie z powodu tego zdarzenia powymyślali, a wszystkie były przeciw mnie wymierzone!

W całym sąsiedztwie opowiadano sobie z rozkoszą, że Cezaryusz zerwał ze mną, poznawszy wemnie istotę, z którą się nikt na świecie zgodzić nie może. Mówiono o mojem despotycznym obchodzeniu się z ojcem, o moich dziwnie excentrycznych rządach w domu. Wymalowano mój charakter tak czarnymi kolorami, że i tygrys mógłby ucieknąć odemnie. Zrobiono ze mnie waryatkę, której się zdaje, że jest czemś wyższem, że czytała więcej od innych, a tymczasem

głupiuteńka jak gąska, jak tego dowodem, że tak dobrej party nie umiała w rękę utrzymać!... Opowiadano sobie do ucha, że mam pretensyę do sawantki, że siedzę w biblioteczkę mojej po całych nocach i piszę jakieś książki!... Takto każda mierność, każda ciemnota mści się podobną ironią, na ludziach pragnących jaśniejszego światła nad kopczącą świeczkę łojową!....

W najrozmaitszy sposób objawiała mi się złość i przewrotność serc ludzkich. Sąsiedzi i sąsiadki przyjeżdżali do mnie i z wyrazem współczucia na twarzy dopytywali się o szczegóły tego, co im niewymowną radość sprawiało. Rola moja była nader trudna: nie mogłam im całej rzeczy dokładnie wyświecić, bo o dobrych uczynkach swoich człowiek sam mówić nie może. Musiałam poprzestać na niektórych sprostowaniach co do Haliny, o której miano najgorsze wyobrażenia: ubóstwo bowiem jest przekleństwem człowieka. Ale słowa moje wytłumaczono sobie jeszcze gorzej i budowano na nich nadzwyczaj kunsztowne historyjki!...

Świat powszedni nie lubi rzeczy nadzwyczajnej. Zdarzenie, w którym czynny udział miałam, nosiło wszelkie cechy nadzwyczajności. Oddarto więc tę nadzwyczajność z całego uroku, jaki dla mnie mieć mogła i przedstawiono ją w świetle pełnem grozy, awantur i źle użytych intryg.

Z Cezaryusza zrobiono człowieka jak najgorszego, opowiadano z największemi szczegółami moje zajście z jakąś szwaczką w mieście, która nademną tryumf odniosła i odebrała mi pierścionek Cezaryusza: innych szlachetniejszych pobudek nikt nie przypuszczał!

Najnieznośniejszém było mi współczucie tych, którzy we mnie widzieli porzuconą przez Cezaryusza narzeczoną. Uśmiech na ich twarzy okazywał mi, że wszelkie moje zaprzeczenia na nic się nie zdadzą! Duma moja kobieca była tutaj boleśniej dotkniętą!....

Za kilka tygodni zajaśniał mi mały promyczek niejakięj rehabilitacyi. Cezaryusz przyjechał do nas i przywiózł mi list od Haliny. Ze łzami wdzięczności pisała do mnie Halina i nie miała słów dla podziękii, za szczęście, które jęj zgotowałam. Wyznała mi, że Cezaryusz w mojej atmosferze tak wyszlachetniał, że dawnego wspomnienia nie mógł zatrzeć w duszy, które go teraz obowiązywało. Ofiara moja

przyszła mu w pomoc, gdy w strasznój był z sobą walce. Prosiła mnie jeszcze o jedną ofiarę, abym Cezaryusza do ślubu prowadziła, który wkrótce ma się odbyć: Cezaryusz ze swojej strony zaklinał mnie, abym prośbie Haliny nie odmówiła.

Podobna przysługa szczęśliwój Halinie byłaby niejako zaprzeczeniem tych wszystkich złośliwych wieści; zgodziłam się chętnie na to, i przyrzekłam w umówionym dniu przyjechać w świątecznym stroju do miasta.

Każde większe nieszczęście ma swoją nieubłaganą logikę. I ten jaśniejszy promyczek niejakię rehabilitacyi miał dla mnie zagasnąć. Ojciec mój, złamany mojem niepowodzeniem w opinii publicznej, zaniemógł znowu i położył się do łóżka. Niepodobna było od jego łóżka odejść wprost na wesele! Uwiadomiłam Halinę, że na ślub nie przybędę.

Stugębna fama rozniosła znowu to zdarzenie po kilku obwodach. Złośliwość ludzka ze świetnym dowcipem i nie-małym ekspensem wyobraźni objaśniła ten drobny facyk. Opowiadano: że chciałam pewnym efektem scenicznym rehabilitować się i wyprosiłam u Cezaryusza urząd druchny przy ślubie; z tego powodu miałam stoczyć z poczciwym ojcem moim, który podobnemi awanturami brzydził się, domową walkę, w skutek czego ojciec zachorował i tym sposobem wszystkie wyrafinowane moje szyki popsuł!

Gdy mnie tak nieczysta atmosfera zewsząd ogarnęła, gdy najbliżsi moi krewni na mnie kamieniem potępienia rzucili; gdy nawet w religii trudno mi było znaleźć pociechy i ukojenia: zrezygnowałam z całej przyszłości mojej i miałam siebie za zgubioną!...

Przekonałam się, że łatwo jest odbyć akt poświęcenia się, ale nader trudno walczyć z tém wszystkiém, co potem następuje. Chwila poświęcenia może być nawet rozkoszą, ale ciernie wyrastają dopiero potem, aby nas kłóły przez całe życie!...

I dziwna rozpacz ogarnęła mnie. Dom nasz osamotniał i wyglądał jak klasztor trapistów. Ojciec milczał po całych dniach, bo w duszy miał żal do mnie: Ewunia przestała prawie bywać i rozrywała się wizytami w wesołe sąsiedztwa.

Widziałam się tak osamotnioną jak nigdy. Zdawało mi się, że nawet zwierzęta unikały mnie i nie przyjmowały jadła z mojej ręki. Żebraków nawet brakło, którymby jałmużnę dawać mogłam; tylko dziatki trzymały się jeszcze mnie....

Z tego też powodu rozeszła się wieść po okolicy, że zamyślałam wstąpić do zakonu, i że już uczyniłam śluby teryarki....

Próbowałam na łonie natury, która moją młodocianą wyobraźnię tak słodko niegdyś kołysała, znaleźć niejaki ukojenie. Z rozpaczą na ustach otworzyłam do niej ramiona, aby mnie przycisnęła do siebie i ogrzała moje serce zamarłe!...

Lecz jakże przemawiała teraz do mnie natura?

Oto, gdym wyszła na stromą górę, której ściana skalista prostopadle w przepaść się zagłębiała, słyszałam na dnie przepaści szmer potoku, który dziwnie do mnie przemawiał! Lśniące jego fale, które z czarnej otchłani moje oko uderzały, rwały mnie jakoś dziwnie do siebie, obiecywały rozkosz zapomnienia na wieki!... Szum dziwny powstawał wtedy w głowie mojej, nachylałam się coraz więcej do przepaści, z kąd wiały do mnie jakieś dziwne prądy chłodu i spokoju!...

Cofnęłam się z brzegu przepaści, bo na ostatniej gałązce krzaczka, który wisiał na samej krawędzi, ujrzałam małego robaczka, który wszystkimi siłami ratował się od upadku w przepaść bezdenną!... Pomogłam biednemu robaczkowi i sama odeszłam od brzegu otchłani, która mi obiecywała spokój i zapomnienie!...

Drugi raz zasunęło się niebo groźnymi chmurami. Jakby naumyślnie dla mnie, w późnej jesieni rozpoczęły się błyskawice i grzmoty. Wyszłam na wolne powietrze i stanęłam pod wielkim drzewem na wzgórzu. Była tradycja, że w to drzewo kilka razy piorun uderzał i gałęzie jego łamał!... Tym razem nie uderzył piorun w to drzewo!... Ale za to zawrzała straszna burza wkoło nas!...

W kilka tygodni po „WszystkichŚwietych” przyjechało do ojca kilku znajomych. Rozmawiano długo w noc. Od tego czasu widziałam, że ojciec żył jakimś życiem gorączkowym. Po całych wieczorach czytywał dzienniki; mówił

ze mną wiele o różnych wyprawach do Brazylii, Kochinchiny i t. p. Wielu znajomych odwiedzało nas w przejeździe na jakąś wielką obławę, która się odbyć miała poza górami, na południowym stoku Karpat....

Przerwało to na chwilę moją samotność: rozmawiałam z gośćmi po całych godzinach.

Pewnego wieczora długo w noc nie mogłam usnąć; jakaś dziwna gorączka drażniła nerwy moje: usta miałam spragnione, twarz paliła od gorąca a serce głośno biło w piersi mojej.

Zasłyszałam turkot wózka. Wstałam, zbliżyłam się do okna i ujrzałam przechodzącego służącego. Zapytałam go, kto przyjechał? Odpowiedział mi, że jeden z tych myśliwych, którzy ciągną na drugą stronę Karpat.

Przyzwyczajona do takich wizyt w tej porze, położyłam się do łóżka, dawszy służącemu potrzebne rozkazy.

Nazajutrz rano przy śniadaniu zapytałam ojca:

— Czy wczorajszy gość już odjechał?

— O świcie jeszcze. Kazał cię pozdrowić! — odpowiedział ojciec spokojnie.

— Któż to był?

— Pan Andrzej!

Dziwne, nader dziwne wrażenie sprawiło znowu na mnie to imię! Właśnie puszczałam wodę kipiącą do filiżanki ze samowara. W oczach pociemniało mi, w uszach słyszałam szum, jakbym słyszała szwadron konnicy, atakujący baterie; serce moje chciało rozbić pierś, dla której oddechu nagle zabrakło.... A tymczasem wrzący ukrop biegł spokojnie po mojej ręce i oparzał ciało aż do kości!...

— Jezus, Marya!.. Regino! — krzyknął ojciec i odepchnął odemnie samowar.

— Nie czułam, mój ojcze, że mnie woda parzy! — odpowiedziałam i usiadłam na krześle....

XLIII.

Od tego dnia weszło moje życie na jakąś inną drogę. Myśli moje i marzenia nawiązały się znowu do owego pamiętnego dnia, w którym po raz pierwszy obaczyłam Andrzeja. Wszystko to, co między tym dniem a dzisiejszym

było, odkroiło się i wyleciało z życia mego jak osobny, zakończony epizod.

Marzenia moje były wprawdzie dziecinne. Nie miały one żadnego gruntu, żadnej podstawy. Andrzej był dla mnie i teraz zupełnie obojętnym. Na owym krótkim noclegu nie zapytał się nawet o mnie, tylko przypadkiem przy samym odjeździe ukłón dla mnie załączył.

Cóż więc było w tym człowieku, co wszystkie nerwy życia mego rwało ku niemu? Czy to było przeczucie wielkiej, szlachetnej duszy, za którą daremnie uganiałam w marzeniach moich? Czy to był ów tajemniczy pociąg jaki sprawiają ukryte skarby serca i duszy? Czemże było to dziwne wzruszenie moje? Czy tak poczyna się prawdziwa miłość?

Nie, nie umiem się z tego wytłumaczyć. Ten obojętny dla mnie człowiek, dziwnie zapanował nademną!... Wobec niego, wobec wspomnienia o nim traciłam siły i odwagę i chętnie stałabym się jego niewolnicą!... Przeczynałam, że on musi być wyższym, potężniejszym, szlachetniejszym odemnie!...

Śmiałam się z siebie, ale tych dziwnych marzeń nie mogłam się pozbyć; latały za mną całym rojem, jak komary przy zachodzie słońca: gdziekolwiek się zwróciłam, wszędzie były, zewsząd mnie napadały!...

I dziwnie spędzałam teraz czas wolny od zatrudnień domowych. Wychodziłam za las w dolinę i patrzyłam ztamtąd na góry ku południowej stronie: tam za temi sinemi górami był Andrzej!...

I wypytywałam się każdej ptaszyny, która ztamtąd leciała, czy Andrzej wróci i znowu do nas zawita; pytałam się wiatru który ztamtąd ciągnął, pytałam się gwiazd, które tamte strony widziały!...

Z pierwszą śnieżną zawieją znikły moje czarne postacie, które mi wieści przynosiły. Wrony i kruki i wszystko ptastwo, które nie samém ziarnem się żywi, opuściło strony nasze i przeniosło się za góry, wietrząc tam żér lepszy dla siebie!...

Dni te przeklęczałam w moim pokoiku z modlitwą na ustach, z westchnieniem w piersiach... a wiele, bardzo wiele czasu upłynęło, nim kruki i wrony znowu w nasze strony z gór wróciły!.. Andrzej jednak nie wracał.

XLIV.

Trzy długie lata upłynęły. Nad samym wieczorem zajeżdżał przed ganek powóz podróżny; wysiadł z niego Cezaryusz z żoną i Andrzej.

Andrzej miał twarz ogorzałą i włosy na głowie znacznie przerzedzone. Dla mnie jednak wydał się ten piękniejszym! Zdawało mi się, że wkoło jego głowy widzę jakąś jasną aureolę.

Wieczorem palił się tak samo ogień na kominku jak przed czterema laty. Ojciec z wielkiem ożywieniem rozmawiał z Andrzejem. Wreszcie Cezaryusz i Halina, jakby się na coś zmówili, wzięli ojca między siebie i pozwolili Andrzejowi zbliżyć się do mnie.

Siedziałam przy fortepianie. Andrzej usiadł przy mnie. Patrzył na mnie czas niejaki dziwnym wzrokiem a potem rzekł:

— Cezaryusz opowiedział mi wszystko. Widzę w pani kobietę, jakiej nie marzyłem znaleźć na świecie! Cóż pani dało podnieść do tak heroicznego poświęcenia się?

— Słowa pana — odrzekłam z uśmiechem. Przypominasz pan sobie, gdyś mi przed czterema laty, tu na tém samym miejscu powiedział, że imię moje „Wiktorja Regina,” obowiązuje mnie do wyższych, mniej powszednich czynów!

Andrzej patrzył na mnie z uroczystym wyrazem na twarzy. Zadrżałam pod jego wzrokiem i rzekłam:

— Pan również prawdopodobnie poświęcałeś się nieraz w życiu; co pana podniecało do tego?

Andrzej wziął mnie za rękę i odpowiedział za chwilę głosem dziwnie od wzruszenia wibrującym:

— Podniecię do tego, com robił, były słowa pani, wyrzeczone do mnie tu na tém miejscu: że nazwisko moje obowiązuje mnie do wyższych myśli i uczuć... A poczuwałem się tém bardziej do tych obowiązków, im więcej obok siebie widziałem ludzi prawdziwie wyższych, którzy wcale podobnego nazwiska nie mieli!...

Co się dalej ze mną działo, tego opisać nie umiem. Mówiłam jeszcze czas niejaki z Andrzejem, ale słów tych już powtórzyć nie potrafię. Wielkie uczucie, wzniosłe chwile

życia znaczą się tylko hieroglifami, zrozumiałymi dla tych, których się tyczą.

Uczuć moich nie rozbierałam w téj chwili żadną myślą, żadną refleksją; ogarnęły one całą moją istotę: byłam podobną do ptaka, który leci za słońcem, choć go nie widzi za chmurami....

Za tydzień byłam narzeczoną Andrzeja; za trzy miesiące klęczałam z nim na stopniach ołtarza.... Cała okolica oniemiała z zadziwienia i zazdrości: ojciec prawie nie wierzył szczęściu swemu....

.

Na tém kończę. Chwile szczęścia należą do nas samych!

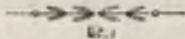
A podstawą szczęścia naszego są obowiązki dla tych, którzy naszej pomocy, naszego światła i naszej miłości potrzebują, aby jako luźne ogniwa, rdzą wiekową rozerwane, napowrót w jeden łańcuch się związały!...

Cezaryusz i Halina idą razem z nami jedną drogą szczęścia...

Tylko w oczach Ewuni pojawia się czasem mała łezka brylantowa.... Nie ma jęj czém otrzeć!...

— Masz cieką chustkę batystową z koronkami!—mawia do nięj praktyczna stryjenka!

Warszawa, maj 1868.



DON CARLOS.

STUDYUM HISTORYCZNE.

(Dokończenie).

VI.

UCZUCIA DON CARLOSA WZGLĘDEM OJCA. — SPRAWA
NIDERLANDÓW.

Mimowoli trzeba się uśmiechnąć ironicznie, gdy się widzi jak ludzie poruszają niebo i ziemię, ażeby dogodzić swój ambicyi, a tu tymczasem los płata im najzwyczajniejszego figla i cały gmach zbudowanych projektów rozpada się z trząskiem.

Filip II, Katarzyna Medycejska, Elżbieta Angielska, cesarz Ferdynand, Maxymilian i Marya Stuart intrygowali wzajemnie, przesadzali się na zręczne zamaskowanie swych działań, na oszukaństwo i szalbierstwo, jedni dla tego żeby ożenić Don Carlosa, drudzy ażeby ożenieniu jego przeszkodzić, a nie pomyśleli, iż przedewszystkiēm trzeba być pewnym samego przedmiotu. Jedni nie znali, inni znać nie chcieli dokładnie stanu jego fizycznego i moralnego, a tymczasem stan ten był ze wszech miar przestraszający. Owe wybryki szalone, których się infant dopuszczał, przypadły właśnie w chwili gdy ojciec jego szukał najświetniejszej i najpotężniejszej dla niego księżniczki. Zaznaczyliśmy także, że wówczas rozpoczęła się nieszczęsna nienawiść syna do ojca, nienawiść, którą niektórzy historycy protestantcy chcieliby infantowi policzyć za zasługę jako antagonizm zasad

syna z zasadami ojca, t. j. zasad wolności religijnej i politycznej z inkwizycją i ścieśnieniem wszelkich swobód.

Przez ten atoli przyzmat bezstronnym patrzeć się nie godzi. Ażeby rozstrzygnąć kwestyę sumienia w XVI wieku, ażeby pomyslić o wyswobodzeniu Niderlandów z pod potężnej prawicy Filipa II, a w imię kielkujących za ledwie wolnomyślnych zasad i idei, potrzeba było człowieka geniuszu, męża co najniżej natchnionego wiarą i odwagą jeżeli nie poświęceniem, a nie schorzałego, niedołążnego młodzianszka, którego los przypadkowo postawił na stopniach tronu.

Wszystkie dowody autentyczne kreślą nam jasno charakter i zdolności Don Carlosa; też same dowody dają nam fakta historyczne jak się wydarzyły, a więc dają nam matematyczną niemal prawdę.

Z nich się najoczywiściej przekonać można, że opozycja Don Carlosa nie miała najmniejszej doniosłości politycznej, że ani marzył on kiedykolwiek o chwale zostania obrońcą tolerancji religijnej; lecz że raczej uważać ją trzeba jako skutek naruszonego stanu umysłu, i jako niewzruszony opór i opór nierozumnego dziecka przeciw surowemu opiekunowi, chcącemu siłą i strachem złamać nieposłuszeństwo, a raczej winę natury. Powtarzamy surowemu opiekunowi, bo Filip II był istotnie takim dla dziwacznych postępów swego syna. Zamiast starać się go uleczyć czy poskromić łagodnością i zaufaniem, karał go ostro za najmniejsze przewinienia; infant też wzajem uważał go nie jako ojca ale jako surowego cenzora, a nie mogąc znieść nawet jego widoku, sprzeciwiał się wszelkim jego rozporządzeniom tak prywatnym jako i publicznym.

W tém więc sprzeciwianiu się, nie da się dopatrzeć najmniejszej podstawy wytkniętych zasad lub przekonań, ale tylko prosty opór rozkapryszonego i schorzałego umysłu. Don Carlos nie miał najmniejszego nigdy pojęcia o życiu publiczném nawet wtedy, gdy już dojrzawszy chciał odegrać jakąś rolę polityczną.

Jego późniejsze działania, noszą za ledwie cechę próżnej i bezcelowej ambicji, jakiejs chętki niepodległości bez podstawy, i są tak skierowane że szkodzą samemu państwu, którem później miał rządzić.

Istotnie gdyby Don Carlosa nie usprawiedliwiał wadliwy stan umysłu, wydałby się on wielce winnym jako syn i jako przysły następca tronu.

Gdyby wreszcie Don Carlos miał być jakiegobądź cele polityczne, byłby nienawidził urzędników swego ojca dlatego że są narzędziami jego polityki; lecz widzieliśmy już że obraził księcia Albę za uchybienie mu w etykiecie, że chciał zabić kardynała Espinosę, za pozbawienie go przyjemności teatru, a więc z czysto osobistych pobudek, objawiających się nadto śmiesznymi i nierozsądnymi wybuchami. Tak samo raz wynosił na szczyt łaski ulubieńca, a potem nagle wtrącał go w przepaść poniżenia (Lobon Osorio). Podobnie raz czci prawie księcia Eboli, powierzając jemu pierwszemu zamiar ucieczki; to znowu nagle nienawidzi go według jednych, za wyjawienie tego zamiaru królowi, według drugich, za odmówienie mu żądanej pożyczki 200,000 talarów.

Nienawidzi zaś do tego stopnia, że umieszcza go między pięcioma osobami którym życzy najgorzej; atoli wymienia go po ojcu. I znów zdziwić się potrzeba, gdy temuż Eboli na łożu śmierci przekazuje trzy kosztowne legata. Byłoby to oznaką ostatniego przebaczenia, czy też przekonaniem o niesłuszności podejrzenia? Niewiedzić,—w każdym razie namacalną jest rzeczą, o ile Don Carlos poddawał się chwili, jak dalece rządził się sympatjami, a nie jakimkolwiek głębszym celem politycznym. Cel polityczny byłby mu np. nakazywał, w dobrych pozostawać stosunkach albo z księciem Albą, albo z księciem Eboli, gdyż powszechnie było wiadomo że kto chciał mieć łaski jednego, musiał być nienawidzonym przez drugiego; Don Carlos tymczasem obydwóch nienawidził i obydwóch obrażał, ostatecznie więc rozterka Don Carlosa z Filipem II, nie była bynajmniej antagonizmem zasad. Lecz wracajmy do toku wypadków.

Sprawa Niderlandów zajmowała naówczas dwór madyrycki nie mało. Filip II przesiąknięty zasadami o niewzruszoności praw odziedziczonych, karzący srogo kacerstwo jeszcze więcej jako opór przeciw jedności religijnej aniżeli jako błąd teologiczny, nie myślał ustąpić ani na krok. Kościół i król były w jego pojęciu jednem i tém samém, pod dwoma tylko odmiennymi nazwiskami. Obydwom winien

był każdy ślepe posłuszeństwo: kto zaczepiał kościół zaczepiał i władzę króla; króla więc było obowiązkiem dwoistości swojej bronić wszelkimi siłami. To wytłumaczy może dlaczego naczelnik inkwizycyi zasiadał zarazem w przybocznej radzie królewskiej, to wytłumaczy również jedyny w dziejach experiment: możności pogodzenia ścisłej religijności z ścisłym monarchizmem. Kościół i rząd Filipa II łączyli się najściślej ze sobą w przekonaniu o swojej nieomyślności, w dążeniu do jednego celu, to jest do poniżenia indywidualizmu w obec swój potęgi. Kościół nie rywalizował z rządem, nie pragnąc oderwania lub hegemonii; bo wiedział że taka rywalizacya rozdzielając obydwóch, osłabiłaby wzajemne siły, oni zaś potrzebowali siły do powziętej raz idei téj zwłaszcza, że religia katolicka powinna nieograniczenie zawładnąć sumieniami ludów. Ztądto tłumaczy się równowaga tych dwóch strasznych potęg istniejących obok siebie w najlepszej zgodzie; ztąd również tłumaczy się nieszczęsne rozbicie się wszystkich ówczesnych samodzielnych usiłowań. Flamandzycy znali grożące im niebezpieczeństwo. Jakkolwiek oddaleni od głównego rządu w Hiszpanii, wiedzieli że czeka ich grom ucisku tém nieubłagańszy, iż opór ich wydawać się musi nietylko buntem ale jeszcze publiczném zgorszeniem, zaraźliwym przykładem, a nadewszystko wyłamaniem się z pod uświęconego systemu.

Mimo to zanieśli królowi swe zażalenia, prosząc o wstrzymanie centralizacyi spraw ich krajowych w Madrycie, prosząc o wolność sumienia.

Ale już było zapóźno: ani król ani wykonawcy jego rozkazów nie byli skłonni do ustępstw; owszem postanowili ich uśmierzyć z całym uporem raz powziętego, w krwi przetrawionego systemu.

Na to postanowienie odpowiedzieli Flamandzycy jawnym powstaniem.

Lecz zanim do tego doszło, przewodcy narodu jako: hrabia Egmont, Wilhelm Oranii i Wilhelm Nassauski układali się z rządem Filipa IIgo namiestniczo sprawowanym przez ciotkę jego w Bruxelli, księżnę Parmy.

Wilhelm Oranii bystry i roztropny, modyfikował wymagania rządu, w czém wielce pomagała regentka do poło-

wy tylko wykonywająca krwią pisane wyroki Filipa II; lecz przeczuwał słusznie jako i zebrana rada panów flamandzkich, że taki opór bierny trwać długo nie może.

W czasie tejto jeszcze epoki umiarkowania, wysłały Niderlandy w poselstwie do Madrytu: margrabiego de Mons, i Florentyna de Montmorency, barona de Montigny. Obaj mogli wkrótce się przekonać, że król był gotów na wszystko, że rozgniewany łagodnością i umiarkowaniem regentki nie myślał się nadal cofać przed gwałtownemi środkami: obaj uznali, że powstanie Niderlandów jest koniecznem. Wówczas baron Montigny poznał nienawiść Don Carlosa do ojca i chciał z niego skorzystać dla sprawy swęgo kraju.

Nie mogła go nie olśnić intryga niecąca kłótnię w rodzinie królewskiej, stawiająca następcę tronu na stanowisku antagonisty względem polityki ojca, a przynajmniej w każdym razie rozdwajająca politykę rządu. Udało mu się uzyskać kilka posłuchań u infanta.

Infant zgadzał się na wszystko, a nadto objawił chęć ucieczki z Hiszpanii, zapewne sam nie wiedząc prawdziwego jej celu; Montigny nie wahał się dłużej, przemawiał więc doń w imieniu Flandryi ofiarując mu pieniądze na potajemną ucieczkę. Być może że poznał stan umysłu infanta, ale mimo to postawienie imienia infanta na czele powstania jako sztandaru, wydało mu się rzeczą nie do pogardzenia.

Don Carlos wreszcie przybywszy na miejsce, mógł posłużyć Flamandczykom jako namiestnik albo w najgorszym razie jako zakładnik. Te konszachty z Montignym oddziały o tyle na infanta, że odtąd przywiązywał wielką wagę do swęgo stanowiska politycznego, napominając nawet radę królewską ażeby się gorliwiej zajęła sprawą flandryjską. Don Carlos jeszcze w roku 1565 zamyślił opuścić Hiszpanię pod pozorem niesienia pomocy oblężonej Malcie. Zwierzył się z tém księciu Eboli, który natychmiast uprzedził króla.

Król nie chcąc sprawy rozgłaszać, zostawił ją w rękach Ebolego. Ten zjechawszy się z infantem na umówioném miejscu, rzekł mu że potrzeba przeczytać list dopiero co odebrany od wice króla Neapolu.

W liście umyślnie sfabrykowanym stało, że wysłano już posiłki Malcie.

Wyperswadował więc Eboli infantowi ucieczkę argumentem, iż skoro Malte posittkują, oni nie mają już pozoru niesienia jój pomocy, poczem infant nie podejrzewając zdrady powrócił do Madrytu.

Montigny nie wiedział o tym pierwszym projekcie ucieczki, jak również i o tém że Filip II baczne zwrócił nań oko. Nie myślał on go już wypuszczać z Hiszpanii, dla tego prosił flamandzkiego posła z największą uprzejmością, zakrawającą na krwawą ironię, ażeby jak najdłużej pozostał. Tak samo nie dał poznać Don Carlosowi, że wie o jego umowach, a to z obawy, iżby tenże nie oddalił od siebie księcia Eboli, pełniącego tak dogodne dlań obowiązki.

Z pomocą Ebolego wiedział o wszystkim, nie potrzebując się niepokoić ani uciekać do ostatecznych a rozgłoszonych środków. Ograniczył się tymczasem na upomnieniu infanta przez Hermana Suareza, który znów zaklął go w długim liście, ażeby był posłusznym ojcu.

Lecz nadarino, uporném marzeniem infanta stało się odtąd opuszczenie Hiszpanii.

Czekał tylko sposobności i dla tego tak chętnie popierał swoje małżeństwo z księżniczką Anną, bo zamyslał raz dostawszy się do Niemiec, uciec ztamtąd do Flandryi. Lecz gdy układy ciągle się przewlekały, i gdy nadto wieść chodziła, iż książę Medina Coeli zaślubi księżniczkę przez prokuracyę, Don Carlos wątpić zaczął w udanie się zamiaru. Nagle ambasadorowie zostający przy obcych dworach otrzymali rozkaz ogłoszenia, iż król Filip II odwiedzi sam Flandryę, co znowu dodało mu otuchy, albowiem nie wątpił że będzie ojcu towarzyszył w tej podróży. Europa z ciekawością oczekiwała wyjazdu Filipa II, który jednak trzymał ją w wątpliwości przez całych ośm miesięcy roku 1566. Dopiero we wrześniu t. r. dowiedziano się, że książę Alba wyprzedzi króla. Jak dalece nieszczerym i fałszywym był w polityce Filip II, okazuje się i z tego, że nominacya księcia Alby na namiestnika Flandryi ogłoszona urzędownie dopiero we wrześniu nosi datę 31 stycznia t. r., Alba zaś wyjechał dopiero w listopadzie.

Don Carlos dowiedziawszy się o tém wpadł w gniew szalony i niepomahowany. Nie mogąc go wylać na króla zwrócił go na Albę gdy przyszedł do niego z pożegnaniem.

Rzekł mu albowiem podniesionym głosem, że ta podróż jego jest zuchwałością, której on mu zakazuje; gdy zaś zdziwiony Alba przedłożył mu rozkaz królewski, infant nie chciał go czytać przecząc że on sam tylko powinien jechać do Flandryi.

Nadaremnie przekładał Alba z uszanowaniem pobudki, infant rozwścieczony dobył sztyletu krzyząc: „przeszyję ci rączę serce, aniżeli zniosę twój odjazd do Flandryi.” Zaczęli obaj szarpać się, Albie udało się rozbroić infanta, lecz o tém nowym czynie jego szaleństwa natychmiast doniósł królowi. Król jako też królowa i ciotka mocno się zmartwili nieszczęsnym stanem infanta. Dworzanie pewni byli, że gdyby nie obawa skandalu, król zamknąłby go niechybnie. Umiał się jednak jeszcze Filip powściągnąć, podwoiwszy niemęj tylko surowości względem syna. Znów jednak zapowiedział Alba wyjazd królewski do zbuntowanych Niderlandów z wielkimi siłami na rok 1567. Właśnie wtedy zgromadzili się kortezy w zamiarze proszenia króla, aby podczas swęj nieobecności pozostawił infanta w Hiszpanii. Don Carlos dowiedziawszy się o tém, udał się na salę posiedzeń, gdzie oświadczył zgromadzonym kortezom, iż taką prośbę uważać sobie będzie za obrazę osobistą, gdyż wyjazdu jego do Flandryi nikt powstrzymać nie zdoła. Zakończył dość naiwnym rozkazem, iżby nikt ze zgromadzonych nie ważył się nikomu o tém co mówił powtórzyć. Naturalnie że rozkazu nikt słuhać nie myślał.

Król świadkiem będąc tych ciągłych dziwacznych wybryków i szaleństw swego syna, żył w ciągłej obawie jakiegoś rozgłośnego skandalu; przekonany zaś będąc że one pochodzą nie ze złego jego charakteru, ale z naruszonego umysłu, chciał spróbować wyleczenia za pomocą łagodnego obejścia. Zaczął od powiększenia jego, dość zresztą skąpych dochodów z 60,000 na 100,000 talarów; niedługo potem dał dowód jeszcze większej łaski, bo nakazał aby odtąd rada wojenna zbierała się w komnacie syna. Można przypuścić, że nie rozbierano ważnych spraw państwa w obecności infanta, lecz że ustępstwo to użyte było tylko w tym celu, ażeby ile możności odwrócić dziwaczny jego umysł od szkodliwych i niebezpiecznych planów, i ażeby mniej więcej zaś coś uczynić jego gwałtownej a bezcelowej chęci rządzenia.

Nie broniąc Filipa II jako króla, nie można nie bronić go jako ojca. Tym albowiem krokiem, jeżeli już nie innym, dowodzi ojcowskięj czułości, nie chcącęj karać za przestępstwa będące wynikiem chorowitego usposobienia, lubo te przestępstwa były wielkie i hańbiące rodzinę królewską.

Zamiast karać za ostatnie wybryki wynagradza go swoją łaską i zaufaniem. Nie poprzestając na tém, zapowiada mu w lipcu 1567 r., że go weźmie ze sobą do Flandryi.

Każe się przygotować do podróży. Przystosabiają okręty, zabierają potrzebne konie na przejazd z Madrytu do Bajonny, już nawet i termin po kilkakroć wyznaczony.

Król układa listę osób mającą mu towarzyszyć, zabiera też ze sobą 50 teologów mających założyć fundamenta Inkwizycji we Flandryi; słowem wszyscy wierzą, wszyscy pewni tym razem wyjazdu króla, nawet Katarzyna Medycejska która przysłała potrzebne paszporta na przejazd z Bayonny. Ale dzień 21 sierpnia nadszedł, (termin ostatni był na d. 3 sierpnia) a król jeszcze nie odjeżdżał, królowa małżonka jak mówiono, wcale w ten wyjazd nie wierzyła.

Usłużni dworzanie rozgłaszali, że morze zaszkoziłoby królowi, że więc prawdopodobnie wybierze się dopiero na przyszlą wiosnę.

Pomimo to nie zaprzestano okazałych przygotowań, uzbrojeń i przystrajania okrętów chorągwiami, co więcęj król własnoręcznie pisał listy do kapelanów żeby byli gotowymi do drogi.

Niedługo oświadczone wyraźnie, że król zaniechał podróży. Dwa lata w ten sposób łudził król Europę z pewną ironiczną przyjemnością, której nie zataił w rozmowie z królową.

Forquevaux cytuje dosłownie te rozmowę, której się dowiedział od królowej.

Odtąd mogła się Europa przekonać o całej chytrności polityki Filipa II, zasadzającęj się właśnie na przeciwieństwie czynów ze słowami. Nie można jednak powiedzieć, iżby sam na téj polityce skorzystał, gdyż nie przestraszywszy bynajmniej Flamandczyków co było głównym jego zamiarem, zanadto się odsłonił, zanadto prędko pozwolił sobie zajrzeć w k arty.

Na Don Carlosa wpłynęła stanowczo chytryść króla ojca. „Zgnębiony jest — powiada poseł francuzki — i nie umie tego zamilczeć.” Począł stósownie do planu Montignego, układać plan potajemnej ucieczki; lecz ostrożny król zabrał mu dowódcę, dawszy rozkaz osadzenia go w więźy w Segowii. Krwawy dramat rozpoczęty miesiąc przedtem z Egmontem i Hornem w Niderlandach, (a który podamy czytelnikom naszym w osobnym studyum p. t. Egmont, opartem na tragedyi Getego) nie był bez związku z uwięzieniem Montignego, i straceniem go w cztery lata później. Montignego zasady religijne i polityczne, zasady które głośno objawiał słowy: „iż nie godzi się przelewać krwi w kwestyi religijnej” musiały dotkliwie ubóść nieubłaganego despotę, fanatycznego reprezentanta idei ultra-katolickiej, polityka wreszcie nie przebierającego w najniegodziwszych środkach.

Don Carlosa król zostawił jeszcze w spokoju, obawiając się aby uwięzienie nagłe Montignego nie wzbudziło w nim podejrzeń. Gniew infanta przebijał w jego słowach, które pozostały w książce pisaniej przez niego, wyszydzającej w ten sposób podróże swego ojca: „Wielkie i podziwienia godne podróże króla Filipa II z Madrytu do Pardo, z Pardo do Escorialu, z Escorialu do Aranjuez, z Aranjuez do Escorialu, z Escorialu do Pardo, z Pardo do Madrytu ect. ect.” Cała książka zapełnioną była podobnemi szyderstwami z króla ojca.

VII.

WYKRYTE PLANY DON CARLOSA.

Nadszedł rok 1567. Aż do czerwca Don Carlos zachowywał się spokojnie i z pozorami rozumnego działania, tak iż trzeba przypuścić że były to jego *lucida intervalla*. W czerwcu dopiero zaszła nowa jakaś rozterka między ojcem a synem. Z tegoż roku datuje się raport lekarza królewskiego oświadczający, że infant nie jest zdolnym do zawarcia związków małżeńskich.

W lipcu polepszyły się stosunki pomiędzy ojcem a synem. *Forquevaulx* pisze: że „jest teraz dobrym synem i że za to ma od ojca wszystko czego pożąda. Rozkazuje też

w wielu rzeczach, a wymaga posłuszeństwa bez szemrania." Słusznie zauważa znakomity biograf Don Carlosa *Mow*, że można sprawdzić równoległą niemal zależność stanu moralnego Don Carlosa od fizycznego. W czerwcu system nerwowy Don Carlosa rozstrojony, oto i czyny odpowiednie, bo nierozsądne i gwałtowne; w lipcu stan zdrowia poświadczony przez lekarzy lepszy, oto i postępowanie godniejsze, zasługujące na łaskę króla. Nadarmo sililiby się niektórzy pisarze (między innymi p. Karłowicz w Szkicu biograficznym o Don Carlosie. Warszawa 1867) na udowodnienie jasności i zdrowia umysłu infanta, a na przypisanie tragicznego jego losu despotyzmowi i politycznemu antagonizmowi Filipa II. Apologia taka, mimo że się jej p. Karłowicz wypiera, może posłużyć tylko za dodatek do tylu innych dodatków legendowych o Don Carlosie, ale nie wytrzyma krytyki historycznej, opierającej się dzisiaj na niezbitych niczém dowodach, bo na porównanych ze sobą świadectwach, pozostałych jako korespondencya dyplomatyczna i jako autografy ówczesnie w tym dramacie działających spółaktorów. Nie da się przeprowadzić powtórzony zarzut przez p. Karłowicza, jakoby czyny szalone Don Carlosa były wymysłem Filipa II ukutym dla Europy.

Trzysta lat zbiegłych od owéj epoki, pozwala spokojnie patrzeć na ludzi i namiętności témbardziej, gdy dziś wyszły na jaw dokumenta zostające aż dotąd w tajnych archiwach, a które lepiej przystają do zaszłych faktów i pewniej przemawiają jako dowód, aniżeli hipotezy lub wnioski oparte na kronikach podejrzanéj lub lekkomyślnéj wiarogodności.

Gdybyśmy wreszcie żadnych nie znali dokumentów a tylko znali same istotne fakta, to i tak musielibyśmy z nich wnioskować o naruszonym stanie umysłu Don Carlosa, bo motywa ich i cele nie zgadzają się ani z wymogami prostego rozumu, ani nie wykazują rzeczywistj i ch potrzeby.

Filip II wreszcie jakkolwiek despota i pogwałcający wszelkie prawa, nie chciałby bez przyczyny udęczać i więzić następcę tronu, nie chciałby narażać się na tak głośny a bezpożyteczny skandal.

Wykazaliśmy już, że nie mógł nienawidzić Don Carlosa, jako przeciwnika w kwestyi religijnéj, gdyż Don Carlos (jak temu nie przeczy p. Karłowicz) posuwał gorliwość katolicką

aż do śmieszności bigoteryi; nie mógł być zazdrosnym o żonę, (jak chcą niektórzy: Saint-Réal, Szyller) gdyż ani jednego świadectwa nie ma na to, iżby jakibądź inny stosunek istniał między infantem a królową, prócz najczystszej sympatyi; mógł więc mieć tylko polityczną nienawiść, ale przekonaliśmy się i dalej przekonamy, że jakkolwiek Montigny był sprężyną, to jednak infant zamyslał uciekać bezwiednie, bez celu, z rozkapryszonego chorobą umysłu. Jeżeli go więc król w końcu każe uwięzić, to nie czyni tyle z obawy jego osoby jako przedstawiciela nowego ruchu, nowego przeobrażenia politycznego, ile z obawy dalszych skandalów, których nie zawsze i przy największej czujności, ustrzedzby się zdołał. Nie jest to, powiemy antitetycznie do słów p. Karłowicza, bynajmniej apologia Filipa II, bo nie bronimy go jako władcy, ale bronimy go w obec bezstronnej prawdy historycznej jako ojca i jako człowieka, nie potrzebującego się kalać niepotrzebnie dzieciobójstwem.

Obstajemy więc przy tém materyalistyczném może ale nauką stwierdzoném orzeczeniu, że stan fizyczny Don Carlosa warunkował stan jego umysłowy i moralny, że gdy był zdrowszy, był i łagodniejszy, a gdy znów zapadł w febrę (niezapomnijmy od jak dawna febra go wyniszczała) to i czyny jego były gwałtowne i dziwaczne. Niczem téż inném nie dałyby się wytłumaczyć sprzeczności w jego postępowaniu: raz łagodność i szlachetność, drugi raz dzikość i zapamiętałość.

Protestantcy pisarze umieli się wprawdzie posłużyć tym właśnie argumentem, że Don Carlos był szlachetnym i łagodnym, i że tylko ojciec robił go przed Europą złym i szalonym; lecz nie chcieli oni badać przyczyn i wyników, zaznaczając tylko dogodne im fakta.

Sama chęć ucieczki Don Carlosa z Hiszpanii, dowodem jest rozkapryszonój i chorobliwój jego fantazyi, bo wszakże gdyby ją przedsięwziął dla oddalenia się od osoby swego ojca, nie byłby się starał tak usilnie o wyjazd razem z królem do Niderlandów i nie byłby tak namiętnie i nierozsądnie karcił Kortezów za to, że go właśnie chcieli oddalić od osoby królewskiej, prosząc o regencyę dla niego w Hiszpanii. Metoda logicznej dedukcyi p. *Mouy*, na którą się pan Karło-

wicz nie zgadza, zdaje się nam właśnie wyborną i słusznie zasługującą na uwieńczenie przez akademię paryzką.

Don Carlos więc, trwając upornie przy swym zamiarze ucieczki z Hiszpanii, ujrzał się nagle przypartym do ściany, pozbawionym wszelkiego pozoru wyjazdu. Ruy Gomezowi już nie wierzył, uważając go po prostu za szpiega.

Szukał innych pomocników, lecz i w tém postąpił sobie nie według zasad zdrowego rozsądku. Rozpisał bowiem listy do kilku magnatów jako: do margrabiego Pescara, do admirała Kastylii, do księcia Medina Rioseco, prosząc ich o współdziałanie w przedsięwzięciu, którego im jednak nie objawił. Chodziło tu po prostu o pieniądze potrzebne do ucieczki. Napisał prócz tego do kilku bankierów o pożyczkę. Wszyscy zawiadomiwszy natychmiast o tém króla, pośpieszyli z grzeczną odpowiedzią że są gotowi na jego usługi, byle się to tylko nie sprzeciwiało woli króla.

Infant zrozumiał, że odpowiedź była odmową, i że wzbudził tylko nowe w ojcu podejrzenie. Istotnie téż Filip II pozbawiony Ruy Gomezem usłużnego donosiciela, w strasznej był obawie o nowe przedsięwzięcia Don Carlosa, którym już z góry tak jak to udawało mu się poprzednio, nie mógłby zagrozić.

Infant wynalazł sobie głównego pomocnika w osobie niedawno co strąconego w przepaść niełaski Osoria. Osorio tak długo poniewierany, postanowił życie poświęcić aby się wynieść na nowo. Zgodził się więc na wycieczkę do Sewilli celem wyrobienia pożyczki w imieniu infanta. Pomagał jeszcze niejaki Martinez usiłujący zaciągnąć pożyczkę w Burgos i Valladolid. Obydwoh powrotu wyczekiwał infant niecierpliwie.

Osoriowi posłał nadto dwanaście blankietów (rewersów in blanco) z najrozleglejszém pełnomocnictwem pożyczania od kogoby uważał za stosowne. Oto forma takiego blankietu: „Garcie Alvarez Osorio, będzie wymagał od Wpana w moim imieniu pewnej summy potrzebnej mi niezbędnie i koniecznie. Proszę zadość uczynić temu poleceniu, spełnisz Wpan przez to swój obowiązek wassala, i pozyskasz moją łaskę. Co się tyczy oddania, spuszczam się na Osoria, który cokolwiek uczyni, uczyni za moim zezwoleniem.” Po-

trzebną była summa 600,000 dukatów, według obrachowania infanta.

Podczas gdy ajenci krzżeli się gorliwie, Don Carlos nierozważny jak zawsze, zwraca się ze swych planów Juanowi d'Austria. Don Juan mimo wielkich zalet wojownika nie mógł się poszczycić sławą szczerego otwartego przyjaciela. Nie można jednak stanowczo orzec, czy to on doniósł królowi o zamiarach infanta. Pewnikiem jest, że udał się do Eskurialu po owęj rozmowie, lecz być może iż uczynił to dla tego ażeby się wywinąć od natarczywych prośb Don Carlosa żądającego jego współdziałania.

Osorio powrócił z 150,000 dukatów i obietnicą pożyczających, że summy potrzebnej dopełnią. Chwila działania nadeszła. Don Carlos d. 19 czerwca 1568 r. udał się do Eskurialu.

Dziękował królowi za udzielenie Juanowi admiralstwa. Pod tym pozorem chciał zakryć prawdziwy cel swego przybycia, który nie był inny, tylko powierzenie Juanowi pomyslnego skutku podróży Osoria, i ostatecznego terminu działania mającego przypaść jednej z następnych nocy. Tegoż dnia wrócił do Madrytu.

Juan zawiadomił brata o tych szczegółach, w czém może nie popełnił tak wielkiej winy, bo chodziło tu o los państwa. Równocześnie naczelnik poczty, Rajmund de Taxis zawiadomił Filipa II, że infant zamówił konie pocztowe na niezwykłą godzinę. Król nie tracił czasu, tegoż wieczoru był w Madrycie. W tak strasznęj chwili mającej rozstrzygnąć los jedyne go syna i następcy tronu, zawezwał pomocy niebios.

Nakazał po kościołach modlić się o pomoc Boga, o natchnienie z niebios potrzebne mu do pewnego przedsięwzięcia.

Chcemy wierzyć, że to wezwanie nie było obłudném. Zawezwał teologów dla rozstrzygnięcia tłoczących go wątpliwości. To już nazwać trzeba śmieszna kazuistyką, którą lubiał osłaniać najczarniejsze swe zbrodnie.

Rada tajna objawiła królowi, że nie należy wypuszczać infanta z Hiszpanii, chcąc zapobiedz wojnie domowej.

Król czuł się coraz bardziej wstrząśnionym, lubo z twarzy jego marmurowo spokojnej, niktby nic nie wyczytał. Nie

chciał przeciąć od razu agitacyi syna, dopóki by te nie zaczęły się w sposób jasny dla całej Europy.

Jeszcze tejże nocy zebrał Radę Stanu, której osobiście prezydował. Królowie hiszpańscy prezydowali w nadzwyczajnych tylko wypadkach. Czy chciał od nich potwierdzenia powziętego zamiaru, czy téż rzeczywiście rady? niewiadomo; to pewna że poczuwał się jako ojciec i jako król do obowiązku przeszkodzenia potomkowi tak dostojnej rodziny, w czynach hańbiących zarówno godność książęcia jako i człowieka.

VIII.

UWIEZIENIE DON CARLOSA.

W dniu 15 czerwca 1568 r. w święto niedzielne udał się król w towarzystwie Infanta, Juana i księżąt wysłuchać mszy świętej. W kaplicy rozmawiał długo z don Juanem, poczem przyjmował u siebie odwiedziny różnych ambasadorów. Wszyscy zauważyli później, że król miał twarz zupełnie spokojną. Don Juan poszedł od króla do Don Carlosa; Infant i tak już zdziwiony rychłym powrotem króla do Madrytu, podejrywał Don Juana bardziej jeszcze po jego dłuższej rozmowie z królem. Wietrzył zdradę, dla tego za ledwo ujrzał wchodzącego wuja, zapytał go drząc cały z gniewu, o czem mówił z królem w kaplicy. Don Juan odpowiedział, że mowa była o okrętach stojących w przystaniach hiszpańskich.

Na to infant w nagłym wybuchu swój zapalczywości, przyskoczył do don Juana z dobytą szpadą,—ten dobył swojej krzycząc głośno: „Strzeż się wasza wysokość.” Służbowi posłyszawszy krzyk nadbiegli, tak iż don Juan mógł się oddalić. Rozstrojony i zdenerwowany królewicz musiał się położyć w łóżko. Był to ostatni dzień jego wolności, bo w tejże chwili król wydawał rozporządzenia uwieżnienia go w nocy. Hrabia Lerma i Rodryg Mendoza otrzymali jeszcze od króla w ciągu dnia tajny rozkaz, ażeby drzwi urządzili w ten sposób, iżby wejść można było bez hałasu. Obadwaj mimo prawdziwego przywiązania do infanta, musieli być posłusznymi. O godzinie 12 w nocy wyszedł król

ze swego gabinetu w towarzystwie książąt, Eboli, Feria, opata Antonina Toledańskiego i Luis Quijady. Król miał kask na głowie, ale nie miał szpady. Przed nim i jego towarzyszami niósł Diego de Acuna lampę oświetlając po ciemnych korytarzach idących niby groźne duchy. Dwóch woźnych szło w tyle niosąc gwoździe i młotki. Gdy nadeszli ostrożnie i cicho aby nikogo nie budzić przed pierwsze drzwi komnat księcia, Eboli otworzył je swym kluczem który posiadał jako pierwszy major domo.

Po kilku minutach stanęli na progu sypialni Carlosa niewidziani. Komnata blade była oświetloną, infant leżący na łóżku plecami do drzwi, rozmawiał z hr. Lerma i Rodrygiem Mendoza. Kroki przystępujących do łóżka zagłuszyły głosy rozmawiających, i dywan rozpostarty na podłodze, tak iż zanim się Infant spostrzegł, już mu Filip II odebrał szpadę i sztylet leżące tuż obok niego. Oddawszy je sługom, ukazał się teraz oświetlony w pełni, milczący i nieporuszony, otoczony towarzyszami tak samo niewzruszonymi marmurowo. To mimowolne a jednak tak efektowne ugrupowanie, wywarło niesłychane wrażenie na nieszczęsnym infancie. Scena to niezawodnie godna pędzla i godna dramatu, ponura i bolesna, straszliwa i majestatyczna! Don Carlos przestraszony surowém obliczem ojca i sędziego, wyskoczył z łóżka, krzyknąwszy: „Czego chcesz Najjaśniejszy Panie — mego życia czy wolności?” „Ani jednego ani drugiego,” odrzekł król spokojnie i łagodnie. Don Carlos zrozpaczony nie słuchał dalej, ale napół obłąkany ze strachu, rzucił się na ogień płonący na kominku.

Zatrzymano go, wtedy nieprzytomny i zgnębiony padł królowi do nóg błagając o śmierć jako o łaskę, ale król zimny, sztywny i nieubłagany nakazał mu położyć się do łóżka mówiąc: „co czynię, czynię dla twojego dobra.”

Infant którego opuściły siły, zamilkł jakby rażony piorunem, a Filip II spieszący się z zakończeniem téj przykrój dlań sceny, milcząc dalsze wydawał rozkazy. Posłuszni skinieniu Lerma i Eboli zabrali wszelką broń znajdującą się w komnacie, zaś Antonio Toledański zabrał kufer z papierami. Nadto nakazał Filip podejmować wszelkie sztaby żelazne i stalowe przyczepione do mebli, własną ręką wydobyszy z pod poduszki Don Carlosa sakiewkę z pieniędzmi

i kilka złożonych kluczy. W jednym z kufrów znaleziono 36,000 talarów w złocie, brylant wartości 25,000 talarów i kilka pierścieni wielkiej ceny. Woźni zabijali okna deszczkami. Naostatku kazał król przywołać oficerów służbowych, i rzekł do nich:

„Oddaję wam pod straż Infanta, i nakazuję słuchać rozkazów księcia Feria któremu go powierzam.”

Tak się odbyło uwięzienie następcy tronu hiszpańskiego. Scena ta w której Filip II głuchym był na jęki i błagania jedynego syna, oświecałaby krwawém światłem nielitościwego ojca, gdyby nie wyższe i konieczne powody każące milczeć ojcu, przypominające mu, że jest władcą powierzonego sobie państwa. Mimo to niektórzy pisarze (najnowszy) nienawidzący Filipa II jako despoty i ciemniźcy, umieli podnieść szczegóły tej sceny w sposób ohydzący go nadto jako ojca i człowieka. Nasze zapatrywanie odmienne w tym względzie, usprawiedliwiliśmy poprzednio, a poniżej poprzemy je kilkoma jeszcze uwagami.

IX.

FILIP II OBJAŚNIAJĄCY UWIĘZIENIE DON CARLOSA PRZED PORUSZONĄ EUROPA.

Nazajutrz dwór dowiedział się o zaszyłych wypadkach w nocy. Królowa i ciotka Juanna płakały z żalu; jedni chwalili postępek króla, inni ganili go jako zanadto surowy mówiąc: „że od uśmiechu do sztyletu nie daleko.“ Król nie miał mocy nakazać milczenie ogółowi, ale chciał przynajmniej żeby się Hiszpania i dwory, z jego a nie z innych ust dowiedziały o powodach ostatniego zajścia. Naturalnie, że Europa która już raz poznała chytróść i fałsz Filipa II w polityce, nie łatwo skłaniała się do dania wiary wyjaśnieniom ojca względem uwięzienia jedynego syna i następcy tronu.

Nazajutrz po dokonanym czynie (19) kazał król wstrzymać wszystkich kuryerów wyjeżdżających z Madrytu.

Królowa Elżbieta sama wyznała Forquevaultowi, że król nie życzy sobie natychmiastowego rozgłoszenia o uwięzieniu Don Carlosa. Również oświadczone legatowi pa-

piezkiemu, że król własnoręcznie pośle do Rzymu sprawozdanie.

Sekretarze królewscy przygotowywali depesze, tak że dopiero w 4 dni potem pozwolono przepuścić za granicę nowinę, która nie mało świat zadziwiła i wzruszyła.

W ciągu tych dni zwołał król Radę i doniósł jej o więzieniu księcia. Był tak wzruszonym, że gdy mówił łzy zalały mu oczy. Eboli i Espinosa (wielki inkwizytor) mieli sobie polecone zawiadomić ambasadorów. Obaj mówili w duchu dyplomacyi swego pana, t. j. zwierali się na pół, nie dając dokładnych objaśnień. Espinosa rzekł do legata papieżkiego: że król miał więcej na względzie służbę Boga, zachowanie religii i państwa aniżeli własną krew, że więc musiał poświęcić jedynego syna aby nie obrazić Pana niebiosów. Na co legat: „mówią, że Infant knuł spisek przeciw ojcu.“ „Gdyby tak było — odrzekł Espinosa — J. K. Mość poradziłby sobie był inaczej. Lecz na darmo szukano lekarstwa od dwóch lat, stan rzeczy tylko się pogorszył. *Nigdy nie można było przyprowadzić do ładu tego umysłu, tak że trzeba było uciec się do ostateczności.*” Słowa te ostatnie zrozumiał legat, tak, jak je zrozumiał ogół oddawna już nie mylący się pod tym względem.

Niedługo nie tai się już Espinosa, wprost oznacza rzeczy po nazwisku mówiąc: że król nie mógł zostawić po sobie następcą księcia, którego umysł obłąkany na najzwyklejsze prowadził drogi.

Eboli zawiadomił posła cesarskiego najbardziej interesowanego, i posła francuzkiego. Poseł francuzki zdając sprawę swemu dworowi, też same powody przytacza t. j. obłąkanie Don Carlosa.

Charakterystyczny rys depesz Filipa II o tej sprawie stanowi to, że nigdzie nie ma w nich wzmianki o ostatnich planach infanta opuszczenia Hiszpanii, o jego konszachtach z Montignym i t. d. a nadewszystko, że *depesze wręcz zaprzeczają pogłoskom, jakoby Don Carlos usiłował zabić ojca.*

Szczegół to bardzo ważny, mianowicie dla odparcia zarzutu tych pisarzy, (że przypomnę tylko p. Karłowicza w jego szkicu o Don Carlosie) którzy koniecznie chcą widzieć w Filipie II potwarcę umyślnie obwiniającego syna o pomieszanie zmysłów.

Jakizby miał w tém cel? Czyż nie było dlań dogodniej zasłaniać się jego szkodliwością jawną i dowiedzioną, jego dążnością wywrócenia tronu i państwa? Pocóż miałyby się uciekać do wymysłów nie dających się tak łatwo udowodnić, gdyby istotnie były tylko wymysłami? My przeciwnie dopatrujemy się w tém urzędowém zaprzeczaniu pogłoskom oskarżającym Don Carlosa o chęć zabicia ojca, o zamachy polityczne i religijne, pewną delikatność ojcowskiego uczucia, chcącego złość syna przypisać raczej wadzie natury aniżeli umyślnój i rozumnej woli.

Równocześnie rozesłał król okólniki miastom. Ton ich brzmi jak rozkaz pana do sługi. „Wiedźcie—powiada król że dla przyczyn sprawiedliwych .. uwięziliśmy Najjaśniejszego królewicza Don Carlosa naszego syna, w osobnej komnacie naszego pałacu.... Uważaliśmy za stosowne zawiadomić was o téj tak ważnej zmianie i o zasadzie naszego postępku. Jeżeli doszliście do téj ostateczności, to powinniście wierzyć, że nasze pobudki były naglące....

Gdy tego będzie wymagać potrzeba, dowiedcie się szczegółów przyczyn stanowczych, które nas zdecydowały, dziś chcieliśmy was tylko uprzedzić.”

Miasto Murcia odznaczyło się z pomiędzy innych odpowiedzią serwilistyczną a jak inni mieć chcą, fanatyczną.

„Nasze miasto—pisze—odebrało list W. K. M. donoszący o uwięzieniu następcy tronu. Jesteśmy przekonani o potrzebie tego kroku, gdyż W. K. Mość rządziłeś tak szczęśliwie, utrzymywałeś państwa swoje w pokoju tak głębokim, rozszerzałeś religię z taką gorliwością, że trzeba być pewnym iż w téj okoliczności działałeś według służby Boga i dla publicznego dobra..... *w obec tego czynu tak pięknego* my poddani W. K. M. czujemy się w obowiązku służyć W. K. M. z większą jeszcze wdzięcznością.“ Podobała się królowi ta odpowiedź, bo zaznaczył własnoręcznie na marginesie: „List napisany z wielką mądrością i rozsądkiem.“ Takie suche i zwięzłe zawiadomienie otrzymał wice-król Neapolu i Sycylii i ksiązę d'Alcala, co jednak dało powód ludności włoskiej do licznych komentarzy nie bardzo podobających się absolutnemu Filipowi.

Jeden tylko list, t. j. list króla do księcia Alby wychodzi z ciasnych granic urzędowego stylu, i jest raczej zwierzeniem

się przyjacielskiem, lubo nie opisuje szczegółowo pobudek, jako zapewne aż nadto dobrze znanych jednemu powiernikowi króla.

Z tych słów pisanych ręką samego króla, wieje cała gorycz zawiedzionego monarchy. „Znasz książę a mój kuzynie, najlepiej usposobienie mego syna i jego czyny, abym potrzebował usprawiedliwiać się szeroko z uczynionego przezemnie kroku i moich pobudek.

Od czasu twego odjazdu, rzeczy przybrały taką postać, infant popełnił takie czyny, żem nareszcie postanowił upewnić się co do jego osoby, i uwięzić go w jego komnacie pod osobną strażą. Według mego rozkazu, niewolno mu rozmawiać z nikim, prócz osób przezemnie wskazanych.

Rozgłos zrobił się wielki, postępek mój wydał się surowym; lecz ty osądzisz stosownie do tego coś wiedział, i co wiesz, czy moje postanowienie na słusznej polega przyczynie. Byłbym cierpliwy albo téż inaczej byłbym sobie postąpił, gdyby *obrazy jego i wybryki mnie się tylko tyczyły*, ale ja pamiętać musiałem o obowiązkach moich względem Boga, dobra publicznego i państw moich, i dostrzedz niebezpieczeństwo zagrażające nietylko w przyszłości ale i w obecnym czasie... Ponieważ sprawa ta jest ważną i narobi wiele hałasu, nakazałem przeto wystosować do ciebie list pisany po francuzku który pokażesz Radzie mojej flandryjskiej, trybunałom ect. objaśniając te tylko szczegóły które są zawarte w depeszy”.... Nawet księżnie Parmeńskiej regentce nakazuje Filip II udzielić tych tylko szczegółów które podaje depesza. Król nie nazywa w liście tym Don Carlosa wprost: obłąkanym, bo wie że Alba tak samo zna stan jego umysłu; —gdyby jak to chcą niektórzy pisarze, chodziło o co innego, o kacerstwo np. Don Carlosa, niezawodnieby tekst listu pisanego do jedynego powiernika, ułożony był w innym sensie i orzekał wyraźnie. Taż gorycz i boleść zranionego ojcowskiego serca, przebija się podobnie jak w liście do księcia Alby, tak i w liście do Ojca Śgo. Filip II pisze między innemi:

„Nadarmo użyliśmy wszelkich środków mogących przytłumić wybryki *naturalnego jego usposobienia i jego osobliwych pociągów*.... Wasza Świętobliwość zrozumie moją boleść, gdyż on jest moim pierworodnym, moim jedynym synem.”

Papież odpowiedział rzewnem słowem, które król czytając łzami się zalał. We Francyi Hugonoci ucieszyli się z téj nowiny, bo komentowali ją dla swoich celów, stawiając infanta na czele stronnictwa swego wyznania. Katarzyna Medycejska i Karol IX nic się nie mogli dowiedzieć od posła hiszpańskiego, który w duchu polityki swego pana zbywał ich próżnemi frazesami, stojącemi na pośredniej drodze między pół-wyznaniem a nieufnością. Listy Filipa II do najbliższej familii, szersze są i szerszej się rozwodzą. W liście do królowej portugalskiej, babki Don Carlosa, powiada między innemi: że uwięzienie to nie jest *karą* i że *ani czas ani żadne środki nie zaradzą złemu!* Wyraźnie powiada, że chociaż infant na karę zasłużył, uwięzienie to jednak nie jest kara;—widocznie król nie myśli karać za czyny, skoro sprawca nie może być pociągniętym do odpowiedzialności za intencję.

P. Karłowicz zarzuca panu de *Mouy* na str. 128, że wyraz *folies* (wybryki, szaleństwa) brał za *folie* (obłąkanie); wnioskuje więc z tego że Don Carlos nie miał pomieszania wmysłów, lecz że mógł tylko popełniać wybryki szalone.

Nam się zdaje że p. de *Mouy* niezgorzej zna język francuzki i najsubtelniejsze językowe różnice; p. de *Mouy* powiada tylko że Filip II w swoich listach do obcych dworów nie chce użyć wyraźnie tego słowa, lecz że go jedynie ozna-
czał z daleka pozwalając się go domyślać.

Nie można się też dziwić, że ojcu przykro jest obwoływać syna swego po całej Europie waryatem, tém bardziej że tym ojcem jest król tak potężny, jakim był Filip II.

P. Karłowicz oskarża dość gwałtownie Filipa II, że umyślnie *spotwarzał syna przed światem*, obnosząc go jako waryata; my przeciwnie cytując listy, wykazujemy tę niechęć króla w nazwaniu rzeczy prawdziwem mianem. Filip II wzdragał się nazywać „waryatem” Don Carlosa tak dalece, że z natrętną ciekawością dworu francuzkiego obszedł się prawie niegrzecznie. W listach i poselstwach do cesarza niemieckiego, tak samo jest oględnym. Ten wyraz „waryat” nie chce mu przejść przez usta, wymyka mu się zaledwie z dalekich orzeczeń i zapewnień, że Don Carlos więziony jest nie za karę. Cesarzowa zrozumiała o co chodzi, zrozumiała smutne położenie króla, bo dowiedziawszy się zawoła-

ła: „Król Filip jest ojcem, wie co czyni, i można wierzyć że postanowienia jego zgadzają się z dobrem infanta.” Cesarz Maxymilian czuł się jednak trochę urażonym brakiem bliższych szczegółów, dla tego myślał posłać brata swego arcyksięcia Karola do Madrytu.

Nie wiedział ile przykrości sprawiało zajęcie się całego chrześcijaństwa tym wypadkiem, ile niemiłemi były Filipowi II wszelkie rady i kondolencye w sprawie którą chciał zachować jako domową. To też nie pozwolił królowej portugalskiej przybycia do Madrytu, celem pocieszenia Don Carlosa; i tegoż samego nie pozwolił Juanie ciotce infanta. Nie mógł on ścierpieć wmieszania się czyjegokolwiek w swoje rozporządzenia, zanadto będąc zazdrosnym o władzę, a w tym przypadku zanadto czując się upokorzonym stanem umysłu swego syna.

Nie chciał wreszcie aby łyzy kobiet, najbliższych krewnych jego rodu, rozbudzały bardziej jeszcze imaginacyą w sprawie, która miała tak wielką doniosłość.

Król rozpatrzył się w papierach zabranych w kuferku. Jakie to były papiery niewiadomo, bo nie przechowały się aż do naszych czasów. Papiery te miały dowodzić, (o czém wątpić trzeba) porozumień infanta z nieprzyjaciołmi korony. Miały to być listy Don Carlosa do ojca, do papieża, cesarza, do książąt katolickich, do grandów i rad królestwa! W listach do papieża i cesarza miał się infant uzalać, że musi opuścić Hiszpanią, ponieważ znieść dłużej nie może obejścia surowego ojca. W listach do grandów skarżył się, że król dla tego nie chciał go ożenić, ażeby go pozbawić następstwa tronu, a zachować je dla syna spodziewanego z innego małżeństwa (!)

Nadto miał im obiecywać wielkie łaski gdy się sprawie jego poświęcą. Listy te jeżeli rzeczywiście istniały, świadczą wyraźnie o zbrodniczych zamiarach syna przeciw ojcu, królewicza przeciw państwu. Na drugi dzień po uwięzieniu infanta, zawiadomił Filip komisyyę nadzwyczajną mającą prowadzić śledztwo. Składali ją: Eboli, Espinosa i Briviesca de Mutanones.

Fałszywie sądzą ci, którzy utrzymują, że miano wytoczyć proces infantowi, i że w tym celu ściągnięto z Barcelony

akta procesu podobnego wytoczonego przez Ferdynanda Katolickiego swemu synowi księciu Viane. Czyż Filip II zapewnijający wszystkich że więzi syna nie za karę, miałyby mu potem proces wytaczać?

Lecz za co? za pomieszenie zmysłów?

Komissya rzeczona była raczej ustanowioną celem urzędowego ogłoszenia, że Don Carlos nie jest zdolnym do rządzenia. I byłaby to, można sądzić na pewne, uczyniła niezawodnie, gdyby śmierć infanta nie oszczędziła pracy. Ogłoszenie zaś urzędowe że infant jest niezdolnym do rządzenia, było potrzebném dla poddanych, którzy mu złożyli przysięgę na wierność, i którzy bez tego aktu, mogli i powinni go byli słusznie uważać za prawego następcę tronu.

Nareszcie gdyby posądzania Filipa II że otruł infanta były prawdziwemi, na cóżby naznaczał komissyę mającą go odsądzić od następstwa tronu?

Wszakże śmierć zwalniała go z tój troski całkowicie.

X.

ŚMIERĆ DON CARLOSA.

Urzednicy Don Carlosa otrzymali odpowiednie urzędy na dworze Filipa II. Księcia Feria zastąpił w czuwaniu nad Don Carlosem książę Eboli. Sześciu młodych magnatów oddano do szczególnej usługi uwięzionemu, a nazwiska tych że świadczą o dobrych chęciach króla. Byli to bowiem sami tacy których infant lubił; dwóch z nich: szczególnie hrabiego Lerma i Rodryga Mendoza. Ośmiu oficerów służbowych pełniło usługi a zarazem pilnowało infanta. Wszyscy złożyli przysięgę w ręce księcia Eboli. Otrzymali oni instrukcye najszczegółowsze, których się trzymać mieli z największą ścisłością. Nikomu nie wolno było wchodzić do księcia prócz jego spowiednika, golarza, lekarza i lokaja.

Z początku chodziły wieści, że infant jest okuty, co jednak okazało się fałszem, i że okna były zabite deszczkami, co zdaje się prawdopodobném, lubo już w miesiąc potem wolno mu było oglądać przez okno ludzi i krajobraz.

Nie wolno atoli było pozostawiać infanta samego w komnacie, kolejno co noc spał ktoś przy jego łóżku. W ciągu dnia, dwóch żołnierzy stojących przy każdych drzwiach nie wpuszczało nikogo, wyjąwszy za wyraźnym zezwoleniem księcia Eboli.

Nie wolno było otaczającym infanta rozmawiać pocichu, ale głośno w obecności wszystkich i nigdy o jego uwięzieniu. Niewolno było cokolwiekbądź ze słów infanta wnosić poza obręb więzienia, lub też przyjmować jakiebądź posyłki bez zezwolenia królewskiego!

Zamknięto dlań świat zewnętrzny.

Ktokolwiek zbliżał się do infanta, musiał być bez szpady i sztyletu, stosownie do etykiety. Nie wolno było infantowi wychodzić z przeznaczonj komnaty nawet dla wysłuchania mszy stój.

Mszę odprawiano dla niego w sąsiedniej komnacie przeznaczonj w oratorium, której słuchoł ze swj komnaty przy otwartych drzwiach, podczas czego dwóch służbowych stało tuż przy nim.

Kucharze oddawali potrawy oficerom służbowym, którzy je podawali szambelanom. Mięso musiało być pokrajane, nie wolno było pozostawić noża: obawiano się samobójstwa. Do czytania miał Don Carlos książki nabożne i historyczne.

Pilnującym go nakazano usługiwać księciu z wielkim uszanowaniem należnym jego krwi i jego nieszczęściu. W przepisie sporządzonym przez króla, nakazane było czuwanie nad dobozem potraw podawanych księciu. Po ustanowieniu tego porządku, król chciał aby zaprzestano zajmować się osobą Don Carlosa. Dlatego zakazano księżom mówić z kazalnicy o uwięzieniu księcia, zakazano nawet dawać dowody współczucia miastom i korporacyom. Dwór zrozumiał wolę królewską i milczał, co jednak nie przeszkadzało iżby z poza murów więziennych nie przekradały się czasem różne szczegółki dziwaczne i ciekawe. Nie wszystkim trzeba wierzyć, tym chyba które są poparte kilkukrotnemi a zgodnemi świadectwami. Do baśni np. policzyć trzeba, jakoby infant połknął przypadkiem pierścień i jakoby król obiecał mu wolność pod warunkiem ożenienia się z ciotką Juaną (?). Do takichże, odwiedziny Filipa II u sy-

na swego w więzieniu; o czém doniósł w swoim czasie poseł francuzki swemu dworowi, lubo później wiadomość tę odwołał. Tyle można powiedzieć na pewno: Don Carlos podczas pierwszych dwóch miesięcy trwał w gwałtownym gniewie przeciw swemu ojcu, nie chciał się spowiadać i myślał o samobójstwie (List Hernana Suareza). W dwóch drugich miesiącach, stan zdrowia się polepszył a więc jak zawsze i stan umysłu. Przystępował nawet do kommunii św., co potwierdza *Forquevaux* i list Filipa II wystósowany do papieża, a usprawiedliwiający akt ten przed nim i to z tój przyczyny, że jedni dowiedziawszy się o tém, uważali za świętokradztwo przyjmowanie kommunii św. przez człowieka niezdrowych zmysłów, inni zaś że sądzili, iż człowiek któremu pozwalają przyjąć kommunię św. nie musi być zmysłów pozbawionym. Chodziło więc Filipowi II o wykazanie papieżowi, że obłąkanie infanta miało swe *lucida intervalla*, podczas których mógł poddać się sakramentowi pokuty. W tój epoce złagodniał infant do tego stopnia, że okazywał wielkie uszanowanie dla woli królewskiej, co jednak nikogo nie zaspokoilo na przyszłość. *Forquevaux* potwierdza obawę mówiąc, że nie ma nadziei aby umysł jego kiedyś wydobrzeł. Szydzi on nawet z cesarza, łudzającego się nadzieją wolności Don Carlosa.

Bardzo być może, że i sam infant łudził się w tój epoce nadzieją wolności; lecz mógł się łatwo przekonać inaczej, gdyż król nic a nic nie zmienił w rozkazach wydanych początkowo. Nastala teraz znów może chwila napadów wściekłego i szalonego gniewu.

Zapewne się do tego przyczyniły: brak ruchu, upały letnie nie do zniesienia lub powrotna febra, a trochę i rozpacz.

Przytém raz chciał się zagłodzić nie przyjmując pokarmu przez 50 godzin, to znowu objadał się aż do obżarstwa, i to samemi owocami, przy których popijał w ogromnej ilości wodę ze śniegiem. P. Karłowicz w biografii o Don Carlosie, oburza się mocno na Filipa II że nie kazał powstrzymać Don Carlosa od tych wybryków, że pozwolił mu się objadać do tego stopnia, że więc widocznie życzył sobie jego śmierci. Bardzo słusznie, lecz w takim razie powinien był także tenże Filip II *przymuszać do jedzenia* Don

Carlosa wtedy, gdy ten się głodził umyślnie. Słuszność wymagała tego tak samo, lecz zapytujemy się czy nie byłoby to stokroć większém okrucieństwem?

Don Carlos pod wpływem nieznośnych upałów jadł owoce bez miary, pił wodę ze śniegiem, przechadzał się bosymi nogami po posadzce obficie wodą skrapianej, i oddychał nieodziany przez otwarte okno, wieczorną wilgocią powietrzną. Naturalnie że febra się zwiększyła, wzmożona dysenteriją (w końcu czerwca).

Pilnujący nie mieli tak szczegółowych instrukcyi, i nie mieli wreszcie tyle śmiałości iżby przymuszali infanta do jedzenia jednych potraw a zaniechania innych.

Mieli oni nakaz podawania *zdrowych* potraw, lecz nie mogli mieć nakazu co do *ilości*. Takie drobiazgowo określanie było niemożebném, tak jak niemożebnym jest przymus w pewnych warunkach, jako nie dający się ująć w ścisłą literę. Dowiedzioném jest wreszcie listem sekretarza królewskiego Zayasa, że nie szczędzono prośb i napomnień, lecz mianoż użyć aż siły? Mianoż go przywiązać do łoża, aby nóg nie zaziębiał? A jego krzyki które wydawał wtedy, gdy go tylko napominano, nie wpłynęłyżby gorzej jeszcze na ogół?

Od dnia 10—21 lipca zdrowie infanta całkiem się pogorszyło. Filip II zawiadomiony o tém powrócił z Eskurialu. Infant nie chciał uparcie żadnego posiłku prócz zimnej wody,—osłabł tak znacznie, że obawiano się lada chwilę śmierci. Dnia 21 rano Don Carlos zażądał spowiednika. Wielkie osłabienie, bliskość śmierci, grobowa cisza otaczająca łoże konającego zapewne go uspokoiły.

Znękana dusza wlatywała już do krain, gdzie najwyższy spokój i nieznanne na ziemi szczęście. Otrzymawszy absolucyę, zapragnął widzieć się z ojcem. Król może nie chcąc przerwać uroczystej godności ostatniej chwili, przysłał mu tylko swoje ostatnie błogosławieństwo przez opata Antonina Toledańskiego. W nocy z dnia 23 na 24, przerwał nagle Don Carlos swe modlitwy, zapytując o godzinę. Odpowiedziano mu, że północ nie wybiła jeszcze. Zamilkł, nie przestając całować krzyża Zbawiciela. Po kilku minutach znów zapytał o godzinę. Północ się zbliżała, a z nią świt nowego dnia, którego już nie miał oglądać. Gdy się

dowiedział o godzinie: szepnął „już czas:” te same słowa wyrzekł dziad jego Karol V przy skonaniu. Kazał sobie włożyć w ręce zapaloną świecę, a szepcząc: „*Deus propitius esto mihi peccatori!*” skonął. W dniu 24 lipca 1568 zakończył lat 23 i miesięcy 6.

Śmierć infanta nie wywołała wielkiego wrażenia, wszyscy byli już dawno do niej przygotowani. Dnia 25 t. m. przeniesiono zwłoki do kościoła św. Dominika, zkąd miano je przenieść do Eskurialu!

Don Carlos odziany był stosownie do wyrażonej przedśmiertnej woli, w habit zakonny franciszkański. *Forqueval* powiada, że znać było tylko skórę i kości. Czuwający nad infantem, nieśli zwłoki jego na swych ramionach, dopiero w bramie Eskurialu przyjęli je grandowie zanosząc aż do kościoła. Towarzyszyli wszyscy posłowie i niezliczone tłumy. Król patrzył z okien pałacu na żałobny orszak, poczem według zwyczaju przepędził 4 dni w klasztorze św. Hieronima. Don Carlos nazaczył egzekutorami swego testamentu: arcybiskupa sewilskiego, Onorata Juan swego nauczyciela, (testament był sporządzony jeszcze w r. 1564 gdy Onorato żył) biskupa z Kordowy, księcia Eboli, Luis Quijado swego koniuszego, Hermana Suareza swego alkađe dworskiego, i kilku innych. Testament zaczyna się od uroczystego oświadczenia wiary dla religii katolickiej, a nakazuje oprócz innych rozporządzenie aby za duszę jego odprawiono 10,000 mszy. Wyraża także życzenie założenia klasztoru franciszkanów, wątpić jednak trzeba czy Filip II życzeniom tym zadość uczynił. Poczytał także różne legata, z których się pokazuje że przebaczył swoim nieprzyjaciółom; zapisał bowiem legata Juanowi d'Austria i księciu Eboli.

O śmierci infanta zawiadomiono dwory obce, miasta hiszpańskie otrzymały okólniki wychwalające pobożną śmierć następcy tronu.

Tak zakończył życie dziedzic najpotężniejszego tronu ówczesnej Europy.

Los jakby na szyderstwo postawił go w pośród najwyższego blasku ziemskiej potęgi na to, ażeby go potem zepchnął w przepaść nieszczęść tém sroższych, że będących następstwem wypadku natury.

Potomność waha się, czy wyrzec nad tym bladym, wą-
tłym, dziwacznym młodzieńcem słowo litości lub pogardy.
Sunt lacrimae rerum! Pisarze, historycy czy poeci nie mo-
gą mówić o tej postaci bez wzruszenia, i dobrze czynią,
niech tylko idealizując ją nie spotwarzają innych, czystych
w obec sądu historyi, a Filip II niezaprzeczenie *jako ojciec*
czyste ma ręce i sumienie. Nie godzi się obwiniać, nie po-
pierając obwinienia niezbitymi dowodami.

Tegoż jeszcze roku w październiku umarła 24-letnia
żona Filipa II Elżbieta.

Szlachetną tę, pełną anielskiej słodyczy kobietę, zastą-
piła we dwa lata później Anna córka Maxymiliana, a więc
obie narzeczone Don Carlosa były żonami jego ojca. Dzi-
wne zrządzenie! Filip II utrapiony jako ojciec, nie stracił
niesprawiedliwej energii w sprawach polityki. Niderlandy
nie miały znać łagodnej ręki zwierzchniczój, tam srogi Alba
grasował siejąc mordy i zniszczenie (1)!

W studyum niniejszém, w stronie jego krytyczno-histo-
rycznej, trzymaliśmy się tych źródeł i tych autorów, którzy
logiką i ścisłością dowodzenia najwyborniej ochraniali bez-
stronną prawdę historyczną.

Piszący epizody historyczne, faktów nowych nie stwa-
rzają, bo nie wolno im bujać po szerokiej niwie wyobraźni,
ale jeszcze i w tym wyborze gotowych już źródeł i dzieł
powinni przeprowadzać własne zdanie, zgodne z prawdą, lo-
giką i z zasadami psychologii. Dotychczas mało u nas po-
jawia się prac historycznych, objaśniających wybitne a cie-
kawe postacie; dla tego nie ściągając uwagi na siebie po-
chwalić musimy równoczesne naszym, badanie p. Karłowicza
jako sumienną i skrzętną pracę. Chcemy jednak, ponieważ
wydaną ona została w polskim języku i w osobnej książce,

(1) Celniejsze źródła: Warnkönig Don Carlos 1864.—Gachard
Don Carlos et Filip II 1863.—Brantôme Mémoires d'Elisabeth de France.—
Mouy Don Carlos, — Saint-Réal 1864.—Prescott Filip II 1860.—
Michaelis Filip II et Don Carlos 1863.—Merimée Don Carlos.—Compendio
della vita di Filippo II Relazione curiosissima. —Przekład z archiwów
w Simancae.

ponieważ napełnioną jest masą cytat i źródeł nader poważnych, zaprzeczyć jej przewodniemu dowodowi jako dowodowi wprowadzającemu *systematycznie* w błąd czytelnika. O co przedewszystkiem chodzi p. Karłowiczowi? O to, że Don Carlos nie był idiotą ani waryatem, ani niedołągą, (lubo nie powiada nam właściwie czém był w istocie); lecz że waryatem zrobił go jego własny ojciec umyślnie i z premedytacją, (dlaczego? tego nam także autor nie powiada).

Ażeby tego dowieść, powiada na wstępie p. Karłowicz że: „Filip wziął się na własne gniazdo.” Nie rozumie (na str. 22) co nauczyciele (Onorato) donoszący Filipowi II o małym postępie Don Carlosa, „widzą w nim zdroźnego,” co „mają chłopcu do zarzucenia.” Raporta Onorata wydają mu się „niejasne” lubo powinienby autor dostrzedz, że Onorato boi się nazwać poprostu wychowanka swego waryatem, a przynajmniej objawiającym początki pomieszania zmysłów. P. Karłowicz przyznaje wprawdzie, że ciągła febra dręczyła Don Carlosa, i że Filip starannie go pielęgnował podczas choroby w Alkali, (str. 81); lecz nie chce się zgodzić ażeby uderzenie silne głową schorzałego i tak już młodzieńca o żelazne drzwi, mogło cokolwiek choćby wstrząsnąć mózg jego; woli raczej wierzyć w zdrowy jego umysł choćby z tego, że zabiegi o ożenienie infanta najlepiej dowodzą, że nie był idiotą ani niedołągą. („Z tych zabiegów zagranicznych o połączenie się z infantem wnosimy, iż *widocznie* młodzieńca nie poczytywano za jakiegoś idiotę lub nie dołągę, skoro o rękę jego tak się ubiegano.” str. 88). Autor zapomina, że ponieważ nie wiedziała jeszcze Europa o stanie zdrowia infanta, (gdyż Filip sam domysły dopiero swoje najstaranniej ukrywał), mogły więc najpierwsze domy panujące starać się usilnie o dziedzica najpotężniejszego tronu. Autor nie wierzy Tiepolemu posłowi weneckiemu, chociaż go uznaje za wiarogodnego, tylko nie w tym jednym razie, gdzie powątpiewa o zdrowym umyśle Don Carlosa, powiada o nim: „tym razem kłamie dla powodów mnie niewiadomych.” Zarzut dość naiwny!— panu Karłowiczowi wydaje się to: „szczerością” co u Don Carlosa jest nierozsądkiem, lubo zgadza się na to (str. 105), że przystępy złości Don Carlosa graniczyły *nawet z nieprzytomnością*, i zgadza się najwyraźniej na

to, że winą tego jest: „chorobliwe rozdrażnienie i odziedziczenie obłąkania rodzinne.” Jakże pogodzić tę sprzeczność? Autor tak ją objaśnia: „Nie miał tylko pomieszenia zmysłów w *pospolitem* rozumieniu wyrazu.” Jakież jest *niepospolite* pomieszenie zmysłów?

Raz na drodze negacyi a zarazem postawienia na jój miejscu czegoś, co nęci oryginalniejszym krojem, nie wierzy p. Karłowicz nawet listom Filipa II do Alby w tém miejscu, gdzie jest aluzya o znaném Albie obłąkaniu Don Carlosa; lecz wierzy najzupełniej temuż Filipowi *w tym samym ł.ście*, gdzie król nakazuje odwołać pogłoskę, jakoby syn przeciw niemu spiskował. Jeżeli komuś nie wierzymy w jedném, to nie bardzo zwykliśmy wierzyć mu w drugiem, zkadże więc to nagłe zaufanie? Oto stąd, że jest gwałtownie potrzebném do zrehabilitowania Don Carlosa nie tylko jako człowieka rozumnego, ale nadto jako całkiem nieknującego zdrań przeciw ojcu. Lecz wreszcie czemże był Don Carlos, czego chciał i dlaczego tak a nie inaczej działał? Przecież to aż nadto jest już dowiedzione, że nie był bez winy względem króla i państwa; chodzi tylko o to, czy ta wina nastąpiła skutkiem zdrowych zmysłów lub nie. Tego nigdzie autor nie rozstrzyga, nie chodzi mu albowiem tyle o charakter Don Carlosa, ile o to, że Filip II umyślnie i z premedytacją zrobił z niego waryata. Niechby wreszcie i tak było, zdanie jest zdaniem, a poparte jasnym dowodem może rozświecić nie jedną kwestyę, o której się już dziś zdaje że jest rozstrzygnięta; lecz pan Karłowicz zostawia zarzuty bez dowodów i bez dołączenia przyczyn tak jak np. ten ostatni: (str. 171) „że zamiarem Filipa II było, wtedy gdy kazał syna więzić, usunięcie go od następstwa tronu.” Niezawodnie, że wtedy gdy go kazał więzić, to, a nie co innego miał na myśli, lecz nie trzeba skutku brać za przyczynę; bo jakieżby miał cel Filip II w wyłączeniu syna od następstwa po sobie, gdyby się nie był obawiał, że umysł jego szalony grozi zniszczeniem całej monarchii? Samą przyjemność? Nie — Filip II dla przyjemności krwi nie wylewał. Chęć przekazania tronu drugiemu synowi? lecz Filip II nie miał jeszcze wówczas drugiego syna, mógł się więc raczej obawiać, że wydziedziczywszy i ubezwładniwszy Don Carlosa, tron jego w obce

przejsć może ręce. Nie, Filip II nie popełniał zbrodni *bez celu*, a bezcelowym byłby taki postęp z Don Carlosem.

Przeciwnie, przytaczaliśmy szczegóły w ciągu naszego opowiadania, świadczące o troskliwości z jaką wychowywał syna swego, o wszelkich środkach możebnych wyleczenia go i poskromienia, o powstrzymywaniu się z tym środkiem ostatecznym jakim było uwięzienie aż do chwili, w której dłuższa cierpliwość i dłuższe wyczekiwanie pokazałyby się nierozsądkiem, którego panującemu popełnić nie wolno.

Apologia przeto w obec bezstronnego sądu historyi chybia celu, a przydać się może tylko poetom, gardzącym matematyczną i suchą ścisłością.

E. Lubowski.



SZKOŁA POZYTYWNA.

• (Dokończenie)

V.

SOCYOLOGIA.

Pod nazwą socjologii rozumiem wszystkie nauki zastanawiające się nad społeczeństwem. Ponieważ społeczeństwo ma rozmaite do osiągnięcia cele, częścią materialne, częścią obyczajowe, zaczęły i nauki zajmujące się społeczeństwem są rozmaite. A zatem zarówno ekonomia polityczna jak i etyka, zarówno prawo we wszystkich swoich odgałęzieniach jak i właściwa polityka noszą nazwę nauk społecznych. Ale nauki te, każda ze swojego stanowiska i celu, jedną tylko stronę społeczeństwa przedstawiają. Potrzeba więc było nauki ogólnej, któraby uporządkowała w całość naukową rezultaty osiągnięte przez owe nauki szczegółowe. Nauce tej dano nazwę socjologii. Socjologia tedy zastanawia się nad społeczeństwem ludzkim bez względu na rasy, granice terytoryalne, religie i mowy. Ogarnia ona cały ród ludzki, o ile nam jest znany, i śledzi prawa, według których rozwija się i postępuje.

Jak w poprzednich ustępach tak i w niniejszym wykażemy, jakie były pojęcia A. Comte'a o społeczeństwie, dopełniając braki pojęciami jego zwolenników. Tym sposobem czytelnik nie spotka się tu z żadną osobistą nauką piszącego, lecz z pojęciami twórcy szkoły pozytywnej, która w tej części wiedzy najbardziej musiała odstąpić od teorii Comte'a jako niedorzecznej. Prawie wszystko co Comte napisał w zajmującym nas obecnie przedmiocie, odnosi się do drugiej połowy jego życia i naukowego zawodu. A są to po większej części tak dzikie marzenia, że je tylko nadwreżonym mózgiem twórcy objaśnić można.

Zacznijmy od rodziny, bo rodzina stanowi podstawę społeczeństwa. A najprzód zobaczmy, jak Comte pojmował stosunek rodziców do siebie i w ogóle mężczyzny do niewiasty.

W pierwszej połowie swojej naukowej kariery, gdy władze jego umysłowe jak należy działały, Comte uważał kobietę za istotę moralnie i umysłowo niższą od mężczyzny. Zaraz się o tem przekonamy z jego listu pisanego w tym przedmiocie do J. S. Mill'a. W drugiej połowie życia, gdy został oczarowany przez panią Klo-

tyldę de Vaux, zmienił swój sąd do niepoznania i wpadł w drugą ostateczność.

Korrespondencya Comte'a z Mill'em o stanowisku kobiety w społeczeństwie obejmuje kilka jego listów pisanych różnemi czasy do filozofa angielskiego; przytaczamy jednak ustępy najwybitniejsze z listu datowanego z Bordeaux, 5 października 1843 r.

„Im więcej się zastanawiam, pisze Comte, nad ważnym nieporozumieniem socyologiczném i biologiczném o przeznaczeniu i położeniu społeczném kobiety, tém bardziej uważam za właściwe scharakteryzowanie wielce opltakanéj anarchii umysłowej naszego czasu, i wykazanie trudności dostatecznego porozumienia nawet wśród umysłów wyborowych, różniących się przynajmniej chwilowo w jednej z najważniejszych kwestyj, jakie socyologia może poruszać, w kwestyi będącéj zasadniczą podstawą każdéj prawdziwéj hierarchii społecznej....

„Wszyscy myśliciele ceniący prawdziwie niewiastę i uważający ją za coś więcej niż za przyjemną zabawkę, byli jak sądzę, w podobném położeniu.

„Charakterystyczna ich (niewiast) niezdolność do rozumowania oderwanego, prawie zupełna niemożliwość oswobodzenia się od uczuć namiętnych nawet przy czynnościach umysłowych, chociaż uamiętności ich są pospolicie szlachetniejsze; muszą im na wieki zamknąć przystęp do wyższego i bezpośredniego kierunku spraw ludzkich, i to nietylko w naukach i filozofii, jak pan sądzisz, lecz oraz w życiu estetyczném a nawet praktyczném, gdzie systematyczność (*l'esprit de suite*) i konsekwentność stanowią główny warunek powodzenia. Uważam kobiety za równo niezdolne do kierowania wielkiém przedsięwzięciem handlowém lub przemysłowém, jak ważną jakąś operacją wojskową. Tém bardziej niezdolne są one z gruntu do piastowania jakiegokolwiek rządu, nawet domowego, lecz zaledwie do zarządu podrzędnego, i t. d.”

Comte tedy był zdania, że natura organizacyi fizycznój kobiety, a za nią idąca niższość umysłowa z jednej strony, i wiekowa zależność w jakiej żyła w stosunku do mężczyzny z drugiejj, są koniecznością, której nie zaradzi zmieniony system wychowania. Mill bowiem twierdził, że niższość umysłowa i moralna kobiety jest wynikiem wychowania, które władze jej umysłowe bardzo słabo rozwija. Nie wdając się w rozstrzyganie tak ważnéj sprawy, sądzimy, że Comte miał słuszość, i że żadne utyskiwania na tyraniją mężczyzn, czy to przez filozofów, czy przez same kobiety głoszone, nie zmieniają naturalnego porządku rzeczy, lecz mogą sprowadzić co najwięcej cywilne równouprawienie płci obojga.

Rodzinę uważa Comte za główne źródło uczuć społecznych, jakkolwiek człowiek z natury ma już skłonność do życia towarzyskiego, a ztąd wynika, że społeczeństwo nie jest spółką kontraktową, lecz koniecznym objawem w dziejach całego świata. Człowiek tedy ma już z natury pewien popęd do życzliwości dla po-

dobnych sobie istot. Ale z drugiej strony, te jego towarzyskie skłonności słabsze są niż samolubne, egoistyczne. Ztąd się wyradza walka jednych skłonności z drugimi. Przewaga jednych lub drugich charakteryzuje i człowieka i społeczeństwo. Wszakże tak pod jednym jak pod drugim względem natura ludzka zdolną jest do wielkiego postępu, poprawy.

Skłonności towarzyskie mogą nieraz nabrać takiej siły jak samolubne, ale nigdy im zupełnie nie zrównają; niechęć do pracy w ogóle, a szczególnie do pracy umysłowej, może się zmniejszyć, namiętności mogą mniej oddziaływać na rozum, ale nie mogą być całkiem zniszczone. Postęp wynika z przewagi uczuć społecznych połączonych ze wzrastającą siłą umysłową, która kierując samolubne skłonności, popycha każdego człowieka do jasnego żądania poprawy swojego stanu.

Rodzina tedy jest pierwszym źródłem uczuć społecznych, towarzyskich; jest szkołą otwartą dla całego rodu ludzkiego, w której uczymy się zaparcia, ofiary dla drugich, w której nawykamy do takiego postępowania, jakiego później wielka rodzina społeczna po nas wymagać będzie. Tak się zapatrując na rodzinę, Comte jest przeciwny wszelkim rozwodom w małżeństwie; stanowczo też przemawia za poddaniem żony mężowi i w ogóle za zależnością kobiety od mężczyzny.

W drugiej połowie swojego życia, gdy, jak się rzekło, pani de Vaux zmiękczyła te twarde filozofa opinie, Comte zupełnie zmienił pojęcia o kobiecie. Wprzód uważał, mówi Mill, kobiety za dorosłe dzieci, potem zamienił je na boginie; chciał, by się na nie posypały zaszczyty, przywileje, ale nie wymierzył im sprawiedliwości. Tylko w jednym punkcie pozostał sobie wiernym, to jest w potępieniu rozwodów, lubo przeciwna teoria byłaby dlań dogodniejsza.

Od rodziców i ich stosunku przejdźmy do dzieci i ich wychowania. Nie ulega wątpliwości, że chcąc zmienić utrwalone wiekami pojęcia ludzkie, jak sobie życzy szkoła pozytywna, należy zmienić system wychowania. Co w tej zmianie wziąć za podstawę? Oto klasyfikacją i hierarchią nauk. Littré powtarzając i rozwijając w tym przedmiocie zasady Comte'a, powiada:

„Ogólny kierunek wychowania systematycznego, nakreślony jest w prawie encyklopedycznym, wskazującym hierarchią nauk. Nauka bowiem proletaryusza (bo z pomocą proletaryuszów obiecywał sobie Comte zapewnić panowanie filozofii pozytywnej!) zarówno jak i filozofa powinna mieć najprzód za cel poznanie świata nieorganicznego, następnie własnej natury naszej tak indywidualnej jak i społecznej... Wiadomo, że pierwsza klasa obejmuje dwa szeregi nauk przygotowawczych: jeden matematyczno-astronomiczny, drugi fizyko-chemiczny. Na zapoznanie się z każdym, wychowanie pozytywne poświęci po dwa lata. Po takim zapoznaniu się z naturą nieorganiczną, nastąpi nauka biologii, trwająca przez rok piąty i wyłożona w czterdziestu odczytach; w szóstym roku będzie można zapoznać się z socyologią, a w siódmym z moralno-

ścią" (1). Taki sam plan nauk ma być stosowany z pewnemi zmianami i przy wychowaniu kobiet. Temu programowi wychowania nie możnaby nic zarzucić, gdyby umysł dziecka, a choćby i dorosłego proletaryusza, zdołał pojąć tak oderwane prawdy o świecie fizycznym, jakie np. wykłada astronomia i nauki matematyczno-fizyczne. Kiedy jednak wiemy, że zaledwie w dojrzałym wieku i to przy wyższych zdolnościach możliwe jest zrozumienie prawd rzeczonych, że tak dziecko jak i proletaryusz prędzej zrozumieją klasyfikacją roślinną lub zwierzęcą niż prawa ciężenia; tedy program wychowania pozytywnego okaże się prawie niepodobnym do wykonania. Niemniej jednakże zasadnicza myśl tego programu, dająca się zastosować do dorosłych, zdaje nam się być godną uwagi, a mianowicie: że zapoznanie się z prawami rządzącymi światem nieorganicznym i organicznym konieczne jest do zrozumienia zjawisk społecznych, które także nie chodzą samopas, lecz się rozwijają według praw sobie właściwych, stałych, a modyfikowanych przez prawa pierwszego rodzaju. Dopiero gdy umysł nasz ogarnie zasadnicze prawa rządzące naturą i człowiekiem, ujrzy ich wspianą harmonią, wzajemną zależność i rozum światem władający; wówczas się przekona, że jeżeli świat nasz nie jest najlepszym z możliwych w wyobraźni światów, przynajmniej jest wynikiem praw stałych, nie zaś swawoli.

Od życia jednostkowego i rodzinnego naturalne jest przejście do życia zbiorowego, społecznego, które znów możemy uważać albo jako ubiegłe (historya), albo jako bieżące.

Co do pierwszego, Comte wypowiedział myśl niesłychanie płodną w następstwa, że historia jest zjawiskiem naturalnym, rządzącym się stałymi prawami. Jednym z takich praw powszechnych, nie cierpiących wyjątku, jest: że społeczność ludzka w historycznym rozwoju przechodziła dotychczas trzy stany: teologiczny, metafizyczny i pozytywny, w który dopiero teraz wstępuje. Na dowiedzenie tego prawa Comte poświęcił dwa ostatnie potężne tomy swojego *Kursu filozofii pozytywnej*, i zdawało mu się, że w istocie z faktów historycznych można wykazać, iż ród ludzki wszędzie zaczynał, od czci fetysza, później przechodził do czci wielu bogów (politeizm), a nareszcie do czci jednego Boga (monoteizm). Tym sposobem przebył pierwszy stan zwany teologicznym. Następnie w stanie metafizycznym, czyli rewolucyjnym, rozerwanym, rozstrójonym, znajdował się do czasu naszego filozofa; z nim zaś ród ludzki wstąpił w epokę, czyli stan pozytywny.

Pierwszą połowę twierdzenia Comte'a, że historia rozwija się według praw stałych, można uważać za prawdziwą, wnosząc z tego, co już wszystkie nauki na dowiedzenie jęj zdobyły. A im dalej będziemy postępowali metodą pozytywną w rozważaniu wszech zja-

(1) Ustęp przytoczony w książce Pellarin'a: „Essai critique sur la philosophie positive.” Str. 159.

wisk, t \acute{e} m mocniej si \acute{e} przekonamy, \acute{z} e dzieje ludzkie s \acute{a} wypadkow \acute{a} m \acute{n} ostwa si \acute{l} dzia \acute{l} aj \acute{a} cych, czyli rezultatem m \acute{n} ostwa przyczyn, fizycznych, moralnych, intelektualnych; \acute{z} e si \acute{e} rozwijaj \acute{a} w \acute{l} asciw \acute{a} sobie energi \acute{a} wynikaj \acute{a} c \acute{a} z energii pojedynczych ludzi uleg \acute{l} ych w dzia $\acute{l$ aniu i post \acute{e} powaniu swoim tak \acute{z} e pewnym okre $\acute{s$ lonym prawom. Za to druga po $\acute{l$ owa twierdzenia, a mianowicie owo mniemane prawo powszechn \acute{e} o trzech stanach rozwoju historycznego, w \acute{z} aden spos \acute{o} b utrzyma \acute{c} si \acute{e} nie da. Jestto przypuszczenie aprioryczne, czyli z g $\acute{o$ ry powzi \acute{e} te i do niego nakr \acute{e} cano fakta historyczne. Jest nadto wielce jednostronne, bo si \acute{e} zapatruje na historiy \acute{a} g $\acute{l$ ownie z jednego punktu, mianowicie wierze \acute{n} religijnych; gdy tymczasem wiadomo ka \acute{z} demu, \acute{z} e opr \acute{o} cz religii m \acute{n} ostwo innych czynnik \acute{o} w sk \acute{l} ada si \acute{e} na wytworzenie \acute{z} ycia historycznego. Dla tego t \acute{e} ż uwazamy to mniemane prawo o trzech stanach rozwoju historycznego za r $\acute{o$ wnie dowolne jak i podzia \acute{l} historyi u Hegla na epoki: wschodni \acute{a} , grecko-rzymsk \acute{a} i germa \acute{n} sk \acute{a} , kt $\acute{o$ ra odpowiada pozytywn \acute{e} j u Comte'a. B \acute{l} ad Comte'a zauwa \acute{z} yl i Littr \acute{e} , kt $\acute{o$ ry takie epoki naznacza rozwojowi historycznemu: *pierwsza*, w kt $\acute{o$ rej cz \acute{l} owiek jest przewaznie pod wplywem potrzeb; *druga*, w kt $\acute{o$ rej si \acute{e} obudza uczucie religijne i moralne i w $\acute{o$ wczas powstaj \acute{a} systemata religijne oraz pierwsze urz \acute{a} dzenia cywilne; *trzecia*, w kt $\acute{o$ rej poczucie pi \acute{e} kna przewaza, powo \acute{l} uj \acute{a} c do \acute{z} ycia architektury i poezyi; *czwarta*, w kt $\acute{o$ rej rozum zaczyna bada \acute{c} prawdy abstrakcyjne (1).

Jakkolwiek ta synteza historyczna Littr \acute{e} 'go wigcej warta ni \acute{z} trzy stany Comte'a; jest atoli aprioryczn \acute{a} , a wigc z duchem metody pozytywn \acute{e} j niezgodn \acute{a} . Nale \acute{z} aloby do niej doj \acute{s} przez analiz \acute{e} fakt \acute{o} w historycznych, nie za \acute{s} z g $\acute{o$ ry naznacza \acute{c} takie lub inne periody rozwoju.

Co do drugiego, to jest, co do nauki o spo \acute{l} ecze \acute{n} stwie w tera $\acute{z$ niejszo \acute{s} ci, kt $\acute{o$ rej Comte daje nazw \acute{e} *fizyki spo \acute{l} ecznej*, uwaza on najpr \acute{o} d, \acute{z} e wszystkie zjawiska tak \acute{s} wiata nieorganicznego jak organicznego i ludzkiego s \acute{a} zale $\acute{z$ ne od siebie i harmonijnie dzia \acute{l} aj \acute{a} ; \acute{z} e ta harmonia staje si \acute{e} t \acute{e} m wyrazistsz \acute{a} i \acute{s} ciszejsz \acute{a} , im zjawiska s \acute{a} bardziej zawik \acute{l} ane, m \acute{n} iej og $\acute{o$ lne; \acute{z} e zat \acute{e} m w zjawiskach \acute{z} ycia organicznego i spo \acute{l} ecznego owa zgoda (le consensus) i solidarno \acute{s} c s \acute{a} najwidoczniejsze. Tak np. harmonia zwierz \acute{e} ca (t. j. zgoda i zale $\acute{z$ no \acute{s} c mi \acute{e} dzy organami zwierz \acute{e} cia) jest pe $\acute{n$ niejsza ni \acute{z} ro \acute{s} linna; podobnie \acute{z} i u zwierz \acute{a} t, im s \acute{a} doskonalsze, t \acute{e} m zale $\acute{z$ no \acute{s} c cz \acute{e} sci wi \acute{e} ksza (cz \acute{l} owiek). Nareszcie u cz $\acute{l$ owieka system nerwowy staje si \acute{e} przewaznie g $\acute{l$ own \acute{a} siedzib \acute{a} solidarnosci biologicznej. Id \acute{a} c t \acute{a} drog \acute{a} , dojdziemy do przekonania, \acute{z} e w organizmie spo \acute{l} ecznym solidarno \acute{s} c i zale $\acute{z$ no \acute{s} c cz \acute{e} sci b \acute{e} dzie jeszcze wi \acute{e} ksza, pamietaj \acute{a} c, \acute{z} e zjawiska spo \acute{l} eczne s \acute{a} najbardziej skomplikowane czyli zawik \acute{l} ane (2).

My \acute{s} l t \acute{e} o solidarnosci, zale $\acute{z$ no \acute{s} ci i zgodzie wszelkich zjawisk spo \acute{l} ecznych uwaza \acute{c} nale \acute{z} y za wielce \acute{p} odn \acute{a} tak w nast \acute{e} pstwa

(1) Paroles de philosophie positive, str. 45.

(2) Cours de phil. posit. Tom IV str. 251—254.

teoretyczne jak i w zastosowania polityczne. Teoretycznie myśl tę podjęli: amerykański ekonomista-filozof Carey w dziele: *Social Science* i Bastiat w swoich *Harmonies Economiques*. Co do praktycznej wartości tej myśli, każdy przyzna jej wysokie znaczenie, kto się zastanawiał nad trudnościami nauki i sztuki razem, zwanéj polityką.

Tak więc dostrzeżone przez Comte'a prawo o solidarności zjawisk społecznych jest jednym z najgłębszych jego pomysłów socyologicznych, dowodzącym nadzwyczaj bystrego i wszechstronnego umysłu. Prawo to jest powszechne i zasadnicze w całym rozwoju ludzkim; na niem musi się opierać wszelka przyszła socjologia pozytywna.

Daléj dla wybadania praw życia społecznego. Comte zapatrjuje się na nie ze strony *statycznej* i *dynamicznej*. Statyka społeczna rozważa warunki istnienia, bytu społecznego; dynamika, warunki i prawa ruchu, rozwoju, postępu. Zadanie pierwszój tak Comte określa: „Podstawą, na którój się powinno oprzeć badanie praw statycznych społeczeństwa, jest zasada filozoficzna *koniecznego związku*, jaki charakteryzuje wszelkie zjawiska ciał żyjących, organicznych, a związek ten jeszcze jest wybitniejszy w życiu społeczném. Tak pojmując ten rodzaj *anatomii społecznej*, socjologia statyczna powinna rozważać wzajemne oddziaływanie wszelkich części systemu społecznego, pomijając *chwilowo ruch zasadniczy*, modyfikujący stopniowo tanto oddziaływanie. W rozważaniu organizmu społecznego nie należy, jak dotąd było we zwyczaju, brać w odosobnieniu każdego z licznych żywiołów społecznych, lecz uważać go jako zależny od wszelkich innych, z którymi jest spleciony (1).”

„Dynamika społeczna znowu, zajmując się rozważaniem biegu, rozwoju, postępu ludzkiego, pojmuje każdy ze stanów społecznych, każdą fazę, jako nieunikniony wynik poprzedniej fazy i konieczną dźwignię następującej, według bystrego spostrzeżenia Leibnitz'a, że *teraźniejszość brzemienna jest przyszłością*. Nauka ma tu za cel wykrycie praw stałych, rządzących tą ciągłością (*continuité*), a których ogół stanowi o zasadniczym kierunku rozwoju ludzkiego. Słowem, dynamika społeczna śledzi praw *następstwa*, statyka praw *bytu*, spółistnienia. Pierwsza dostarcza praktycznej polityce istotnej teoryi *postępu*, druga *porządku* (2).”

Nie potrzebujemy, zdaje się, rozwijać definicyi statyki i dynamiki społecznej, tak określenie powyższe samo przez się jest wystarczające. Podobnież zbyteczném byłoby kłaść nacisk na myśl *rozwoju*, *postępu*, jako na starą i znaną Condorcet'owi, którego i Comte przytacza. Nie mniej jednak Comte głębiej wniknął w naturę życia społecznego niż jego poprzednicy na tém samém polu. Nawet i te nazwy statyki i dynamiki społecznej, przeniesione z me-

(1) Idem. Ibid. str. 235 i następ.

(2) Idem. Ibid. str. 263—264.

chaniki teoretycznej, dobrze określają kierunek, jakim iść powinny wszystkie nauki dla wykrycia praw rządzących społeczeństwem.

Skoro jest rozwój w społeczeństwie i skoro ulega on pewnym stałym prawom, nasuwa się pytanie: czemu przypisać ten ruch ku lepszemu, t. j. jakim prawom, jakim czynnikom? Było i jest jeszcze wielu empirycznych badaczy, którzy prawom fizycznym, a więc czynnikom materialnym jak klimat, pożywienie, geograficzne położenie, przypisywali główny wpływ na rozwój człowieczeństwa. Comte i pod tym względem nie popadł w ostateczność materialistyczną, i uznając całą wagę wspomnianych czynników na rozwój człowieka, dodaje, że nie mogą one zatamować charakterystycznych i niezmiennych praw tego rozwoju, lecz tylko modyfikują *szybkość* jego (1).

Kiedy więc rozwój, postęp, nie zależy jedynie od samych praw fizycznych, musi przynajmniej głównie jeżeli nie jedynie zależeć od *praw umysłowych*, od czynników, że tak powiem, duchowych, od nagromadzonej i ciągle narastającej wiedzy. Jakoż Comte powiada, że „głównym czynnikiem tego rozwoju i który najwięcej wpłynął na postęp ogólny, jest *duch naukowy*, począwszy od prac pierwotnych Talesa i Pitagorasa, aż do Lagrange'a i Bichat'a (2).” Myśl tę można uważać za drugie fundamentalne prawo życia społecznego (pierwszém jest solidarność wszystkich zjawisk), dające się stwierdzić historią upłynionych wieków. I my jesteśmy zdania, że postęp zawisł głównie od rozwinięcia umysłowego, od nagromadzenia gruntownej wiedzy, od poznania świata, od opanowania materii siłą ducha, od zdobyczy, jakie człowiek osiąga nad martwą i ożywioną naturą, oraz nad sobą samym. Wiedza to niewątpliwie kieruje uczuciami, wolą i czynami jednostek; od jęj wartości zawisła wartość postępu.

Jednakże przyznając czynnikom umysłowym czyli wiedzy główny wpływ na postęp społeczeństwa, nie należy zapominać i o czynnikach moralnych, o opiniach, mniemaniach odnośnych do dobra lub zła obyczajowego, że pomimé w tój chwili opinie odnośne do innych stron życia, np. ekonomicznego, estetycznego. Właśnie w ten błąd popadł zdolny i głośny historyk T. H. Bukle, który pochwyciwszy ową myśl Comte'a o przeważnym wpływie wiedzy na rozwój cywilizacji, uznał go w swojej *Historji cywilizacji w Anglii* za jedyny, zapominając, że i moralne i polityczne opinie nie tylko że same mogą się rozwijać i na lepsze zamieniać, ale potężnie wpływają wraz z wiedzą na rozwój społeczeństwa. Ta jednostronność w tak wszechstronnym uczonej jakim był Bukle, jest głównym błędem cennej jego książki (3).

(1) Id. Ibid. str. 358.

(2) Idem. Ibid. str. 268.

(3) H. T. Bukle, *History of Civilisation in England*. T. I, str. 145.

Dla lepszego rozwinięcia tej myśli Comte'a, że wiedza przeważnie wpływa na rozwój społeczeństwa, pozwolimy sobie przytoczyć to, co pisał Mill, zwolennik pod tym względem filozofa francuzkiego.

„Według Comte'a, mówi Mill, głównym czynnikiem postępu rodu ludzkiego jest jego postęp umysłowy: nie dlatego, żeby umysł był najsilniejszą częścią naszej natury, lecz dlatego, że jest kierownikiem i działa nietylko własną siłą, lecz łącznie z resztą sił naszej natury. W stanie społecznym nasze uczucia i skłonności idą za umysłem jakby za swoim wodzem. Wprawdzie w człowieku namiętności są silniejsze niż umysłowe przekonania; ale namiętności dążą do rozłączenia nie do zjednoczenia rodu ludzkiego; dopiero pod wpływem wspólnej wiary, przekonań, namiętności działają ku wspólnemu celowi i stają się zbiorową siłą zamiast się neutralizować wzajemnie. Osobiste interesa i uczucia w stanie społecznym mogą być najdzielniej zaspokojone przez współdziałanie, koniecznym zaś warunkiem współdziałania jest spólna wiara (a common belief). Wszelka zatem społeczność ludzka opiera się na *systemie zasadniczych opinij* wytworzonych przez umysł, które następnie kierują naszymi popędami ku ich zadowoleniu” (1).

Przeciwko temu twierdzeniu Comte'a wystąpił Herbert Spencer w dziele „Of the Classification of the sciences”, dowodząc, że nie idee rządzą światem, lecz uczucia, że przyczyną wstrząśnień społecznych nie jest anarchia umysłowa, lecz antagonizm moralny. Ale ta polemika Spencer'a wcale nie była potrzebna, bo Comte nie tylko uznaje oddziaływanie wszystkich żywiołów moralnych i społecznych na rozwój umysłowy, lecz w historycznej części swojego *Kursu filozofii pozyt.* wykazuje ciągle, że zmiana umysłowa, intelektualna nie może nastąpić, pokąd nie zaszły zmiany w innych żywiołach społecznych. Nie mniej jednak ruch umysłowy, jak Mill za Comte'em powtarza, był zawsze na spodzie, był fundamentem wszystkich wielkich zmian w sprawach ludzkich (2).

„Nie uczucia to i namiętności, mówi tenże, zbadaly ruch ziemi lub jój starożytność; nie one to wypędzily scholastykę i rozpoczęły badanie natury; nie one to wynalazły druk, papier i igłę magnesową. Kto twierdzi, że przekonania umysłowe (wiedza) nie kierują czynami ludzkiemi, podobien jest do tego, ktoby utrzymywał, że okrętem kieruje para nie zaś sternik. Para jest w istocie siłą poruszającą; sternik bez woli nie posunąłby okrętu nawet na cał jeden; nie mniej jednakże wola i wiedza sternika rozstrzygają, w którą ma płynąć stronę“ (Mill).

Nie sądzimy, ażeby należało się dłużej zastanawiać nad głęboką myślą Comte'a, ponieważ każdy znający ile tyle historją nauk i historją zmian politycznych, ekonomicznych lub moralnych, od razu spostrzeże ścisły związek między temi zmianami a stanem umysłów tak lub inaczej wykształconych.

(1) Aug. Comte and positivism, str. 100, 101.

(2) Id. ibid. str. 104.

Pomimo tego jednak, Mill uznając głębokość i trafność spostrzeżeń Comte'a odnośnie do życia społecznego, twierdzi, że nie stworzył on socjologii pozytywnej, bo już przed nim podobnie mniej więcej myśleli i pisali o społeczeństwie: Machiavelli, Montesquieu, Adam Smith i ekonomiści, Bentham i jego uczniowie.

W istocie Comte nie utworzył systemu socjologii, to jest systematycznego wykładu praw rządzących społeczeństwem; lecz z genialnych jego wskazówek nauka taka może się rozwinąć. Ale na to trzeba czasu, trzeba wprzód ażeby pojedyncze nauki społeczne przez analizę faktów ze swojej dziedziny umożliwiły syntezę socjologiczną. Są zaś te nauki, jak wiadomo, jeszcze zbyt młode i dużo mają przed sobą do badania, zaczęć i z syntezą spieszyć się nie można. Co się tyczy owych poprzedników Comte'a, byli oni niezawodnie na dobrej drodze, ale to się stało przypadkiem; twórcą zaś nauki i metody jest ten, kto z pełną wiedzą potrzeby i konieczności ich dowiódł. Socjologiczną swoją teorią starał się Comte usprawiedliwić całą przeszłością historyczną. Historia tedy jest dlań głównym skarbcem, z którego bierze dowody dla swoich pomyśłów teoretycznych. Trzeba wyznać, że rzadko się zdarza czytać nawet u historyków z powołania tak trafne spostrzeżenia nad przeszłością jak w dziele głównym Comte'a. Uderza mianowicie każdego bezstronne ocenienie wieków średnich, tak słusznie z wielu względów potępianych, ale nie ocenionych jak należy. Reakcja protestancka była główną przyczyną mylnych sądów o wiekach średnich, które nazwyczajono się potępiać bez wniknięcia w ich naturę, bez téj myśli, że i one były koniecznym ogniwem w łańcuchu historycznym, że zatem nie należy ich wyszydzać, bo bez nich nie byłibyśmy tém czém jesteśmy.

Po tych ogólnych uwagach nad socjologią Comte'a przejdźmy do szczególnych jego mniemań o rozmaitych częściach nauk społecznych. I zaraz z początku zróbmy to spostrzeżenie, które później będzie usprawiedliwione, że o ile twórca filozofii pozytywnej, w ogólnych pojęciach i pomysłach co do rozwoju społeczeństwa tak w przeszłości jak i w teraźniejszości, był trafnym i szczęśliwym; o tyle znowu gdy mu przyszło oceniać *szczegóły* przeszłości, lub dawać skazówki na przyszłość, popadał w najgrubsze błędy.

Ponieważ społeczeństwo różnemi rozwija się stronami, ponieważ byt materialny i obyczajowe zasady oraz urządzenia polityczne i religijne, życie społeczne regulują; wypada nam się tedy przyjrzyć opiniom Comte'a o stosunkach ekonomicznych czyli materialnych, obyczajowych czyli moralnych, jak niemniej o urządzeniach politycznych i religijnych. Innemi słowy, chcemy przytoczyć jego zapatrywania się na ekonomią polityczną, moralność, politykę i religią. Tym sposobem będziemy mieli szereg opinii socjologicznych Comte'a, których szkoła pozytywna po większej części musiała się wyrzec, nie chcąc utonąć w marzeniach słusznie wysmianych socjalistów.

Musi to dziwić niepomału każdego, że umysł tak głęboki i rozległy jak Comte'a, nie dojrzał znaczenia ekonomii politycznej, którą nazywa „nauką mniemaną”, daleką od pozytywności, zarązoną metafizycznymi poglądami, która w niczem społeczeństwu nie pomaga (1). W istocie ekonomiści nie kusili się nawet o usystematyzowanie nauki społecznej, widząc niepodobieństwo dokonania takiego dzieła z obecnych materiałów naukowych; nie mniej jednakże rozpatrując jeden szereg faktów, to jest bogactwo materialne, więcej się przyłożyli do postępu polityki praktycznej i do zrozumienia życia społecznego w ogóle, niż wielu tak zwanych filozofów i utopistów.

Z pomiędzy ekonomistów jeden tylko A. Smith znalazł łaskę u Comte'a: reszta, których prawdopodobnie nie czytał, powtarza, jego zdaniem, szczęśliwe poglądy nieśmiertelnego mistrza i na wzór dawnych scholastyków spiera się o znaczenie *wartości*, *użyteczności*, *produkcji* i t. d. Ekonomia polityczna tedy nie postąpiła według Comte'a po za „szczęśliwe pomysły” A. Smith'a, a „niedorzeczne rozprawy i spory ekonomistów ten tylko przyniosły skutek, że zagmatwały zdrowe, zwyczajne pojęcia, przywiązywane dotychczas do natury bogactwa materialnego.”

Że spory między ekonomistami istnieją nawet co do elementarnych pojęć nauki, nie wynika ztąd, ażeby miały być niedorzeczne lub bezowocne, jak były spory scholastyków o tak zwane „istności, *entitates*”, które jakiś dowcipniś słusznie nazwał takąż łaciną, „*absurditates*.” Spory ekonomistów dotyczą rzeczy i faktów każdemu pod oczy podpadających, nie słów jak było w dawniej filozofii scholastycznej i dzisiejszej spekulacyjnej. Wiedzą o tém nawet studenci, zaczęli nie będziemy dłużej zbijać Comte'a, zwłaszcza że uczniowie jego wypierają się tego błędu mistrza i uznają ekonomię polityczną za ważną i nieodzowną gałąź całej socjologii. Spór może już teraz toczyć się jedynie o hierarchiczne stanowisko ekonomiki w szeregu innych nauk, ale nigdy o wyrugowanie jej z dziedziny badań socjologicznych.

Jak Comte nie pojmował znaczenia ekonomii politycznej, tak znów w pojęciach obyczajowych, moralnych, nie wyszedł w gruncie za zwyczajne chrześcijańskie zasady etyczne, jakkolwiek ubrał je w inne wyrazy. Zarzucając moralności filozoficznej, czyli jak ją nazywa metafizycznej, rozwijanie samolubstwa, a teologicznej bezwzględne podporządkowanie skłonności w celu osiągnięcia nieujętego szczęścia, sam tak określa moralność pozytywną:

„Ażeby lepiej scharakteryzować społeczne przeznaczenie pozytywizmu, chcę po krótko wskazać jego zdolność do usystematyzowania moralności powszechnej, będącej celem filozofii i punktem wyjścia dla polityki.

Według pozytywizmu, sztuka moralności powinna polegać na przewadze uczuć sympatycznych nad popędami samolubnymi, to-

(1) Cours de philos. posit. T. IV. str. 193—199.

warzyskości (*sociabilité*) nad samolubstwem (*personnalité*) (1).” Całą higienę moralną tedy zasada Comte na rozwijaniu w człowieku uczuć sympatycznych, które ukutym przez siebie wyrazem nazwał „altruisme”, i na powściągnięciu popędów samolubnych, jako niesfornych, burzących towarzyskość. Towarzyskość uznana za charakterystyczną cechę człowieka, nie jest wcale pojęciem nowym. Rozumieli ją i starożytni, nazywając człowieka „zwierzęciem politycznym”; rozumieli i późniejsi, z wyjątkiem atomistycznej szkoły w polityce, której marzenia sformułował Rousseau w swoim *Kontrakcie społecznym*.

Co się tyczy tłumienia popędów egoistycznych, samolubnych a rozwijania sympatycznych, moralność chrześcijańska dawno uczy tego samego, chociaż innych używa wyrazów. Zaparcie i ofiara ciągle brzmią w ustach moralistów chrześcijańskich, lubo ich nie nazywają sympatycznymi uczuciami. Moralność pozytywistów zatem nie dodała nic nowego do tych zasadniczych pojęć moralności, a nawet wątpimy czy społeczność ludzka innych potrzebuje. Że sankcja moralna leżąca w zdrowej opinii publicznej jest wielkiej wartości, i że słuszny wymiar pochwały lub potępienia bardzo może wpływać na takie lub inne postępowanie ludzi: o tym świat wiedział od dawna. Słowem w spekulacji Comte’a nad moralnością nie spotykamy nic nowego, a nawet zasadę tłumienia samolubnych popędów posuwa on nieraz dalej, niż najsurowsi asceci chrześcijańscy.

Mierząc właściwą sobie skalą ludzi historycznych odnośnie do ich czynów, Comte naznacza trzech wybranych i trzech potępionych. Do pierwszych należą: Juliusz Cezar, św. Paweł i Karol W.; do drugich: Julian Odstępca, Filip II hiszpański i Napoleon I, których święto możnaby obchodzić 5 maja, jako w rocznicę śmierci „ostatniego wstecznego bohatera, którego wydał ród ludzki.” Później mówiąc o religii Comte’a, zobaczymy jeszcze innych świętych. Tam też wypadnie przytoczyć niektóre moralne jego poglądy, jako ściśle związane z drugą fazą jego prac i życia, gdy serce wzięło górę nad rozumem.

W politycznej spekulacji Comte był nieszczęśliwszym aniżeli na wszystkich polach ludzkiej wiedzy, któreśmy z nim dotychczas przebiegli.

Według Comte’a dla pozytywnego urządzenia społeczeństwa pod względem politycznym, potrzebne jest najprzód rozdzielenie władzy duchownej od świeckiej. Pierwsza ma stanowić kontrolłę cywilnych rządców i przeciwwagę ich władzy. Powtóre, centralizacja polityczna jak największa: oto ratunek na anarchią (2). Ztąd filozof nasz jest największym wrogiem wszelkiego sejmikowania, parlamentaryzmu i rozstrzygania w sprawach politycznych za pomocą

(1) Ustęp przytoczony w książeczce Pellarini’a „Essai critique i t. d.” str. 182.

(2) Cours de philos. posit. T. IV. str. 67.

większości głosów. Jeżeli sejmy i reprezentacje istnieją, jeżeli konstytucyje wiążą naczelną władzę pewnemi ograniczeniami, to tylko dowód, według Comte'a, że się społeczność znajduje w stanie przejściowym. Dlatego też i zamach stanu z 2 grudnia jest usprawiedliwiony, ponieważ spowodził upadek instytucyj reprezentacyjnych, których Comte tak nienawidzi jakby jaki władca wschodni. W tej swojej nienawiści do woli ludowej, twórca pozytywizmu pragnie, żeby wszyscy publiczni urzędnicy mianowali swoich następców, którychby zatwierdzali wyżsi. Ale dla niedopuszczenia złego wyboru, należy wprzód ogłaszać iniona kandydatów, ażeby przez publiczną krytykę uprzedzić niestosowną nominacyą. Obok władzy naczelnéj stawia Comte inną władzę, której obowiązkiem byłoby ostrzegać pierwszą.

Powiedziano wyżéj, że zasadniczą myślą Comte'a w spekulacyi politycznej, jest rozdział władzy na świecką i duchowną. Rozdział ten zaczyna się już w rodzinie. Tu władza duchowna ma być w rękę kobiety, żony; toż moralna i religijna. Rodzinę pozytywistyczną składa para fundamentalna, jéj dzieci, oraz rodzice obojga małżonków, jeżeli są przy życiu. Cały zarząd domowy spoczywa w rękę mężczyzny, z wyjątkiem wychowania dzieci, nad któremi mąż ma pełną władzę, ale nie powinien jéj wykonywać. Rolą, zadaniem żony w takiej rodzinie jest uszlachetniać mężczyznę przez uczucia i wychowywać dzieci, które do roku 14 zostają zupełnie pod kierunkiem matki. Od tego roku rozpoczyna się kształcenie naukowe. Aby kobiety mogły być zdolniejsze do wychowywania dzieci, wyłącza się je stanowczo od wszelkich innych czynności. Żona nie potrzebuje pracować na swoje utrzymanie. Każdą żonę powinien mąż utrzymywać, lub gdyby nie żył, krewni jéj z linii męskiej, a w ich braku, państwo. Kobieta nie może mieć nawet domowego zarządu, ani własności. Prawo do spadku można jéj udzielić, ale Comte spodziewał się, że będąc tyle szlachetną i zrzecze się spadku, bo na cóż jéj wreszcie, skoro albo mężczyźni albo państwo żywić ją muszą? Ażeby zaś nie zawierano małżeństw dla korzyści, znoszą się posagi. Rozwody pod żadnym warunkiem nie mogą być dopuszczone; w najgorszym razie rozłączenie stron, bez możności jednak wstępowania w nowe związki małżeńskie. Powtórnego małżeństwa religia pozytywna zabrania: wprawdzie prawo nie stanowi przeszkód, ale moralność powinna potępiać powtarne związki, i każda para pobrawszw się według rytuału religijnego i cywilnego, powinna sobie ślubować wieczne wdowieństwo na wypadek śmierci jednej ze stron (*le veuvage éternel*). To bezwarunkowe jednożeństwo jest zdaniem Comte'a konieczne dla doskonałej jedności dwóch istot, stanowiącéj istotę małżeństwa. Nadto, strona, która przeżyje drugą, ma wciąż nieustającą przypominać sobie zmarłego, który lubo „objektywnie” zmarł, żyje przecież „subiektywnie” to jest w pamięci pozostałego spółmałżonka.

Duchowna władza w rodzinie należy się właściwie matce męzowskiej, jeżeli ta żyje. Pomaga jéj ojciec męża w spełnianiu téj

władzy, bo wiek jego i powaga bardzo skutecznie mogą wpływać na rodzinę. Przypuszcza się, że ten pomocnik już się cofnął od życia czynnego i dosięgnął lat 63; wówczas rząd domu zdaje synowi, a sam zachowuje sobie głos doradczy. Domową władzę duchowną wspiera władza kapłańska, skupiona w osobnym ciele naukowym, o którym wspomniny mówią o religii Comte'a. Tu tylko możemy nadmienić, że kapłaństwo jest stanem naukowym, stróżem moralności, doradcą władzy świeckiej, jej mentorem i stróżem. Na czele tej kasty braminów pozytywnych stoi arcykapłan, którym nie kto inny mógł być, tylko sam Comte. Ale o tém jeszcze później.

Władza świecka w tej utopii zostaje w ręku bankierów i wielkich przemysłowców. Narody wypadaloby podzielić na małe rzeczypospolite, nie większe jak Belgia lub Portugalia, gdyż wielkie terytoria nie łatwo urządzić z odległego środka; Francya też jeszcze przed końcem bieżącego wieku podzieli się na 17 rzeczypospolitych, odpowiednio do liczby miast znakomitszych. Ale Paryż obejmie spuściznę po Rzymie i stanie się stolicą świata religijnego, w której Comte jako arcykapłan ma rezydować.

W każdym z takich państweczek naczelna władza ma się skupić w ręku trzech głównych bankierów, z których jeden kierowałby wydziałem spraw zagranicznych, drugi wewnętrznymi a trzeci finansami. Szkoda, że Comte nie powiedział, jakim sposobem ci ministrowie mogliby razem prowadzić i zarząd kraju i sprawy bankierskie. Ale ponieważ nie pobieraliby pensyi, bankierstwo bardzoby się im przydało. Władza ich powinaby się równać dyktaturze. Ciekawa rzecz, jakby też rządziło trzech dyktatorów! Hamulcem ich władzy byłaby według Comte'a swoboda druku, słowa i stowarzyszeń. Wszystkie ważniejsze czynności tego tryumwiratu powinny być wcześniej ogłaszane, ażeby się nad nimi mogła rozwinąć szeroka dyskusya. Środki te wraz z władzą duchowną stanowią jedyną tamę przeciw nadużyciom władzy świeckiej. Taki jest w krótkości polityczny ideał Comte'a. Wstrzymujemy się od wszelkich uwag nad tą utopią, gdyż sama w sobie zawiera dostateczną krytykę. Zdarzyło się Comte'owi, co niejednemu ze spekulacyjnych polityków, mianowicie, że łatwiej jest pisać romanse polityczne, niż dobrze rządzić, choćby tylko własnym domem.

Jeżeli Comte nie rozumiał ekonomii politycznej, jeżeli w moralności przekopował ascetykę chrześcijańską, jeżeli w polityce osiadł na mieliznie: to w religii swojego wyrobu okrył się śmiesznością, która rzuca cień nawet na niezaprzeczone jego zasługi naukowe. Mamy na nim przykład, jak dziś trudno sfabrykować religią, i jak nieuznawanie jej wpływu na życie społeczeństwa prowadzi w końcu do najdziwniejszych urojeń.

Z początku swojego zawodu naukowego, pogrążony w rozważaniu świata i jego zjawisk, Comte mało zwracał uwagi na wewnętrzną, psychologiczną stronę człowieka; dlatego też zdawało mu się, że religia w pozytywnym peryodzie człowieczeństwa

nie będzie miała żadnej roli do spełnienia, że wszelkim wątpliwościom rozumu i serca zaradzi filozofia pozytywna.

W drugim peryodzie życia, gdy częścią osobiste przygody, częścią mistyczny urok pani de Vaux zawładnął całym jego jestestwem, Comte wymyślił religią humanitarną, w której przedmiotem czci miała być Ludzkość (Humanité), Wielka Istota (Grand Être), a w końcu Wielki Fetysz. Zaprowadził kapłaństwo, część prywatną i publiczną, rytuał, obrzędy, słowem sparodyował katolicyzm, został sekciarzem religijnym w najgorszym znaczeniu tego wyrazu. Zobaczmy zatem tę nową wiarę w szczegółach.

Już z samego początku nasuwa się pytanie: jakim sposobem można tworzyć religią, zaprowadzać część, kiedy nie ma przedmiotu tej czci? bo ludzkość jest pojęciem zbiorowym, ułomnym, a zatem w żaden sposób nie może być podstawiona w miejsce Boga, takiego przynajmniej, jakiego czci religia chrześcijańska. Comte, jak wielu marzycieli, zapomniał, że religii nie można tak zaimprovizować, jak spółkę handlową lub inne stowarzyszenie. Tak więc w religii humanitarnej nie ma określonego przedmiotu czci, a tém samym brak jej podstawy, zasadniczego warunku istnienia.

Zarówno niedorzeczne jest powołanie nowego kapłaństwa w religii humanitarnej. Kapłaństwo to, jak wiadomo z powyższego, ma wraz z arcykapłanem piastować władzę duchowną i nadzorować władzę świecką. Kapłaństwo Comte'a jest dalej kastą teoretyczną czyli filozoficzną, która uposażeniem od rządu pobieranem sama rozporządza. Kapłani ci powinni być zajęci jedynie nauką, wolni od kłopotów majątkowych i wszelkiego udziału we władzy rządzącej. Nie mogliby ani dziedziczyć, ani pobierać żadnego wynagrodzenia za swoje czynności i prace naukowe, lecz poprzesztawać na skąpej płacy przez państwo wyznaczonej. Potrzebne to dlatego, ażeby rady kapłanów były bezinteresowne, ażeby mieli wpływ na lud, który będąc sam ubogim, prędzej wierzy ubogim apostołom. Dlatego też powinni być wolni od wszelkich zajęć praktycznych, które nie pozwalają należycie się rozwijać myśli filozofów.

Zatrudnienia praktyczne, czy to prywatne, czy publiczne, przywiązują myśl do szczegółów i drobiazgów, gdy tymczasem filozof powinien być zajęty prawdami ogólnymi (vue d'ensemble). Ten sam człowiek nie może być dobrym teoretykiem i praktykiem czyli rządcą, chociaż praktycy i rządcy powinni mieć fundamentalne teoretyczne wykształcenie. Teoria i praktyka wyłączają się bezwzględnie: kto chce do jednej i drugiej się przykładać, stanie się niezdatnym do żadnej; ale ponieważ ludzie mogą się mylić w wyborze powołania aż do roku 35 życia, zaczęm do tego czasu wolno im zmieniać zawód czyli powołanie.

Duchowieństwu ma być powierzone teoretyczne czyli naukowe kształcenie młodzieży. Do niego też należy i uprawa medycyny, gdyż nikt nie może być lekarzem, kto nie poznał całego człowieka, tak ze strony fizycznej jak i moralnej. Dlatego też lekarzy spół-

czesnych ma Comte w pogardzie, nazywając ich weterynarzami, którzy zajmują się tylko zwierzęcą stroną człowieka, a pomijają ludzki jego charakter. W późniejszym wieku Comte sądził, że posiadł znajomość medycyny i wszystkie choroby wyprowadzał z jednej, to jest z rozstroju mózgowej jedności (*l'unité cérébrale*).

Inne czynności duchowieństwa są więc moralne niż umysłowe: powinno ono być duchownym kierownikiem klasztorów praktycznych, pośrednikiem we wszelkich nieporozumieniach społecznych, np. między robotnikami i chlebobawcami. Jeżeli prywatne rady duchownych nie wystarczają, mogą się uciec do publicznego skarcenia błędzących; jeżeli i to nie pomoże, do ekskomunikacji, która jakkolwiek tylko przez opinię oddziałuje, będzie przecież tak silną, że największego bogacza zmusi do osobistej pracy, gdy ten nie będzie mógł dostać nikogo, aby za niego i na niego pracował.

Cały tedy moralny i naukowy kierunek społeczeństwa ma być w ręku duchownych: oni tylko mogą być nauczycielami i autorami. Wprawdzie każdemu wolno uczyć, jeżeli ktoś nauki jego zapotrzebuje; wolno mu pisać i drukować, jeżeli go zechcą czytać; ale ponieważ wszystkie wyższe zdolności skupią się w ciele kapłańskim, spółzawodnictwo zatem ludzi świeckich nie będzie groźne dla kapłańskiego monopolu. Na czele kapłanów stoi najwyższy kapłan, *Pontifex Maximus*, który całą falangą duchownych rycerzy kieruje i rozstrzyga w ostatniej instancji, co jest naukowym lub moralnym, co uprawiać a czego zaniechać wypada. Piękna przyszłość dla rozumu ludzkiego!

Ponieważ religii nie może być bez czci, bez obrzędów, a cześć jest prywatna lub publiczna, zaczęł Comte nie omieszkać zostawić rytuału religii pozytywnej.

Cześć prywatna polega na modlitwie, wylaniu uczucia, ale nie ku ludzkości, *Grand Être*, lecz ku najgodniejszemu jój przedstawicielowi żywym lub umarłym. Najgodniejszym zaś przedstawicielem owego *Grand Être*, są kobiety, *sex aimant*. A zatem przedmiotem czci prywatnej mogą być: matka, żona, córka, wyobrażające: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. One są prawdziwymi aniołami opiekuńczymi, „*les vrais anges gardiens*”. Jeżeli zaś żadna z tych pań nie zasługuje na cześć, można sobie wybrać jaki inny typ niewieściej doskonałości, choćby nawet historyczny.

Modlitwa ma się składać z dwóch części: wspomnienia i wylania uczucia. Każdy może sobie ułożyć modlitwę jaka mu się podoba, ale powinien ją odmawiać nietylko myślą, lecz i ustnie. Modlitwę można przeplatać wyjątkami z najlepszych poetów, o ile te odpowiadają uczuciu pobożnego. Takie modlitwy odmawiał Comte na cześć pani de Vaux, i podobne zalecał wszystkim wiernym wyznawcom swoim.

Na modlitwę naznacza dwie godziny dziennie: przy wstawaniu, wśród dnia przy pracy, i w wieczór idąc do łóżka. Ranna modlitwa powinna się odprawiać w postawie klęczącej i być najdłuższą; dru-

ga najkrótszą; trzecią należy przedłużać aż do zdrzemaniasię, a to żeby nawet marzenia sennie uległy rygorowi modlitwy.

Cześć publiczna polega na obchodzeniu 84 uroczystości rocznie, tak rozłożonych, ażeby najmniej jedna przypadała w każdym tygodniu. Wszystkie one przeznaczone są na uczczenie ludzkości, *Grand Etre*.

Nie zapomniał też Comte i o sakramentach, których w religi swojej zaprowadził 9. Duchowni udzielają ich w różnych peryodach życia: przy urodzeniu, małżeństwie, obraniu stanu i t. d. W siedm lat po śmierci, następuje siódmy sakrament składający się z sądu, jaki kapłani nad umarłym stanowią. Ale ktoby sobie tego nie życzył, może za życia objawić swoją wolę, a gwałtu mu się czynić nie będzie. Jeżeli po osądzeniu, kapłani uznają zmarłego doskonałym, wcielają go do owęj Wielkiej Istoty i z cywilnego grobu przenoszą do religijnego, „do świętego gaju otaczającego każdą świątynię ludzkości.”

Na przypadki nieprzewidziane, Comte przepisuje krótką modlitwę tak brzmiącą: „miłość zasadą, porządek podstawą, postęp celem;” „*l'amour pour principe, l'ordre pour base et le progrès pour but*” (1).

Z całej téj smutnej parodi religijnęj, jedna myśl zasługuje na podniesienie: to jest cześć dla geniuszów; ale nie cześć religijna, jaką chciał Comte ustanowić, lecz to wewnętrzne uznanie zasług i wdzięczność dla ludzi znakomitych, którzy często przy nocach bezsennych, przy głodzie, chłodzie, szyderstwie gminu i innych cierpieniach, zdobyli nam te prawdy, od których zawisł prawdziwy postęp rodu ludzkiego. Ale jak oni nie myśleli za życia o czci religijnęj dla siebie, tak też i potomność, zachowując cześć taką dla Boga, odmierza im choć nieraz późno wedle ich zasług.

Gdyby Comte na tém zakończył swój system religijny, zawierający ponowienie bardzo dawno znanych niedorzeczności: możnaby darować schorowanemu mózgowi. Ale do owęj Wielkiej Istoty potrzeba mu było dwóch innych, ażeby złożyć trójcę. Jakoż długo nie myślał. Tchnął chorobliwą fantazyą swoją na ziemię, ożywił ją i nazwał Wielkim Fetyszem: do tego dodał Wielką Przestrzeń i złożył trójcę swojego wyrobu. Tak więc przedmiotem czci odtąd miała być Ludzkość, czyli *Grand Etre*, Wielki Fetysz, *Grand Fétiche*, i Przestrzeń, *Grand Milieu*. Słowem Comte zaczął swoje spekulacye bez żadnej religii, a skończył na fetyszymie!

Żeby nic nie zostawić swoim wyznawcom i kapłaństwu do roboty, obmyślił i kalendarz pozytywny. Według tego kalendarza

(1) Do poznania socyologicznej teoryi Comte'a służy jego dzieło: „*Système de politique positive*”, w czterech potężnych tomach (Paris 1851 do 1854). W dziele tém zdrowe myśli jeszcze się spotykają; ale całość jest spaczona. Streszczenie socyologii Comte'a znajduje się w książce Mill'a; „*A. Comte and positivism*”, str. 149 i następ. *passim*.

rek podzielony jest na 13 miesięcy, które noszą nazwy znakomitych ludzi i idą w tym porządku: Mojżesz, Homer, Arystoteles, Archimedes, Cezar, Śty Paweł, Karol W., Dante, Gutenberg, Shakespeare, Descartes, Fryderyk W., Bichat. Pod temi miesiącami idą tygodnie, w których na każdy dzień wyznaczony jest jeden lub dwóch znakomitych ludzi historycznych. Na niedziele wybrano głośniejsze nazwiska, jak np. Numa, Budda, Konfucyusz, Mahomet, Eschiles, Fidyasz, Arystofanes, Tales, Pitagoras, Sokrates, Platon, Alexander W., Scypion, Trajan, Śty Augustyn, Grzegorz VII, Śty Bernard, Śty Tomasz z Aquino, Bossuet, Watt, Montgolfier, Bakon, Leibnitz, Hume, Galileusz, Newton, Lavoisier i t. d. Dodajmy w końcu, że Comte i gorliwsi uczniowie według tego kalendarza datowali swoje listy i pisma. Ciekawy, znajdzie cały kalendarz w dziele C. Blignières'a „*Exposition abr. et pop. de la Philosophie et de la Religion positives.*”

Ażeby nic nie zabrakło do całości filozofii i religii pozytywnej, Comte obmyślił i bibliotekę autorów, na których się powinni kształcić jego uczniowie. W bibliotece tej dzielącej się na cztery grupy: Poezya, Nauka, Historia i Synteza, spotykamy Homera Iliadę i Odyseę, Cerwantes'a Donkiszota, Moliera komedye, przygody Robinsona Crusoe, Lavoisiera Chemią, Hufelanda sztukę przedłużenia życia, Voltaire'a, Tomasza a Kempis, Bossueta, Biblią, Koran, Traktat de Maistre'a o papieżu, Frenologią Galla i t. d. Słowem taka tu mieszanina jak i w głowie Comte'a, gdy pod koniec życia poddał sercu rozum, gdy owa „*influence angélique*” do reszty rozbiła potężny niegdyś umysł.

Nie chcąc nic zostawić bez uporządkowania, usystematyzowania, wzorem administracji francuzkiój, zalecał, ażeby kasta kapłańska wybierała problemata naukowe jedne po drugich i podawała je do rozwiązania wszystkim myślącym. Naturalnie, Najwyższy Kapłan rozstrzygałby, czy rozwiązanie jest dostateczne, czy też należy je zostawić na później. Słowem cały ród ludzki, a przynajmniej ludzi myślących, należałoby według tej nauki zapędzić do rozwiązywania tego samego problemu w jedułej chwili, a następnie do drugiego i tak po kolei. Widocznie Comte chciał tu zrównać owemu francuzkiemu ministrowi oświecenia, który się chwalił, że milion dzieci we Francyi powtarza w tej samej chwili tę samą lekcją w każdym mieście i wsi francuzkiój.

Na tém kończymy przegląd marzeń Comte'a z drugiej połowy jego życia. Wprawdzie szkoła pozytywna nie na tych hallucynacjach nie zyskała; ale mówiąc o jej twórcy, i dawszy poznać jego głębokie pomysły i genialne rzuty rozumu: wypadało dotknąć i odwrotnej strony medalu. *Non est ingenium magnum sine mixtura dementiae!*

VI.

ZAKOŃCZENIE.

W niniejszym ustępie chcemy spisać bilans szkoły pozytywnej, to jest przypomnieć czytelnikowi, co filozofia pozytywna ma, a czego jej brakuje, czém jest wyższa od dotychczasowych filozofii i jaka ją czeka przyszłość; powtóre chcemy odpowiedzieć na niektóre zarzuty czynione szkole pozytywnej przez filozofią spekulacyjną.

Należy przedewszystkiém pamiętać, że filozofia pozytywna jest najprzód metodą, a powtóre zbiorem zasad a więc nauką. Metoda jej polega na umiejętném postrzeganiu, na doświadczeniu, które jak z jednéj strony bierze za źródło poznania, tak z drugiej za ostateczny sprawdzian czyli kryterium tegoż poznania. Wszystko co rości prawo do ścisłej naukowości i pewności, powinno być tą metodą osiągnięte. Tém samém z filozofii pozytywnej wyłączają się wszelkie osobiste przywidzenia, mrzonki i zachcianki przystrajane przez filozofów spekulacyjnych w szatę prawd bezwzględnych. Filozofia pozytywna nie zna absolutu, bezwzględności, pierwszych przyczyn, numenów, lecz tylko względność, najbliższe przyczyny i fenomena czyli zjawiska. Metoda pozytywna, wskazując granice badania zakresłone dla rozumu człowieka przestrzemią i czasem, postępuje drogą indukcyjną w pojedynczych naukach zajmujących się światem nieorganicznym i organicznym, a dedukcyjną w uogólnianiu praw osiągniętych przez szczególne nauki. Taka metoda nie jest żadną nowością, lecz tylko ponowieniem rad Bacona w czasie, gdy nowa scholastyka niemiecka groziła spaceniem rozumu i niepłodnością poszukiwań naukowych.

W powołaniu do życia tej metody widzimy nietylko uznanie jej wartości, lecz także i konieczne prawo antynomii, oddziaływania. Zawsze, ile razy jedna metoda wybuja, zjawiają się umysły trzeźwe, zdrowe i jędrne, zwracające naukową pracę ku źródłu, z którego od wieków czerpał swoje wiadomości rozum ludzki. Tak było w XVI wieku; tak jest i dzisiaj. Jak miegdyś sprzeczano się o znaczenie wyrazów ogólnych (nominalizm i realizm), tak w naszych czasach spór się toczy o wiedzę bezwzględną i względną.

Scholastyczne marzenia rozproszył Bacon; spekulacyjne, szkoła pozytywna. Dziś już żaden zdrowy na umyśle człowiek nie będzie szukał absolutu w filozofii, siły życiowej w fizyologii. Zjawiska muszą się same za siebie wytłumaczyć. Ścisła i rzetelna nauka, to jest nauka pozytywna, nie pozwala podsuwać im zmyślonych przyczyn. Magia zarówno czarna jak biała już nie popłaca. Szarlatanizm i kuglarstwo naukowe nie ma prawa do bytu. Jeżeliśmy zaś do tego przyszli, należy to zawdzięczać metodzie pozytywnej. Postępowały nią wszystkie nauki na doświadczeniu

oparte i doszły do wysledzenia praw niemylnych rządzących światem fizycznym. Muszą nią postępować nauki filozoficzne i społeczne, aż pokażą nie dojdą do wysledzenia praw rządzących człowiekiem jako istotą rozumną i moralną, oraz społeczeństwem. Samowolność, widzi-mi-się, podmiotowe sądy muszą ustąpić i w naukach społecznych: od tego postępu ich zależy.

Dzięki metodzie pozytywnej, świat fizyczny związany jest ze światem społecznym; rozerwana przez wieki jedność naukowa przywrócona. Jak dwa te światy do siebie należą, tak i nauki zajmujące się nimi muszą do siebie należeć, muszą stanowić jedną naukę.

Jak dojść do takiej metody? Nauczyć się jej nie można zaiste, tak jak grammatyki lub innej umiejętności. Nie można też dać jej poznać kilku ogólnikami, jak to dobrze Comte zauważył. Cóż więc począć? Oto trzeba przejść systematycznie wszystkie nauki według hierarchii, poczynając od najbardziej ogólnych jak matematyka, a skończywszy na zawikławszych jak socjologia. Tylko takie metodyczne ujęcie wiadomości ludzkich prowadzi do zrozumienia metody pozytywnej. Ztąd niektórzy mniemali, że filozofia pozytywna jest rodzajem matematyki filozoficznej, a nawet upoważniał do tego mniemania porządek wykładu, jaki Comte w dziele swoim głównym przeprowadził. I trudno zaprzeczyć, że umysł wykształcony na matematyce jaśniej pojmuje związek logiczny wszech rzeczy, nauczywszy się od początku porządnego postępowania myślowego, aniżeli wykarmiony poezją, metafizyką lub archeologią. Ale z drugiej strony umysł nasz jest tak giętki, że nawet nie rozpoczynając od matematyki, lecz od innej umiejętności opartej na doświadczeniu i zajmującej się światem rzeczywistym, prędzej lub później dojdzie do pozytywnej metody. Tak np. Comte z powołania był matematykiem, Mill ekonomistą, Littré na lekarza się kierował, a jednak wszyscy doszli do metody pozytywnej. Taki jest bowiem naturalny bieg myśli naszej, że gdy ma do czynienia z rzeczywistością, gdy uprawiając choćby jeden dział tej rzeczywistości, ujrzy w nim działające prawa; parta koniecznością zawnioskuje, że i w innych sferach panują nie jej przywidzenia, lecz prawa właściwe dostrzeżanej grupie zjawisk. Jest to jednak dłuższa i pośrednia droga do zapoznania się z metodą pozytywną. Prosta i bezpośrednia jest ta, którą Comte nakreślił w swojej klasyfikacji nauk.

Lecz filozofia pozytywna nie jest li metodą; jest ona także nauką, to jest zawiera szereg spostrzeżeń, prawd i wniosków osiągniętych swoją metodą, jest, jak dawniej mówiono, *corpus doctrinae*. Jakie są te prawdy, wnioski i spostrzeżenia? Oto najprzód mamy na świat pogląd. Każdy wiek a przynajmniej całe peryody historyczne mają swoje poglądy na świat. Inaczej się nań zapatrywali starożytni, inaczej wieki średnie, inaczej nowożytnie. W starożytnych czasach człowiek podobien jest do dziecka, które próbuje się swoich, uczy się chodzić i oceniać otaczające go przedmioty. Jest

to epoka dzieciństwa umysłowego. Świat straszy i wabi człowieka: patrzy on na niego jak na tajemniczy przybytek, który wypełnia tworamii swojej fantazyi. Stawia hipotezy, ale jeszcze tak niedołążne, że dzisiaj student ma lepsze, ściślejsze wyobrażenie o składzie ciała, o mechanice niebieskiej, niż nie jeden głośny filozof starożytności.

Inaczej w średnich wiekach patrzali nawet uczeni na świat niż dzisiaj. Człowiek od postrzegania zewnętrznego zwrócił się do wewnętrznego, do samego siebie, swoich uczuć i marzeń. Zdawało mu się, że świat zewnętrzny musi tak się obracać, jak on go do swojej fantazyi nastroi. Ztąd w naukach i sztukach przewaga podmiotowości. Trzeba było potężnych ciosów ścisłej nauki, żeby rozbić ten pałac fantastyczny.

I znowu z wiekiem XVI nastąpił zwrot do świata zewnętrznego, do postrzegania zjawisk, ale już nie dzieciennie, po omacku, ale z teleskopem, mikroskopem, retortą. Człowiek się przekonał, że cała mądrość jego zależy na poznaniu mądrości spoczywającej w naturze; porzucił więc urojenia, odrzucił szczydła i chodzi na swoich nogach. Przekonał się, że nie w jego mocy złamać prawa wszechświata, lecz że koniecznie musi żyć z niemi w zgodzie.

Że taki jest obecnie prąd w nauce, że taki, jak to mówią, duch czasu, o tém nikt nie wątpi, kto bacznie śledził historiją ostatnich trzech wieków. Nowy tedy pogląd na świat nie jest, właściwie mówiąc, rezultatem tego lub innego filozofa, ale owocem prac takich mężów jak Kopernik, Newton, Lavoisier i t. d. Ponieważ zaś filozofia pozytywna opiera się na wypadkach naukowych osiągniętych przez tych rzeczywistych filozofów i wnioski ich uogólnia, porządkuje: zaczęm pogląd ten jest oraz poglądem filozofii pozytywnej.

W ścisłym związku z tym poglądem filozofii pozytywnej na świat w ogóle, zostaje jęj hipoteza, że światem społecznym oprócz fizycznych rządzą niezmiennie prawa intelektualne i moralne. Jest to, powiadamy, hipoteza, ale tyle już dziś mająca za sobą dowodów, co niegdyś hipoteza Kopernika, gdy Newton odkrył prawo powszechnego ciężenia. Ażeby hipoteza powyższa stała się prawdą, musi być dowiedziona. Dowody zaś dla nięj oprócz historyi, zbierają wszystkie nauki społeczne, z których statystyka gromadzi najbardziej stanowcze. Jeżeli jednak przypomnimy sobie, jak nie dawno i nie wszędzie nauki społeczne weszły na drogę rozumnego postrzegania, jak wiele jeszcze każda z nich ma do zrobienia, ażeby została pozytywną: nie będziemy się dziwili, iż hipoteza niezmienności praw społecznych dla wielu zdaje się jeszcze być przypuszczeniem bardzo dalekiem od prawdy. Jednakże umysły bystrzejsze, przeczuwając prawidłowość w historyi tak przeszłej jak i bieżącej, nie wahają się twierdzić, że światem ludzkim i dziejami naszymi rządzą prawa stałe tak jak i światem fizycznym.

Jeżeli zatem w „aktywach” filozofii pozytywnej zamieścimy jęj *metode, nowy pogląd na świat i hipotezę o niezmienności praw intelektualnych i moralnych*: łatwo każdy oceni, że filozofia ta wzbo-

gaciła wiedzę ludzką ważnemi spostrzeżeniami i prawdami, od których ścisłego przeprowadzenia zależy postęp materialny, intelektualny i moralny rodzaju naszego. Prawdy jej a nawet hipotezy nie są to jałowe spekulacje o absolicie, któremi tak długo metafizyka niemiecka bałanuciła rozum społecznego pokolenia; lecz są to zarodki zdrowe, z których musi się rozwinąć majestatyczne drzewo wiedzy na pożytek i ochłodę ludzi.

Ale jak rzadko interesu, któryby nie miał swoich „passywów”, tak rzadko nauki, któraby zadawała wszystkie umysły i wszystkie wymagania społecznych. Tak samo i filozofia pozytywna. Zobaczmy zatem co jej zarzucają i o ile zarzuty są słuszne, przypominając raz jeszcze, że nie chodzi tu o Comte'a i jego późniejsze hallucynacje religijne, lecz o szkołę pozytywną. Mówić zatem będziemy o zarzutach stawianych tej szkole a nie Comte'owi, gdyż większa część jego urojeń nie zasługuje nawet na poważne zarzuty.

Ze filozofii pozytywnej brakuje psychologii, estetyki i etyki, o tém już poprzednio nadmieniono: ale brak nie stanowi właściwie zarzutu, gdyż może być wypełniony przez pojedynczych ludzi zajmujących się temi przedmiotami. W każdym razie jest metoda i klasyfikacya nauk, jest i zasada tej klasyfikacyi wyrażona zdaniem: „ogólność malejąca a powikłanie zjawisk wzrastające.” To się znaczy, że im która nauka zajmuje się zjawiskami bardziej zawiłanemi, jak np. zjawiska organiczne, psychologiczne i społeczne; tém dalej musi stać w szeregu umięjętności. Ze filozofia pozytywna ma logikę, filozofią historyi i zarysy socyologii, o tém również na swoim miejscu mówiono. Brakujące części wykończy szkoła, bo filozofia pozytywna nie jest i nie może być dziełem jednego człowieka, lecz zbiorową pracą całej szkoły.

Wszystkie zarzuty, jakie filozofii pozytywnej czynią metafizycy, możnaby zebrać do trzech: ateizm, materializm i fatalizm (1). Takie przynajmniej, pomijając innych, uczynił jej professor i rektor uniwersytetu bruxelskiego p. G. Tiberghien w mowie zagajającej w roku zeszłym w październiku wykłady w rzeczonym uniwersytecie. Wszystko co w tej mowie powiedziano, stosuje się głównie do Comte'a, z którym filozof belgijski solidaryzuje szkołę pozytywną. Ze z dzieł Comte'a zarzuty te można wyciągnąć, tego nie chcemy przeczyć, ani stawać w ich obronie. Ale dla nas Comte nie stanowi całej szkoły pozytywnej. Szkoła pozytywna nie od niego się zaczęła, jakkolwiek on jej dał nazwisko: zaczęć i urojeń jego bronić nie potrzebujemy. Jesteśmy przekonani, że można być pozytywistą, nie będąc ani ateistą, ani materialistą, ani fatalistą. I takimi też byli najznakomitsi uczeni kierunku pozytywnego. Z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że pod chorągwią pozytywizmu występują ludzie, którzy z dobrą lub złą wiarą szerzą

(1) Athéisme, Matérialisme et Positivisme. Discours prononcé par M. G. Tiberghien profes. de philosophie et recteur de l'université de Bruxelles. (Indép. Belge. 1867).

nihilizm, zaprzeczenie wielu drogich i zbawiennych prawd dla rodu ludzkiego. My przyjmujemy metodę i to z nauki, co nam się zdaje być prawdą, a mianowicie, że społeczność rozwija się według praw stałych, chociaż tych praw mamy zaledwie początkową znajomość. Za resztę nie odpowiadamy.

Ale zacznijmy od zastanowienia się nad owemi trzema zarzutami. Utrzymujemy zatem, że można być pozytywistą nie będąc ateistą.

Przez ateizm rozumiemy zaprzeczenie Boga.

Czy szkoła pozytywna w tém znaczeniu, jak my ją pojmujemy, zaprzecza Boga? Nie. Oto co w tym przedmiocie mówi Mill, karcąc ateizm Comte'a:

„Wypada nam najprzód, powiada Mill, oczyścić tę naukę (pozytywną) od zarzutu, jaki jęj stawia opinia religijna. Pozytywizm odrzuca wszelkie tłumaczenia teologiczne i zastępuje one, lub sądzi, że mają być zastąpione przez teorie, które rachują się tylko z dowiedzionym porządkiem zjawisk. Ztąd wnoszą, że gdyby się to dało uskutecznić, ród ludzki przestałby odnosić porządek natury do woli rozumnej, czyli wierzyć w Stwórcę i najwyższego Rządcę świata. Przypuszczenie to tém jest słuszniejsze, że Comte jawnie był tego zdania. Wprawdzie odrzucał on z pewną goryczą ateizm dogmatyczny, a nawet w późniejszych dziełach mówi (wcześniejsze nie zawierają nic podobnego), że hipoteza celu, zamiaru (w świecie) ma więcej prawdopodobieństwa niż hipoteza ślepego mechanizmu; ale przypuszczenie oparte na analogii nie zdawało mu się być dostateczną podstawą do oparcia teorii w dojrzałym stanie umysłu ludzkiego. Zdawało mu się, że prawdziwe poznanie początku (świata) jest dla nas niedostępne, i że śledzenie go przechodzi zdolności naszego rozumu. Ale ci, co przyjmują jego teorię o postępowych peryodach opinii, nie potrzebują zgadzać się z nim w tym punkcie.

„Pozytywna metoda myślenia nie pociąga za sobą koniecznie zaprzeczenia nadnaturalnej; lecz poprzestaje na stawieniu téj kwestyi przy początku wszech rzeczy. Jeżeli świat miał początek, początek ten był nadnaturalny; prawa natury nie mogą same zdać sprawy ze swojego początku. Filozof pozytywny może pod tym względem utworzyć sobie zdanie odpowiednio do wagi, jaką przywiązuje do analogij zwanych cechami celowości (marks of design), i zgodnie z ogólną tradycją rodu ludzkiego. Znaczenie tych cech jest w istocie pytaniem dla filozofii pozytywnej; ale w odpowiedzi na to pytanie niekoniecznie mają się zgadzać filozofowie pozytywni. Jest to jeden z błędów Comte'a, że nic nie zostawia do dyskusji. Filozofia pozytywna twierdzi, że w istniejącym porządku świata, lub raczej części jego nam znanj, bezpośrednia przyczyna każdego zjawiska jest naturalna nie nadnaturalna. Przy takiem zapatrywaniu się można wierzyć, że świat był stworzony, a nawet że jest ciągle rządzony przez Intelligencją, byleby tylko rozumny

Rządca działał wedle praw stałych, które modyfikują inne prawa tej samej natury, ale nigdy swawolnie pomijane nie bywają.

„Kto tylko zatem uważa wszystkie zjawiska jako części jednego, stałego porządku, w którym jedno zjawisko jest niezmiennym następstwem innego, poprzedniego warunku lub połączonych warunków; ten zupełnie myśli pozytywnie, bez względu na to czy uznaje lub nie, ogólną jakąś przyczynę (an universal antecedent), której skutkiem był z początku cały system natury, i czy tę powszechną przyczynę będzie uważał za Intelligencyą czy inaczej” (1).

Innymi słowy, że można wierzyć, iż świat stworzyła rozumna wola, dała prawa i według nich rządzi: a obok tego myśleć pozytywnie, to jest właśnie dochodzić owych praw światem rządzących. Zdaje nam się, że taki pozytywizm nie może być posądzany o ateizm. Z pozytywizmem nie uznającym Boga nie mamy żadnej wspólności, lecz przeciwnie pragniemy, ażeby nauka nie wywierała religii, by uznała wielkie jej znaczenie w wychowaniu rodu ludzkiego.

Na zarzut materializmu czyniony szkole pozytywnej tyle odpowiadamy: Przez materializm rozumiemy naukę, która twierdzi, że materya jest jedyną przyczyną wszech rzeczy, że dusza ludzka jest tylko funkcją mózgu, a myśl takim jego produktem jak np. żółć wątroby. Jest to dogmatyzm zarówno szkodliwy ścisłej nauce jak i moralności; że zaś szkoła pozytywna nie zna dogmatyzmu i o niczem a priori nie wyrokuje, zaczęm nie może twierdzić, że materya jest ostatecznym faktem (le fait irreductible), obok którego nic nie istnieje, ani też że dusza ludzka jest tylko pewnym stanem, czyli jak mówią, pewną funkcją mózgu. Jeżeli zaś który z tak zwanych pozytywistów uczył tak jak materyaliści, może być niewątpliwie do nich zaliczany.

Daleko słuszniejszy zdawałby się być zarzut fatalizmu, postawiony filozofii pozytywnej. Jeżeli, mówią według tej filozofii, światem społecznym rządzą stałe prawa tak jak fizycznym, to muszą im ulegać i pojedynczy ludzie, z których się społeczność składa. Gdyby bowiem w czynach pojedynczych ludzi nie było prawidłowości, nie mogłoby jej być w rozwoju historycznym całego plemienia naszego. Jeżeli zaś tak jest w istocie, to znika wolna wola, człowiek jest narzędziem dla praw owych, działających z koniecznością, a zatem za czyny swoje nieodpowiedzialny; jeżeli jest zbrodniarzem, nie jego wina, bo musiał zadość uczynić prawu, o którego istnieniu nawet nie słyszał; jeżeli jest cnotliwym, to nie jego zasługa, bo prawo wymagało takiej cyfry czynów moralnych, do których spełnienia on był przeznaczony: słowem, skoro zewnętrzny niejako przymus ciągnie nas po drodze złego lub dobrego, nie możemy być odpowiedzialni za czyny nasze. Jest to zarzut bardzo ważny, gdyby był sprawiedliwy, gdyby się stosował do szko-

(1) Aug. Comte and positivism, str. 13—15.

ły pozytywnej. Dla lepszego zrozumienia o co chodzi, uprośmy pytanie i tak je sobie postawmy:

Jak pogodzić wolną wolę człowieka ze stałemi prawami rządzącemi społecznością?

Oto uważmy najprzód, że cały świat jest niepoliczonem mnóstwem zjawisk, z których jedne służą drugim za przyczyny, jedne są drugich skutkami i znów przyczynami dalszych skutków. Że taki jest porządek, uczymy się z doświadczenia i nazwyczenia, i następnie rozmyślając o świecie, pojmujemy go jako rządzony najpowszechniejszém prawem przyczynowości. Bez pojęcia przyczynowości niemożliwe byłoby wszelkie myślenie, zaczęć i filozofia. Wszystko co jest, miało swoją dostateczną przyczynę, czyli szereg faktów, z których powstały inne fakta. Tak samo i czyny człowieka. Są one skutkiem fizycznej i moralnej natury jego, oraz okoliczności, wśród których żyje. Na jedne okoliczności może oddziaływać i one modyfikować: innym musi się poddać. Kto zatem uczy, że z danych przyczyn *muszą* wyniknąć takie a nie inne skutki, jeżeli onych przyczyn nie będziemy chcieli lub mogli zmodyfikować, ten nie jest fatalistą. Fatalista np. powiada sobie: chociaż nie umiem pływać, rzucę się w wodę. Jeżeli mi przeznaczone żyć, nie utonę; jeżeli mam zginąć, to cokolwiekbym robił, nie uchronię się utonięcia. Albo: jeżeli mi przeznaczone niebo, to jakkolwiekbym żył, zawsze dojdę do niego; jeżeli piekło, to niczém się jego nie uchronię. Oto fatalizm zwany w religii predestynacją.

My przeciwnie, utrzymujemy, że z danych przyczyn muszą wyiknąć pewne skutki, ale jesteśmy też w możności lub przynajmniej usiłujemy owe przyczyny zmienić lub całkiem usunąć, a tęp samém nie dopuścić faktu lub czynu, którego nie chcemy. Jesteśmy tedy odpowiedzialni za nasze czyny. Obok tak pojmovanej woli mogą istnieć stałe prawa rządzące społeczeństwem; boć one nie są *przymusem*, lecz pewną prawidłowością w rozwoju, która tylko wtenczas fatalnie działa, gdy się nie staramy przeciw niej oddziaływać. To nie jest fatalizm azyatycki, będący główną przeszkodą w rozwoju tamtejszych ludów: jest to nauka przyczynowości ludzkich czynów. Według niej, nietylko nasze postępowanie, lecz i nasz charakter jest wynikiem przynajmniej w części naszej woli. Według niej, nietylko możemy, ale moralnie obowiązani jesteśmy poprawiać nasz charakter. Naprzeciw konieczności wynikającej z naszej natury i otaczających nas okoliczności, winniśmy postawić inną konieczność, to jest wytrwałą, energiczną wolę, i tak dopiero dobijają się zwycięstwa nad sobą i światem.

Jeżeli oprócz powyższych zarzutów, mogą być szkole pozytywnej stawione jeszcze inne, dotyczą one bardziej szczegółów opracowania systemu, niż fundamentalnych jego podstaw: łatwo więc mogą być usunięte przy dalszym jój rozwoju.

F. Krupiński.

KRONIKA PARYŻKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Dumasa syna pogląd na dramatyczne piśmiennictwo i społeczność francuską w XIX wieku. — „Poczucie natury u nowoczesnych” przez Wiktora Laprade członka akademii. — „Nowa Francya” przez p. Prevost Paradol członka akademii. — Paryżkie piśmiennictwo periodyczne w chwili obecnej.

Předmowa Dumasa syna do jego *Dzieł Zupełnych*, ma wielki rozgłos w Paryżu. Jest to trafna i śmiała ocena stanu dzisiejszego piśmiennictwa i dzisiejszego społeczeństwa francuskiego. Gromadząc swoje dramatyczne płody, autor tłumaczy w jakich okolicznościach i dla jakich przyczyn każda sztuka jego była napisana, wypowiada zdanie swoje nie tylko o sztuce dramatycznej w której jest mistrzem, ale i o społeczności której jest bystrym obserwatorem.

Wiek XIX liczący dopiero lat sześćdziesiąt siedm, pozari już trzy pokolenia, trzy systematy literackie: tragedya, romanizm i realizm. W chwili obecnej nasycony, przesycony, chory na niestrawność, żuje coś bez nazwy w słowniku literackim. Uwagi Dumasa nad kryzys moralną którą teraz przechodzi Francya, Balzac mógłby podpisać: sławny analizator francuskiej społeczności nie skreślił trafniejszego poglądu, ze swoją lornetką w rękę.

Za główną przyczynę upadku francuskiego piśmiennictwa Dumas uważa to, iż stało się rzemiosłem. Jestto fatalne następstwo przemiany obyczajów. Dzisiejsze pojęcia Francuzów nie znoszą już żeby literaci żyli, jak przed rewolucją, z pensyi, synekur i chojności wielkich panów, których zresztą niema. Literat stał się prostym produktem szukającym konsumentów. We Francji płodzi on w złych warunkach: zwraca się do publiczności która stosunkowo czyta mało, daleko mniej niż Anglicy i Amerykanie, a więcej niż oni wymaga tanioci. Ztąd nędza moralna i materyalna pisarskiego rzemiosła, produkeya nagła,

gorączkowa, ogólny popęd do schlebiania publiczności. zamiast reformowania jęj, ztąd zniżanie się pisarza do powszechności, zamiast podnoszenia jęj do siebie.

Za popędem raz danym, idzie piśmiennictwo i obyczaje. Najsilniejsi mogą jedynie opierać się i oddziaływać. Dumas do tych należy, ponieważ tak mocno czuje potrzebę reakcyi. To uczucie szczere, stanowi w naszych oczach główną wartość tęg przedmowy pełnej dobrych myśli i rad zdrowych, które tu przebiegniemy.

Na wstępie spotykamy budujące uwagi o autorskiej sławie, za którą gonią prawie wszyscy piszący. Zdaniem Dumasa, najprzyjemniej być sławnym a nieznanym, nie przyjemniejszego nad to, chyba *być użytecznym nie będąc sławnym*.

Rzeczywiście. Mało jest ludzi sławnych harmonijnych duszą i ciałem, takich których powierzchowność odpowiada rozgłosowi talentu. Wszyscy prawie tracą na pokazywaniu się. Prawdziwie używa człowiek sławy *incognito*. Wie wtedy co rzeczywiście ludzie myślą o nim; nie jest zmuszony chodzić na szczydłach, gadać konwencyonalnie, odziewać się kłamaną skromnością: nie wygląda ani na oryginała, ani na aktora. Może chwalić nie podejrzrywany o złośliwość, może ganić nie posądzany o zawistę. Może... o! rozkoszy! być sobą, jak pierwszy lepszy.

Jestto niewątpliwie rzecz wyborna, ale niepraktyczna, bo człowiek ma zwykle w głowie przeważne pragnienie mówienia nad społecznymi za życia i po śmierci—jeżeli ma geniusz, talent, jakąbądź wartość, a nawet żadną. Nie znając swoich rzeczywistych korzyści, chce być wytykany palcami, pragnie żeby gdzie się pokaże wołano: „to on!”

W żadnej epoce, *ja* tak się nie pyszniło jak za dni naszych. Ostatni pismak jak ostatni linołaz, chce, z pomocą fotografii, narzucić siebie potomności. Dumas sam wyznaje, że skoro go przedstawiono klaskającej w teatrze publiczności, mniemał się o sto sążni wyższy od niej, szczęśliwy był że upokarza kolegów. Długo podlegał temu moralnemu kalectwu, ale z czasem z niego się wyleczył. „Na cóżby się przydały dni — powiada—gdyby poniedziałek następujący po niedzieli, nie dawał człowiekowi więcej samopoznania. Skoro spojrzę w przeszłość, widzę że w sobie znalazłem śmieszności, namiętności i słabostki, któremi obarczyłem osoby sztuk moich. Czy kładąc je na cudzy rachunek uwolniłem się od niektórych? Może. W każdym razie czyniłem co mogłem, żeby się poprawić. Wśród błędów naszej paryzkiej edukacyi, obyczajów sztucznych, nadużyć, pochwał i próżności, zapłonąłem prawdziwą miłością prostoty. Pragnąlbym żeby korzyść jaką ztąd odnoszę zachęciła do naśladowania mnie w tym punkcie wszystkich ludzi, którzy siebie uważają za potrzebnych i wielbionych, którzy biorą *vox populi* za *vox Dei*.”

Wielka ta omyłka łacińska trwałą jest jak wszystkie formuły dwuznaczne, któremi wypadki posługują się i pozwalają

krzącąc spokojnie wśród ciemnoty i apatyi ludzkiej. Godzien pożalowania kto się cieszy uwielbieniem a smuci potępieniem tłumu. Jeżeli do kogo, to do tłumu stosuje się przysłowie: trzy grosze warta łaska, trzy grosze nie łaska.

Wypowiedziawszy zdanie swoje o sławie i popularności, Dumas ma nadzieję, że mu czytelnicy wierzą skoro powie, że nie dla unieśmiertelnienia się pisze, ani dla przyjemności gadania o sobie. Pisze dla tych, co po nim przyjdą, notatkę o ile można dokładną przemian naszego wieku ciekawego, niespokojnego, rewolucyjnego i potulnego. Nie zamierza jednak ani go karać, ani prowadzić, ani przeobrazić, ani nawet bawić. Nie jest ani Bogiem, ani filozofem, ani sternikiem. „*Je suis quelqu'un qui passe, qui regarde, qui voit, qui sent, qui réfléchit, qui espère et écrit ce qui le frappe*” pisze dla tych co tak myślą jak on. Pojęcia innych zwalczyć, rzecz próżna: czasami zdarzy się zwyciężyć ludzi w dyskusyi, przekonać ich, nigdy. „Opinie są jak ćwieki: im więcej w nie bijesz, tem je więcej zagłębiasz.” Cała władza pisarza ogranicza się do wypowiedzenia tego, co mu się prawdą być wydaje.

Dumas namawia kolegów dramaturgów do porozumienia pomiędzy sobą, przez co łatwiejby spełnili swoje postanowienie, swój obowiązek, użyłoby lepiej sił jakie mają, a które udaremnia dążność odosobniona, mająca na celu sławę, majątek, popularność, zamiast mieć na widoku dobro ogółu.

„Człowiek nad ogółem ludzkości góruje tylko cnotą. A ponieważ nie może być cnoty jeżeli nie ma pokory, ci tylko mają prawo uważać siebie za wyższych nad innymi, którym nie wolno znać tej wyższości. Talent, geniusz nawet, są mimowolne; nie są wysiłkiem człowieka, są darem Boga, jak piękność. Dlatego są drugorzędne; dlatego potomność uświęca je dopiero wtedy, jeżeli się stały cnotą przez pracę dla powszechnego dobra. Chwała dla chwały, to spekulacya hanbiąca. Ludzie szczęśliwi z swojej chwały są naiwni; ludzie dumni ze swego geniuszu, są głupi.”

W dalszym ciągu spotykamy słuszne zdania o zawodzie pisarskim. Autor powiada, że jeżeli praca umysłowa nie jest najszlachetniejsza z wszystkich professyi, jest najpodlejsza z wszystkich rzemiosł. Rozpacz, nienawiść, zazdrość, nędza, zwątpienie, przywary, obłąkanie, stoją w końcu, często w połowie takiego zawodu godnego wzdargy, gdzie konkurencyja zastępuje emulacyą, gdzie wziętość oszukuje chwałę, gdzie pieniądź celem, rozpuszcza ostrogą, a pijaństwo muzyką.

Tu widzimy skreślony jaskrawymi barwami przerażający wizerunek pisarza-rzemieślnika, w którym jak w zwierciadle przejrzy się dziesięćdziesiąciu na stu dzisiejszych autorów francuzkich. Młodzieniec taki, dobrze od natury uposażony, przedwcześnie zwiądł i usechł handlując myślą swoją. Sprzedaje on w jednym sklepie miłość, nienawiść, łzy, śmiechy, historią, bajkę, satyrę, pochwałę, obelgę, bezwstyd, politykę i religią, po dwa, do pięciu *sousów* wiersz, wedle smaku czytelników, dążności dzien-

nika i chwilowego kursu. Skoro taki pisarz zje swój własny fundusz, żyje na cudzym koscie, łąta stare komedye, sztukuje stare romanse, odgrzewa roczniki ubiegłych wieków.... Zjada biblioteki, połyka archiwa... Potrzebuje myśli, anegdot, słów, pieniędzy!... Śpieszy się, śpieszy... bo chce być sławnym: stawszy się sławnym, staje się bogatym, z bogatego, wolnym.

Ale nietylko on się śpieszy, wszystko wkoło niego galopuje.. Cel ucieka cwałem: dziennikowi pilno, teatr nie może czekać.. jak im wydażyć? Pracujmy we czterech w nocy.... a żkąd siły? pió będziem kawę. A natchnienie? Pió będziem absyut. Hej! mózgu, prędko twórz, dawaj słowa, okresy, kolumny... wykręć się sto razy na dzień wirowym ruchem około siebie... pęcznij jak gąbka, kurcz się jak cytryna... aż naraz wyschniesz, az obłąkanie tobą zatrzęsie jak wiatr suchem drze wem na niwie... aż paraliż cię ruszy... aż ogłupienie przyjdzie, a śmierć wszystko skonczy."

Po wizerunku następuje obraz wnętrza z natury malowany: widok mieszkania *zpracowanego* pisarza w dzień pogrzebu. Rembrantowski obrazek czaruny, aż mrowie przechodzi:... ubóstwo, nieład, zapłakana kobieta, kilku przyjaciół przy trupie, i tłum ciekawcy, co się ciśnie do pokoju *sławnego* pisarza....

Dreszczem przejmuje ta fotografia najstraszniejszego końca! Dante, od którego wyobraźni pożyczają ilekroć chodzi o uplastycznienie strasznej męczarni, nie mógł wymarzyć w swoim czasie, chociaż wzburzonym, takiego potępieńca producyi umysłowej, co własną głowę toczy, jak Syzyf toczył swoją skałę, i bije nią o szpizowe mury, żeby z niej ostatnią iskrę wydobyć....

Od doli tych ludzi ginących przy szturmie literackiej sławy, nie jest szczęśliwszą dola tryumfatorów, wielkich pisarzy genialnych, co kopalnie złota odkryli za pierwszym uderzeniem motyki. Dumas zowie ich *galernikami myśli*. Tym myśl tyranka, nie daje ani spokoju, ani wytchnienia; pod jej biczem pracują, wiedząc dobrze że będą prześcignięci i zapomnieni. Pominąwszy sławnych pisarzy zmarłych, Dumas zajmuje się tylko żywymi; do Francyi zwracając mowę, pyta jak postępuje z tymi, co pozostali z świetnej plejady pisarzy genialnych początku tego wieku, co uczyniła z Lamartinem, Wiktorem Hugo, Sandem i Dumasem?

Lamartinowi powiedziała ojczyzna: byłeś królem Francyi, poeto, chciałeś wyswobodzić kraj, uznałeś go godnym wolności; karmiłeś nas myślą swoją, byłeś tak nieogłędny żeś nie bił pieniędzy posród naszych rozruchów; wiedząc dobrze że ani nasz zapal, ani nasza wdzięczność nie trwa, nie zbogaciłeś się naszym łupem, niezręczny! a teraz chcesz od nas przytułku, spoczynku.... Idź precz, nędzniku, pracuj. Bądź znowu literatem, pisz powiastki, pamiętniki, porób ze swego serca, ze swój przeszłości tomy, niech nas to bawi, jak *Mały dziennik*, a może damy na prenumeratę 20 franków. Później jak już będziemy pewni że to nie

spowoduje kosztów, jak umrzesz i będziesz pochowany, wzniesiemy ci posąg. Wtedy, jeżeli inny jaki kraj zechce się chlubić swoim poetą, jeżeli Francya wyda jakiego, to go zabijemy autorem *Girondistów*. Tymczasem, poczciwco, pozwól że cię poświęcimy na cześć Wiktora Hugo, jedynego który ciebie za mistrza uznaje.

Hugonowi chwata! Gąlyby był, powiada Dumas, został na rodzinnej ziemi, Bóg wie cobyśmy mu na głowę rzucali. Ale w dzwactwie swoim fortuna inaczej rozporządziła. Hugo w środku oceanu stanął na skale, a głowę ukrył w chmury. Zbyt to odlegle i zbyt wysoko... bron nasza tak daleko nie niesie. Ciężkości! Będzie on miał, nie dziś to jutro swoją chwilę poniewierki. Skoro zejdzie z piedestału i zbliży się, Francya krzyknie: a! zuchwalcze! nakazywałeś nam uszanowanie, trzymałeś w odległości, zrobiłeś się ofiarą... byłeś bogaty, pracowałeś tylko kiedy ci się podobało, mówiłeś co chciałeś... nie byliśmy twojego wzrostu; zrobiłeś sobie z angielskiej wyspy piedestał, chciałeś uchościć za Boga, a teraz schodzisz pomiędzy ludzi... Poczekaj... Teraz na nas kolej: *rira bien qui rira le dernier*.

„O! radzę tobie wieszczu, woła Dumas, umrzyj tam lepiej, przemień się szybko w posąg. Niech ta kalwarya będzie twoim grobem jak była twoją świątynią. To jedyny dla ciebie sposób, żebyś jeszcze trochę poruszył ziemię jak nie będziesz na niej, ale pod nią. Tymczasem, chcesz wiedzieć prawdę, tę prawdę prawdziwą, powiem ci ją... Nie! wolę milczeć, mógłbys mi nie uwierzyć. Pozostań w swoich złudzeniach i chmurach. Załatw sam swoją sprawę z Bogiem, kiedyś chciał być z nim sam na sam. Winniśmy pociechę niższym od ciebie.”

Następuje parę kartek poświęconych pani Sand: jój charakterystyka, ocena jój geniuszu, stanowisko w piśmiennictwie Francyi i umysłach społecznych ogółu. Dalej rzewne karty poświęcone ojcu. W tych najwięcej uderza takt, miara, smak dobry i sprawiedliwość. Wiele mówiono, nawet w Paryżu, o braku przywiązania Dumasa syna do ojca; przytaczano złośliwe koncepta syna, niewczesne wyroki... Rzucą to cień na jego umysł i serce, dlatego przytaczamy tu kilka ustępów z tej jego odezwy do ojca, z której uradował się Paryż, a potomność pozna prawdziwy stosunek dwóch Dumasów zajmujących tak szerokie miejsce w literaturze francuzkiej.

.... „Pokonał i ciebie ten wiek nienasycony, któryś przyuczył do żarłocstwa, a który teraz ciemniży nas nie mających sił twoich. A jednak tyś był człowiekiem stworzonym do tego wiecznie chłonnego wieku, ty zrodzony do wiecznej produkcji. Natura urobiła ciebie umyślnie wedle miary apetytów potężnych, które musiała przewidywać. Pod amerykańskim słońcem, z afrykańskiej krwi, w łonie czarnej dziewicy, stworzyła twój ojca żołnierza i generała rzeczypospolitej, co konia dusił kolanami,

zębami łamał hełmy, sam broił mostu Brixen przeciw awangardzie dwudziestu ludzi. Rzym byłby go mianował konsulem.

„Spokojniejsza i oszczędniejsza Fraucya, odmówiła szkoły jego synowi. Syn ten wychowany w lesie, na wolnym powietrzu, pod gołym niebem, pchany potrzebą i geniuszem, pewnego ranka wpadł do wielkiego miasta i literaturę wziął, jak jego ojciec nieprzyjaciela, obalając wszystko co mu na drodze stało.

„Wtedy zaczęła się ta cyklopowa praca, która trwa od lat 40-tu. Tragedya, dramaty, historia, romanse, podróże, kome-dye, wszystkoś rzucił do formy twojego mózgu i zaludniłeś świat bajeczny nową kreacją. Rozsadziłeś dzienniki, książki, teatr, zbyt szczupłe do twoich potężnych ramion; nakarmiłeś Francją, Europę, Amerykę; zbogaciłeś księgarzy, tłumaczy, naśladowców; pomordowałeś drukarzy, zamęczyłeś przepisywaczy... Palony wciąż potrzebą tworzenia, nie zawsze wypróbował swój kruszec: brałeś i ciskałeś w ognisko czasem na chybi trafi, wszystko co ci wpadło pod rękę. Ale ogień inteligentny zrobił podział: co twoje było w bronz się ułało, co zkadinał przyszło, z dymem uleciało. Kuleś tak niemało złego żelaza; ale za to, iluz takich co mieli pozostać ciemni, oświeciło się i rozgrzało przy twojej kuźni. Gdyby godzina restytucyi wybiła, ileżbys zyskał, tylko odbierając coś dał i co ci wzięto.

„Czasami składałeś swój ciężki młot na obszernym kowadle, siadałeś na progu swj jasnej groty, i zakasawszy rękawy, uśmiechnięty, ocierałeś czoło ze znoju... Patrzyłeś w spokojne gwiazdy oddychając świeżością nocy. Albo też ruszając pierwszą lepszą drogę, uciekałeś jak niewolnik, w świat, przebiegałeś ocean, wdzierałeś się na Kaukaz, na Etnę, zawsze na coś olbrzymiego. Pierś napelniwszy na nowo, powracałeś do swojej jaskini. Wtedy znów cień twojej potężnej postaci rysował się czarno na czerwonym ognisku, a tłum ci klaskał... gdyż on lubi płodność w pracy, nadobność w sile, prostotę w geniuszu, a ty masz płodność, prostotę, nadobność i hojność, która ciebie zrobiła milionerem dla drugich, a ubogim dla siebie.

„Aż stało się, że obojętność ogarnęła tłum: zwrócił się w inną stronę, chciał widzieć co innego. Zbyt wiele jemu dałeś. Myśmy przyszli—my dzieci, my mali, cośmy rośli tymczasem, my cośmy robili wprost przeciwnie jak wy, wieley. Oto cała tajemnica. Tyś został „Dumasem Ojcem” dla szanujących, „Ojcem Dumasem dla gburów. Wśród tej wrzawy mogłeś słyszeć niekiedy ten frazes: „Niewątpliwie syn ma więcej talentu niż ojciec!”

„Jak ty się śmiać z tego musiałeś! Ale nie! Byłeś z tego dumny, szczęśliwy, podobny do pierwszego lepszego ojca: chciałeś temu wierzyć, wierzyłeś może temu co mówiono, *cher grand homme, naïf et bon!* Byłbys mi dał z chęcią swoją chwałę, jak mnie dawałeś swoje pieniądze, kiedym był młody i leniwy. Szczęśliwy jestem, że mam wreszcie sposobność, skłonić się

publicznie przed tobą, oddać ci hołd w pełnem świetle, uściśkać cię, tak jak cię kocham, w obec przyszłości. Niech inni mojego wieku i mojej wartości mienią się twymi równymi—nie noszą twojego imienia, to ich rzecz—ani im wyrzucam ani zazdrościć tego mianowicie—ja, który dość byłbym znany będąc jedynie synem twoim. Ale trzeba żeby potomność, kiedy będzie zmuszoną rachować się z tobą, kiedy wyczyta dwa nasze nazwiska jedno przy drugim chronologicznie zapisane w bilansie tego wieku, wiedziała o tém, że w tobie zawsze widział ojca mojego, mojego przyjaciela i mistrza—cóżkolwiek bądź mówiono—że, dzięki twojemu sąsiedztwu nigdy sobie nie przesadził siebie samego, że się zawsze uważał za malca (bambin) będąc zawsze zmuszony porównywać siebie z tym strasliwym ojcem.”

Dalej syn przywodzi dzieciane wspomnienia: upadek *Karola VII* w Odeonie. Na przedstawienie tej swojej sztuki ojciec zaprowadził małego synka. Odegrano dramat w chłodnem milczeniu. Syn nie może zapomnieć pourości ojcowskiego oblicza, kiedy wracali obaj do domu w milczeniu. „Później powiada, wracając z hałaśnanych przedstawień moich sztuk własnych, najmocniej oklaskanych, zawsze mi przychodził na myśl chłód wielkiej sali Odeońskiej, nasz pochód milczący przez puste ulice, i zawszem sobie myślał podczas kiedy mi wieszowano: „Być może... Alebym wolał napisać *Karola VII*, który nie miał powodzenia.”

Potem autor pyta, dlaczego ten wiek który ma jeszcze trzydzieści lat życia, już pożarł wielkich, a małych dogryza jako wety owych olbrzymich godów? Dlatego, mówi, że to wiek najwięcej się spieszący z wszystkich—wiek, który jak okręt Kolumba, czuje się niesiony do nieznanych brzegów. Zdaje mu się, że już słyszy szum wodospadołów o których marzy w noocy, a które jego mają pochłonać... Zużywa on oczy i teleskopy na badaniu brunatnej kresy nieboskłou; najmniejszy ptaszek, źdźbło trawy zwiastujące obiecaną ziemię, miłszeby mu było niż najpiękniejsze wspomnienia rodzinnej wioski. Skoro przybije, namiot swój rozepnie, może zuowu zechce usłyszeć naiwne sielanki, rycerskie przygody, melancholije słodkie i subtelności uczucia. Ale dziś, nie! „Przeszłość go pcha, obecność mu grozi, przyszłość go przeraża. Już nie potrzebuje żeby go zachwycano, nie potrzebuje żeby go sławiono—potrzebuje żeby go bawiono.”

Przez lat kilkadziesiąt, wiek XIX słuchał bardów, co prawdziwie opiewali jego bole: plakał z „*Reneuszem*” Chateaubrianda i „*Jocelin'em*” Lamartina; wątpił z „*Didier'em*” Hugona, „*Antonym*” Dumasa i „*Rollą*” Musseta; drżał z Balzakiem, marzył z Sandem. Wysłuchawszy tego wszystkiego, chory spytał piew-ców: „Możecie mnie wyleczyć teraz?” Odpowiedzieli: „Nie; możemy tylko skarżyć się wraz z tobą.”

Wtedy chory twarz od wielkich pisarzy odwrócił. Chateaubriand, Balzac, Musset z tego pomarli. Lamartine rzucił się

w politykę, mając nadzieję, że odrazu społeczność zbawi. Pochwycił rudel, i tak gwałtownie nim zakręcił, że okręt zachwiał, a sobie złamał kręgi.

Hugo poskoczył na jego miejscu do rudla; ale rudel się podniósł i przez pomost go przerzucił aż na wyspę, która tam stała. Ryknął z giewu poeta... Ryk ten byłby go unieśmiertelnił, gdyby giew mógł unieśmiertelnić. Okręt popłynął dalej, w swoją drogę, pomimo dźwięku jego nowej liry; jak okręt który unosił Telemaka, pomimo krzyków Calipsy.

Wtedy Antony przedzierzgnął się w D'Artagnana, a Lelia w Fadetkę... Wiek się uśmiechał... Ale tylko się uśmiechnął z tych przemian, tych subtelnosci—i nie zatrzymał się ani na chwilę.

„Wtedy myśmy wystąpili” powiada autor: jedni z tradycją klasyczną, drudzy z Galicką satyrą—ci z obserwacją wrodzoną, ci z obrazami poetycznymi. To pokolenie do którego młody Dumas należy, szukało prawdy wśród łez i śmiechu; niekiedy ją znajdowało i uwidomiło. Widzowie klaskali lub sierdzili się na przemian—a teraz już tym pisarzom *małym* mówi jak ich poprzednikom: „A po tem co? Coż nas obchodzi jacy jesteśmy.. zresztą, czy jesteście tacy jak wy nas przedstawiacie? Nie przychodzimy do teatru żebyśmy zastali tam siebie, ale żebyśmy od siebie uciekli. Dajcie nam nadzieję! No, to dajcie nam zapomnienie.”

I tłum zniechęcony, znów odchodzi od tych, a idzie ku tym co przyszść musieli w skutek konwulsyi i zamieszania. Ci ostatni, co teraz posłuch mają, tak do publiczności przemówili: „Dziewiętnasty wieku, samolubie, żartoku, niewdzięczniku!... zużyłeś, pozarłeś, odrzuciłeś wszystkich którzy się tobie szczerze poświęcali. Stary jesteś i nudzisz się! Poczekaj. Mamy co ci potrzeba. Kiedy już nie ma środka zbawienia ciebie, kiedy nie masz siły się bronić, dobijemy cię i obedrzymy. Masz oto karczemne żarty, muzykę dziką, sprośne śpiewki, brudne concepta, bezwstydną tańce, wesołość konwulsyjną, coś, co trąci cmentarzem i szynkiem... Karnawał wspólnego dołu. A żeby cię rozśmieszyć, mężczyzna ponizy się do wywracania koziółków; kobieta do naga się rozbierze, żeby cię trochę rozochoćić. Chcesz być pijany, zbydlęcony... chodź do nas! zapłać z góry, a naśmiejesz się—my mianowicie!

I teatr stał się budą jarmarcznią, aktor linolazem—aktorka czem kto zechce. Wiek-starzec, czujący po wstrząśnieniu mózgowem, że go zbyt szybko niosą, czasami usiłuje stanąć na własnych nogach, przypomnieć młodość swoją, swoją czystą miłość i wiarę... Chciałby zobaczyć wieś, odetchnąć wonią lasów, słyszeć wojenne pieśni... Zapala się nagle do jakiegoś młodego i pięknego dzieła jak rozpustnik do dziewczycy... ale siły wnet go opuszczają... wpada w odrętwienie, wraca do bachanaliów. „Uliczna Muzo! woła, na wszystkie bogi, czyn co zechcesz, byleś mnie

odurzyła, byłem nie widział tego, com widzieć powinien—byłem nie słyszał tego co powinienem słyszeć... byłem mógł umrzeć jak można najweselej. Po mnie koniec świata... jak mawiał nasz przedostatni król."

Tak błagał wiek zgrzybiały. Więc prostytutcyca zalała umysł dzisiejszych pisarzy, jak serca kobiet dzisiejszych: pierwszy pyta powszechności ile daje? podobnie jak druga pyta pretendenta ile ma?

Umysły poważne, zbolełe rzeczywistością, zapowiadają reakcyą. Nastąpić ona musi—dla tej prostej przyczyny, że skoro jednostka lub naród, długo jedno czyni, uczuwa potrzebę czynienia wprost przeciwnie. Jestto dzień po nocy, gorąco po zimnie, to prawo obrotu wirowego i równowagi. „Czy od nas zależy żeby ta reakcyą była płodna i trwała?" Na to pytanie Dumas odpowiada twierdząco. Nigdy, zdaniem jego, teatr spodlony, nie miał pewniejszej sposobności utrwalenia swej potęgi moralizującej.

Skutkiem pomieszania obyczajów spowodowanego częstemi stosunkami międzynarodowemi, skutkiem postępu wyobrażeń i nauk, większej znajomości siebie samego; skutkiem wielkich prądów życia uniwersalnego krążącego kolejami, Francuzi, dziś panowie sceny, panowie formy dramatycznej, mogliby zostać gdyby chcieli, potężną siłą cywilizacyjną. W tej właśnie chwili, jedynej w dziejach, abdykują...

Dramaturgowie potężniejsi są niż wojownicy, gdyż nie niszczą lecz tworzą, a nikt, sam nawet Cezar, nie może im odebrać ich podbojów. Przeciwnie: im więcej garną, tém więcej ich posiadłość rozprzestrzeniają—im więcej ich rabują, tém więcej ich bogacą. Są potężniejsi niż politycy—bo powinni mówić tylko prawdę, bo nie zależą od wypadków ani od faktów dokonanych; są potężniejsi niż prasa, bo ich myśl ma kolor i wypukłość, mają słowo, wzrok, gest, czyn—słowem życie, a wszystkie zmysły ludzkie stoją im otworem. „Jedną potęgą większą od potęgi dramaturgów, jest religia, gdyż ona tylko boskiej strony człowieka dotyka, mówi mu jedynie o jego aspiracyach niebotycznych, ostatecznych."

„Cóż zrobiliśmy z tej wielkiej sztuki scenicznej? pyta autor: Strzępy, kokardki, motylki... wnet się stanie własnością linofazów i kuglarzy—niską uciechą gminu, jeżeli jej nie damy na usługi wielkich reform społecznych i wielkich nadziei dusz."

Sztuka, która w samej tylko Francji stworzyła *Poleyeukta*, *Świętoszka* i *Wesele Figara*, jest sztuką cywilizującą pierwszego rzędu, sztuką, której doniosłość nieobrachowana, jeżeli jej podstawą prawda, celem moralność, słuchacze świat cały. Dziś potęga dramaturgów jeszcze większa, kiedy ich słucha nie tylko małe grono literatów, ale ludzkość. „Dzisiaj my przez ciąg dwustu reprezentacyj, mówi Dumas, trzymamy pod wpływem naszego słowa publiczność, wprawdzie roztargnioną, która do nas przychodzi idąc z jednego dworca do drugiego o, słucha zapominając tłumoczków,

patrzac na zegarek, przegladajac stan giełdy; ale przychodzi do nas, bo nie moze juz usiedziec w domu, musi sluchac, bo nie umie juz czytac. Publicznosci takiej mozemy powiedziec wszystko, bo nie ona, jak mniemaja, nam narzuca smak, ale my jej nasz narzucamy."

"Wskazmy cel tej massie ruchomej, która szuka drogi na wszystkich gościncach, dostarczmy jej szlachetnych przedmiotów, wzruszeń i przedmiotu do dyskusji; ale nie zapominajmy że ta publiczność inaczej złożona, zmienia koniecznie nasz sposób pisania."

Tu mistrz techniki scenicznej daje plan sztuki nowej struktury, plan bardzo ważny dla młodych dramaturgów. Oto główne linie wytyczne. Arcydzieło, dlatego że arcydzieło, już nie wystarczy. Satyra bez rady, niepotrzebna, równie jak określenie choroby bez lekarstwa. Śmiać się z ludzi bez korzyści dla nich, rzecz okrutna, podła i smutna. Publiczność terazniejsza na to jedynie zważa co ją uderza, co do poszukiwań jej pomaga, przysługuje w jej interesach. Teatr dzisiejszy, pod gołem niebem na publicznym placu. Trzeba żeby przedstawiane figury mogły być oświecone ze wszech stron nie drżącym światłem lampy, ale palącym promieniem słońca; trzeba żeby były prawdziwe od stóp do głowy; trzeba żeby je każdy widział w tłumie: więc trzeba podwyższyć ich wzrost, podnieść ich głos, zachowując zawsze, jak Michał Anioł w swoich kolosalnych figurach, harmonią, proporcją i ruch, w większym niż natura. Trzeba malować szerokimi pociągami, nie już człowieka jednostkę, ale człowieka ludzkość, skąpać go w jego źródle, wskazać drogę, wskazać krańce.

"Stara społeczność się kruszy... wszystkie prawa podstawowe, ziemskie i boskie, są kwestyonowane. Uczucie waha się nie pewne, namiętność wąpli... dawne prawdy drżą w tym nowym wirrze. Człowiek nie znajduje siebie takim jakim był dawniej... szuka się wszędzie, z ciekawością, z rozpaczą, z szyderstwem, z przerażeniem... Przechodzi on jedną z owych nocy duszy, która ma swoje dni i noce, jak świat fizyczny, tylko noce te wydają się niezmierne... wieczne. W tej ciemności tchórz śpiewa na zabój chcąc dowieść patrzącym że mu dobrze, że to jego stan normalny. Ale mimo to, przeczuwa inne przeznaczenie... dostrzega czasem w dole widnokregu światło niepewne, które w pewnych chwilach ziemię przezroczystrą mu czyni."

Jestże to ostatni promień zaszłego słońca? czy pierwszy promień wschodzącej jutrzeńki? To pewno jutrzeńka woła Dumas, przedświt dnia dłuższego, najwidniejszego może ze wszystkich jakie świat widział jaśniejące w tej porze czasów, kiedy minuty są latami, a dni wiekami.

Jakaż nowa prawda zapala skrycie to ognisko wschodzącej gwiazdy? Prawda naga, bez legend i tajemnic; ona użytecznymi czyni wszystkie rozpierzchnę enoty bez samowiedzy. "Połą-

czmyż się z tą prawdą nagą, gdyż nie ma już umysłu szczerego któryby jej nie dostrzegał. Pomóżmy człowiekowi znaleźć kierunek którego szuka, rozwiązanie którego żąda wiek nasz zużyty. Więcej starców niż kiedy, ale są zawsze dzieci. Dozwólmy pierwszym umrzeć jak chcą, a drugich nauczymy żyć jak powinni.”

Mistrzowie dziś piszących, którzy spełnili posłannictwo swojej epoki, zostawili im wiele do roboty, więcej niż sami zrobili. Tamci nauczyli człowieka jakim jest; tym zostało nauczyć go jakim być powinien. Do tego celu tamci zmierzaliby na tych miejscu. Kiedy nie ma wielkich, niestety, mali niech się starają ich zastąpić liczbą i skutkiem. Niech znają dobrą wiarę pisarzy XVII wieku, niech mają moc i przekonanie pisarzy XVIII stulecia „a co zechcemy zniszczyć, będzie zniszczone, a to co chcemy utrzymać, będzie utrzymane..”

Teatr nie jest celem; jest tylko środkiem. Człowiek moralny już oznaczony; człowieka społecznego skreślić należy. *„Dzieło które dla dobra uczyni to co Świętoszek uczynił przeciw złemu, będzie wyższe od Świętoszka.”*

„Komedia, tragedia, dramat, krotoczwila, w jakiejbyś formie inauguruje teatr *użyteczny*, chociażby w niebogłose krzywdę mieli apostołowie sztuki dla sztuki. Każde piśmiennictwo nie mające na celu doskonałości, umoralnienia, ideału, jest piśmiennictwem niezdrowym, martwym. Prosta reprodukcya faktów i ludzi jest fotografią, czas uświęca jedynie pisarzy, którzy mieli na celu większą wartość ludzkości.

— „Takim sposobem, powiedzą ci co nie pojmują szybko, radzisz nam dawać powszechności poważne nudy?”

Radzę żebyście robili co chcecie, ale uczciwie, sumiennie, wiedząc co robicie. Niech wasz talent ma swoją przyczynę stanu, niech ja, wydawca i czytelnik, skorzystamy z powagi którą wam przyznajemy, z prawa przemawiania do ludzi którego żądamy. Radzę wam nakoniec, żebyście, kiedy duch ludzki idzie do szturmowania nowego świata, nie zostawali w tyle z kobietami i dziećmi. Jeżeli nie pójdziecie naprzód, nie tylko będziecie obojętni, opuszczeni, ale odepchnięci z obrzydzeniem, jak powinni być ci, co rzucili broń w czasie bitwy.”

Oto co wskazuje, co radzi młody Dumas.

Podzielamy całe założenie; w konkluzji jedynie nie zgadzamy się z autorem. Powiada on, że ze wszystkich form literackich dramat wywiera najsilniejszy wpływ na społeczność; ządaby wynikało że teatr powinien być *użyteczny*, sztuki obciążone jak największą ilością zasad moralnych i przykładów cnoty. Jeżeli tak, to dzisiejszy paryzki teatr bulwarowy może zaspokoić. W tym sensie nic cnotliwszego jak melodramy paryzkie, gdzie zawsze występki ukarany a cnota nagrodzona. Ale nie w tych oklepankach leży moralność sztuki dramatycznej: cała ona skupiona w jej podniosłości, powadze, w jej pogodzie i piękności. To zapewne chciał powiedzieć Dumas, stawiając obok siebie w swoim

programie dramatycznym dwa wyrazy nie chodzące w parze: *użyteczność i ideal*.

Zresztą chwalić tylko możemy, nie krytykować, szlachetną chęć reakcyi. Staraliśmy się nie pominąć żadnego wybitnego rysu tego obrazu dzisiejszego piśmiennictwa francuzkiego, gdyż jest skreślony wiernie i silnie. Najpierwsi krytycy paryżcy to przyznają. Pan Sainte-Beuve, krytyk akademicki, czołem uderzył przed wysokim poglądem „mistrza dzisiejszej sceny francuzkiej” a rady jego, uznał za jedyny środek podźwignienia omdlałej sceny paryżkiej i zwrócenia jej berka, którem tak potężnie władała, póki była na usługach wyższej myśli.

Nie tylko literaci, ale cały Paryż zwrócił uwagę na to energiczne zgromienie błaznującej literatury, napisane pod wezwaniem geniuszów francuzkiego piśmiennictwa. Wszyscy zwrócili oczy na ten drogoscak postawiony dla dramaturgów, których utwory świat cały ogląda. Zadanie ich może nieco przesadzone, ale tém ponętniejsze dla młodych, ambitnych, talentów. Ta odezwa budząca godność Francyi, sprawiła wrażenie dzieł natchnionych co przybywają w porę. Lekarstwo zaimprovizowane w chwili niebezpieczeństwa i podane ze szczerą chęcią uleczenia, miłemu pacjentowi, bywa najskuteczniejsze. Rzecz pewna, że to pismo nie przejdzie bez śladu; na poparcie go, Dumas pisze nową sztukę, która będzie przedstawiona przyszłej zimy.

Akademik Laprade ogłosił drugi tom studyów poczucia natury w ludzkości, pod tytułem: „*Le sentiment de la Nature chez les modernes.*” Tom ten wydał nam się niższy od poprzedniego, który przed kilką laty rozbieraliśmy na tém miejscu. W nowym tomie autor *Psychy* występuje już nie jako poeta, ale jak historyk literatur, a krytyk w nim niższy niż poeta.

Dzieło swoje rozpoczął Laprade od najdawniejszych literatur wschodnich; w starożytności klassycznej szukał śladów poczucia natury. Myśl szczęśliwa. Poczucie przyrody grało znaczną rolę w religiach starożytnych i poezyi wszelkiego czasu. Laprade wskazał to uczucie malejące w miarę postępu oświaty, w miarę podbojów naukowych i przemysłowych ludzkości. W pierwszym tomie były poglądy piękne na sztukę i geniusz ludów. Starożytność wschodnia jak wiadomo, bardzo ciemna. Oświecili ją nieco uczeni, ale jej nie wyjaśnili. Trzeba być orientalistą z profesyi, żeby wiedzieć ile warte przekłady, co w nich prawdą a co fałszem. Na takim mglistém polu, poeta jak u siebie. Laprade haftował też swobodnie na ciemném tle naszych pojęć o Indyi i Iranie. Tom o poczuciu natury przed chrześcijaństwem, był rozległy i tajemniczy jak indyjskie podziemne świątynie.

Tom drugi poświęcony czasom nowszym, osnuty na jasnym polu, wymagał mniej polotu a więcej ścisłości. Laprade ma

niewątpliwie obszerną znajomość literatur, ale poeta nie zawsze bywa logiczny, nie zawsze sprawiedliwy, jeżeli za wyobraźnią swoją goni, albo rzeczy nagina do przyjętej zasady.

Księgę o której mowa, Laprade rozpoczyna od wieków średnich. Dziełem ich pierworzędncm—powiada—jak wszystkich epok religijnych, jest architektura. Ale pomiędzy architekturą grecką a średniowieczną, istnieje różnica taka jaka jest w pojęciach religijnych z których wypłynęły. Dzieła greckie są ograniczone, tém samém że są doskonałe; nie w nich nie zdradza troski o nieskończoność: ztąd ów spokój, zadowolenie pogodno jakiego doznaje umysł kontemplujący takie dzieła.

Wprost przeciwnego uczucia doznaje patrzący na gmachy średniowieczne: zaletą ich instykt nieskończoności, upodobanie niezmierności; wadą to, że wszystkie są nieskończone. Można je skończyć do ostatniej cegły, a nie odejmiesz im tej cechy budowy nieskończonej. Jestto przeznaczenie wszystkich utworów owocnych: wieki średnie wydały tysiące szczytnych szkiców, ale nic nie skończyły.

Wyjątek w tej regule ogólnej, stanowi *Boska komedya*, która jest dziełem najzupełnijszym, dziełem, w którym wykonanie całkowicie odpowiada rysunkowi, a całość zdaje się jednym rzutem ulana. Laprade powiada: „Wszystko co Danto malował, było poza naturą, wszystko działo się w królestwie cieniów, wśród abstrakcyi, a jednak dał swoim figurom plastyczność, której nikt w nowszych czasach nie sprostał.”

Po wiekach średnich przychodzi Odrodzenie, które ze stanowiska sztuki kończy się przyjściem poezyi i muzyki; po Odrodzeniu, wiek XVII, który we Francyi dostarcza mało materiałów do historii poczucia natury. W braku stosownych utworów literackich, Laprade mówi o tém co mogli stworzyć francuzey poeci klasyczni, gdyby byli żyli wcześniej lub później. „Corneille zapewne w żadnym czasie nie byłby zwrócił uwagi na co innego jak na człowieka i na Boga, który mówi przez jego usta. Racine za dni naszych, byłby może słuchał Stwórcy w stworzeniu, byłby może powtórzył te melodey, które tak dobrze odpowiadają głosowi serca. Czyby był przeniknął głębokie czucie życia w naturze, czy byłby umiał z niej wziąć wielkie technienie nieskończoności, wyziewy *niewiulomego* którymi technie poezya Lamartina, ów potężny oddech istoty powszechniej, którą czuć w dziele Goethego? To rzecz wątpliwa: Racine byłby jedynie wyśpiewał elegią i sielankę.”

W wieku XVIII Laprade znachodzi najpierw Jana Jakóba Rousseau, który Francją wtajemniczył w piękności natury: „Pierwszy on otrzymał od miejsc wybranych na schronienie, wrazenia dość głębokie, dość poważne, żeby się w nim stały dobrem lub złem rzeczywistém. Poeta nowoczesny od *Nowej Heloizy* począwszy, przyjmuje od otaczającego krajobrazu jeden z żywiołów swoich wzruszeń.”

Dalej Laprade zdaje sobie sprawę z tego, co uczyniło z Jana Jakóba twórcą nowego uczucia. „Rousseau—powiada—jest poetą w opisie natury, gdyż w nią kładzie swoje wzruszenia osobiste, ożywia miejsca swym własnym uczuciem, bo przedmioty czyni nie tylko świadkami, ale współnikami swej namiętności. Nigdy on nie maluje krajobrazu dla niego samego, dla warunków jego materialnej formy: światła i koloru; opisuje go o tyle, ile to miejsce otrzymało od duszy ludzkiej, o ile jego serce złożyło tam wspomnień, bólów, obawy i nadziei.”

Z tem wszystkim Laprade jest niesprawiedliwym dla Jana Jakóba. Żałuje że Bóg jego nie był prawdziwym Bogiem, że świat nadprzyrodzony dla niego nie istnieje, że w jego oczach wszechświat idzie sam, jak mechanik. Zaledwie że nie woła: poezya Roussa, to poezya genewskiego zegarmistrza. Wynika to z rodzaju religijności Laprada. Jako natchnienie poetyczne przekłada on Panteizm od Deizmu. „Dla poety—powiada—natura widoma jest więcej niż ogromnym symbolem; jest zarazem znakiem i rzeczą wskazaną. Jest samym Bogiem, czułym, przystępnym, jest stworzeniem w całej pełni.”

Słabość Laprada do poezyi panteistycznej dobrze go usposobiła dla Goethego. Nie dlatego żeby Goethe był panteistą: panteizm jest metafizyką, a Goethe ogranicza się na naturze, nie tłumacząc jej czem innym jak przez nią samą. Ale tę naturę on pojmuje jako wielki organizm, życie potężne i tajemnicze, całość nie zależną, zupełną, i w tem Goethe zbliża się do Spinozy.

Cóżkolwiek bądź, Laprade wielbi go uczutem i wyrozumowaniem uwielbieniem; powiada: „Imię Goethego znaczy jedną z wielkich dat, jedną z wielkich rewolucyi poezyi, największą od czasów Homera; jest odzyskaniem przewagi świata zewnętrznego nad umysłem ludzkim, zwrotem do idei boskości w naturze, następującym po czci, jaką człowiek oddawał sam sobie; jest przeobrażeniem, które nauki, filozofia, rozwaga, wola, natchnęły za dni naszych, podobnie jak instynkt poetyczny, temperament i rasa, natchnęła Grekom pierwszą przemianę”. Tak się wyrażając Laprade, dowodzi, że zrozumiał oryginalność i wielkość niemieckiego poety. Równie sprawiedliwie ocenia jego dzieła, a mianowicie *Hermana i Dorotę*, które zwie jednym z najpiękniejszych kwiatów poezyi europejskiej.

Część tomu zajmuje rozbiór piśmiennictwa angielskiego, co pojąć łatwo, zważywszy, że żadna inna literatura nie dała tak obszernego miejsca miłości wioski. Mianowicie nowsi pisarze angielscy lubują się w opisach natury. Laprade trafnie ocenia niektórych pisarzy tej wielkiej szkoły. O Wordsworth'cie mówi: „Tożący się kamyk, liść niesiony wiehrem, każdy mebel staje się dlań powodem rozczulenia i rozbiorów psychologicznych”. O Shelley'u powiada: „Zobaczył naturę i pokochał ją dla niej samej; z powodu jej stosunków dalekich, nie pochwyconych ale pewnych, z wielkim *Nieznany*m, z wielką duszą boską, z istnieniem absolut-

ném, z niezgłębioną nieskończonością". O Bayronie pisze: „U niego więcej jeszcze niż u Roussa i pierwszych wielbicieli wdzięków natury w XVIII wieku. Peizaż wchodzi w opozycję, staje się jedną z broni rewolucyjnych czułości a czasem czułości, przeciw religii i społeczności urzędowej, przeciw przywarom ludzkości i całemu rodowi ludzkiemu”.

Obok tych ocen trafnych są mylne: Wordsworth nie jest bynajmniej, jak utrzymuje Laprade, moralistą chrześcijańskim; nie jest ani chrześcijańskim, ani moralistą, ale platonistą; Tennyson daleko więcej wart niż go cenili akademicy.

W ostatnim rozdziale Laprade mówi o pisarzach francuzkich tegoczesnych: Chateaubriandzie, Lamartynie, Hugonie i Sandzie. Tu często spotykamy powody do dyskusji. Trudno podnosić wszystko. Żalaniem autora, najdoskonalszą poezją Natury są *Harmonije* Lamartina. Sął ten wątpliwy, tłumaczy następujący, mniej jeszcze sprawiedliwy: „Lamartine jest przede wszystkim *un poëte sacré*. W pojęciu Laprade poezja natury doszła dopiero wtedy, kiedy jest chrześcijańska, a nawet katolicka. Konkluzja dziwna, do której tom cały nie dość przygotowuje, a o której koniecznie trzeba powiedzieć słów kilka.

Nie mogliśmy zrozumieć następującego wywodu, który Laprade jako filozoficzne założenie swojego dzieła stawia: „Idealem natury, człowiek, a idealem człowieka słowo; tym sposobem sama natura nas wiedzie do nadprzyrodzenia, a widoczność nadprzyrodzenia, do chrześcijaństwa”.

Jest to wyznanie wiary, nic innego, wyznanie wiary będące herezyą w estetyce.

Nie tylko poezja natury nie jest chrześcijańska, ale wbrew przeciwna chrześcijaństwu. Właściwością tej poezji, że pojmuje przyrodę jako całość wieczną i nieskończoną rzeczy. Postaw *kogo*, albo *coś* nad tą całością, szukaj przyczyny i początku poza samą przyrodą, a będziesz miał już nie *naturę*, ale *stworzenie*, rzecz całkiem inną. Natura jest czysto pogańska. Jej cześć pogańska: wszyscy piewcy natury, wszyscy ci, co słuchali bicia jej wielkiego serca, wszyscy co ją ścigali po przez tajemnice życia powszechnego, wszyscy ci nawet co jak Lamartine gadali o niej językiem religijnym, słuchali natchnienia pogańskiego.

Zowiąc poezją natury poezją chrześcijańską, Laprade całkiem się myli. Chrześcijaństwo nie cenił ale pobijał zawsze naturę; dążył do jej opanowania, skasowania, zastąpienia jej dziedziną nadprzyrodzoną i łaski. Przeciwny jest poezji, której żywiołem piękno formy, piękno wyobraźni i zmysłów: doktryna zbawienia krąży w kole surowych i smutnych myśli o grzechu, pokucie i zaparciu siebie...

Ale zbyt ciężka dowodzić, że w tym punkcie Laprade nie ma racji. Sam on się zbija dostatecznie następującym okresem, który w jego książce znajdujemy: „Czemże jest chrześcijaństwo w obec ze-

wnętrznego świata, jeżeli nie aktem wzgardy absolutniejszym od antropomorfizmu greckiego, jeżeli nie tryumfem sumienia nad naturą, który miał przez długie wieki odwracać uwagę człowieka od fizycznego świata, ażeby ją skupić całą na zjawiska życia moralnego”.

Niechże kto pogodzi powyższą myśl z tezą, którą rozwija Laprade w swojej bardzo pięknej i bardzo zajmującej książce pod napisem: „*Poczucie natury u nowoczesnych*”.

— Pan Prevost-Paradol, akademik publicysta, wydał Studium polityczne, które bardzo wysoko cenią luminarze przeciwni istnjącemu rządowi: książka wyszła pod tytułem „*La France nouvelle*.”

Pierwszyto raz Prevost-Paradol daje publiczności książkę: poprzednie jego publikacye były zbiorami artykułów. Znać atoli i tutaj dziennikarza: węzeł wiążący rozmaite części *Nowej Francyi* nie bardzo zaciśnięty, przedmioty nie spojone z tą dokładnością, która z długiego dzieła czyni wyraz jednej myśli.

Część pierwsza w tonie filozoficznym à la Montesquieu, albo a la Tocqueville, zawiera uwagi ogólne o początkach, naturze i trudnościach rządu demokratycznego.

Paradol jednak, zdaniem naszym, nie schwycił prawdziwej przyczyny dokonywającego się przeobrażenia w rządzie społeczeństw, ani prawdziwej natury demokracji.

Demokracja tyle warta, ile warki składający ją obywatele.

Nie ma formy rządu, któraby uwolniła obywatela od moralności i rozsądku, ani nie ma takiej, któraby ich obowiązywała do rozsądku i uczciwości.

Francuzi myślą o zaprowadzeniu demokratycznego rządu, ponieważ to jest zastosowanie ustaw do rzeczywistości, do natury rzeczy. Ale wyobrazić sobie że końcem wszystkiego jest tryumf demokracji, to dzieciństwo: przeciwnie, wtedy się wszystko zaczyna, wtedy się dowiedzą czy lud jest na wysokości swojego zadania, wtedy się przekonają, czy będą mieli najlepszy czy najgorszy rząd.

Paradol utrzymuje, że demokracja więcej cnot potrzebuje niż inny rząd, że skoro nie ma dość światła, przemienia się w bezrząd, a bezrząd w despotyzm.

Doszedłszy do kresu na którym demokracja staje się despotyzmem, Paradol porzuca ogólniki teoretyczne i maluje stan obecny swojego kraju. Są to niby uwagi historyczne, ale aluzja widoczna; nie wymienia Francyi, ale ją opisuje.

Księga druga przeznaczona na poszukiwanie i wskazanie środków najważniejszych do utrwalenia i rozkwitu we Francyi rządu demokratycznego. Jestto zupełny wykaz ustaw, któreby należało przyjąć w razie, gdyby kraj jeszcze raz został wezwany do nadania sobie konstytucyi. Paradol proponuje mnóstwo reform w administracji i sądownictwie. Ostatecznie chce on we Francyi rządu angielskiego: jest zwolennikiem parlamentu po-

dzielonego na dwie izby; powody żądania Izby wyższej dość słuszenie motywuje.

Ta część dzieła słaba, jak zwykle polityka teoretyczna. Potrzeba zapewne przedyskutować wartość rozmaitych form rządu, ale takie rozprawy abstrakcyjne, nie budzą ufności. Zbyt łatwo człowiekowi z mózgu swojego wyciągnąć cały system rządowy, dość mieć na to nieco wiadomości i wyobraźni. Może się to dobrze przedstawiać, ale takie kreacje są zawsze tylko przypuszczeniami, zwykle jałowemi, bo zostawiają na stronie to, co stanowi właśnie żywioł polityki, właściwy temperament narodu, jego namiętności, zalety i wady. Są rozsądne i zwracają się do rozsądnych ludzi, jakby rzeczami ludzkiemi rządził rozum. Kreśląc takie plany, tém piękniejsze że nie symetrii ich nie psuje, pamiętać należy, że ustawy nie zaprowadzają się tak *a priori*, że cała przeszłość ciąży na przeznaczeniach kraju; że Francya złożona z żywiołów najrozmaitszych, że niepodobna przewidzieć jak w końcu te żywioły się skombinują; że jest we Francyi dwie Francye: Paryż i prowincya, a w prowincyi dwie rzeczy: miasto i wieś: że tu stoją wobec siebie interesa takie, jak kapitał i proletaryat, wyobrażenia, jak katolicyzm i wolteryanizm, fanatyzmy takie, jak zachowawcy-samoluba i rewolucjonisty gotowego na wszystko. Trzeba przewidywać że ustawy przyszłości będą całkiem nieprzewidziane, zupełnie inne niż nakreślony z góry program; że nakoniec ustawy tém lepsze, im więcej do ducha narodu zastosowane.

Sam Paradol czuje mocno trudności jakie stoją na przeszkodzie urzeczywistnienia jego myśli. W trzeciej części tomu jest szkic dawnych przegranych Francyi, stanu jęj obecnego i pogrózki przyszłości..

Ostateczne przepowiednie Paradola są bardzo niepokojące. Powiada że Francya zrobiła wiele rewolucyi od czasu pierwszej, ale po żadnej nie postąpiła dalej jak była przed nią, gdyż pozostała zawsze ciałem bezwładnem, pyłem nieujętym, łatwą zdobyczą dla dyktatury. Ogólne usposobienie Francuzów, wszystko zdawać na rząd. Zostaw taki naród jego własnej inicjatywie, co mieć będziesz? rzucone na drogę publiczną dziecko, które nigdy nie chodziło bez pasków. W końcu zwątpiały autor pyta, czy w zyciu ludów tak jak w zyciu jednostek nie ma prądów nie do przebycia, błędów nie do naprawy.

Pytania bezbożne! Jakkolwiek srogie są doświadczenia Francyi, jakkolwiek znaczące oznaki jęj upadku, Francuzi nie mają prawa wątpić o swęj przyszłości. Nie wiem czy lud może być zgubiony, ale chociażby i mógł przepaść, nie powinien przypuszczać tęg możebności, dyskutować takiego przypuszczenia. Najboleśniejszym znakiem upadku moralnego Francuzów, że mogą zadawać sobie pytania takie, jakie znajdujemy w ostatnich rozdziałach książki pana Prevost Paradol.

Duch opozycji przeciw istniejącej władzy, coraz wyraźniej się objawia: liczba małych szczekających pisemek coraz wzrasta, liczba rozdanych codziennych boxów, szturchańców, niezmierna. Ludzie umiarkowani już zaczynają wołać: „Widzicie! nie mieliśmy racji kiedyśmy dowodzili, że Francya jeszcze do wolności nie dojrzała? Czyż nasza obawa nowego prawa drukowego była płonna? Chcieliście wolności rozpraw, macie ją, z obelgami, z błotem... wkrótce będzie i ze krwią.”

Obawy zbyteczne. Skoro dzieci zębów dostają, krzyczą, są nieznosne... ale to nie długo trwa, a przejść przez to trzeba żeby dojść do pełnoletności. Więc nie w tym zło, że się obywatele kłócą. Osobistości z polemiki znikną. To oto gorsza, że opozycja nie wie czego chce, a ministrowie nie umieją z nią postępować, tak dalece, że ochota bierze posądzić ich o Wallenrodyzm.

I tak na przykład, zapowiedziano Tygodnik „*Latarnią*.” Publiczność dobrze prospekt przyjęła: wiedziano, że redaktor nowego pisma pan Rochefort, na życzenie ministra spraw wewnętrznych został usunięty z redakcyi *Charivari*. Oczekiwano tedy „*Latarni*” niecierpliwie, jak zakazanego owocu. Wychodzi „*Latarnia*”... rozkupują jej odrazu 40,000 egzemplarzy. Już to pokup ładny, ministrowi jednak wydał się za mały; jakby dla pomnożenia nowej publikacyi, pan Pinard zakazuje sprzedawać „*Latarnię*” na bulwarach! Zbyt wielki to zaszczyt dla książeczki czyniącej opozycyą niską, trywialną, widocznie tylko w celu wyzyskiwania ocknionego ducha opozycyi. Spędzona z bulwarów „*Latarnia*” stała się jedyną lekturą Paryżanów. Biją jej teraz sto tysięcy egzemplarzy dla samego Paryża; co sobota, księgarskie gdzie te broszurkę sprzedają, oblezione jak restauracye tanie; mieszkańcy stolicy chodząc, siedząc, leżąc, pożywają tę strawę umysłową. A w książeczce tej co? Żadnej myśli, koncepta płaskie, chęć kłania, nic więcej; autor, dzisiejszy lew Paryża, pluje w górę, wszystko co ztamtąd idzie uważa za podłe. Co sam za dobre uznaje? jakie ma zasady? w co wierzy? czego żąda? nie wiadomo. Ale „*Latarnia*” nie mniej przeto Paryż uszczęśliwia. Gdyby jedno wydanie zabrano, można się założyć, że milion egzemplarzy rozkupią.

Deputowani opozycyi zaczęli wydawać dziennik „*Obiorce*’ (Electeur). Ten też nie może się skarżyć. Jestto dziennik poważny, zajęty interesami kraju, nie trudniący się wcale plotkami. Temu o popularność było bardzo trudno. Zakaz sprzedawania go na ulicy, nie wystarczył. To też, trzeci numer skonfiskowano. W dni ośm proces przed policyą poprawczą i wyrok skazujący Favra z kolegą i drukarzem, na 10,500 franków strofu. Natychmiast zaczęto odbijać 50,000 egzemplarzy „*Obiorcy*.” Pozostawiony sam sobie, nie miałby wziętości, jak nowy dziennik „*Gal*” redagowany przez Edmunda About, ten też robi opozycyą, i nie głupią, ale że nie był zaczepiony, nie ma powodzenia.

Prócz „*Latarni*” mamy już „*Latarke*” „*Villeusse*” i „*Gazette Sécrite*.” Redaktorowie tych świstków pozazdrościwszy Rochefortowi ogromnego zysku, poczęli spekulować na tym samym towarze: opozycja pokazuje się pokupniejsza niż *spodnie Mentana*.

Deputowany Glais-Bizion zaczął wydawać w Saint-Brieuc dziennik pod tytułem „*Côtes-du-Nord*.” Ten już ściągnął na siebie gromy francuzkiego episkopatu.

Zapisujemy te efemerydy dziennikarskie w miejsce wiadomości literackich, gdyż ślepy duch sprzeciwieństwa jest dziś jedynie płodnym i czynnym autorem w Paryżu. Opozycją nawet nazwać tego ruchu trudno, bez ubliżenia opozycji francuzkiej 1789 roku; tamtą redaktorowie płacili własną głową, ta napycha im kiesy.



PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Metoda początkowego nauczania, czyli przewodnik dla rodziców, początkowych nauczycieli i w ogóle dla osób kierujących pierwszą nauką dzieci. Skreślił Wincenty Dawid. Lublin 1868, w 8ce, str. 66.

Jeszcze w roku 1866 z całym zajęciem czytaliśmy w 28, 29 i 30 numerze Przeglądu Tygodniowego artykuł p. Wincentego Dawida „O nauczycielstwie początkowém” w którym p. Dawid mówi: „pierwiastkowe przygotowanie, można powiedzieć, jest podstawą całego dalszego rozwoju umysłowego, jest że tak powiem opoką, na której ma się wznieść z czasem gmach całej nauki;”—także dowiedzieliśmy się ztamtąd, że autor przygotował do druku „*Metodę początkowego nauczania*” którą właśnie obecnie mamy przed sobą. Artykuł wzmiankowany bardzo był na czasie, jak wszystko zresztą z zakresu pedagogiki jest u nas pożądanem; ważność albowiem wychowania młodzieży od wieków jest uznaną, dosadnie wypowiedział to Cicero: „*Quod majus meliusve munus rei-publicae afferre possumus, quam si docemus et educamus juventutem?*” (1). A dzisiaj czy nie większą jeszcze przywiązują wagę do wychowania młodzieży? Historia pedagogiki stawia nam wielki szereg pracowników w tym zakresie, wspomnimy tylko: Locke’go, Russa, Pestalociego, Bazelowa i Kanta. W naszym kraju zarówno nie brak mężów w tym kierunku pracujących; kto nie słyszał o usilnych działaniach Konarskiego, Czackiego, Śniadeckiego, Jachowicza? kto nie słyszał o Chowaniec Trentowskiego?

Pedagogika wszystkich obchodzić powinna, każdy bowiem nieomal spotyka się z tym zawodem, w takim lub innym kształ-

(1) Przez oóż możemy większą albo godniejszą ojczyźnie świadczyć przysługę, jak nie przez oświecanie i kształcenie młodzieży?

cie, w mniejszym lub większym zakresie. Każdy zresztą jest członkiem ogniska rodzinnego, które jest pierwowzorem w umiejętności wychowania.

Mała tylko częśćka ludności danego kraju może kształcić się wyżej, reszta zaś oddana pracy na chleb codzienny, zaledwie może mieć czas do nabycia elementarnych wiadomości. Z tego względu nauczycielstwo początkowe doniosłe ma znaczenie; jeżeli z jednej strony nauczycielstwo takie zdaje się być rzeczą łatwą, gdyż nie wymaga zbyt obszernej wiedzy nauczyciela; to z drugiej strony jest ono rzeczą dość trudną, gdyż nauczyciel początkowy ma przed sobą surowy materiał. Władze umysłowe małych dzieci prawie w nieświadomości drzemią; potrzeba je obudzić, nadać im siłę żywotną i za sobą pociągnąć. Nie dziw tedy, że początkowe nauczycielstwo nasze w oplakany byłoby stanie; nowa jego reforma, przed kilką laty zaprowadzona, pożyteczne może wydać owoce, ale trzeba na to czasu, a nadewszystko trzeba usilnej pracy nauczycieli samych. Cafe to położenie rzeczy szanownego profesora Dawida bardzo interesuje i dlatego odezwał się w przytoczonym wyżej artykule Przeglądu Tygodniowego proponując, aby dla niektórych uczniów od klasy IV począwszy, były po za godzinami klasowymi wykłady pedagogiki i przedmiotów mających z nią związek; i z takich właśnie uczniów, którzyby obok tego mieli praktykę w dawaniu korepetycyj, mogliby tymczasem powstać nauczyciele początkowi; obecnie zaś podaje nam *Metodę początkowego nauczania* długim a i czy nie mozolnem nabytą doświadczeniem. Jeżeli nie kiedy, to dziś prace takie bardzo są pożądane, dlatego pozwoliliśmy sobie podać tu rezultaty książki p. Dawida. Skoro bowiem p. Forster, którego staraniem wychodzi „Biblioteka nauk moralnych i politycznych” czując brak u nas dzieł pedagogicznych, odstąpił nieco od pierwotnego planu i dał nam w przekładzie „Rady dla rodziców w przedmiocie wychowania dzieci” Rondelet’a, o czém czytelnicy nasi mają wiadomość z obszernego rozbioru tego dzieła przez profesora p. Bądzkiewicza (1);—to czemużbyśmy nie mieli zastanowić się nad dziełkiem oryginalnem, które miejscowe potrzeby wywołały, a nie potrzeby francuzkiego ustroju społeczeństwa; przymierzmy własnej sukni, kiedy pożyczona od Francuzów nie bardzo do naszych ramion przystaje.

W pierwszym peryodzie rozwoju dziecka zmysły przeważnie działają i dlatego pierwsza psychiczna władza człowieka *pojętność* jest rezultatem *myślenia zmysłowego*; a więc dziecko może pojąć przeto litera będzie dla niego tylko jakimś znakiem, do którego żadnego pojęcia przywiązać, ani celu jego odgadnąć nie może; nauka czytania zatem, przez bardzo długi czas będzie dla dziecka mechaniczną robotą, skutkiem czego następuje zniechęcenie, mę-

(1) Zob. Bibliot. Warsz. 1868. zeszyt VI, str. 471—490.

czarnia niekiedy. W obec takiego faktu p. Dawid podaje „Metodę początkowego nauczania” w której stara się usunąć te trudności, a do dziecka każe przemawiać „żywem słowem.” „Rzeczywistość, przedmioty widzialne i dotykalne” mają być punktem wyjścia w nauce początkowej; nie znaki, ale dźwięki, które nauczyciel wymawia, mają być początkowo literami dla dziecka. Mamy więc zasadę z której p. Dawid wychodzi i na której całą swą „Metodę” opiera. Rzecz nie nowa, jak widzimy, ale u nas przynajmniej po szkołach wiejskich niepraktykowana, przeto w każdym razie należy się zasługa p. Dawidowi za przeprowadzenie całej „Metody” na tój podstawie. Ponieważ idzie tu o myśl przewodniczącą w dziełku o którym mówimy, bo z niej możemy mieć jasne pojęcie o całej rzeczy, przeto przytoczymy tu jeszcze własne słowa autora z przedmowy: „Dziecię, istota wrażliwa, czuła, lgnie do natury, kocha tylko naturę i rzeczywistość. Książka dlań rzeczą odstraszącą, niepojętą. Niechże więc od natury rozpoczyna się początkowa nauka dzieci. Rzeczywistość, przedmioty widzialne i dotykalne, niech będą punktem wyjścia, początkiem umysłowego wzrostu, rozwoju duszy, który książka dopiero winna uzupełniać, ukoronować.”

Rzeczona metoda jest *dydaktyką* początkową, zawiera bowiem w sobie rozsystematyzowanie nauczania w szkołach początkowych; sam autor tak się o tém wyraża: „Ponieważ szkoła elementarna sama w sobie winna stanowić pewną całość, bo massa ludu w niej kształcąca się, na niej zwykle kończy całą edukację, potrzeba więc było objąć cały system jej uorganizowania, całą że tak powiem jej temperaturę, którą dzieci mają oddychać.”

Z przyjętej raz zasady wychodząc p. Dawid dochodzi do zdania, że *nauka elementarna jest nauką życia; winna więc być żyjącą praktyką*; jeżeli dziecko nie ma się dalej kształcić, to właśnie nauka *żywa* najwięcej je usposobi do życia praktycznego; jeżeli zaś idzie do zakładów średnich naukowych, to tam zapozna się z książkami, a wykształcenie to elementarne będzie właśnie przygotowaniem do nauki ścisłej, książkowej. Zresztą przecież i po gimnazyach i po uniwersytetach książki są tylko podręcznikami dla młodzieży, a cały prąd wiedzy idzie przez usta professorów.

Autor uznacza za trzechletni zakres początkowej nauki.

W pierwszym roku wypada rozpoczynać od kilku przedmiotów na raz. t. j. od czytania, pisania, rysunku, potem wierszyków; dziecko albowiem jest ruchliwe, psychiczna jego natura wymaga urozmaicenia. Uwaga dziecka znuży się prędko, potrzeba ją przeto ciągle podsycać, potrzeba ją ciągle czemś nowem zająć. Edukacją taką zająć się powinien jeden nauczyciel lub nauczycielka, bo tylko jedna osoba ciągle z dzieckiem obcuja w tajemniczy się może w jego potrzeby, uwzględnić jego indywidualność, którą to kwestyą pedagogika bardzo podnosi.

Czytanie i pisanie ma się rozpocząć równocześnie gdzie nauczyciel ma wespół z dziećmi pracować. Autor wykłada kilka

tych lekcji wstępnych podług metody tak zwanéj *historyczno-głosowéj*. W drugiéj dopiero połowie tego roku autor daje dzieciom elementarz w rękę, aby nabyły wprawy w czytanie, zaczęły rozumieć wyrazy i krótkie zdania; nauczyciel ma tutaj sposobność objaśniania wyrazów i zdań, zarazem zwracania pilnéj uwagi na poprawne wyrażenie się dzieci.

W drugim i trzecim roku nauczyciel ma pozostać wiernym raz przyjętéj zasadzie, rozwijając zdolności dzieci opowiadaniem i wyjaśnianiem rzeczy najniezbędniejszych w życiu człowieka i w stosunkach społecznych. Głównym celem tych opowiadań będzie „potężenie wyobrażeń i rozwój umysłowy, a jednocześnie wykształcenie i rozwój mowy własnéj w dzieciach” (str. 39). Tutaj nie zakreśla autor szczegółowo granicy między drugim a trzecim rokiem nauki, zostawia to widać uznaniu nauczyciela względnie do rozwinięcia dzieci. Nauczyciel zawsze powinien być dostępnym w wykładzie, wszelkie opowiadania powinien dzieciom unaocznić bądźto w naturze, bądź w rysunkach i drzeworytach. Opowiadania te w drugim roku mają być z Pisma Śgo. i historii krajowéj, a także wiadomości o świecie fizycznym (ziemia, słońce, księżyc, gwiazdy, meteorologia, ludzie, zwierzęta, rośliny, plody mianowicie krajowe).

W trzecim zaś roku mają być opowiadane „wiadomości z gospodarstwa wiejskiego, ogrodnictwa, leśnictwa dla szkółek wiejskich; tudzież wiadomości z technologii, o fabrykach, przemyśle i handlu, dla szkółek miejskich.” Tutaj tylko nadmienilibyśmy, że szkoła nie może być terminem gdzieby się przysposabiali ogrodnicy, gospodarze, ... fabrykanci lub przemysłowcy. W szkole przewodniczyć powinien ideał wydoskonalonego człowieka, a nigdy żadne względy praktyczne, żadna parcjalna tendencja; szkoła początkowa ma harmonijnie rozwijać władze młodociane, bez żadnego naciągania, aby dziecko z niej wyszłe, miało otwarte oczy jeżeli wstąpi do życia praktycznego, aby miało otwarte oczy, jeżeli dalej kształcić się będzie. Autor nie decyduje stanowczo w tym punkcie, przeto nauczyciel nie będzie wiedział jaka myśl ma przewodniczyć jego wykładom.

W dalszym ciągu książeczki jest mowa o nauce religii, arytmetyki, o nauce języków obcych, o książkach dzieciennych i o nauce rysunku. Zdanie autora co do nauki języków obcych najzupełniej podzielamy, jest ono mniej więcej takie: nauka obcego języka może się zacząć nie wcześniéj jak po pewnem wzmożeniu dziecka w rodowitym jego języku, naukę tę ma podjąć nie cudzoziemiec, ale krajowiec przeważnie praktycznie obeznanym ze wskazaniem reguł językowych wedle metod Kühnera, Robertsona, Ahua, Ohlendorfa. Cudzoziemiec pożądanym jest do nauki języka dopiero wtenczas, kiedy uczeń zawładnie już materiałem, wtedy cudzoziemiec obznajmi go z duchem swego języka i wskaże jego skarby, co może mieć miejsce w średnim zakładzie naukowym lub w uniwersytecie.

Kiedy taką jest metoda p. Dawida, kiedy każe on aby nauczyciel razem z dziećmi pracował, aby im pokazywał obrazki, aby ich długo w szkole nie trzymał, aby im ciekawe rzeczy opowiadał; to bardzo łatwo i bardzo słusznie zarazem możemy się spotkać z zarzutem, że to wielki błąd pedagogiczny, bo nauka zamienia się w zabawę, co pociąga za sobą lekceważenie samej nauki przez dzieci i chybnym będzie najważniejszy cel szkoły, bo przyzwyczajenie młodego pokolenia do prawdziwej a tak utrudzającej nieraz pracy, z którą się zawsze w życiu praktycznym spotykać przyjdzie. Nadmienię tu przeto wypada, że autor bardzo ten wzgląd ma na uwadze i na każdym kroku przypomina, aby nauczyciel więcej naprowadzał dzieci na tór i im przewodniczył, aniżeli by miał wszystko brać na swoje barki.

Na zakończenie przytoczymy co autor mówi o karze cielesnej. „Kara cielesna jest to lekarstwo gwałtowne, z trucizu przyrządzone, po którym wyzdrowienie albo śmierć następuje. Niech więc pod kluczem jak trucizna będzie schowana i tylko w ostateczności użyta.”

Za rzecz zbytęzną uważamy rozszerzać się tutaj z pochwałami tej książki, mówi ona sama za siebie, bo autor nie dla pochwały ją pisał; każdy ocenić ją może i każdy zwłaszcza mający jakąkolwiek styczność z wychowaniem dzieci mieć ją w rękę powinien, co łatwo nastąpić może, gdyż cena bardzo jest przystępna.

Władysław Nowicki.

*Komedye prozą i wierszem przez Tomasza Le Brun.
Warszawa. W drukarni Józefa Ungra. 1868.*

Zbiór, który p. Tomasz Le Brun wydał pod tytułem *komedyi*, zawiera 4 dramatyczne utwory: *Pokój o jednych drzwiach*; *Żony, które za nos wodzą mężów* (w 2 aktach wierszem); *Baltazar czyli wybór męża* i *Konsylium, intermezzo medyko-chirurgiczne* (wierszem). Myliłby się jednakże, ktoby w prostocie ducha wierząc tytułowi, szukał w tym zbiorze *komedyi*, bo ich tu wcale nie ma; p. T. Le Brun nie pokazał tu nawet, że ma po temu potrzebne zdolności. Komedyą stanowią charaktery i namiętności: ani charakterów, ani namiętności w 4 utworach p. Le Bruna nie widać śladu, nie widać nawet chęci stworzenia ich. Nie idzie jednak za tem, żeby zbiorek p. Le Bruna miał być bez pewnej wartości. I owszem. Chcieliśmy tylko sprostować błędnie na nim położony tytuł, który winienby raczej brzmieć: *Zarty dramatyczne*, jak to sam autor za stosowne uważał dodać do ostatniej w tej książce sztuczki p. n. *Konsylium*. Jeżeli z tego punktu będziemy patrzeli na te utwory, odkryjemy w nich następne zalety: 1. Ruchliwość a mimo to naturalność

akcyi. 2. Zręczny dyalog. 3. Komiczność sytuacji (oczywiście w bardzo pospolitym rodzaju). 4. Tu i owdzie ślady dowcipu; po większej jednak części jest on zbyt trywialny. Jak na farsy czyli zarty dramatyczne, to dosyć. Zrobimy tylko tę uwagę, że p. Le Brunowi nie udają się wiersze, bo w nich widzimy tylko rymy i to rymy tak łatwe, tak proste, że nie powstydziliby się ich nawet ś. p. *Mikołaj Rej z Nagłowic*.

Co do celu jaki zamierzył sobie autor osiągnąć temi utworami, to musimy powiedzieć, że tylko jeden z nich ma go rzeczywiście. Jest to komedia (wedle autora): *Zony, które za nos wodzą mężów*, gdzie wykazują się szkodliwe skutki podobnej operacyi. Inne są utworzone tylko dla chwilowej zabawy z komicznych powikłań życia codziennego, dla śmiechu; śmiech też wesoły choć krótkotrwały, który wywołują istotnie, jest najlepszą ich wartości oceną.

7 sierpnia.

Chm.

O sposobach uczenia czytać, a w szczególności o metodzie różnego czytania. Napisał Jan Kamiński student Szkoły Głównej Warszawskiej, były nauczyciel szkół elementarnych. Warszawa 1868 r. w 8 str. 35.

„Nauka czytania jest dla dzieci naszych straszliwsza niż Cherub z płomienistym mieczem dla najpierwszych dzieci ziemi” (1). Niepodobno, abyśmy się całkowicie za tem zdaniem oświadczyć mieli, ale w obec tylu trudności, jakie dziecko przełamać musi, zanim czytać się nauczy, każdy przyzna, że na samym wstępie do królestwa nauki, młode, swobodne siły nazbyt są przeciążone. To też już w początkach XVII wieku myślano nad ułatwieniem nauki czytania (2).

Autor rzeczonyj broszury do nauki czytania wielką przywiązuje wagę, a następstwa z dobrego czytania zadziwiają nas swoim ogromem, albowiem podług słów autora: „owoce tej pracy ujrzymy na ambonie i katedrze, za kratą sądową i w świecie artystycznym!” Dlatego nas to dziwi, iż nie słyszeliśmy o żadnym kaznodziei ani profesorze, o żadnym adwokacie ani artyście, którzyby swoje powodzenie dobremu czytaniu zawdzięczał. Mowa będzie zawsze tylko narzędziem do oddania myśli, a jeżeli tej nie zawiera w sobie, to mowa choćby najdzwięczniejsza przebrzmi, śladu po sobie nie zostawiając. Być może zresztą, że p. Kamiński przez zbytek zamilowanie swego przedmiotu przecenia go trochę, w każdym atoli razie pracę jego choć tak szczupłą uważamy za sumienną i godną uznania.

(1) Trentowski.

(2) Komoński (Comonius zmarły 1671 r.).

Po skrótniej przedmowie, z której, nawiasem mówiąc, dowiadujemy się ze zdziwieniem, że nauczyciel po cztero lub pięcioletniej nauce czytania nie może dojść do zamierzonego rezultatu; spotykamy się z trzema rozdziałami broszury:

Rozdział I. Rozmowy z dziećmi celem rozwijania ich władz umysłowych. Sam autor mówi, że może zbyt obszernie tu się rozszerza, rozdział ten jednak uważamy za najlepszy, zwraca bowiem uwagę nauczycieli na to, aby władze umysłowe dziecka odpowiednio usposobili zanim do nauki czytania przystąpią, nadto podaje przykłady, na wzór których mają sobie nauczyciele radzić. Kłádzimy tutaj przycisk, bo chociaż nie pierwszy p. Kamiński z tém się odzywa, wszyscy jednak prawie nauczyciele wiejscy nie zadają sobie tej pracy z dziećmi i przystępują wprost do mechanicznego czytania, a edukacya wiejskiego dziecka bardzo często kończy się zniechęceniem i za najlejsiem lata w mityczne zmienia się wspomnienie.

Rozdział II. Krótki historyczny przegląd dotychczasowych metod uczenia czytać. Trzy są główne metody: 1. Stara metoda *zglaszkowania* (sylabizowania), której nasz autor jest bezwzględny nieprzyjacielem. 2. Metoda *głosowania*, gdzie zasadą jest wymawianie spółgłosek bez pomocy samogłosek. Tu można postępować drogą analizy (Olivier) lub drogą syntezy (Wittmer). Nasz autor słowami Trentowskiego walczy przeciw tym metodom. Między innymi takie są słowa autora *Chowanny*: „Biorąc rzeczy ściśle, znajdują się do dziś dnia dwie tylko nauki czytania, metody: stara zgłoszkująca i nowa głosująca. Pierwsza jest empirycznój, druga spekulacyjnej natury, jedna jest ostatecznością względem drugiej. Musi tedy koniecznie znajdować się trzecia metoda, będąca obudwu powyższych jednością. Ta jedynie może być prawdziwą. Błędem empirycznój metody zgłoszkowania jest, że wymawia spółgłoski fałszywie: be, ce, de, fe i t. d., zamiast b, c, d, f, a błędem spekulacyjnej metody głosowania, że pragnie spółgłoski bez samogłosek głosować, co jest oczywistém niepodobieństwem. Niemcy wpadli tu z jednéj ostateczności w drugą. Ponieważ tedy *spółgłoski wymawiać czyli głosować wcale się nie dają, więc ich nie wymawiaj, nie głosuj.* To prosta metoda uczenia czytać”. Tak więc powstaje: 3. Metoda *uczenia czytać* czyli metoda doraźnego czytania, jak ją nasz autor chce nazwać. Zasadę Trentowskiego p. K. „w więcej szczegółowy i bezpośrednio do praktyki zastosowany sposób” podaje; mamy więc:

Rozdział III. Metoda doraźnego czytania w połączeniu z nauką pisania w szczególności. Nasz autor każe działać na zmysły dzieci, na wzrok szczególnie; w formie dyalogowej daje pojęcie o sylabie i literze, a następnie zręcznie przechodzi do obznajmienia dzieci z pismem, mówiąc, że są to rysowane wyrazy, podobnie jak są rysowane ptaki, stoły, szafy. Sposobem rozkładania wyrazów na sylaby i samogłoski (a nigdy na spółgłoski), przeprowadza całą naukę czytania. Sposób obznajmiania dzieci ze zgłoskami złożonemi z dwóch spółgłosek i samogłoski we środku, uważamy za

nieszczęśliwy, gdzie np. wyraz *dom*, podług zasady przyjętej przez autora, potrzeba rozłożyć na dwie sylaby *do* i *om*, z czego powstaje *doom*, „a że się zwykle *pisze dom*”, to potrzebuje tylko opuścić jedno *o* i będzie *dom*. Jest to zamęt wcale niepotrzebny i zbyteczny i wątplimy, czy dzieci dobrzeby na tém wyszły. Skoro nasz autor daje powyższą metodę jako najlepszą, bo na własnym doświadczeniu opartą, to przekonanie jego w tym względzie przypisałibyśmy więcej usilnej pracy autora nad dziećmi, i być może, że inna która metoda mogłaby podobniez pomyslnym rezultatem nagrodzić pracę p. K., gdyby z równą usilnością podług niej uczył, jak podług swojej. Nie zaręczymy czy nauczyciel elementarny nie powikła się w trudnościach, z których nie łatwo mu będzie i samemu wyjść i dzieci wyprowadzić, jeżeli bez silnej woli weźmie się do tej nowej metody. Stara metoda ma swoje niedogodności, ale i nowa bez nich nie jest, choćby przez to samo, że nauczyciel wprowadzając do swęj szkoły nową metodę, cały ciężar tak mozolnego początkowego nauczania bierze na siebie, bo dziecku po za szkołą nie potrafią dopomódz, gdy tymczasem dawniejsza droga nikomu nie jest obcą, starsze dziecko nawet może młodszemu dopomódz, co także bardzo wiele znaczy, zwłaszcza gdy szkoła jest liczniejsza i gdy nie jednako dzieci są posunięte w nauce.

Nie chcemy uchodzić za rutynistów, owszem, wszelką nowość witamy z zapałem, ale zaraz chcielibyśmy wiedzieć, co też ta nowość nam obiecuje, bo jeżeli ma stare obalić i nowego nie zbudować, to wolimy pozostać przy starém. Dla tego tak się odzywamy, że Trentowskiego zasada w czytaniu bardzo łatwo da się przeprowadzić starami drogami. Kiedy już dzieci znają samogłoski, daje im się każdą spółgłoskę, wymawiając ją tylko w połączeniu ze wszystkimi samogłoskami kolejno, i tak np. jeżeli idzie o poznanie spółgłoski *b*, to nie wymawiamy jęj osobno, ale kombinujemy ją z samogłoskami, więc będzie *ba*, *be*, *bi*, *bo*, *bu*, *by*, potem odwrotnie *ab*, *eb*, *ib*, *ob*, *ub*, *yb*. Tak postępując dalej, w kolejném następstwie, bez wszelkiego zamieszania poznamy wszystkie spółgłoski i wszelkie możliwe ich kombinacye z samogłoskami bez kompletnej ruiny starego sposobu nauczania. Jeżeli gdzie, to w nauce czytania chcielibyśmy widzieć reformę, ale reformę z dołu wprowadzoną, reformę skromną, któraby pod płaszczem rzekomej rutyny, wszystkim znanęj, przyniosła świeże i żywotne rezultaty. Na nauczycieli czytania powołane są tysiące, a przedewszystkiem rodzice, którzy w praktyczném zajęciu będąc, nie mają czasu uczyć się nowej metody. Jeżeli tedy nowa metoda, przyjęta przez nauczycieli, w grzy rozszpie starą swoją matkę, starą metodę i całkiem w inne ubierze się szaty, to biedne dzieci wpadną w zamęt i sił swoich nadwężą, bo od rodziców uczyły się czego innego, od nauczyciela czego innego, a od drugiego nauczyciela znowu czego innego.

Zachęcamy wszystkich, zachęcamy zwłaszcza nauczycieli, aby ze szczególną uwagą przejrżeli pracę pana Kamińskiego; cho-

cięż bowiem użycie tej metody jako wymagające wiele zachodu i pracy odstraszy może niejednego, to jednak praca ta ma swoją wartość jako sumienna, przez specjalnego napisana i na doświadczeniu oparta.

Rozdział III jest właściwie *sposobem uczenia czytać*, a jest zbyt mało rozszerzony, aby mógł być dostatecznym podręcznikiem dla każdego nauczyciela, któryby zechciał kierować się podług proponowanej metody.

Władysław Nowicki.

Pamiętniki pudła, wydane po francuzku przez pannę Julię Gouraud. Poznań. Nakładem J. K. Żupańskiego. 1868. X

Powieści dla młodocianego wieku, przez Antoninę Machczyńską. Poznań. Nakładem i czcionkami L. Merzbacha. 1868. X

Już raz mieliśmy sposobność w tem piśmie (1868 T. I. str. 134) zrobić uwagę, którą teraz powtarzamy, że przydłuższe, ciągle opowiadanie więcej zdoła przynieść korzyści umysłowi dzieci, niż pojedyncze urywki lub krótkie powiastki. Rzecz to bardzo naturalna. Krótką powiastkę lub opowiadanie przeczyta dziecko prędko, prędko też o nich i zapomni. Potrzeba szczególnie ciekawej treści i niepospolitej zdolności w jej przedstawieniu, aby w umyśle młodziutkiego czytelnika zostawiła dłuższe wrażenie. W przeciwnym razie obojętnieje na przeczytaną treść, a wkrótce zupełnie o niej zapomina. Ztąd szereg powiastek krótkich, o niezbyt wydatnej treści, przeczyta dziecko bez żadnej moralnej korzyści, bo nie wzbudzą w nim one zainteresowania, zaciekawienia się, co przecież jak wiadomo, jest głównym motorem w dziecinnym wychowaniu. Przeciwnie się rzecz ma z powieściami dłuższego zakresu. Potrzeba tylko wybrać przedmiot ciekawy, a zobaczymy, z jaką chęciowością będzie dziecko pochłaniać to opowiadanie kartka po kartce, z jakim natężeniem przypominać sobie będzie to, co już przeczytało, z jaką przyjemnością opowiadać będzie swoim towarzyszom treść nabytą. Najlepszy tego przykład mamy na *Robinsonie Kruzoie*. Książka ta doczekała się tylu wydań, tylu przerobień, że je prawie zliczyć trudno; i pomimo już półtora wiekowego istnienia nie postarzała się dotąd, gdyż jak dawniej tak i teraz równie wzbudza zajęcie. Literatura nasza jest ubogą w podobnego rodzaju jak *Robinson* książki, a te, które posiadamy są po większej części tłumaczeniem. Z oryginalnych możnaby wyróżnić *Wspomnienia wygnanki*, z tłumaczonych przypominamy tu głównie powieści ks. kanonika Schmida, jak np. *Eustachiusz*, *Dobry Franuś* i *Zły Kostuś*, *Koszyk kwiatów* i t. p. Zasób ten tłumaczonych powieści dla dzieci powiększają i wzbogacają zarazem *Pamiętniki pudła* wyszłe w tym roku w Poznaniu. Autorka ich p. *Julia Gouraud* znaną jest z prac

w tym kierunku: jedno nawet z jej pism p. n. *Maryanna Aubray* (książka przeznaczona dla służących), wydane zostało r. b. w Poznaniu w tłumaczeniu polskim. Pióro jej odznacza się żywością i dowcipem, trafnością, praktycznością uwag i umiarkowanym użyciem morałów; jednej tylko brakuje jej rzeczy, to jest rzewności uczucia: u francuzów bowiem w ogóle wszystko niemal przemienia się w śmiech i dowcip, zarówno wielkie rzeczy jak i drobnostki. Mogą się oni szlachetnie oburzyć na nielitościwe postępowanie, na krzywdę, na zło wogóle, ale rzadko kiedy znajdziesz u nich tę tkliwość i braterskie społeczenie, które pomiędzy nami zarówno w życiu jak i w piśmie tak często spotkać można. P. Gouraud dzieli tę wadę wraz z resztą swoich spółrodaków. Dla tego też jak w innych pismach tak i w *Pamiętniku pudła* pewien chłód sercowy powiewa. Ale to jedno wyjąwszy, musimy pochwalić zarówno pomysł *Pamiętników* jak i jego wykonanie. Rzecz się ma, jak następuje: Cezar, piękny, biały pudel, przeżywszy i doświadczywszy wiele, spisuje na starość swe pamiętniki. Opowiada więc przedewszystkiem rady swej matki, które mu dawała na drogę, kiedy miał przejść do pp. *Nellville*; dalej opisuje swój pobyt u tych państwa: jak swoim przykładnem sprawowaniem się zasłużył na miłość całego domu; jak ocalił życie małej Henrysi; jak jego piękność odniosła nagrodę na paryżkiej wystawie; jak następnie schwytany przez jakąś niegodziwą kobietę i sprzedany, różne przebywał kraje. Tu opisuje swe wrażenia, myśli i uwagi o tém co widział i doświadczył; uczy się, jak znosić należy nieszczęścia i jak nawet pomagać nieszczęśliwyszemu od siebie. Opowiada wreszcie, jak po tysiącznych przypadkach poznaje w prowincjonalnym teatrze, pierwszego swojego pana i jak z wybuchem radości rzuce się po głowę widzów w jego objęcia; jak następnie ocala dom od złodziejów i jak nakoniec zwyczajną koleją życia wszelkiego stworzenia na ziemi starzeje się i zbliża do ostatniego kresu. Ostatni rozdział pisany ręką owej Henrysi, której niegdyś życie ocalił: opowiada jego zgon i żal po nim powszechny. Wszystko to opowiedziano z żywością i ruchem, a przedewszystkiem z niezrównanym humorem, który lekkością swoją każdego zniewolić potrafi. Ciąg opowiadania przeplatany jest tutaj uwagami i refleksjami bohatera *Pamiętników*, białego pudła. Uwagi te i refleksye trafnością, znajomością dziecięcego serca i praktycznością w niczem nie są gorsze od rad najlepszego pedagoga. Zyskują one tym więcej na wartości, że nie są wypowiedziane z kwaśną miną starego tetryka, lecz z figlarnem spojrzeniem rozkosznego pudelka. Skutkiem tego panuje w całej tej książce pogoda i świeżość atmosfery, co niezmiernie wiele znaczy w utworach tego rodzaju. Bo, aby się moral lub nauka jaka w ogóle przyjęła w dziecinny umysł i serduszku, potrzeba przedewszystkiem jasnego oblicza dziecięcia: z oswiałym i zniechęconym wzrokiem dziecko niczego się nie nauczy. Jak przyjemny i zdrowy pokarm tylko przy wesołem i spokojnem usposobieniu może pójść na istotny pożytek, tak samo nauka i mo-

ralność powinny wykluczyć z zakresu swojego wszelką ponurość i smutek: duch i ciało jaśnieć powinny swobodą, spokojem i świeżością.

Przekład tych *Pamiętników pudła* winniśmy dwom paniu-
kom *Zosi* i *Maryni*, które, jak głosi dedykacja, podjęły się go dla
uprawy w ojczysty język. Za wybór książki winien być im wdzięcz-
ny mały światek, za język ojczysty także, gdyż w ogóle tłumacze-
nie jest dość staranne. Jednakże *Zosia* i *Marynia* nie powinny by-
ły zostawić np. tak rażącego galicyzmu jak następny: *Zostawszy*
wdową z czterema małemi chłopcami, nie wielkie jej mienie się ro-
zeszło str. 105, albo też: *wzięła go wesolość, oddawać wizytę w sąsie-*
dstwo i t. p.; nie powinny były napisać tak okropnej formy jak
np. tak już dawno *nie byłem lizał nikogo!* str. 72.

— *Powiesci dla młodocianego wieku* p. Antoniny Machczyńskiej
mają zaletę, której brakuje poprzedniej książce, to jest uczucie, ale
nie mają tych przymiotów, które ją zdobią, a przedewszystkiem
są to bardzo krótkie, urywkowe powiastki (w liczbie 11), po kilka
lub kilkanaście kartek. Jest to wada, której doniosłość staraliśmy
się wykazać na samym wstępie i dla tego o niej już tu nie mówi-
my. Drugą wadą jest brak naturalności w opowiadaniu, w kreśle-
niu charakterów i w rozmowie czyli dyalogu. Są tu wprowadzone
konwencyonalne, typowe niemal w podobnego rodzaju utworach
postaci, których mowa nie ma żywości i giętkości naturalnej, ale
jest zawsze nastrojona na jakiś ton świąteczny. Znaleźliśmy tylko
jedną powiastkę, gdzie naturalność wyrażenia sprowadziła i więk-
sze ożywienie w jej całości. Jest to drugi ustęp z *kartek trzech dzie-*
wczynek p. n. *Paulina*. Opisuje w prosty, naiwny sposób wrażenia
dziewczynki najprzód w zakątku domowym a potem w Warszawie
i wyraża jej zateśknienie do rodzinnej wioski. Temat, jak wiado-
mo, oklepany, ale świeżość uczucia i naturalność w przedstawieniu
wrażeń, tudzież język prosty, bez wysilenia i forsownych ozdób
zdołały go podnieść i zrobić zajmującym. Trzecią wadą zbiorku p.
Machczyńskiej jest prawie zupełny brak akcji i ożywienia w po-
wiastkach, w których zwykle znajdujemy tylko suchy szkielet
morałów albo wcale nie zajmującą opisowość.

Jednakże pomimo tych wad, powiesci p. M. mają coś w sobie
pociągającego. Sprawia to szlachetna dążność każdej z nich,
mająca na celu wszczepienie w młode serca wszystkich wznio-
słych popędów do dobra, piękna i prawdy; sprawiają to następnie
zdrowe i na doświadczeniu oparte rady, które autorka rozsiewa
w swoich opowiadaniach. Zwracamy uwagę na jedną z nich
zawartą w powiastce p. n. „*Starsza siostra*”, gdzie p. M. traktuje
tak ważną i tak zbawienną w swych skutkach kwestyą wzajem-
nego nauczania w rodzinie. Mówiące o korzyściach, jakie wy-
płynąć mogą z podobnego postępowania, autorka odzywa się przez
usta matki, dającej rady swjej córce (str. 195, 6): „Powtarzając
wasze szkolne lekcye z siostrami z podwójnym zastanowieniem,
z rozwągą natchnioną pięknym celem, nie odbieracież same tym

sposobem jakoby powtórnej edukacji, nadającej dojrzałość umysłowi? Jeżeli zaś gorliwość wasza dojdzie aż do upatrzenia obowiązku w tej pracy, czyliż od razu także nie posunie was na drodze moralności i umysłowego wykształcenia? Uczucie serca jest wielkim bodźcem dla umysłowej czynności, a kochająca siostra, wszedłszy już raz na tę drogę, chętnie będzie szukać nauki dla siebie, żeby ją w grono przynieść rodzinne... Czyliż każda z was nie wynajduje sobie w domu rodzicielskim pożytecznych i urozmaiconych zajęć? Idzie więc tylko o zamianę jednych zajęć na drugie. Zamiast mniej potrzebnych haftów, uporeczywego uprawiania sztuk, do których się niema talentów, zbyt licznych odwiedzin, nie lepiejzeby było poświęcić pewną ilość czasu na uczenie młodszego rodzeństwa? Nie trzeba się także lękać szkolenia przez kilka godzin ścisłej i akuratsnej pracy na powierzonych powabach; owszem tylko zyskać przez to na nich możecie: boć wiadomém jest, że każda dążność szlachetna, każde uczucie piękne zostawia ślad przejścia swego na obliczu, kształcąc jego wyraz na podobieństwo jego ducha; i widziano nieraz twarz obojętną zrazu lub szpetną, nawet przeistoczoną pod technieniem gieniuszu i cnoty, jakby pod dłutem rzeźbiarza." W tym duchu jest cały ten ustęp. Nie mogąc szczegółowo rozbiierać każdej powiastki, powiemy tylko, że najlepszymi (rozumie się względnie) w zbiorcu tym są powiastki: *Ubogi uczeń* (obrabiająca nieustanny temat o bogatych i ubogich); *Schadzka pensyonarek*, *Prożność i roztropność*. Nie rozumiemy zaś powodu pomieszczenia tu dwóch powiastek: *Słowo osobowe* i *Ciotka Petronela*. W pierwszej opisane jest napuszonym stylem zagniewanie się profesora na uczennice za to, że nie umiały odkryć w pewnem zdaniu słowa *jest*; w drugiej zaś opowiedziano historią pewnej cioci, której blado uarysowana postać może chyba interesować osoby bliżej ją znające, ale dla dzieci nie zawiera żadnej pożytecznej nauki.

Język p. M. nie jest ani bardzo zaniedbanym ani bardzo poprawnym. A szkoda. W utworach dla dzieci przeznaczonych powinniśmy szczególną uwagę zwracać na język, a to w tym celu, aby już za młodu uczyły się czysto i poprawnie używać ojczyściej mowy. Dla tego chętniebyśmy wyrzucili takie wyrażenia: *wyczytuje po księżycu lekcya łacińską*; *wpatrzałam się często na ten portret*; *daj paniom krzesel*; *te dwa dziewczęta, dokończając, przyśłowioi* i t. d.

7 sierpnia.

Chm.

Pierwsze Zgromadzenie Ogólne zwyczajne Akcyonaryuszów Drogi żelaznej Warszawsko-Terespolskiej, odbyte dnia 18 (30) czerwca 1868 r. Warszawa, w Drukarni J. Ungra. 1868. r.

Na powyższe sprawozdanie z obrotu interesu na drodze żelaznej Warszawsko-Terespolskiej składały się: 3 miesiące roku

1866 i cały rok 1867. Posiedzenie zagał prezes Rady Zarządzającej L. Kronenberg przypominając w treściwych słowach główne punkta koncessyi, i rezultaty osiągnięte. Podajemy tu kilka cyfr zebranych przez Komissyą rewizyjną pod przewodnictwem R. R. Stanu F. Zielińskiego:

Ogólny przychód z eksploatacyi z 3 miesięcy r. 1866 wynosił 24,362 rs. 58 $\frac{1}{2}$ kop. Ogólny rozchód z tejsze epoki 24,160 rs. 76 kop. Dochód czysty zatem stanowiło 201 rs. 82 $\frac{1}{2}$ kop. Ogólny dochód z eksploatacyi w ciągu r. 1867 wynosił 296,031 rs. 24 $\frac{1}{2}$ kop. Ogólny rozchód: 208,338 rs 48 $\frac{1}{2}$ kop. Czysty dochód 87,692 rs. 76 kop. Dowiadujemy się dalej ze sprawozdania, że zarząd starał się o powiększenie dochodów a zmniejszenie wydatków, bądź przez zaprowadzenie możliwych oszczędności, bądź przez odkrycie źródeł dochodu, któreby równoważyły choć w części wydatki. Do tej ostatniej kategorii działań, należy odnieść przedewszystkiem roboty przez warsztaty mechaniczne wykonywane. Obecnie w warsztatach tych buduje się 10 wagonów towarowych, do których osie tylko i koła z zagranicy sprowadzono: nadto wykonywają prywatne obstalunki.

Komissya rewizyjna zaleciła Radzie Zarządzającej zaprowadzić kasę zjednoczenia dla służby drogi żelaznej, jak tego chce ustawa w art. 20; oraz przyspieszyć ubezpieczenie całego ruchomego i nieruchomego majątku Towarzystwa. Na to wiceprezes Tomarz hr. Zamojski oświadczył, że ustawa do kassy zjednoczenia jest już układaną, a co się tyczy ubezpieczenia, budowle są już ubezpieczone, a resztę majątku wkrótce zarząd ubezpieczy.

Zauważaliśmy w wykazach ruchu towarów, po drodze Warszawsko-Terespolskiej, że najliczniejszy jest przewóz trzody chlewnej, bo w r. 1867 wyprawiono jęj w kierunku Warszawy z rozmaitych stacyj 8,920 sztuk; wołów zaś tylko 788. Znaczna konsumpcya mięsa w Warszawie pochodzącego z wołów stepowych zdawała się zapewniać drodze znaczny dochód, tymczasem zapewne dla wysokiej opłaty, woły stepowe idą do Warszawy starym traktem. Można przypuszczać, że ta okoliczność oprócz innych wpływa na podrożenie w Warszawie mięsa tak, że niedługo bardzo niewiele domów wystarczy na ten wielce potrzebny do życia artykuł.

Fismiennictwo w Stanach Zjednoczonych.

(Według prelekyi Alexandra Buchnor, w Uniwersytecie w Caen).

Gdyby dostateczném było dla wytworzenia rodzimego pismiennictwa, aby kraj jakiś przedstawiał niezliczone przedmioty zdolne zbudzić natchnienie w duszy poety, lub nastęrczyć filozo-

fowi rozległe do rozmyślań pole, to Amerykanie dawno już mogliby się chlubić bardzo bogatą literaturą.

Dziś spojrzawszy z wyżyn nadmorskich, dostrzegamy dym olbrzymich parostatków stojących w portach, które po dziesięciodniowej podróży wysadzają swych passażerów na wybrzeża odległej krainy, gdzie znajdują najwyszukanszy przepych i zbytek stolic Europy; ale jeśli myśl nasza cofnie się o dwa wieki, wtedy stanie nam przed oczyma odwaga i wytrwałość pierwszych żeglarzy zwiedzających te brzegi, oraz niesłychane cierpienia i trudy pierwszych osiadających tam kolonistów.

Już samo bogactwo przyrody stawiało im nieprzebyte niemal zapory, a nadto poza olbrzymiemi drzewami dziewiczych lasów, nad wybrzeżami rozrukanych rzek i strumieni, wszędzie godził na ich życie, zaczajony Indianin, chytrzejszy i okrutniejszy niż dzikie zwierzęta. Dobrobyt ich bardzo nieznacznie i pozwoli rozwijać się zaczął, a niezadługo zaraz matka-ojczyzna o najlepszą dopomniwała się cząstkę. A jakież to było ich życie na tej obcej ziemi, gdzie wygnany z rodzinnego kraju purytanin, musiał się ocierać nieustannie o deportowanego złodzieja, i gdzie zagrożące w chwili niebezpieczeństwo, przeradzało nieraz w bohaterą, nędznego awanturnika lub krwiożerczego mordercę.

leżło już ten pierwszy obraz dostarcza wiatku poecie!

Pisarze angielscy nie zaniedbali tego bogatego materiału, że wspomniemy tylko *Daniela Foë* autora „*Robinsona*” który w kilku częściach znakomitego swego romansu „*Pułkownik Jack*” przenosi czytelnika w owe czasy i miejsca, kiedy zaczęły dopiero powstawać pierwsze plantacje w Wirginii.

Jednakowoż jakkolwiek to bogactwo przedmiotów poetycznych, mało bardzo się uwydatnia w powstającym piśmiennictwie amerykańskim, nie należy przecież poczytywać tego za dowód braku samoistności i niezależności piśmienniczej, ale raczej za wynik purytańskiej surowości, oraz zajęć wyłącznie materalnych i naglących, jakim wszyscy się tam oddawać musieli. Zresztą pewne prawo estetyczne wymaga, aby artysta znajdował się w niejakiem oddaleniu od przedmiotu który traktował zamyśla, a Amerykanie żyli właśnie w samym sercu wydarzeń najpłodniejszych w natchnienia artystyczne. Wprawdzie poeta liryczny może być świadkiem opiewanych faktów, ale pewna przestrzeń czasu zawsze prawie oddziela poetę epicznego od opisywanych zdarzeń, a co się tyczy teatru, dzieje piśmiennictwa wykazują, że literatura dramatyczna wyradza się zawsze z kombinacji pewnych żywiołów już obrabianych i przekształconych przez oddziały liryczny i epiczny.

Popęd nadany piśmiennictwu amerykańskiemu przez współzawodniczą walkę z angielskiem, nie bardzo podniósł słabą i zbyt późno pojawiającą się literaturę tego kraju; nie przeczymy iż walka ta znalazła swego Tyrteusza, ale z drugiej strony nie można się dziwić, że w kraju gdzie interes polityczny góruje nad

innym, mówcy i publicyści musieli wyprzedzić poetów i roman-sopisarzy.

Wymowa jest przyrodzonym darem ludów nawykłych wcześ-nie do rządzenia sobą. Królowie angielscy tak samowolnie i niekonsekwentnie wykonywali swą władzę nad zaatlantycznymi swymi poddanymi, iż témsamém popehnęli ich do zamiłowania form demokratycznych; tak więc rozmaite prowincye od samego prawie powstania miały swe kongressa, które w następstwie sta-ły się jednocześnie kolebką ducha demokratycznego i przyszłych mówców.

Po ogłoszeniu niepodległości, nieraz słowo równoważyło przewagę miecza, wtedyto wielu zdolnych i znakomitych mężów zaczęło brać żywy udział w sporach odnoszących się do spraw pu-blicznych, a wiadomo z jaką zaciętością stronnictwa walczą do-tąd i zawsze walczyły z sobą w Ameryce. Zaraz po przesileniu zapewniającém niepodległość, powstają dwa wielkie stronnictwa: federalistów czyli centralizatorów, których głową był Washington i antyfederalistów czyli stronników autonomii Stanów pojedyn-nych, pod przywództwem Jefferson'a. Antagonizm ten powię-kszył się wkrótce sporem wynikłym między wolnemi i niewol-niczemi Stanami, który dopiero niedawno temu tak krwawe zna-lazł rozwiązanie.

Szermierzami tych zapasów byli tacy mężowie jak Adams, Clay, Webster, Calhoun i Channing, ów sławny kaznodzieja amerykański.

Obok tych mówców, pojawili się jednocześnie tak zwani *Essayiści* i *Polygrafowie*, do których dodać jeszcze należy i *Histo-ryków*.

Hasłem i zadaniem powyższych pisarzy jest krzewienie po-zytecznych wiadomości wszelkiemi możliwemi sposobami, i rzecz godna uwagi, nie ma jednego pisarza amerykańskiego jakiego-bądź rodzaju, któryby do tego gmachu swojej nie przyłożył ce-gielki. A jakże to liczny jest ten zastęp autorów, których szereg rozpoczął sławny i tak powszechnie uwielbiany *Benjamin Franklin*, któremu lud nadał patryarchalną nazwę *Old-Ben*. Za naszych czasów spotykamy wśród nich pierwszorzędnych krytyków i my-ślicieli, jak: Emerson, Everett, Tuckerman, Tyler, Ticknor i wielu innych.

Ale czyliż ten lud samolubów, żyjący tylko nagromadze-niem korzyści dających się ściągnąć każdej chwili, który lada dzień zapragnie świat cały wchłonąć w swe olbrzymie zbiorowi-sko, czyliż lud taki może wydać dziejopisarzy? Nie można tego nie uznać, skoro tylu Amerykanów tak znakomicie skreślili, nie tylko własne, ale i ludów europejskich dzieje.

I tak Bancroft opisał zawiązanie się Stanów Zjednoczonych; Marschal, życie Washington'a; Irving, kresząc szczegóły odkry-cia Ameryki, zwrócił swe spostrzeżenia aż do Europy, a szczegól-niej do Hiszpanii; Stiles, przebywszy długi czas w Austryi i w Wiedniu, opracował tam wyborne dzieło o licznych ruchach

rewolucyjnych, które w latach 1848 i 1849 nurtowały Węgry, Lombardię, Czechy i Austryę, i dalej jeszcze Prescott, który tak gruntownie zbadał panowanie Ferdynanda i Izabelli, oraz dzieje podbojów Meksyku i Peru.

Rozwój literatury pięknej daleko wolniejsze czynił postępy niż proza dziejopisarska i krasnomówcza, i wpływ europejski daleko dłużej tu odczuwać się daje.

W pierwszych latach naszego stulecia, po większej części tyle tylko wiedziano w Europie, że Ameryka Północna jest ogromnem zbiorowiskiem Stanów, które skutkiem krwawej i zaciętej walki oderwały się od Anglii, istnieją politycznie i myślą jedynie o utrzymaniu swej niepodległości. Wprawdzie pisarze angielscy podróżujący po Stanach Zjednoczonych, wspomnieli o tworzącym się w nich jakby związku piśmiennictwa, ale zdaje się dla tego tylko, aby rzucić słowa lekceważenia i nagany. Jednak obok niezaprzeczonej złośliwości, krytycy ci mieli pewną słuszność, bo w owym czasie anglo-amerykańskie tytuły literackie nie istniały jeszcze. Od pewnego jednak już czasu niepodległość umysłowa Anglo-Amerykanów uwydatnia się coraz wyraźniej, a ich chwała literacka wychyla się widocznie z poza obsłaniających ją ciemności. Na dowód dość przytoczyć imiona takich wieszczów lirycznych i epicznych, jak: Bryant, Poe, Dana, Longfellow, oraz romansopisarzy jak: W. Irving, F. Couper, Haccollorne, i wielu innych.

Trzeba wyznać że pierwsi z tych poetów czerpali niekiedy swe natchnienia z dzieł szkoły angielskiej, przedstawionej mianowicie przez Wardsworth, Cobridge, Southey i Wilson'a, ale nawet w samem naśladowaniu nie brak im oryginalności. Dalej Poe, i Longfellow dowodzą nie jednokrotnie gruntownej znajomości romantyków niemieckich; ale czyż nie trzeba odwagi aby osmielić się współzawodniczyć z Hoffmann'em w rodzaju fantastycznym, czyż nie trzeba wielkiego talentu, aby obok *Hermana i Doroty* postawić *Ewangelinę*?

Cooper i Washington Irving słusznie przezwani zostali jeden Walter-Scott'em, drugi Dickens'em Ameryki, i jeśli kraj ten nie ma jeszcze swego Balzac'a lub Stern'a, to jednak kanadyjczyk Halliburton, pierwszorzędnny dostrzegacz i humorysta, niezaprzeczenie posiada wiele przymiotów obu tych pisarzy. Chcąc się przekonać że anglo-amerykańskie piśmiennictwo nie jest pozabawione charakteru narodowego, jakiego mu tak bardzo zaprzeczają, dość przeczytać jego: *Wycieczki zegarmistrza Sam Slick po Stanach Zjednoczonych*.

Zauważyć należy, że Niemcy, które przez swą liczną emigracyą tak silnie oddziaływały na Amerykę, nie uszły nawzajem jej wpływu: dwóch znakomitych romansopisarzy angielskich Sealsfield i Gerstaecker, skreślili po mistrzowsku obrazy życia amerykańskiego, w dziełach wydanych w Niemczech i cieszących się najlepszym powodzeniem.

Przedewszystki \acute{e} m jednak nale \acute{z} y zwrócić uwagę na wa $\acute{z$ n \acute{a} i zajmuj \acute{a} c \acute{a} rol \acute{e} , jak \acute{a} kobiety odgrywaj \acute{a} w pi $\acute{s$ miennictwie amerykańskim.

Powię nam kto mo $\acute{z$ e: to przecie nie nadzwyczajnego, od najdawniejszych czasów były i będ \acute{a} wszędie kobiety autorkami; tak, odpowiemy, ale nigdzie w tak przewa $\acute{z$ nej liczbie jak poza oceanem Atlantyckim.

Tu najpierw wymienimy znakomite poetki liryczne, jak El $\acute{z$ bietę Oakes, Franciszkę Osgood, Lidyę Sigourney i Hannę Gould; oraz poetkę epiczną, Mary Brooks, znan \acute{a} powszechnie pod pseudonimem *Maryi del Occidente*. Dalej, tak słabo dotąd przedstawiany w Ameryce dział teatralny, kobietom głównie zawdzięcza swe najlepsze prace; jednakowo \acute{z} autorski talent Amerykanek, odbija się najświetni \acute{e} j w romanso-pisarstwie.

Lat temu siedm zaledwie minęło, gdy cała Europa nagle przerażoną została nadspodziewaną wiadomości \acute{a} , o strasznej wojnie domowej szerz \acute{a} c \acute{e} j swe spustoszenia, w kraju, który zdawał się używać niczem niezam \acute{a} con \acute{e} j pomyślności, zadn \acute{e} m nie zagro $\acute{z$ on \acute{e} j niebezpieczeństwem. Z wyjątkiem m \acute{e} czów politycznych, mało kto zapewnie byłby zrozumiał powody tej nieprzewidzianej w ogóle katastrofy, gdyby kilka lat przedt \acute{e} m nie był się pojawił sławny i wyjątkowo popularny romans, zwracaj \acute{a} c \acute{y} uwagę publiczności europejskiej na niewolnictwo, t \acute{e} zawsze otwart \acute{a} ranę, tocz \acute{a} c \acute{a} Stany Zjednoczone. Romans ten pod tytułem: „*Chatka wuja Tom*” jest utworem kobiety, pani Henryetty Beecher Stove, równ \acute{a} prawie cieszc \acute{e} j się sław \acute{a} jak pani de Stal lub Jerzy Sand.

Nie mo $\acute{z$ emy tu pomin \acute{a} c jednego jeszcze romansu autorki kobiety, p. Camming „*The Lamplighter*” (Latarnik), maj \acute{a} c \acute{e} go wielk \acute{a} doniosłość spo $\acute{l$ eczn \acute{a} i ogromny rozgłos. Romans ten wydany był w 1854 r.

Wspomnieli \acute{s} my ju \acute{z} o wzgl \acute{e} dn \acute{e} m ubóstwie dramatycznej literatury amerykańskiej. I rzeczywi $\acute{s$ cie, je $\acute{s$ li zwróci \acute{m} y uwagę na tak wszechstronny rozwój tej gałęzi pi $\acute{s$ miennictwa w po $\acute{s$ ród narodów europejskich, obok zadziwienia, uczuwamy prawie jakie \acute{s} politowanie dla kraju, co świetnemu szeregowi naszych dramaturgów, nie mo $\acute{z$ e przeciwstawić ani jednego geniuszu dramatycznego. Jakkolwiek badanie przyczyn które dotąd nie dozwoliły Amerykanom stworzyć swego narodowego teatru, nie zardzi $\acute{z$ o zle \acute{m} u, przedstawia jednak bardzo ciekawe i nauczaj \acute{a} c \acute{e} szczegóły.

W pierwszych początkach ju \acute{z} samo rozproszenie powstaj \acute{a} c \acute{y} ch kolonii po zbyt rozległ \acute{e} j przestrze $\acute{n$ i, brak czasu i jakiego \acute{s} głównego ogniska, nieustanny niepoko \acute{j} oraz walki i utarczki najróżnorodniejsze, a nareszcie ciemny fanatyzm purytański, ten zacięty wróg wszelkich uciech \acute{s} wiatowych, oto aż nadto powodów nie dopuszczaj \acute{a} c \acute{y} ch powstania i rozwoju sztuki dramatycznej.

Pó $\acute{z$ ni \acute{e} j dostrzegamy przeszkody natury estetycznej, i zarazem nasuwa się uwaga, że współzawodnictwo teatru europej-

skiego, już uformowanego i tak łatwo dającego się przenieść do Stanów Zjednoczonych, musiało zniechęcić miejscowych autorów dramatycznych. Cecha czysto przemysłowa, jaką spekulacya przedsiębiorców napiętnowała przedstawienia teatralne, źle bardzo oddziaływała na nie, i zarazem nie dozwoliła pisarzom dramatycznym wyrobić w sobie prawdziwego o swęj sztuce pojęcia. Każda sztuka potrzebuje jakiegóś materialnej podstawy, na którejby się wykonywać i doskonalić mogła; rzeźbiarz żąda marmuru lub bronzu, malarz farb i płótna. Narzędziem, materiałem wieszczą i pisarza jest słowo, a w pewnych danych chwilach, los całego piśmiennictwa niezawodnie więcej niż ogólnie mniemają zależy od jego bytu i udoskonalenia.

Z pierwszego wejrzenia powyższa kwestya ta może się tu zdawać niewłaściwą, ponieważ wszyscy wiedzą, że Stany Zjednoczone mają swój język, to jest angielski, którym mówią tam wszyscy, i w którym, odnośnie do swego talentu, piszą miejscowi autorowie; otóż odpowiemy, że wielu krytyków angielskich nie przyznaje im prawdziwego używania tego języka. Najgłówniejszy ich zarzut opiera się na tym fakcie, że wielka liczba cudzoziemców osiadła w pośród kolonistów angielskiego pochodzenia.

Jakoż rzeczywiście nie ma na świecie kraju, którego ludność składałaby się z równie różnorodnych żywiołów jak mieszkańcy Stanów Zjednoczonych. Bez zaprzeczenia sam rdzeń jest czysto angielski, ale pierwsi koloniści Nowego Yorku pochodzili z Holandyi, i nie dawno jeszcze temu, w niektórych odleglejszych wsiach tego Stanu, większość mieszkańców mówiła językiem hollenderskim. W Stanach Delawaru i New-Yersey, najpierwsi koloniści składali się z Niemców i Szwedów; pierwsze osady Pensylwanii zostały założone przez kwaków angielskich, ale niezadługo przybyli tu Niemcy, których potomkowie tworzą po dzień dzień znaczną część ludności Karolina, której Coligny nadał tę nazwę od imienia Karola IX, dała przytułek znacznej liczbie hugonotów, a Louzyanna, w chwili nabycia jej przez Stany Zjednoczone, była głównie zamieszkaną przez rodziny francuzkie. Texas i Kalifornia, po dzień dzień jeszcze są prawie hiszpańskie, a w ostatnim stanie znajduje się przeszło 23,000 Chińczyków. Mormoni w Utah składają się ze wszystkich niemal narodowości.

Z końcem roku 1858 ogólna liczba cudzoziemców przybyłych do Stanów Zjednoczonych od 1784 r. wynosiła 5,000,000, których połowę składali Anglicy i Irlandczycy. Reszta wypada w tym stosunku: Niemców, 1,600,000; Francuzów 200,000; Szwedów, Duńczyków, Norwegian 50,000; Chińczyków 50,000; Szwajcarów 40,000, mieszkańców Anglików 36,000, Hollendrów 18,000, Meksykanów 16,000, Włochów 8,000, Belgów 7,000, Amerykanów z Południa 5,500, Portugalczyków i Hiszpanów 3,300 Rossyan, 1,000.

Rzecz prosta że nieuchronnem następstwem podobnej miazginy jest skażenie wymowy i niepoprawność wyrażen, wynikająca z pomieszania różnorodnych narzeczy.

Jednak to skażenie czystości języka Anglo-Amerykanów, więcej daleko odbiło się w mowie klas niższych i średnich, oraz w podrzędnej prassie codziennej, niżeli w pismach szanujących się autorów. U takich pisarzy rzadko bardzo spotykamy się z tak zwanym *amerykanizmem*, lub tylko w razach zupełnie usprawiedliwionych. Ameryka ma swoich *purystów* równie jak Anglia, i najsurowsi krytycy angielscy przyznają, że nikt nie pisał lepiej po angielsku jak Amerykanin Washington Irving.

Jeszcze w roku 1834 obok 200 przedruków autorów angielskich, wyszło tylko 26 dzieł amerykańskich w całych Stanach Zjednoczonych; lecz już w roku 1852 stosunek ten zmienia się widocznie na korzyść narodowego piśmiennictwa, ponieważ wydano 600 dzieł amerykańskich a tylko 250 przedrukowano angielskich.

W roku 1750, w koloniach angielskich Ameryki Północnej wychodziło 20 pism peryodycznych, w 1855 w samych Stanach Zjednoczonych wydawano 3,000 a dziś już liczba tych pism dochodzi tam 4,000. W ciągu roku 1860 odbito około miliona numerów dzienników, co wypada w przecięciu 34,36 na każdego mieszkańca rasy białej. Oprócz tego prenumerują tam bardzo znaczną liczbę dzienników zagranicznych, a wszystkie znakomite „Przeglądy” europejskie, są tam nadzwyczaj chętnie czytane i przedrukowywane w Stanach Zjednoczonych.

Trudno doprawdy pojąć, że w pośród tylu milionów ludzi zdolnych i żądnych nauki, tak mało stosunkowo objawia się i wyrabia wyższych talentów pisarskich. A ileżto przedmiotów do pisania nastręcza się co chwila! Wspaniała i tak nieskończone różnorodna przyroda Ameryki Północnej; przygody i niebezpieczeństwa pierwszych osadników, ich zacięte walki z Indyanami, przesilenia religijne i polityczne kraju tak silnym tu odbijające się ciosem: mieszanina przybyszów i ich odległe wspomnienia o swém europejskiem pochodzeniu; wzajemne z sobą spory i targi osad, oraz walka ich wspólna przeciwko Anglii; cierpienia rasy czarnej wynikające z strasznej plagi niewolnictwa; nieustanne posuwanie się w dzikie pustynie zachodu, gdzie myśliwi i poszukiwacze złota *squatters* i *trappers*, ci pionierowie cywilizacyi na tak wielkie narażeni są niebezpieczeństwa, i nareszcie straszne sceny lat ostatnich: jakieżto niewyczerpane źródła podbudzenia wyobraźni poety lub myśli pisarza!

Jednak pomimo iż dotychczasowym utworom literackim słusznie zarzucić można brak jedności i stosunkowości, pomimo że piśmiennictwo amerykańskie w ogóle nie odznaczyło się w żadnej ważniejszej gałęzi, i grzeszy oświeciową zależnością od cudzoziemców; trzeba jednak przyznać, że dziś już otrzymane rezultaty, dają dostateczną rękojmię pięknej przyszłości.

J. B.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Marya Stuart tragedia Schillera w przerobieniu Le Bruna.

Niemieccy estetycy cenią tragedję Maryę Stuart bardzo wysoko. A. W. Szlegel chwali mistrzostwo, z jakim plan tej tragedji nałożony, inny śmiało orzeka, że jest najbardziej ze wszystkich skonczoną, że zaledwie wytrzyma z nią porównanie: Tell, Gerwinus i Hoffmeister objaśniają, że poeta sprzykrzył sobie żołnierskich bohaterów i chciał jać się czysto ludzkiej namiętności, tak że nawet Mortimera tłumaczyć trzeba jako wypływ romantycznej sympatyj. Hoffmeister utrzymuje, że Marva Stuart to podniesiona tragedia, to dalszy rozwój pnia nazwanego Wallenstein, że w Wallensteinie walka starego i nowego świata była przedstawioną w całości i w pełni tak, jak wrzała w piersiach poety; w Maryi Stuart zaś przewidziany jest rezultat tej walki. Elżbieta jest ową protestancką zasadą, która upadła w Wallensteinie. Tenże Hoffmeister nie widzi nic w Maryi, tylko rozkoszną kobietę, która błędy serca opłaca cierpieniem i śmiercią, tak że stan jej królewski zowie tylko bronią odporną przeciw Elżbiecie. Hinrichs atoli słuszniej powiada, że Marya i Elżbieta są to nie tylko kobiety lecz królowe, które różnicą religij i rządów jakie reprezentują, stwarzają odpowiednie pathos. Istotnie też w Maryi Stuart nie tyle chodzi o prawość następstwa tronu, ile zarazem o to, która królowa jest prawną: katolicka czy protestancka? Przytęm grają tu czysto ludzkie namiętności, od których oswobodzić nie może i najwyższe stanowisko. Marya wchodzi w kollizję za swym królewskim stanem, gdyż jako kobieta puściła samopas cugle swemu sercu czy jak kto chce: swym zachceniom. I Elżbieta razi sprzecznością, bo działa zanadto samowolnie, bo nie powściąga woli. Tak więc samowola serca Maryi, samowola rozumu Elżbiety, nie zgadzają się z warunkami woli naczelnika państwa. Elżbieta postępuje jak kobieta, nie jak królowa, gdyż zazdrości Maryi że miała tyle odwagi podnieść do siebie przedmiot który ukochała, gdy tymczasem ona nie będąc tak szczęśliwą, chciałaby jednak być taką samą jak Marya, ale inaczej pozornie się wydawać. Marya przeciwnie nie chciała się inszą wydawać niż była. Elżbieta pragnęła epitafu: „Tu spo-

czywa dziewicza królowa." Kontrasty dwóch tych kobiet są bardzo charakterystycznie w tragedyi uwidocznione. I tak: Marya wierzy w łaskę Boga, Elżbieta zdaje się jej nie pragnąć, tak jest jej pewną; dlatego mimo że Marya ponosi śmierć, śmierć ta rzuca na nią aureolę męczenną, a plami Elżbietę, której pewność wydaje się tu okrucieństwem.

Są jeszcze inni, którzy na mocy tej tragedyi stawiają aksjomat, jakoby protestantyzm był religią rozumu, katolicyzm zaś religią serca, że więc obie jako jednostronne, wiecznie ze sobą waleczyć muszą, którą to walkę poeta przeprowadził w tragedyi.

Olśniewający to niezawodnie kontrast taka Marya Stuart z taką Elżbietą! Pierwsza cudownej piękności, występna w młodości, posądzana o zamiary zajęcia tronu angielskiego, czarująca magicznie swym obejściem a przeto odwodząca poddanych Elżbiety od posłuszeństwa, stoi naprzeciw Elżbiecie, rządzącej męzkim rozumem i ramieniem królowej, która wyszła zwyciężko z walki z pierwszym mocarstwem świata; lecz która zarazem jest tak dalece kobietą, iż czuje całą gorycz z powodu wyższości urody królowej szkockiej. Drży na samą myśl, że całą zdobytą i nabytą potęgę będzie musiała oddać *piękności* Maryi. Jedna więc tylko żyć powinna, jedna tryumfować! A która? o to rozbija się pytanie. Marya czy Elżbieta? Marya która nie kuła spisków na życie Elżbiety, która odrzuciła sąd na siebie, jako nie złożony z równych jej godności, która jest tak dobrą, tak uroczą, tak pełną skruchy i żalu za grzechy przeszłości! Więc Marya ma prawo za sobą? Lecz i Elżbieta ma prawo, bo któż jej zaręczy że Marya znów nie stanie się narzędziem uwodziciela popychającego ją do najzuchwalszych przedsięwzięć, bo co powie lud jej widzący w niej Boga, opiekunkę nowej religii, którą pokochał, co powie ten lud domagający się śmierci uzurpatorki przez swych reprezentantów w parlamencie? Los przeto powinienby tu rozstrzygnąć? Lecz poeta nowoczesny odrzucił sposób starożytnych, i wybrał namiętność jako rozstrzygnięcie. Dlatego scena widzenia się obydwóch królowych w Fotheringay jest kulminacyjną całej tragedyi, jest jej osią i zenitowym brylantem. W chwili zbliżenia się kobiet, dyszących wzajemną nienawiścią, piekłem namiętności, jedna z nich paść musi, jednej los rzucony. Pada Marya, ale Elżbieta pada moralnie. Upadek ten tak naturalnie konsekwentny, tak opierający się na stronach ludzkiego organizmu, tak że się wyrażę, z krwi i mięsa, nadaje nadzwyczaj zyciową barwę tragedyi, co tém więcej zasługuje na uwagę, że bardzo często w dziełach tego poety gra nie krew, lecz blade postacie metafizycznej reflexyi. Inne charaktery niemniej obrazowo streszczają epokę. Tak np. Burleigh i Talbot to mężowie odmiennie traktujący politykę. W pierwszym dobru, spokój państwa i Elżbiety na pierwszym miejscu, pragnie bezlitośnie śmierci Maryi, bo nie chce rozumieć lub nie rozumie, że polityka powinna być przede wszystkim *moralną*; Talbot przeciwnie, mąż

sprawiedliwy, nie chce ładować na swe sumienie zbrodni, tém bardziej że przekonany jest iż takie wykonanie prawa nie przyniesie zbawionych owoców. Scena ostania jest jakby pogrzebem olbrzymiego pożaru namiętności, śmiertelnej nienawiści i zapamiętałej miłości, jest uroczystym podniesieniem do nieba akordów miękkih, błagalnych, wzywających przebaczenia i pojednania. Scena ta która mimo całego idealizmu jest wielce realną, mimo całej doniosłości jest wielce ludzką, porywa, zachwyca i słusznie, wieńcząc poetę nieśmiertelną chwałą.

Na scenie tutejszej grają tragedye rzeczoną w przerobieniu i znaczném skróceniu Piotra Le Bruna. Nie jest ona więc nowością; lecz że wchodzi w szereg poważniejszych dzieł przedstawianych na tutejszej scenie od medawna, dlatego należał się jej ten szerszy wspominek. Rozdzielenie tła historycznego od roboty poetycznej, zabrałoby nam tu zawiele miejsca, nie potrzebujemy też powtarzać rzeczy ogólnie wiadomiej, tej mianowicie, że wielki poeta szafował skarbuicą historii często zanadto szczodrze i nieogłędnie. Błędnych manekinów (Don Carlos) robił bohaterami, piękne ale zbrodnicze kobiety idealnemi zjawiskami; uchodziło mu wszystko, bo wszystko uchodzi pędzlowi Corregia, rzucającemu uroczę światło na całą grupę wskrzeszonych z grobu postaci.

Gra artystów w tragedyi, to najlepsze świadectwo zdobytej zasługi, wyrobienia i zdolności. Artysta grający w tragedyi czy w szerszego zakroju dramacie, daje z góry każdemu *praesumptio iuris et de iure* że poczynił pewne studia, że się zastanawiał nad budową estetyczną, nad pojedynczemi charakterami, nad zasadniczą ideą, słowem, że myślał. W komedyi lżejszej zwłaszcza, można często ulecieć na skrzydłach szczęsnej inspiracyi przychodzącej nagle i bez przygotowań, można wreszcie wiernie fotografować; ale w dziełach poważniejszych, po kilku próbach zwykłego autoramentu, nie da się odtworzyć żaden z bohaterów noszących miecz nie od zwyczaju, lub purpurę nie dla ozdoby. Trzeba znać epokę historyczną, jej koloryt właściwości i odcienia, że już nie powiem o tysiącznych innych potrzebnych tu wiadomościach: trzeba także wezwać na pomoc mimikę, jej wskazówki, bez czego wszystkiego niepodobna oczarować nawet o tyle publiczności, iżby ta chciała zapomnieć, że to gra naprzykład Lester, ów sławny swego czasu dworak i faworyt, a nie pan X. lub Y. Uwzględniamy, że artyści tutejsi, z wyjątkiem pierwszorzędných, odwykli już od tragedyi i dramatów, ale to uwzględnienie ani trwać może długo, ani powinno. Sztuka artystów grających w dramacie na tem właśnie polega, iżby słuchający uczuli się odrazu nastroszeni uroczysiej, przeniknieni głębiej, iżby zapomnieli o codziennych troskach, o trywialnych często swych zatrudnieniach. Dramat powinien wzruszać, ducha od ziemi odrywać, jeżeli ma spełniać swoje zadanie.

Role główne Elżbiety i Maryi, grały p. Niewiarowska i p. Palińska. Nigdy się nie zgodzimy na sztywność Elżbiety w scenie

w Fotheringay, bo jakkolwiek Elżbieta zacina wargi, podnosi pogardliwie głowę i rzuca piorunujące spojrzenia, ale w głębi duszy, ona kipi tak samo jak Marya choć z innych pobudek, ona płonie piekielnym ogniem zazdrości i mimowolnego podziwu naziemskiej urody swjej rywalki. Za to pochwalić nam trzeba szczerze i bez ogródek panią Palińską, gdyż wniknęła w dzieje swjej bohaterki, w zamiśl autora, postawiła się duchem w podobne sytuacye, i uzewnętrżniła to wielożnie fluhtuacją głosu, umiejętną deklamacyą, i postawą pełną energicznej siły.

E. L.

Pojęcia pani Aubray. Komedya w IV aktach Alexandra Dumasa syna. Przekład Władysława Umiastowskiego.

Różnica między dramatami Dumas'ów ojca i syna jest wielką, jakkolwiek obaj wzruszają, obaj wprawiają w podziw. Dumas ojciec, dramatami swemi kierunku odmiennego, rachując tu po dramacie *Antony*, umie widza zachwycić niespodziankami, dowcipem płynącym łatwo i obficie; syn przeciwnie każe iść za sobą widzowi z początku trochę z przymusem, później porywa go niezbyt jeszcze rozochoczonego lecz już patrzącego z natężeniem, z ciekawością coraz rosnącą, a przyznać trzeba, słusznie krok za krokiem zaspakajaną: ojciec czaruje; syn nie popuszcza z swych objęć. Dumas syn. to niezawodnie talent niepospolity, zuchwały, bo śmiało i bez ogródkki wypowiada w oczy swemu społeczeństwu grzechy, demoralizacyę i gangrenujące je choroby; zuchwały bo nie oglądając się na niezadowolone konserwatystów, epikurejczyków, czcicieli bożka uniwersalnie dziś uczczonego na świecie, rzuca anathema z szlachetnym oburzeniem, pryskając ogniem jasno i *uczciwie*. Powtarzamy: uczciwy to pisarz, jakkolwiek obrał sobie może fałszywą sferę którą chce rehabilitować całą potęgą świetnego swego talentu, całym żarem niewygasłych młodzieńczych uczuć. Kobietę ubóstwił, ale nie tę, która na to zasługuje wychowaniem i czynami, nie tę która z prawej drogi raz zesła w życiu zbłąkana namiętnością, zesła fatalnym zbiegiem okoliczności i pokus, nie raz upadła uczciwą kobietę, ale kobietę upadłą od pierwszych lat swjej świadomości, kobietę nurzającą się w bezwstydnjej rozkoszy, brnącą w upadku z uśmiechem na ustach, z brylantami na piersi. To ubóstwienie bierzemy w tém znaczeniu, iż rzuca na czoło takiej upadłej kobiety promyk boski, światło odrodzenia, że duszę jej przedstawia zdziwionym, blyszczącą niezwykle, niepospolitym blaskiem, że kładzie jej w usta wyraz straszliwej rozpacz, za którą czyni odpowiedzialną nie ją samą, nie jej upodobania, nie brak siły w otrząśnieniu się z tak ohydneho położenia, ale cały ród mężczyzn, wszystkich tych, którzy nie poczuli się w obowiązku podźwignięcia jej z nędzy materyalnej i moralnej. Tu zaraz widzimy że zarzut sięga za daleko, że jest za ja-

snostronny, że jakkolwiek kobieta taka korzystać może z okoliczności łagodzących, jakimi zwykle bywają: nędza, opuszczenie, nieświadomość skutkiem niedostateczności wychowania, to jednak całej winy kłaść niepodobna na innych, a żadnej na nią. Przypuściwszy wreszcie, że mężczyźni szerząc zepsucie, otaczają miazmatem jego pierwsze wejście w świat młodej dziewczyny, przypuściwszy, że tak długo opasują zdradziecko pokusami ofiarę, aż dopóki nie padnie, przypuścić zarazem trzeba, że nieświadomość ustępuje wtedy miejsca świadomości, a ta świadomość powinna dać wolę i hart duszy. zerwania raz na zawsze z ohydzną mimowoli przeszłością. Nie tak jednak dzieje się w dramatach Dumasu syna. Kobiety jego *pół-swiata*, stapały długo nad brzegiem przepaści, tak długo że aż zarobiły sobie na sławę głośnych zalotnic, i dopiero nagle gdy boska iskra *prawdziwej* (pozwalamy sobie wątpić) miłości zatliła w ich sercu, przeistaczają się w Magdaleny oblewające łzami stopy ukochanego przedmiotu, przeistaczają się w ofiary drugiej połowy ludzkości, ofiary wołające przez usta autora: reformy, odrodzenia, lub kary i odwetu. Nie, bezwarunkowo powiedzieć trzeba, że choćby rehabilitacja istot walających się w błocie (nie wchodzimy tu w nieszcześliwe początkowe motywa) miała za sobą stronę dobrą i prawdziwą, miała za sobą współczucie widza i jego zadowolenie, w żadnym jednak razie nie wolno z jej pomocą idealizować, lub stawiać bohaterów na ołtarzy. Kobiety *pół-swiata*, nie powinny być już choćby z tego powodu bohaterkami, że nie mają na swą obronę nawet namiętności, która jako siła, dzielny się staje w dramacie motorem, — ich czyny były szeregiem czynów własnej woli następujących po jednym tylko, pierwszym (*poniewolnym*), były więc zgodzeniem się na stan rzeczy; miłość zaś nagła, którą autor chce zrobić prawdziwą, nieśmiertelną, przyzna każdy, że warunków prawdziwej, i nieśmiertelnej, owej oczyszczającej, mieć nie może. Jakaż byłaby bowiem różnica między miłością kobiet czystych i szlachtetnych, lub wreszcie kobiet które tylko raz zbłądziły w swem życiu, a miłością kobiet skalanych przez długie lata?

Autor czuł ten usterek w „Pojęciach pani Aubray” uwydatnił bowiem ten ważny moment w życiu bohaterki Janiny. Janina jest to młoda 20-letnia kobieta, wychowana w nędzy i zaniedbaniu. Przed laty rodzice jej zgodzili się na umizgi niejakiego Telliana za okrągłą sumę; córkę swą poświęcili bez skrupułu, a ona poddała się biernie, nieświadomo. Z chwilą rozpoczęcia się sztuki, jest ona w zakładzie morskim ze swym kilkoletnim synkiem. Znają ją wszyscy zdaleka i wszystkim się podoba ta piękna, cicha i skromna kobieta; przed innymi atoli podoba się ona pani Aubray, szanowanej powszechnie damie, i jej 24-letniemu synowi, który pokochał ją pierwszą, młodzieńczą, wielką miłością, nie zdając sam sobie z tego sprawy. Sympatya jaką pani Aubray okazuje Janinie, wzrusza ją do głębi, każe zastanowić się nad swem położeniem, i wtedy poznaje ona, że dwóznacznego swego położenia nie powinna ukrywać przed tak zacną kobietą, która wierząc jej że jest wdową, jako taką przy-

muje gościnnie i serdecznie w swoim domu. Czyni więc spowiedź długą i bolesną, tém boleśniejszą że upadku jej przyczyną nie było uniesienie miłości. Oto mówi: „Właściciel domu, w którym mieszkaliśmy na poddaszu, był bogatym kupcem. Miał syna którego często spotykałam wracając z magazynu. Młodzieniec ten posiadał siłę przekonywającą jaką nadaje młodość i dostatek; on to przychodził nam w pomoc, gdyśmy się spóźniały z zapłatą komornego. Nieznacznie wplótł się w nasze istnienie, tak, żeśmy to dostrzegła tylko z polepszonym cokolwiek bytu. *Byłamże oszukana, uwiedziona?—nie.* Wszystko około mnie było przygotowaniem do złego; popełniłam je naturalnie, fatalnie i nieoskarżam nikogo..... Nagle, uczucie nieznane opanowało moją istotę; byłam matką! Oddałam się całą duszą miłości macierzyńskiej... Pewnego dnia ojciec jego (mego dziecka) powiedział mi że się żeni, i że to dziecię którego urodzenie było mu nie na rękę (tak się wówczas wyraził) mogę zachować przy sobie, że będzie o nas obojgu pamiętał, jeżeli nikomu o niem nie wspomnę.” Pani Aubray przytuła nieszczęsną, idącą w swém wyznaniu dalej, bo oświadczającą że teraz dopiero po raz pierwszy w życiu, uczuła miłość. Pani Aubray poleca jej ażeby się stała godną tej miłości, prawą i szczerą w zwierzeniach, a człowiek ten przebaczy jej błąd popełniony. Poleca jej wejść na drogę odrodzenia, której pierwszym warunkiem jest zerwanie z owym człowiekiem, i nieprzyjmowanie od niego pomocy. Czysta dusza pani Aubray wyrobiła w niej tak wielkie pobłażanie dla ludzkich słabości i zdrożności, tak wielką litość nad upadkiem bliźnich, że niema ona słowa pogardy dla nikogo. Los nieszczęsnej młodej kobiety poruszył ją nie na żarty; chce ona zabezpieczyć jej przyszłość; w wymownych przeto i przekonywających wyrazach usiłuje skłonić niejakiego pana Valmoreau, młodego bogatego panicza, z najlepszym sercem ale próżnującego i marnującego bez celu najpiękniejszą młodość, ażeby poprawił swe błędy, dowiódł swego żalu zaślubieniem nie dziewicy pięknej, bogatej, i poważanej, ale kobiety, którą wprowadzie nędza albo złe przykłady wtrąciły w chwilowy występki, lecz która znalazła w sobie samej siłę do podniesienia się i która go (pana Valmoreau) szczerze kocha. Pani Aubray zdaje się albowiem, że wyznanie miłości Janiny tyczy się właśnie tego panicza. Dziwny ten sposób wynadgradzania nieszczęśliwego błędu, rażący niezmiernie w tak rozsądnej kobiecie i dziwne cokolwiek dający pojęcie o jej pojęciach,—nie bardzo też przypadł do smaku rzeczonemu kandydatowi, mimo że się czuł rozkołysany poetycznie i szlachetnie gorącą rozmową (niektórzy nazwą to: gorącą dySSERTACJĄ autora) z młodym Aubray.

Nie możemy szczegółowo przechodzić scen pojedynczych, pięknych niejednokrotnie zapałem, wzniósłymi wypowiedzianymi myślami, a nawet naprężeniem dramatycznym, dość, że gdy pani Aubray dowiaduje się od syna że kobietą którą pokochał pierwszą i na wieki jest właśnie jej protegowana Janina, ta sama, której podjęła się rehabilitacji za pomocą ślubu z p. Valmoreau; cofa się przerażona, jakby rażona piorunem, i woła całą mocą macierzyńskiej miłości:

Nie pozwalam ani teraz, ani później! Najlepiej się tu wykazuje stosunek teorii do praktyki. Najszczytniejsze teorie pragniemy zaszczyć ludzkości, byle one tylko nas samych nie kosztowały. Pani Aubray, kobieta istotnie uczciwa. i wyższa pod każdym względem, wpadła w tę sprzeczność, w nielogiczność, w fałsz postępów swoich z mową. Więc też syn, wierzący w nią jak w Boga, wyrzuca jej gorzko mówiąc: „Udzieliłaś rady, ale przykładu dać nie chcesz. Wszak nie powiedziałaś jej, ażeby się poddała rozpacz i zważyła o wszystkim? zwodziłaś ją przeto zachęcając ażeby jeszcze kochała!...” Czuję że serce moje i przekonania cierpią. Jeżeli ją ty zobaczysz matko, powiedz jej z *właściwą sobie umiejętnością mówienia o takich rzeczach*, że na tym świecie trzeba stanowczo zdruzgotać pewne zasady odwieczne dla pewnych obowiązków społecznych!...” Te słowa młodego Kamila, to jakby hamletowskie narzekanie na niemożebność pogodzenia wysokiej prawdziwej moralności, ze słabościami ludzkimi i z ustrojem społeczeńskim; a zarazem to gorzka ironia na tych apostołów którzy sami nieprzeszedłszy żadnych burz, żadnych poszarpań serca. prawią jasno i spokojnie o twardych obowiązkach, o harmonii dusz, o nagrodzie kiedyś w przyszłym świecie! Pani Aubray czysta i spokojna dusza, raz tylko uderzona piorunem śmierci najukochańszego małżonka, nie zaznała odtąd walk życia, nie miała nigdy sposobności dostrzedz mętów świata, rozpacznych a koniecznych starć ludzi z ludźmi, więc zamknęła się cicho w swym wdowieńskim żalu, a szczerpiąc w synu święte zasady, nie obawiała się może nigdy tak blizkiego zetknięcia się z ciemną stroną przeznaczenia człowieka. Dlatego drży na samą myśl, iżby jej wypielegnowany jedynak mógł poświęcić swe życie dla kobiety raz choćby już skalanój. Nie, to nad jej siły. Choć czuje jak dalece odstępuje w praktyce od zasad głoszonych śmiało całe życie, gotowa jednak w tej chwili znieść nawet zarzut nieszczerości. Dwa jednak wypadki pozwalają pogodzić teorię z praktyką. Pierwszym jest prośba tego samego pana Valmoreau, ażeby go ożeniła z Janiną, z czego wnioskuje pani Aubray że jest on lepszym od niej (my wprawdzie nierozumiemy dobrze tego poświęcenia się pana Valmoreau, który wcale Janiny nie kocha) a drugim jest wejście Janiny, która piękna i niezłomna, cierpiąca lecz odrodzona, pragnie powrócić za jakąkolwiek cenę pokój macierzyńskiemu sumieniu pani Aubray. W tym celu w obecności Kamila oskarża się tak srogo, jakby nie potrafił prokurator z urzędu. „Obok tego błędu, powiada ona, który ma usprawiedliwienie w nędzy, istnieją inne, których przyczyną był tylko kaprys i rozpusta. Pewne kobiety dochodzą do tego, że się już nie rumieniają za uczynki i nie pamiętają nazwisk. Jam była jedną z tych kobiet. Nie żałuj panie Kamilu, jam ciebie nawet nie kochała!”

Pani Aubray nie może dłużej powstrzymać głosu sumienia wykrzyknawszy: „Ona kłamie! Nazwij ją żoną, mój synu!”

To są pojęcia pani Aubray, a postępek jej jak powiada pan Valmoreau „godnym jest podziwu,” pan Baratin zaś, jedna z osób dramatu, powiada trafnieć jeszcze i tem kończy sztukę. „Tak, ale jakto

mówią: twardy to orzech do zgryzienia!" Sam autor czuł, że to twardy orzech do zgryzienia, autor francuzki piszący dla własnego społeczeństwa! czyżby więc dla nas orzech ten miał skruszeć? czyżby nasze zapatrywanie się na kwestyę upadłych kobiet miało być pobłażliwsze, humanitarniejsze? Nie, jest tyle palących potrzeb, wymagających ratunku i litości, pomocy i złagodzenia, że kwestya upadłych kobiet obcego nam *pół-swiata*, będzie zawsze dla nas chyba objawem epoki w literaturze francuzkiej, będzie również pomnikiem pięknego stylu, śmiałej dySSERTACYI, piorunującej wymowy oskarżającej przewinienia społeczeństwa, lecz nie będzie wzorem dramatu, w którymby grały ogólnoludzkie uczucia, ogólnie obchodzące momenta. Nie zaprzeczamy wielu scenom powyższej sztuki, siły prawdziwie dramatycznej, wzruszającej, lecz gniewamy się pomimowoli na autora. że nas musiał wzruszyć w takiej sprawie, która wiecznie aż do skończenia świata powtarzać się będzie, a powtarzać bez najmniejszej pretensyi jej załatwienia.

Przekład p. Umiastowskiego celujący wyborym stylem, i do borem odpowiednich określeń.

Panią Aubray grała pani Niewiarowska. Przykro nam przypomnieć tej artystce, że piękne sentencye, bardzo zresztą naturalne choć różniące się od pospolitych poglądów, należy się i godzi wygłosić naturalnie, z nienapuszystą godnością, miękko i łagodnie. Deklamacya szumna, wysuwająca pojedyncze frazesy niby baterye armat jedna za drugą, sprawia w słuchaczach pewien wstręt i niewiarę do autora. W takich to razach najlepiej przekonać się można, jak dalece artysta może podnieść myśl autora lub zniżyć ją i sprowadzić na grunt trywialny. Trzeba czuć co się wypowiada, a gdy się nie posiada wrodzonego uczucia, trzeba starać się zastąpić je przynajmniej o ile się da rutyną, którą przecież p. Niewiarowska w nie-małym posiada stopniu. Tak naprzykład w scenie gdy jej syn zwierza swą miłość dla Janiny, odpowiada mu dość spokojnie, nagle dopiero, ni ztąd, ni zowąd, wybucha nienaturalnym krzykiem płaczliwym, nie,—potrzeba wprzód lepiej uwidocznic walkę wewnętrzną, a dopiero potem wolno wybuchnąć napół z płaczem i żalością. Jesteśmy przekonani, że po kilku przedstawieniach, artystka ta zechce się poprawić z tak kardynalnych błędów. Pani Palińska w roli *Janiny*, cieniowała tak delikatnie, z takim mistrzostwem, które nazwałbym przejęciem się do głębi serca, przechodziła całą skalę uczuć od lekkiej zadumy do srogiej i bezdennej rozpacz, że należy się jej pochwała bezwarunkowa. Możebyśmy tylko w scenie z Tellienem, wymagali więcej skoncentrowania się surowej grozy. P. Swieszewski (*Valmoreau*) był wyborym typem salonowego bon garçon, a miał miejsca tak lekkie i swobodne, iż mu ich odpowiednio zawsze życzyć trzeba. Chwalimy też w nim granicę, jaką sobie ściśle zaznaczył między zbytnią trzpiotowatością któraby tu szkodziła, a zbytnią powagą któraby znów zmieniła całkowicie charakter. P. Stolpe (*Barantin*) stworzył przepyszny typ starca, co już przeszedł dantejskie piekło a dziś patrzy z rezygnacyjnym spokojem filozofa na świat ten pełen

dziwacznych sprzeczności i niepodobieństw. W p. Tatariewiczu (*Kamil Aubray*) pochwalić trzeba niezmierną ochotę pracy widoczną w wypowiedzeniu, wnikanie w myśl autora, radzimy tylko więcej pomiarkowania wylewającego się uczucia, więcej spokoju w artystycznym oddaniu słów gorących, i wolniejszej wymowy, gdyż często staje się niezrozumiałym. Troszkę też niejednolicie wychodzi rola jego w akcie 2 i 3.

E. L.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE I ROZMAITOŚCI.

WARSZAWA.

Sierpień 1868 r. Tomasz Ferdynad Nowakowski Redaktor Pamiętnika Towarzystwa lekarskiego Warszawskiego, asystent Kliniki, wydał własnym nakładem: „*Życie i prace Alexandra Antoniego Le Bruna b. Dziekana Wydziału lekarskiego, profesora Kliniki chirurgicznej w Szkole Głównej Warszawskiej, naczelnego lekarza Szpitala Dzieciątka Jezus (z wizerunkiem)*”. Jest to najdokładniejsza biografia ze wszystkich jakie ogłosiły pisma nasze czasowe. Autor czerpał wiele z pozostałych po zmarłym mężu rękopismów, i temi uzupełnił szacowną swoją pracę. Załączone popiersie fotograficzne (fotogr. Trzebieckiego) odznacza się szczęśliwem pochwytem podobieństwa, z zachowaniem charakterystyki całego oblicza.

— Wacław Alexander Maciejowski ogłosił następny list w *Gazecie Warszawskiej*, (Nr. 183). „Miłą uczonęj publiczności wiadomość ogłaszamy:” Wydawca „*Pomników starodawnego prawa polskiego*,” w mieście naszym r. 1856, kosztem księgarni Gustawa Sennewalda wydanych, drukuje tom drugi tego dzieła w Krakowie. Tom ten zawierać będzie przeszło sto arkuszy w kształcie ćwiartkowym. Druk znacznie jest posunięty, i na początku roku przyszłego wyjdzie niezawodnie na widok publiczny. Między innymi obejmuje on rękopis, dotąd z samęj tylko wiadomości przez szanownego Romualda Hubego do poszytu sierpniowego *Biblioteki Warszawskiej* bieżącego roku podanej, znany. O przeautografowanie tego rękopismu postarał się uczony Helcel, i w zamierzonym tomie drugim swego dzieła już go na pięciu arkuszach, jak mi o tém listownie pod datą 9 b. m. i r. doniósł, wydrukował, przedstawiem i wiadomościami o bliższych szczegółach ważnego pomnika, a mianowicie badaniami o czasie jego spisania i właściwego wykładu treści jego, nakoniec przekładem na język polski z łacińskiego opatrzył. Mieści on w sobie nierównie więcej wcale ciekawych szczegółów, niż szczegół użycia ordaliów w sądach, o którym samym jednym uczony Hube wspomniął w artykule pomienionym. Re-

Redakcja *Biblioteki Warszawskiej*, dopełniając pomieniony artykuł, nieomieszka zapewne podać o tém w swoim piśmie wyjętą z *Gazety Warszawskiej* wiadomość, zwłaszcza gdy uczony wydawca „Pomników starodawnego prawa polskiego” życzenie swe o tém w liście do mnie pisanym objawił.

Pisałem w Warszawie d. 20 sierpnia 1868.

Przed ogłoszeniem niniejszego listu Redakcja za pośrednictwem jednego ze swych współ-redaktorów, który równocześnie był w Krakowie, i widział się z uczonym Z. A. Helclem, przykutym do łoża boleści, otrzymała nie tylko wiadomość o tém ważnym dziele, ale i pierwsze 24 arkusze, już odbite na czysto. Czcigodny autor w największych cierpieniach pracę tę wykonywał i teraz czuwa nad jej drukiem, pragnąc (jak sam się wyraził) ażeby Bóg dozwolił mu życia, do ukończenia zupełnego. W następnym zeszycie naszego pisma, podamy obszerniejszą wiadomość o tém pomnikowym dziele, i zwrócimy uwagę na zabytek, o którym W. A. Maciejowski wspomina w powyższym liście.

— Z drukarni J. Jaworskiego w ozdobnym wydaniu z ilustracyami, wyszła książeczka, obejmująca sto bajeczek Feliksa Mikorskiego. Niektóre z tych bajek czytaliśmy w Tygodniku Ilustrowanym.

— Maurycy Dzieduszycki, nakładem księgarni K. Wilda we Lwowie wydał w jednym tomie: „*Powieść z dawnych czasów*,” która już jest w naszych księgarniach.

— Nakładem Adama Zawadzkiego, wyjdą w drugim wydaniu „Listy z Krakowa Jozefa Kremera.” Wiadomo, że szanowny autor swoim nakładem drukował tom pierwszy w Krakowie; po wyczerpaniu takowego, rękopism trzech tomów powierzył Adamowi Zawadzkiemu, który całość tę ogłosił w Wilnie: gdy takowe szybko rozchwyte zostało, nowa edycja wychodzi. Jest to więc trzecie wydanie pierwszego tomu, a drugie, dwóch następnych.

— P. Adam Wiślicki redaktor *Przeglądu Tygodniowego*, tak w swoim piśmie jakoteż i w innych stara się u nas zaszczerpić wielce użyteczną metodę Fr. Froebła, twórcy ogrodów dziecińczych w Niemczech, i gimnastyki zastosowanej do młodocianego wieku. Zadaniem tej metody jest nie tylko rozwinięcie umysłu dziecięcia, ale i wywieszenie ciała. P. Wiślicki rozpoczął w tym celu wydawnictwo, które na części, czyli jak sam nazywa na *dary*, dzieli. „*Dar pierwszy*: pudełko z sześcioma piłeczkami z dodaniem 40-tu gier w piłkę dla zabawy dzieci i młodzieży” wyszedł obecnie z drukarni J. Jaworskiego, (z nutami do pioski i tablicą litografowaną w 12-ce str. 16) pod ogólnym tytułem: „*Sztuka wychowawczego bawienia dzieci, podług metody Dra. Froebła*.” Podaje w tej broszurze 40 gier piłkowych dla rozszerzenia ich w kółkach rodzinnych, wprowadzenia zabaw ruchomych zabezpieczających zdrowie i podnoszących siły fizyczne. Zaczne te usiłowania, pragnąc należy ażeby jak najszerzej mogły się rozpowszechnić.

— Od października r. b. ma wychodzić: „Przegląd sądowy pismo popularno-naukowe poświęcone teorii i praktyce prawa.” Wedle wydanego prospektu, pismo to zeszytowe, miesięczne, obejmować będzie: 1) Prawo obowiązujące, 2) Prawo zagraniczne, 3) Wiadomości z filozofii prawa, 4) Kronika sądowa jako to: sprawozdania z przebiegu ważniejszych spraw cywilnych, kryminalnych i handlowych, 5) Kronika sądowa zagraniczna, 6) Wiadomości bieżące. Tu podciągnięte są inseraty, jak w ogólności wszelkie uwagi o przedmiotach prawnych, któreby nie podchodziły pod działy wymienione, 7) Recenzje dzieł prawnych, 8) Korrespondencye, 9) Opowiadania o sprawach kryminalnych, 10) Wiadomości i wykazy statystyczne w najobszerniejszym zakresie, o ile one prawodawstwa lub administracyi dotyczą. „Pragnąc z pisma naszego (słowa prospektu) uczynić organ centralny dla rozstrzelonych dotychczas działalności i poglądów tak licznie a zaszczytnie reprezentowanej u nas klasy obrońców i urzędników sądowych, co miesiąc zamieszczać będziemy szczegółowe sprawozdania z godniejszych uwagi processów cywilnych, kryminalnych i handlowych, jakie się w ciągu tego czasu przed trybuną naszą sądową toczyły. Ażeby zaś z drugiej strony uczonęj publiczności ruskiej tak w kraju jak i w cesarstwie dać treściwy obraz ruchu prawniczego i sądowego w Królestwie, co do których żadnych lub bardzo niedokładne posiadała wiadomości; nie mniej, ażeby mieszkańców Królestwa obznajmić z duchem ustaw nowo wprowadzonych w Cesarstwie, umyśliłszy zamieszczać w piśmie naszym odpowiednie artykuły redagowane w języku ruskim, bądź oryginalnie w tymże języku napisane, bądź też z więcej znanych ruskich dzienników przedrukowane.” Redaktorem odpowiedzialnym jest podprokurator królewski przy trybunale cywilnym w Warszawie Ignacy Bielicki, współredaktorem Adolf Jakób Cohn, magister prawa i administracyi.

— Nakładem i drukiem Jana Jaworskiego wyszła książka p. n. „Krótki przegląd kuli ziemskiej, czyli początkowa nauka geografii powszechnęj przez pytania i odpowiedzi. Podług najlepszych źródeł opracowana i poświęcona dla dzieciennego wieku przez E. Leja.” Imię autorki znane jest z kilku ogłoszonych prac poprzednio tak wierszem jak prozą.

— Nakładem L. G. Stögera w Jaśle (Galicyi) wyszło nowe poprawne wydanie przekładu słynnego dzieła napisanego podług mianego objawienia r. 1655 przez *Marye de Sagrada* księżkę zakonu św. Franciszka p. n. „*Miasto święte, czyli życie N. Maryi Panny połączone z życiem Pana Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa.*”

— Tygodnik *Illustrowany* w Nr. 31 ogłosił wiersz Zygmunta Krasińskiego, nigdzie jeszcze nie drukowany, który jako drogo-cenny zabytek po wielkim poecie powtarzamy:

Chciałbym spokojnie, lekko bez boleści
Rozsnuć do światła wiążące mnie nici,

Zniknąć bez śladu i przepaść bez wieści,
 Jak łąza w potoku, jak mgła na błękicie.
 Lecz zanim chwila wyroczna przeminie,
 Nim, zkądem przyszedł, powrócę do Boga,
 Chciałbym być z tobą w ostatniej godzinie,
 I cicho konać na twém ręku, droga!
 A gdy już rzucę wszelkiej troski brzemię
 I ty na ciało będziesz kładła ziemię,
 Proszę cię: nie chciej dusznego sklepienia
 Klasztornych murów kłaść nad mojem czołem:
 Dość mi już było na ziemi więzienia:
 Śmierć niech łąk polnych otoczy mnie kołem.
 Gdzieś na zielonin i otwartém polu,
 Pod niebios wiecznie błękitnym pierścieniem,
 Złóż moją głowę senną, pełną bólu,
 I marmurowym przykryj mnie kamieniem,
 A marmur ochłódź wonnych krzewów cieniem.
 Zasiej tam, zasadź bluszcze, rozchodniki
 Stulistne róże, podwójne gwoździki,
 Niezapominajki i nieśmiertelniki,
 Italskie mirty, podalpejskie dalie,
 I borów, naszych pamiątkę, konwalię.
 Wszystkie co kochasz i com oi przynosił
 Za życie kwiaty, oddaj umarłemu!
 Wspomnij, żem o nie zasypiając prosił
 I rzuć je wieńcem pod głowę śpiącemu.
 Niech przytłoczony tym ostatnim darem,
 Pchan coraz niżej tym kwiecica ciężarem,
 W wieczność zapadam, aż w niej się przetworzę
 Na drobne listki, gałązki, kielichy,
 I zgłębi grobu wyrosnę—kwiat cichy
 I serce wonne przed tobą roztworzę.
 Tak każdej wiosny ócz wonnych tysiącem
 Będę wyzierał za śmierci okręgi
 I rośl tam jeszcze przy tobie, pod słońcem,
 Stopy ci w miękkie obwiązując wstęgi!
 Rwij mnie, bierz-rwij mnie, przyczepiaj do skroni,
 Co ciało zdoła, to ciało da tobie!
 Nic się już z niego nie zostało w grobie:
 W kwiat się zmieniło, a kwiat zniknął w wodi.
 I duch mój czeka, aż woń ta powróci
 Przez smugi niebios niesiona wichrami,
 I znów go ciałem dokoła obrzuci,
 Lecz inném światłem, spólném z aniołami.
 Przenoś więc dalej na tój dziwnej drodze,
 Z głębin grobowych do jasnego nieba,
 Wszystkie te kwiaty które w grobie rodzą.
 Nim mnie obleką, zwiędnąć im potrzeba

Na piersi twojej: bo ztamtąd dopiero
 Unięwidnione w niebo się wybiera
 Do ducha mego, i ciało me w niebie
 Będzie z tych kwiatów.... co zwiędły u ciebie.

— W Krakowie wyszło kazanie: „*Boża dan*” przez Szymona Dankiewicza kaznodzieję zboru izraelskiego, w synagodze na Podbrzeziu w Krakowie (w 8ce str. 16). Treścią téj mowy jest zachęcanie wszystkich izraelitów do wspierania szkół ludowych i w ogóle niesienia pomocy ubogim żydom.

— PP. Gubryniewicz i Schmidt otwarli od drugiey połowy czerwca r. b. we Lwowie księgiarnią, wraz ze składem nut i sztuk pięknych. P. Gubryniewicz w swoim zawodzie kształcił się u Lwowskich księgarzy J. Milikowskiego i Karola Wilda; następnie u C. Mucquardt'a w Bruxelli i Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

— Zmarły professor Cybulski pozostawił w rękopismach swoich rozprawę: „*O krzyżach i brązowych tryptykach ruskich*,” tak często spotykanych na piersiach żebraków. Archeologiczne Towarzystwo Wrocławskie w piśmie: „*Schlesiens Vorzeit in Bild und Schrift*,” ogłosiło tę pracę illustrowaną rysunkami tych krzyżyków i znajdujących się na nich napisów.

— Dr. Rudolf Descher zrobił wykaz 514 wsi, miasteczek i różnych miejscowości pruskiego Szlązka, w których się grobowiska pogańskie znalazły: do tego dołączył cytaty dzieł i czasopismów opisujących te odkrycia, oraz oznaczył je na sporządzonej w tym celu mappie, z której na pierwszy rzut oka widoczne, iż okolice Swidnicy i Lignicy, należą w téj części kraju do osad najstarszych. Praca ta rzuca wielkie światło na badania przedchrześcijańskich wieków.

— Dr. E. Wahner, wydał w Opolu broszurę w języku niemieckim o pobycie Śgo Wojciecha w Krakowie i Opolu, p. n. Czy Święty Wojciech w wycieczce swéj misyjnej był w Opolu? (*Ist der heilige Adalbert auf seiner Missionsreise in Öppeln gewesen?*)

— W dziele Dra A. Reichenspergera: *Allerlei aus dem Kunstgebiete* (Rozmaitości z dziedziny sztuki. Brixen 1868 r.) znajdujemy recenzją książki A. Essenweina: „pomniki sztuki średniowiecznej w Krakowie.” (*Die mittelalterlichen Kunstdenkmale der Stadt Krakau*). Uczni niemieccy oczekują poważnego rozbińoru téj pracy od Polaka.

— Professor Dr. S. Kuczyński ogłosił w Krakowie bruszurę (w 8ce str. 50): „Niektóre uwagi nad teorią chemiczną profesora Dra E. Czyrniańskiego, opartą na ruchach wirowych niedziątek.” Pracę tę odczytał autor na posiedzeniu Towarzystwa Naukowego Krakowskiego d. 29 lutego 1868 r., która następnie drukowaną była w tomie XXXVII Roczników tegoż Towarzystwa, a teraz wyszła w oddzielnych odbitkach.

— *W Revue d'economie chretienne*, w piśmie wychodzącém co miesiąc w Paryżu, w zeszytcie styczniowym roku bieżącego znajduje się artykuł p. Gustawa Baguenault de Puchesse pod napisem:

Henri de Valois, roi de Pologne (1572—3), oraz praca p. Stefana Marcel: *Du mouvement litteraire et religieuse en Russie et en Pologne pendant l'année 1867.*

— W *Correspondent* z 25 marca znajduje się studjum p. Maryjusza Topin: *O Henryku Walezym, królu polskim*

† Dnia 1 lipca r. b. umarł po długiej chorobie Konstanty hr. Tyszkiewicz, brat starszy Eustachego założyciela wileńskiego muzeum starożytności, i pierwszego prezesa komisji archeologicznej wileńskiej. Urodzony w roku 1806, oddał się badaniom archeologicznym przez ciąg swego żywota, i położył w tej gałęzi nauki, nieocenione zasługi. *Gazeta Warszawska* ogłosiła obszerny życiorys zgasłego męża, w którym zarówno prace naukowe jak i obywatelskie należycie ocenionemi zostały, z wyliczeniem dzieł ogłoszonych drukiem.

† Dnia 3 sierpnia r. b. zmarł w Krakowie Ambroży Grabowski w 86 roku życia. Sześćdziesiąt lat upłynęło blisko jak zawód księgarski i literacki rozpoczął w Krakowie, a pracami swemi zyskał zasłużenie chlubny przydomek Nestora archeologów polskich. Syn włościanina organisty, urodził się w miasteczku Kętach w dawnym Księstwie Ówsiemskim w Galicyi, 1782 roku. Gdy go ojciec odumarł w dziecięcych latach, sierota udał się w roku 1797 do Krakowa, a przyjęty do księgarni Antoniego Grebla, tu się w naukach i językach wykształcił. Po latach 18-tu został współnikiem tej księgarni: od roku zaś 1817 założył przy ulicy Grodzkiej, w pobliżu rynku małą księgarnię na swoją rękę. Główne jej bogactwo stanowiły dawne książki i broszury polskie, na których znał się Grabowski wybornie. Właśnie była to chwila, kiedy Felix Bentkowski „Historją literatury polskiej” rozszerzył zamiłowanie do starych dzieł, czyli gockich druków, i wywołał mnóstwo lubowników tych pamiątek przeszłości, o które dotychczas wcale nie dbano. Na czele ich stał Tytus Działyński, hr. Tarnowski, a w Warszawie Chyliczkowski. Zastęp ten coraz się mnożył, i handel na tego rodzaju zabytki, wywołał ruch niemały kapitałów. Ze wszystkimi miał Grabowski stosunki i załatwiał ich zlecenia: sam też z latami zyskując coraz więcej doświadczenia w swoim zawodzie, był rzeczywiście najuczciwszym antykwaryuszem w Krakowie. Równocześnie kiedy swą otworzył księgarnię, dwóch znakomitych mężów zamieszkiwało Kraków: Jerzy Samuel Bandtkie bibliotekarz biblioteki Jagiellońskiej i Jan Woronicz biskup, słynny wieszcz i mówca. Zbliżony do nich, i wkrótce połączony stosunkami przyjaźni,

zachęcony do zawodu literackiego, oddał mu się z całym zapętem i do ostatnich chwil życia wiernym mu pozostał. J. S. Bandtkie skierował go do poszukiwań archiwalnych; Woroniec skłonił do opisu Krakowa, i sam skreśliwszy wyborny opis pałacu biskupów krakowskich, który tak wspaniale zrestaurował i ozdobił, ofiarował go Grabowskiemu, żeby włączył do swjej monografii. Pierwszą z prac literackich była mała książeczka: „*Krótkie przypowieści dawnych Polaków czyli apophtegmata z rzadkich dzieł i rękopismów ojezystych zebrane.*” Kraków 1819 w 8-ce (dziś rzadkość bibliograficzna) W niej znać już ogromne odczytanie bo przy każdej wiadomości podaje źródło z kąd czerpał. We trzy lata wydał „*Historyczny opis miasta Krakowa i jego okolic*” z rycinami M. Stachowicza. Kraków 1822 r. w 8ce. Edycya ta z całym przepychem jak na owe czasy, zdobna w staloryty i ryciny kolorowane, w przedkim czasie rozchwytaną została. Kilkanaście tomów następnie wydał, w których podał nam drogocenny skarbiec do dziejów przeszłości. Szczegółowy spiswszystkich prac zmarłego badacza, znajdzie czytelnik w *Encyklopedyi powszechnej*, podany przez F. M. Sobieszczańskiego.

—♦♦♦♦♦—

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.
Lipiec, 1868.

Lipiec, 1868.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatorium Astronomiczném Warszawském.

Miejsce dostrzeżeń wzrzesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5'', długość w czasie 1^h14^m45^s,7 czyli w łuku 18°41'25'',5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1		748.66	748.98	747.97	748.82	748.608	+14.7	+19.8	+22.2	+16.3	+18.25
2		748.54	748.67	748.57	749.25	748.758	18.1	23.8	19.0	16.8	19.43
3		748.54	747.93	745.56	745.85	746.970	16.7	23.4	26.6	17.3	21.00
4	☉	745.06	745.53	743.94	743.05	744.395	15.9	20.6	23.8	18.5	19.70
5		742.49	742.59	742.59	743.78	742.863	16.3	20.4	26.4	18.6	20.43
6		745.09	745.54	746.24	747.22	746.023	16.0	15.6	19.0	16.4	16.75
7	Apog.	748.23	748.77	748.80	749.53	748.833	14.3	16.5	18.6	15.0	16.10
8		749.59	750.72	750.94	752.59	750.960	15.4	19.8	24.5	15.6	18.83
9		753.02	753.33	752.52	753.55	753.105	17.9	21.6	28.3	19.6	21.85
10		753.01	753.15	752.02	751.50	752.420	20.6	23.6	26.2	21.7	23.03
11		751.22	751.59	750.56	750.18	750.963	18.6	22.1	18.8	15.8	18.83
12	☽	750.93	751.05	749.74	750.08	750.450	16.6	22.3	26.6	20.2	21.43
13		749.80	750.31	748.11	747.93	749.038	18.2	21.3	26.6	19.6	21.43
14		747.37	747.96	747.30	748.15	747.695	19.4	23.0	21.6	19.2	20.80
15		750.34	751.28	751.05	752.49	751.298	15.7	20.3	23.8	17.3	19.25
16		753.91	754.53	753.68	753.96	754.020	14.8	20.5	24.2	18.7	19.55
17		754.58	754.41	752.97	752.51	753.618	18.7	23.7	30.0	22.8	23.80
18		752.62	752.65	751.74	751.41	752.105	20.8	26.6	29.6	21.2	25.30
19	☽	751.06	750.83	749.48	748.03	749.850	21.4	27.2	31.3	22.7	25.65
20	Perig.	747.50	747.97	747.30	749.18	747.988	18.5	21.6	24.8	18.3	20.80
21		749.88	750.04	749.83	750.94	750.173	17.1	22.4	25.0	21.6	21.53
22		753.23	753.93	753.51	754.18	753.713	18.3	22.6	28.6	21.3	22.70
23		754.31	754.16	752.17	751.39	753.008	20.2	27.4	32.3	22.2	25.53
24	Rew.	750.35	749.67	749.73	751.16	750.980	21.3	29.4	27.2	17.9	24.05
25		756.41	756.72	756.09	756.67	756.473	11.0	18.1	21.1	15.7	17.23
26	☽	757.04	756.78	755.50	754.94	756.065	12.7	16.9	21.4	16.3	16.83
27		754.19	753.49	751.16	751.04	752.470	12.9	17.7	22.0	17.7	17.58
28		750.76	750.44	748.55	748.66	749.603	14.7	18.6	24.5	16.8	18.65
29		748.03	747.67	746.21	748.22	747.033	16.5	21.8	23.6	17.3	19.80
30		746.89	747.47	747.03	748.30	747.123	16.6	24.2	28.2	20.4	22.35
		749.08	749.40	749.06	749.19	749.183	19.8	25.0	20.6	18.6	20.95
Sr.		750.379	750.567	749.876	750.163	750.196	+17.18	+21.88	+24.72	+18.72	+20.63

Średnia dzienna	Wilgotność	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wody co do wysokości w milim. deszczu śniegu	Wysok. wody na Wiśle całk. um.p
		6	10	4	10	6	10	4	10		
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.		
72.3	pochm.	pochm.	napół pog.	pochm.	Pd1.	W1.	Pd1.	PdW1.			1 11
69.8	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnW1.	W1.	Pn1.	W1.	11.0		1 11
72.8	napół pog.	napół pog.	pochm.	pochm.	PnW1.	W1.	PdW1.	PdZ1.	3.3		2 1
77.2	pochm.	pochm.	napół pog.	pochm.	nZ2.	PnZ1.	PdZ1.	PnZ1.	2.9		2 1
78.0	poc. desz.	pochm.	pochm.	pochm.	Pd1.	Pd1.	PdW1.	PnZ1.	15.9		2 2
86.8	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ1.	PnZ1.	PnZ2.	PnZ2.	0.3		2 3
78.1	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	PnZ1.	Pn2.	PnZ2.	PnZ2.	2.2		2 3
83.3	pochm.	pochm.	napół pog.	pochm.	PnZ1.	PnZ1.	PnZ1.	PnZ1.	14.2		2 3
74.7	napół pog.	napół pog.	pochm.	pochm.	Pn1.	Pn1.	Pn1.	Pn1.	2.5		2 6
63.7	napół pog.	napół pog.	napół pog.	napół pog.	PnW1.	Pn1.	Pn1.	Pn2.			2 8
80.5	napół pog.	napół pog.	poc. desz.	napół pog.	PnZ1.	Pn1.	Z1.	Z1.	5.1		3 2
70.2	nap. p. m.	napół pog.	napół pog.	pochm.	PuZ1.	Pd1.	PdW1.	Pn1.	1.1		6 3
77.6	pochm.	pochm.	napół pog.	poc. desz.	Pn1.	W1.	Pn1.	PnW1.	6.1		6 1
76.3	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Pn1.	Pn2.	Pn1.	Pn1.	1.1		5 10
74.6	napół pog.	pogodny	pogodny	pogodny	Pn2.	Pn1.	Pn1.	Pn1.			5 10
62.1	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn1.	PnW1.	PnW1.	W1.			5 1
54.4	pogodny	pogodny	napół pog.	napół pog.	W1.	Pn1.	W1.	PnZ1.			4 5
49.2	pogodny	pogodny	pog. z ch.	pog. z ch.	Pn1.	Pn1.	Pn1.	PnZ1.			3 11
45.3	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn1.	Pn1.	PnZ1.	PdZ1.			3 11
68.3	pochm.	pochm.	pochm.	pog. z ch.	Z1.	Z1.	Z1.	PnZ2.	3.3		4 3
70.6	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z1.	PnZ2.	Pn1.	PnZ1.			4 9
63.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Z1.	PnZ1.	PnZ1.	Pn1.			4 5
54.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW1.	Pd1.	PdW1.	PdW1.			3 11
61.1	napół pog.	pogodny	pog. z ch.	pogodny	PdW1.	Pd1.	PnZ3.	PnZ3.			3 5
60.7	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnZ3.	PnZ3.	Pn2.	PnZ2.			3 1
59.6	pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	Pn2.	PnZ2.	Pn2.	PnZ1.			2 10
56.3	pogodny	napół pog.	napół pog.	pochm.	Pn2.	Pn2.	Pn1.	Pn1.			2 7
64.9	pochm.	pochm.	napół pog.	pogodny	PnZ1.	Pn2.	Pn1.	W1.			2 8
70.4	pochm.	pochm.	pochm.	pogodny	W1.	PdW1.	PdW1.	PnW1.			2 6
68.5	pogodny	pochm.	napół pog.	napół pog.	Pn1.	PnW1.	PnW1.	PnW1.			2 2
73.4	pochm.	napół pog.	poc. desz.	pogodny	PnW1.	PnW1.	Pd1.	PdZ1.	4.7		2 3
Śr.									63.7		3 4.7

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.196	27	8.559
Najwyżej barometr dochodził d. 26 o g. 6 r.	757.04	27	11.639
Najniżej — — d. 5 o g. 6 r.	742.49	27	5.143
Średnia dzienna zmiana barometru	2.113		0.963
Największa dzienna zmiana barometru d. 24—25 o godz. 10 r.	7.05		3.253
Średnia wysokość barometru jest większą o	1.362		0.604
od stanu normalnego z 42 lat poprzedzających	748.837	27	7.955
Średnia temperatura lipca wynosi	+ 20° 63 C.	+	16° 50 R.
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.29	"	1.84 "
Największa zmiana dzienna temperatury d. 24—25 o godz. 10 rano	11.7	"	9.4 "
Średnia temperatura lipca jest większą o	1.89	"	1.51 "
od stanu normalnego z 42 lat poprzedzających	+ 18.74	"	+ 14.99 "
Termometrograf wskazał: Maximum: + 31° 7 C. = + 25° 4 R. d. 19 po poł.			
Minimum: + 12.3 = + 9 8 " d. 1 rano.			
Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest: 68.4 biorąc 100 za zupełne nasyce- nie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru: 12.16 gramów na jednym me- trze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejsza o 1,9 setnych od nor- malnej (70,3).			

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 63.7 mil. czyli 28.24 lin. par.;
mniej o 23.0 mil. czyli 10.19 lin. par., od ilości wody jaka zwykle u nas
w lipcu spada (86.7 mil. czyli 38.43 lin. par.).

Dni pogodnych 10, napółpogodnych 6, pochmurnych 15.

— deszczu 14: (d. 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 11, 12, 13, 14, 20 i 31).

— mgły 1: (d. 12).

— błyskawic i grzmotów 4: (d. 2, 8, 11 i 31).

— błyskawic bez grzmotów 6: (d. 9, 12, 13, 14, 24 i 27).

— wichrów 4: (d. 8, 11, 14 i 23).

Wiatr panujący północny i północno-zachodni.

Lipiec h. r. był pogodny, suchy i bardzo ciepły, średnia jego temperatura jest
11,5 stop. R. o 1,5 stop. R. wyższa od normalnej (+ 15,0 stop. R.), a o 2,6 stop.
R. jak w r. z. Z początku miesiąca, przy niebie zachmurzonym dni były wilgot-
ne, dżdżyste i zmienne co do temperatury; od d. 7 do 24 włącznie niebo po więk-
szej części było pogodne, powietrze dość suche, stale bardzo ciepłe; do najgo-
rzejszych należą dni 18, 19 i 24, których średnia temperatura była blisko 20
stop. R. wyższa jak zwykle. W końcu miesiąca temperatura dość znacznie się
obniżyła, a chłodno powietrze szczególnie rano czuć się dawało. Największa
dzienna zmiana temperatury 9,4 stop. R. przypadała z d. 24 na 25, gdy księżyc
przechodził przez równik niebieski. Barometr przez cały miesiąc utrzymywał się
dość wysoko i mało stan swój zmieniał. Największa zmiana dzienna barometru
3,25 lin. par. przypadała w tymże samym czasie co i największa zmiana dzienna
temperatury. Deszcze padały dość często w pierwszej połowie miesiąca, w dru-
giej zaś prawie zupełnie nie miały miejsca. Pod względem stanu nieba, miesiąc
ten był zupełnie pogodny, stosunek bowiem dni pogodnych do napół pogodnych
i pochmurnych w stanie normalnym jest jak: 5,8:12,8:12,4 gdy tymczasem
w b. r. stosunek ten jest jak: 10:6:5. Wiatr panujący był północny i północno-
zachodni.

Pod d. 1 donoszą z Krakowa, że o godzinie 11³/₄ w nocy widziano w Grzy-
bowie, podczas drobnego deszczu i przyświecania księżycy tęczę niemal takich
rozmiarów jak bywa za dnia.

Dnia 7 o godzinie 2 po południu silny uragan nawiedził okolice miasta Stryja
w Galicyi, który choć tylko trwał przez 5 minut, jednak liczne zrzucił szkody
tak na polu jak i w mieście.

Dnia 18 w Szwecjowie i Czeremchowie w Galicyi oberwała się chmura, skut-
kiem której nagle wezbrany strumień uniósł jeden z budynków dworskich.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle..... stop 3 cali 4,7 n. m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 12..... stop 6 " 3 " "

" " najmniejsza " d. 1 i 2..... stop 1 " 11 " "

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

Z R. 1868.

Filozofia.

Stron.

Szkoła Pozytywna, przez *F. Krupińskiego*..... 65, 285, 440

Prawo.

Wiadomość o sądach bożych, czyli Ordaliach w dawniej Polsce. Z rękopisu biblioteki miejskiej Elbląskiej, przez *R. Hubego*..... 312

Literatura.

Epopeja ludowa, w obec najnowszych badań niemieckich, przez *Adama Rządewskiego*..... 1
Don Carlos. Studium historyczne, przez *E. Lubowskiego*..... 177, 410

Geografia i podróże.

Japonia. Obraz politycznych, handlowych i społecznych stosunków kraju, przez *J. B.*..... 86
Zurysy Ameryki. (Z notatek turysty)... .. 262

Przegląd nauk przyrodniczych.

Najnowsze przyrządy do wydobywania elektryczności. Przez *S.*..... 158

Wiktorya Regina, ze wspomnień narzeczonej, ułożył *Jan Zucharysiiewicz.*

22, 217, 353

Korrespondencya.

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna:

Wystawa sztuk pięknych: Trudność sprawozdawcy. — Nieużyteczność wystaw corocznych. — Propozycya wystawy obrazów na sprzedaż i wystawy obrazów do obejrzenia. — Wystawa wybrana z wystawy: wylowione perły. — Historia i teoria pejzażu. — Obrazy sławne wątpliwéj wartości. — Utwory wystawione przez polskich artystów. — Uwagi ogólne nad obecnym stanem sztuki w Europie. — Stanowisko sztuki francuzkiéj. — Wiadomości literackie.....	114
Guizota „Meditations sur la Religion Chrétienne” tom IIIci. — „L’Epopée terrestre” przez pana Lefevre: przyszłość poezyi. — Raport z literatury teatralnéj Edwarda Thierry — „Przepaść” pięcio-aktowy dramat Karola Dickensa przedstawiony w Vaudevillu. — Rocznica urodzin Corneilla. — Inauguracya popiersia Alfreda de Musset w Teatrze francuzkim. — Doroczne posiedzenie Akademii nauk.....	293
Dumasa syna pogląd na dramatyczne piśmiennictwo i społeczność francuzką w XIX wieku. — „Poczucie natury u nowoczesnych” przez Wiktora Laprade członka akademii. — „Nowa Francya” przez p. Prevosta Paradol członka akademii. — Paryzkie piśmiennictwo peryodyczne w chwili obecnej.....	464
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, przez <i>E. Ł.</i>	167

Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne.

Najcelniejsze filozoficzne nauki o duszy przed sądem krytycznym obecnej nam filozofii, skreślił Józef Kremer. Warszawa. 1867. Przez <i>Kazimierza Kaszewskiego.</i>	133
Kwiaty i chwasty przez Adolfa Mostowskiego. Żytomierz. 1866. — Dwa węzły przez Adolfa Mostowskiego. Żytomierz. 1867. Przez <i>A. J. S.</i>	146
Odczyty o Wystawie paryzkiej 1867 r. Feltxa Beneveni. Warszawa. 1868. Przez <i>K. Wł. W.</i>	152
Die Schoenheit und die Schoene Kunst, nach der Anschauungen der sokratischen und der christlichen Philosophie in ihrem Wesen dargestellt von P. Joseph v. Iungmann S. J. Insbruc, 1866. Przez <i>Wł. Miłkowskiego.</i>	156
Kilka słów o teoryi statystyki. Napisał Witold Zaleski, docent Szkoły Głównej. Warszawa. 1868. Przez <i>F. Krupińskiego.</i>	317
Pół-djable weneckie powieść od Adryatyku przez J. I. Kraszewskiego. Kraków. 1866. Przez <i>K. Wł. W.</i>	321

Listy Władysława IVgo do Krzysztofa Radziwiłła, hetmana polnego W. X. Lit. pisane 1612 — 1632 r., z autografów Biblioteki Cesar- skiej w Petersburgu, ogłosił Ant. Muchliński. Kraków. 1867. Przez <i>Juliana Bartoszewicza</i>	327
Dr. Karola Schenkla Ćwiczenia greckie na klasę trzecią i czwartą szkół gimnazjalnych. Z szóstego wydania niemieckiego na język polski przełożył Zygmunt Samolewicz. Lwów. 1868. Przez <i>A. Mierzyń- skiego</i>	331
Geschichte der deutschen Kaiserzeit von Wilhelm Giesebrecht. Brunszwig, 1868. Przez <i>Władysława Milkowskiego</i>	332
Metoda początkowego nauczania, czyli przewodnik dla rodziców, początko- wych nauczycieli i w ogóle dla osób kierujących pierwszą nauką dzieci. Skreślił Wincenty Dawid. Lublin. 1868. Przez <i>Władysława Nowickiego</i>	483
Komedia prozą i wierszem przez Tomusza Le Brun. Warszawa. 1868. Przez <i>Chm.</i>	487
O sposobach uczenia czytać, a w szczególności o metodzie doraźnego czy- tania. Napisał Jan Kamiński student Szkoły Głównej Warszawskiej, były nauczyciel szkół elementarnych, Warszawa. 1868. Przez <i>Wła- dysława Nowickiego</i>	488
Pamiętniki pudła, wydane po francuzku przez pannę Julię Gouraud. Po- znań. 1868. — Powieści dla młodocianego wieku, przez Antoninę Machezyńską. Poznań. 1868. Przez <i>Chm.</i>	491
Pierwsze Zgromadzenie Ogólne zwyczajne Akcyonaryuszów Drogi żelaznej Warszawsko-Terespolskiej, odbyte dnia 18 (30) czerwca 1868. War- szawa. 1868.....	494
Piśmiennictwo w Stanach Zjednoczonych. (Według prelekcji Alexandra Buchner, w Uniwersytecie w Caen). Przez <i>J. B.</i>	495

Przegląd teatralny.

Sidla, komedia w 1ym akcie z francuzkiego, Pawła Dhormoys. — Przyjaciół Babolin, komedia w 1ym akcie z niemieckiego, A. Bahn. — Takie wszystkie, komedia w 1ym akcie, z francuzkiego, Karola Narrey. Przez <i>Mru. K.</i>	335
Marya Stuart tragedia Schillera w przerobieniu Le Brun. Przez <i>E. L.</i>	502
Pojęcie pani Aubray, komedia w IV aktach Alexandra Dumasa syna, przekład Władysława Umiastowskiego. Przez <i>E. L.</i>	505
Wiadomości bieżące i rozmaitości.....	169, 341, 510
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatorium astronomiczném warszawskiem :	
za miesiąc maj r. b.....	173
— — czerwiec r. b.....	349
— — lipiec r. b.....	517

